Karol May

OLD SUREHAND

Karol May

OLD SUREHAND

Konwersja: Nexto Digital Services

Spis treści

VI. SKARBY
VII. PIRAT
VIII. NIEROZŁĄCZNI PRZYJACIELE
IX. SZAKO-MATTO
X. KOLMA-PUSZI
XI. W NIEDŹWIEDZIEJ DOLINIE
XII. POD CZARCIĄ GŁOWĄ

OLD SUREHAND

Tom II

Karol May

VI. SKARBY

Były agent handlowy, znużony opowiadaniem, oparł się o poręcz krzesła i odpowiadał na pytania, które ten i ów jeszcze stawiał. Ale wreszcie zniecierpliwiony, poprosił ciekawych:

— Zostawcie mnie już w spokoju, panowie! Nie na to opowiedziałem moją historię, żeby mnie teraz zasypywano pytaniami, lecz na dowód, że biali są często gorsi od czerwonoskórych. Jeśliście słuchali uważnie, to musicie mi przyznać, że łotrostwo, uplanowane przez czarnobrodego i jego ludzi, oraz napad na pociąg udaremniono tylko dzięki bystrości i męstwu Winnetou. Jest to mąż, z którym mało kto z Indian czy białych może się równać. Jeśli kiedyś zginie, jak cały jego pożałowania godny naród, to przecież imię jego pozostanie na zawsze w pamięci naszych synów, wnuków i prawnuków.

— Well, macie słuszność, sir! — wtrącił jakiś jegomość, który siedział przy jednym z bocznych stołów i śledził opowiadanie z największym zaciekawieniem. — Jeśli jednak wolno obcemu wyjawić swoje zdanie, to zrobiłbym pewną uwagę.

— Słucham was.

— Wspomnieliście, że Apacze znani byli z tchórzostwa i dopiero gdy Winnetou został ich wodzem, stali się zręcznymi myśliwcami i walecznymi, a nawet zuchwałymi wojownikami.

— Powiedziałem to istotnie. Czy się z tym nie zgadzacie?

— Nie, bo znałem ich jeszcze w tym czasie, kiedy Winnetou był małym chłopcem. Jest kilka szczepów, które mają tak ciężkie warunki życia, że podupadły nie tylko pod względem fizycznym, lecz i duchowym. Ale winni są temu biali, którzy wyparli ich z dawnych, bogatych pastwisk i zasobnych terenów łowieckich. Tym białym zdaje się teraz, że mają prawo gardzić Indianami. Ale inne szczepy, a szczególnie Meskalerowie, były w szczęśliwszym położeniu. Pielęgnowały one od dawna te cnoty, które w całej pełni objawiły się u Winnetou.

— Czy znacie ten szczep, sir?

— Bardzo dobrze, a znałem go, jak się rzekło, jeszcze wtedy, gdy Winnetou był dzieckiem. Nie miałem nigdy ani pośród czerwonych, ani pośród białych tak wiernego i oddanego przyjaciela, jakim był Inczu-czuna.

— Inczu-czuna? Czy to nie ojciec Winnetou?

— Tak. Tego zacnego Indianina zamordowali biali, a razem z nim Nszo-czi, jego córkę, a siostrę Winnetou, najpiękniejszą, najlepszą i najczystszą dziewczynę Apaczów !

— Czy byliście westmanem?

— Właściwie nie. Przebywałem długo na Zachodzie w celach naukowych, choć nie uważam się za wielkiego uczonego, Moją ulubioną dziedziną była etnologia a studia te nie pozwalały mi siedzieć w domu. Ciekawość moją budziła szczególnie rasa czerwona, dlatego większą część roku spędzałem na wędrówkach od jednego szczepu do drugiego. Poznałem Indian i nauczyłem się ich cenić. Oni

mnie także znali i poważali, bo wiedzieli, że przybywam do nich jako przyjaciel. Stałem się ich nauczycielem i doradcą, a oni nawzajem uczyli mnie, jak się używa broni, poluje i walczy, jakkolwiek byłem człowiekiem rozmiłowanym w pokoju. Musiałem polować, aby się wyżywić, a czasem musiałem się też bronić przed nieprzyjacielem, którym nigdy nie był czerwonoskóry, lecz zawsze biały. Twierdzenie wasze, że biali są gorsi od Indian, uważam za zupełnie słuszne. Mógłbym na to przytoczyć niejeden przekonywający dowód.

— Uczyńcie to, sir! Opowiedzcie nam przynajmniej o jednym ze swoich doświadczeń!

— Hm! Opowiedziałbym, gdyby i inni dżentelmeni tego sobie życzyli.

— Prosimy o to! Wszyscy coś dzisiaj opowiadają, a to jest bardzo zajmujące. Nieprawdaż, pani Thick?

Gospodyni, która przyniosła właśnie kilka pełnych szklanek, odpowiedziała:

— Prawda, prawda! Nigdy jeszcze nie było u mnie tak spokojnie i cicho jak dziś. Sądzę, że opowiadać i słuchać opowiadań to o wiele lepsze zajęcie aniżeli kłócić się, bić i niszczyć stoły, krzesła, flaszki i szklanki, jak to nieraz dżentelmeni u mnie robią. A zatem opowiedzcie nam, sir, swoją historię!

— Well! — zgodził się etnolog. — Jeśli wam to sprawia przyjemność, nie będę się ociągał. Postaram się opowiadać tak samo barwnie i płynnie jak tamci panowie.

Był cudownie piękny poranek czerwcowy, prawdziwa . rzadkość w owym odległym kącie, gdzie północnozachodni róg terytorium indiańskiego wchodzi pomiędzy proste linie granic Kansasu, Kolorado i Nowego Meksyku. W nocy spadła dość obfita rosa i na źdźbłach i gałązkach iskrzyły się brylantowe krople, a szczególna woń trawy bawolej nabrała takiej ożywczej świeżości, że płuca wciągały ją z rozkoszą.

Zwykle taki poranek dobroczynnie działa na usposobienie człowieka, ale ja w ten piękny dzień jechałem bardzo zmartwiony. Powód był prosty: koń mi okulał. Poprzedniego dnia zaczepił w cwale nogą o korzeń. A jazda po preriach na kulawym koniu nie tylko złości, ale może mieć nawet nieszczęśliwe następstwa. Wobec panujących tam stosunków życie i bezpieczeństwo myśliwca zależy często od sprawności jego konia.

Polowałem z kilku ludźmi z Kolorado w pobliżu Spanish Peaks i przez Willow Springs przybyłem nad Nescuntunga Creek, aby na jego prawym brzegu spotkać się z Willem Saltersem, z którym przed kilku miesiącami łowiłem bobry w Nebrasce; przy rozstaniu tutaj wyznaczyliśmy sobie schadzkę. Chcieliśmy przejechać przez terytorium indiańskie aż do jego południowo-wschodniej granicy, a potem udać się prosto na zachód na Liano Estacado, aby poznać tę osławioną pustynię.

Do tej podróży potrzebny był bezwarunkowo dobry koń, a tymczasem mój okulał. Nosił on mnie wiernie wśród wielu niebezpieczeństw, nie chciałem go zamienić na innego, musiałem więc dać mu wypocząć, dopóki jego noga nie wydobrzeje. Spodziewana strata czasu była mi wielce niemiła, toteż mój zły humor wydawał mi się zupełnie uzasadniony.

Gdy mój mustang kuśtykał powoli przez prerie, ja rozglądałem się za oznakami, które by świadczyły o bliskości rzeki. Tam gdzie się znajdowałem, rosły tylko pojedyncze krzaki. Ale-ku północy ciągnęła się ciemna linia, w której domyślałem się większych skupisk drzew i zarośli. Zwróciłem się zatem w tym kierunku, przypuszczając, że gdzie jest więcej roślinności, tam musi być i woda.

I miałem słuszność. Ciemną linię tworzyła gęstwina meskitu i dzikich czereśni, rosnąca po obu brzegach rzeki. Był to niezbyt szeroki potok, a w miejscu, w którym się na niego natknąłem, także niegłęboki.

Jechałem z wolna wzdłuż brzegu, szukając z uwagą jakiegoś znaku od Saltersa, który mógł tu przybyć przede mną.

Wkrótce zauważyłem w płytkiej wodzie, leżące tuż obok siebie, dwa wielkie kamienie; pomiędzy nimi tkwił dość duży konar wciśnięty w ten sposób, że mała gałąź, znajdująca się na jego końcu, wskazywała w dół rzeki. Był to umówiony znak. Jeszcze cztery takie same znalazłem w niewielkich odstępach. Dowodziły one, że Salters był tutaj i pojechał z biegiem rzeki. Z tego, że tropu nie mogłem już rozpoznać, a listki gałązek zwiędły, wywnioskowałem, że Salters był tutaj dnia poprzedniego.

Po jakimś czasie potok skręcił na północ, zataczając łuk. W tym miejscu gałąź wetknięta w piasek nadbrzeżny wskazywała kierunek w głąb prerii. Salters nie pojechał więc dalej brzegiem, lecz po cięciwie łuku, jaki tu tworzyła rzeczka. Ja uczyniłem, oczywiście, to samo.

Wtem zauważyłem przed sobą niezbyt wysoką, samotną górę, pociętą rozpadlinami. Dojechałem do niej. w dobre pół godziny. Szczyt jej był łysy, a podnóże porosłe z rzadka krzakami. Zdziwiłem się, gdy objechawszy ją, znalazłem na wschodniej stronie kilka grup starych jaworów.

Uderzyło mnie także to, że ziemia była tu rozkopana na znacznej przestrzeni. Jamy o głębokości kilku metrów, wybrane motyką i łopatą, wyzierały z jednostajnej powierzchni gruntu. Czyżby tu byli ludzie w tych odległych stronach? Na co wykopano te dziury?

Pojechałem dalej, lecz zatrzymałem się niebawem, zauważywszy na trawie ślady stóp. Zsiadłem z konia, by zbadać je dokładniej. Przekonałem się, że zostawiły je nogi kobiece albo chłopięce, obute w mokasyny bez napiętków. Czyżby tu byli Indianie? A może jakiś biały nosił takie obuwie? Odciski obydwu, stóp były równomierne; na tę

okoliczność nie zwróciłem na razie uwagi, dopiero później miałem ją sobie przypomnieć.

Właściwie powinien bym udać się za tymi śladami. Ponieważ jednak prowadziły na północ, ku rzece, a moja droga wiodła na wschód i ponieważ chciałem jak najrychlej spotkać się z Saltersem, dosiadłem konia i pojechałem dalej.

Po jakimś czasie wywnioskowałem z pewnych oznak, że te strony nie były tak bezludne, jak sądziłem poprzednio. Połamane źdźbła traw, nadwerężone gałązki na drzewach, tu i ówdzie kamyczki starte przez ludzką stopę dowodziły, że przechodzono tędy dość często. Toteż nie zdziwiłem się wcale, kiedy później, dostawszy się znowu nad rzekę, zobaczyłem tuż nad jej brzegiem pole obsadzone tytoniem i kukurydzą. Po drugiej stronie wznosił się niski domek; wysoki, lecz bardzo zniszczony parkan otaczał dość obszerny dziedziniec.

A zatem farma nad Nescuntunga Creek! Kto by się tego spodziewał! Za parkanem stary, jasnokościsty koń tarł głową o pusty żłób, a opodal młody chłopiec zajęty był naprawianiem uszkodzonego- płotu. Zdawało się, że przeraził go mój widok.

„Dzień dobry! — pozdrowiłem go. — Czy mogę się dowiedzieć, jak się nazywa właściciel tego domu?”

Odgarnął ręką gęste, jasne włosy, popatrzył na mnie badawczo niebieskimi oczyma i odparł: „Nazywa się Rollins, sir”.

„Czy jesteś jego synem?”

Powiedziałem do niego „ty”, ponieważ nie mógł mieć więcej jak szesnaście lat, chociaż był rosły i silnie zbudowany.

„Jestem pasierbem gospodarza”. ,,Czy ojczym w domu?”

,,Oto on”.

Wskazał mi wąskie i niskie drzwi, z których wyszedł jakiś mężczyzna. Musiał się nieco pochylić, aby głową nie uderzyć o futrynę. Był bardzo wysoki, chudy, o wąskich piersiach, a skóra na jego twarzy pokryta rzadkim zarostem wyglądała jak wygarbowana. Zasępił się na mój widok. W ręku trzymał starą strzelbę i motykę. Przystąpiwszy z wolna do mnie, przeszył mnie niechętnym wzrokiem i zapytał ochrypłym głosem:

„Czego tu chcecie?”

„Chcę was zapytać, Mr Rollins, czy nie był tu wczoraj albo onegdaj człowiek nazwiskiem Salters i czy nie zostawił wam jakiegoś polecenia”.

Pasierb odpowiedział szybko:

„Był tu wczoraj rano, sir. Ten Salters...”

Nie zdołał skończyć. Ojczym pchnął go kolbą w bok, aż biedny chłopiec zatoczył się z jękiem na parkan. „Milcz, gadzino! — krzyknął stary. — Nie będziemy służyć byle włóczędze! — I zwracając się do mnie . dodał: — Zabierajcie się stąd! Ja nie mieszkam tu dla was ani dla waszego Saltersa!”

To było zwykłe grubiaństwo. Wobec takich ludzi stosowałem zawsze zachodni sposób postępowania. Zsiadłem więc bez pośpiechu z konia, przywiązałem go do parkanu i powiedziałem:

„Tym razem musicie zrobić wyjątek, Mr Rollins. Koń mi okulał. Zostanę u was, dopóki nie wyzdrowieje”..

Cofnął się o krok, zmierzył mnie groźnym spojrzeniem od stóp do głów i wrzasnął:

„Czyście zwariowali? Mój dom to nie gospoda, a kto się chce tu panoszyć, temu pakuję ładunek śrutu w skórę. Do pioruna! Oto znowu ten nędzny Indianin! Czekaj no, czekaj, zaraz cię stąd wykurzę!” Poszedłem wzrokiem za jego spojrzeniem. Z pobliskich zarośli wysunął się młody

Indianin. Rollins podniósł strzelbę, wymierzył i wypalił. Ale w tej samej chwili podbiłem lufę i ładunek poszedł w bok.

„Psie, ty porywasz się na mnie?!.— ryknął stary. — Masz za to!”

Odwrócił szybko strzelbę i zamierzył się, by mnie ugodzić kolbą. Ale ja palnąłem go pięścią i pchnąłem tak silnie na parkan, że deski zawaliły się pod nim. Strzelba wypadła mu z ręki, a ja pochwyciłem ją, zanim zdążył się podnieść. Wtedy wydobył nóż zza pasa i wykrztusił zdławionym głosem:

„Mnie... na mojej ziemi! Za to się oddaje życie!”

Szybko zwróciłem ku niemu rewolwer i odrzekłem:

„Schowajcie natychmiast nóż! Moja kula jest szybsza od jego ostrza!”

Opuścił podniesioną rękę i skierował wzrok ku drugiej stronie domu. Stał tam jeździec, który niepostrzeżenie nadjechał.

„Już przy pracy, chłopie? — zawołał do mnie przybyły ze śmiechem. — Dobrze robisz! Wal tego draba, bo zasłużył na to. Ale nie strzelaj, bo niewart garści prochu!

Był to Will Salters. Zbliżył się do nas, podał mi rękę i mówił dalej:

„Witaj, towarzyszu! Gdyby wszystko poszło wedle życzenia tego draba, już byś mnie nie zobaczył. Przyjął mnie wczoraj tak samo jak dzisiaj ciebie. Dostał za to kilka szczutków w nos, ale posłał mi kulę, która na szczęście poszła bokiem. Chciałem zaczekać tu na ciebie, ale nie mogłem. Powiedziałem tylko jego synowi, że dzisiaj wrócę, aby zobaczyć, czy stary ma lepszy humor. Jeśli się na to zgodzisz, możemy go nauczyć, jak się postępuje z takimi ludźmi jak my”,

Zsiadł z konia, ale w tejże chwili Rollins chwycił motykę i uciekł w las wielkimi susami. Spojrzeliśmy na siebie ze

zdziwieniem — co. za szczególne zachowanie! Najpierw bezwzględność i grubiaństwo, a potem tchórzliwa ucieczka. Nie zdołaliśmy jeszcze zastanowić się nad tym, kiedy z drzwi domku wyszła kobieta. Widziała, jak Rollins zniknął za krzakami, i odezwała się wzdychając z ulgą:

„Dzięki Bogu! Bo już myślałam, że dojdzie do rozlewu krwi. On jest pijany. Wypił dopiero co całą flaszkę wódki!”.

„Jesteście jego żoną?” — spytałem.

„Tak. Spodziewam się, że nie będę musiała za niego odpowiadać. Ja temu nie jestem winna”. .

„Wierzymy wam. Przypuszczamy nawet, że wasz mąż jest chory umysłowo”.

„Tak jest, niestety. O Boże, jaka ja jestem nieszczęśliwa! Jemu się zdaje, że w pobliżu zakopany jest skarb. Chce go sam wydobyć, w tajemnicy przed wszystkimi, dlatego nie znosi ludzi w pobliżu swego domu. Ten młody Indianin jest tu już od czterech dni. Nie mógł iść dalej, bo zwichnął nogę. Chciał zatrzymać się u nas, dopóki nie wydobrzeje, ale Rollins go wypędził. Teraz musi biedak nocować na dworze”.

Wskazała na Indianina, który właśnie nadszedł. Mógł mieć około osiemnastu lat. Odzież jego uszyta była z jeleniej, garbowanej skóry. Frędzli na szwach nie zdobiły włosy ludzkie, co świadczyło, że chłopak nie zabił jeszcze żadnego wroga. Głowa jego była niczym nie okryta, a broń składała się z noża, łuku i kołczanu. Na szyi miął mosiężny łańcuszek, na którym wisiał cybuch, ale bez fajki. Był to znak, że młodzieniec znajdował się w drodze do świętych kamieniołomów, skąd Indianie przynoszą sobie glinę do wyrobu fajek. W tej podróży każdy jest nietykalny. Nawet najbardziej chciwy krwi przeciwnik musi zostawić swego wroga w spokoju, a w razie potrzeby nawet go bronić.

Podobały mi się otwarte, inteligentne, niemal europejskie rysy twarzy tego młodzieńca. Aksamitne, czarne

jego oczy patrzyły na mnie z wyrazem głębokiej wdzięczności. Wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

„Ty ochroniłeś Iszarshiutuhę. Jestem twoim przyjacielem”.

Choć zapewnienie to zabrzmiało dość wyniośle, ton głosu młodzieńca podobał mi się tak jak i on sam. Zastanowiło mnie jego imię. Iszarshiutuha jest to wyraz wzięty z języka Apaczów i znaczy tyle, co „mały jeleń”. Dlatego zapytałem:

„Czy jesteś Apaczem?” .

„Iszarshiutuha jest synem wielkiego wojownika Meskalerów, najwaleczniejszych wśród czerwonych mężów”.

„Meskalerowie są moimi przyjaciółmi, a Inczu-czuna, ich wódz, jest moim bratem”.

Wzrok Indianina przesunął się szybko po mojej postaci.

„Inczu-czuna jest najmężniejszym z bohaterów — podjął mój nowy znajomy. — Jak on ciebie nazywa?”

„Yato-inta”.

Młodzieniec odstąpił o kilka kroków, spuścił oczy i oświadczył:

„Synowie Apaczów znają ciebie dobrze. Ja nie jestem jeszcze wojownikiem, dlatego nie wolno mi z tobą rozmawiać”.

„Wolno ci mówić ze mną — odpowiedziałem — bo kiedyś będziesz, na pewno słynnym wojownikiem. Wkrótce też przestaniesz nazywać się Iszarshiutuha, Mały Jeleń, lecz zostaniesz Pehnulte, Wielkim Jeleniem. Noga cię boli?”

„Tak”.

„Wyszedłeś z wigwamu bez konia?”

„Wybrałem się po świętą glinę. Idę pieszo”.

„Ta ofiara spodoba się Wielkiemu Duchowi. Wejdźmy do domu!”

„Wy jesteście wojownikami, a ja jeszcze nie. Pozwólcie mi pozostać z małym bratem!”

Podszedł do jasnowłosego pasierba Rollinsa, z którym zamienił porozumiewawcze spojrzenie; zauważyłem to i pomyślałem, że musieli już nieraz ze sobą rozmawiać. Mały Jeleń nie był tu bez powodu. Kryła się w tym. jakaś tajemnica, niebezpieczna może dla mieszkańców domku. Zapragnąłem ją zbadać, lecz nie pokazałem tego po sobie.

Chłopcy zostali na dworze, a ja wszedłem z Willem Saltersem i z kobietą do domu, a raczej do chaty o jednej izbie.

Ubóstwo wyzierało tu z każdego kąta. Dach był dziurawy, a materiał, którym uszczelniono szpary w ścianach, zniknął od dawna. Nad paleniskiem nie było kotła, a cały zapas żywności stanowiła niewielka kupka kolb kukurydzy, leżąca w kącie. Odzież kobiety składała się z cienkiej perkalikowej spódnicy i kaftanika. Chodziła boso, a zdobiła ją tylko czystość, zadziwiająca przy tym ubóstwie. Ubranie jej syna było także bardzo ubogie i widać często naprawiane.

Kiedy spojrzałem na barłóg, wysłany tylko liśćmi, a potem na bladą, wynędzniałą twarz tej biedaczki, mimo woli zapytałem:

„Pewnie jesteście głodni?”

Kobieta zarumieniła się po uszy. Łzy trysnęły z jej oczu i kładąc rękę na sercu, odrzekła:

„Mój Boże! Nie skarżyłabym się na nic, gdyby tylko Józef mógł być syty! Pole nie przynosi plonów, bo mąż pozwala, żeby zarastało zielskiem, Zdani jesteśmy na to, co przyniesie polowanie, ale i to zawodzi, bo mąż oszalał zupełnie na punkcie owego skarbu”.

Wybiegłem z chaty, dobyłem ze swoich juków zapas mięsa i dałem go kobiecie. Zacny Will Salters zrobił to samo.

„O panowie! — zawołała. — Jacyście wy dobrzy! Żeby to Rollins był taki!”

„Nie chciałbym was urazić — zauważył Salters — ale zdaje mi się, że widziałem go już kiedyś w moim życiu. I to w niezbyt zaszczytnych dla niego okolicznościach. Bardzo jest podobny do pewnego człowieka, którego znano tylko pod imieniem indiańskim. Nie wiem, co ono . znaczy. Brzmiało, jeśli się nie mylę, Indano albo Indanszo”.

„Inta-nczo!” — odezwał się ktoś od drzwi.

Stał tam młody Indianin. Nie słyszał naszej rozmowy prócz ostatnich słów i oczy zamigotały mu dziwnym blaskiem. Kiedy wzrok mój spoczął na nim badawczo, odwrócił się i zniknął.

„To imię wzięte z języka Apaczów — oświadczyłem towarzyszowi. — Znaczy tyle, co »Złe Oko«”.

„Złe Oko? — spytała kobieta. — Mąż mój często powtarza to słowo, ilekroć mówi przez sen albo siedzi pijany w kącie i sprzecza się z niewidzialnymi osobami. Czasem nie ma go przez cały tydzień. Potem przynosi z fortu Dodge wódkę, chociaż nie wiem, czym za nią płaci. Pije i pije, dopóki zmysłów nie straci, a mówi o krwi, o mordach, złocie, nuggecie i skarbach, które tutaj mają być zakopane. W takich razach boimy się wchodzić do izby, żeby nas nie pozabijał”.

„Jakże mogliście się odważyć pójść z takim człowiekiem w tę puszczę?”

„Z nim? Z nim nigdy bym tu nie przyszła. Przybyłam do Ameryki z moim pierwszym mężem i jego bratem. Kupiliśmy sobie kawał ziemi, ale „agent nas oszukał. Dokument kupna był sfałszowany i kiedy przyjechaliśmy na Zachód, od dawna uprawiał tę działkę prawy właściciel. Pieniądze nam wkrótce wyszły, nie pozostało więc nic innego jak żyć z polowania. Posuwaliśmy się przy tym coraz dalej na Zachód. Mój mąż chciał się udać do Kalifornii, usłyszawszy, że tam

znajduje się złoto. Dotarliśmy tutaj, ale dalej już nie mogłam iść, bo zachorowałam z wyczerpania. Obozowaliśmy zwykle pod gołym niebem; na szczęście znaleźliśmy po pewnym czasie ten opuszczony domek. Do kogo należał, nie wiemy. Radziliśmy sobie jako tako, ale myśl o Kalifornii nie dawała mężowi spokoju. Chciał się tam dostać, a ja nie mogłam mu towarzyszyć. Po ciężkich walkach zgodziłam się na to, żeby sam poszedł do tego kraju złota i spróbował szczęścia. Szwagier miał zostać ze mną. Niestety, mąż już więcej nie wrócił. W pół roku po jego odejściu urodził się Józef; nigdy nie widział ojca. Gdy syn miał trzy lata, szwagier wyszedł raz na polowanie. Kiedy przez kilka dni nie wracał, zaczęłam go szukać i znalazłam martwego nad brzegiem rzeki z przestrzeloną głową. Musiał go zamordować jakiś Indianin”.

„Czy szwagier wasz był oskalpowany?”

„Nie”.

„W takim razie mordercą był biały. Ale jak zdołaliście wyżyć z dzieckiem?”

„Żyliśmy kukurydzą, którą uprawiałam na kawałku gruntu obok domu. Później przybył w te strony mój obecny mąż. Chciał tylko zapolować i pójść dalej, został jednak na dłuższy czas, a potem na zawsze. Zadowolona byłam z tego, bo bez niego umarłabym z głodu razem z dzieckiem. Potrzebowałam opiekuna, a dziecko ojca. Ale kiedyś Rollinsowi przyśnił się skarb, rzekomo tutaj zakopany. Ten sen powtarzał się tak często, że Rollins nie tylko wierzył w istnienie skarbu, lecz popadł po prostu w szał na tym tle. Nocami rozprawia o złocie, a za dnia go szuka”.

„Zapewne tam, pod górą, gdzie stoją stare jawory?”

„Tak. Mnie tam chodzić nie wolno ani synowi. Nie potrafię wypowiedzieć, jak jestem nieszczęśliwa. Dniami i nocami modlę się o wybawienie z tego strasznego położenia. O, gdyby Bóg nam dopomógł!”

„Dopomoże, choćby nawet ta pomoc miała w pierwszej chwili ból sprawić. Wiele razy doświadczyłem, że...”,

Przerwano mi, bo wszedł Józef prosząc, żebyśmy wyszli i przypatrzyli się niebu. Na dworze Mały Jeleń patrzył uważnie na niewielką chmurkę wiszącą prostopadle nad naszymi głowami. Poza tym niebo było zupełnie czyste. Józef powiedział, że Indianin uważa tę chmurkę za bardzo zły znak. Mały Jeleń mówił znośnie po angielsku, mógł więc porozumieć się z białym chłopcem. Will Salters wzruszył ramionami i rzekł: . „Ten dymek z cygara miałby być niebezpieczny?”

Indianin zwrócił ku niemu głowę i powiedział tylko jedno słowo: -„Ilczi”.

„Co to znaczy?” — zapytał mnie Will.

„Wicher, burza!”

„Głupstwo! Niebezpieczny wicher zrywa się wtedy, gdy całe niebo osłoni się chmurami, a w tej ciemnej oponie utworzy się okrągła, jasna dziura. Tu jest odwrotnie, Z wyjątkiem tej chmurki niebo jest całkiem czyste”.

„Keeikhena ilczi” — wtrącił Indianin.

Teraz zwróciłem baczniejszą uwagę na jego słowa. Znaczą one „głodny wiatr”. Apacze określają nimi burzę z wichrem, rodzaj trąby powietrznej.

Dlaczego młody Indianin powziął takie przypuszczenie? Ja nie widziałem nic podejrzanego w tym obłoczku, zdawałem sobie jednak sprawę, że dzieci puszczy mają cudowny instynkt w rozpoznawaniu niektórych zjawisk przyrody.

„Nonsens! — powtórzył Salters. — Wejdźmy do chaty, bo zdaje mi się, że zaczynasz się niepokoić”.

Odszedł, a ja skorzystałem ze sposobności, by Małemu Jeleniowi pokazać, że nie wierzę w to, co mi powiedział poprzednio, i zapytałem:

„Która noga boli mego młodego przyjaciela?”

„Lewa” — odparł.

„A dlaczego mój brat utykał na prawą, wychodząc z zarośli?”

Uśmiechnął się zakłopotany, lecz odpowiedział swobodnie:

„Mój waleczny brat się pomylił”.

„Mam bystre oko. Czemu Mały Jeleń” utyka tylko wtedy, kiedy ktoś na niego patrzy, a chodzi dobrze, kiedy jest sam?”

Spojrzał na mnie badawczo, ale milczał. Wobec tego mówiłem dalej:

„Memu młodemu przyjacielowi wiadomo, że czytam dobrze z tropu i że nie zwiedzie mnie ani źdźbło trawy, ani ziarnko piasku. Mały Jeleń schodził dziś rano z góry i nie utykał. Widziałem jego ślady. Czy i teraz odważy się twierdzić, że się mylę?”

Opuścił wzrok i znowu nic nie odpowiedział.

„Czemu Mały Jeleń opowiada, że idzie na własnych nogach po świętą glinę? — mówiłem dalej. — Przyjechał tu konno ze swojego wigwamu”.

„Uff! — zawołał chłopak zdziwiony. — Skąd wiesz o tym?”

„Czyż wielki wódz Apaczów nie był moim nauczycielem? Czy sądzisz, że przyniosę mu wstyd i pozwolę się podejść młodemu Apaczowi, któremu nie wolno jeszcze nosić strzelby ognistej? Twój koń jest dereszem”.

„Uff, uff!” — zawołał z najwyższym zdumieniem.

„Chcesz okłamać brata Inczu-czuny?!” — zapytałem z wyrzutem.

Położył rękę na sercu i odrzekł:

„Rzeczywiście, mam konia i jest to deresz...”

„Powinieneś był od razu się przyznać! Powiem ci nawet, że dziś rano przećwiczyłeś całą indiańską szkołę jazdy”.

„Biały brat wie wszystko jak Manitou, Wielki Duch” — szepnął chłopak stropiony.

„Nie. Jechałeś cwałem, wisząc jedną nogą na siodle, ręką trzymając się końskiej szyi i przyciskając ciało do jego boku. Tak robi wojownik w walce, aby się uchronić przed pociskami nieprzyjaciela, a w czasie pokoju wtedy, kiedy ćwiczy dla wprawy. Tylko podczas takiej jazdy może się włosie z końskiej grzywy zaczepić o rękojeść i pochwę noża; a taki włos może mieć tylko. deresz”.

Indianin sięgnął do pasa, za którym tkwił w pochwie nóż. Wisiało na nim kilka końskich włosów. Dostrzegłem, mimo ciemnego zabarwienia jego twarzy, że chłopak poczerwieniał.

„Oko Małego Jelenia jest bystre — mówiłem dalej — ale nie ma on dość wprawy, aby zważać na drobiazgi, od których jednak często życie zależy. Mój młody brat przybył tu, aby zetknąć się z właścicielem tego domu. Czy pragnie zemsty nad nim?”

„Złożyłem przyrzeczenie, że będę milczał — odpowiedział — ale mój biały brat jest przyjacielem najsławniejszego z Apaczów. Pokażę mu więc coś, co odda mi jeszcze dziś wieczorem. Mogę o tym mówić, bo godzina moja już nadeszła”.

Odchylił koszulę na piersiach i wyciągnął skórę, złożoną we czworo jak koperta. Wręczył mi ją i odszedł na pole kukurydzy, gdzie stał Józef. Widziałem, że wziął go za rękę i pociągnął za sobą.

Rozłożyłem garbowaną skórę jelenią, a w niej znalazłem drugi kawałek skóry z cielęcia bizona, oskrobanej z sierści, wyprawionej za pomocą wapna i wygładzonej na pergamin. Zobaczyłem na niej szereg figur, nakreślonych czerwoną farbą, podobnych w rysunku do słynnego napisu na skale w

Tsitsu-mo-wi w stanie Arizona. Miałem w ręku dokument indiański, niezwykłą rzadkość. Pospieszyłem do chaty, aby ten skarb pokazać Willowi Saltersowi. Ten potrząsnął głową na widok pisma i rzekł wielce zdziwiony:

„I to można przeczytać?”

„Oczywiście!”

„To czytaj sam! Nawet jeśli chodzi o nasze zwykłe pismo, wolę mieć do czynienia z dwudziestu Indianami niż z trzema literami. Nie byłem nigdy specjalistą od. czytania, a listy wypisuję od razu adresatowi na plecach moją dwururką. To najprostsza droga. Pióro łamie mi się pod palcami, a widok atramentu mierzi mię. Cóż to za okropne figury! W tej ciemnej chałupie z dwoma lufcikami zamiast okien nie można ich nawet rozpoznać!” „Wyjdźmy przed dom!”

„Wyjść mogę, ale odczytywaniem ty sam się zajmij!”

Wyszliśmy, a kobieta rozpaliła tymczasem na kuchni niewielki ogień, aby upiec kilka kawałków mięsa, któreśmy jej dali.

Na dworze utkwiłem natychmiast oczy w figurach, ale Will Salters popatrzył w niebo.

„Hm! Szczególna chmura! — mruknął. — Nie widziałem nigdy podobnej. Cóż ty na to?” . Spojrzałem w górę. Obłok nie powiększył się znacznie, lecz zmienił całkiem swój wygląd. Przedtem sinoszary, zrobił się teraz jasnoczerwony i przezroczysty.. Zdawało się, że wychodzą z niego miliony matowozłotych nitek pajęczych i rozsnuwają się po całym widnokręgu. Nitki te nie drgały, lecz były zupełnie nieruchome, jakby naprężone.

„No?” — zapytał Will.

„Ja także nie widziałem nic podobnego”.

„Czyżby twierdzenie młodego Indianina o burzy miało okazać się słuszne, i to wbrew opinii takich starych bywalców prerii jak my?”

„Wygląda to rzeczywiście niepokojąco. Apacz mówił o trąbie powietrznej. To byłoby fatalne”.

„Niech będzie, co chce. Musimy w każdym razie zaczekać. Spodziewam się, że łatwiej zorientujesz się w tym piśmie indiańskim aniżeli w nitkach snujących się po niebie. Jakże ci idzie?”

„Hm! Zobaczymy! Na przedzie widzę namalowane słońce z promieniami idącymi w górę, a więc wschodzące. Potem stoją czterej jeźdźcy w kapeluszach. To są prawdopodobnie biali. Pierwszy z nich ma u siodła coś jakby worki. Za tymi czterema jadą dwaj inni z piórami na głowach. To pewnie wodzowie indiańscy”.

„No, to wszystko jest bardzo proste. I ty to nazywasz czytaniem?”

„To dopiero początek. Muszę wpierw poznać litery, zanim zabiorę się do ułożenia ich w słowa. Są tu jeszcze inne, mniejsze figury, umieszczone nad większymi. Nad pierwszym Indianinem widzę bizona z otwartym pyskiem, z którego wychodzi kilka kresek. Z pyska tylko głos może wychodzić, więc jest to bizon ryczący. Nad głową drugiego Indianina tkwi fajka, a z niej wystrzelają również kreski. To oznacza dym, a więc fajka się pali”.

„Słuchaj no, zaczynam rozumieć to pismo! — rzekł Will. — Przychodzą mi na myśl dwaj wodzowie Apaczów. Jeden nazywał się Ryczący Bizon, a drugi Fajka Płonąca, ponieważ był spokojnego usposobienia i chętnie palił z każdym fajkę pokoju. Podobno żyje jeszcze”.

„Być może, że tu właśnie o nich chodzi. Patrzmy dalej! Nad drugim z białych umieszczone jest oko z przechodzącą przez nie kreską. Może jest jednooki? Ach, a może wchodzi tu w grę słowo, które przedtem wymieniłeś: «złe oko»? Nad trzecim znajduje się worek i ręka, która chce go pochwycić. Czyżby to oznaczało jakiś rabunek?”

„Tak, tak, z pewnością! — rzekł Salters szybko. — Wiem już, wiem! Teraz przypominam sobie, gdzie widziałem tego Rollinsa! W Czarnych Górach. Nazywał się Haller; kradł konie i pułapki na bobry, nazywano go więc Kradnącą Ręką”.

„Czy się nie mylisz?”

„Nie, nie! Kradnąca Ręka i Złe Oko byli krewnymi, może nawet braćmi i trzymali się razem. To o nich mowa. Dalej, dalej!”

„Wschodzące słońce jest na przodzie; stąd wniosek, że ci jeźdźcy jechali na wschód. W drugim wierszu występują te same figury, ale w innym ugrupowaniu. Pierwsza grupa: trzej biali strzelają do jadącego na przedzie. Druga grupa: jeden z białych leży martwy, a pozostali przywłaszczyli sobie jego worki. Trzecia grupa: Indianie strzelają do trzech białych. Czwarta grupa: dwaj biali i Indianin, Ryczący Bizon, nie żyją, a Kradnąca Ręka ucieka. Piąta grupa: Fajka Płonąca zakopuje worki. Szósta grupa: Fajka Płonąca trzyma Ryczącego Bizona na koniu i ściga Kradnącą Rękę. Siódma grupa: Fajka Płonąca zakopuje Ryczącego Bizona, a Kradnąca Ręka zniknęła. Teraz następują jeszcze dwa małe obrazki. Na jednym są trzy drzewa, a pod środkowym znajdują się worki. Potem widać jedno drzewo, a pod nim leżącego Ryczącego Bizona; to jego grób. Teraz da się już łatwo wyjaśnić te okropne wydarzenia”.

„Zaczekaj no! — przerwał mi Salters. — Popatrz w górę! Przecież robi się zupełnie ciemno! Popatrz, popatrz, na miłość Boga, na niebo!”

Podniosłem oczy i przeraziłem się. Złote nitki zniknęły z nieba, a ich miejsce zajęły ciemne pasy. Te pasy łączyły sczerniałą chmurę z północnym horyzontem. Reszta nieba była jasna i czysta. Pasy te zdawały się ciągnąć chmurę, jak na linach, ku północy. Odbywało się to z szybkością widoczną dla oka. Im bardziej zniżała się chmura, tym

wyraźniej było widać podnoszącą się z ziemi, przezroczystą z początku, lecz ciemniejącą masę, u dołu szeroką, a zwężającą się ku górze w lej, która kręcąc się usiłowała dosięgnąć szczytem chmury. Ta zaś spadała coraz chyżej, rozszerzając się w górze, a ku dołowi wysuwając ze swej strony wąski lej. Oba leje szukały się wzajem. Gdy się zetknęły, wydawało się przez chwilę, że chmura zostanie ściągnięta na ziemię. Utrzymała się jednak w powietrzu i utworzyła razem z trąbą kręcący się z szaloną szybkością podwójny stożek, którego wierzchołki stykały się z sobą, a podstawy na ziemi i w powietrzu miały około pięćdziesięciu metrów średnicy.

Ponieważ w pobliżu znajdowały się tylko niskie krzaki, przeto mogliśmy to zatrważające zjawisko oglądać w całej okazałości. Podwójny stożek zwijał się i wirował, posuwając się naprzód bardzo szybko, wprost na nas. Tymczasem powietrze nad nami stało nieruchomo; było tak parno, że pot wszystkimi porami wystąpił nam na skórę.

„Mały Jeleń miał słuszność — powiedziałem. — Jesteśmy w poważnym niebezpieczeństwie. Prędzej, Will, ratujemy siebie i tę kobietę! Do koni i uciekajmy!”

„Ależ nie wiemy, dokąd się zwrócić!”

„Ruchy trąby powietrznej nie dadzą się wprawdzie obliczyć, ale zmienimy kierunek jazdy, jeśli ona zmieni swój. Może się zatrzyma nad rzeką i nie dostanie się na tę stronę. Wyprowadź konia Rollinsa z zagrody! Ja skoczę po jego żonę”.

Zastałem ją przy ognisku; nie przeczuwała wcale grożącego niebezpieczeństwa. Pochwyciłem ją za rękę i wyciągnąłem z chaty. Will nadszedł właśnie z koniem.

„Koń się narowi! — zawołał. — Ja sam na niego wsiądę. Nie jest osiodłany i po pierwszym kroku zrzuciłby kobietę. Ty weź mojego kasztana! Prędzej, prędzej!”

Wskoczył na konia i puścił się cwałem.

Dosiadłem kasztana, który mógł łatwiej unieść dwie osoby niżeli mój kulawy wierzchowiec, wziąłem drżącą kobietę przed siebie na siodło, ująłem mego gniadosza za cugle i podążyłem za Saltersem. Stało się to wszystko bardzo prędko; od chwili zauważenia trąby nie upłynęło z pewnością więcej jak pięć minut.

Nie było mi zbyt wygodnie. Prawą ręką musiałem trzymać kobietę, a lewą prowadzić kasztana i mego gniadego. Lecz dałem sobie radę. Ujechawszy dość daleko, zawołałem na Willa, by się zatrzymał. Odwróciliśmy się, chcąc zobaczyć, co się za nami dzieje.

Trąba dosięgła już prawie rzeki. Tworzyła jak gdyby potworną klepsydrę, w której wirowały wyrwane z ziemi krzaki, kamienie, kawały murawy i cała masa piasku.

Wreszcie dotarła do brzegu. „Czy zatrzyma się po tamtej stronie i poleci w górę lub w dół rzeki, czy też się rozpadnie?!” — pytaliśmy się nawzajem. Człowiek, który by się dostał w jej wir, byłby niechybnie zgubiony. Porwany wysoko i wykręcany na wszystkie strony musiałby się udusić, jeśliby trąba nie grzmotnęła nim przedtem o ziemię i nie zmiażdżyła masami piasku.

Nad brzegiem rzeki trąba zatrzymała się, jakby się namyślając. Górny lej szarpał dolnym tak, że zdawało się, iż się od niego oderwie. Nagle nastąpił straszliwy huk, zbite masy piasku, kamieni, krzaków i murawy zniknęły, podniósł się natomiast wysoki słup wody. Miał z początku kształt równego walca, lecz zwężając się w środku, przybrał wkrótce kształt dwu równych stożków, połączonych wierzchołkami. Z trąby powietrznej zrobiła się trąba wodna, która, jak gdyby rozgniewana postojem nad rzeką, posuwała się teraz z podwójną szybkością. Pochwyciła domek i leciała wprost na nas.

„Na prawo!” — krzyknąłem.

Konie, poczuwszy niebezpieczeństwo, gnały tak, że nie potrzebowaliśmy ich popędzać. Wkrótce, obejrzawszy się, zobaczyłem ku mej radości, że trąba oddala się w kierunku zachodnim. Teraz mogliśmy się zatrzymać i uważać za ocalonych.

Trąba leciała dalej z nie mniejszą chyżością, nie przezroczysta już jak nad wodą, lecz znowu ciemna i mętna. Wszystko, co napotykała na drodze, podrywała z ziemi. Rosła i robiła się coraz groźniejsza. Odrzucając daleko to, . czego nie zdołała wchłonąć, dążyła ciągle naprzód. Naraz doleciał nas huk, od którego ziemia zadrżała, i trąba znikła.

W tej samej chwili całe niebo zasnuło się czarną oponą chmur i grubymi kroplami lunął deszcz.

„Nasz dom, nasze mieszkanie! Co się z nim stało?!” — lamentowała kobieta.

Zamiast odpowiedzi, puściliśmy konie szybkim kłusem ku domowi. Lecz nie zastaliśmy go już na dawnym miejscu. Burza rozdarła go, rozszarpała jak wiecheć słomy. Ciężkie pnie, grubości człowieka, leżały rozrzucone wokoło. Z parkanu nie zostało śladu, nie było ani słupa, ani deski, ani tyczki; wszystko porwała trąba powietrzna.

Postanowiliśmy udać się natychmiast na poszukiwanie Rollinsa, jego pasierba i młodego Indianina. Odkąd zapoznałem się z rysunkiem, wiedziałem, gdzie mogli się znajdować: tam na górze, do której dotarła trąba powietrzna, a potem legła jak olbrzymka, w walce ze śmiercią miażdżącą wszystko, co jej w ręce wpadło. Obawialiśmy się, że rozegrały się tam straszliwe sceny, i chcieliśmy oszczędzić nieszczęśliwej kobiecie okropnego widoku. Ale gdy tylko usłyszała, że idziemy szukać jej syna, nie chciała pozostać. Wsiadła na konia i pojechała z nami.

Tak samo prędko jak przed chwilą lunął deszcz, teraz rozjaśniło się niebo. Chmury znikły, a słońce uśmiechało się, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło.

Ale droga, którą jechaliśmy, wyglądała strasznie. Pas ziemi, po którym szła trąba, miał przeszło sześćdziesiąt metrów szerokości, a na całej tej przestrzeni nie było ani źdźbła roślinności, jak gdyby ją ktoś ogolił. Trąba powyrywała jamy, w innych miejscach usypała kupy rumowisk, a po prawej i lewej stronie tej drogi zniszczenia leżały złomy skalne, kamienie, krzaki i mnóstwo innych rzeczy porzuconych przez rozpętany żywioł.

Jeszcze gorzej przedstawiał się stok góry. Z daleka już spostrzegliśmy spustoszenia. Zarośla, wydarte z ziemi, porwane w górę, zbite w nie rozplątane kłęby, porozrzucał orkan na wszystkie strony. Trąba szukała przez pewien czas przejścia i rozwścieczona tym, że go znaleźć nie mogła, zniszczyła wszystko. Obnażone skały podobne były do głębokich kamieniołomów. Jaworów, którymi tak się zachwycałem jadąc w tę stronę, nie mogłem teraz poznać. Pnie grubości człowieka leżały wyrwane z korzeniami, a konary orkan poskręcał jak liny. Największe drzewo, ogołocone ze wszystkich gałęzi, rozdarte głębokimi szramami przedstawiało opłakany widok.

Ale gdzie byli ludzie? Nagle zauważyłem nieco dalej okulbaczonego na sposób indiański deresza, który skubał łakomie liście z olbrzymiego, zmierzwionego kłębu zarośli. Był to wierzchowiec Małego Jelenia, a więc w pobliżu musiał się znajdować i jego pan.

Gdyśmy podjechali bliżej, przedstawił się naszym oczom taki widok: potężny jawor został wyrwany z korzeniami. Pod ich splątaną gęstwiną i masą leżącej na nich ziemi ziała szeroka i głęboka jama, podobna do jaskini. Siedzieli w niej jasnowłosy Józef i młody Apacz. Roześmieli się wesoło, gdy nas spostrzegli. Matka zeszła pospiesznie w głąb jamy i przycisnęła do serca syna, Apacz zaś podbiegł do nas i zapytał:

„Czy biali bracia wierzą mi teraz, że rozumiem znaki głodnego wichru?”

„Wierzymy ci — odpowiedziałem. — Ale jak zdołaliście się ocalić?!”

„Mały Jeleń ukrył swego konia w zaroślach, a potem wyprowadził go i dosiadł razem z niebieskookim chłopcem, aby uciec przed wiatrem. Kiedy wicher już się nasycił, Iszarshiutuha przyjechał tutaj i znalazł to, czego szukał razem z młodą bladą twarzą”.

„Czy działałeś w porozumieniu z Józefem?”

„Tak. On jest synem owego człowieka z workiem, którego tu zamordowano. Chodź i popatrz, gdzie Fajka Płonąca ukrył nugget!”

Zaprowadził nas na drugą stronę skłębionej gęstwiny korzeni i tam ujrzeliśmy w pobliżu pnia dwa worki ze skóry poszarzałej już i nadgniłej. Okazało się, że zawierają złoty piasek i grudki tego kruszcu. Józef wiedział już o wszystkim, ale jego matka nie mogła uwierzyć, że skarb istniał rzeczywiście i że teraz do niej należy. Naglony jej pytaniami, Indianin zaczął opowiadać:

„Ryczący Bizon był moim ojcem. Wyruszył raz z Fajką Płonącą w odwiedziny do wielkiego ojca bladych twarzy, aby mu przedłożyć życzenia Apaczów. Obaj wodzowie jechali ku wschodowi. Po drodze byli świadkami, jak trzej biali zabili czwartego, który wiózł z sobą worki pełne złota. Jeden z morderców nazywał się Złe Oko, drugi Kradnąca Ręka; trzeciego nie znali. Wodzowie ukarali morderstwo: położyli trupem Złe Oko i nieznajomego opryszka. Ale Kradnąca Ręka uciekł zabiwszy mego ojca. Fajka Płonąca zakopał złoto, wziął na konia zwłoki Ryczącego Bizona i puścił się w pogoń za Kradnącą Ręką; nie mógł go jednak doścignąć. Wobec tego pogrzebał mego ojca i pojechał sam do Waszyngtonu. Śmierć Ryczącego Bizona należało pomścić i ja musiałem to zrobić, jako jego syn. Ale w tym czasie byłem jeszcze małym dzieckiem i dopiero znacznie później wyruszyłem w drogę po skalp mordercy. Przy sposobności

mogłem zostać wojownikiem i otrzymać rurę ognistą. Kradnąca Ręka zamieszkał w chacie zamordowanego, poślubiwszy jego skwaw. W ten sposób chata stała się jego własnością. i mógł bez przeszkód szukać zakopanego skarbu”.

Usłyszawszy to nieszczęśliwa kobieta krzyknęła i zemdlała. Jej drugi mąż był mordercą pierwszego!

„Chcecie teraz zobaczyć Kradnącą Rękę? — zapytał Apacz. — Pójdźcie za mną!”

Józef został przy nieprzytomnej matce, a ja i Salters udaliśmy się z Indianinem pod wielki jawor. Rollins leżał tam na ziemi, przygnieciony konarem grubym na cztery stopy, który spadając zabił go na miejscu.

„Chciałem wziąć sobie jego skalp — rzekł Apacz — ale Wielki Duch już go osądził; zginął na tym samym miejscu, na którym dopuścił się mordu. Rozumiesz teraz, co opowiadało pismo, które ci dałem do przeczytania?”.

„W zupełności” — odpowiedziałem.

„Fajka Płonąca nie umie pisać; dokument sporządził słynny Inczu-czuna, któremu wojownik wszystko opowiedział. Ty jesteś bratem wielkiego wodza, ofiarowuję ci więc to pismo”.

Mały Jeleń wkrótce odjechał. Nie dał się zatrzymać, a kiedy kobieta chciała mu ofiarować część złota, rzekł dumnie:

„Zachowaj sobie ten piasek. Apacz wie, gdzie można znaleźć wiele złota, lecz nie powie tego nikomu, a sam nim gardzi. Wielki Duch nie na to stworzył człowieka, żeby był bogaty, lecz żeby był dobry. Oby ci teraz dał tyle szczęścia, ile doznałaś cierpienia”-.

Dosiadł konia i zniknął nam z oczu.

Nazajutrz przed południem opuściliśmy i my owe strony, zabierając z sobą Józefa i jego matkę. Stary koń Rollinsa

wiózł złoto, kasztan kobietę, a mój gniady chłopca, my zaś kroczyliśmy obok nich pieszo. Rozstaliśmy się w najbliższej osądzie, skąd matka i syn mieli ruszyć dalej na wschód.

Jeszcze podczas opowiadania o napadzie na pociąg i o traperskim stowarzyszeniu Fireguna z sąsiedniej izby wyszedł jakiś pan w meksykańskim stroju i usiadł przy najbliższym stole. Zacząłem mu się przypatrywać, oczywiście tak, żeby tego nie spostrzegł. Wprawdzie twarz jego była osmalona wichrami i deszczem i silnie ogorzała od słońca, jak gdyby przebywał stale na wolnym powietrzu, lecz mimo wszystko nie mógł uchodzić za prawdziwego westmana.

Skończywszy swe opowiadanie etnolog dorzucił jeszcze uwagę:

— Przyznacie teraz, że już przed Winnetou znajdowali się wśród Apaczów inteligentni i odważni ludzie. Czyż zachowanie się tego czerwonego chłopca nie zasługuje na pochwałę? Zarazem moja historia dowodzi, że są biali o wiele gorsi od najgorszych Indian. Wśród tych białych bywają nieraz osoby, które ze względu na swoje stanowisko i wykształcenie powinny każdemu służyć za wzór, a tymczasem przodują w podłości i nikczemności. Słyszałem niedawno opowiadanie o pewnym człowieku pochodzącym z hiszpańskiej hrabiowskiej rodziny, który połączył się z Komanczami, aby napaść na swoją własną hacjendę i wymordować jej mieszkańców. Gdyby nie wódz Apaczów, Serce Niedźwiedzie, i wódz Mizteków Czoło Bawole, wszyscy tamtejsi biali gryźliby ziemię.

— Znacie tę historię? — zapytano dokoła.

— Niedokładnie. Występuje w niej także słynny biały myśliwy, zwany, jeśli się nie mylę, Grot Piorunowy.

— A rolę łotra odegrał hrabia? Jak się ten drab nazywał?

— Wyleciało mi z głowy to nazwisko i nie mogę go sobie przypomnieć.

Wtem od stołu, przy którym usiadł nowo przybyły gość, padły słowa:

— Hrabia Alonzo de Rodriganda. Czy jego macie na myśli?

— Właśnie jego! A więc słyszeliście o tym wypadku?

— Nie tylko słyszałem, lecz znam dobrze hrabiego i wszystkie osoby, które w tym dramacie wzięły udział. Znam także hacjendę, o której mówiliście. Mieszkam stale w Meksyku, jestem prawnikiem i plenipotentem seniora Arbelleza, dzierżawcy hacjendy, na którego dokonano owego napadu. .

— W takim razie musicie znać doskonale tę ciekawą historię! A dlaczego opuściliście tamte strony?

— Jestem w Stanach z powodu pewnego procesu, sir.

— Well! Chciałbym bardzo, żeby obecni tu dżentelmeni usłyszeli ową historię. Opowiecie ją nam?

— Owszem, ale nie jest ona tak krótka jak wasza. Czy dżentelmeni mają czas?

— Czemuż by nie? U pani Thick każdy ma czas wypić tyle szklanek, ile chce, i zostać, jak długo mu się podoba. Siądźcie jednak przy naszym stole, żebyście nie musieli zbytnio natężać głosu.

— Zrobię to chętnie. Słyszałem wasze opowiadania, które bardzo mi się podobały, i spróbuję odwdzięczyć się wam za nie. Moja historia dowiedzie wam również, że istnieją białe łotry, którym żaden czerwony nie dorówna w podłości.

Prawnik zajął wskazane mu miejsce, zapalił papierosa i zaczął opowiadać:

— Rzeką Rio Grande płynęło pewnego razu lekkie kanu, zbudowane z długich kawałków kory, spojonych smołą, a w nim siedzieli dwaj ludzie, Indianin i biały. Pierwszy sterował, a drugi siedział na dziobie, zajęty robieniem naboi.

Sternik miał śmiałe, ostre rysy i przenikliwe oczy. Nosił skórzaną bluzę myśliwską, ozdobioną fantastycznymi frędzlami, legginy z włosami nieprzyjaciół na bocznych szwach i mokasyny o podwójnej podeszwie. Na jego obnażonej szyi wisiał sznur zębów szarego niedźwiedzia, a z włosów, zwiniętych w wysoki czub, sterczały trzy orle pióra, na znak, że jest wodzem. Obok niego, na dnie łodzi, leżała wygarbowana, miękka skóra bizona, a na niej długa dwururka z kolbą ozdobioną srebrnymi gwoździami; liczne nacięcia u nasady lufy wskazywały, ilu nieprzyjaciół zabił właściciel strzelby. Za pasem Indianina tkwił błyszczący tomahawk, obosieczny nóż skalpowy oraz worki z prochem i kulami. Do sznura z zębami niedźwiedzimi przytwierdzona była fajka pokoju. Z kieszeni bluzy wyzierały głownie dwu rewolwerów. Ta rzadka u Indian broń dowodziła, że jej właściciel wszedł w bliską styczność z cywilizacją.

Trzymając ster w prawej ręce, przypatrywał się towarzyszowi nie troszcząc się pozornie o nic więcej, lecz bystry obserwator byłby zauważył, że spod opuszczonych powiek padały na brzegi zamaskowane spojrzenia, właściwe myśliwcom przygotowanym na to, że życiu ich może w każdej chwili grozić niebezpieczeństwo.

Towarzysz jego był wysoki i smukły, ale nadzwyczaj silnie zbudowany; miał jasną brodę, która okalała jego piękną twarz. Ubrany był w skórzane spodnie, wsunięte w cholewy ciężkich butów, błękitną kamizelkę i taką sarną bluzę myśliwską. Szyję miał obnażoną, a na głowie kapelusz z szerokimi kresami używany zwykle na Dzikim Zachodzie.

Obaj byli w równym wieku, mogli mieć około dwudziestu ośmiu lat. Ostrogi przy ich butach świadczyły, że jechali konno, zanim zbudowali sobie kanu, aby popłynąć z biegiem Rio Grande.

Unoszeni szybko przez prąd, usłyszeli nagle rżenie konia. Zanim jeszcze przebrzmiało, leżeli już obydwaj na dnie łodzi tak, że z brzegu nie można ich było zobaczyć.

„Tkli, koń! — szepnął Indianin w języku Apaczów. — Zwietrzył nas. Kim może być jeździec?”

,,Ani Indianinem, ani doświadczonym białym myśliwcem — odpowiedział jego towarzysz. — Żaden z nich nie pozwoliłby koniowi rżeć tak głośno. Co zrobimy?”

„Skierujemy się ku brzegowi. Mój biały brat przypilnuje czółna, a ja zbadam okolicę!”

Pchnęli łódź ku brzegowi, Indianin wysiadł, a biały. czekał na niego z bronią gotową do strzału. Po kilku minutach czerwonoskóry powrócił z wiadomością, że w zaroślach śpi samotny człowiek, uzbrojony tylko w nóż.

Biały wyskoczył z łodzi, przywiązał ją, a potem wziął swoją rusznicę i poszedł za Indianinem. Niebawem dotarli do śpiącego, obok którego stał przywiązany koń, okulbaczony na sposób amerykański. Człowiek ten spał tak mocno, że nie usłyszał nadejścia obcych.

„Hola, chłopcze, zbudź no się!” — zawołał biały potrząsając go za ramię..

„Do stu piorunów! Czego tu chcecie?!” — zawołał tamten z trwogą.

„Nie obawiaj się nas. Jestem traperem, nazywam się Helmers, a mój towarzysz to Szosz-in-liet, wódz Apaczów Ikarilla”.

Szosz-in-liet? Serce Niedźwiedzie? — powtórzył obcy. — W takim razie nie boję się: ten wielki wojownik jest przyjacielem białych. Ja jestem wakerem, służę w majątku hrabiego de Rodriganda. Powiedzcie mi, jak mógłbym się dostać z powrotem na hacjendę. Ścigają mnie Komancze”.

„Gdzie ich spotkałeś?”

„Na północy, niedaleko Rio Pecos. Było nas piętnastu mężczyzn i dwie kobiety, ich zaś — sześćdziesięciu. Napadli na nas niespodziewanie, większą część naszych ludzi zabili,

a kobiety wzięli do niewoli. Nie wiem, kto jeszcze umknął oprócz mnie”.

„Skąd jechaliście i dokąd?”

„Pojechaliśmy do Forte del Guadalupe po panie, które były tam u krewnych. Napad nastąpił w powrotnej drodze”.

„O jakich paniach mówisz?

,,O senioricie Arbellez, córce dzierżawcy hacjendy, i Indiance, Karii, która jest siostrą Tekalty, wodza Mizteków”.

„To mój przyjaciel! — zawołał Niedźwiedzie Serce. — Wypaliliśmy fajkę pokoju. Siostra jego nie może zostać w niewoli. Czy moi biali bracia ruszą ze mną, by ją odbić?”

„Przecież nie macie koni!” — zauważył wakero.

Indianin rzucił mu pogardliwe spojrzenie i odpowiedział:

„Serce Niedźwiedzie ma zawsze konia, kiedy go potrzebuje. Za godzinę weźmie sobie wierzchowca od psów Komanczów. Zjawią się tutaj niebawem”.

„Jak to?”

„Jesteś wakerem i nie znasz zwyczajów Indian? Jakie zamiary mogą żywić względem tamtych kobiet? Czy wzięli je do niewoli dla okupu?”

„Nie, na pewno nie. Powloką je ze sobą, by z nich uczynić swoje skwaw, ponieważ obie są młode i piękne”.

„Jeśli więc Komancze nie chcą wydać obu dziewcząt, muszą się starać o to, aby nie wyśledzono miejsca ich pobytu, i ukryć swoje ślady. Nie pozwolą umknąć nikomu i wyruszyli z pewnością w pościg za tobą, byś nie sprowadził pomocy”.

„Przeklęta sprawa!”

,,Czy przypuszczałeś, że nie będą cię ścigali? Dlaczego położyłeś się spać?”

„Byłem bardzo znużony ucieczką”.

„Dziękuj Bogu, że nie jesteśmy Indianami! Byłbyś przebudził się w raju, bez skóry na głowie. Czy jesteś głodny?”

„Tak”.

Wakero ukrył konia w zaroślach i wszyscy wrócili do czółna, gdzie nakarmiono uciekiniera. Gdy się posilał, Helmers wyszedł na brzeg, by rozejrzeć się dokoła.

„Hola, nadchodzą! — zawołał. — Źle obliczyliśmy czas!”

W tej samej chwili Indianin stanął przy nim.

„Ani jeden z Komanczów nie powinien nam umknąć!” — powiedział.

„To się rozumie samo przez się — zapewnił Helmers, a zwróciwszy się do wakera, zapytał: — Masz tylko nóż?”

„Tak”.

„Wobec tego na nic nam się nie przydasz. Zostań w łodzi, a ja wezmę twojego konia”.

Wakero musiał się poddać temu zarządzeniu. Położył się na dnie łodzi, a Helmers i Serce Niedźwiedzie przyczaili się obok ukrytego w zaroślach konia.

Jeźdźcy, których Helmers zobaczył najpierw jako sześć ciemnych punktów, zbliżali się szybko. Wkrótce już można było rozpoznać ich broń i odzież.

„Tak, to psy Komancze!” — rzekł Apacz.

Wojownicy byli teraz w odległości pół kilometra, ale ciągle jeszcze jechali cwałem. Za chwilę mieli się znaleźć w zasięgu strzelb.

„A to głupcy! — roześmiał się Helmers. — Powinni przecież podejrzewać, że wakero ukrył się tutaj i czeka na nich. Sądzą może, że natychmiast przeprawił się przez rzekę”.

Apacz podniósł rusznicę, a Helmers uczynił to samo. Huknęły dwa strzały, a potem drugie dwa i czterech

Komanczów spadło z koni.

Po małej chwili Helmers wypadł z zarośli na koniu wakera. Pozostali dwaj Komancze stropili się bardzo. Zanim zdołali zawrócić, ujrzeli przed sobą białego. Podnieśli tomahawki do śmiertelnego ciosu, lecz on dobył rewolweru, wypalił dwa razy i obaj czerwonoskórzy runęli na ziemię.

Zwycięstwo odniesiono w niespełna dwie minuty, a konie poległych schwytano z łatwością.

Teraz nadszedł wakero, który przypatrywał się wszystkiemu z łodzi.

„Czy zdołasz odszukać miejsce, w którym na was napadnięto?” — zapytał go Indianin.

„Z pewnością”.

„To przyłącz się do nas! Weź broń jednego z poległych i jego konia. Twego puścimy wolno, bo zanadto jest zdrożony i przeszkadzałby nam tylko”.

Dosiedli trzech najlepszych koni i mały orszak ruszył w drogę.

Dążyli na północ w stronę Rio Pecos. Droga wiodła z początku przez otwartą prerię, potem wynurzyły się przed nimi góry, porosłe lasem. Jechali dolinami i parowami, a przed wieczorem wspięli się na wzgórze, skąd można było objąć okiem sporą przestrzeń.

„Ugh!” — zawołał Apacz jadący na przedzie.

Wyciągnął rękę i wskazał przed siebie.

W dolinie rozłożył się obozem oddział Indian. Helmers wziął do ręki małą lunetę i przyłożył ją do oka.

„Co mój biały brat widzi?” — zapytał Apacz.

„Czterdziestu dziewięciu Komanczów”.

„Pshaw!” — rzekł lekceważąco Indianin. .

„I sześciu pojmanych, czterech mężczyzn i dwie kobiety”.

„Uwolnimy ich!”

Słowa te powiedział wódz z takim spokojem, jak gdyby się samo przez się rozumiało, że bierze na siebie całą gromadę Komanczów.

„Dobrze — zgodził się Helmers. — Ale musimy najpierw zatrzeć nasze ślady”.

Gdy się z tym uporali, wyszukali na wzgórzu kryjówkę w najgęstszych zaroślach i umieścili tam konie.

Słońce zaszło, ale śmiałkowie nie ruszyli jeszcze do ataku. Dopiero przed samą północą Helmers i Apacz pochwycili strzelby i odeszli, wydawszy odpowiednie zlecenia wakerowi, który miał pilnować koni.

W dolinie płonęło tylko jedno ognisko, a dokoła niego siedzieli śpiący Komancze oraz związani jeńcy. Straży należało szukać na zewnątrz tego koła. Serce Niedźwiedzie poszedł więc w prawo, a biały w lewo. Zatoczywszy wielki łuk, Helmers zaczął zwężać go z wolna, dopóki nie zauważył ciemnej postaci kroczącej tam i z powrotem. Podpełzł do strażnika na odległość pięciu kroków, potem zerwał się nagle, podbiegł ku niemu, chwycił go lewą ręką za gardło, a potem wbił mu nóż w piersi. Strażnik padł, nie wydawszy głosu.

W ten sam sposób udało się Helmersowi po kwadransie unieszkodliwić drugiego strażnika, po czym zetknął się z Sercem Niedźwiedzim, który także zabił dwu Komanczów.

„Teraz do kobiet” — szepnął Indianin.

Poczołgali się przez wysoką trawę ku ognisku, gdzie rozpoznali łatwo kobiety po jasnych sukniach. Helmers dostał się do nich pierwszy i zbliżył usta do ucha jednej z nich. Dostrzegł w ciemności, że miała oczy otwarte.

„Nie lękaj się, pani, i zachowaj się cicho! — szepnął. — Dopiero gdy przyjaciółce pani także rozetnę więzy, pospieszy pani do koni”.

Zrozumiała go. Dziewczęta leżały obok siebie ze związanymi rękoma i nogami. Helmers przeciął rzemienie, które wżarły im się w ciało.

Apacz poczołgał się tymczasem do pojmanych mężczyzn. Nieszczęśliwcy nie spali. Niedźwiedzie Serce wziął do ręki nóż i uwolnił już dwu jeńców, gdy nagle zerwał się jeden z Indian, dosłyszawszy w półśnie jakiś szmer. Serce Niedźwiedzie pchnął go wprawdzie natychmiast nożem, ale Komancz zdołał jeszcze wydać ostrzegawczy okrzyk.

„Do koni!” — zawołał Apacz przecinając błyskawicznie pęta dwu pozostałych jeńców.

Zerwali się i popędzili tam, gdzie stały wierzchowce Komanczów.

,,Prędzej, na miłość Boga!” — wołał Helmers.

Pochwycił obie kobiety za ręce i ciągnął je do koni, ale one potykały się, osłabione więzami i strachem.

„Serce Niedźwiedzie! — krzyknął Helmers w najwyższej trwodze. — Prędzej do mnie!”

W następnej chwili wódz był przy nim. Pochwycił jedną z uwolnionych na ręce i pobiegł z nią do koni, a Helmers zrobił to samo z drugą. Wskoczyli na siodła, wciągnęli dziewczęta, przecięli lassa, którymi konie były przywiązane, i popędzili w ciemność.

Wszystko to odbyło się z szybkością błyskawicy. Ledwie ruszyli z miejsca, huknęły za nimi strzały Komanczów.

Indianie spali mocno, zerwali się jednak teraz i chwycili za broń. Poskoczyli do pozostałych koni i puścili się za uciekającymi w pogoń.

Helmers i Apacz znali drogę, toteż jechali z błyskawiczną szybkością. Na pobliskim wzgórzu czekał na nich wakero. Usłyszawszy, że towarzysze nadjeżdżają, wsiadł na konia, a dwa luźne wziął za cugle.

„Za nami!” — zawołał Helmers.

Zaczęła się dzika gonitwa wśród zupełnych ciemności. Uciekający pognali doliną, a za nimi Komancze, nabijając w pędzie strzelby i paląc przed siebie. Nie trafili jednak nikogo. Nareszcie wydostano się na wolną przestrzeń prerii, a wtedy można było pomyśleć o obronie.

,,Czy seniorita jeździ konno?” — zapytał Helmers swoją towarzyszkę.

„Tak”.

„Oto są cugle. Proszę jechać ciągle naprzód!”

Zeskoczył z konia i wsiadł na swego, prowadzonego dotąd przez wakera. Apacz uczynił to samo; utworzyli straż tylną i trzymali Indian w szachu swoimi doskonałymi strzelbami. Tak pędzili do świtu. Rano okazało się, że Komancze zostali daleko w tyle.

„Zwolnijmy biegu!” — rzekł wakero.

„Nie — odparł Helmers. — Zatrzymamy się dopiero wtedy, gdy rzeka odgrodzi nas od Komanczów”.

Teraz mógł się dokładniej przypatrzyć uwolnionym dziewczętom. Jedna była Hiszpanką, a druga Indianką, obie bardzo piękne.

„Czy seniorita wytrzyma jeszcze jakiś czas taką jazdę?” — zapytał.

„Jak długo pan zechce” — odrzekła. „Jak mam panią nazywać?”

„Nazywam się Emma Arbellez. A pan?”

„Helmers. Będziemy wkrótce musieli przeprawić się przez rzekę, seniorito”.

„Czy nam się to uda?”

„Spodziewam się. Na razie tylko trzej z nas są uzbrojeni. Ale nad Rio Grande, leży broń, odebrana wczoraj Komanczom”.

„Walczyliście już wczoraj?”

„Tak. Spotkaliśmy wakera i dowiedzieliśmy się od niego, co zaszło. Zabiliśmy jego prześladowców i postanowiliśmy was również oswobodzić”.

„Dwóch przeciwko takiej gromadzie?” — zdziwiła się panna.

Gdy zbiegowie dostali się nad Rio Grande, zostawili pogoń tak daleko za sobą, że im całkiem z oczu zginęła. Broń zastrzelonych Indian leżała jeszcze na miejscu, rozdzielono ją więc pomiędzy tych, którzy broni nie mieli. Z ocalonych mężczyzn trzej byli wakerami, a jeden majordomem, czyli przełożonym nad służbą domową na hacjendzie.

Postanowiono przeprawić się przez rzekę. Majordom popłynął z dziewczętami łódką, a reszta przedostała się przez wodę na koniach. Wszystko odbyło się szczęśliwie, a kiedy znaleźli się po drugiej stronie rzeki, zatopili kanu i poczynili przygotowania do obrony. Emma Arbellez trzymała się ciągle u boku Helmersa.

„Czemu nie jedziemy dalej ?” — zapytała.

„Komancze pomyślą, że po przeprawieniu się ruszyliśmy natychmiast dalej. Wejdą więc do wody, a gdy cały oddział znajdzie się w rzece, przerzedzimy ich szeregi tak, że zaniechają pogoni”.

„A jeśli będą ostrożni i wyślą ludzi na zwiady?”

„Hm, istotnie mogą to zrobić!”

„Co pan wobec tego zarządzi?”

„Pojedziemy dalej i zawrócimy tu łukiem. Naprzód więc, zanim się zjawią!”

Dosiedli znowu koni i podążyli wyciągniętym cwałem w głąb równiny. Potem, zatoczywszy łuk, wrócili na brzeg nieco powyżej miejsca przeprawy. Zaledwie się to stało, po drugiej stronie dał się słyszeć tętent kopyt końskich.

Dziewczyna miała słuszność. Komancze zbadali ślady, a potem dwu zwiadowców wjechało ostrożnie w wodę. Przybywszy na drugą stronę znaleźli trop wiodący dalej na równinę.

„Możecie przejść!” — zawołali do towarzyszy.

Wszyscy Indianie wparli konie w wodę, jadąc jeden za drugim. Rzeka była w tym miejscu tak szeroka, że pierwszy nie dotarł jeszcze do brzegu, kiedy ostatni znalazł się w wodzie. Zbiegowie siedzieli ukryci w krzakach. Nadeszła stanowcza chwila.

Osiem dobrze wymierzonych strzałów huknęło jednocześnie i ośmiu Komanczów zniknęło w wodzie. Helmers i Apacz mieli dwururki, wypalili więc powtórnie i zatopili jeszcze dwu.

„Nabijać czym prędzej!” — zawołał Helmers.

Komancze zawrócili szybko ku przeciwległemu brzegowi. Wielu zsunęło się ostrożnie z koni i płynęło obok nich. Dwaj zwiadowcy, którzy byli już na brzegu, rzucili się cwałem do lasu. Ale Helmers wydobył natychmiast rewolwer i wypalił dwa razy; czerwonoskórzy spadli z koni bez życia.

„Hola, mamy jeszcze dwie nabite strzelby!” — zawołał Helmers.

„Dajcie nam je!” — poprosiła Emma Arbellez.

„Umie pani strzelać?”

„Umiemy obie”.

„W takim razie — baczność!”

Poskoczył do miejsca, gdzie zostawił swoją dwururkę, dziewczęta zaś pochwyciły strzelby Komanczów. Odbyło się to tak szybko, że od pierwszej salwy upłynęła zaledwie minuta. Tymczasem nabito znowu strzelby.

„Ognia!” — zabrzmiała komenda.

Nieprzyjaciele nie dosięgli jeszcze drugiego brzegu, kiedy padła nowa salwa z pojedynek i dwururek. Liczba zabitych wynosiła teraz ponad dwudziestu. Reszta Komanczów zaszyła się w gęstwinie po drugiej stronie rzeki, nie mając odwagi wychylić stamtąd nosa.

„Teraz zostawimy ich w spokoju! — rozkazał Helmers. — Nie będą nas już dalej ścigać. Dziękuję, seniority, za pomoc! Nigdy bym nie przypuścił, że panie strzelają jak westmani".

„W. naszych stronach musi się nabrać w tym wprawy — rzekła Emma. — Czy sądzi pan, że Komancze nie będą nas już napastowali?"

„Spodziewam się tego!"

„W takim razie ruszajmy w dalszą drogę. W tym miejscu tyle krwi popłynęło, że dreszcz mnie przechodzi, choć sama także chwyciłam za broń".

Po krótkim odpoczynku dosiedli znowu koni i podążyli w głąb prerii. Często i uważnie badali widnokrąg poza sobą, ale nie zauważyli już ani śladu pogoni. Po kilku godzinach takiej jazdy zwolnili nieco jej tempa, można więc było pomyśleć o rozmowie.

Serce Niedźwiedzie jechał, tak jak i przedtem, obok Indianki, a Helmers obok Emmy.

„Cały dzień prawie jesteśmy razem, a nie poznaliśmy się jeszcze wzajemnie — odezwał się do swej towarzyszki. — Proszę nie uważać tego za brak uprzejmości z mojej strony, lecz przypisać to nadzwyczajnym okolicznościom!"

„Już wiem, że chętnie naraża pan życie dla drugich, że jest pan odważnym i doświadczonym myśliwcem, a pan wie o mnie, że... ja także umiem strzelać".

„Zapewne, ale te wiadomości nie są dostateczne. Pozwolę sobie uzupełnić je. Nazywam się Antoni Helmers. Było nas u rodziców dwóch braci. Obaj pragnęliśmy się kształcić. Ponieważ jednak nie starczyło środków, a ojciec

umarł, mój brat, starszy ode mnie, udał się na morze, ja zaś do Ameryki, gdzie po długiej tułaczce osiedliłem się na Zachodzie jako myśliwiec”.

„Ale jak się pan dostał tak daleko, aż nad Rio Grandę?”

„Hm, to jest sprawa, o której nie powinienem mówić!”

„Tajemnica?”

„Może tajemnica, a może tylko wielkie dzieciństwo”.

„Zaciekawia mnie pan”.

„Skoro tak, to nie będę przed panią ukrywał — rzekł Helmers śmiejąc się. — Idzie tu ni mniej, ni więcej, tylko o zdobycie olbrzymiego skarbu”

„Jakiego skarbu?”

„Prawdziwego, składającego się z drogich kamieni i szlachetnych kruszców”.

„Gdzie jest ten skarb?”

„Tego jeszcze sam nie wiem”.

„A gdzie się pan dowiedział o jego istnieniu?”

„Daleko stąd, na Północy. Wyświadczyłem pewnemu staremu choremu Indianinowi wielką przysługę, a on, umierając, powierzył mi z wdzięczności tajemnicę skarbu”.

„Ale nie wyjawił panu najważniejszej rzeczy, a mianowicie, gdzie się skarb znajduje”.

„Powiedział, żebym go szukał w Meksyku, i dał mi mapę z planem sytuacyjnym”. . „Jakie okolice przedstawia ta mapa?”

„Tego nie wiem. Nakreślone są na niej pasma wzgórz, doliny i rzeki, ale nie ma tam ani jednej nazwy”.

„To szczególne! Czy Szosz-in-liet, wódz Apaczów, wie także o tym?”-

„Nie”.

„A przecież jest pańskim przyjacielem! Dlaczego mnie powierza pan tę tajemnicę, choć poznaliśmy się dopiero dzisiaj?”

Helmers spojrzał jej w twarz swoimi uczciwymi oczyma i odpowiedział:

„Są ludzie, o których wiem od razu, że nie należy przed nimi nic ukrywać”.

„I mnie zalicza pan do tych osób?”

„Tak”.

Podała mu rękę i rzekła:

„Pan się nie myli. Dowiodę panu tego, odwdzięczając się taką samą szczerością. Powiem panu coś, co może mieć związek z pańską tajemnicą. Znam człowieka, który także poszukuje skarbu”.

„Któż to jest?”

„Młody właściciel hacjendy, hrabia Alonzo de Rodriganda”.

„Cóż on wie o tym skarbie?”

„O, my wszyscy wiemy, że dawni panowie tego kraju ukryli swoje skarby, kiedy Hiszpanie zdobyli Meksyk. Oprócz tego są miejsca, zwane bonanzami, w których można znaleźć całe masy złota i srebra. Indianie znają te miejsca, lecz wolą raczej zginąć niż wskazać je białym”.

„A hrabiemu Alonzowi także nikt tych miejsc nie wskazał?”

„Nie. Ale mieszkamy w hacjendzie del Erina, a legenda powiada, że w pobliżu tej osady znajduje się jaskinia, w której władcy Mizteków ukryli swoje skarby. Szukano tej pieczary bardzo gorliwie, hrabia Alonzo także nie żałował trudu, ale poszukiwania nie doprowadziły do pomyślnego wyniku”.

„Gdzie leży hacjenda del Erina?”

„O przeszło dzień drogi stąd, na stoku góry. Zobaczy ją pan, gdyż spodziewam się, że nas pan tam odprowadzi i zabawi u nas w gościnie”.

„Właściwie bezpieczeństwo pani będzie wymagało, abym ją natychmiast opuścił. Zabiliśmy sporą liczbę Komanczów. Nie ulega wątpliwości, że kilku pozostałych przy życiu pójdzie za nami, aby zobaczyć, gdzie będzie można nas dopaść. Jeśli się tych szpiegów nie sprzątnie, Komancze napadną na nas znowu, aby się zemścić. Dlatego spod hacjendy pojadę z Sercem Niedźwiedzim, żeby się rozprawić ze zwiadowcami. Ale wróćmy do poprzedniego tematu, to jest do królewskiego skarbu! Czy doprawdy nikt nie wie, gdzie się ta grota znajduje?”

„Przynajmniej nikt z białych”.

„A z Indian?”

„Jeden tylko Indianin zna na pewno tajemnicę — Tekalto, potomek dawnych władców Mizteków. Otrzymał ją w spuściźnie po przodkach. Karia, jadąca tam obok wodza Apaczów, jest jego siostrą. Być może brat powierzył jej także tę tajemnicę”.

Helmers popatrzył na Indiankę z zajęciem.

„Czy ona umie milczeć?”.— zapytał.

„Przypuszczam — odrzekła Emma i dodała z uśmiechem: — Co prawda, ludzie powiadają, że kobiety milczą tylko do pewnej granicy”.

„A tą granicą jest?”

„Miłość”.

„Ach! Być może, iż pani ma słuszność! Wolno spytać, czy Karia doszła już do tej granicy?”

„Uważam to za możliwe”.

„Któż jest tym szczęśliwym? Czyżby hrabia Alonzo chciał wykryć tajemnicę skarbu za pomocą miłości?”

„Zgadł pan”.

„Czy pani sądzi, że jego starania odniosą skutek?”

„Ona go kocha”.

„A co mówi o tej miłości jej brat, potomek Mizteków?”

„Prawdopodobnie nic o tym nie wie. To najsłynniejszy łowca bizonów, a w hacjendzie pokazuje się rzadko. Myśliwi nazywają go Mokaszi-motak”.

„Mokaszi-motak, Czoło Bawole! — powtórzył Helmers zdziwiony. — Ależ ja go znam! A więc Karia jest siostrą tego sławnego męża? Muszę wobec tego patrzeć na nią zupełnie innym okiem”.

„Czy zamierza pan także spróbować, jak na nią pańska uprzejmość podziała?”

Helmers roześmiał się i odpowiedział:

„Bałbym się rywalizować z hrabią de Rodriganda! Gdybym wiedział, że moja osoba może się w ogóle komuś podobać, to spróbowałbym szczęścia zupełnie gdzie indziej”.

„Któż byłby tą inną?”

„Pani, seniorito!” — odparł szczerze młodzieniec.

Emma uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę, którą ujął skwapliwie. Wydało się obojgu, że znają się od dawna i rozumieją się wzajemnie.

Za nimi jechał Serce Niedźwiedzie u boku Indianki. Milczący z natury wódz nie lubił szafować słowami. Karia nie dziwiła się temu i zlękła się nieomal, kiedy ją nagle zapytał:

„Czy moja młoda siostra jest już skwaw, czy jeszcze dziewczyną?”

„Nie mam męża”.

„Czy serce jej należy jeszcze do niej?”

Ciemna twarz dziewczyny oblała się rumieńcem.

„Już nie”.— odpowiedziała stanowczo.

Uważała, że lepiej nie ukrywać prawdy, Spiżowe oblicze wodza nie drgnęło.

„Czy mąż z jej narodu posiadł jej serce?” — pytał dalej.

„Nie”.

„Biały?”

„Tak”.

„Serce Niedźwiedzie boleje nad młodą siostrą. Niech go siostra zawiadomi, jeśli ją biały oszuka”.

„On mnie nie oszuka!” — odparła dumnie.

Leciutki uśmiech przebiegł po twarzy Indianina. Potrząsnął głową i rzekł:

„Biała barwa jest fałszywa i łatwo się brudzi. Niech moja siostra będzie ostrożna!”

. W ciągu jazdy dowiedział się Helmers, że obie dziewczyny pojechały nad Rio Pecos, by pielęgnować ciotkę Emmy, złożoną ciężką chorobą. Pedro Arbellez, dawny rządca starego hrabiego, był obecnie dzierżawcą hacjendy del Erina. Gdy ciotka, pomimo starań obu dziewcząt, zmarła po pewnym czasie, Arbellez wysłał majordoma z wakerami, aby sprowadzili dziewczęta do domu. W drodze powrotnej napadli na nie Komancze. Byłyby zgubione, gdyby nie pomoc Helmersa i wodza Apaczów.

Droga prowadziła dalej ku południowi. Dzień kończył się, do wieczora brakowało jeszcze z godzinę, gdy nagle Apacz, zatrzymując konia na skraju rozległej równiny, wskazał poza siebie.

Mniej więcej o dwie mile angielskie za nimi cwałowało stado koni z rozwianymi grzywami. Nie było widać ani jednego jeźdźca, ani siodła, ani strzemienia, ani cugli lub najcieńszego sznurka.

„To mustangi!” — rzekł majordom.

„Uff!” — zawołał Apacz z pogardą.

„To nie są dzikie konie — powiedział Helmers do Emmy. — To ścigający nas Komancze. Przewiązali rzemieniami brzuchy i szyje końskie i wiszą na nich uczepieni lewą ręką i prawą nogą. Czy nie widzi pani, że konie zwrócone są do nas tylko prawym bokiem, chociaż jadą prosto za nami? Jeźdźcy każą im cwałować w skośnej pozycji, co jest niezbitym dowodem, że za każdym koniem kryje się Indianin”.

„Święta Madonno! Znowu nas zaatakują?”

„Albo oni nas, albo my ich. Ja wolę to drugie, a Apacz jest tego samego zdania. Widzi pani, jak się rozgląda na wszystkie strony? Szuka kryjówki, z której moglibyśmy godnie przyjąć Komanczów. Pozostawmy mu wszystko. To najtęższy i najdzielniejszy czerwonoskóry, jakiego znam”.

Uciekinierzy jechali ciągle cwałem. Otwarta preria skończyła się tymczasem i ustąpiła miejsca wzgórzom i skałom, nadającym się doskonale na kryjówkę. Apacz skręcił nagle w prawo, zataczając wielki łuk. W dziesięć minut dostali się do miejsca, które niedawno minęli.

Oddział zatrzymał się w kotlinie osłoniętej z trzech stron i opadającej stromo w parów, przez który musieli przejechać Komancze.

Apacz zsiadł z konia i przywiązał go do kołka; wszyscy uczynili to samo.

„Teraz strzelby do ręki! — rozkazał Helmers. — Niedługo będziemy czekać!”

Udali się na krawędź parowu i położyli w zaroślach.

„Przepuścimy zwiadowców — rozkazał Apacz — i zaczekamy na resztę. Ale nie będziemy strzelali na chybił trafił. Pierwszy z nas strzela do pierwszego Komancza, drugi do drugiego i tak dalej. Zrozumiano?”

Wakerzy skinęli potwierdzająco głowami. Nastąpiła chwila oczekiwania.

Wreszcie dał się słyszeć ostrożny tętent dwu koni. Zwiadowcy jechali z wolna wśród skał. Bystre ich oczy przeszukiwały okolicę, ale dali się zwieść tropowi białych, który wiódł dalej. Przejechali i zniknęli za zakrętem.

W kilka minut potem dał się słyszeć nowy tętent.

W wielkiej liczbie, bez obawy, nadjeżdżali Komancze, wiedząc, że zwiadowcy idą przed nimi. Kiedy ostatni pojawił się w parowie, Apacz wysunął swoją strzelbę.

„Ognia!” — zakomenderował Helmers.

Huknęły wszystkie strzelby, a Helmersa i Apacza po dwakroć i tyluż nieprzyjaciół runęło z koni. Reszta zatrzymała się na chwilę. Nie wiedzieli, czy uciekać, czy uderzyć na ukrytego wroga. Rozejrzeli się dokoła i spostrzegli wreszcie dym unoszący się nad parowem.

„Tam są, tam!” — zawołał jeden z czerwonoskórych wskazując w gorę.

Ale biali zdążyli tymczasem powtórnie nabić strzelby. Znowu huknęły strzały i podwoiła się liczba poległych. Kilku pozostałych nie mogło myśleć o oporze. Zawrócili i uciekli cwałem.

„No, teraz będziemy już bezpieczni po wszystkie czasy” — rzekła Emma.

„Pani się myli — odparł Helmers. — Komancze sprowadzą odpowiednią liczbę wojowników, ażeby napaść na hacjendę”.

„O, hacjenda jest mocna! To mała forteca”.

„Znam ten rodzaj warownych dworów. Zbudowane są z kamienia i otoczone zwykle palisadą. Ale co to pomoże wobec nieprzyjaciela przychodzącego niespodziewanie?”

„Będziemy czuwali, a pan razem z nami. Spodziewam się, że pan jakiś czas u nas zabawi”.

„Zobaczę, co powie Serce Niedźwiedzie. Nie mogę z nim się rozstać”.

„Prosimy go takie”.

„To człowiek nawykły do swobody. Nie wytrzyma długo w budynku”.

Jechali żwawo dalej, dopóki nie dotarli do dość szerokiej, wijącej się łukiem rzeczki. Apacz objął badawczym spojrzeniem okolicę i skinął głową.

„Tu będzie dobrze — rzekł. — Z trzech stron chroni nas rzeka, a z czwartej możemy postawić straże. Zsiądźmy więc z koni!”

Wszyscy zeskoczyli z siodeł i urządzili sobie wygodne legowiska z gałęzi i liści.

Noc przeszła bez wypadku. Z nowymi siłami wyruszyli nasi podróżni w dalszą drogę i po południu dotarli do celu.

Słowo „hacjenda” oznacza posiadłość ziemską, ale niektóre takie majątki w Ameryce dorównują często obszarem niejednemu europejskiemu księstewku.

Hacjenda del Erina była także iście książęcą posiadłością. Potężny dom mieszkalny, zbudowany z ciosowego kamienia, otoczony był palisadą chroniącą go od zbójeckich napadów. Wnętrze domu, podobnego do zamku, było pięknie urządzone i tak przestronne, że mogło pomieścić setki gości.

Dom otaczał duży ogród, w którym bujna roślinność podzwrotnikowa wabiła oko przepysznymi barwami i roztaczała najwspanialsze wonie. Do ogrodu przytykała z jednej strony gęsta puszcza, a z drugiej rozległe pastwiska, po których krążyły stada bydła, liczące po kilka tysięcy sztuk.

Kiedy mały oddziałek mijał pastwisko, kilku wakerów nadjechało, by powitać przybyłych. Radość ich zamieniła się jednak w wybuch gniewu, gdy się dowiedzieli, ilu ich

towarzyszy padło z ręki Komanczów. Prosili, żeby się natychmiast mogli wyprawić przeciwko czerwonoskórym.

Gdy podróżni przybyli do hacjendy, stary Pedro Arbellez stał już w bramie.

„Witam cię, moje dziecko! — zawołał zsadzając córkę z siodła. — Musiałaś dużo wycierpieć w tej niebezpiecznej podróży, bo masz innego konia i wyglądasz bardzo mizernie”.

Emma uścisnęła ojca i odpowiedziała:

„Tak, ojcze, byłam w niebezpieczeństwie, większym od niebezpieczeństwa śmierci. Komancze wzięli nas do niewoli”.

Ujęła Helmersa i Apacza za ręce i poprowadziła ich przed ojca.

„To są nasi zbawcy: senior Antonio Helmers i Szos--in-liet, wódz Apaczów. Gdyby nie oni, Komancze zawlekliby nas do swoich wigwamów, a naszych ludzi zamordowaliby pod palem męczarni”.

Staremu dzierżawcy zimny pot wystąpił na czoło.

„Na Boga, co za okropne nieszczęście was ominęło! Witam was, witam, seniores, z całego serca was witam! Musicie mi wszystko opowiedzieć, a ja obmyślę, w jaki sposób wam się odwdzięczyć. Wejdźcie do domu i bądźcie jego panami!” :

Goście minęli bramę w palisadzie, oddali konie służącym i weszli do domu. Majordom pozostał z kilku wakerami w przedsionku, a hacjendero wprowadził obu gości razem z paniami do salonu, gdzie Emma opowiedziała pokrótce całą przygodę.

„O Boże! — wykrzyknął hacjendero. — Ile też musiałyście wycierpieć, moje dziewczęta! Co powie hrabia, co Tekalto, gdy to usłyszą!”

„Tekalto? — zapytała Indianka z radością. — Czy mój brat, Czoło Bawole, jest tutaj?”

„Przybył wczoraj”.

„I hrabia także?” — spytała Emma.

„Przyjechał jeszcze przed tygodniem. Otóż i on!”

Otwarły się drzwi przyległej jadalni i wyszedł z nich hrabia Alonzo. Miał na sobie szlafrok z czerwonego jedwabiu wyszywany złotem, niebieskie aksamitne pantofle i turecki fez na głowie. Roztaczał wokół siebie mocny zapach perfum. Otwarte drzwi pozwalały zajrzeć do jadalni. Urządzenie jej było zbytkowne, a serwetka, którą hrabia trzymał w ręce, świadczyła, że spożywano właśnie posiłek.

„Ktoś wymienił moje nazwisko — rzekł hrabia. — Ach, to piękne panie! Seniority powróciły szczęśliwie?”

Na jego widok Indianka oblała się rumieńcem, co nie uszło bystremu oku Apacza. Emma odpowiedziała chłodno, chociaż uprzejmie:

„Jak pan widzi, panie hrabio! Mało jednak brakowało, byśmy wcale nie powróciły. Komancze wzięli nas do niewoli”.

„Do stu piorunów! — zawołał hrabia. — Każę ich za to ukarać!”

„To nie tak łatwo! — odparła Emma szyderczo. — Zresztą wyszłyśmy cało. Oto nasi wybawcy!”

„Aha! — bąknął hrabia, odstąpił o kilka kroków, włożył na nos binokle i przyjrzał się obu młodzieńcom. — A więc traper i Apacz. Chadzają zwykle razem. Kiedy odjadą ci panowie? Chyba zaraz?”

„Są moimi gośćmi i zostaną tu, dopóki im się spodoba — rzekł hacjendero. — Ocalili życie mojego dziecka i są przeze mnie bardzo miłe widziani”.

„Aha! Pan mi się opiera? — spytał hrabia. — Czyż nie jestem tu panem?”

„Panem jest tutaj pański ojciec, hrabia Fernando. Jego syn jest tylko gościem. Zresztą nawet hrabia Fernando nie miałby w tej sprawie głosu. Jestem dzierżawcą dożywotnim. Nie pozwolę sobie rozkazywać, kogo mam przyjąć, a kogo nie!”

Otworzył szerzej drzwi do jadalni i kłaniając się uprzejmie, poprosił nowo przybyłych, aby weszli. Hrabia, drżąc z bezsilnego gniewu, udał się do swoich pokoi.

Wszyscy zasiedli do wspaniałej uczty. Złożyły się na nią wszelkiego- rodzaju jarzyny i mięsiwa, kawony, których sok perlił się różowymi kroplami na srebrnych talerzach, granaty, orzechy kokosowe, pomarańcze i słodkie cytryny. Podczas jedzenia opowiedziano hacjenderowi obszernie całą przygodę. Następnie goście udali się do przeznaczonych dla nich pokoi, aby wypocząć po podróży.

Przyjaciele mieszkali obok siebie. Helmers nie mógł jednak wytrzymać długo w ciasnej izbie i poszedł na pastwisko, aby się” przypatrzyć wspaniałym rumakom hodowanym przez Arbelleza.

Kiedy mijał róg palisady, natknął się nagle na tęgiego i wysokiego mężczyznę, odzianego w skóry bizona.

Na głowie nieznajomy miał skórę zdartą z czaszki niedźwiedzia, zza szerokiego pasa wystawały rękojeście noży, od prawego ramienia do lewego biodra owijało go lasso, o palisadę zaś stała oparta rusznica, jedna z tych, które przed stu laty wyrabiano w Kentucky, tak ciężka, że nie każdy mógłby nią władać.

„Ktoś ty?” — zapytał Helmers ze zdumieniem.

„Jestem Czoło Bawole” — odrzekł zapytany. „Tekalto?”

„Tak. Czy znasz mnie?”

„Nie widziałem cię jeszcze nigdy, ale wiele, bardzo wiele o tobie słyszałem”,

„A kim ty jesteś?”

„Nazywam się Helmers, pochodzę z Europy”.

Poważna twarz Indianina rozjaśniła się. Miał najwyżej dwadzieścia pięć lat i mógł uchodzić za pięknego przedstawiciela swej rasy.

„Ty więc jesteś myśliwcem, który ocalił moją siostrę Karię?”

„Przypadek to zdarzył”.

„To nie był przypadek. Wziąłeś konie od Komanczów i pojechałeś za nimi. Czoło Bawole winien ci wielką wdzięczność. Wiem, że jesteś myśliwcem, którego Apacze i Komancze nazywają Itintika, Grot Piorunowy”.

„Po czym mnie poznałeś?”

„Po twym policzku. Grot Piorunowy ma na policzku bliznę od ciosu noża; wiedzą o tym wszyscy, którzy o nim słyszeli. Takie znaki łatwo zapamiętać. Czy zgadłem?”

Helmers skinął głową i odpowiedział:

„Masz słuszność. Nazywają mnie istotnie Grotem Piorunowym, Itintiką”.

„W takim razie dziękuję Wielkiemu Duchowi, że pozwolił mi z tobą mówić. Jesteś mężem walecznym, podaj mi więc rękę i bądź mi bratem”.

Uścisnęli sobie dłonie, a Helmers rzekł:

„Dopóki oczy nasze będą się nawzajem widziały, niech będzie przyjaźń między mną i tobą”.

Indianin zaś dodał:

„Niech ręka moja będzie twoją ręką, a moja noga twoją nogą. Biada wrogowi twemu, bo jest także moim, biada memu nieprzyjacielowi, bo jest również twoim. Ja jestem tobą, a ty mną. Jesteśmy jedno!”

Czoło Bawole nie był podobny do swych północnych pobratymców. Był rozmowny, przystępny, chętnie się zwierzał, ale mimo to był nie mniej groźny dla wrogów niż

owi milczący Indianie, którzy poczytują za hańbę okazywanie swoich uczuć.

„Mieszkasz na hacjendzie?” — zapytał Helmers.

„Nie — odpowiedział Indianin. — Jak można przebywać w powietrzu uwięzionym między murami? Sypiam tutaj”.

Wskazał murawę, na której stał.

„W takim razie masz lepsze łoże niż my wszyscy. Ja także nie mogłem w izbie wytrzymać”.

„I twój przyjaciel, Serce Niedźwiedzie, wyszedł na pastwisko. Mówiłem z nim już i podziękowałem mu. Zawarliśmy braterstwo, tak jak z tobą. Teraz siedzi z wakerami, którzy opowiadają towarzyszom o napadzie Komanczów”.

„Chodźmy do nich!”

Indianin wziął ciężką strzelbę, zarzucił ją na ramię i poprowadził Helmersa.

Daleko na łące, między półdzikimi pasącymi się końmi siedzieli na ziemi wakerzy opowiadając o przygodzie swojej młodej pani. Serce Niedźwiedzie przysłuchiwał się w milczeniu. Nie dorzucił ani słowa, chociaż mógł wszystko przedstawić lepiej i zgodniej z prawdą. Kiedy nadeszli Czoło Bawole i Helmers, wakerzy nie zamilkli, chociaż pojawił się drugi bohater niedawnych wydarzeń. Potoczyła się jedna z owych porywających opowieści, jakie nieraz się słyszy na Dzikim Zachodzie.

Przerwało ją dopiero pojawienie się seniora Arbelleza, który nadjechał z córką i Karią. Był to jego zwykły objazd inspekcyjny, jaki zawsze odbywał przed nocą. Zabrał ze sobą obydwu przyjaciół i wrócili do domu.

Kiedy Karia, udając się. do swego pokoju, przechodziła obok drzwi hrabiego, ukazał się w nich Alonzo.

„Kario — szepnął — czy mogę dziś z tobą pomówić?”

„Gdzie?” — spytała Indianka.”

„Pod oliwkami, nad potokiem. Przyjdź na dwie godziny przed północą”.

„Przyjdę!”

Gdy zapadł wieczór, całe towarzystwo zgromadziło się znowu w jadalni. W uczcie wzięli udział obydwaj wodzowie indiańscy, ale hrabia nie zjawił się i tym razem przy stole.

Był to nadzwyczaj lekkomyślny i rozrzutny młody szlachcic. Pomimo że miał zapewnioną wysoką rentę roczną, narobił mnóstwo długów, do których nie miał odwagi przyznać się ojcu. Wierzyciele cisnęli go i dręczyli. Młody hrabia dowiedział się wtedy, że Karia zna tajemnicę królewskiego skarbu, którego tysięczna część wystarczyłaby na zaspokojenie wierzycieli. Zaczął nadskakiwać młodej Indiance i przyrzekł nawet uczynić ją hrabiną de Rodriganda. Pomimo naiwności dziewczyny nie doprowadził jeszcze do tego, by mu zdradziła tajemnicę. Teraz, przyciśnięty przez wierzycieli, przybył ze stolicy. Meksyku do hacjendy z mocnym postanowieniem przeprowadzenia z Karią ostatecznej rozmowy.

Pod oliwkami nad potokiem zastał już Indiankę. Gniewała się na niego, że zachował się impertynencko względem jej wybawców, lecz udało mu się niebawem ułagodzić dziewczynę. Potem zaczął zmierzać wprost do celu. Przyrzekł jej wyrobić szlachectwo i pojąć za żonę. Twierdził, że szlachectwo jest do tego konieczne, jakkolwiek uważa ją za potomka rodziny królewskiej. Ostrzegł ją jednak, że do uzyskania szlachectwa potrzeba bardzo dużo pieniędzy, a on nie mógł ich dostać od swego ojca — na to potrzebny mu był skarb królewski. Nie powinna więc ociągać się dłużej z powierzeniem mu tajemnicy.

Takimi argumentami zwyciężył młody hrabia Indiankę; przyrzekła mu powiedzieć, gdzie ukryty jest skarb, postawiła jednak warunki: nie wolno mu zdradzić jej przed bratem i

musi jej dać dokument stwierdzający, że pojmie ją za żonę. Młody szlachcic przystał na wszystko.

Jakże się radował zwycięstwem! Przecież sprowadził już nawet ludzi, którzy mieli przewieźć skarby do miasta! O dokument się nie troszczył. O wiele niżej od niego stojąca, otoczona pogardą Indianka, nawet z takim pismem była bezsilna wobec prawa. Byle tylko jak najrychlej posiąść skarby!

Kiedy ci dwoje rozmawiali pod oliwkami, Helmers odprowadził wodza Tekalto do jego łoża na trawie, a pożegnawszy się z nim, nie poszedł od razu do domu, lecz usiadł w ogrodzie na brzegu basenu, z którego fontanna wyrzucała w górę strumień wody.

Po chwili na ścieżce ukazała się postać kobieca, idąca ku fontannie. Była to Emma. Usiadła obok Helmersa na krawędzi basenu.

Tymczasem do wodza Mizteków, który położył się tuż obok palisady ogrodowej, doleciał odgłos cichych kroków, a potem przytłumione głosy. Wiedział o tym, że hrabia stara się jak najczęściej spotykać z jego siostrą. Zbudziło się w nim podejrzenie. Ani Alonza, ani Karii nie widział w hacjendzie już od godziny. Czyżby umówili się na schadzkę w ogrodzie? Postanowił to sprawdzić.

Wstał i jak kot przeskoczył przez palisadę do ogrodu. Tam położył się na ziemi i popełzł tak cicho, że nawet wprawne ucho Helmersa nic nie dosłyszało. Dotarł niepostrzeżenie do basenu i z ukrycia mógł śledzić rozmowę.

„Dowiedziałam się od Tekalty, że to pan jest Grotem Piorunowym — mówiła Emma. — Dlaczego ukrywał to pan przede mną? Przecież powierzył mi pan daleko ważniejszą tajemnicę”.

„Czasem trzeba być ostrożnym — odpowiedział ze śmiechem Helmers. — Dzięki temu, że uważano mnie za

zwykłego nie wyćwiczonego myśliwca, odnosiłem często wiele korzyści. A co do tajemnicy skarbu, to prawdopodobnie nie będzie ona miała dla mnie żądnej wartości. Nie odkryję, zdaje się, jaskini królewskiej, chociaż, być może, znajduję się w jej pobliżu”.

„Z czego pan to wnosi?”

„Z ukształtowania gór i biegu rzek. Okolice hacjendy zgadzają się całkowicie z moją mapą”.

„W takim razie ma pan już pewną podstawę i może pan szukać dalej”.

„Wielkie pytanie, czy to uczynię. Wątpię, czy mam do tego prawo”.

„Miałby pan przecież prawo znalazcy. Nie przeceniam bynajmniej wartości złotą, wiem jednak, że posiadanie go daje wiele rzeczy, których tysiące ludzi prag-” nie na próżno. Niech pan szuka! Cieszyłabym się, gdyby pan znalazł skarby!”

„Potęga złota jest wielka — rzekł Helmers w zamyśleniu — a ja mam biednego brata, obarczonego rodziną, któremu mógłbym zapewnić byt. Ale do kogo należy ten skarb? Chyba do potomków tych, którzy go tam ukryli”.

„Czy na mapie nie ma żądnych nazw?” — spytała Emma.

„Nie. W jednym rogu znajduje się zagadkowy znak, którego nie umiem sobie wytłumaczyć. Będę szukał skarbu, ale. jeśli go znajdę, nie dotknę go, lecz rozejrzę się za prawowitym właścicielem”.

Młodzi ludzie odeszli, a Tekalto także się oddalił. Przeskoczył przez palisadę i mruknął do siebie:

„Uff, uff! Co ja słyszałem! Grot Piorunowy ma rysunki przedstawiające nasze święte miejsce! Jego bystrość doprowadzi go do odkrycia skarbu. Powinienem go zabić, ale zostałem jego przyjacielem i bratem, a on jest dobry i

szlachetny. Ocalił też moją siostrę, Karię. Czy mam zgubić tego, któremu winien jestem wdzięczność? Nie, nie! Namyślę się, a Wielki Duch powie mi, co mam uczynić...”

W tym samym czasie w dolinie, odległej od hacjendy o dwie godziny drogi, siedziała dokoła ogniska gromada licząca. około dwudziestu mężczyzn o dzikim, zuchwałym wyglądzie. Każdego można było podejrzewać, że ma na sumieniu morderstwo. Ćwiartka cielęcia piekła się na rożnie, a resztki mięsa i porozrzucane kości, leżące dokoła, świadczyły, że raczono się tu już od dłuższego czasu.

„Jakże będzie, kapitanie? — zapytał jeden z mężczyzn. — Czy czekamy jeszcze?”

Zapytany leżał przy ognisku wsparty na łokciu. Miał twarz prawdziwego bandyty, a jego pas jeżył się od broni.

,,Czekamy!” — odrzekł ponuro.

„Jak długo?”

„Dopóki mnie się spodoba”.

„Siedzimy tu już od czterech dni. Obawiam się, czy ktoś z nas błaznów nie robi”.

„Hrabia płaci nam dobrze, zaczekamy więc, dopóki nie powie, co mamy czynić”.

„Niech to diabli wezmą! Ileż to mogliśmy przez ten czas zrobić i zarobić!”

„Milczeć! Jestem waszym kapitanem i musicie mnie słuchać!”

Ludzie uspokoili się i po spożyciu reszty mięsa rozstawili straże i zaczęli układać się do snu.

Nagle usłyszeli tętent kopyt. Zbliżył się jakiś jeździec, który oddał konia strażnikom i podszedł do ogniska. Był to hrabia Alonzo. Usiadł obok kapitana i w milczeniu zapalił papierosa.

„Czy przynosicie nam nareszcie jakąś robotę, don Alonzo? — zapytał kapitan. — Zrobimy wszystko, byle nam dobrze zapłacono”.

Wskazał wymownym gestem na sztylet. Hrabia potrząsnął głową i odpowiedział:

„Nie o to chodzi. Posłużycie mi tylko za poganiaczy mułów”.

„Jak to?! — zawołał zdziwiony kapitan. — To nie jest zajęcie dla takich zuchów jak my!”

„Wiem o tym. Posłuchajcie, co wam powiem!”

Wszyscy przysunęli się bliżej, a hrabia rzekł:

„Chcę coś zawieźć do stolicy, ale to wielka tajemnica. Czy mogę na was liczyć?”

„Jeśli pan dobrze zapłaci...”

„Dostaniecie, ile zażądacie. Czy macie z sobą juki, które zamówiłem?”

„Tak”.

„Wory i skrzynie?”

„Również”.

„To dobrze! Konie weźmiemy z hacjendy del Erina. Jutro wieczorem będę tu znowu i wyruszymy potem o świcie”.

„Dokąd?”

„Sam jeszcze tego nie wiem. Ja poprowadzę”-.

„A co będziemy wieźli?”

„To was nie powinno obchodzić. Przyprowadzę moich dwu służących, którzy w pewnym momencie napełnią wory i skrzynie. Potem ruszycie pod moim nadzorem do stolicy. Waszym obowiązkiem będzie bronić transportu, gdyby ktoś napadł nas po drodze”.

„To bardzo tajemnicza sprawa, don Alonzo. Będziemy musieli zażądać stosownej zapłaty”.

„Ile chcecie?”

„Trzy sztuki złota dziennie na człowieka”.

„Zgoda!”

„A mnie, jako dowódcy — sześć”.

„Dobrze!”

„A jeśli transport doprowadzimy szczęśliwie do stolicy, dostaniemy trzysta dukatów, jako osobne wynagrodzenie”.

„Dostaniecie pięćset, jeśli mnie zadowolicie!”

„Hura! Zdajcie się spokojnie na nas, senior! W ogień za was pójdziemy!”

„Spodziewam się tego. Tu macie na razie małą zaliczkę! Rozdzielcie to między siebie!” Wyjął z kieszeni rulon złotych monet, wręczył go kapitanowi i odjechał.

Teraz posypały się pytania i domysły.

„Co on chce przewieźć?”

„Może złoto z jakiej bonanzy?”

„Albo odnaleziony skarb Azteków?”;

Dowódca nakazał spokój i rzekł:

„Nie łamcie sobie głowy, chłopcy! Płaci tak dobrze, że powieziemy pewnie coś nadzwyczajnego. Będziemy go z początku słuchali we wszystkim, potem jednak staniemy się coraz bardziej ciekawi, a jeśli zawartość juk mogłaby się nam przydać, hrabia będzie tak samo wart kuli, jak i jego służba. Teraz śpijcie i nie zawracajcie mi głowy”.

Dokoła ogniska zapanowało głuche milczenie, chociaż niejeden bandyta nie spał, starając się odgadnąć, co będzie zawierał powierzony im transport.

Oto byli ludzie, których hrabia wynajął, aby przewieźć skarb do stolicy! Łotry i bandyci, żyjący z rozboju! Gdyby się dowiedzieli, co zawierają skrzynie i wory, nie byłoby dla hrabiego ratunku. Ale o tym nie pomyślał ten lekkoduch.

Nazajutrz rano, gdy tylko Helmers wstał z łóżka," przyszedł do niego hacjendero.

„Przychodzę do pana z prośbą" — rzekł.

„Spełnię ją, jeśli tylko będę mógł" — odpowiedział Helmers.

„Jesteśmy tutaj na pustkowiu, mam więc wielkie zapasy najrozmaitszych przedmiotów, bo muszę swoich ludzi zaopatrywać we wszystko. Jeśliby pan zechciał wziąć sobie bieliznę i nową odzież, to zrobiłby mi pan prawdziwą przyjemność".

Helmers nie chciał obrazić odmową zacnego hacjendera, a poza tym jego myśliwski ubiór znajdował się naprawdę w opłakanym stanie.

Toteż gdy zszedł na śniadanie do jadalni, obecni z trudem go poznali w jego nowym, wspaniałym, meksykańskim stroju. A kiedy po skończonym posiłku przechadzał się po ogrodzie w towarzystwie Tekalty, Indianin odezwał się:

„Mój brat, Grot Piorunowy, może nosić to piękne ubranie, bo jest bogaty".

„To dar seniora Arbelleza. Ja jestem tak samo ubogi jak przedtem".

,,Nie — rzekł Indianin poważnie — jesteś bogaty, bo znasz drogę do skarbu królewskiego".

Helmers cofnął się o krok ze zdumienia.

„Skąd wiesz o tym?"

„Wiem! Czy mogę zobaczyć mapę, która jest w twoim posiadaniu?"

Helmers zaprowadził go do swego pokoju i położył przed nim stary wystrzępiony po brzegach papier. Tekalto rzucił okiem na róg planu i rzekł:

„Tak, to znak Tokseltesa, który był ojcem mojego ojca. Musiał opuścić kraj i nie wrócił już więcej. Ty oddałeś mu wielką przysługę i dlatego nigdy już nie będziesz ubogi. Czy chcesz zobaczyć jaskinię królewskiego skarbu?”

„Czy możesz mi ją pokazać?”

„Tak”.

„Do kogo należą skarby?”

„Do mnie i do mojej siostry Karii. Jesteśmy jedynymi potomkami dawnych władców. Przygotuj się. Dziś wieczorem wyruszymy do jaskini. Nie mów o tym nikomu, chyba tylko córce hacjendera, ponieważ wie, że szukasz skarbu”. „Skąd wiesz o tym?”

„Słyszałem wczoraj każde słowo, które powiedzieliście do siebie w ogrodzie. Masz mapę, a jednak postanowiłeś nic nie brać ze skarbu, tylko odszukać prawych właścicieli. Jesteś uczciwym człowiekiem, jakich mało wśród bladych twarzy, dlatego zobaczysz dziś jeszcze skarby królewskie”.

Tego samego dnia, nieco później, Karia wsunęła się do pokoju hrabiego.

„Czy napisałeś już dokument?” — szepnęła.

„Masz, Kario! — rzekł podając jej pismo, — A teraz ty słowa dotrzymaj!”

„A więc słuchaj! Czy znasz górę El Reparo?”

„Znam. Leży o cztery godziny drogi na zachód. Wygląda jak wydłużony, wysoki wał ziemny”.

„Wypływają z niej trzy strumyki w dolinę. Środkowy wytryska nie ze źródła, ale od razu szeroką strugą z ziemi. Gdy wejdziesz do wody, i schyliwszy się, dotrzesz tam, gdzie potok wypływa ze skał, będziesz miał przed sobą jaskinię”.

„Ach! To bardzo proste! Czy potrzeba tam światła?”

„Znajdziesz pochodnie na lewo od wejścia”.

„I skarb jest tam jeszcze nietknięty?”

„Nietknięty!”

„Dzięki ci, moje dziecko! Jesteś moją narzeczoną, a wkrótce zostaniesz moją żoną. A teraz idź już! Mógłby nas ktoś podpatrzyć”.

Indianka schowała dokument i odeszła w milczeniu. Dręczyła ją jakaś nieokreślona trwoga.

Tymczasem Serce Niedźwiedzie dosiadł jednego z półdzikich koni i wyruszył na przejażdżkę. Jechał przez doliny, parowy i ostępy, gdy nagle usłyszał głosy sprzeczających się ludzi. Zsiadł z konia, wziął do ręki strzelbę i zaczął się skradać w tamtą stronę. Wydostawszy się na zbocze, którego szczyt porastał dziki mirt, zobaczył małą dolinkę, w której dokoła ogniska obozowało dwudziestu mężczyzn sprzeczając się zawzięcie. Nie opodal leżało mnóstwo skrzyń, worów i juk. Ludzie ci mówili po hiszpańsku, a tego języka Apacz nie znał; wziął ich więc za oddział myśliwców. Cofnął się, dosiadł konia i wrócił do hacjendy.

Hrabia nie pokazywał się przez cały dzień. Posiadłszy pożądaną wiadomość, kazał swoim służącym pakować rzeczy. Po wieczerzy udał się do Arbelleza i oświadczył mu, że odjeżdża. Hacjendera zastanowiło to, nie pytał jednak o nic i nie próbował zatrzymać Alonza. Wracając do swego pokoju młody człowiek spotkał się z Karią. W przekonaniu, że jest u celu swych pragnień, popełnił głupstwo odsłaniając przedwcześnie karty.

„Odjeżdżam do stolicy — powiedział. — Miałem w pogotowiu wielu poganiaczy z mułami i teraz udam się z nimi pod górę El Reparo po skarby”.

„A kiedy wrócisz?”

„Nigdy. Czyś naprawdę myślała, że mogłabyś zostać moją żoną? Czy uważałaś mnie za szalonego, który zechce ożenić się z Indianką?”

Dziewczyna spojrzała nań z przestrachem i wyjąkała:

„Ty... ty... mnie oszukałeś?”

„Wywiodłem cię tylko w pole. Skarb do mnie należy, a ty, jeśli chcesz mieć męża, musisz go poszukać wśród równych sobie!”

Oddalił się, a Karia, postawszy chwilę jak skamieniała, poszła chwiejnie do swego pokoju. Upłynęło sporo czasu, zanim zdała sobie sprawę, co się stało. Hrabia oszukał ją, a sam odjechał po skarby! Postanowiła przeszkodzić mu w tym za wszelką cenę! Najwłaściwiej byłoby wyjawić wszystko bratu — powinien wyruszyć zaraz do El Reparo i uniemożliwić grabież rodzinnych skarbów. Pomimo że takie wyznanie byłoby dla niej niezwykle bolesne, nie zawahała się ani przez chwilę. Hrabia był oszustem i łotrem, wyłudził od niej kłamstwem tajemnicę! Musiał zginąć! Teraz Karia była tylko Indianką, oszukaną Indianką. Zerwała się z błyszczącymi oczyma i pobiegła szukać brata. Obeszła dziedziniec, ogród i łąkę przeszukała wszystkie pokoje w domu, ale na próżno. Zdjęło ją przerażenie i wróciła do jadalni, gdzie siedział Arbellez z Emmą i Apaczem. Na pospiesznie rzucone pytanie otrzymała od hacjendera odpowiedź:

„Nie wiem, gdzie jest Tekalto, ale co z tobą się dzieje? Jesteś taka wzburzona!”

„Stało się nieszczęście, wielkie nieszczęście! Mój brat musi zaraz wyruszyć do El Reparo! Hrabia poszedł tam kraść!”

„Kraść? — zapytała Emma z lękiem. — Czy może po skarb królewski?”

„Tak” — odrzekła Karia nie pomyślawszy, że po raz drugi zdradza przed obcymi tajemnicę.

„O Boże! To prawdziwe nieszczęście! — zawołała Emma. — Twój brat udał się tam także z seniorem Helmersem! Chciał mu pokazać skarby i pozwolił o tym mnie opowiedzieć”.

„Nieba! Dojdzie tam do rozlewu krwi!” — zawołał Arbellez.

Apacz przypomniał sobie swoją dzisiejszą przejażdżkę i rzekł:

„Widziałem dzisiaj uzbrojonych ludzi z workami i skrzyniami. Czyżby to miało związek ze skarbem? Może to oni mają go zabrać dla hrabiego? Ale w jaki sposób biały zdobył tę tajemnicę?”

„Ja ją zdradziłam — wyznała Karia z rozpaczą. — Czy wielu było tych ludzi, których widziałeś?” „Cztery razy po pięciu”.

„O to niebezpieczne, to strasznie niebezpieczne! — zawołała Indianka. — Hrabia jest zdrajcą i może zabić seniora Helmersa i mego brata. Senior Arbellez, każcie ogłosić alarm, niech się zejdą wakerzy! Muszą spieszyć do jaskini, aby ocalić mego brata i białego”.

Wśród ogólnego zamieszania tylko Apacz zachował spokój.

„Kto wie, gdzie leży ta jaskinia?” ,— zapytał.

„Ja — odrzekła Karia. — Ja was poprowadzę!”

„Niech więc jedzie ze mną dziewczyna oraz dziesięciu wakerów! Mój biały brat — zwrócił się do Arbelleza — zostanie tu_ z resztą służby, aby pilnować hacjendy”,

Hacjendero kazał zadąć w róg i zewsząd zbiegli się pasterze i parobcy. Apacz wybrał z nich dziesięciu i polecił uzbroić. Upłynęło sporo czasu, zanim oddział z Karią na czele wyruszył w drogę.

Tymczasem Czoło Bawole i Helmers od dawna już opuścili hacjendę. Zaraz po wieczerzy wyszli za palisadę, gdzie stały przygotowane potajemnie trzy konie, dwa osiodłane, a jeden juczny.

„Na co ten koń?” — zapytał wskazując go Helmers.

,,Powiedziałem ci, że nie jesteś już ubogi. Nie chciałeś ograbić skarbca królewskiego, za to wolno ci będzie wziąć tyle, ile jeden koń zdoła unieść”.

Indianin dosiadł konia, wziął jucznego za cugle i odjechał, a Helmers ruszył za nim. Było zupełnie ciemno, lecz czerwonoskóry znał doskonale drogę, a półdzikie konie meksykańskie widzą w nocy jak koty. Nie posuwali się jednak szybko, gdyż droga prowadziła przez niedostępne wąwozy.

Czoło Bawole nie wyrzekł ani jednego słowa. Ciszę nocną przerywały tylko odgłosy kroków i parskanie koni. Tak upłynęła jedna godzina, a potem druga i trzecia. Wtem dał się słyszeć szmer wody. Dojechali do potoku i puścili się wzdłuż brzegu. Potem wynurzyła się przed nimi góra, podobna do wału, a kiedy zbliżyli się do jej zboczy, Indianin zsiadł z konia i powiedział:

„Tu zaczekamy, dopóki dzień nie nadejdzie”.

Helmers zeskoczył również na ziemię, puścił konia na trawę, usiadł na kamieniu obok Czoła Bawolego i zapytał:

„Czy jaskinia jest blisko?”

„Tak. Leży tam, gdzie woda wypływa z góry. Trzeba wejść do potoku, pochylić się i wleźć przez dziurę. Dalej jest jaskinia, której wielkości i rozgałęzień nie zna nikt, prócz Czoła Bawolego i Karii”.

„Czy Karia umie milczeć?”;

„Umie!”

Helmersowi przyszło na myśl to, o czym mówiła Emma.

„Ale ktoś chce jej wydrzeć tajemnicę — powiedział. — Czy wiesz, że ona kocha hrabiego Alonza?”

„Wiem o tym”.

„Czy nie zdradzi mu sekretu jaskini?”

„Jest jeszcze Czoło Bawole. Hrabia nie dostanie najmniejszej części skarbu!”

„Czy ten skarb jest wielki?”

„Zobaczysz. Zbierz wszystko złoto, jakie Meksyk posiada, a nie dorówna ono dziesiątej części tego, co kryje jaskinia. Był tylko jeden biały, który ją widział, i...”

„I wyście go zabili?”

„Nie. Nie potrzeba go było zabijać, bo dostał obłędu z zachwytu. Biały nie potrafi znieść widoku bogactwa, tylko Indianin ma na to dość siły. I ty zobaczysz tylko część skarbu. Lubię ciebie i nie chcę dopuścić do tego, abyś oszalał”.

Umilkli, a Helmersa opanowały najdziwniejsze uczucia. Wreszcie zaczęło świtać. Niebawem można było rozróżnić dokładnie otaczające ich skały.

Helmers ujrzał przed sobą górę El Reparo, na której stromych zboczach rosły przeważnie dęby. U jej podnóża wypływała ze skał woda, szeroka od razu na trzy stopy, a głęboka na cztery.

„Czy to jest wejście?” — zapytał.

„Tak — rzekł Czoło Bawole. — Ale teraz jeszcze nie wejdziemy. Ukryjmy konie! Posiadacz skarbu musi być bardzo ostrożny”.

Poprowadzili konie wzdłuż góry, aż do gęstych zarośli, osłaniających szczelinę skalną, odpowiednią na kryjówkę dla zwierząt. Potem wrócili nad potok, gdzie zwyczajem indiańskim zatarli swoje ślady. Następnie poszli ostrożnie aż do otworu w skale, skąd wypływał potok.

„Chodź teraz!” — rzekł Czoło Bawole zanurzając się po szyję w wodzie.

Między jej powierzchnią a sklepieniem skalnym, spod którego potok wypływał, znajdowała się niewielka wolna przestrzeń, którędy można było przesunąć głowę. Zmoczeni

do nitki, skręcili w bok i weszli do groty, w której pomimo płynącego o krok strumienia powietrze było suche.

Indianin odszedł na chwilę od Helmersa i zapalił pochodnię.

„Oto jaskinia skarbów królewskich! — zabrzmiał jego głos. — Bądź silny i trzymaj duszę na wodzy!”

Upłynęło sporo czasu, zanim Helmers przyzwyczaił oczy do blasku, który światło pochodni obudziło w rozległej jaskini. Miała ona kształt wysokiego, czworobocznego graniastosłupa, szerokiego i długiego może na sześćdziesiąt kroków. Od dna aż po samą górę napełniona była kosztownościami, które mogły omamić zmysły najtrzeźwiejszego człowieka.

Były tam wizerunki bogów ozdobione najdroższymi kamieniami. Na półkach przy ścianie widniały setki bożków domowych, ulanych z drogiego kruszcu albo wyrzeźbionych z kryształu. Pomiędzy nimi leżały złote pancerze wojenne niesłychanej wartości, złote i srebrne naczynia, ozdoby z diamentów, szmaragdów, rubinów i innych drogich kamieni, puklerze z mocnych skór zwierzęcych, okutych złotą blachą. Ze środka sklepienia zwisała korona królewska w kształcie czapki, zrobiona ze szczerozłotego drutu i wysadzana diamentami.. Dalej rzucały się w oczy całe wory złotego piasku, skrzynie z bryłami tego kruszcu różnej wielkości. Znajdowały się tu także całe kupy srebra, wyłamywanego wprost z żył podziemnych, błyszczały modele meksykańskich świątyń, a na ziemi i po kątach leżały wspaniałe mozaiki z masy perłowej, złota, srebra i drogich kamieni.

Widok tylu nagromadzonych bogactw oszołomił na chwilę Helmersa.

„Tak, to jest jaskinia królewska — powtórzył Indianin — a skarby te należą tylko do mnie i do Karu”. ° „W takim razie jesteś najbogatszym księciem ziemi”— rzekł Helmers.

„Mylisz się! Jestem uboższy od ciebie i od każdego innego. Czy można zazdrościć potomkowi władców, których państwo runęło w gruzy? Wojowników, którzy nosili owe zbroje i tarcze, miłował i poważał cały naród, a jedno ich słowo darzyło życiem albo śmiercią. Skarby ich pozostały, ale miejsca, w których złożono ich kości, podeptali i znieważyli biali, a popioły ich rozproszono na cztery wiatry. Wnuki ich teraz błądzą po lasach i preriach i polują na bizony. Biały okłamywał i oszukiwał, mordował, szalał, pastwił się nad moim narodem z powodu tych skarbów. Kraj należy do okrutnego zwycięzcy, ale skarby powierzył Indianin ciemnościom ziemi, aby nie wpadły w ręce zbójów. Ty jednak nie jesteś jako drudzy i serce twoje wolne jest od zbrodni. ”Ocaliłeś moją siostrę z rąk Komanczów, jesteś mi bratem, otrzymasz więc tyle z tych skarbów, ile koń zdoła unieść. Ale tylko klejnoty i kruszec możesz zabrać. Wybierz sobie z tego, co ci się podoba. Zbroje wojowników są świętością. Nie może ich oświetlić słońce, które widziało upadek narodu Mizteków”.

Helmers spojrzał na bryły kruszcu i klejnoty i w głowie mu się zakręciło.

„Nie mogę tego przyjąć! — powiedział. — Me mogę dopuścić, abyś uszczuplał swoje dziedzictwo”.

Indianin potrząsnął dumnie głową.

„Nie poniosę żadnej ofiary. To, co widzisz, to tylko część skarbów ukrytych w El Reparo. Jest tu więcej jaskiń, o których nawet moja siostra nie nie wie. Pójdę teraz je odwiedzić, a ty odłóż na bok to, co sobie wybierzesz. Gdy wrócę, objuczymy konia i pojedziemy na hacjendę”.

Wetknął pochodnię w ziemię i zniknął w najdalszym kącie pieczary.

Tymczasem hrabia, opuściwszy z dwoma służącymi hacjendę, nie udał się wprost do El Reparo, lecz najpierw zajechał do obozu swych pomocników.

„Czyście gotowi?” .-— zapytał.

„Gotowi” — odrzekł dowódca.

„A konie?”

„Złowiliśmy je w stadach seniora Arbelleza”. ,,Ile?”

„Dwadzieścia dla nas, a trzydzieści dla pana”.

„To ruszajmy!”

Teraz dopiero hrabia zdał sobie sprawę, jakie czekają go kłopoty. Nie mógł przecież tych rabusiów brać ze sobą do jaskini. Spodziewał się jednak, że w ostatniej chwili znajdzie się jakieś wyjście. Sprowadzono konie i muły i wszyscy ruszyli w drogę.

Alonzo znał górę wymienioną przez Indiankę, ale obce mu były szczegóły drogi. Znał tylko kierunek, posuwano się więc naprzód bardzo powoli.

Dopiero gdy dzień zaświtał, można było konie puścić cwałem. Niebawem też wynurzył się przed nimi ciemny masyw gór El Reparo.

Dotarli do niej od strony południowej i pojechali ku wschodniemu stokowi. Przeprawili się przez pierwszy potok, a kiedy Alonzo zauważył, że drugi, jest blisko, kazał stanąć, nie Chcąc dopuścić rzezimieszków do jaskini. Postanowił najpierw sam się przekonać, czy skarbiec rzeczywiście istnieje. Odjechał z wolna, a dowódca szepnął do towarzyszy:

„Co uczynimy teraz?”

„Podpatrzymy go” — rzekł jeden z nich,

„Tak będzie najlepiej. Zaczekajcie tu!”

Kapitan zsiadł z konia i poszedł pieszo za hrabią, kryjąc się wśród skał i zarośli.

Gdy Alonzo dojechał do strumienia, zsiadł z konia, przywiązał go do drzewka i zniknął w krzakach. Kapitan

zaczekał chwilę, a gdy hrabia nie wracał, pospieszył do swoich ludzi i sprowadził cały oddział nad potok.

Hrabia zbadał bieg strumienia i przekonał się, że można tędy dostać się do ledwie widocznego wejścia do jaskini. Ale kiedy przebrnął przez wodę, zauważył przed sobą blask światła.

„Co to? Pochodnia? A może to światło dzienne wdziera się do jaskini przez jakąś szczelinę?”

Cofnąć się jednak nie myślał. Sunął więc ostrożnie dalej, unikając wszelkiego szmeru.

Wtem poraziło mu oczy migotanie złota i diamentów. Stanął jak wryty pośród skarbów, drżąc na całym ciele, opętany przez szatana chciwości. Byłby się rzucił bez namysłu na te bogactwa, ale nagle zdrętwiał: o pięć kroków przed nim klęczał na ziemi człowiek i porządkował kupę klejnotów ułożonych na płycie mozaiki. Kto to był? W tej chwili odwrócił się bokiem, hrabia zobaczył jego profil i poznał go.

„Helmers! — mruknął przez zęby. — Kto mu powiedział o tej jaskini? Czy jest tu sam, czy w towarzystwie?

Przebiegł okiem jaskinię i przekonał się, że nie ma w niej nikogo.

„Nie weźmie z tego złota ani okrucha — pomyślał uradowany. — On musi zginąć!”

Nie opodal stała oparta o ścianę maczuga wojenna, sporządzona z drzewa twardego jak żelazo i wysadzona ostro szlifowanymi kawałkami kryształu. Alonzo ujął jej rękojeść i zaczął się skradać do Helmersa, który przesuwał właśnie między palcami drogocenny łańcuch.

Maczuga świsnęła nad głową myśliwca i uderzyła z taką siłą, że padł natychmiast na ziemię. Łańcuch wysunął mu się z rąk.

Hrabia wykrzyknął dziko:

„Zwyciężyłem! Wszystko to jest moje, wszystko, wszystko!”

Nagle stanął i wytrzeszczył oczy, jak gdyby zobaczył ducha. Z odległego kąta wysunęła się postać, która popatrzyła nań zrazu ze zdumieniem, a potem z wściekłością.

W dwu tygrysich skokach Indianin stanął przed hrabią i chwycił go za gardło.

„Psie, co tu robisz?!” — zawołał.

Zapytany nie mógł słowa wykrztusić. Wiedział, że nie dorówna strasznemu Indianinowi, że jest zgubiony, i zaczął drżeć na całym ciele.

„Zabiłeś go! — rzekł Czoło Bawole wskazując na leżącego Helmersa. — Biada ci, po trzykroć biada! Kto ci zdradził drogę do jaskini?”

Zapytany milczał. Wydało mu się, że nadszedł dzień sądu ostatecznego, a on stoi już przed nieubłaganym sędzią.

„Karia” — wyszeptał wreszcie.

Oczy Indianina rozgorzały jak pochodnie.

„W takim razie uwiodłeś chyba moją siostrę diabelskimi sztuczkami, aby wydrzeć jej tajemnicę El Reparo. Udawałeś miłość?” Hrabia milczał.

„Kiedy zdradziła ci tajemnicę?!”

„Wczoraj wieczorem”.

„Czy sam tu jesteś?!”

„Towarzyszy mi dwudziestu ludzi”.

„Mieli ci pomóc zabrać skarby. Czy powierzyłeś im. tajemnicę?!”

„Nie. Nie wiedzą, co mieli wieźć; i nie znają jaskini. Zatrzymali się niedaleko stąd”.

„Dobrze! Pójdziesz ze mną. Nie wiążę cię i nie krępuję, bo ujść mi nie zdołasz. Oszukałeś córkę Mizteków i musisz to odpokutować”.

Indianin wziął Alonza za rękę i pociągnął ku wyjściu. Wszedł z nim w wodę i nie puszczając go z garści, wypchnął na światło dzienne.

„Gdzie twój koń?” — spytał Czoło Bawole.

„Stoi przywiązany tam do drzewa”.

„A gdzie są twoi ludzie?”

„Za tamtym wzgórkiem”.

„To chodź do konia!”

Poszli ku miejscu, które wskazał Alonzo, ledwie jednak wynurzyli się z zarośli, spostrzegli gromadę jeźdźców o trzydzieści kroków przed sobą.

„Psie, okłamałeś mnie!” — zawołał Indianin chwytając hrabiego za gardło.

„Na pomoc!” — krzyknął Alonzo starając się uwolnić.

„Oto masz pomoc!” — odparł Indianin.

Uderzył go pięścią w głowę tak, że hrabia runął na ziemię, ale sam został w jednej chwili otoczony przez gromadę jeźdźców. Nie użyli broni w przekonaniu, że i tak czerwonoskóry im nie ujdzie.

Ale pomylili się srodze. Broń palną wódz zostawił przy koniach, ale miał nóż za pasem. Błyskawicznym ruchem wskoczył z tyłu na siodło dowódcy, dobył noża i pchnął go w plecy. W następnej chwili pędził już prosto ku szczelinie skalnej, gdzie stały obydwa konie.

Bandyci stali przez chwilę, stropieni niespodziewanym napadem na swojego herszta, potem jednak zawyli dziko i pognali za zbiegiem. Gdy Indianin zeskoczył z konia i wpadł na lewo w zarośla, zsiedli także z siodeł i ruszyli gęstwiną. Natychmiast jednak zza drzew huknęły strzały.

„Przekleństwo! — zawołał jeden z bandytów. — On ma cztery strzelby!”

Ścigający nie wiedzieli, że grozi im nowe, wielkie niebezpieczeństwo.

Apacz z wakerami już dawno byłby nadjechał, ale Indianka zmyliła w ciemności drogę i mały oddział przybył dopiero teraz pod El Reparo.

Jeden z wakerów zeskoczył z siodła, żeby zbadać ślady. „Była tu przed chwilą gromada ludzi” — powiedział.

„Hrabia ze swym oddziałem” — stwierdził krótko Serce Niedźwiedzie popędzając konia.

Ale wkrótce zatrzymał się znowu i wskazał na leżące w trawie ciało ludzkie. Kilku wakerów zsiadło natychmiast z koni, żeby mu się przypatrzyć.

„Hrabia, hrabia Alonzo!”— zawołali zaskoczeni.

„Zraniony?” — zapytał Apacz.

„Rany nie widać”.

„Nie żyje?”

„Zdaje się”.

Apacz potrząsnął głową lekceważąco.

„Żyje — rzekł. — Uderzono go tylko. Związać go zaraz!”

W tej chwili usłyszeli strzały i pospieszyli w tamtą stronę. Bandyci wynajęci przez hrabiego byli teraz osaczeni. Ze szczeliny skalnej grzmiały strzelby Tekalty, a z tyłu otworzył do nich ogień Serce Niedźwiedzie ze swymi wakerami. Po chwili bandyci rzucili się do ucieczki zostawiając kilku zabitych.

Wtedy z zarośli wychylił się wódz Mizteków.”

„Czoło Bawole! — zawołał Apacz. — Gdzie jest Grot Piorunowy?”

„Nie żyje! — odrzekł Tekalto — zabił go hrabia Alonzo”.

„Gdzie?”

„Tego nie mogę powiedzieć — odparł Czoło Bawole. —

Ale wracajmy prędko nad potok! Ja muszę dostać w swe ręce hrabiego!”

„Związaliśmy go już” — odrzekł jeden z wakerów.

Czoło Bawole, Serce Niedźwiedzie i Karia udali się tam, gdzie leżał hrabia. Zbadano go i przekonano się, że był tylko ogłuszony.

Tekalto nie patrząc na siostrę zwrócił się do wodza Apaczów:

„Niech mój brat postara się o to, żeby nikt się nie dostał do źródła tego potoku. Ja zaraz wrócę”.

Przedostał się znowu do jaskini, zapalił świeżą pochodnię i podszedł do Helmersa. Zauważył od. razu, że ciało leżało inaczej niż poprzednio, zaczął tedy badać je na nowo. Ku niewymownej swej radości poczuł, że serce przyjaciela bije. Widocznie Helmers odzyskał na krótki czas przytomność i poruszył się, lecz teraz pogrążony był z powrotem w omdleniu. Indianin wziął go na ręce i wyniósł troskliwie na polankę, gdzie Apacz zgromadził wakerów. Serce Niedźwiedzie uderzył dłonią o wylot lufy i oświadczył:

„Jeśli mój biały brat umrze, wówczas biada jego mordercy! Leśne ptaki rozszarpią jego ciało. Tak powiedział Szosz-in-liet, wódz Apaczów”.

„Mój brat weźmie udział w sądzie!” — rzekł Czoło Bawole.

Apacz pochylił się nad Helmersem i zbadał uważnie jego ranę.

„To uderzenie maczugą — zauważył. — Zapewne czaszka jest uszkodzona. Zróbcie nosze, aby go można między dwoma końmi zawieźć do hacjendy, ja zaś pójdę poszukać ziela oregano, które leczy wszelkie rany i nie dopuszcza gorączki”.

Wszyscy oddalili się, a Czoło Bawole pozostał sam z siostrą.

„Gniewasz się na mnie?” — zapytała.

Nie spojrzał na nią, lecz odparł:

„Dobry Duch odstąpił córę Mizteków!”

„Odstąpił ją tylko na krótko”.

„Ale w tym krótkim czasie stało się wiele złych rzeczy”.

„Czy mi przebaczysz?” — szepnęła z bólem.

„Przebaczę, jeśli mi będziesz posłuszna”.

„Co rozkażesz mi uczynić?”

„O tym dowiesz się później. Teraz wsiądziesz na konia i pojedziesz z powrotem do hacjendy po synów Mizteków. Powiesz im, że ich potrzebuje książę Tekalto. Zostawią wszystko i przybędą”.

„Już idę”.

Wódz zauważył, że hrabiemu wracają zmysły. Spojrzał na niego z pogardą i rzekł:

„Blada twarz nie znajdzie łaski, bo okłamuje i zdradza wszystkich!”

Odwrócił się i nie patrzył więcej na jeńca. Niebawem nadszedł Serce Niedźwiedzie, przyłożył znalezione zioła do rany Helmersa i obwiązał mu głowę. Pasterze zrobili z gałęzi i koców zabitych nieprzyjaciół bardzo wygodne nosze i przymocowali je do dwu koni, które miały powoli iść obok siebie. Na noszach umieszczono Helmersa.

„Co będzie z hrabią?” — zapytał jeden z wakerów.

„On do mnie należy! — odparł Czoło Bawole. — Zabierzcie Grota Piorunowego do hacjendy! Serce Niedźwiedzie zostanie ze mną!”

Orszak odjechał. Obaj wodzowie stali przez pewien czas obok siebie w milczeniu, po czym Czoło Bawole zdjął więzy z

nóg jeńca i przywiązał go mocnym rzemieniem do ogona swego konia.

Obaj Indianie wskoczyli na siodła i odjechali. Dla hrabiego nie było rzeczą łatwą podążać za nimi. Odbywał teraz najbardziej męczącą drogę w całym swym życiu.

Czoło Bawole prowadził pochód. Objechał strome zbocza El Reparo, minął dolinę, a po godzinie dostali się na rozległy płaskowyż, pokryty gęstą puszczą. W najbardziej nieprzystępnej jej części stały ruiny pradawnej świątyni Azteków. Miała ona kształt ściętej piramidy, otoczona była wokół dziedzińcami, a dalej wysokim murem. Teraz wszystko to leżało w gruzach.

W jednym z dawnych dziedzińców utworzył się wielki staw, niemal jezioro, nad którego brzegami wznosiły się stare drzewa. Obaj wodzowie zsiedli tu z koni. Miztek usiadł w wysokiej trawie i skinął na Apacza, ażeby zajął miejsce obok niego. Przez chwilę milczeli zwyczajem Indian, a potem Czoło Bawole zapytał:

„Czy mój brat miłuje białego, zwanego Grotem Piorunowym?”

„Miłuję go” — odrzekł krótko Apacz.

„Ten biały chciał go zabić!”

„To jego morderca, bo nasz przyjaciel może umrzeć”.

„Na co zasługuje morderca?”

„Na śmierć”.

Minęła chwila posępnego milczenia, po czym odezwał się znów Czoło Bawole:

„Czy mój brat słyszał o narodzie Mizteków?”

„Tak” — potwierdził Serce Niedźwiedzie.

„Był to najbogatszy naród w Meksyku. Miał skarby, których nikt nie mógł przeliczyć. Czy mój brat wie, gdzie te skarby się podziały?”

„Nie”.

„Czy wódz Apaczów umie milczeć?”

„Usta jego są jako ściana skalna”.

„Niech zatem usłyszy, że Czoło Bawole jest strażnikiem tych skarbów”.

„Mój brat powinien spalić te skarby! W złocie mieszka zły duch. Gdyby ziemia nie była ze złota, Serce Niedźwiedzie wolałby umrzeć aniżeli żyć!”

„Mój brat posiada mądrość dawnych wodzów, ale inni ludzie miłują złoto. Hrabia chciał posiąść skarb Mizteków. Przybył z bandą rabusiów, by go sobie przywłaszczyć”.

„Kto mu pokazał drogę?”

„Karia, córka Mizteków. Dusza jej oślepła, bo uwierzyła białemu kłamcy. On przyrzekł uczynić ją swoją żoną, lecz postanowił ją opuścić po zdobyciu skarbu”.

„To zdrajca!”

„Na co zasłużył zdrajca?”

„Na śmierć”.

„Na co zasługuje zdrajca i morderca zarazem?”;

„Na śmierć podwójną”.

„Mój brat słusznie powiedział”.

Nastąpiła znów chwila milczenia. Obaj wodzowie tworzyli straszny, nieubłagany trybunał; przeciw jego wyrokom nie ma odwołania. Był to tak zwany „sąd prerii”, przed którym drżą wszyscy rozbójnicy w tych dzikich krainach.

„Czy mój brat wie, gdzie można znaleźć śmierć podwójną? — zapytał Czoło Bawole. — Tam!”

Wskazał na staw, wstał i podszedł do brzegu.

„Yim-eta, chodźcie!” — zawołał.

Na wodzie utworzyło się dziewięć czy dziesięć bruzd, a w chwilę potem wychyliło się z wody tyleż aligatorów. Zatrzymały się u brzegu. Ciała ich były podobne do pokrytych iłem pni, a głowy wyglądały przerażająco. Otwierały i zamykały na przemian długie paszcze, ukazując szeregi straszliwych zębów.

Alonzo krzyknął przeraźliwie.

„Widzisz te dzielne zwierzęta? — powiedział Czoło Bawole. — Czy widzisz także lassa, które przyniosłem? Zabrałem je zabitym przez nas twoim pomocnikom. Przywiążemy cię nad wodą tak, że aligatory nie będą cię mogły dosięgnąć, dopóki starczy ci sił, aby się utrzymać w skurczonej pozycji. Ale kiedy osłabniesz i zwiśniesz bezwładnie, zwierzęta rozprawią się z tobą natychmiast”.

Indianie związali Alonzowi ręce na plecach i przeciągnęli mu lasso pod pachami. Do lassa przymocowali dwa rzemienie, z którymi Apacz wdrapał się na pochyło rosnące drzewo, aby je tam przytwierdzić do konaru wysuniętego nad wodę.

„Łaski, łaski!” — błagał hrabia w śmiertelnym przerażeniu.

„Łaski? A ty znałeś łaskę, gdy zabijałeś maczugą naszego przyjaciela? Czy znałeś łaskę wydając mnie w ręce opryszków? Czy znałeś łaskę łamiąc serce niewinnej

Indianki? Czy to zresztą były jedyne twoje zbrodnie? Nie znam twego życia, ale kto tak postępuje jak ty, ten z pewnością i, przedtem źle czynił!”

Apacz zawiązał rzemienie na mocne węzły. Czoło Bawole, który podtrzymywał jeńca, pchnął go teraz silnie od drzewa nad powierzchnię wody. Nieszczęśliwy kołysał się ruchem wahadłowym ponad stawem pełnym okrutnych bestii.

Apacz zlazł z drzewa i obaj wodzowie odjechali, ścigani jeszcze długo wyciem skazańca.

Kiedy dotarli do El Reparo, zastali tam już kilku Mizteków, których przysłała Karia. Wódz ich zwrócił się do Apacza:

„Dziękuję mojemu bratu, że mi pomógł osądzić i ukarać bladą twarz. Niech wróci teraz do hacjendy, by czuwać nad naszym rannym przyjacielem. Ja przybędę dopiero jutro”.

Serce Niedźwiedzie odjechał natychmiast, a Tekalto przyzwał do siebie Indian, którzy stanęli dokoła niego, aby wysłuchać rozkazów. Spojrzał poważnie na nich i rzeki:

„Jesteście synami szczepu, który musi wymrzeć. Blade twarze zadają nam śmierć. Pożądali naszych skarbów ale ich nie dostali. Wasi ojcowie pomogli moim ukryć skarb królewski, a żaden z nich nie zdradził tajemnicy. Czy wy potraficie milczeć tak samo?”

Indianie skinęli głowami, a najstarszy odrzekł w imieniu wszystkich:

„Niech będą przeklęte usta, które by zdradziły to miejsce białemu!”

„Wierzę wara. Dotychczas tylko ja wiedziałem, gdzie leży skarbiec, ale jeden z białych odkrył go. Znalazł część naszych bogactw i tę część trzeba ukryć gdzie indziej. Czy mi pomożecie?”

„Pomożemy”.

„Przysięgnijcie na dusze ojców, braci i dzieci, że nie zdradzicie nowej kryjówki!”

„Przysięgamy!” — zabrzmiało dokoła.

,, A więc chodźcie!”

Indianie zniknęli w wejściu do jaskini, gdzie zaczął się zaraz tajemniczy ruch. Tylko jeden pozostał na dworze, aby czuwać nad bezpieczeństwem koni.

Praca trwała cały dzień i całą noc. Dopiero o brzasku następnego dnia Miztekowie opuścili jaskinię. Każdy z nich

niósł jakiś przedmiot: były to wielkie bryły złota i wybrane przez Helmersa klejnoty.

„Zawińcie to w koce — rzekł Czoło Bawole — i załadujcie na konia! To dar Mizteków dla jednego z białych, który widział skarbiec królewski, ponieważ mu go pokazałem. Oby go złoto uczyniło szczęśliwym!”

Gdy objuczono konia, wódz Mizteków wrócił jeszcze raz do jaskini. Pierwsza komora, którą widzieli Alonzo i Helmers, była teraz zupełnie opróżniona. Czoło Bawole rozejrzał się po niej raz jeszcze, potem podszedł do kąta, gdzie z ziemi wystawał lont. Zapalił go od pochodni i opuścił pośpiesznie grotę.

Po kilku minutach dał się słyszeć przytłumiony huk. Ziemia zadrżała, skały pękły i grunt zapadł się z hukiem podobnym do przeciągłych grzmotów. Wejście do jaskini i przednia jej część były zasypane. Potok pienił się nad gruzami i rzucał z początku dziko i bezładnie, ale wnet utworzył sobie nowe łożysko. Dostęp do królewskiego skarbu Mizteków był zamknięty. Indianie rzucili jeszcze raz okiem na górę, u której stóp zaszły tak niezwykłe wydarzenia, i odjechali.

Tymczasem Apacz, po opuszczeniu El Reparo, powrócił do hacjendy, gdzie zastał wszystkich mieszkańców pogrążonych w głębokim smutku. Hacjendero wysłał natychmiast najlepszego jeźdźca na najszybszym koniu do miasta, aby wezwał doświadczonego lekarza, gdyż stan Helmersa był bardzo niepokojący.

Wszedłszy do pokoju rannego Serce Niedźwiedzie obejrzał starannie jego głowę.

„Jak tam?” — spytał hacjendero.

„Nie umrze — odpowiedział wódz. — Trzeba tylko ciągle przykładać ziele do rany”.

„Jutro będzie tu lekarz”.

„Ziele oregano jest mądrzejsze od lekarza. A teraz niech mój brat mi powie, czy ma wakera, który jest dobrym strzelcem i jeźdźcem”.

„Stary Francisco jest moim najlepszym jeźdźcem i myśliwcem”.

„Sprowadź go więc i daj mu dobrego konia! Chciałbym, aby mi towarzyszył”.-”

„Dokąd chcesz jechać?”

„Do Komanczów”.

„Na Boga! Po co?”

„Czy mój brat nie zna Komanczów? Odbiliśmy im jeńców i położyliśmy trupem wielu ich wojowników. Nadciągną tu wkrótce, aby się zemścić!”

„Czemu chcesz wyjść naprzeciw nich?”

„Aby się dowiedzieć, kiedy i jaką drogą nadejdą”.

„Czy nie byłoby lepiej, gdybyś został tutaj, a my rozesłalibyśmy zwiadowców?”

„Wódz Apaczów woli patrzeć własnymi oczyma, nie cudzymi. Mój brat, Grot Piorunowy, także chciał wyruszyć naprzeciw Komanczów, ale teraz jest chory, przeto zrobię to bez niego”.

Po kwadransie zjawił się Francisco. Widać było od razu, że nadaje się do takiej wyprawy. Usłyszawszy, o co idzie, okazał gotowość towarzyszenia Apaczowi i wkrótce obaj wyruszyli w drogę. .

Konie meksykańskie są bardzo wytrwałe i rącze, toteż Serce Niedźwiedzie i wakero pędzili jak wiatr ku północy. Przed wieczorem dojechali do miejsca, na którym rozłożyli się po raz ostatni na nocleg, odwożąc na hacjendę dziewczęta. Teraz nie zatrzymali się tutaj, lecz pojechali dalej.

Dopiero gdy noc zaczęła zapadać, Apacz zatrzymał konia. Dostrzegł ślady jeźdźców, którzy nadjechali z północy i skręcili na zachód.

Zeskoczyli z siodeł i zaczęli troskliwie badać odciski kopyt końskich.

„Było ich wielu” — rzekł Apacz.

„Mniej więcej dwustu — dodał wakero, — I byli tu zaledwie przed kwadransem”.

Apacz podniósł się z ziemi pod wpływem nagłego postanowienia.

„Naprzód! Musimy ich dogonić!”

Dosiedli znowu koni i ruszyli tropem, który prowadził w góry. Kiedy gasły już ostatnie blaski dnia, ujrzeli na grzbiecie leżącego przed nimi wzgórza ciemną, wężową linię jeźdźców.

„Komancze! — rzekł Serce Niedźwiedzie. — Wybrali się na hacjendę, a do jutra chcą się ukryć w górach. Niech mój brat wraca zaraz do hacjendera z wiadomością, że wróg nadciąga”.

„A ty?”

„Serce Niedźwiedzie zostanie na tropie nieprzyjaciół, bo musi wiedzieć o każdym ich poruszeniu”.

Rozstali się. Francisco dobrze popędzał konia i o północy był już na hacjendzie.

„Kiedy mogą nadejść Komancze?” — spytał Arbellez wysłuchawszy jego relacji.

„Dziś jesteśmy jeszcze bezpieczni. Czerwonoskórzy ukryli się w górach i przed jutrzejszą nocą nie zjawią się na pewno”.

„My jednak zarządzimy środki ostrożności. O, gdyby senior Helmers nie był ranny!”

„Wodzowi Apaczów i Tekalcie można tak samo zaufać”.

„Tekalto jest jeszcze pod El Reparo. Poślę zaraz po niego”.

„Czy ja mam pojechać?”

„Jesteś zmęczony”.

„Zmęczony? — roześmiał się starzec. — Chyba mój koń, ale nie ja. Wezmę innego”.

„Czy wiesz, gdzie szukać wodza?”

„Nie”. -- „U źródła środkowego potoku”.

„Dobrze, znajdę go na pewno. Czy mam obudzić ludzi?”;

„Tak, zbudź ich. Lepiej już od dzisiaj mieć się na baczności”.

Stary Francisco zaalarmował hacjendę, a potem wsiadł na konia, by udać się pod El Reparo. W kwadrans po jego odjeździe płonęło dokoła hacjendy kilkanaście ognisk, które tak oświetlały okolicę, że żaden z Indian nie ośmieliłby się zbliżyć do osady.

Czoło Bawole wyruszył już spod El Reparo, kiedy spotkał go stary wakero.

„Wracaj prędzej do hacjendy! Komancze nadchodzą!”— zawołał Francisco.

Oczy Indianina rozgorzały.

„Komancze utracą kilka skalpów pod hacjendą del Erina. Czy. Serce Niedźwiedzie ruszył za nimi?”

„Tak”.. ..

„A więc możemy być spokojni. Już nam nie ujdą”.

Pojechali cwałem do hacjendy, gdzie zastali wszystkich krzątających się w wielkim podnieceniu. Tekalto rozejrzał się dokoła i potrząsnął głową, widząc przygotowania wojenne.

„Musimy się bronić, ale inaczej, senior! — powiedział do hacjendera. — Jeśli chcemy odeprzeć Komanczów, musimy udać, że nie wiemy o ich przybyciu. Trzeba przygotować się po cichu, uzbroić i zaopatrzyć w amunicję waszych

czterdziestu ludzi i zgromadzić stosy chrustu. Atak nastąpi prawdopodobnie jutro w nocy. Dokoła musi być ciemno, aby Komancze sądzili, że śpimy. Ale gdy podejdą blisko, zapalimy nagle stosy i oświetlimy całe otoczenie hacjendy, żeby mieć pewny cel przed sobą”.

„Ułożymy te stosy na płaskim dachu budynku”.

„Doskonale. Na każdym rogu umieści się wielką kupę chrustu i poleje naftą”.

W tej chwili wpadł przez bramę jeździec na koniu pokrytym pianą. Był to Apacz.

„Serce Niedźwiedzie! — zawołał hacjendero. — Skąd przybywasz?”

„Od Komanczów — odrzekł zapytany zeskakując z konia. — Są niedaleko El Reparo. Zostawiłem ich w górach pokrytych puszczą”.

Komanczów było rzeczywiście dwustu, a dowodził nimi jeden z najsłynniejszych wodzów, Tokwi-tej, Czarny Jeleń. Obok niego jechali dwaj zwiadowcy, z których jeden znał dokładnie tę okolicę, drugi zaś należał do oddziału rozbitego przez Helmersa i Apacza. Nie mogli więc zmylić drogi do hacjendy.

Nie przeczuwając, że śledzi ich słynny wódz Apaczów, jechali zwyczajem indiańskim jeden za drugim i dostali się w końcu na płaskowzgórze w pobliżu El Reparo.

„Czy mój syn zna takie miejsce, gdzie byśmy mogli przez dzień się ukryć?” — zapytał Czarny Jeleń jednego z przewodników.

Zapytany namyślił się i odpowiedział:

„Są tu ruiny świątyni, na której dziedzińcach zmieściłoby się tysiące ludzi”.

„A więc chodźmy we dwóch zbadać to miejsce. Wojownicy tu zaczekają”.

Przewodnik szedł z podziwu godną pewnością wprost do ruin przez ciemny zupełnie las. Wódz podążył za nim. Dotarli wreszcie do rozwalonych murów świątyni i zaczęli je przeszukiwać.

Nie znalazłszy nic podejrzanego, zamierzali już wrócić do oddziału, kiedy nagle stanęli jak wryci. Usłyszeli krzyk, który, zda się, nie pochodził z ludzkiej krtani.

„Co to?” — zapytał Czarny Jeleń.

„Nie słyszałem jeszcze nigdy takiego głosu” — zauważył przewodnik.

Krzyk powtórzył się — przeciągły, straszny.

„To człowiek!” — rzekł wódz.

Posunęli się ostrożnie dalej, dostali się na brzeg stawu i szli wzdłuż niego, dopóki okrzyk nie zabrzmiał znowu tuż przed nimi. Zauważyli teraz jakąś postać zwisającą z drzewa nad powierzchnią wody.

„Kto woła?” — spytał wódz głośno.

„Pomocy! Chodźcie tu prędzej! Aligatory mnie rozszarpią!” — odpowiedział glos.

„Kto ty jesteś?”

„Hiszpan!”

„Hiszpan, blada twarz — szepnął Czarny Jeleń do towarzysza. — Mech wisi dalej!”

Mimo to spytał jeszcze:

„Kto cię powiesił?”

„Moi nieprzyjaciele. Miztek i Apacz”.

„Uff! — szepnął wódz. — To są i nasi nieprzyjaciele. Może by go ocalić?”

Zebrał pęk suchego chrustu i podpalił go skrzesawszy ogień krzesiwem. Płomień strzelił wysoko i oświetlił całą scenę.” Z drzewa zwisał biały i kulił się w śmiertelnej

trwodze, ilekroć któryś z aligatorów usiłował, go pochwycić za nogi.

„To straszna zemsta!” — rzekł Czarny Jeleń.

Wylazł na drzewo, pochwycił lasso i wyżej podciągnął białego, poza zasięg potwornych paszcz. Ogień oświetlał Indian i po barwie ich twarzy Alonzo poznał, wszystko i uważał się już za ocalonego.

„Za co zawiesili cię tu czerwoni mężowie?” — zapytał Czarny Jeleń.

„Bo walczyłem z nimi, chciałem ich zabić. Byliśmy nieprzyjaciółmi. To był Serce Niedźwiedzie, wódz Apaczów, i Czoło Bawole, wódz Mizteków.

„Gdzież oni są teraz?”

„Uwolnij mnie, to ich dostaniesz!”.

„Przysięgnij!”

„Przysięgam!”

„Będziesz więc wolny!”

Komancz podciągnął hrabiego jeszcze wyżej, tak aby mógł się górną połową ciała położyć na konarze. Potem dobył noża i przeciął jego więzy.

„Ach! — zawołał hrabia. — Jestem wolny, wolny! A teraz zemsta!”

„Zemścisz się — rzekł Komancz ciesząc się z pozyskania takiego sprzymierzeńca. — Ale czemu tak krzyczysz? I las ma uszy. Czy nikogo nie ma w pobliżu?”

„Nikogo! Na całym płaskowzgórzu nie było nikogo,” prócz mnie i tych przeklętych aligatorów. Nie zapomnę tej nocy przez całe życie!”

„Nie zapomnij i zemścij się! Ale teraz musisz nam odpowiedzieć na nasze pytania. Czy znasz hacjendę del Erina?”

„Znam”.

„Jak się nazywa człowiek, który tam mieszka?”:

„Pedro Arbellez”.

„Czy ma córkę?”

„Tak”.

„A czy mieszka z nimi Indianka ze szczepu Mizteków?”

„Tak. To Karia, siostra Tekalty”.

„Siostra Czoła Bawolego?! — zawołał wódz zaskoczony. — Uff! Tego nie wiedzieli synowie Komanczów, bo byliby jej baczniej pilnowali. Te obie skwaw były u nas w niewoli”.

„Wiem o tym. Wróciły potem do mojej posiadłości”.

„Jak to? — spytał Czarny Jeleń. — Sądziłem, że mieszkają na hacjendzie”.

„Hacjenda należy do mnie. Jestem hrabia de Rodriganda. Arbellez jest tylko moim dzierżawcą”.

„Uff! — rzekł Komancz wstając. — W takim razie zawiśniesz znowu nad wodą, aby cię aligatory pożarły! Jesteś obrońcą tych dwu skwaw”.

„Usiądź, Czarny Jeleniu! — rzekł hrabia bynajmniej nie przestraszony tą groźbą. — Nie jestem ich obrońcą, lecz wrogiem, a twoim przyjacielem. Te skwaw ponoszą winę za to, że mnie tu powieszono. Ty mnie wybawiłeś i podziękuję ci, oddając w twoje ręce trzech największych wrogów Komanczów: Serce Niedźwiedzie, Czoło Bawole i białego, którego zwą Itintika”.

„Grot Piorunowy, wielki tropiciel? — zawołał Komancz. — Czy mówisz prawdę? Gdzie oni są?”

Komancz pytał z największym napięciem. Nadzieja schwytania tych trzech słynnych ludzi pozbawiła go zwykłego spokoju.

„Powiem to, jeśli mi złożysz pewną obietnicę” — rzekł hrabia.

„Czego żądasz?”

„Przybyłeś, by napaść na hacjendę?”

„Tak” — przyznał Indianin.

„Czy ci się to uda?”

„Czarnego Jelenia nikt jeszcze nie zwyciężył”:

„Czy masz ze sobą wielu wojowników?”,

„Dwa razy po dziesięć razy dziesięć”.

„Dwustu? To wystarczy. Dostaniesz w swe ręce trzech słynnych wodzów, skalpy wszystkich mieszkańców hacjendy i wszystko, co się w niej znajduje, jeśli nie zniszczysz domu, który jest moją własnością”.

Komancz namyślił się i oświadczył:

„Żądanie twoje będzie spełnione. A zatem, gdzie są ci trzej wodzowie?”

Uśmiechając się z zadowoleniem, hrabia odpowiedział:

„Właśnie w hacjendzie!”

„Uff ! Wywiodłeś mnie w pole!” — zawołał wódz.

„Ale ja mam twoje słowo!”

„Wódz Komanczów nigdy słowa nie łamie. Dom jest twój. Trzej nieprzyjaciele, skalpy i wszystko, co się w domu znajduje, należy jednak do Komanczów. Czy hacjenda zbudowana jest z kamienia?”

„Z mocnych kamieni i otoczona palisadą, ale ja znam wszystkie przejścia i przeprowadzę was. Znajdziecie się w środku domu, kiedy wszyscy mieszkańcy będą jeszcze twardo spali. Zbudzą się tylko po to, żeby paść pod waszymi nożami i tomahawkami”.

„Czy hacjendero ma dużo broni?”

„Pod dostatkiem, lecz to nie przyda mu się na nic”.

„Ilu ludźmi rozporządza ?”

„Jest ich może czterdziestu”.

„Cztery razy po dziesięciu? Ale każdy z trzech wodzów też zastąpi dziesięciu obrońców”.

„Grota Piorunowego nie trzeba brać w rachubę. Jest ranny, a może nawet już nie żyje. Ugodziłem go w głowę maczugą”.

„Uff! Walczyłeś z Grotem Piorunowym? Musisz być dzielnym wojownikiem!”

„Nie jestem tchórzem, choć zastałeś mnie w więzach”.

„Przekonam się o tym, gdy nas poprowadzisz do hacjendy. Jak sądzisz? Czy tam spodziewają się, że wojownicy Komanczów nadejdą, żeby się zemścić?” ,

„Mnie się zdaje, że nie. Nie słyszałem, żeby o tym mówiono”.

„Wyślę człowieka na zwiady”.

„To wielka nieostrożność!”

„Nie. Pójdzie nie Komancz, lecz Indianin z chrześcijańskiego szczepu Opato. Nie będą go o nic podejrzewali, a on zobaczy dokładnie, czy przygotowali się do walki”.

Nazajutrz rano wódz z hrabią i przewodnikiem poszli przez las na zwiady. Zatrzymali się na skraju płaskowzgórza, z którego można było objąć okiem El Reparo. Wtem ozwał się nie opodal przytłumiony huk.

„Co to?” — zapytał Czarny Jeleń.

„Strzał” — odrzekł przewodnik.

„Ale nie strzał ze strzelby; to wybuch miny” — objaśnił Alonzo, który domyślił się, co się mogło zdarzyć u podnóża góry.

Podeszli do samej krawędzi, spojrzeli w dół na potok i zobaczyli Czoło Bawole, który odjeżdżał z Indianami. Alonzo zauważył konia jucznego i -zwinięte na jego grzbiecie koce; domyślił się, że wieziono w nich część skarbów.

„Co to za ludzie?” — spytał Czarny Jeleń.

„Miztekowie — odrzekł hrabia — i Czoło Bawole ich wódz”.

„Uff! To jest Czoło Bawole! — szepnął Komancz mierząc Tekaltę posępnym okiem. — Niedługo zginie pod palem męczarni w naszym obozie”.

Gdy powrócili do ruin, wysłano do hacjendy zwiadowcę. Dostał lichą strzelbę i najgorszego konia. Otrzymał też rozkaz okrążenia hacjendy, aby jej mieszkańcom zdawało się, że nie przybywa z północy, lecz z południa.

Czoło Bawole stał przy oknie z hacjenderem i z Sercem Niedźwiedzim, kiedy szpieg wjeżdżał na dziedziniec.

„Uff! — rzekł Apacz z szyderczym uśmiechem. — To zwiadowca!”

Hacjendero zszedł na dół, kiedy Indianin wkraczał właśnie, do izby czeladnej. Przybysz ukłonił się uprzejmie gospodarzowi i zapytał:

„Czy to jest hacjenda del Erina?”

„Tak”.

„W której rządzi senior Arbellez?”

„Tak. Ja nim jestem”.

„O, wybaczcie mi, panie, że was nie poznałem! Czy mogę tu zajechać?”

„W imię Boże! Chętnie przyjmuję każdego gościa. Skąd przybywacie?”

„Z Durango. Byłem tam przez kilka lat, lecz febra wypędziła mnie stamtąd. Spodziewam się, że tu będzie mi lepiej. Może potrzebujecie wakera do służby?”

„Nie. Mam dość ludzi, ale mimo to zostańcie tutaj i odpoczywajcie, jak długo wam się podoba”.

„Dziękuję. Ponieważ nie potrzeba wam nikogo, a ta hacjenda jest ostatnią przed granicą, zobaczę, czybym nie

mógł tu żyć jako gambusino. A Komancze się tu nie włóczą? Słyszałem, że mają ochotę przekroczyć granicę”.

„Mylnie was objaśniono. Zaniechali tego z pewnością, bo wiedzą, że dostaliby tęgą nauczkę. Zostańcie więc, wypoczywajcie, jedzcie i pijcie z moimi ludźmi, ile chcecie”.

Hacjendero odszedł zostawiając Indianina w przekonaniu, że nikt się tu nie spodziewa napadu ze strony Komanczów. Szpieg nie potrzebował widocznie odpoczynku, bo włóczył się nieustannie po hacjendzie i w jej pobliżu, a po południu wsiadł na konia i odjechał. Oczywiście nie skierował się ku granicy, lecz wrócił tą samą drogą do Komanczów, którzy z wielką niecierpliwością na niego czekali. Gdy opowiedział, co widział, wódz skinął głową i rzekł z okrutnym uśmiechem:

„Hacjenda w trwodze przebudzi się ze snu, a synowie Kornanczów powrócą do swych, wigwamów z łupem i wielu skalpami”.

Poprosił hrabiego i zwiadowcę, żeby mu opisali dokładnie położenie i rozkład budynku, po czym odbyła się narada wojenna.

Postanowiono wyruszyć, gdy się tylko ściemni, a o północy zbliżyć się do hacjendy, otoczyć ją ze wszystkich stron, na dany przez wodza znak przeleźć przez palisadę i zaatakować dom. Pięćdziesięciu ludzi miało wtargnąć przez okna, opanować wszystkie pokoje i wymordować mieszkańców.

Gdy to omawiano w ruinach świątyni, na hacjendzie toczyła się podobna narada.

,,Czy są ognie sztuczne?” — zapytał Czoło Bawole.

„Jest tego dość. Wakerzy nie wyobrażają sobie święta bez ogni sztucznych — odpowiedział hacjendero. — Ale na co wam one?”

„Chodzi o to, żeby Komanczom odebrać konie i uniemożliwić szybką ucieczkę. Trzeba zobaczyć, gdzie zostawią stado, i w odpowiedniej chwili rozproszyć je za pomocą ogni sztucznych”.

„Ale do tego trzeba śmiałych i ostrożnych ludzi!”

„Mamy takich. Kiedy zaczniemy przygotowania?”

„Należałoby poczekać, aż się ściemni, ale ponieważ szpieg odjechał zupełnie zadowolony, przeto nie sądzę, żeby nas dalej śledzono. Możemy więc zacząć”.

Na hacjendzie zapanował ogromny ruch. Ani jeden z wakerów nie był, jak zwykle, na pastwisku, wszyscy znajdowali się wewnątrz palisady i przygotowywali się do obrony.

Wieczór upłynął w napięciu, a na godzinę przed północą Apacz wyruszył na zwiady. Wziął z sobą dwu dobrze uzbrojonych parobków, którzy nieśli ognie sztuczne w ilości dostatecznej do rozpędzenia w cztery wiatry tabunu, liczącego nawet tysiąc koni.

Wódz wrócił wkrótce, ale sam.

„Nadchodzą?” — zapytał hacjendero.

„Tak. Zsiedli z koni i otaczają palisadę. Konie stoją dalej nad potokiem pod opieką trzech dozorców”.

„No, to nasi dwaj ludzie dadzą sobie radę”.

Hacjendero udał się do izby chorego, gdzie siedziały dziewczęta. Były blade, ale panowały nad sobą.

„Zbliżają się?”.— spytała Emma.

„Tak. Czy Helmers śpi?”

„Bardzo mocno”.

„To możecie pójść na swoje stanowiska. Weźcie ze sobą lonty!”

Dziewczęta udały się na płaski dach domu, gdzie na każdym rogu leżał stos chrustu polanego naftą. Były tam

także potężne kamienie i nabite strzelby, aby i kobiety mogły wziąć udział w obronie.

Noc była cicha. Słychać było tylko szmer wody w potoku, a od czasu do czasu zaparskał na łące koń. Ale wszystkie serca uderzały mocno w oczekiwaniu walki.

Wtem rozległ się pełny, głęboki głos ropuchy, naśladowany tak łudząco, że w innych warunkach nie zwrócono by pewnie na niego uwagi. Teraz jednak mieszkańcy hacjendy zrozumieli, że jest to hasło do ataku.

W parterowym oknie, na prawo od drzwi wejściowych, stał Apacz, a po jego lewej ręce wódz Mizteków. Obydwaj trzymali w rękach rusznice i wpatrywali się bacznie w ciemność. Gdy zabrzmiał głos ropuchy, dwieście głów ukazało się natychmiast nad palisadą i dwieście ciemnych i zwinnych postaci zeskoczyło na dziedziniec. Właśnie pięćdziesięciu wojowników, którzy mieli wtargnąć przez okna, utworzyło oddzielną, zwartą grupę, kiedy Apacz wysunął swoją strzelbę przez okno.

„Ognia!” — zawołał.

Huknęła jego rusznica, a na ten znak dziewczęta wetknęły lonty w proch pod stosami chrustu i w oka mgnieniu zapłonęły cztery wielkie ogniska, które oświetliły dziedziniec. Stało się jasno jak w dzień. Indianie zatrzymali się przerażeni.

Ryknęło działko obsługiwane przez Francisca, a z każdego okna domu i z płaskiego dachu zaczęły błyskać wystrzały. A tam w dali — z góry można to było widzieć całkiem dobrze — wyleciały nagle z trzaskiem płonące rakiety i inne ognie sztuczne. Powietrze napełniło się głośnym rżeniem i parskaniem przestraszonych koni, które potargały rzemienie i rozbiegły się na wszystkie strony, aż ziemia drżała pod ich kopytami.

Komancze zawyli z wściekłości. Byli jaskrawo oświetleni i stanowili doskonały cel, w pokojach zaś było tak ciemno,

że nie mogli dać ani jednego pewnego strzału, nawet gdyby w tej powszechnej panice zdołali dobrze mierzyć. Nie spodziewali się takiego przyjęcia i utraciwszy w przeciągu pierwszych dwu minut połowę swoich ludzi, zaczęli uciekać. Czarny Jeleń zrozumiał, że wszystko przepadło, i chciał przeskoczyć także przez palisadę.

W tej chwili dostrzegł go Apacz.

„Tokwi-teju, Czarny Jeleniu! — zawołał. — Tu jest Serce Niedźwiedzie, wódz Apaczów. Czy wódz Komanczów będzie przed nim umykał?!”

Wyskoczył z okna i podbiegł do Czarnego Jelenia. Ten zatrzymał się.

„Tyś jest Serce Niedźwiedzie? Przybliż się do mnie! — odpowiedział. — Wnętrzności twoje dam sępom na pożarcie!”

Obaj wodzowie starli się mając w rękach tylko tomahawki, swą najstraszniejszą broń. Od razu było widoczne, że Serce Niedźwiedzie ma przewagę nad Komanczem, lecz nagle podbiegła do nich jakaś postać ze strzelbą w ręku. Był to Alonzo.

Hrabia nie chciał wystawić się na strzały nieprzyjacielskie, przykucnął więc pod palisadą i czekał na wynik ataku. Ale wynik ten był zupełnie inny, niż się spodziewał: Komancze uciekli. W zgiełku tej ucieczki posłyszał głos Apacza.

„Ach! — mruknął. — Może uda mi się zemścić”.

Widząc, że Serce. Niedźwiedzie pobiegł za Komanczem, ruszył za nim. Podczas walki przyskoczył i uderzył Apacza kolbą w głowę tak, że ten runął na ziemię. Komancz wyjął nóż, aby dobić ogłuszonego przeciwnika, lecz Alonzo nie dopuścił do tego.

„Wstrzymaj się! — rzekł. — On zasłużył na inną śmierć”.

„Masz słuszność! — odpowiedział Czarny Jeleń. — Prędzej do koni!”

„Do koni? Nie ma ich!”

„Nie ma?” — zapytał wódz przestraszony.

„Tak. Spłoszono je ogniami sztucznymi”.

„Uff! Uciekajmy, bo będzie za późno!”

Pochwycili Apacza pod ramiona i pobiegli wlokąc go po ziemi.

Był już najwyższy czas. Gdy Czoło Bawole zauważył z okna, że Apacz rzucił się za wodzem Komanczów, zrozumiał, że naraża się on na bardzo wielkie niebezpieczeństwo. Zebrał więc czym prędzej załogę, aby zrobić wypad. Dziedziniec był już pusty, zasłany tylko trupami Komanczów.

„Za nimi!” — krzyknął Indianin.

Otworzono bramy i dzielni obrońcy wypadli na otwarte pole, gdzie wszczęły się walki w pojedynkę. Czoło Bawole biegał jakiś czas dokoła hacjendy w zasięgu światła ognisk, lecz nie znalazł ani śladu Apacza.

Upłynęło kilka godzin, zanim Serce Niedźwiedzie odzyskał przytomność. Otworzywszy oczy zobaczył najpierw ognisko, a potem kilkunastu Komanczów siedzących dokoła niego. Poczuł, że jest skrępowany; po jego prawej stronie siedział Czarny Jeleń, a po lewej Alonzo. Zwróciwszy oczy w górę, poznał po gwiazdach, że do rana już niedaleko. Znajdowali się w ruinach świątyni.

Alonzo zauważył, że Apacz otworzył oczy.

„Przebudził się!” — rzekł.

Natychmiast spojrzenia Komanczów skierowały się na jeńca. Słyszeli o nim wszyscy, lecz niewielu dotychczas go widziało. Nieszczęście, które go spotkało, Apacz przyjął ze spokojem właściwym Indianom. Głowa bolała go od uderzenia, ale przypomniał sobie natychmiast wszystko, co się wydarzyło.

„Trwożliwa żaba Apaczów jest w niewoli” — rzekł Czarny Jeleń.

Serce Niedźwiedzie roześmiał się pogardliwie.

„A lew Komanczów umykał przed tą żabą!”. — powiedział.

„Psie!”

„Szakalu!”

„Serce Niedźwiedzie dał się pobić Czarnemu Jeleniowi!”

„Kłamiesz!”,

„Milcz!”

„Nie ty mnie zwyciężyłeś. Ten tchórz hrabia powalił mnie podstępem. Na tym kończę swoją rozmowę z tobą. Serce Niedźwiedzie pogardza uciekającymi wojownikami”.

„Będziesz mówił, skoro rozpoczną się męki”.

Apacz nic nie odpowiedział, a wódz Komanczów oświadczył:

„Dzień się zaczyna. Dłużej nie możemy tu pozostać. Zróbmy sąd nad tym człowiekiem, który się mieni wodzem”.

Utworzono koło w milczeniu, a Czarny Jeleń wstał i w długiej mowie wyliczył zbrodnie Apacza.

„Zasłużył na śmierć” — rzekł na koniec.

Wszyscy zgodzili się na ten wyrok.

„Czy zabierzemy go do wigwamów Komanczów?” — spytał wódz.

Naradzono się nad tym i uchwalono zabić jeńca na miejscu, gdyż czekała ich daleka i niepewna droga.

„Ale jaką śmiercią ma umrzeć?”

W tej chwili wstał hrabia Alonzo, który dotychczas nie odezwał się ani słowem.

„Niech jego los będzie taki, jaki mnie miał przypaść w udziale — powiedział. — Przywiążemy go do drzewa i

wydamy na żer aligatorom. Niech wycierpi te same męki, których ja skosztowałem”.

Na te słowa zerwały się radosne okrzyki. wśród Komanczów, a wszystkie oczy zwróciły się na Apacza, ażeby z twarzy jego wyczytać wrażenie, jakie na nim zrobił ten wyrok. Ale oblicze wodza było jak wykute ze spiżu. Nie drgnął nawet i ani jedno słowo nie wyszło z jego ust.

„Czy mamy dość rzemieni?”

„Tak. Tu leżą jeszcze te, na których ty wisiałeś, zresztą jeśli któryś z Komanczów pochwycił konia, to musi mieć i lasso”.

Kilku Indianom udało się rzeczywiście schwytać po jednym z błąkających się koni.

„Czy wódz Apaczów ma jaką prośbę?” — rzekł Czarny Jeleń do jeńca.

Serce Niedźwiedzie przypatrzył się swym wrogom. Zauważył, że jest ich tylko szesnastu.

„Wódz Apaczów o nic nie prosi — odpowiedział. — Nóż pożre wszystkich tutaj zebranych. Serce Niedźwiedzie to powiedział i nie będzie wył i wrzeszczał jak tchórzliwa blada twarz. Howgh!”

Najsilniejszy z Komanczów wylazł na drzewo i wkrótce Apacz zawisł nad wodą.

„Czy moi bracia wrócą do swych myśliwskich ostępów?” — spytał Alonzo.

„Najpierw muszę się zemścić” — odparł wódz posępnie.

„Niech moi czerwoni bracia poszukają reszty wojowników, którzy się jeszcze błąkają po lesie. Skoro się wszyscy zgromadzą, wyjawię im, jak będą mogli się zemścić”.

„Gdzie się spotkamy?”

„W tym samym miejscu”.

„Dobrze! Zrobimy wedle rady białego brata. Może jego drugie słowo przyniesie nam więcej szczęścia aniżeli pierwsze”.

Komancze odeszli na poszukiwanie niedobitków swego oddziału. Hrabia pozostał, pasł przez pewien czas oczy widokiem aligatorów usiłujących pochwycić Apacza, a potem się oddalił. Chciał przede wszystkim sprawdzić, co robił nad potokiem Czoło Bawole ze swymi Indianami. To był główny powód, dla którego skłonił Komanczów do odejścia.

Zaledwie ucichły jego kroki, twarz Apacza drgnęła radością, a usta wyszeptały ciche: „Uff!” Lasso przeciągnięto mu pod pachami. Podrzucił nogi jak gimnastyk na drążku i zawisł do góry nogami.

Ręce miał skrępowane, ale na szczęście nie przywiązane do ciała. Rzemień, opasujący mu nogi w kostkach, pozwalał na ruchy kolan. Na tym oparł Apacz nadzieję ocalenia. Był o wiele silniejszy i zręczniejszy od hrabiego, który w takiej samej sytuacji wcale o ratunku nie pomyślał. Wyginając ciało i chwytając się na przemian to rękami, to znów kolanami, windował się w górę po lassie, aż spocony z wysiłku dostał się na konar. Położył się na nim na poprzek i odpoczywał minutę.

Na razie umknął aligatorom, lecz położenie jego było ciągle krytyczne. Gdyby zjawił się teraz któryś z Komanczów albo gdyby nie zdołał rozwiązać pęt, byłby zgubiony.

Leżał na” grzbiecie w poprzek gałęzi tak, jak się kładzie cyrkowiec na drążku, aby wykonać obrót. Zgiął kolana i w ten sposób dosięgnął z tyłu rzemienia opasującego mu nogi. Znalazłszy węzeł, spróbował go rozplątać. Trwało to długo, bardzo długo, lecz w końcu mu się udało. Podniósł jedną nogę bokiem na konar, a wreszcie usiadł na nim tak, że mógł związanymi na plecach rękoma dosięgnąć tego miejsca na gałęzi, gdzie był przywiązany górny koniec lassa. Po długich wysiłkach, przy których krew puściła mu się z

palców, zdołał wreszcie rozwiązać rzemień i zleźć z drzewa, choć ze związanymi rękami. Byłoby to niepodobieństwem, gdyby drzewo rosło prostopadle, ale na szczęście pochylało się bardzo znacznie nad wodą.

Trzeba było jeszcze uwolnić ręce. Przeciskając się pomiędzy krzakami i skałami, rozglądał się badawczo, aż wreszcie znalazł krawędź skalną tak ostrą, że można było na niej przeciąć rzemień. Oparł się plecami o drzewo i dopóty tarł więzami o krawędź, dopóki ich nie przepiłował. Teraz był już zupełnie wolny.

Walka, która z początku szalała na dziedzińcu hacjendy, toczyła się dalej na otwartym polu, Po godzinie, gdy wielu Komanczów padło z ręki obrońców, Czoło Bawole zwołał załogę.

„Otrzymali straszną naukę i nie wrócą tak rychło” — rzekł Arbellez, ciesząc się ze zwycięstwa.

„Nasze zadanie jest jeszcze nie skończone — rzekł Czoło Bawole. — Musimy zniszczyć resztę Komanczów. Wiemy, że przed napadem obozowali w pobliżu El Reparo i tam z pewnością zgromadzili się teraz. Musimy pójść za nimi. Czy powierzycie mi ze dwudziestu swoich wakerów?” „Chętnie”.

„Gdzie też może być Apacz?” — spytał Francisco. „Pojmany — powiedział wódz Mizteków. — Popędził za Czarnym Jeleniem. Komancze, widząc wodza w niebezpieczeństwie, rzucili się pewnie na niego i wzięli go do niewoli”.

„Musimy go wyswobodzić!” — rzekł Francisco. „Uwolnimy go — odpowiedział Czoło Bawole stanowczo. — Wezmę nawet dla niego strzelbę. Na koń!”

Dwudziestu ludzi odjechało cwałem. Zatoczyli łuk, aby dotrzeć do płaskowzgórza od południowej strony. Przybyli tam o świcie, a gdy pozostawiwszy konie w ukryciu, wdrapali się na górę, było już całkiem jasno. Posuwali się z

największą ostrożnością ku ruinom i mijali właśnie małą polankę, kiedy z boku zabrzmiał okrzyk:

„Ugh!”

Spojrzeli w tym kierunku i zobaczyli nie uzbrojonego spieszącego do nich Indianina.

„Serce Niedźwiedzie!” — zawołał jeden z wakerów.

„Tak, to on! To wódz! — rzekł Czoło Bawole z radością. — Czy mój brat spotkał zbyt wielu nieprzyjaciół, którzy zwyciężyli go?”

„Nie. Walczyłem z Czarnym Jeleniem, gdy wtem podeszła z tyłu zdradziecka blada twarz i uderzyła mnie kolbą w głowę, tak iż padłem ogłuszony”.

„Jaka blada twarz?”

„Hrabia”.

„Ach! To on żyje? Aligatory nie pożarły go?” — spytał Tekalto zdumiony.

„Żyje. Psy Komancze znalazły go i ocaliły”.

„A on poprowadził ich na hacjendę? Przeciw swojej własnej posiadłości, przeciwko swoim ludziom? Damy mu teraz dobrą nauczkę! Gdzie on jest?”

„Tutaj w górach. Powróci nad staw, aby spotkać się z Komanczami, którzy zeszli teraz na równinę, chcąc zebrać rozproszonych wojowników. Wiem to, bo wisząc na drzewie słyszałem ich rozmowę. Hrabia wydał na mnie wyrok i przywiązano mnie nad stawem z aligatorami, zupełnie tak samo jak jego”.

„Ale jak się mój brat uwolnił?”

„Wódz Apaczów nie boi się Komanczów i aligatorów — odpowiedział z pogardą Serce Niedźwiedzie. — Czekał spokojnie i kiedy nieprzyjaciele odeszli, sam się wyswobodził”.

„Serce Niedźwiedzie jest ulubieńcem Manitou — rzekł Czoło Bawole. — Jest mądrym i dzielnym wojownikiem. Inny nie uwolniłby się tak szybko. Kiedy Komancze

wrócą nad staw?”

„Tego nie powiedzieli. Ukryjmy się tam i zaczekajmy na nich”.

Jeźdźcy pomknęli przez las, zacierając starannie ślady, dopóki nie dotarli na skraj boru otaczającego staw, gdzie ukryli się dobrze w gęstwinie.

„A co zrobimy — zapytał Czoło Bawole —

jeśli Komancze zauważą, że wódz Apaczów im umknął? Domyślą się przecież, że sprowadzi pomoc”.

„Nie zauważą tego” — odpowiedział Apacz.

Wyszedł z zarośli i zebrał leżące w pobliżu pnia lassa, którymi był przywiązany do drzewa. Ostrym kamieniem rozciął dolne końce rzemieni, aby się zdawało, że się same rozdarły. Potem wylazł na drzewo i przywiązał je do konara tak, jak były przymocowane poprzednio. Teraz mogło się wydawać, że aligatory ściągnęły wiszącego nad nimi skazańca.

Obaj Indianie i wakerzy leżeli dłuższy czas zaczajeni w swej kryjówce. Nagle usłyszeli tętent. To Czarny Jeleń przyprowadził oddział złożony z trzydziestu Komanczów. Stwierdził z zadowoleniem, że Apacza pożarły już aligatory, i rozkazał swoim ludziom rozłożyć się nad brzegiem stawu.

Potem przybyła jeszcze garść spóźnionych wojowników, tak że oddział wzrósł do liczby pięćdziesięciu ludzi. Nie przetrząsali sąsiedniego lasu, co świadczyło o tym, że Czarny Jeleń nie miał zamiaru dłużej tu popasać. Dotychczas siedział w pełnym godności milczeniu, ale teraz się odezwał:

„Kto widział bladą twarz?”

„Hrabiego?” — spytał ktoś.

„Tak”.

Okazało się, że nikt z Indian go nie widział.

„Poszukać jego śladów!”

Wszyscy powstali, by spełnić ten rozkaz.

„Zaczyna być niebezpiecznie!” — szepnął Apacz.

Czoło Bawole potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

„W lesie zatarliśmy nasze ślady — rzekł — lecz jeśli Komancze pójdą dalej, to je znajdą. Musimy zaczynać”.

Dał znak wakerom i natychmiast wysunęły się z zarośli lufy dwudziestu strzelb.

„Ognia!”

Huknęły strzały i kilku Komanczów padło ugodzonych śmiertelnie. Reszta zerwała się i popędziła do koni. Nastąpiła chwila straszliwego zamieszania, podczas której wakerzy nabili broń na nowo. Zabrzmiała druga salwa, prawie tak samo straszna w skutkach jak pierwsza. Nie ścigano tych niewielu Komanczów, którym udało się umknąć, zabrano tylko broń i amunicję poległym. Następnie odszukano ukryte w dolinie wierzchowce i zawrócono w stronę hacjendy. Apacz dosiadł konia jednego z poległych Komanczów.

Tymczasem hrabia Alonzo, opuściwszy staw, zszedł z góry, aby dostać się do jaskini skarbów królewskich. Ale znalazł tam tylko kupę odłamów skalnych, w której gorączkowo zaczął szukać przejścia. Przekonał się po chwili, że drogi do skarbów nigdy już nie odnajdzie.

Z dzikim przekleństwem na ustach opuścił gruzy i pospieszył na płaskowżgórze, aby Komancze nie musieli zbyt długo na niego czekać. Zaczął wchodzić na północny stok, kiedy naraz posłyszał tętent. Z kryjówki, w której schował się czym prędzej, dostrzegł ośmiu przejeżdżających Komanczów. Wyszedł z krzaków i zawołał:

„Wy dokąd?”

„Uff! Blada twarz! — rzekł jeden z nich. — Jedziemy w dolinę”.

„Czemu? Przecież wasi są na górze!”

„Nie żyją! — zgrzytnął Indianin. — Blade twarze napadły na nas, zginęło wielu wojowników i wódz, Czarny Jeleń. Byli to wakerzy z hacjendy, a sprowadził ich Apacz, Serce Niedźwiedzie”.

„Do stu piorunów! Przecież wisiał na drzewie!”

„Uwolnił się”.

„Niech go diabeł porwie! Jak się wydostał?”

„Pewnie oswobodziły go blade twarze. Gdybyś był przy nim pozostał, nie doszłoby do tego”.

„Do kroćset diabłów! Teraz wszystko przepadło!”

„Wszystko, tylko nie zemsta”.

„Tak, tylko nie zemsta — rzekł hrabia w zamyśleniu. — Cóż teraz zrobicie?”

„Wrócimy do naszych siedzib”.

„Po nowych wojowników?

„Tak”.

„Nie przyniósłszy ani jednego nieprzyjacielskiego skalpu? Bez zdobyczy?”

„Wielki Duch gniewał się na nas! Później zbierzemy dość skalpów i łupów”.

„A teraz nie wzięlibyście wielu pożytecznych i pięknych rzeczy?”

„Od kogo?”

„Ode mnie”.

„Od ciebie? Ty nawet konia nie masz! Cóż możesz nam dać?”

„Konia schwytam na pastwiskach hacjendy. Potem wrócę do stolicy, a wy będziecie mi towarzyszyli”.

„Do stolicy? Dlaczego?”

„Będziecie mnie bronili. Trudno odbyć samotnie taką drogę. Jeśli mnie doprowadzicie szczęśliwie, otrzymacie cenne podarunki”.

„Cóż ty posiadasz?”

„Jestem hrabią i wielkim wodzem, a u ojca mego jest wszystko, czego wam potrzeba”.

„Czy ma broń, proch i ołów?”;

„Ile zażądacie”.

„A paciorki i ozdoby dla naszych skwaw?”

„Także”.

To zachęciło widocznie czerwonoskórych.

„Dobrze! Odprowadzimy cię i będziemy strzec w drodze. Czy dasz każdemu z nas strzelbę, po dwa noże i dwa tomahawki oraz tyle prochu i ołowiu, ile się zmieści w naszych sakwach?”

„Dostaniecie to wszystko”.

„I dużo ozdób?”

„Dam wam tyle łańcuchów, pierścieni, szpilek i paciorków, że będziecie zadowoleni”.

„Howgh! Pójdziemy z tobą, ale dwaj wojownicy muszą się od nas odłączyć, aby udać się do naszych siedzib po mścicieli Komanczów. Zemsta nie powinna zasnąć”.

„To wybierzcie sobie tych dwu. Mnie i sześciu wystarczy”.

Wylosowano dwu wojowników, bo nikt nie chciał dobrowolnie wracać do rodzinnej wsi, by oznajmić o doznanej klęsce. Pozostałych sześciu wybrało sobie wodza, po czym postanowiono schwytać konia dla hrabiego.

Dwaj wysłańcy zamiast udać się prosto na północ, postanowili przez ostrożność pojechać okrężną drogą. Skręcili więc ku południowemu stokowi góry El Reparo, aby

uniknąć spotkania z nieprzyjaciółmi. Ale to właśnie ich zgubiło.

Wakerzy pod dowództwem obydwu Indian wyjechali właśnie z lasu i mieli skręcić w dolinę, kiedy Apacz zatrzymał nagle konia.

„Ugh!” — zawołał wskazując przed siebie.

„To Komancze! — rzekł Czoło Bawole. — Warto by ich schwytać żywcem! Weźcie lassa do ręki!”

Kiedy dwaj jeźdźcy zbliżyli się, wakerzy wypadli z lasu. Komancze stropili się na chwilę, ale zaraz rzucili się do ucieczki. Na nic się to jednak nie zdało. Ścigający utworzyli półkole, które po chwili stało się kołem, i osaczyli zbiegów ze wszystkich stron.

Teraz Komancze pochwycili za broń, aby jak najdrożej sprzedać życie. Zranili kilku wakerów, ale wnet lassa owinęły się dokoła ich ciał i zostali ściągnięci z koni.

Apacz przystąpił do nich i rzekł:

„Liczba Komanczów bardzo zmalała, a i was aligatory połkną żywcem, jeśli nam nie odpowiecie”.

„Co chcesz wiedzieć?” — zapytał jeden z pojmanych.

„Ilu z was zostało przy życiu?”

„Ośmiu”.

„A gdzie tamtych sześciu?” „Z hrabią”.

„Gdzie on się znajduje?”

„Tego nie wiemy”.

Apacz wyciągnął nóż i zagroził:

„Jeśli nie powiecie prawdy, zerwę wam żywcem skórę z głów”.

„A jeśli powiemy?”

„W takim razie umrzecie śmiercią chwalebną”.

„Czy zostawisz nam skalpy i pochowasz nas z bronią?”

„Uczynię to, choć Komancze nie zasługują na ten zaszczyt”.

„Pytaj więc dalej”.

„Gdzie zatem jest hrabia?”

„Udał się na pastwiska bladych twarzy, aby tam ukraść konia”.

„A potem co zamierza uczynić?”

„Chce dostać się do stolicy, dokąd ma go odprowadzić sześciu Komanczów, których wziął do obrony swojej osoby”.

„Co im za to obiecał?”

„Strzelby, noże, ołów, proch i ozdoby dla skwaw”.

„W którym kierunku ruszył na pastwiska?” — zapytał Tekalto.

„Prosto na wschód”.

„Gdzie rozstaliście się z nim?”

„Tam, gdzie na północy góra styka się z doliną”.

„W takim razie wiem, gdzie był. Znajdę ślad jego. Powiedzieliście nam prawdę, a w nagrodę za to zginiecie śmiercią wojowników”.

Łowca bizonów podniósł strzelbę i dwa strzały huknęły jeden po drugim. Indianie nie drgnęli nawet, kiedy ujrzeli zwrócone do siebie wyloty luf, i po chwili leżeli bez życia na ziemi.

„Sanchez i Juanito zostaną tutaj, by pochować Komanczów i przykryć groby kamieniami, bo chcę dotrzymać danego słowa.— rzekł wódz. — My zaś pójdziemy śladem hrabiego; musimy go wreszcie pochwycić!”

Ruszyli w drogę, zostawiwszy dwu wakerów przy zabitych Komanczach. Bystrym oczom wodzów udało się wkrótce odnaleźć ślady hrabiego i jego sześciu towarzyszy. Wiodły one istotnie ku pastwiskom, których teraz nikt nie pilnował, ponieważ wszyscy wakerzy znajdowali się na

hacjendzie. Okazało się, że Alonzo schwytał jednego konia, a potem puścił się prosto na południe. Śledzono jego trop jeszcze przez godzinę, ale wreszcie Czoło Bawole kazał stanąć.

„Teraz dalej nie pójdziemy — rzekł. — Potrzebują nas zapewne na hacjendzie, a nie mamy już wątpliwości, że hrabia rzeczywiście podążył do stolicy, bo ślady wiodą w tym kierunku. Nie ujdzie nam, znajdziemy go w mieście”.

Wrócili na hacjendę, gdzie zastali wakerów uprzątających zwłoki Indian i szańce, które usypano dla armat. Hacjendero wyszedł naprzeciw wodzów uśmiechając się radośnie.

„Dzięki Bogu, że przybywacie! — rzekł. — Niepokoiliśmy się już o was. Jak wam się powiodło?”

„Czarny Jeleń nie żyje — odrzekł Czoło Bawole — a z jego wojowników uszło tylko sześciu”.

„Dokąd się udali?”

„Do stolicy. Odprowadzają tam hrabiego. Opuścił on okolice hacjendy, ale nie ujdzie przed naszą zemstą”.

„Dajcie mu spokój! Jest panem tego domu, a ja nie mogę się z nim prawować”.

Obaj wodzowie spojrzeli na hacjendera ze zdumieniem.

„Przecież on poprowadził Komanczów na hacjendę” — zauważył Czoło Bawole.

„Ja nie jestem Indianinem!” — odparł Arbellez.

„Pshaw! Biali nie mają wcale krwi w żyłach! Wy możecie przebaczyć hrabiemu, ale ja muszę z nim pomówić! A jak tam z naszym bratem, Grotem Piorunowym?”

„Zbudził się nareszcie”.

„Chcielibyśmy się z nim zobaczyć”.

Obaj wodzowie weszli do domu. Tekalto zaprowadził. Apacza do pokoju siostry, gdzie złożył złoto i klejnoty

przeznaczone dla Helmersa. Zastali tam Karię leżącą w hamaku i patrzącą tępo przed siebie. Zauważywszy wchodzących zerwała się i zapytała:

„Przybywacie? Jako zwycięzcy?

„Tak”.

„A on? Czy aligatory go pożarły?”

„Nie” — odparł Czoło Bawole patrząc na nią badawczo.

„Nie? — spytała dziewczyna, a twarz jej spochmurniała. — Daliście umknąć łotrowi, który zasłużył na moją nienawiść?”

Czoło Bawole z radością stwierdził, że siostra myśli teraz tylko o zemście.

„Psy Komancze — rzekł — uwolniły go, a powiesiły nad stawem mego brata, wodza Apaczów”.

Dziewczyna spojrzała ze zdumieniem na Serce Niedźwiedzie.

„Wodza Apaczów? — zapytała. — Wszak on tu stoi!”

„Sam się wyswobodził, a potem zwyciężył Komanczów”.

Jako Indianka, Karia zrozumiała aż nadto dobrze, co się kryło w tych słowach.

„To bohater! — rzekła rzucając na Apacza pełne zachwytu spojrzenie. — A hrabia zdołał umknąć?”

„Udał się do stolicy. Odprowadza go sześciu Komanczów”.

Karia wyprostowała się i zapytała:

„A ty pozwoliłeś mu odjechać? Daj mi konia, a doścignę go i zabiję!”

Czoło Bawole uśmiechnął się zachwycony.

„Zostań tu! — rzekł. — Dogonimy go jeszcze. Ja ruszę za nim”.

„Czy zabijesz go, gdy się z nim spotkasz?”

„Tak. On znieważył córkę Mizteków i padnie z mojej ręki!”

„Albo z mojej!” — rzekł Apacz poważnie.

„Uff! Czy mój brat zechce mi towarzyszyć do miasta?” — zapytał łowca bizonów.

Serce Niedźwiedzie spojrzał na Indiankę, zobaczył blask jej oczu i odpowiedział:

„Karia jest siostrą Apacza i musi być pomszczona!”

Podał obojgu ręce, a oni uścisnęli je gorąco.

„Serce Niedźwiedzie jest naprawdę bratem wodza Mizteków — rzekł. Czoło Bawole. — Niechaj więc jedzie ze mną! Ale teraz chodźmy odwiedzić naszego białego przyjaciela!”

Obaj Indianie i Karia zabrali koce z kosztownościami i zanieśli je do pokoju chorego, który miał wprawdzie jeszcze obwiązaną głowę, ale patrzył przytomnie i wyciągnął do przyjaciół ręce na powitanie. Przy nim siedział hacjendero z córką.

„Leżałem długo, bardzo długo bez przytomności — powiedział Helmers. — Uderzenie pałką musiało być niezmiernie silne. Cud, że jeszcze żyję, a raczej wracam do życia”.

„Czy mój brat bardzo cierpi?” — zapytał Serce Niedźwiedzie.

„Bólu już nie czuję, tylko w głowie mi huczy. Ale jak wam poszło z Komanczami?”

Indianie usiedli i opowiedzieli wszystko Helmersowi. Zwierzyli mu się także z zamiaru ścigania hrabiego, żeby zemścić się na nim, jeśli nie w drodze, to w mieście. Chory przysłuchiwał się uważnie, po czym zapytał:

„Czy chcecie go zabić?”

„Tak — powiedział Czoło Bawole — ale przedtem zmuszę go do spełnienia obietnicy. Musi ożenić się z moją siostrą, Karią. Ona wyruszy z nami do stolicy. Nikomu nie wolno oszukiwać córki Mizteków, dziewczyny pochodzącej z rodu dawnych królów, wobec których biały hrabia jest niczym!”

„Chcesz więc uczynić ją żoną hrabiego, a zaraz potem wdową?”

„Tak”.

„Tego mój brat nie zrobi”.

„Czemu? Postanowiłem to i wykonam mój zamiar”.

„Czy znasz prawa bladych twarzy?”

„Co mnie obchodzą ich prawa!”

„W tym wypadku znaczą bardzo wiele. Nie znalazłbyś kapłana, który by się ośmielił złączyć to małżeństwo”.

„Ja go zmuszę!”

„Wówczas małżeństwo nie będzie ważne. Karia nie jest chrześcijanką i nie może zostać żoną chrześcijanina”.

„Czy to prawda?”

„Tak”.

„Uff, uff! W takim razie muszę porzucić mój zamiar, ale hrabia zginie tym pewniej. Czy wolno mi pokazać, co ci przyniosłem?”

Helmers skinął głową. Gdy rozwinięto koce, zabłysły świetnymi barwami wspaniałe kosztowności.

„Oto część skarbu królewskiego, którą ci przyrzekłem — rzekł Czoło Bawole. — Nie mogłeś zabrać tych klejnotów sam, a więc ja ci je przyniosłem”.

Helmers patrzył na iskrzące się kosztowności, ale w oczach jego nie było zachwytu.

„To twoje — rzekł Tekalto. — Jesteś teraz jednym z najbogatszych mężów wśród bladych twarzy. Ale oko twoje

jest spokojne, a twarz się nie rozjaśnia! Czy nie odczuwacz radości?”

„Owszem, cieszę się bardzo, ale nie dla siebie, bo chcę nadal zostać westmanem i złoto mi niepotrzebne. Raduję się szczęściem mego brata, któremu poślę ten skarb. Korzystać z niego będzie nie tylko moja rodzina, lecz także wiele wdów i sierot mojej ojczyzny. Ja omal życiem nie przypłaciłem królewskiego złota. To drogi i niebezpieczny kruszec, dlatego rozumiem, że czerwoni mężowie nie chcą o nim nic wiedzieć. Nie mogę jednak jeszcze powiedzieć, czy ten dar przyjmę, czy nie”.

„Czemu? Jakie mogą być powody odmowy?” — pytał Tekalto zdziwiony.

Helmers przesunął powoli dłonią po twarzy, spojrzał badawczo na swych obu przyjaciół i odrzekł:

„Może obaj wodzowie, Serce Niedźwiedzie i Czoło Bawole, niezupełnie mnie zrozumieją, bo są wojownikami, którzy zwykli kierować się tylko prawem odwetu. Ja jednak myślę inaczej, gdyż od dawna jestem przyjacielem Winnetou i Old Shatterhanda, którzy zawsze gotowi są przebaczyć nieprzyjaciołom. Wiem, że w pewnych okolicznościach nie wolno wojownikowi zawahać się przed zniszczeniem wroga. Kiedy szło o ocalenie seniority Emmy i Karii, strzelałem do Komanczów bez namysłu. Ale teraz niebezpieczeństwo minęło, nieprzyjaciel jest zwyciężony i dalszy rozlew krwi byłby nie tylko zbyteczny, lecz wprost nieludzki. Z dwustu Komanczów tylko nieznaczna liczba zdołała się ocalić. Czy nie dość popłynęło krwi? Czy hrabia was zabił, czy też przelał krew waszą? Czy chwile, kiedy wisiał nad stawem, nie były dlań gorsze od śmierci? Zdaje mi się, że wiele grzechów w ten sposób odpokutował”.

„Jak to?” — spytał Tekalto.

Chciał mówić dalej, lecz Helmers przerwał mu:

„Niech mój brat mnie posłucha! Jeśli hrabia dopuści się jeszcze czegoś złego względem was — wtedy go zabijecie. Nie będę miał nic przeciwko temu. Ale teraz życzę sobie, żebyście go nie ścigali i proszę was o to usilnie. Jeśli spełnicie moje życzenie, przyjmę ten dar od ciebie; w przeciwnym razie — nie”.

„Czy naprawdę tak uczynisz?”

„Tak. Wiesz przecie, że słowa zawsze dotrzymuję. Nie zostawiajcie mnie długo w niepewności, lecz naradźcie się zaraz. Spełniając moje życzenie, sprawicie mi nie mniejszą radość niźli złotem, na którym jest tyle ludzkiej krwi”.

„Uff! Mój brat tak chce; naradzimy się więc zaraz”.

Wstał i wyszedł wraz z siostrą i Apaczem. Emma podała Helmersowi rękę, mówiąc:

„Jesteście szlachetnym człowiekiem, senior Antonio! Z serca wyjęliście mi te słowa i dziękuję wam za to. Pójdę teraz za waszymi przyjaciółmi i poproszę ich o to samo co wy. Życzenia dwóch osób łatwiej się spełniają niż jednej”.

Emma wyszła w towarzystwie ojca. Po kwadransie powrócili wszyscy, a Tekalto oświadczył patrząc z podziwem na Helmersa:

„Zwyciężyłeś, a dopomogły ci w tym imiona Winnetou i Old Shatterhanda. Seniorita prosiła nas także, przeto wyrzekamy się zemsty. Wódz Mizteków, Czoło Bawole, nie zaniechał nigdy czegoś, co postanowił uczynić.- Dzisiaj wyrzeka się swoich zamiarów po raz pierwszy. Krew już więcej nie popłynie, możesz spokojnie wziąć złoto z królewskiego skarbu”.

„Tak. Zmarnowało się przez nie wiele istnień, niechże więc teraz licznej rzeszy ludzi przyniesie szczęście i błogosławieństwo. Dziękuję wam za to”

VII. PIRAT

— Tak, seniores — zakończył meksykański adwokat swoje opowiadanie. — Taka jest historia hrabiego de Rodriganda. Co się potem stało z tym. obiecującym młodzieńcem, to rzecz drugorzędna. Chciałem tylko dowieść, że Indianin jest często” daleko lepszy aniżeli biały. Obaj wodzowie, Apacz i Miztek, złożyli na to przekonujące dowody. A cóż dopiero mówić o Winnetou, który jest po prostu wzorem prawości i wspaniałomyślności! Człowiek gotów jest ubolewać, że nie ma czerwonej skóry, lecz białą. Co do zdarzenia, w którym główną rolę odegrał Sam Firegun i jego towarzysze, to popłynęło wprawdzie wtedy wiele krwi, ale okoliczności tak się ułożyły, przeciwnicy byli tak niebezpieczni, że oszczędzanie ich było wykluczone. Żal mi tylko, że ten Sanders zginął w uczciwej walce. Zasłużył nie na nóż, lecz na porządny stryczek z dobrych konopi.

Na to odezwała się od szynkwasu pani Thick:

— On też na nim zawisnął!

— Jak to? Opowiedziano nam przecież, że sternik zakłuł go podczas bitwy w wąwozie.

— To nieprawda. Dżentelmen, który przedstawił ten wypadek, nie znał widać zakończenia walki. Sandersa nie zakłuto, a Letrier także nie zginął. Uniknęli śmierci i dopiero potem ich pojmano.

— Czy to prawda, senior?

Meksykanin zwrócił się z tym pytaniem do byłego agenta handlowego, na którego twarzy odbiło się lekkie zakłopotanie.

— Hm — mruknął — na jakiej podstawie pani Thick twierdzi, że Sanders wtedy ocalał?

— Wiem o tym, i to całkiem dokładnie — odpowiedziała gospodyni.

— Od kogóż to?

— Od kogoś, kto był przy tym. Mam na myśli agenta policji, Treskowa. Jeśli mi nie wierzycie, on sam może wam o tym opowiedzieć.

— Musiałby tu być.

— On też jest tutaj.

— Gdzież to?

— Odwróćcie się i przypatrzcie dżentelmenowi siedzącemu za wami przy ostatnim stole! Nie zauważyliście : go dotąd, bo dopiero co wyszedł z sąsiedniej izby.

Handlowiec obejrzał się, zerwał ze swego miejsca i wyciągając obie ręce zawołał:

— Mr Treskow, rzeczywiście, to Mr Treskow! Od naszego spotkania upłynęło już wiele lat, ale mimo to poznaję was dobrze. Jakże się cieszę! Co sprowadza was tutaj?

— Bywałem tu częściej w ostatnich czasach i zajeżdżałem zawsze do pani Thick.

— W interesach?

— Hm! Moje sprawy to nie są właściwie interesy. — rzekł z uśmiechem Treskow.

— Wciąż jeszcze jesteście detektywem? — Tak.

— Chcecie może któregoś z nas przychwycić?

— Skądże! Jestem pewien, że znajdują się tu sami dżentelmeni, którzy nie potrzebują obawiać się policji. Mieszkam u pani Thick od kilku dni. Siedząc w sąsiedniej izbie, słyszałem wasze opowiadania. Kiedy zaczęliście mówić o Samie Firegunie, Pitcie Holbersie i Dicku Hammerdullu, nie mogłem dłużej wytrzymać i wszedłem tutaj.

— Czy poznaliście mnie?

— Natychmiast!

— Oczywiście! To głupota pytać detektywa, czy mnie poznał! Cieszę się niezmiernie, że was znów widzę. Bądźcie łaskawi usiąść przy naszym stole! Wszyscy dżentelmeni znają was przecież z mojego opowiadania. Ale wasza obecność popsuła mi cokolwiek szyki. Kazałem umrzeć Sandersowi i Letrierowi, chociaż pozostali wtedy przy życiu. Człowiek pozwala sobie czasem minąć się z prawdą, aby przez to osiągnąć silniejsze wrażenie albo zgrabne zakończenie. Tak było i z moją opowieścią. Sandersa i Letriera nie zabito, bo Firegun nakazał swoim ludziom pochwycić ich żywcem. Ale ja nie miałem wtedy czasu, by dłużej zostać w obozie, i odjechałem nazajutrz z moimi ludźmi. Do dziś zatem nie wiedziałem, co zrobiliście z tymi dwoma łotrami, a ponieważ sprawiedliwość wymagała, by ponieśli karę, przeto uśmierciłem ich po prostu w parowie podczas naszego ataku. Przez to osiągnąłem zakończenie opowiadania, które mogło zadowolić wszystkich. Spodziewam się, że dżentelmeni wybaczą mi tę małą licencję.

Były agent handlowy zaprowadził Treskowa do stołu, gdzie wszyscy biesiadnicy przyjęli go bardzo gościnnie. Oczywiście chcieli się dowiedzieć, jaka kara spotkała Sandersa, i nalegali na Treskowa, aby im to opowiedział.

— A może — spytał ktoś — jest to urzędową tajemnicą?

— Bynajmniej — odrzekł Treskow. — Chętnie opowiem wam wszystko.

— Doskonale, sir! Zaczynajcie, zaczynajcie! Widzicie, że wszyscy niecierpliwimy się bardzo. A więc Sandersa i Letriera pojmano i zabrano do obozu Fireguna. Co się potem stało?

— Zanim to opowiem, muszę zrobić kilka uwag. Przede wszystkim nie tylko Sanders i Letrier zdołali ujść śmierci. Udało się to jeszcze jednemu z ich ludzi, o czym

dowiedzieliśmy się na nieszczęście dopiero znacznie później. Spotkał się on po drodze z gromadą młodych Ogellallajów, którzy wyjechali samowolnie na spotkanie starszych wojowników, chcąc się odznaczyć przy tej sposobności. Dowodził nimi syn poległego wodza. Natrafili na ślady walki, domyślili się, co zaszło, i ruszyli naszym tropem, aby się zemścić za klęskę i śmierć towarzyszy. Spotkał się z nimi ów biały, który ocalał w czasie potyczki w wąwozie. Była to chytra sztuka: udało mu się znaleźć hide-spot traperów.

— Czy macie na myśli obóz, do którego przyjechaliśmy z wąwozu?

— Nie. Obóz służył tylko, żeby tak rzec, za filię, za fort zewnętrzny hide-spotu, dającego o wiele większą gwarancję bezpieczeństwa. Tam właśnie zabrano pojmanych, kiedy wy rozstaliście się z nami. Hide-spot miał dwa wejścia. Jedno z nich znali wszyscy członkowie stowarzyszenia, drugie trzymał Firegun w tajemnicy. Ale to tajemne wejście wytropił ów ocalały opryszek i zdradził Ogellallajom, co naszym sprawom nadało zupełnie inny obrót. Zaraz się o tym dowiecie, panowie. Druga uwaga dotyczy tego, że pochwyciwszy Sandersa, zdobyliśmy daleko ważniejszy łup, aniżeli nam się początkowo zdawało. Myśleliśmy, że wpadł nam w ręce oszust i złodziej, poszukiwany od dawna przez policję; tymczasem człowiek ten był kimś znacznie bardziej niebezpiecznym.

— Czym, Mr Treskow? Mordercą?

— Jeszcze gorzej! .

— Jeszcze gorzej? Cóż może być gorszego od mordercy?

— Hm! Czy słyszał któryś z was o niejakiej Miss Admiral?

— Miss Admiral! Miss Admiral! — zawołało kilku obecnych. — Oczywiście, oczywiście! Któż nie słyszał o tej kobiecie, która była diabłem wcielonym?

— Czy wiadomo wam, jak skończyła?

— Tak. Powieszono ją w Nowym Jorku.

— A znacie jej zbrodnie?

Były agent handlowy odpowiedział:

— Niepodobna znać wszystkich jej zbrodni. Była jedynym dzieckiem starego marynarza-oryginała, który nie chcąc się z nią rozstawać ubierał ją jak chłopca i brał ze sobą na wszystkie rejsy. Dzięki temu nauczyła się służby na morzu i przeszła z czasem wszystkie stopnie od chłopca okrętowego do oficera. Miała już nie zdolności, lecz wprost talent do marynarki, a dzięki praktyce i naukom, udzielanym jej przez ojca, doprowadziła do tego, że potrafiła w każdą pogodę i przy każdym wietrze panować nad statkiem. Ale ludzie, którzy jeździli z jej ojcem, nie cieszyli się z tego. Już jako dziecko była prawdziwą dziką kocicą, a w miarę jak dorastała, rozwijał się w niej także diabeł, który trzymał ją w opętaniu aż do jej śmierci. Czyż nie tak, Mr Treskow?

— To prawda. Skoro wiecie, że ją powieszono, to słyszeliście też zapewnie, że nie poszła na szubienicę bez towarzystwa?

— Tak. Powieszono z nią razem Czarnego Kapitana, który był równie zły, a może jeszcze gorszy od niej.

— Czy znacie jego przeszłość?

— Nie wiem, co przez to rozumiecie. Niewątpliwie już w młodości musiał być nadzwyczajnym żeglarzem, bo kiedy zakładano mu stryczek na szyję, nie miał więcej niż trzydzieści lat, a przedtem od dawna odbywał dalekie podróże morskie. Był to handlarz niewolników, najokrutniejszy pod słońcem. Zabierał swój ludzki towar z Afryki i dostarczał go zawsze szczęśliwie; nikomu nie udało się przeszkodzić mu w tym rzemiośle. Nie mógł się z nim równać żaden z kapitanów marynarki.

— To prawda. Ale powodzenie jego nie zależało tylko od niego samego, lecz także od doskonałości statku, którym kierował.

— Macie na myśli „L Horrible a” ? Rzeczywiście, był to bryg trójmasztowy, z którym żaden statek nie mógł iść w zawody. Czarny Kapitan nie bał się nawet parowców, dopóki miał w żaglach odrobinę wiatru. Miss Admirał była jego pierwszym oficerem. Można sobie wyobrazić, co się dzieje, jeśli takie dwie osoby się stowarzyszą. Polowali nie tylko na Murzynów, lecz uważali za cenną zdobycz każdy napotkany statek, jeśli tylko potrafili go pokonać. Ile ich zatopili, to nigdy nie wyjdzie na jaw! Byłoby zajmujące usłyszeć, jak Miss Admiral i Czarny Kapitan zetknęli się z sobą.

— Mogę wam to opowiedzieć, sir.

— Rzeczywiście? Jakże to było?

— Dowiedziałem się tego badając akta ich sprawy. On był urodzonym żeglarzem i gdyby obrał uczciwą drogę, mógł zajść bardzo daleko. O ile Miss. Admiral można nazwać dziką kocicą, o tyle on już jako chłopak był nieposkromionym i szczwanym lisem. Żaden z jego nauczycieli nie wróżył mu nic dobrego, chociaż wprawiał ich w zdumienie nadzwyczajnymi postępami w nauce. Żeglarstwo było jego żywiołem, na którym w piętnastym roku życia znał się lepiej od niejednego oficera wojennego okrętu. Ale siedział w nim także diabeł, który nie znosił prostych dróg. Młodzieniec popełniał jedno głupstwo za drugim, które mu przebaczano, dopóki się miarka nie przebrała. Pomimo jego zdolności wypędzono go haniebnie ze statków, na których służył. Nie był on ubogi, odziedziczył znaczny majątek w spadku po rodzicach. W tym- czasie zetknął się z Miss Admirał, której ojciec umarł właśnie niedawno i zostawił jej także niezgorszy worek złota. Oboje przekonali się rychło, że sobie odpowiadają. Nie myśleli jednak o małżeństwie, Miss Admirał nie była do tego stworzona. Założyli spółkę dla prowadzenia interesów. Postanowili połączyć swoje zasoby i kupili statek, aby handlować „hebanem” i grabić wszystko, co im w ręce wpadnie. Chodziło im oczywiście o znakomity, pierwszej

klasy żaglowiec. Trafił wtedy do ich rąk „L Horrible”, który niebawem zyskał tak straszliwą sławę. Znaleźli się też majtkowie, którzy nie mieli nic do stracenia i szukali osłony pod flagą piracką. Interesy poszły dobrze i -wkrótce przedsiębiorstwo rozrosło się wydatnie. Początkowo statek miał dwu kapitanów, bo Miss Admiral uważała siebie za równą swemu zacnemu sprzymierzeńcowi, ale z czasem Czarny Kapitan zdołał opanować dziewczynę, gdyż przewyższał ją w sztuce żeglarskiej. Musiała więc zadowolić się rangą pierwszego oficera. Gniew swój z powodu tej, jak mówiła, degradacji wylewała na podwładnych, dla których była istnym potworem. Na pokładzie miała nieograniczoną władzę, a kto się ośmielił zlekceważyć jej rozkaz, tego zabijano i wrzucano do morza. Ludzie musieli to znosić, bo stojąc poza prawem, nie mogli u żadnej władzy szukać ochrony ani pomocy.

Niebawem zaczęto nazwę „L Horrible” wymawiać ze strachem, podobnie jak imię jego dowódcy, Czarnego Kapitana. Nie należy sądzić, iż żył on w zgodzie z Miss Admiral. Przeciwnie, panowała między nimi otwarta wojna i żadne nie czuło się pewne swego życia.

Najzuchwalszym czynem Czarnego Kapitana była wyprawa do portu nowojorskiego pod fałszywą flagą i z papierami statku, który niedawno ograbił i zatopił. Podczas walki z załogą tego statku Czarny Kapitan odniósł rany i przybył do Nowego Jorku, aby się tam leczyć. Ale wtedy Miss Admiral wypłatała mu diabelskiego figla. Kiedy leżał złożony chorobą, uciekła ze statkiem i ze wszystkimi pieniędzmi. Pragnęła od dawna uwolnić się od niego, lecz nie powiodło jej się tym razem. Umiała kierować statkiem, lecz nie znała sztuczek potrzebnych piratowi do wymykania się uporczywej pogoni. Pewnego dnia wytropił ją i doścignął okręt wojenny. Zawrzała rozpaczliwa walka, w której całą załogę wyrżnięto bez miłosierdzia lub wywieszano na rejach.

Ocalało tylko kilku ludzi, którzy znajdowali się chwilowo na lądzie.

Zwycięzcy szukali oczywiście Czarnego Kapitana, lecz nie znalazłszy go, doszli do wniosku, że jest między zabitymi, z których wielu nie można było rozpoznać. Podczas przeszukiwania kajut znaleziono kobietę — podała się ona za podróżną ze splądrowanego przez korsarzy statku, którą trzymano w niewoli, licząc na uzyskanie okupu. Czuła się, naturalnie, nieskończenie szczęśliwą z odzyskania wolności; obchodzono się z nią z największą czcią i uprzejmością, a potem wysadzono na ląd. Nikt nie przeczuwał, że tą panią była sama Miss Admiral, która zrozumiawszy, że wszelki opór będzie daremny, uciekła z pokładu i w kajucie przebrała się w kobiece suknie.

Można sobie wyobrazić, w jaką wściekłość wpadł Czarny Kapitan na wieść o przeniewierstwie Miss Admiral i o pochwyceniu „L Horrible a”. Kiedy się wyleczył z ran, znalazł się bez środków do życia. Chwytał się to tego, to owego, aby zarobić na chleb, lecz ani mu przez myśl nie przeszło, żeby zostać uczciwym człowiekiem. Na lądzie był tak samo wyrafinowanym łotrem i oszustem jak przedtem na morzu. Zmiarkowawszy po pewnym czasie, że policja zwróciła na niego uwagę, wybrał się na Dziki Zachód, aby tam spróbować szczęścia. Przedtem jeszcze doszła go wiadomość, że jego „L Horrible a”, po przeprowadzeniu pewnych zmian, wcielono do marynarki wojennej.

Zapytacie może, panowie, dlaczego poświęcam tyle uwagi Czarnemu Kapitanowi. Otóż kiedy wraz z Firegunem pojmaliśmy Sandersa, a potem przeszukaliśmy jego kieszenie, znaleźliśmy rozmaite notatki, których znaczenia trudno się było na razie domyślić. Ale kiedy zbadałem je bliżej, zrozumiałem, że Sanders jest właśnie Czarnym Kapitanem, a Jean Letrier — jednym z jego piratów. Co za zdobycz! Nie zdołam wam opisać radości, jakiej wówczas doznałem. Nie pokazałem jednak tego po sobie i nie

zdradziłem się wobec Sandersa, że go przejrzałem. Nie wszystkim też towarzyszom Fireguna wyjawiłem całą prawdę. O moim odkryciu wiedzieli na razie tylko Winnetou, Pułkownik i jego najbliżsi przyjaciele, bo jedno nieostrożne słowo byłoby naprowadziło Sandersa na domysł, że znam jego tajemnicę. Miał to usłyszeć dopiero przed sądem. Takie niespodzianki łamią często opór najzatwardzialszych zbrodniarzy. Niestety, stało się inaczej, niż myślałem.

— Chyba wam nie uciekł?

— Na nieszczęście tak. Zanim jednak opowiem, jak do tego doszło, poprowadzę was o wiele dalej na zachód od Gór Skalistych, przez Arizonę i Nevadę aż do San Francisco, gdzie spotkamy pewną znajomą osobę, chociaż usiłowała ona nie dać się poznać.

— Kto to taki?

— Zaraz usłyszycie. Kto dziś w San Francisco, tej metropolii złotego kraju, stanie na portowym nabrzeżu i przypatrzy się ciżbie ludzkiej, znajdującej się w ustawicznym ruchu, kto zobaczy szerokie, długie ulice, rozległe place, wspaniałe pałace i. budynki, za których szybami nagromadzono wszystko, co powstało ze złota lub pozostaje z nim w jakimkolwiek związku, temu nie przyjdzie na myśl, jak nędzne są kulisy tej stolicy błyszczącego kruszcu.

Jak fale na morzu wznoszą się i opadają, tak samo wznosi się i opada szczęście, przeznaczenie rzuca jak piłką człowiekiem — z pozornie pewnej ostoi strąca go w jednej chwili na dno, gdzie roi się od mętów społecznych, zagadkowych awanturników, których istnienie zależy od tego, jak padną kości.

Szlakiem morskim między Acapulco a San Francisco płynął pewnego razu statek. Był to silnie zbudowany, chyży trójmasztowiec. Na rufie miał napis utworzony ze złotych liter: „L Horrible”. Mundury załogi wskazywały, że okręt należy do floty wojennej Stanów Zjednoczonych, chociaż

wiele szczegółów budowy oraz układ lin świadczyły, że inne było jego pierwotne przeznaczenie.

Dowódca stał na pomoście i spozierał w górę, gdzie na maszcie siedział marynarz z lunetą w ręku i patrzył bystro na morze.

„No, Jimie, masz go?” — zapytał.

„Tak jest, sir!” — odpowiedział zapytany wskazując ręką na południe.

„Jaki kierunek?”

„Płynie naszym śladem. Zdaje mi się, że zdąża z Guayaquil albo Limy; może nawet z Valparaiso”.

„Co to za statek, Jimie?”

„Nie mogę na razie nic powiedzieć, sir. Niech się jeszcze trochę przybliży!”

„Trudno mi w to uwierzyć, że się zdoła do nas zbliżyć — rzekł dowódca. — Chciałbym widzieć okręt, który by potrafił prześcignąć »L Horrible a«!”

„Hm — rzekł majtek złażąc z góry i oddając lunetę porucznikowi. — Znam jeden taki, któremu by się to udało. To »Swallow«, sir”.,

„Tak, to prawda. Skąd jednak wziąłby się »Swallow« na tych wodach?”

„Nie wiem, sir. Ale ten okręt za nami to nie jakaś tam beczka na śledzie, lecz mały, szybki kliper. A »Swallow« to przecież także kliper”.

„Well, zobaczymy” — rzekł dowódca udając się z lunetą ku sterowi.

„Czy widać żagiel, sir?”— spytał sternik. „Tak. Za nami”.

„Może każecie opuścić trochę żagli?”

„Nie potrzeba — odrzekł komendant patrząc przez szkła. — To nadzwyczajny statek! Dopędzi nas, choćbyśmy nie zmniejszyli szybkości”.

„Chciałbym to widzieć, sir!”

„Tak jest — stwierdził dowódca niechętnie. — Po prostu pożera przestrzeń. Patrzcie, przed trzema minutami było go widać tylko z bocianiego gniazda, a teraz dostrzegam go już z pokładu”.

Niebawem można było gołym okiem rozpoznać szczyty masztów, a potem wysmukły kadłub okrętu.

„To kliper z olinowaniem szkunera — rzekł sternik. — Trójmasztowiec jak nasz »Ł Horrible«”.

„Yes. Wspaniały statek, do wszystkich diabłów! Patrzcie, jak biegnie pod wiatr, i to pod pełnymi żaglami. Dowódca nie obawia się widocznie, że dziś jest trochę więcej wiatru niż zwykle. Okręt tańczy niemal na falach”.

„Dzielny chłop z tego dowódcy, sir! Ale niech no przyjdzie niespodziane uderzenie wiatru, to statek położy się na wodzie, jakem Perkins. Ten człowiek żegluje jednak zbyt zuchwale!”

„Wywiesza flagę! Tak, to okręt amerykański! Widzicie gwiazdy i pasy? Czy poznajecie go, sterniku?” — zapytał dowódca.

„Jeśli mnie wzrok nie myli, to będzie chyba »Swallow«. Byłem raz na tym okręcie i przypatrzyłem się każdej drobnostce, każdemu przyrządowi”.

„Kto na nim wtedy dowodził?”

„Zapomniałem nazwiska. Ale znałem dobrze ówczesnego sternika. Nazywał się Piotr Polter i pochodził z Europy”.

„Tak. To jest »Swallow« — stwierdził dowódca spojrzawszy znów przez lunetę. — Widać, że chce z nami mówić”.

Wrócił na pomost i wydał odpowiednie rozkazy. W górę wzniósł się gwiaździsty sztandar Stanów Zjednoczonych, a

równocześnie huknął wystrzał armatni. „L Horrible” odwrócił się, aby zaczekać na „Swallowa”.

Z pokładu zbliżającego się okrętu także huknął strzał. Kliper podpłynął z bajeczną szybkością i zatrzymał się dumnie na rozkołysanych falach.

„Co to za okręt?” — zapytał z ręką przy ustach komendant „L Horrible a”, wiedząc, jaki statek ma przed sobą, lecz zachowując przepisaną zwyczajem formę.

„»Swallow«, porucznik Parker z Nowego Jorku. Płyniemy z Nowego Orleanu dokoła przylądka Horn. A wy?”

„»L Horrible«, porucznik Jenner z Bostonu. Krążymy po tych wodach, sir!”

„Bardzo mi przyjemnie, sir! Chciałbym wam coś doręczyć. Czy mam do was przybyć szalupą, czy mogę przysunąć się burtą do burty?”

„Spróbujcie, jeśli zdołacie, poruczniku!”

„»Swallow« potrafi trudniejsze rzeczy!”

Kliper obrócił się lekko, zatoczył mały łuk i przysunął się blisko do pierwszego statku. Parker przeskoczył zręcznie do porucznika Jennera.

„Polecono mi wręczyć wam zapieczętowaną depeszę, sir!” — rzekł, przy czym obaj uścisnęli sobie przyjaźnie ręce.

Jenner zasalutował, z namaszczeniem otworzył kopertę i przeczytał depeszę.

„Czy wiecie, co ona zawiera?” — zapytał Parkera.

„Nie, ale domyślam się tego”.

„Muszę płynąć natychmiast do San Francisco. Mam wam to oznajmić”.

„Well. W takim razie oddam wam także depesze do stacjonowanych tam kapitanów. Wiecie chyba, że Południe się buntuje?”

„Słyszałem o tym. Ale buntownicy przeliczyli się chyba, co?”

„Ja też tak sądzę, lecz Południe posiada ogromne środki finansowe. Walka będzie długa i ciężka, pełna niesłychanych wysiłków. Chciałbym bardzo, abyśmy się znaleźli obok siebie w obliczu nieprzyjaciela, sir”.

„Ja także. Dokąd zdążacie teraz?”

„Później także popłynę do San Francisco, gdzie otrzymam nowe rozkazy. Na razie jednak polecono mi przez pewien czas krążyć po tych szlakach. Farewell, »L'Horrible«!”

„Farewell, »Swallow«!”

Parker wskoczył na swój statek, który odbił od „L-Horrible 'a”, i odpłynął wśród głośnych okrzyków pożegnalnych obydwu załóg.

„L Horrible” rozwinął teraz wszystkie żagle, aby po krótkim postoju popłynąć dalej ze zdwojoną szybkością. Podróż trwała jeszcze kilka dni, zanim stanęli wreszcie w przystani San Francisco.

Tu Jenner poruczył sternikowi załatwienie formalności w porcie, a sam udał się natychmiast na pokład stojącego tuż przy nim pancernika. Do jego kapitana była adresowana jedna depesza. Resztę statków porucznik musiał dopiero odszukać.

Kapitan przeczytał depeszę i zaprowadził porucznika do swej kajuty.

„Zabawicie tu pewnie jakiś czas — rzekł. — Czy macie w mieście znajomych?”

„Niestety, nie. Będę musiał ograniczyć życie towarzyskie do hoteli i restauracji”.

„W takim razie pozwólcie, że będę wam służył moimi stosunkami. Znam tu, na przykład, pewną znakomitą damę, która wynajmuje całe piętro jednego z najelegantszych

domów. To wdowa po plantatorze z Martyniki, nazwiskiem de Voulettre. Należy do rzędu tych kobiet, które zawsze młodo wyglądają, bo ich wykształcenie, zalety umysłu i miłe obejście każą zapominać o ich wieku. Prowadzi wielki dom, niezawodnie posiada kolosalny majątek, bo salony jej otwarte są tylko dla przedstawicieli arystokracji, bogaczy i znakomitości ze świata politycznego. Mnie zajmuje ona dlatego, że odbyła wiele dalekich podróży i przyswoiła sobie tyle wiadomości z naszego zawodu, że mógłby jej pozazdrościć niejeden wilk morski”.

„Wobec tego i ja pragnę ją poznać”.

„Dziś jeszcze spełnię wasze życzenie, gdyż jestem zaproszony do pani de Voulettre. Pójdziecie ze mną?”

„Oczywiście, kapitanie”.

„Dobrze. Przedstawię was, a potem już będziecie się tam mogli swobodnie poruszać, jak na pokładzie waszego »L Horrible a«. To ładny statek, poruczniku. Szczerze wam winszuję tego dowództwa. Czy to angielski okręt?”

„Tak, ale początkowo był to najniebezpieczniejszy żaglowiec między Grenlandią a przylądkiem Horn. Czy słyszeliście kiedy o Czarnym Kapitanie?”

„Jakże by nie? Może więcej niż wy. Nie mogłem tylko od razu sobie uświadomić, że to właśnie »L Horrible« był jego statkiem. Teraz już ”wiem. Piratów przyłapano w drodze z transportem »hebanu«. Załogę powieszono na rejach, a Czarny Kapitan... Co się właściwie z nim stało?”

„Nikt nie wie dokładnie. Na statku znaleziono tylko kobietę, którą rozbójnicy porwali z kupieckiego żaglowca i zabrali z sobą, aby wymusić na niej okup. Od tego czasu nigdy więcej nie słyszano o Czarnym Kapitanie. Możliwe, że był na statku i zawisnął na rei razem z innymi”.

„To by była sprawiedliwa dla niego kara! A zatem dzisiaj wieczorem u pani de Voulettre? Przyjdę po was, poruczniku. Dobrze?”

W tym samym czasie na nabrzeżu przechadzał się człowiek, którego postawa i zachowanie wskazywały, że jest panem swojego czasu. Średniego wzrostu, smukłej budowy, miał na sobie odzież poszukiwacza złota wracającego do wielkiego miasta na wypoczynek po wytężonej pracy w kopalni. Pomięty kapelusz z szerokimi kresami osłaniał jego twarz, lecz nie zakrywał dostatecznie wielkiej blizny od oparzenia, przechodzącej od ucha przez policzek, aż do nosa. Kto zobaczył tę twarz, odwracał się natychmiast z przerażeniem. Właściciel jej zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie martwił się tym, a nawet nie tracił spokoju, gdy padło przypadkowo kilka głośnych uwag o jego wyglądzie. Zatrzymał się i rzucił okiem na przystań.

„Znów jakiś statek na kotwicy! — mruknął. — Żaglowiec i, jak się zdaje, dobrze zbudowany. Czyżby...”

Przysłonił oczy dłonią, aby lepiej widzieć, i dodał:

„Do stu piorunów, to on, to »L Horrible«! Nareszcie, nareszcie znowu go widzę! Ale za daleko jest od brzegu. Mogę się mylić. Przekonam się, czy mię oczy nie łudzą!”

Zszedł po schodach, obok których unosiło się na falach kilka łodzi, i wskoczył do jednej z nich.

„Dokąd?” — zapytał wioślarz, który, siedząc na ławce, wygrzewał się na słońcu.

Przybyły wskazał na przystań i odrzekł:

„Na przejażdżkę”.

„Jak długą?”

„Dopóki mnie się spodoba”.

„Macie czym zapłacić?”

Pytający zmierzył gościa podejrzliwym spojrzeniem.

Po jeździe płacę dobrymi pieniędzmi, a przed jazdą pięściami. Wybieraj zatem!”

„Hm, hm! — mruknął wioślarz, stropiony groźną błyskawicą, która zamigotała w oczach obcego. — Czy umiecie sterować?”

Krótkie skinienie głowy było odpowiedzią. Wioślarz odwiązał więc łódź i zaczął wśród ciżby statków najrozmaitszego rodzaju szukać drogi na wolne morze.

Obcy umiał sterować jak mało kto, co właściciel łodzi zauważył już po pierwszych uderzeniach wiosła. Człowiek z blizną nie dał poznać, dokąd zmierza, opłynął wielkim łukiem pancernik i „L Horrible a” i odprowadził potem łódź na miejsce, gdzie zapłacił za przejażdżkę tak sowicie, jak się tego po jego wyglądzie żadną miarą nie można było spodziewać.

„To on — westchnął z ulgą, wchodząc na schody. — Wkrótce pani de Voulettre zniknie tak samo bez śladu, jak niegdyś przepadła Miss Admiral. A teraz do szynku!”

Zwrócił swe kroki ku tej stronie miasta, gdzie różne typy spod ciemnej gwiazdy wiodą swe nędzne i zbrodnicze życie. Szedł przez plątaninę wąskich uliczek, nie zasługujących prawie na tę nazwę. Chatki, baraki i namioty, które mijał, wyglądały jak obóz cygański i nic nie wskazywało na to, że są częścią dobrze urządzonego miasta.

Wreszcie zatrzymał się przed długą budą z desek, na której drzwiach widniał kredą nasmarowany napis: „Tawerna Pod Pękatą Flaszką”. Napis ilustrowała flaszka narysowana kredą na chropawym drewnie. Człowiek z blizną wszedł bez wahania do środka.

Długą izbę zapełniali goście nie wyglądający bynajmniej na dżentelmenów. Wstrętne wyziewy spirytusu i dym tytoniowy biły w nos wchodzącego, a zgiełk, który tam panował, zdawał się wydobywać z gardzieli zwierząt, a nie ludzi.

Ale przybysz nie zrażał się tym wcale. Przystąpił do szynkwasu i zwrócił się do tkwiącego za nim oberżysty:

„Czy jest tu Długi Tom, master?”

Gospodarz zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem i odrzekł niezbyt uprzejmie:

„Dlaczego pytacie?”

„Nie bawcie, się w chowanego! Znam go równie dobrze jak wy. Umówiliśmy się tutaj”.

„Kim jesteście?”

„Co was to obchodzi? Ja was przecież nie pytam o rodowód i nazwisko”.

„No, jeśli tak zaczynacie, to będziecie długo pytali, zanim usłyszycie odpowiedź. Prędzej możecie dostać ode mnie pięścią!”

„O tym można by jeszcze pomówić. Na razie przestrzegam was, że Długi Tom diabelnie wam to weźmie za złe, jeśli nie pozwolicie mi zetknąć się z nim”.

„Tak? Przypuśćmy, że go znam. Rozumiecie mnie, sir? Jeśli on się z wami rzeczywiście umówił, to musiał wam powiedzieć słowo, słóweczko, bez którego nikt do niego nie przychodzi”.

„Owszem”.

Człowiek z blizną nachylił się przez szynkwas i szepnął kilka słów. Gospodarz skinął głową na znak zgody.

„Dobrze! Teraz ufam wam. Toma nie ma jeszcze. O tej porze przychodzi tu zwykle policja, żeby się trochę rozejrzeć wśród moich gości. Skoro tylko odejdzie, dam znak, a on zjawi się za pięć minut. Usiądźcie i zaczekajcie tymczasem”.

„Ale nie tutaj. Tom mi powiedział, że macie izbę, w której człowiek nie jest wystawiony na spojrzenia wszystkich obecnych”.

„Mam taką izbę, lecz również nie dla wszystkich”.

j,Nie dla wszystkich? A dla kogóż?”

„Skoro muszę wam to wyjaśniać, widocznie strasznie ciemno jest pod waszym ”kapeluszem”.

„Nie tak bardzo, jak wam się zdaje!”

Przybysz wyjął złotą monetę i podsunął ją szynkarzowi.

„Dobrze! Nie jest z wami tak źle, jak myślałem. Czy napijecie się czego?

„Szklankę wina”.

„Wina? Zwariowaliście? Co ja bym tu robił z takim głupim napojem? Dostaniecie wódki wedle tutejszego zwyczaju. Oto flaszka i szklanka! Usiądźcie przy stole, tam pod piecem. Obok są małe drzwi. Otworzę je, a wy uważajcie i w chwili kiedy nikt nie będzie na was patrzył, wśliźnijcie się do środka!”

„Doskonale”.

„Teraz tam pusto, ale nadejdą goście, których nie radzę wam zaczepiać, bo to żwawi chłopcy, a nóż idzie u nich w ruch zaraz po słowach!”

Obcy postąpił według wskazówki gospodarza i niebawem znalazł się w ustronnej izbie. Wkrótce nadeszli jeden po drugim inni goście i zajęli miejsca przy dwu stołach. Łatwo było odgadnąć z ich zachowania, że przywykli do tego odosobnienia.

Zwrócili uwagę na obcego, rzucili w jego stronę kilka badawczych spojrzeń, ale prowadzili półgłosem rozmowę tak swobodnie, jakby byli sami. Wszyscy wyglądali na marynarzy i w rozmowie wykazywali dokładną znajomość sztuki żeglarskiej oraz ostatnich wypadków na morzu. Wreszcie zaczęli omawiać statki stojące w przystani.

„Czy wiecie — spytał jeden — że »L Horrible« rzucił tu kotwicę?”

„Dawny okręt korsarski?”

„Tak. Dowódcą jego jest porucznik Jenner, Wspaniały statek, niezrównany pod względem budowy i uzbrojenia!

Dowiódł tego nieraz Czarny Kapitan”.

„Szkoda biedaka, że musiał skosztować stryczka! Prawda?”

„Wielka szkoda! Potrafił niejedno, on i jego chłopcy”.

„Miał też wspaniałego oficera, który również dowodził statkiem”.

„Słyszałem o tym. Podobno była to kobieta, prawdziwy szatan. Wierzę w to chętnie, gdyż diabeł, ilekroć chce sobie zrobić szczególną przyjemność, wciela się w babę”.

„Słusznie! — dorzucił ktoś inny. — Była to kobieta i nazywano ją Miss Admiral. Miała być jakoby córką starego wilka morskiego, który ją brał z sobą na wszystkie rejsy. Czuła się dobrze tylko na wodzie i doprowadziła z czasem do tego, że lepiej kierowała statkiem niż niejeden doświadczony kapitan. Każdy marynarz wie, że bywały takie kobiety i że są. jeszcze dzisiaj. A kto chce

o niej więcej się dowiedzieć, niech spyta Długiego Toma. Zdaje mi się, że ten hultaj jeździł z Czarnym Kapitanem

i zna »L Horrible a« lepiej, niż się do tego przyznaje”.

„Nie myślę brać mu tego za złe. Na statku korsarskim przynajmniej nie żyje się tak nędznie, jak na kupieckim. Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale wy już rozumiecie, co mam na myśli!”

„Tere-fere! Mów śmiało! Albo ja powiem, jeśli ty się boisz. Gdyby Czarny Kapitan żył jeszcze i był właścicielem »L Horrible a«, zaciągnąłbym się zaraz do niego. Sądzę, że przyznacie mi rację”.

W tej chwili otworzyły się drzwi i pochylając się wszedł człowiek, którego wszyscy przywitali jak dobrego znajomego.

„Długi Tom! Chodź, stary kamracie, i usadów się na tym krześle! Właśnie mówiliśmy o tobie”.

„O tobie i o »L Horrible u«” — wtrącił jeden z obecnych.

„Zostawcie »L Horrible a« w spokoju, stare gaduły- — odpowiedział przybysz siadając i mrugając do człowieka z blizną na twarzy. — Co was obchodzi ten statek?”

„Nas może nic, ale ciebie z pewnością. Zdaje nam się, że znasz go lepiej niż my. Może nie biegałeś po jego pokładzie?” -

„Nie przeczę ani nie potwierdzam waszych domysłów. Mogło się to zdarzyć. Sporo jest dobrych statków, które widziały Toma. Któż więc może coś mieć przeciwko temu, że i »L Horrible« był między nimi?”

„Oczywiście, że nikt. Ale powiedz nam, czy naprawdę kobieta była tam oficerem?”

„Tak słyszałem”.

„Hm, w takim razie musiała tam panować nędzna gospodarka. Nie chciałbym służyć na statku, którym dowodzi kobieta. Myślę nawet, że tylko z tego, a nie z innego powodu schwytano »L Horrible a«”.

„Tak sądzicie?”; — odezwał się przeciągle człowiek z blizną.

„Tak. Czy macie coś przeciwko temu?”

„To was nic nie obchodzi. Chciałem tylko wiedzieć, czy naprawdę tak sądzicie!”

„Nic mnie nie obchodzi? Trzymajcie język za zębami, bo jak wam dam w gębę, to w piętach poczujecie!”

Szybkim krokiem marynarz przystąpił do obcego, szczupłego i o głowę niższego od siebie człowieka, i zamachnął się do uderzenia, które pewnie byłoby nie podziałało jak pieszczota. Ale napadnięty pochwycił go w jednej chwili i grzmotnął nim o ziemię z niezwykłą siłą.

Najbliższy sąsiad pokrzywdzonego przyskoczył, aby pomścić haniebną klęskę towarzysza. Ale spotkał go los podobny. Z iście kocią zręcznością obcy uniknął jego ciosów i rzucił nim o ziemię, aż zahuczało.

Wtedy Długi Tom wmieszał się w sprawę.

„Stop! — zawołał do towarzyszy. — Jemu nie dorówna nawet dziesięciu takich jak wy! Sądzę zresztą, że uszanujecie oficera z »L Horrible a«”.

„Z »L Horrible a«? Z dawnego czy obecnego?”

„Oczywiście, że z dawnego. Myślicie, że lada głupiec że marynarki Stanów Zjednoczonych odważyłby się wejść tu, do naszej kajuty?”

Obcy skinął z lekka głową i rzekł:

„Niewątpliwie, moi drodzy. Długi Tom zna mnie dobrze z owych czasów, kiedy byliśmy razem na statku i dokonywali niejednego pięknego czynu”.

„To co innego! Jeśli tak, to możecie spokojnie u nas zostać. Nie pokosztujecie już naszych pięści”.

„Przed waszymi pięściami — rzekł lekceważąco obcy — diabelnie mało czuję respektu, jak to sami widzieliście. Ale niezłe z was zuchy, dlatego nie tylko wam przebaczam, lecz nawet przyłączę się do waszej kompanii”.

„Przebaczacie? Mnie się zdaje, że wyście rozpoczęli kłótnię. Jako obcy, powinniście byli nie wtrącać się do naszej rozmowy”.

„Hm, może i macie słuszność. Ale ja mam zwyczaj wystawiać na próbę swoich ludzi, zanim podam im rękę na zgodę”.

„Waszych ludzi?” — zdziwili się obecni.

„Tak jest! Czy nie powiedzieliście przedtem, że chcielibyście dostać się na »L Horrible a« ?”

„Tak się tylko mówiło. Dodaliśmy też warunek: gdyby żył i dowodził statkiem Czarny Kapitan”.

„Czy wiecie na pewno, że on nie żyje?”

„Do krocset piorunów! Czy chcecie przez to powiedzieć, że...”

„Właśnie”.

„Wiecie to z całą pewnością? Gdzież on jest, hę?

„To nie wasza rzecz, tylko moja!”

„W każdym razie nie na »L Horrible u«”.

„To prawda. Ale może na powrót odzyskać statek. A wy możecie przyczynić się do tego, jeśli zechcecie” — rzekł obcy cicho i ostrożnie.

„Do wszystkich diabłów! Pójdziemy chętnie wszędzie tam, gdzie dostaniemy dobry żołd. Tomie, poleć nas!”

„Już to zrobiłem — odrzekł Tom. — Mój przyjaciel zna was tak samo jak ja. Zaprosiłem go tutaj, aby mógł was zobaczyć i pomówić z wami. Chcecie usłyszeć coś ciekawego? Odbierzemy statek czerwonym kabatom!”

„A do kroćset! To byłby figiel, jakiego nikt jeszcze nie spłatał! Mówiono by o tym w całych Stanach i jeszcze dalej!”

„Czy nie boicie się?”

„Bać się? Co nam może zaszkodzić pusta gadanina? Z »L Horrible em« pod nogami możemy kpić sobie z całego świata!”

Człowiek z czerwoną blizną sięgnął do kieszeni, wyjął pękaty pugilares, dobył zeń kilka banknotów i położył po jednym przed każdym z marynarzy.

„Przyjmiecie te świstki?” — spytał.

„Nie będziemy tacy głupi, żeby je odrzucać. Ale co mamy za to uczynić?”

„Nic. Darowuję wam je. A jeśli jesteście tacy, jak sobie wyobrażam, to możecie jutro lub pojutrze dostać pięć razy tyle. Czy nie zrobilibyście małej wycieczki na przystań, aby odwiedzić pewien statek?”

„Z całą gotowością!”

„Noże pójdą przy tym w ruch. Potem zostaniecie oczywiście na statku”.

„To się rozumie! A kto będzie dowodził?

„Czarny Kapitan. Któż by inny?”

„Żyje więc rzeczywiście?”

„Żyje i zadowoli was, jeśli zrobicie, co do was będzie należało”.

„W żadnej sprawie nas nie zabraknie! Możecie być tego pewni!”

„Dobrze! Posłuchajcie zatem, co wam powiem! Kupcie sobie lepsze ubrania i czekajcie tu na mnie albo na mego posłańca. Skoro po was przyślę, pójdziecie z Tomem do mieszkania pani de Voulettre”.

„Do wszystkich diabłów! Te piekielnie dostojna i bogata dama! Słyszałem o niej. Co tam będziemy robili?”

„Będą u niej oficerowie z «L Horrible a»”.

„Aha!”

„Oświadczycie, że chcecie służyć na statku, a ona przedstawi was tym panom”.

„Do kroćset! Przedstawi nas? Ta bogata, dostojna dama? Znacie ją więc?”

„Być może! Zostaniecie przyjęci i pójdziecie na pokład”.

„Wedle rozkazu, sir!”

„Następnie postaramy się o to, żeby oficerowie zeszli na ląd. Wtedy zjawi się Czarny Kapitan ze swoimi ludźmi i reszta już do niego należy. Ja jestem tylko jego agentem. Bliższe szczegóły wyjaśni wam Tom. Od tej chwili jest on bosmanem, a wy macie go słuchać we wszystkim. Rozumiecie?”

„Yes, sir!”

„Wiernością i milczeniem pozyskacie sobie życzliwość Kapitana, ale w razie najmniejszego podejrzenia o zdradę

będziecie zgubieni. O to się już postarano. A więc trzymajcie się dzielnie!”

„Nie bójcie się, master! Wiemy, do czego się bierzemy. Już dawno życzyliśmy sobie podobnego zajęcia, a skoro to życzenie spełnia się tak pięknie, nie będziemy sobie psuć przyjemności”.

„To dobrze! Macie tu jeszcze trochę pieniędzy. Napijcie się sami, bo ja odchodzę. Do widzenia!”

„Do widzenia, sir!”

Wszyscy powstali kłaniając się z uszanowaniem; rzekomy agent podał Tomowi łaskawie rękę i zniknął w drzwiach.

Marynarze siedzieli jeszcze długo w ustronnej izbie szynku, słuchając słów Długiego Toma. Doświadczony pirat potrafił ich przekonać, że właśnie teraz, podczas wojny Stanów północnych z południowymi, dobrze prowadzony statek korsarski może robić świetne interesy.

Apartamenty pani de Voulettre były tego wieczora jasno oświetlone. W salonie tańczono przy dźwiękach fortepianu, przy bufetach spożywano najsmaczniejsze potrawy i pito orzeźwiające napoje, a starsi panowie usunęli się do bocznych pokoi, gdzie rozprawiano o interesach albo grano w karty.

Pani domu, siedząc na aksamitnej kanapie, chłodziła się wachlarzem wysadzanym perłami. Ciemne jej oczy spoczywały z widocznym zajęciem na poruczniku marynarki Jennerze, którego przedstawił jej kapitan pancernika.

„Przybywa pan z przylądka Horn, poruczniku?” — zapytała.

„Nie bezpośrednio. Krążę już od dłuższego czasu naprzeciw San Francisco”.

„Ach, to nudne zajęcie! Nieprawdaż? Czy nie miał pan dotąd czasu zawinąć tutaj ?”

„Niestety, służba na morzu jest surowa”.

„Czy pan wie, poruczniku, że mimo to żegluga pociąga mnie nadzwyczajnie?”

„Ach! Morze ma istotnie w sobie coś pociągającego, nawet dla kobiet, ale to, co się zazwyczaj przez żeglugę rozumie, jest rzeczą suchą i trudną. Kiedy o tym pomyślę, nie mogę uwierzyć, żeby pani rzeczywiście…”

„O! — wtrąciła dama. — Nie każda kobieta boi się niebezpieczeństw. Ojczyzną moją jest wyspa oblana ze wszystkich stron wodą, a wielu moich krewnych mieszka na kontynencie. Jeździłam wiele razy tam i na. powrót, bywałam często w Nowym Jorku i w Bostonie, a raz byłam nawet na Przylądku Dobrej Nadziei. Dzięki tym wędrówkom polubiłam morze i to wszystko, co ma z nim związek. Zdobyłam też wiele wiadomości z żeglarstwa, które, jak pan mówi, są dla laika nudne i trudne. Gdyby pan zechciał zajrzeć do mojej pracowni, mogłabym panu dać dowody, że się bezpodstawnie nie chwalę”.

Wsunęła rękę pod ramię porucznika i przeszła z nim przez kilka sal do pokoju, który, co prawda, nie zasługiwał na nazwę pracowni. Był to buduar kobiecy, urządzony z wyrafinowanym przepychem.

Pani domu podeszła do drogocennego biurka, otworzyła szufladę i wydobyła z niej zbiór najlepszych map morskich. Reszta szuflad zawierała żeglarskie przyrządy, potrzebne do prowadzenia statku. Jenner nie mógł ukryć podziwu na widok niespodziewanego skarbu i wyznał otwarcie:

„Ależ tych przyrządów można używać tylko po głębokich studiach i długiej praktyce!”

„A pan nie przypuszcza, że kobieta może mieć odpowiednie wiadomości? Może mnie pan przeegzaminuje?”

Oczy jej spoczywały z wyrazem rozbawienia na jego uczciwej twarzy, ale uważny obserwator mógł w nich dostrzec odcień szyderstwa albo pogardy.

„Egzaminować? — roześmiał się porucznik. — Któż potrafiłby tutaj zachować odpowiedni spokój? Na pokładzie mojego statku byłbym o wiele śmielszy”.

,,«L Horrible» to przepyszny okręt, sir. Najlepszy ze wszystkich, jakie znam. Ale czy pan wie, że przebyłam na nim najgorsze godziny mego życia?”

„Pani była na «L Horrible u» ?”

„Tak. Zna pan chyba historię tego słynnego, a raczej osławionego statku?”

„Mniej więcej”.

„W takim razie musiał pan słyszeć o pewnej pani, która znajdowała się na nim, kiedy go odebrano piratom”.

„Słyszałem”,

„Jechała statkiem kupieckim i dostała się w ręce Czarnego Kapitana”.

„Tak jest”.

„Ja byłam tą panią”.

„Pani? Co za spotkanie! Musi mi pani opowiedzieć o tej nadzwyczajnej przygodzie”.

„Dobrze. Ale czy mogę nawzajem wyjawić pewne życzenie?”

„Słucham panią!”

„Chciałabym bardzo zobaczyć «L Horrible a», jeszcze raz odwiedzić to miejsce, gdzie przeżyłam tak straszne chwile”.

„Zapraszam panią najserdeczniej!” — odparł porucznik, uradowany, że będzie mógł ją oprowadzić po swoim małym państwie,

„A kiedy?” „Kiedy pani rozkaże!”

„W takim razie jutro, jutro przed południem!”

„Bardzo chętnie”.

„Tam znajdzie się sposobność do egzaminu — rzekła z uśmiechem. — Pragnęłabym jednak, żeby moje odwiedziny nie sprawiły panu kłopotu. Nie jestem ani admirałem, ani komandorem i nie mam najmniejszego prawa do odbierania wojskowych honorów”.

„Niech się pani nie obawia! Nawet gdybym chciał i gdyby mi wolno było powitać panią uroczyście, natrafiłbym na pewne trudności. Właśnie jutro rano kilku moich ludzi opuszcza na stałe okręt, a ja muszę dla uzupełnienia załogi rozejrzeć się za innymi”.

„A czy, przyjąłby pan ode mnie pomoc w tym względzie?”

„Z wdzięcznością, łaskawa pani!”

„O, wdzięczność ja będę panu winna! Znam kilku dzielnych ludzi, którzy dawniej służyli u mnie, a teraz chcą dostać się na dobry statek. Są to wykwalifikowani żeglarze, których jak najgoręcej mogę panu polecić”.

„Czy wolno zapytać, gdzie ich mogę znaleźć?”

„Mieszkają w pobliżu. Każę ich zawołać i będzie pan mógł się z nimi rozmówić”.

„Dobroć pani zawstydza mnie po prostu. Jestem przekonany, że żaden z poleconych przez panią ludzi nie dostanie odmownej odpowiedzi!”

„Dziękuję! Pozwoli pan, że wydam odpowiednie rozkazy?”

I pani de Voulettre wróciła do salonu.

Jenner był oczarowany tą kobietą, która wyświadczyła mu tyle grzeczności. Jako człowiek prostoduszny, a w stosunku do kobiet jeszcze całkiem niedoświadczony, nie podejrzewał niczego. Kiedy mu doniesiono, że kandydaci na marynarzy czekają w przedpokoju, wyszedł pod ramię z gospodynią, rzucił Długiemu Tomowi, który zjawił się z

towarzyszami, kilka pytań, dał mu odpowiedni zadatek i kazał stawić się nazajutrz rano na pokładzie „L Horrible a”.

„No, poruczniku — spytał go kapitan pancernika, kiedy wracali razem. — jak się panu podobała ta pani?”

„Nadzwyczajnie! — odrzekł Jenner. — Chce mnie odwiedzić na «L Horrible u»”.

„Ejże! A kiedy?”

„Jutro przed południem”.

„Hm, gratuluję, panie poruczniku! Przyjęcie będzie pewnie godne tak dostojnej osoby. Czy mogę się na nie zaprosić?”;

„Raczej czy ja mogę wystąpić wobec pana z taką prośbą?”

„Nie, nie — roześmiał się kapitan. — Nie chcę być natrętny! Przyprowadźcie tylko swego gościa na kwadrans do mnie”.

„Zgoda!”

Obaj oficerowie wsiedli do czekającej na nich łodzi i udali się na swoje statki.

Nazajutrz rano na „L Horrible u” panował ruch bardziej ożywiony niż zwykle. Załodze oznajmiono, że pewna wysoko postawiona osoba pragnie zwiedzić okręt. Porządek i czystość, panujące tu stale, czyniły wprawdzie zbędnymi wszelkie przygotowania, mimo to Jenner zbadał dokładnie statek i zarządził jeszcze to i owo, aby swoje pływające mieszkanie pokazać w jak najlepszym świetle.

Ukończył właśnie inspekcję, kiedy na pokładzie zjawili się nowi majtkowie. Przyjął ich, kazał wyznaczyć miejsca w ku bryku i nie troszczył się o nich więcej. Bezpośredni nadzór nad nimi należał do sternika.

Gdy niedługo potem przypłynęła łodzią pani de Voulettre, porucznik przyjął ją z wyszukaną grzecznością.

„Wspaniały okręt! — rzekła, gdy obejrzawszy wszystko wracała z Jennerem do ustawionego na pokładzie namiotu, gdzie czekało już na nich wytworne śniadanie. — Obecny układ żagli i lin jest znakomity i statek zapewne zyskał znacznie na szybkości, odkąd wchodzi w skład floty Stanów Zjednoczonych. Sądzę, że «L Horrible» przewyższa wszelkie inne statki”.

,,Zgadzam się z tym, ale znam wyjątek, co prawda jeden jedyny. Jest nim «Swallow» dowodzony przez porucznika Parkera”.

„«Swallow»? Zdaje mi się, że o nim słyszałam. Co to za statek?”

„Kliper z ożaglowaniem szkunera. Spotkałem się z nim w drodze i odebrałem pewne zlecenia od Parkera, który także ma tutaj wkrótce przybyć”.

„Pragnęłabym bardzo poznać i ten znakomity statek.

Ale zanim spotkamy się na jego pokładzie, myślę, że zajdzie pan do mnie jeszcze dziś wieczór. Spodziewam się także, że pan przyprowadzi swoich kolegów”.

„O ile tylko służba na to pozwoli”.

„Dziękuję! Będzie to kolacja w małym gronie, którą postaram się odwzajemnić za pańskie tak uprzejme przyjęcie”.

„Pani de Voulettre może być wszędzie pewna takiego przyjęcia. Na przykład kapitan pancernika także zaprasza panią do siebie, choćby na kilka minut”.

„Przyjmuję zaproszenie, ale pod jednym warunkiem: że pan mi będzie towarzyszył, panie poruczniku”.

„Zgadzam się z całego serca!”

Po śniadaniu Jenner kazał się wraz ze swą nową znajomą przewieźć na pancernik. Młody oficer nie miał pojęcia o ukrytym celu tych odwiedzin. Oczywiście nie wiedział również, że majtkowie, których przyjął na polecenie

pięknej pani, planowali zamach na jego okręt; Ale i oni co prawda dali się oszukać: nie przyszło im na myśl, że pani de Voulettre i człowiek z blizną od ognia mogą być jedną i tą samą osobą.

A teraz, moi panowie — mówił dalej Treskow — muszę w swym opowiadaniu wykonać wielki skok z San Francisco w owe okolice Dzikiego Zachodu, w których znajduje się Sam Firegun z towarzyszami.

Myśliwiec przemierzający rozległe sawanny, wśród grożących zewsząd niebezpieczeństw, musi od czasu do czasu zaznać odpoczynku, bo w końcu wyczerpałaby się jego siła fizyczna, jego odwaga i energia. Potrzebuje wytchnienia, a znajduje go w troskliwie strzeżonych miejscach, które wyszukuje także dla gromadzenia w nich zdobyczy; są to tak zwane hide-spots.

W kilka dni potem, gdy Firegun zaprowadził zwycięskich traperów do swego hide-spot, przez prerię jechali trzej ludzie, prowadząc na linkach kilka mułów. Okoliczność ta wskazywała, że jechali „po mięso”, czyli na polowanie, aby się zaopatrzyć w żywność.

Jeden ż nich był niski i gruby, drugi niesłychanie wysoki i chudy, a trzeci wisiał na koniu, jak gdyby cierpiał na gwałtowny atak cholery.

Byli to, znani wam już, Holbers, Hammerdull i sternik Polter.

„Do krocset! — zawołał nagle ten ostatni. — Popatrzcie no tu na ziemię! Ktoś tędy przechodził. Nie wiem, czy to był człowiek, czy zwierzę, ale jeśli obejrzycie trawę, to się okaże, co to za kreatura”.

Obaj myśliwcy zeskoczyli z koni i zaczęli badać ziemię.

„Hm, co ty na to, stary szopie?” — spytał Hammerdull.

„Co ja na to? Jeśli sądzisz, Dicku, że to czerwonoskórzy, to przyznaję ci zupełną słuszność”.

„To pewne, że nikt inny. Zsiądź no, Polter, z konia, żeby cię nie było widać z daleka!”

„Dzięki Bogu, moi drodzy, że spotykamy tych czerwonych łotrów, bo nareszcie mogę zleźć z mojej bestii ! — odpowiedział sternik zeskakując z siodła z taką miną, jak gdyby uniknął strasznego niebezpieczeństwwa. — Iluż ich było?”

„Pięciu, to pewne; a że to Ogellallajowie, to także nie ulega wątpliwości”.

„Po czym to poznajesz?”

„Bo czterej z nich mają świeżo schwytane konie. Koń piątego uciekł nam, kiedyśmy ich zaskoczyli, i tego użyto do chwytania innych. Bądźcie gotowi do walki! Musimy podążyć za nimi, aby zobaczyć, czego tu szukają!”

Wszyscy trzej nabili strzelby i ruszyli dalej konno za śladem, który doprowadził ich do wąskiej, ale głębokiej rzeczki. Indianie musieli ją przepłynąć — świadczyły o tym ślady na drugim brzegu. Hammerdull obejrzał, kryjąc się w krzakach, pagórkowaty teren leżący po drugiej stronie wody.

„Musimy tam przejść. Jeżeli nam się uda...”

Nie dokończył. W powietrzu świsnęło lasso, owinęło mu się dokoła szyi i ściągnęło go z konia na ziemię. To samo stało się z obydwoma jego towarzyszami. Zanim zdołali pomyśleć o obronie, już leżeli bezbronni i skrępowani. Napastnikami było pięciu Indian.

Najmłodszy z nich, którego czuprynę zdobiły trzy orle pióra, a ramiona okrywała skóra jaguara, popatrzył groźnie na jeńców, a potem rzekł machnąwszy pogardliwie ręką:

„Biali mężowie są słabi jak szczenięta kujotów; nie zdołają rozerwać więzów! Nie widzą nic, nie słyszą i nie mają rozumu. Czerwony mąż ich zobaczył, gdy szli za nim. Przeprawił się przez wodę, aby ich zwieść, a potem wrócił.

Biali nie nauczyli się chytrości i leżą jak ropuchy, które się kijem zabija”.

- „Co ten drab mówi?” — zapytał Piotr Polter, który nie rozumiał języka Indian.

„Czy on co mówi, czy nie, to wszystko jedno — rzekł Hammerdull — ale ciebie nazywa głupią i tchórzliwą ropuchą, ponieważ byłeś tak nieostrożny i dałeś mu się pochwycić”.

„Głupią, tchórzliwą ropuchą? Czekaj, hultaju, poznasz ty Piotra Poltera! Pokażę ci, że nie potrzebuję się ciebie obawiać!”

Skurczył powoli swe potężne ciało. Indianie odeszli na bok by się naradzić, i nie zauważyli tego ruchu.

„Raz, dwa, trzy! Do widzenia, Hammerdull, do widzenia, Holbers! A nadpłyńcie tam wkrótce za mną!”

Sternik naprężył mięśnie w nadludzkim wysiłku. Rzemienie pękły, a on poderwał się, poskoczył do konia, wsiadł na niego i popędził przed siebie,

Indianie uważali za niepodobieństwo ucieczkę któregoś z pojmanych, toteż sternik zdążył ujechać dość znaczną przestrzeń, zanim chwycili za strzelby. Kule go nie dosięgły, ale dwaj Indianie dosiedli koni i puścili się w pogoń. Reszta pozostała przy jeńcach.

Ten sam młody Indianin, który mówił poprzednio, przystąpił znowu do białych i zapytał:

„Czy znacie myśliwca Sama Fireguna?”

Zapytani nie zaszczycili go odpowiedzią.

„Znacie go, jest waszym wodzem. Ale znaliście także Matto-siha, którego krew popłynęła z rąk waszych. On teraz poluje w Wiecznych Ostępach, a przed wami stoi syn jego, który postanowił pomścić jego śmierć. Syn Matto-siha poszedł z młodzieńcem za oddziałem, który miał pojmać konia ognistego, i znalazł po dwakroć trupy swoich braci.

Pochwycił potem nowe konie dla tych, którzy uszli z życiem, i skaże teraz morderców na pal męczarni”.

Obydwu myśliwców przywiązano do koni, po czym ruszono przez rzeczkę do lasu, ciągnącego się wzdłuż łańcucha pagórków. Indianie wiedzieli, że nie potrzebują troszczyć się o dwu towarzyszy, którzy pogonili za sternikiem.

Kiedy dotarli do lasu, zapadł już wieczór. Zapuścili się w gęstwinę i wkrótce spotkali gromadę Indian, siedzących dokoła małego, ledwo tlącego się ogniska. Młody wódz opowiedział im o wzięciu do niewoli białych, a potem wyjawił swe dalsze zamiary.

Częste, radosne okrzyki” dowodziły, że słowa jego zyskały całkowite uznanie. Ale natychmiast wystąpił jedyny znajdujący się wśród wojowników biały i powiedział:

„Niech Wielki Duch otworzy uszy moich czerwonych braci, ażeby dobrze zrozumieli to, co im chcę teraz wyjaśnić. Sam Firegun to wielki myśliwiec, mocny jak niedźwiedź, a mądry jak lis, nieubłagany wróg czerwonych mężów, którym zabrał więcej niż sto skalpów. On to zabił słynnego wodza Ogellallajów, Matto-siha, i wyswobodził się, kiedy wpadł w nasze ręce. Firegun zgromadził w swoim wigwamie złoto gór i ukrył starannie przed okiem ludzkim swoje mieszkanie. Jest on także i moim wrogiem, dlatego zebrałem ludzi, aby znaleźć jego wigwam i odebrać mu złoto. W drodze spotkaliśmy czerwonych braci, połączyliśmy się z nimi i postanowiliśmy, że oni wezmą krew, a my złoto nieprzyjaciół. Ale nie przyświecała nam szczęśliwa gwiazda. Wszyscy biali, z wyjątkiem mnie, wyginęli, a czerwonych braci także tylko niewielu zostało przy życiu. Byliśmy bezbronni, pozbawieni koni i zginęlibyśmy z głodu, gdybyśmy się nie natknęli na młodych wojowników plemienia, którzy wyruszyli, aby pokazać, że są godni walczyć w pierwszych szeregach. Pomszczą oni zabitych i

zabiorą skalpy nieprzyjaciół, lecz muszą to zrobić w inny sposób, niż proponuje młody wódz”.

Szmer zaciekawienia przebiegł w gromadzie słuchaczy, mówca zaś ciągnął dalej:

„Odkryliśmy wejście do wigwamu Fireguna. Mieszka on w jaskini, do której wchodzi się brodząc w potoku, przez co ślady pozostają niewidoczne. Możemy tam wejść w ciemnościach nocy i zabić nieprzyjaciół we śnie. Niechaj jednak moi bracia pomyślą nad tym, że jaskini strzegą straże, a w dodatku uszedł nam teraz jeden z ludzi Fireguna, który mu doniesie, że zbliżają się czerwoni wojownicy. Ale ja znam na szczęście lepszą drogę do jego kryjówki”.

„Niech nasz biały brat powie, jaka jest ta droga!”. — rzekł młody wódz.

„Woda, która wpływa do wigwamu Fireguna, nie zostaje w nim, lecz ”musi odpłynąć. Ja znalazłem to miejsce i zaprowadzę tam teraz młodego wodza, żeby zobaczył, czy można się tamtędy przedostać. Trzeba poza tym wypytać o to jeńców!”

Radę jego przyjęto z entuzjazmem. Krąg Indian rozdzielił się i wódz podszedł do Pitta Holbersa i Dicka Hammerdulla, którzy leżeli w pobliżu związani, z zakneblowanymi ustami.

Słyszeli oni każde słowo bandyty, nic nie wiedzieli jednakże o drugim wejściu do hide-spot.

Kryjówką Fireguna była rzeczywiście jaskinia, powstała w sposób naturalny we wnętrzu wapiennej góry. Dojście do niej wyżłobił potok, który w głębi jaskini rzucał się w ciemną otchłań skał. Firegun sam odkrył tę jaskinię i urządził w niej schronienie, ale jego towarzysze byli przekonani, że tylko do wodospadu można po niej chodzić.

Pojmanym wyjęto z ust kneble i zaprowadzono ich w obręb koła, gdzie biały traper rozpoczął przesłuchanie.

„Jesteście ludźmi Sama Fireguna?” — zapytał.

„Tak — odpowiedział Hammerdull. — Za to was nie przyjęto by- do stowarzyszenia, bo Pułkownik otacza się tylko uczciwymi, ludźmi”.

„Wymyślajcie mi, ile chcecie, jeśli sądzicie, że wam coś z tego przyjdzie. Ja nie mam na razie nic przeciwko temu. Czy macie złoto w hide-spot?”

„Mamy go dużo, bardzo dużo, w każdym razie więcej, niż potraficie stamtąd zabrać”.

„Ilu was jest w stowarzyszeniu?”

„Tylu, że każdy ź osobna poświeci wam na dro-

gę”.

„Kim był ten Indianin, który dopomógł Pułkownikowi do wydobycia się z więzów?”

„To mogę wam powiedzieć. Nazywa się Winnetou”.

„Ile jest wyjść z kryjówki?”

„Tyle, ile tam ludzi przebywa”.

„To znaczy?”

„Dla każdego jedno i to samo. Nieprawdaż, Holbers, stary szopie?”

„Opiszcie mi tę jaskinię!”

„Przypatrzcie się jej własnymi oczyma, to wam większą korzyść przyniesie!”

Traper odwrócił się i rzekł do Indianina:

„Niechaj moi bracia nałożą białym jeszcze silniejsze pęta. Ci dwaj zasługują stokrotnie na śmierć pod palem męczarni”.

Hammerdulla i Holbersa związano mocniej i obalono na ziemię, Ognisko płonęło, lecz podsycano je tak skąpo, że woń dymu czuć było zaledwie o kilka kroków. Pod liściastym sklepieniem puszczy panowała taka ciemność, że chyba tylko bystre oczy westmana lub Indianina mogły rozróżnić najbliższe przedmioty,

Biały traper wyruszył z młodym wodzem, aby mu pokazać jaskinię Fireguna. Szli w milczeniu drogą, która wiodła prosto przez las aż do rzeczki. Następnie, ze zdwojoną ostrożnością, zaczęli się posuwać brzegiem wody.

Po pewnym czasie dotarli do miejsca, gdzie potok, otoczony gęstymi zaroślami, wypływał ze skał u stóp góry. Traper rozsunął krzaki i zniknął za nimi, a Indianin poszedł za nim. Znaleźli się w niskiej, naturalnej sztolni, której dno tworzyło łożysko strumienia.

Droga była teraz niezmiernie uciążliwa. Traper szedł nią także po raz pierwszy, bo dawniej zbadał tylko wejście. Już pół godziny posuwali się z trudem we wnętrzu góry przeciw prądowi małego, lecz bystrego potoku, kiedy doleciał ich uszu szum wzmagający się z każdą chwilą, który w końcu zamienił się w ogłuszający łoskot.

Stanęli przed prostopadłym prawie wodospadem. W górze nad nimi znajdował się hide-spot Sama Fireguna, a tuż pod nogami mieli bardzo głęboki, przez wodę wyżłobiony kocioł, w którym kłębił się wir wody. Traper pomyślał, że jeśli tego strumienia używano rzeczywiście jako tajemnego wyjścia, musiał tam być jakiś przyrząd, za pomocą którego wydostawano się w górę lub schodzono na dół obok wodospadu.

Począł szukać macając po ścianach i wkrótce uchwycił ręką mocną, dobrze przytwierdzoną linę, powiązaną w węzły tak, że bez wielkiego wysiłku można było wdrapywać się po niej w górę i schodzić na dół. Traper próbował raz jeszcze, czy lina jest dobrze umocowana, i zaczął z wolna wspinać się po niej. Indianin uczynił to samo.

Dla niewtajemniczonych była to straszna, niebezpieczna droga. Trzeba było posuwać się mozolnie w deszczu rozbitej na pianę wody, która moczyła ubrania i ogłuszała niemal swym łoskotem w tej ciasnej przestrzeni. Równocześnie pod nogami czyhała nieznana głębia, a na górze czuwał

prawdopodobnie groźny nieprzyjaciel. Ale idący nie cofnęli się, jeden podniecony żądzą czynu, a drugi żądzą złota.

Szczęśliwie stanęli w górnym łożysku potoku. Wskutek szumu wodospadu nie mogli dosłyszeć przed sobą żadnego szmeru. Posuwali się z wolna dalej macając po ścianach, aż szum przycichł prawie zupełnie. Wtem traper stanął, bo wydało mu się, że doleciały go przyciszone ludzkie głosy. Wyjąwszy nóż i ukryty na piersiach rewolwer, zaczął się skradać bezszelestnie, a za nim Indianin, również gotowy do walki. Głosy stały się wyraźniejsze. Podchodzący zatrzymali się teraz i zaczęli nasłuchiwać. Ktoś mówił:

„Przekleństwo! Te rzemienie wpijają mi się w ciało jak noże. Niech diabeł porwie Fireguna i jego towarzyszy!”

„Sami jesteśmy temu winni — odpowiedział drugi głos. — Gdybyśmy byli czujniejsi, nie zaskoczyliby nas tak haniebnie. Winnetou to prawdziwy diabeł, a Pułkownik istny olbrzym. Pozostaje nam jednak przynajmniej ta pociecha, że nas nie zabili. To dużo znaczy. Może jeszcze policzymy się z nimi...”

„Mr Sanders, to wy?” — zapytał po cichu traper.

„Kto tam? — szepnął zapytany z najwyższym zdumieniem. — Leżymy tu pojmani i skrępowani. Nasi wrogowie są daleko na przodzie i nie mogą nas dosłyszeć. A kim wy jesteście?”

„Zaraz się dowiecie. Najpierw zdejmiemy wam rzemienie”.

Po chwili wyswobodzono Letriera i Sandersa. Czterej mężczyźni porozumieli się rychło.

„Ale jak dostaliście się do jaskini? — zapytał Sanders. — Ona ciągnie się przecież tylko do wodospadu!”

„Tak, dla głupca nie umiejącego myśleć. Ja natomiast bez trudu przejrzałem sztuczki Fireguna. Przecież woda nie może gubić się tu w górze, musi mieć jakieś ujście!”

„Oczywiście! Że też o tym nie pomyślałem!”

„Ja odnalazłem to wyjście i coś jeszcze w dodatku: linę, po której można się dostać na dół do potoku, a stamtąd na świat. Idziecie, oczywiście, z nami?”

Sanders namyślał się przez kilka sekund.

„Poszlibyśmy chętnie, ale lepiej będzie, jeśli nas na powrót związecie i zostawicie tutaj, dopóki nie wrócicie z Indianami”.

„Sądzę, że zbyt dobrze wam się tu nie powodzi!”

„Oczywiście! Ale zważcie, ile tu złota nagromadzono! Jeśli za wcześnie odkryją naszą ucieczkę, będzie ono dla nas stracone. Kiedy później po nie wrócimy, Firegun zdąży je ukryć tak, że nam tchu zabraknie przy szukaniu”.

„Do diabla, macie słuszność! Powinienem był o tym wcześniej pomyśleć! Żeby tu wrócić z wojownikami, potrzebujemy dobrych kilku godzin, a przez ten czas mogłoby wszystko przepaść. Czy rzeczywiście odważycie się zostać tu jeszcze ?” ”

„Niepotrzebne pytanie! Spodziewam się tylko, że nas nie opuścicie”.

„Bądźcie o to spokojni! Czerwoni dżentelmeni mają do pomówienia z towarzyszami Fireguna, a ja nie jestem taki głupi, żeby się wyrzekać szlachetnego kruszcu”.

„Skrępujcie więc nas na powrót!”

„Zwiążę was niezbyt mocno, a tu macie nóż na wszelki wypadek. Tak, gotowe! A teraz w drogę!”

Obaj śmiałkowie zniknęli bez szmeru, a jeńcy zajęli swe poprzednie miejsca. Czuli się o wiele silniejsi na duchu aniżeli przed chwilą.

Kiedy to wszystko działo się w najdalszym krańcu jaskini, mały Bill Potter stał przed nią z drugiej strony, wsparty o drzewo, i śledził pilnie każdy szmer, który mącił ciszę nocną.

Nagle usłyszał plusk szybkich kroków w potoku. Rzucił się na ziemię, aby przybysz nie mógł go dostrzec. Po chwili jakiś człowiek stanął w pobliżu, starając się przebić wzrokiem ciemności.

„Hej tam! Czy nie ma tu nikogo na straży?!” — zawołał.

„Polter, czy to ty?”.

„No, kimże miałbym być, jeśli nie Piotrem Polterem, he? A kogo właściwie Pułkownik tutaj postawił?”

„Hihihi! Piotr Polter nie poznaje Billa Pottera, który stoi przed nim o dwie stopy! Gdzie są tamci?”

„Jacy tamci, stary trutniu?”

„No, Hammerdull i Holbers! A co Się stało z mięsem, które mieliście przynieść?”

„Idźcie sami po mięso, a także po grubasa i chudzielca. Znajdziecie wszystko u Indian tam nad rzeką, jeśli przedtem nie pojadą dalej”.

„U Indian, nad rzeką? Co to ma znaczyć?”

„To znaczy, że nie mam czasu wdawać się z tobą w długie rozmowy! — odparł Polter. — Muszę iść do Pułkownika, a ty potem dowiesz się o wszystkim”.

Zawrócił ku wejściu do jaskini, gdzie myśliwi siedzieli przy ognisku. Sam Firegun poznał nadchodzącego.

„Już z powrotem, sterniku? — spytał. — A tamci?”

„Tamci zostali pojmani, sir, a wkrótce będą powieszeni, zastrzeleni albo pożarci!”

Wszyscy zerwali się na równe nogi.

„Pojmani? Przez kogo? Opowiedz!” — wołali.

„Zaraz. Podajcie mi najpierw coś do przepłukania gardła. Płynąłem jak kuter pocztowy i trzeszczę we wszystkich spojeniach. Niech mnie diabeł porwie, jeśli jeszcze kiedy pójdę na te nieszczęsne prerie i usadowię się na grzbiecie podobnej bestii! Żeby to bydlę samo nie

poczuło hide-spot, byłbym jeszcze z dziesięć lat uganiał po sawannach!”

Dano mu zjeść i wypić. Potem dopiero zaczął opowiadać, czym wywołał niemałe wzburzenie wśród myśliwców.

„Hammerdull i Holbers pojmani?! — wołano ze wszystkich stron. — Trzeba ich uwolnić, i to jak najrychlej, bo czerwonoskórzy załatwią się z nimi nie zwlekając!”

„Wyruszymy natychmiast!” — dorzuciłem, gdyż polubiłem obydwu oryginalnych traperów i chciałem im jak najprędzej pośpieszyć z pomocą.

„Tak — potwierdził Wallerstein. — Indianie się oddalą i nie zdołamy ich potem doścignąć!”

Sam Firegun uśmiechnął się.

„Musicie zaczekać do rana, bo w ciemności nie rozpoznamy śladów. Wątpię, czy sternik potrafi zaprowadzić nas nad rzekę, gdzie ich zaskoczono”.

„Ja? Nad rzekę? — spytał ze złością Polter. — Co mnie obchodzi ta nędzna woda, gdzie doznaliśmy takiej klęski? Każę się przepiłować od góry do dołu, jeśli zdołam powiedzieć, czy to bajoro leży na prawo, czy na lewo. Nie miałem przy sobie ani kompasu, ani liny. Grubas i chudzielec holowali mnie i nie starałem się wcale zważać na kierunek. Potem ta bestia niosła mnie tak, że wzrok i słuch postradałem. Co ja mogę wiedzieć o waszej wodzie? Dajcie mi spokój!”

„Hihihi! — śmiał się Bill Potter, który nadszedł w tej chwili. — Ten człowiek jeździ po preriach i nie wie, gdzie był! Teraz będziemy musieli iść jego tropem, zanim znajdziemy ślady Indian. Czy to nie śmieszne, he?”

„Ja sądzę, że nie potrzeba szukać tropu ani sternika, ani Indian — przerwał mu Firegun. — Młodzi Ogellallajowie wyjechali w wojennym zapale w ślad za starszymi

wojownikami, znaleźli ich trupy i pragną teraz zemsty. Wyszukali sobie pewnie bezpieczne obozowisko i zawlekli tam pojmanych. Będą wypytywali ich o hide-spot, lecz Hammerdull i Holbers zginą raczej, niżby mieli nas zdradzić. Indianom więc niełatwo będzie znaleźć naszą kryjówkę, ale w każdym razie będą usiłowali tego dokonać i napaść na nas jak najrychlej, zanim zbiegły sternik zdąży nas ostrzec. Zapewne są już w drodze, wystarczy więc, jeśli na nich zaczekamy. Niechaj wartownik wróci na swoje miejsce, a my wszyscy bądźmy w pogotowiu. Precz z ogniskiem! Tylko smolne szczapy mogą się palić w jaskini. Ja zajrzę do jeńców”.

„Pójdę ze stryjem — rzekł Wallerstein. — Mnie najbardziej zależy na tym, by nie uciekli”.

Wziął jedną z płonących pochodni i poświecił idącemu przodem Pułkownikowi.

Przybywszy do pojmanych, Firegun rzucił na nich badawcze spojrzenie. Oko jego padło przy tym na wilgotny, wapienny grunt jaskini. Po twarzy przemknął mu błyskawicznie wyraz zdziwienia, ale powiedział spokojnie:

„Wszystko w porządku. Chodźmy!”

Kiedy jednak wrócił do towarzyszy, zwołał ich czym prędzej półgłośnym okrzykiem:

„Słuchajcie! Indianie są nie tylko w drodze do nas, lecz byli już w naszej kryjówce! Odnaleźli ją!”

Zdziwienie i przestrach odbiły się na twarzach myśliwców, którzy natychmiast chwycili za noże i rewolwery.

„Muszę wam teraz wyjawić tajemnicę, o której ze względu na wspólne bezpieczeństwo nie mówiłem dotąd ani słowa. Jaskinia ma ukryte wyjście. Woda spadająca w głębi wypływa na zewnątrz góry. Przymocowałem obok wodospadu mocną, podwójną linę, za pomocą której można się wydostać na świąt. Teraz, kiedy byłem u jeńców,

zauważyłem na ziemi ślady obcych stóp, a jeden rzut oka przekonał mnie, że więzy obu bandytów są rozluźnione”.

„Jak to się stało? — zapytałem. — Sam ich mocno związałem. Rozluźnić im rzemienie mógł tylko ktoś obcy”.

„Indianie wysłali kilku ludzi na zwiady, którym udało się widocznie znaleźć tajemne wejście. Wspięli się po linie na górę, natrafili na więźniów, rozluźnili im pęta i zostawili pewnie jakąś broń. Potem wrócili po swoich”.

„Czemuż nie zabrali Sandersa i Letriera ze sobą?” — spytał Wallerstein.

„Bo plany napastników wzięłyby w łeb, gdybyśmy przedwcześnie odkryli nieobecność jeńców. Przede wszystkim należy unieszkodliwić tych dwu drabów i związać ich na nowo. Dalej, chłopcze! Pójdziemy naprzód, a reszta cicho za nami, by rzucić się na nich, gdyby próbowali oporu. Należy unikać rozlewu krwi!”

Podczas tej rozmowy na krańcu groty odbywała się także narada, prowadzona półgłosem.

„Janie, czy widziałeś spojrzenie Fireguna?” — zapytał Sanders.

„Nie patrzyłem wcale na niego”.

„On odkrył wszystko”.

„Nie może być! Przecież odszedł zupełnie uspokojony”.

„To był tylko podstęp! Zobaczył ślady naszego towarzysza i młodego wodza i twarz drgnęła mu podejrzanie. Potem popatrzył krótko na nasze więzy, a brzmienie jego głosu, gdy mówił » wszystko w porządku, utwierdziło mię w przekonaniu, że nas przejrzał”.

„Szatan! A teraz poszedł po swych ludzi, żeby nas związać na nowo! Można doprawdy zwariować!”

„Najprostszą i jedyną drogą jest natychmiastowa ucieczka”.

Powstali z ziemi, uwolnili się od rzemieni, po czym ruszyli kierując się szumem wodospadu. Po dłuższym szukaniu znaleźli sznur i zaczęli się po nim spuszczać. Śmiałe przedsięwzięcie się udało. Brodząc w wodzie wyszli po kilku minutach mokrzy, ale zdrowi i cali na wolną przestrzeń.

Wyprostowali się i zatrzymali na chwilę, aby odsapnąć.

„Tu musimy zaczekać na Indian” — rzekł Letrier.

„To niebezpieczne. Firegun każe nas z pewnością zaraz ścigać, gdy spostrzeże naszą ucieczkę. Chodźmy da-

lej!”

„Ale nie wiemy, gdzie jest obóz Indian!”

„To nic! Nie potrzebujemy iść daleko. Wyszukamy sobie tutaj kryjówkę i zaczekamy na dalsze wypadki”.

„Masz słuszność, kapitanie; gdybyśmy teraz natknęli się na Indian, musielibyśmy z nimi zawrócić i wziąć udział w bitwie, a ja do tego wcale nie czuję ochoty. Niech ci zacni ludzie pójdą w ogień, a potem zobaczymy, jak będzie można najpraktyczniej dobrać się do kasztanów”.

„I ja tak sądzę. Chodź!”

Przeszli kilka kroków i ukryli się w splątanym gąszczu zarośli. Zachowując się jak najciszej, nasłuchiwali uważnie w ciemności nocnej. Wtem dał się słyszeć ledwo uchwytny szmer.

„Indianie!”— szepnął Sanders.

Nie mylił się, Z synem Matto-siha na czele czerwonoskórzy zbliżali się jeden za drugim z nadzwyczajną ostrożnością, Stanąwszy przed ukrytym wejściem, odbyli krótką naradę, po czym zniknęli w małym otworze. Dwaj wojownicy pozostali na straży.

Upłynęło sporo czasu. Niebo, którego nie można było odróżnić od czarnego dachu listowia, zaczęło się przejaśniać, potem stały się widoczne poszczególne pnie,

grubsze konary i gałęzie. Tu i ówdzie odezwał się zbudzony ptak. Noc ustępowała powoli, wreszcie zaczęło świtać na dobre.

Czuwający Indianie stali bez ruchu nad brzegiem potoku, tam gdzie wypływał on z góry. Z pewnością niecierpliwili się, nie okazywali tego jednak najmniejszym drgnieniem swych spiżowych twarzy. Wyglądali jak dwa posągi wsparte na lufach strzelb.

Naraz huknęły dwa strzały równocześnie i strażnicy padli bez życia na ziemię. W następnej chwili podniosły się obok nich dwie postacie, które niepostrzeżenie, wychynęły z tajemnego przejścia.

Byli to Sam Firegun i Bill Potter.

„Hihihi! — zaśmiał się mały traper. — Za wcześnie wyleciały z gniazda te pisklęta, nie nauczywszy się dobrze słuchać i patrzeć. Widzicie teraz, Pułkowniku, że miałem słuszność. Nie zatarli swoich śladów i teraz możemy znaleźć ich obóz, w którym znajdują się grubas i chudzielec”.

„Czy odważysz się sam wrócić do jaskini?”

„Czemu nie? Czy sądzisz może, że Bill Potter boi się dwu kropli wody, które trzeba będzie połknąć?”

„Ta wracaj! Ja poszukam śladów, a ty sprowadź towarzyszy dookoła góry na to miejsce. Niech ”zostanie tylko jeden strażnik, bo plac oczyściliśmy dokładnie. Ja pójdę naprzód, a wy za mną, ale śpieszcie się, żebyście mnie doścignęli niedługo!”

Mały traper zniknął w otworze, a Sam Firegun ruszył tropem Indian, który był tak wyraźny, że przynajmniej na początku nie trzeba było badać go ze szczególną uwagą. Myśliwiec przeto pobieżnie rzucił nań okiem, wskutek czego nie zauważył śladów zostawionych przez obu zbiegów. Idąc za tropem Ogellallajów, znalazł się wkrótce w głębi lasu.

Po pewnym czasie Sanders szepnął:

„To okropne nieszczęście! Indianie wdarli się po linie do jaskini, ale tam natychmiast pozabijano ich wszystkich. Szkoda! I znowu stoimy tylko my dwaj przeciwko Firegunowi i jego ludziom!”

„Co robić? — spytał Letrier. — Wiecznie nie możemy tu przecież leżeć”.

„Zaczekamy, dopóki myśliwi nie odejdą — szepnął Sanders — a potem wrócimy tą samą drogą, którą przyszliśmy tutaj”.

„Do jaskini?”

„To się rozumie!”

„I damy się tam pozabijać!”

„Słyszałeś, że tylko jeden myśliwiec ma pozostać na straży. Będzie stał daleko od jaskini, nad potokiem, i nie zauważy nas”.

„Słusznie! Pułkownik popełnił gruby błąd, nie postawiwszy i tutaj straży”.

„Oczywiście. Wrócimy zatem do groty i poszukamy złota. Uzbroimy się też, bo w kryjówce jest dość strzelb i noży. Następnie zakłujemy strażnika i weźmiemy sobie dwa dobre konie”.

„Gdzie one stoją, kapitanie?”

„Nie wiem tego, ale znajdziemy je z pewnością. Myśliwcy jeżdżą zawsze wzdłuż potoku, w pobliżu musi więc być miejsce, w którym przywiązują konie. Jeśli zbadamy uważnie brzegi, to natrafimy na nie bez trudu”.

„A potem?” — zapytał Letrier.

„Potem w świat! Dokąd, to się dopiero pokaże, ale w każdym razie na zachód, bo na wschodzie nie mamy co robić. Gdy dostaniemy złoto, będziemy się starali dotrzeć do San Francisco...”

Nagle jakiś szelest zmusił go do milczenia. Odezwały się ciche kroki. To Bill Potter przedzierał się przez zarośla, a za nim wszyscy traperzy z wyjątkiem jednego, który miał pilnować jaskini. Winnetou był również z nimi. Nie zatrzymując się poszli w las, kierując się znakami, które pozostawił dla nich Firegun.

„Chwała Bogu! — rzekł Letrier, kiedy ucichły w dali odgłosy kroków. — Nasze życie wisiało teraz na włosku! Choć przemokłem do nitki, spociłem się mimo to jak w łaźni”.

„Chodźmy już. Musimy jednak być ostrożni i zatrzeć wszelkie ślady za sobą”.

Czynność ta sprawiła im tyle trudu, że upłynęła dobra ” chwila, zanim zniknęli w otworze prowadzącym do jaskini. Znali już drogę i dostali się szczęśliwie na górę. Letrier, który wspinał się za swoim kapitanem, puścił właśnie linę i stanął na ziemi, kiedy poczuł, że go Sanders zatrzymuje. Stali przed mnóstwem leżących dokoła ... ciał ludzkich. Ze zgrozą przekonali się, że byli to młodzi Indianie. Letrier wzdrygnął się.

„Brr, kapitanie! Tych biednych chłopców chwytano jednego po drugim i zabijano, kiedy wchodzili do kryjówki. To szczęście, żeśmy się tam w lesie zatrzymali! Bylibyśmy musieli pójść z nimi na niechybną śmierć!”

„Teraz nie czas na takie rozważania. Naprzód po broń!”

Wtargnęli do kryjówki opuszczonej przez traperów. Z głównej groty prowadziły wejścia do komór bocznych. Jedna z nich obwieszona była najróżniejszą bronią, jakiej wymaga życie na preriach. Znajdowało się tam również mnóstwo prochu, ołowiu i form do odlewania kul. Żywność, co prawda w małej ilości, złożona była w drugiej komorze. W głównej grocie paliła się lampa olejna, dająca dostateczne oświetlenie. Obaj bandyci zaopatrzyli się najpierw we wszystko, czego- potrzebowali z broni, jedzenia i ubrania, a

potem zaczęli szukać ukrytych skarbów. Drogi czas upływał, śpieszyli się więc coraz bardziej. Dotarli wreszcie do ostatniej komory.

„Patrz, to zapewne mieszkanie Fireguna!” — zawołał Sanders.

Ściany były tu obwieszone niegarbowanymi skórami, które chroniły pomieszczenie od wilgoci. Kilka z gruba ciosanych krzeseł i skrzyń stanowiło całe jego urządzenie. Szukający rzucili się natychmiast do skrzyń, lecz i tu nie znaleźli złota, tylko ubrania i różne bezwartościowe przedmioty. Rozrzucili je w pośpiechu na ziemi. Wtem Sanders wydał słaby okrzyk radości. Znalazł stary portfel, owinięty troskliwie, który leżał na dnie jednej ze skrzyń.

,,To nie złoto, ale może mimo to ma jakąś wartość” — rzekł.

Wszedł do głównej groty, gdzie było jaśniej, i otworzył portfel.

„Co tam jest, kapitanie?” — zapytał Letrier z zaciekawieniem.

,,Nic, zupełnie nic. Znowu się zawiodłem” — odpowiedział Sanders spokojnie, lecz duszę jego zalewały fale wzruszenia.

Portfel zawierał plik kwitów depozytowych. Firegun odwiózł widocznie złoto do rozmaitych banków na Wschodzie i kazał sobie na te sumy wystawić kwity. Obecny ich właściciel mógł je w każdej chwili zmienić na bieżącą monetę. Ale tego Letrier nie potrzebował wiedzieć.

Sumy wypisane na kwitach nie należały tylko do Fireguna, lecz do całego stowarzyszenia i dlatego były tak wysokie. W kryjówce z pewnością znajdowało się jeszcze mnóstwo złotego piasku i brył kruszcu, ale nie można było ich znaleźć. W chwili kiedy szukający wygłaszali na ten temat pełne wściekłości uwagi, usłyszeli szmer: to strażnik

wchodził do groty. Sanders, który zdążył nabić jeden ze znalezionych rewolwerów, zastrzelił go natychmiast.

„A teraz uciekajmy! — zawołał. — Musimy jak najszybciej znaleźć konie!”

Opuściwszy jaskinię zwykle używanym, przednim wejściem, udali się wzdłuż potoku i dotarli wkrótce na zarosłą trawą polanę, gdzie pasły się konie myśliwców. Nie tracąc czasu osiodłali szybko dwa wierzchowce, dosiedli ich i odjechali.

Tymczasem wszyscy myśliwcy z wyjątkiem tego, którego na jego zgubę zostawiono na straży, podążyli śladami Indian, by wyswobodzić Dicka Hammerdulla i Pitta Holbersa, Sama Fireguna, który poszedł pierwszy, doścignęli niebawem. Zabrał on z sobą cały swój oddział, bo nie wiedział, z ilu czerwonoskórymi będzie miał do czynienia. Szedł naprzód z Winnetou i obydwaj odczytywali ślady, bardzo zresztą wyraźne, bo Indianie posuwali się nocą, Mimo że podróż nie nastręczała trudności, dopiero po kilku godzinach ujrzeli przed sobą las, w którym obozowali Ogellallajowie wraz z jeńcami. Oddział skręcił teraz, aby podejść do nieprzyjaciół z boku. Wszyscy pomykali od krzaka do krzaka, od drzewa do drzewa, aż Winnetou, który pierwszy usłyszał głosy, dał znak idącym za nim, aby się zatrzymali. On i Firegun poczołgali się dalej i niebawem ujrzeli miejsce, o które im chodziło. Równocześnie Pułkownik zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie zabrał wszystkich swoich traperów, bo oprócz pojmanych westmanów, leżących na ziemi, znajdowało się w obozie tylko trzech ludzi: dwaj Indianie i biały, który doradził czerwonoskórym napad na hide-spot. W jednej chwili otoczono polankę, owych trzech ludzi zastrzelono — choć wbrew woli Winnetou i Fireguna — po czym przecięto więzy jeńcom.

„Czemuż byliście tak nieostrożni, Dicku, i daliście się złapać takim chłopcom?” — zapytał Firegun.

„Czy ostrożni, czy nie, to wszystko jedno — odrzekł grubas prostując się. — Pojmali nas i nic nie można było na to poradzić. Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

„Hm! — mruknął chudzielec. — Jeśli sądzisz, Dicku, że nie można było sobie poradzić, to masz słuszność, gdyż nic na to nie poradziliśmy”.

„I biały był z nimi! — dziwił się Firegun. — W takim razie prócz Sandersa i Letriera umknął nam teraz jeszcze jeden bandyta!”

„Ten drab — rzekł Hammerdull — który odkrył hide--spot, uciekł zaraz po bitwie w wąwozie. Zaprowadził młodego wodza, aby. mu drogę pokazać, ale nie poszedł teraz z wojownikami, kiedy mieli dokonać napadu. Jakże wam się powiodło? Czy odparliście Ogellallajów?”

„Zdmuchnęliśmy wszystkich, a w jaki sposób, o tym dowiesz się w drodze. Ruszymy zaraz, bo zostawiliśmy w domu tylko jednego człowieka”.

Po powrocie do groty Firegun aż nadto dobrze zrozumiał, jak wielki popełnił błąd. Znaleźli bowiem zwłoki strażnika i przekonali się, że ktoś przeszukał wszystkie zakątki jaskini. Kto to uczynił, nie ulegało żadnej wątpliwości. Pułkownik stwierdził z ulgą, że złoczyńcy nie znaleźli zapasu złota, ale wpadł we wściekłość, gdy spostrzegł brak portfelu z kwitami. Gniew jego udzielił się wszystkim traperom — postanowili jednogłośnie ścigać Sandersa i jego towarzysza. Skradzione pieniądze mogły znacznie ułatwić zbiegom ucieczkę, gdyby się dostali do miejsc zamieszkanych. Nie należało wobec tego zwlekać ani chwili z pościgiem.

Jeśli przedtem zrobiłem w opowiadaniu wielki skok z San Francisco aż na Dziki Zachód — ciągnął Treskow — to proszę teraz panów, byście skoczyli tam ze mną z powrotem. Jesteśmy więc znowu we Frisco, a raczej w pobliżu, w Oakland, położonym nad zatoką. Każdy bowiem, kto przybywa z Zachodu, musi się zatrzymać w Oakland, gdzie

zastępuje mu drogę zatoka San Francisco, mająca jedenaście kilometrów szerokości.

Sposobności do przeprawienia się jest jednak pod dostatkiem. Nawet konnych przewozi się tam na szerokim promie.

Jednym z takich promów przeprawili się pewnego dnia dwaj jeźdźcy, nie schodząc ze swoich wierzchowców, choć były bardzo zdrożone. Jeźdźcy również wyglądali na ludzi, którzy przez dłuższy czas nie korzystali z dobrodziejstw cywilizacji. Zmierzwione brody zwisały im na piersi, kapelusze z szerokimi kresami straciły swój pierwotny kształt, a skórzane ubrania wyglądały jak zrobione z zeschłej, popękanej kory. Cały ich ekwipunek wskazywał, że przebyli w ostatnim czasie daleką i uciążliwą drogę. Byli to Sanders i Letrier.

„Nareszcie! — odetchnął pierwszy głęboko. — Jesteśmy, Janie, tutaj, gdzie, jak przypuszczam, nic nam już nie grozi”.

Drugi jeździec potrząsnął smętnie głową.

„Darujcie, kapitanie, ale ja nie podzielam tej nadziei. Dopiero wtedy poczuję się bezpieczny, gdy będę siedział na pokładzie dobrego statku, który odpłynie o kilka mil od brzegu. Niech mnie diabeł porwie, jeśli Pułkownik ze swymi ludźmi nie następuje nam na pięty!”

„To mało prawdopodobne. Wobec tego, żeśmy go wodzili na wszystkie strony, pomyślał pewnie, że przez góry uciekliśmy do Brytyjskiej Kolumbii. W każdym razie nie na próżno nadkładaliśmy drogi”.

„Chciałbym, żebyście się nie mylili, ale nie ufam diabelskiemu plemieniu traperów i uważam za najlepsze udać się jak najrychlej na pokład statku, który opuszcza ten przeklęty kraj”.

„Przede wszystkim musimy upodobnić się do ludzi”.

„Na to potrzeba pieniędzy”.

„Musimy je dostać, i to zaraz. Popatrz no tam!”

Wskazał ręką na barak, nad którego niskim dachem widniał napis: „Jonatan Livingstone, handlarz końmi”.

„Handlarz końmi? — rzekł Letrier. — Dużo on nam da za nasze zagłodzone zwierzęta!”

„Zobaczymy!”

Zawrócili ku budynkowi. Kiedy zeskoczyli z siodeł, wyszedł do nich człowiek, w którym na odległość tysiąca kroków poznać było można handlarza.

„Czy kupujecie konie?”— zapytał Sanders.

„Hm, owszem... ale nie takie” — odpowiedział kupiec rzucając lekceważące, lecz bystre spojrzenie na ofiarowany mu towar.

„Well, w takim razie żegnamy, sir!”

Sanders dosiadł konia, udając, że chce się oddalić.

„Powoli, master, powoli. Pozwolicie chyba, żebym najpierw obejrzał zwierzęta!”

„Skoro »takich« nie kupujecie, to was żegnamy. Nie macie do czynienia z greenhornem!”

„Tak, tak! Zsiądźcie, proszę! Hm, nędzne, strasznie nędzne! Dam trzydzieści dolarów za oba, nie więcej ani nie mniej”.

Po długich targach podróżni uzyskali jednak za swoje wierzchowce cenę sześćdziesięciu dolarów. Handlarz wprowadził Sandersa do małej izdebki, przedzielonej na dwie części perkalową zasłoną, za którą zniknął. Po chwili wyszedł z pieniędzmi.

„Czy znacie dobrze miasto? --— zapytał Sanders. — Chodzi mi o porządny bank albo lombard”.

„Lombard? A czego tam chcecie?”

„To już moja sprawa”.

„Nie, sir, jeśli mam wam udzielić właściwej wiadomości”. . „Chcę sprzedać kwit depozytowy”.

„Na co?”

„Na złoty piasek i rudę”.

„Do krocset piorunów! Jeśli to dobry papier, to ja sam go kupię. Załatwiam czasem takie interesy, jeśli, oczywiście, mogę coś przy tym zarobić”.

Sanders wydobył % portfelu znalezionego w jaskini jeden z kwitów i wręczył handlarzowi. Ten zdziwił się i rzucił pełne szacunku spojrzenia na obdartego przybysza.

„Dwadzieścia tysięcy dolarów jako równowartość złota, złożonego w banku Charlesa Brockmanna w Omaha! Kwit jest dobry. Ile żądacie?”. „Ile dajecie?”

„Połowę”.

Sanders wziął papier z ręki handlarza i skierował się do drzwi.

„Żegnam was!”

„Stójcie! Ile chcecie?”

„Osiemnaście tysięcy wypłaci mi natychmiast każdy bankier. Ponieważ jednak jestem już u was i śpieszę się bardzo, dacie mi szesnaście, a kwit będzie wasz”.

„To niemożliwe. Nie wiem, czy jesteście prawym właścicielem...”

„Well, sir. Nie chcecie, to dobrze!”

Handlarz zatrzymał go znowu; podnosił cenę coraz wyżej, aż w końcu wyniósł zza kotary żądaną sumę. Należał do tych niepozornych kupców, którym mimo ich ubogiego odzienia i nędznego domu nigdy nie brak gotówki.

Handlarz wyprowadził klienta z izby i odebrał od Letriera konie, po czym obydwaj przybysze oddalili się śpiesznie. .

„Dobry interes! — mruknął handlarz. — Przepyszna rasa i tęgo zbudowane. Dużo wytrzymały i przy starannej opiece

przyjdą do siebie”.

Jeszcze nie oderwał oczu od kupionych koni, kiedy zabrzmiał w ulicy głośny tętent. Nadjechali cwałem dwaj ludzie, którzy przeprawili się następnym promem. Jeden z nich był Indianinem, a orle pióra, wplecione we włosy, świadczyły, że jest wodzem. Drugi był białym, herkulesowej budowy, z jasnymi włosami Spływającymi na kark. Ani jeźdźcy, ani ich wspaniałe wierzchowce nie okazywały śladów znużenia.

Przebiegając cwałem, Indianin rzucił mimo woli okiem ku domowi handlarza i zawrócił w tej chwili.

„Niech mój biały brat spojrzy na te konie!” — zawołał.

Drugi jeździec pośpieszył za nim do baraku. Wystarczyło mu jedno spojrzenie. Ujrzawszy szyld, podjechał do handlarza i pozdrowił go:

„Witajcie, sir! Kupiliście właśnie te konie?”

„Yes, master” — odrzekł handlarz.

„Od dwu ludzi, którzy dopiero co tu przyjechali?”

Podał dokładny opis Sandersa i Letriera.

„Zgadza się, master”.

„Czy są jeszcze tutaj?”

„Nie”.

„Dokąd odeszli?”

„Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi”.

„Ale z pewnością znacie kierunek, w którym się udali?”

„Skręcili za tamtym rogiem. Nie potrafię wam nic więcej powiedzieć”.

Jeździec zamyślił się na chwilę, rzucił na handlarza ostre, badawcze spojrzenie i spytał:

„Czy kupujecie tylko konie?

„Konie i inne rzeczy”.

„A nugget?”

„Także. Macie może złoto?”

„Tu nie, ale wiozą je za nami moi ludzie. Kupicie?”

„Może nieco później. Wydałem właśnie wszystkie pieniądze”.

„Czy jeden z tamtych ludzi sprzedał wam może kwity depozytowe?”;

„Tak”.

„Na jaką sumę?”

„Na dwadzieścia tysięcy dolarów”.

„Czy bylibyście tak dobrzy pokazać mi ten kwit? Chcę zobaczyć, czy to ten dżentelmen, z którym pragniemy się spotkać”.

„Hm! Kwit zobaczycie, ale nie dostaniecie go do ręki”.

Handlarz wszedł do baraku i wrócił niebawem z papierem, któremu przybysz przypatrzył się dokładnie.

„Dziękuję, sir! Ci ludzie już tu pewnie nie wrócą. Gdyby to jednak nastąpiło, nie kupujcie od nich nic, lecz dajcie znać policji. Te kwity są moją własnością, oni mi je ukradli. Może będę jeszcze u was”.

Zawrócił i odjechał wraz z Indianinem.

Pułkownik i Winnetou, oni to byli bowiem, nie zamienili ze sobą ani słowa aż do bulwaru wiodącego ku przystani. Tam Firegun zapytał:

„Mój czerwony brat towarzyszył mi w drodze przez sawanny. Czy zostanie przy mnie, gdy wsiądę na statek?”

„Wódz Apaczów pójdzie z Firegunem przez całą ziemię i na wielką wodę. Howgh!”

„Zbóje będą się pewnie starali umknąć na morze, będą więc dopytywali się o odchodzące statki. Ale my uczynimy to samo. Musimy ich pochwycić”.

Pułkownik skierował się do najbliższej gospody, Apacz zaś zawrócił, aby sprowadzić resztę towarzyszy, którzy jechali wolniej na obładowanych koniach.

Tymczasem Sanders i Letrier wędrowali dalej w kierunku portu. Nagle spostrzegli człowieka, który wyszedł z bocznego zaułka i nie zważając na nich przeciął ulicę. Zaledwie średniego wzrostu, wysmukły, miał na sobie ubranie poszukiwacza złota. Kapelusz z szerokimi kresami niedostatecznie osłaniał jego twarz, zeszpeconą szeroką, czerwoną blizną. Sanders stanął jak rażony piorunem i pochwycił towarzysza za rękę.

„Janie, czy znasz tego mężczyznę?” — spytał pośpiesznie.

„Tego? Nie, kapitanie”.

„Właściwie źle się wyraziłem. Należało powiedzieć: czy znasz tę kobietę?”

„Kobietę? Do stu piorunów! Ta postawa, ten chód! Ale, kapitanie, to chyba niemożliwe!”

„To ona. Powiadam ci, że to ona, nikt inny! Wyglądamy jak dzicy ludzie, dlatego nas nie poznała. Szczęśliwy dla nas przypadek sprowadził ją tutaj. Musimy pójść za nią”.

Poszli za tajemniczym przechodniem, który wkrótce wstąpił do szopy zbudowanej z desek. Na przedniej jej ścianie widniał napis: „Tawerna Pod Pękatą Flaszką”. Obok napisu wyobrażona była flaszka wódki.

„Co ona robi w tej budzie? Ma dość pieniędzy i mieszka pewnie wspaniale. Jej obecne odzienie jest oczywiście przebraniem, a jej zjawienie się tutaj ma jakiś ukryty cel”.

„Musimy tam za nią wejść, kapitanie”.

„Nie można, Janie. Poznałaby nas pomimo naszego obecnego wyglądu. Może od tyłu znajdę jaką dziurę czy szparę, przez którą będę mógł objąć okiem wnętrze. Gdyby stąd wyszła, przyjdziesz czym prędzej i zawiadomisz mnie”.

Sanders obszedł budę i znalazł wkrótce dziurę, przez którą mógł widzieć większą część szynkowni.

Człowiek z blizną usiadł przy wielkim piecu, ale później zniknął gdzieś w tyle. Sanders wywnioskował, że po tej stronie musi znajdować się jeszcze jedna izba. Posunął się więc dalej pod cienką ścianą, aż doleciało go kilka głosów. Przyłożył ucho do deski i słuchał. W izbie toczyła się taka rozmowa:

„Gdzie się spotkamy, sir?”

„Nie tutaj. To byłoby niebezpieczne. Stawcie się nad małą zatoką, powyżej ostatniego domku rybackiego. Musicie się zebrać o jedenastej. Przed moim przybyciem nie wolno wam nic przedsięwziąć”.

„Pięknie! Porządna walka się rozegra, zanim opanujemy statek!”

„Nie tak ciężka, jak wam się zdaje. Oficerowie zaproszeni są dzisiaj na ląd, a na pokładzie odbędzie się uczta, która ułatwi nam robotę”.

„To świetnie! Czy na pokładzie nie będziemy mieli sprzymierzeńców ?

„Jest tam Długi Tom z kilkoma jeszcze zuchami, którzy na nas czekają”.

„Do stu diabłów! Dobrze zabraliście się do sprawy! I Czarny Kapitan będzie tam rzeczywiście?”

„Na pewno! Podniesiemy natychmiast kotwicę, wiatr mamy dobry, i jeśli nie zajdzie jakiś nieprzewidziany wypadek, niebawem zaczną o »L Horrible u« opowiadać takie same historie jak dawniej”.

„Możecie na nas liczyć, sir. Będzie nas około trzydziestu, a z dzielnymi oficerami i na takim żaglowcu możemy drwię sobie z marynarki całego świata”.

„Ja też tak sądzę. Macie tu zadatek i coś ponadto na wódkę. Ale bądźcie trzeźwi, zamach musi nam się udać!”

Człowiek, który umawiał się z marynarzami, wyszedł z izby.

Sanders poznał go także po głosie, pomimo że był on teraz o kilka tonów niższy. Dowiedział się tak niezwykłych rzeczy, że stał przez długą chwilę bez ruchu, dopóki ciche „pst” nie wyrwało go z odrętwienia. Letrier stał przed domem i wołał go.

„Już poszła. Prędzej, prędzej!”

Sanders wybiegł spomiędzy domów i zobaczył jeszcze, jak człowiek z blizną znika za rogiem ulicy. Obydwaj ruszyli biegiem i ścigali tajemniczego osobnika przez brudne uliczki przedmieścia i szerokie ulice w centrum miasta aż do sztachet rozległego ogrodu. Tu ścigany rozejrzał się dokoła, a nie widząc nic podejrzanego, przeskoczył przez płot z iście kocią zręcznością. Sanders i Letrier stali na czatach blisko godzinę, ale na próżno: nie zobaczyli już nikogo.

„Ona tu mieszka, Janie. Poszukajmy domu, do którego przylega ten ogród!”

Obeszli parkan boczną ulicą i nagle ujrzeli wspaniały ekwipaż przed bramą domu, którego właśnie szukali. Wsiadała do niego jakaś pani. Sanders i Letrier cofnęli się, a elegancki pojazd przeleciał obok nich tak blisko, że rysy twarzy jego właścicielki mogli bez trudu rozpoznać.

„To ona!” — zawołał Jan.

„Tak, to ona. Omyłka jest niemożliwa. Ja zostanę tutaj, a ty idź i dowiedz się, pod jakim nazwiskiem teraz występuje”.

Letrier usłuchał rozkazu i wrócił wkrótce z wiadomościami.

„Nazywa się pani de Voulettre. Zajmuje całe pierwsze piętro tego domu”.

„Chodź do portu! Tam się naradzimy”.

Skierowali się w stronę portu, a po drodze wstąpili do magazynu z gotowymi ubiorami, z którego wyszli zmienieni

do niepoznania.

Przeciskali się powoli przez tłumy ludzi, gdy Letrier drgnął nagle i pochwycił Sandersa za rękę.

„Popatrzcie tam, kapitanie, na człowieka, który stoi pod dźwigiem.!”

„Ach! Do wszystkich diabłów, to Sam Firegun! Nie dali się więc wywieść w pole i podążyli za nami! Gdzie mogą być jego towarzysze?”

„Zapewne ten przeklęty agent policji rozesłał ich po mieście, aby na nas czatowali”.

„Niewątpliwie! Czy stary już nas zauważył?”

„Zdaje mi się, że nie. Był odwrócony, kiedy go spostrzegłem, a zresztą w naszych nowych ubraniach trudno nas poznać z tej odległości”.

„Słusznie. A teraz popatrz tam na przystań! Czy znasz ten okręt, który stoi w pobliżu pancernika?”

„Do stu piorunów! To nasz »L Horrible«! Zawsze bym go poznał, choćby nie wiem jak zmieniono porządek jego lin i masztów!”

Wmieszali się w najgęstszy tłum ludzi i podążyli do oddalonej oberży, gdzie kazali sobie dać osobny pokój. Tam mogli porozmawiać bez przeszkód.

„Poznałeś więc naszego »L Horrible a«? — spytał Sanders. — Dzisiejszy jego dowódca musi ustąpić, a jego miejsce zajmie niejaki Sanders albo, jeśli wolisz, Czarny Kapitan”.

„Hm, to niezła mrzonka, kapitanie”.

„Mrzonka? Niedługo zamieni się w rzeczywistość!”

Letrier uśmiechnął się nieznacznie.

„A Miss Admiral zostanie oczywiście pierwszym oficerem i jak dawniej będzie się szastać po pokładzie?”

„Może i nie. Obłaskawimy tę panterę, zobaczysz”.

„A jaką służbę pełnić będzie wierny Letrier?”;

„Znajdzie się coś i dla ciebie”.

„Szkoda tak pięknego domku z kart!”

„A gdyby to nie był domek z kart, lecz mocny, solidny budynek?”

Letriera stropił poważny ton Czarnego Kapitana. Spojrzał na niego badawczo i mruknął:

„Hm, na świecie niejedna rzecz jest możliwa, przynajmniej dla takich zuchów jak my”.

„Istotnie. Posłuchaj, co ci powiem”.

Sanders opowiedział towarzyszowi, co słyszał przez ścianę szynku, i dodał swoje wnioski i domysły, do których uprawniała go usłyszana rozmowa. Letrier zdumiał się.

„A do diabła! Ale po tej kobiecie można się wszystkiego spodziewać!”

„Wykona swój plan. Bądź spokojny”.

„A my?”

„Czy nie powiedziałem ci, że dzisiaj w nocy będę dowodził »L Horrible em«?”

„Ona będzie się bronić”.

„Byłem dawniej jej przełożonym i teraz także nim będę. Ona się nie zmieniła. Ukraść okręt ze środka portu w San Francisco to dla niej fraszka. Ale nam przysłuży się znakomicie. Co za szczęście, że zobaczyliśmy ją i poznaliśmy mimo przebrania!”

Gdy tak rozmawiali, u pani de Voulettre przygotowywano się do wspaniałego przyjęcia. Najwyszukańsze przysmaki, różne rodzaje win stały do dyspozycji gości. Pani domu, wróciwszy z przechadzki, wglądała osobiście we wszystko. Otworzyła także ukradkiem kilka flaszek wina i wsypała do nich nieco białego proszku, po czym zapieczętowała je na nowo.

Wieczór zbliżał się, zmrok już zapadł, a z okien domu biło światło przewyższające siłą blask latarń ulicznych.

Goście, a więc porucznik Jenner ze swymi oficerami i komendant pancernika, zebrali się już i bawili wesoło. Tłumy ludzi stały przed portalem, zaglądając ciekawie do wnętrza domu. Pomiędzy nimi znajdowali się także dwaj marynarze. Stali w milczeniu i rzucali na sąsiadów obojętne spojrzenia. Wzrok ich zwracał się wyłącznie na jedno z oświetlonych okien. Czekali długo. Nareszcie spuszczono zasłonę, a za nią przesunął się kilka razy cień ręki w górę i na dół, po czym światło zgasło.

„To znak” — szepnął jeden z marynarzy.

„Chodźmy!” — odrzekł drugi.

Skręcili w uliczkę, którą przechodzili za dnia Sanders i Letrier. Przy furtce ogrodowej zauważyli kufer, a obok niego jakąś postać. Z powodu ciemności niepodobna było rozpoznać szczegółów, widać było tylko, że człowiek ten był zaledwie średniego wzrostu i miał potężną, ciemną brodę. Była to pani de Voulettre w nowym przebraniu; kufer zawierał drogocenne przyrządy żeglarskie.

„Czy powóz zamówiony?! — zapytał człowiek z ciemną brodą.

„Tak”— brzmiała odpowiedź.

„Idziemy więc”-.

Głos brzmiał ostro, jak gdyby od młodości przywykł do rozkazywania. Marynarze podnieśli kufer i poszli przodem, a brodacz za nimi. Na ” rogu ulicy stał powóz. Kufer z trudnością umieszczono na koźle, trzej spiskowcy wsiedli i powóz potoczył się szybko w stronę portu. Przybywszy nad małą zatokę, wszyscy wysiedli, zdjęli kufer, a powóz wrócił do miasta.

Nagle dał się słyszeć głos:

„Stój! Kto idzie?”

„Czarny Kapitan!”

„Witamy!”

Gromada ciemnych postaci otoczyła z uszanowaniem przybyłych.

„Łodzie w porządku?” — spytał człowiek z brodą.

,,Tak”.

,,A broń?”

„Również”.

„Nie brak nikogo?”

„Nikogo”.

„Idziemy więc, ja biorę pierwszą łódź!”

Wniesiono kufer, założono owinięte szmatami wiosła i łodzie ruszyły naprzód bez szmeru.

Z początku podążyły prosto na pełne morze, ale potem skręciły ostro w przeciwnym kierunku i zbliżyły się nadzwyczaj ostrożnie do „L Horrible a”, na którego dziobie i rufie płonęły latarnie.

Podpłynęli bardzo blisko do statku. Ten, który nazwał się Czarnym Kapitanem, stał na dziobie łodzi i patrzył badawczo na ciemną sylwetę okrętu. W tej chwili miało się wszystko rozstrzygnąć.

Zabrzmiał ochrypły krzyk mewy.

Ludzie na łodziach odetchnęli. Był to umówiony znak, że na statku wszystko sprzyja ich zamiarom. Kilka lin zwieszało się z tyłu okrętu.

„Przybijać, a potem na górę!” — padła cicha komenda.

W kilka minut potem wszyscy ludzie z łodzi stali na pokładzie, gdzie na nich czekał Długi Tom.

,,Jak tam?” — zapytał brodacz.

„W porządku! Ja i moi ludzie trzymamy straż. Inni ucztują w kajucie albo leżą już pijani pod stołami”.

„Zamknąć ich w kubryku, ale oszczędzać! Skrępujcie ich tylko. Potem będą musieli przyłączyć się do nas. Im większą będziemy mieli załogę, tym lepiej”.

Rozkaz wykonano szybko i bez hałasu. Załoga, nie przeczuwając nie złego i pijana do nieprzytomności, została związana i zamknięta na dnie statku. Wciągnięto kufer na pokład i zaniesiono do kajuty kapitana, po czym łodzie puszczono na morze. Były już niepotrzebne — „L'Horrible” znajdował się w mocy piratów.

Czarnobrody zgromadził teraz swoich ludzi i wyznaczył każdemu zadanie do spełnienia.

„Wypływamy na morze — powiedział. — Głośnej komendy nie będzie, bo usłyszeliby mnie na pancerniku. Spodziewam się jednak, że każdy wie, co ma czynić”.

Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, a dowódca krążył pomiędzy nimi i wydawał ciche rozkazy. Kotwica się podniosła, żagle wybiegły na maszty, a pomyślny wiatr zaczął je wydymać. Wspaniały statek, posłuszny sterowi, obrócił się powoli i ruszył na pełne morze.

Teraz dopiero huknął na pancerniku strzał — jeden, drugi i trzeci. Wiedziano tam, że oficerowie „L Horrible a” wysiedli na ląd, ale niestety za późno spostrzeżono ruch na okręcie. Domyślono się jednak, że zaszło coś niezwykłego, i strzałami armatnimi wszczęto alarm.

Nowy dowódca „L Horrible a” udał się na pomost w towarzystwie Długiego Toma.

„Słuchaj, Tomie! W porcie spostrzegli, że uciekamy!” — rzekł.

Zagadnięty rzucił spojrzenie na wydęte wiatrem żagle, odcinające się ostro od ciemnego nieba.

„To im się na nic nie przyda. Za późno się ocknęli. Ale skąd znacie moje imię, sir?”

„Czarny Kapitan musi je znać. Przecież dość nażeglowałeś się ze mną”.

„Z wami? Nie gniewajcie się, sir! Jesteście dzielnym oficerem, to już zauważyłem, ale nie jesteście Czarnym Kapitanem”. .

„Ale zostanę nim!”

„To wam się nie uda. Ludzie chcą służyć tylko pod nim, a człowiek z czerwoną blizną, który nas werbował, przyrzekł, że on jeszcze dzisiaj będzie na pokładzie”.

„Z czerwoną blizną? Czy rzeczywiście nie poznałeś tego człowieka?”

„Jakże miałem go poznać? Nigdy go przedtem nie - widziałem!”

„Tysiące razy, Tomie, tysiące razy widziałeś już jego albo raczej ją. Przypomnij sobie!”

„Jego? Ją? Do kroćset piorunów! Czyżby... czyżby to była Miss Admiral?”

„To była ona. I teraz znów przed tobą stoi. Czy sądzisz, że nie potrafi odegrać roli Czarnego Kapitana?”

Tom cofnął się o kilka kroków.

„Do pioruna, sir... miss, chciałem powiedzieć, to niezwykła historia! Myślałem, że powieszono was, kiedy czerwone kabaty zabierały »L Horrible a«!”

„Nie doszło do tego. Ale posłuchaj! Jesteś na statku jedynym, który zna Czarnego Kapitana. Zamilcz przed załogą, że ja i agent to jedna i ta sama osoba; zostaw ich w mniemaniu, że jestem Czarnym. Rozumiesz?”

„Rozumiem!”

„Zapewniam, że źle na tym nie wyjdziesz”.

„Hm, mnie wszystko jedno, czy dowodzi kobieta, czy mężczyzna, jeśli tylko zarobek będzie dobry. Możecie mi zaufać”.

„Dobrze! Ale patrz! W przystani mnożą się światła. Chcą nas ścigać. Ale my w dzień za dwie godziny zniknęlibyśmy im z oczu, a cóż dopiero w nocy!”

Miss Admiral kazała rozwinąć wszystkie żagle, . a okręt, pochyliwszy się na bok, ze zdwojoną szybkością pruł fale. Kobieta, oparta o maszt, rozkoszowała się uczuciem, że ma znów pod nogami pokład znakomitego żaglowca. Dopiero gdy zaczęło świtać, a obecność jej na pokładzie była zbyteczna, zeszła do kajuty. Stał już tam kufer, a u stropu paliła się lampa.

„Hm — rzekła rozglądając się z widocznym zadowoleniem po ładnej kabinie — ten Jenner nie jest taki do niczego, jak sądziłam! Urządził się tu wspaniale. Ale przede wszystkim muszę zobaczyć, czy jest jeszcze moja skrytka, o której nawet Sanders nie wiedział”.

Odsunęła na bok lustro i przycisnęła znajdujący się za nim ledwie widoczny guzik. Otworzyły się podwójne drzwiczki i odsłoniły wnękę, w której leżały najrozmaitsze papiery.

„Naprawdę, wszystko nienaruszone!”

Wydobyła kluczyk i otworzyła kufer. W jednym z jego przedziałów znajdowały się rulony złotych monet -i paczki banknotów. Schowała je w skrytce, zamknęła ją i zawiesiła na dawnym miejscu lustro. Następnie wyjęła z kufra bieliznę i odzież, którą włożyła do szafy, i wydobyła te same instrumenty żeglarskie, które jako pani de Voulettre pokazywała porucznikowi Jennerowi.

„Żeby ten młodzik wiedział — powiedziała głośno — dlaczego piękna pani zajmowała się tak nudnymi rzeczami! Na Boga! Dzisiejszy figiel jest najlepszym w moim życiu. Ciekawam, co by powiedział na to Sanders, gdyby tu się znalazł...”

„Zawołałby: brawo!” — zabrzmiało za plecami Miss Admiral, a jakaś ręka spoczęła na jej ramieniu.

Odwróciła się z przerażeniem i wpatrzyła szeroko rozwartymi oczyma w stojącego przed nią mężczyznę.

„Sanders!” — wyjąkała prawie z krzykiem.

„Sanders!” — potwierdził mężczyzna ze spokojnym i pełnym ironii uśmiechem.

„To nie może być! Jego duch... jego duch...”

„Tere-fere! Czy pierwszy oficer »L Horrible a« wierzy w duchy?”

„Ale jak... dlaczego wziąłeś się w San Francisco i tu na statku?”

„Jak, to wyjaśnię ci później. A dlaczego, to wiesz sama”.

„Nie, nic nie wiem.!”

„Czy także nic nie wiesz o mojej kasie, która zniknęła, gdy uznałaś za stosowne opuścić mnie w Nowym Jorku jak nędznego rozbitka?”

„Nie nie wiem!”

„Tak! Szczęściem jestem w tym położeniu, że mogę ci służyć dowodami. Ale najpierw zajmiemy się tym, co teraz zrobiłaś. Uprowadziłaś »L Horrible a«”.

Milczała.

„I zwerbowałaś sobie ludzi w tym celu?”

Znowu się nie odezwała.

,,Przyrzekłaś im podstępnie, że dowództwo obejmie Czarny Kapitan”.

Kobieta walczyła jeszcze z przestrachem, który w niej wywołało nagłe zjawienie się Sandersa.

,,Aby ci ułatwić dotrzymanie słowa, przypłynąłem na statek przed tobą, ukryłem się między linami i czekałem na sposobność przypomnienia ci się. Jesteś rzeczywiście diabelską istotą! Ponieważ urządziłaś wszystko tak dobrze, zostawię ci, co prawda, tylko na razie, dopóki się nie policzymy, twoje dawne stanowisko na »L Horrible u«.

Zdejm zatem brodę! Zawadza ci, a Czarnego Kapitana nawet z takim zarostem naśladować nie potrafisz”.

Mówił to spokojnie i z widoczną pewnością siebie. Kobiecie krew uderzyła do twarzy, a oczy zabłysły jak u kota. „Ja mam zostać twoim pomocnikiem? A jeśli ciebie nie uznam?” — syknęła.

„Znają mnie Długi Tom i Letrier. Bardziej są przywiązani do mnie aniżeli do okrutnej pantery, która nazywała się Miss Admiral”.

„Letrier? Gdzież on jest?”

„Tu na statku. Przybył wraz ze mną i rozmawia teraz na górze z Tomem, by mu powiedzieć, że rzeczywiście jestem obecny na pokładzie”.

,,To nie pomoże ani tobie, ani jemu — szepnęła Miss Admirał z zawziętością. — »L Horrible« jest okrętem pirackim, a ja jego kapitanem. Kto bez mego pozwolenia przestąpi jego burtę, zapłaci za to śmiercią!”

Wyrwała rewolwer zza pasa i wymierzyła do Sandersa. Ale on błyskawicznie wytrącił jej broń z ręki, a potem pochwycił ją za ramiona i przycisnął do ściany.

„Posłuchaj — rzekł groźnie. — Za dawniejsze twe. przewinienia policzę się z tobą później. Byłbym cię mimo wszystko zostawił na stanowisku pierwszego oficera. Ty jednak pragniesz mojej śmierci i życie moje byłoby w niebezpieczeństwie, gdybym ci zaufał. Ja jestem kapitanem okrętu, a ty... ty... już nie będziesz mogła mi szkodzić!”

Straszne uderzenie pięści spadło na jej głowę. Kobieta, jak piorunem rażona, runęła na podłogę. . Sanders związał ją tymi samymi sznurami, na których wniesiono kufer, i udał się na górę.

Dzień był już jasny, można więc było jednym spojrzeniem ogarnąć cały statek. Wszyscy marynarze, zgromadziwszy się na pokładzie, utworzyli krąg dokoła Toma

i Letriera, który opowiadał im coś z zapałem. Wtem wzrok jego padł na Sandersa. Wierny towarzysz wyrzucił czapkę w powietrze i krzyknął:

„Oto on, ludzie! Wiwat Czarny Kapitan!”

Kapelusze poleciały w górę i ze wszystkich piersi wyrwał się ten sam okrzyk. Sanders skinął łaskawie głową i wszedł dumnym krokiem w środek koła. Wszyscy złożyli mu przysięgę na wierność, a w zamian otrzymali wysoki żołd. Potem wyznaczono wachty i ustalono regulamin służbowy; kiedy wszystko już było w porządku, kapitan z Letrierem podążył do kajuty Miss Admirał.

Kobieta odzyskała już przytomność, lecz na widok Sandersa zamknęła znowu oczy. Kapitan pochylił się nad nią i zapytał:

„Gdzie pieniądze, które mi porwałaś?”

Uniosła powieki, a z jej oczu wystrzelił błysk nienawiści.

Powtórzył pytanie.

„Pytaj, ile chcesz. Odpowiedzi nie otrzymasz” — oświadczyła kobieta zajadle.

„Jak wolisz! — uśmiechnął się. — Znaczna część naturalnie już poszła, pani de Voulettre miała z pewnością wielkie wydatki, ale reszta jest na statku. Znam ciebie”.

„Szukaj”.

„Zrobię to, a jeśli nie znajdę pieniędzy, to przynajmniej znajdę środki, które cię zmuszą do mówienia”.

I zwróciwszy się do Letriera dodał:

,,Ta kobieta będzie uwięziona w mojej kajucie. Ja tylko będę jej stróżem, nikt inny nie ma prawa do niej się zbliżać, nawet ty. Kto spróbuje się z nią porozumiewać, dostanie kulą w łeb. Zresztą nikt prócz ciebie nie powinien się dowiedzieć, gdzie ona przebywa. Teraz sprowadź na pokład pojedynczo członków dawnej załogi. Może się coś da zrobić dla tych ludzi”.

Letrier odszedł, a Sanders wciągnął Miss Admiral do swojej kajuty i wzmocnił jej więzy.

Wieczór poprzedniego dnia Sarn Firegun spędził w porcie dopytując się o statki pasażerskie, które miały odpływać. Dowiedział się, że tego dnia i nazajutrz nie odjedzie żaden, ale przy sposobności usłyszał, że stoi na kotwicy „L Horrible”. Domyślił się, że ten okręt, należący ongiś do Czarnego Kapitana, podziała przyciągająco na Sandersa, ustawił się więc tak, aby widzieć każdego, kto udawał się na statek lub wracał z niego.

Wybiła godzina dziesiąta, a Sam Firegun ciągle jeszcze stał na wybrzeżu. Dla jednego człowieka zadanie, którego się podjął, było trudne, prawie niemożliwe do wykonania; toteż odpłynęła od brzegu niejedna barka, a traper nie mógł rozpoznać siedzących w niej osób. Wreszcie tuż pod jego stopami, przy schodach prowadzących do wody, zjawił się przewoźnik w pustej łodzi.

„Dobry wieczór! — pozdrowił go Firegun. — Cóż to, sami odbywaliście przejażdżkę?”

„Nic podobnego! — odpowiedział wioślarz, wyskoczył z łodzi i siadł obok Fireguna. — Odwiozłem kogoś, ale przyrzekłem, że słówka o tym nie pisnę”.

„A dlaczegoście obiecali milczeć?”

„Bo... bo każdy chętnie przyjmuje napiwek”.

„A jeśli ja dam lepszy napiwek?”

Wioślarz wiedział z doświadczenia, że niejeden obdarty górnik ma przy sobie więcej złota aniżeli stu elegantów razem wziętych.

Sam Firegun podszedł pod latarnię i wyjął z kieszeni bryłkę kruszcu.

„Do wszystkich diabłów, sir! Ten kawałek wart co najmniej pięć dolarów!” — zawołał właściciel łodzi.

„Słusznie! Dostaniecie go, jeśli mi powiecie to, co chcecie zataić. Kogo przewieźliście?”

„Dwu ludzi”.

„Aha! Myśliwców?”

„Nie. Dżentelmenów w nowych ubraniach”.

„Jak wyglądali?”

Wioślarz opisał Pułkownikowi swych pasażerów, których wygląd, pominąwszy ubrania, zgadzał się dokładnie z wyglądem Sandersa i Letriera.

„Dokąd zawieźliście ich?”

„W pobliże »L Horrible a«, który tam stoi na kotwicy. Powiedzieli mi, że należą do załogi statku, że wyrwali się po kryjomu, aby zabawić się na lądzie, a teraz chcą, żeby nie zauważono ich powrotu”.

,,I musieliście im przyrzec...”

„Że nie będę o tym mówił, zanim nie upłynie kilka godzin”.

Firegun chciał dalej pytać, kiedy nagle poczuł czyjąś rękę na swoim ramieniu.

,,Niech mój brat pójdzie ze mną!”

Był to Winnetou. Odprowadził Pułkownika na bok i zapytał:

„Jak się nazywa to wielkie kanu, które stoi na wodzie z tamtej strony?”

„»L Horrible«”.

,,A jak się nazywa kanu,” na którym biały, nazwiskiem Sanders, był wodzem?”

,,»L Horrible«. To ten sam okręt”.

,,Czy biały nie zechce odzyskać swojego kanu?”

Sam Firegun stropił się i zapytał:

,,Skąd memu bratu przyszła ta myśl do głowy?”

„Nasi towarzysze nadjechali późno i postanowili zanocować po tamtej stronie zatoki — odrzekł Winnetou. — Powiedziałem im, gdzie mają nas szukać, i wróciłem do ciebie. Na promie była gromada białych, którzy mówili o tym kanu. Opuściwszy prom udali się nad zatokę, zaczekali tam jakiś czas, a potem wsiedli z innymi jeszcze ludźmi i z kufrem do kilku łodzi”.

„Czy mój brat słyszał wszystko, co mówili?”

„Chcieli zakraść się na wielkie kanu i zabić marynarzy. Potem miał przyjść Czarny Wódz”.

„Czarny Kapitan?” , „Tak. Widziałem u nich noże i topory za pasem”.

Firegun wysłuchawszy tego zamyślił się na chwilę, a potem rzekł:

„Niech mój brat wróci do zajazdu! Nasi towarzysze nadejdą tam pewnie przed świtem”.

Apacz spełnił to polecenie. Także wioślarz oddalił się z otrzymanym złotem i traper został sam.

Czyżby na ,,L Horrible u” działo się istotnie coś niezwykłego? Winnetou nie mylił się z pewnością, ale jeśli rzeczywiście miano napaść na okręt, to skąd mogli ci ludzie wiedzieć o przybyciu Sandersa?

Gdy tak rozmyślał, zagrzmiały w przystani strzały armatnie i mimo spóźnionej pory zaroiło się na nabrzeżu od tłumu ludzi, których zastanowił ten alarm. Ciemność nie pozwalała rozpoznać wszystkich statków stojących w porcie, ale migotanie latarń było pewną oznaką, że stało się coś niezwykłego.

Barka z sześciu żołnierzami pod dowództwem kadeta przybiła tuż obok myśliwca. Oficer z kapitanatu portu wystąpił z tłumu i zapytał:

,,Co się stało?”

,,»L Horrible« pod pełnymi żaglami ruszył na morze” — odkrzyknął kadet.

,,Cóż z tego?”

Cóż z tego? Wszyscy jego oficerowie znajdują się na lądzie. Popełniono tu jakieś łajdactwo, a ja mam rozkaz zawiadomić was o tym natychmiast”.

,,Kto strzelał?”

„My, na pancerniku. Nasz kapitan jest też,-na lądzie z oficerami »L Horrible a« !”

Kadet pospieszył do pani de Voulettre, a Sam Firegun za nim. W pałacu panowało niesłychane zamieszanie. Pani domu zniknęła bez śladu, a wszyscy goście leżeli w salonie nieprzytomni, zatruci winem, jak stwierdzili sprowadzeni czym prędzej lekarze. Razem z panią de Voulettre zniknął kufer ze zbiorem cennych map i przyrządów żeglarskich.

Traper wysłuchał wszystkiego. Lekarze i urzędnicy policyjni wbiegali i wybiegali, a przed domem stał tłum ciekawych. Teraz i Firegun się przeraził. Nie mógł zrozumieć, jaki stosunek łączy panią de Voulettre z Sandersem, ale nabrał pewności, że okręt został porwany z jej pomocą.

Czy miał zawiadomić policję o tym, co zauważył Apacz? To doprowadziłoby do przesłuchiwań i straty czasu szkodliwej dla jego zamiarów. Pozostawała tylko jedna, szybka i pewna droga wiodąca do celu, na którą wpadła zresztą i policja: „L Horrible a” postanowiono ścigać. Sam Firegun chciał uczynić to również, ale na własną rękę. Trzeba było przede wszystkim ogromnych pieniędzy na wynajęcie parowca, musiał więc zaczekać na przybycie reszty towarzyszy, którzy wieźli skarby przechowywane dotąd w kryjówce. Należało zapanować nad niecierpliwością i wrócić do Winnetou.

Firegun pojechał do zajazdu i położył się obok Apacza. Indianin spał, ale Pułkownika sen odlatywał. Myśl, że Sanders czuje się bezpieczny na pełnym morzu, a on, który

ścigał go krok za krokiem, wśród niewysłowionych trudów i niebezpieczeństw, pozwala mu teraz umknąć, ta myśl tak go dręczyła, że przewracał się niespokojnie i liczył minuty dzielące go od przybycia towarzyszy.

Skarby, które wieźli, opóźniały ich jazdę i dlatego Pułkownik wyprzedził ich z Apaczem, aby nie stracić z oczu zbiegów. Powinni zjawić się teraz nad ranem; z gorączkowym więc niepokojem stary traper oczekiwał świtu.

Dotarliśmy do oberży istotnie o wschodzie słońca — opowiadał dalej Treskow. — Ja i bratanek Pułkownika jechaliśmy pierwsi, a za nami podążał sternik, który, jak zwykle, miał wiele kłopotów z koniem. Potem cwałowali Holbers, Hammerdull, Bill Potter i kilku innych. Każdy z nich prowadził na lince po jednym lub po dwa konie, ciężko obładowane.

„Dzięki Bogu, że jesteście nareszcie! — zawołał Sam Firegun. — Czekaliśmy na was z utęsknieniem”.

„Nie można było jechać prędzej, stryju — odpowiedział Wallerstein. — Przypatrzcie się naszym biednym zwierzętom! Zaledwie mogą stać”.

„Co zrobimy, Pułkowniku? — zapytałem wysłuchawszy jego relacji. — Czy porozumieliście się z policją?”

„Nie, to byłaby tylko strata czasu”.

„Słusznie. Jest tylko jeden sposób wygrania sprawy. Wynajmiemy dobry parowiec i ruszymy za nimi”.

„I ja tak myślałem, dlatego czekałem na was niecierpliwie. Nie mamy przecież obiegowej monety i musimy czym prędzej wymienić nasze złoto”.

„To na nic! — rzekł sternik ze złością. — Ja nie chcę parowca. To najnędzniejszy rodzaj statków. Dobry żaglowiec zawsze znajdzie wiatr, a taka szalupa potrzebuje węgla, którego nie wszędzie można dostać. Potem stoi się na

kotwicy w porcie albo na pełnym morzu i nie można ruszyć ani w tył, ani naprzód”.

„To weźmiemy dostateczną ilość węgla”.

„Trzeba też mieć parowiec, a pytanie, czy taki jest pod ręką. Musimy pamiętać, że tutejsi ludzie będą się z nami targowali przez cały dzień, zanim dadzą statek”,

„Zapłacę, ile zechcą”.

„Tak, a potem będziemy ładowali żywność, amunicję i węgiel, stracimy mnóstwo czasu i »L Horrible« minie przylądek Horn, zanim wyruszymy. Niech to diabeł porwie!”

„Ale stać tutaj i patrzeć na morze, to także na nic — odezwałem się. — Z pewnością wiele statków już ściga »L Horrible a« i w tym na razie cała pociecha. My jednak także musimy puścić się w pogoń za Czarnym Kapitanem. Oczywiście, trzeba rozstrzygnąć, w którym kierunku ucieka”.

Wszyscy spojrzeli pytająco na sternika.

„To nie tak łatwo ustalić — rzekł Polter. — Jeśli »L Horrible« miał pod dostatkiem żywności, to ruszył pewnie do Japonii albo Australii. Jeśli jednak miał mało prowiantu, to pojechał na południe, aby gdziekolwiek na zachodnim wybrzeżu odnowić zapasy”.

Słuszność tego rozumowania uznali wszyscy.

„Chodźmy więc dowiedzieć się, co będzie można zrobić — zaproponowałem. — Czy znacie jakiś bank kupujący nugget, Pułkowniku?”

„Bellhourst i Spółka — odpowiedział. — Miałem z tą firmą już dawniej do czynienia, może mnie tam jeszcze nie zapomniano”.

„Czy to daleko?”

„Nie. Kantor jest w pobliżu portu”.

Gdy podjechaliśmy do domu bankowego, Pułkownik zsiadł z konia i wszedł do wnętrza. Po jakimś czasie powrócił i kazał swoim ludziom zanieść do kantoru przywiezione złoto. Po zbadaniu i odważeniu kruszcu wypłacono Firegunowi ogromną sumę pieniędzy.

„Załatwione — rzekł. -— Teraz każdy dostanie przypadający na niego udział”.

Na to wystąpił Hammerdull.

,,Czy dostaniemy, czy nie, to wszystko jedno, ale co ja będę robił z tymi papierami? Ja ich nie potrzebuję, a wam są one teraz niezbędne. Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?”

„Jeśli sądzisz, Dicku, że powinniśmy zostawić Pułkownikowi te świstki, to nie mam nic przeciwko temu. Ja się bez nich obejdę. Wolę tłustą łapę niedźwiedzią albo kawałek soczystej polędwicy z bizona. A ty nie, Potter?”

„Zgadzam się — potwierdził mały traper. — Ja nie jadam papieru, a mój koń także nie, hihihi! Pułkownik odda nam pieniądze, kiedy już sam nie będzie ich potrzebował”.

„Dziękuję wam za zaufanie — odrzekł Firegun. — Na razie nie wiem, jak się sprawy ułożą. Wypłacę wam, co się każdemu należy, a i tak zostanie mi aż nadto pieniędzy. Jeślibym jednak więcej potrzebował, to przecież będziecie przy mnie, przynajmniej kilku z was, bo wątpię, czy wszyscy zechcą ruszyć na morze”.

„Czy wątpicie, czy nie, to wszystko jedno, ale ja jadę z wami!” — rzekł Hammerdull.

„I ja!” — wtrącił Holbers.

„I ja!” — zawołał mały Potter.

„I ja... i ja!” — przyłączyli się inni.

„Później to rozstrzygniemy — odrzekł Firegun. — Teraz się podzielimy!”

Zaraz w kantorze każdy otrzymał należną mu sumę, po czym dosiedliśmy koni i pojechali do portu.

Oprócz żaglowców, stojących na kotwicy, widać tam było tylko kilka holowników i statków kupieckich. Wszystkie parowce opuściły port, aby przez pewien czas towarzyszyć okrętom wojennym w pogoni za „L Horrible em”. Został tylko pancernik, którego dowódca leżał jeszcze nieprzytomny na lądzie.

Policji udało się tymczasem wprowadzić trochę światła w ciemności nocnego zdarzenia. Jeden z mieszkańców domu, którego pierwsze piętro zajmowała pani de Voulettre, był przypadkiem w ogrodzie, kiedy trzej tajemniczy ludzie wychodzili z kufrem. Znaleziono także dorożkarza, który zawiózł ich do portu. Właściciel najdalej położonego domku rybackiego zgłosił się dobrowolnie z zeznaniem, że poprzedniej nocy kilka łodzi zatrzymało się w pobliżu; wsiadło do nich czterdziestu ludzi, a wkrótce przybył dowódca z dwoma jeszcze marynarzami i z kufrem; na pytanie strażnika odpowiedział okrzykiem: „Czarny Kapitan!”

Doniesienia te w połączeniu z powszechnie znanym faktem, że pierwszy oficer Czarnego Kapitana był kobietą, oraz rozmaite papiery znalezione w domu pani de Voulettre, pozwoliły wyjaśnić nieodgadnione na pozór zdarzenia. O tym wszystkim myśliwcy dowiedzieli się na wybrzeżu od ludzi, którzy na wieść, że rozbójnik morski porwał z ożywionego portu okręt wojenny, zebrali się tu tłumnie i rozprawiali z niesłychanym wzburzeniem.

Sternik przypatrywał się okrętom.

„No?” — zapytał Pułkownik niecierpliwie.”

„Nie ma nic stosownego dla nas. Same beczki na sól i kadzie na śledzie, które robią zaledwie dwa węzły na dziesięć miesięcy. Ale tam dalej...”

„Co tam dalej ?” — rzucił Firegun.

„Hm, niech się nie nazywam Piotr Polter, jeśli tam, całkiem daleko, nie widać białego punktu, który może być

tylko żaglem. Musimy spokojnie zaczekać. Może przypłynie tylko, a może wstąpi tutaj”.

„Kiedy statek może zawinąć do portu?”

„Za godzinę lub później. To zależy, jak jest zbudowany i kto nim dowodzi”.

„W takim razie mamy czas. Jeśli się da, popłyniemy tym statkiem, a jeśli nie — to zaczekamy na wynik pogoni, zanim postanowimy, co dalej czynić. Gdybyśmy przyjechali o dziesięć minut wcześniej, mielibyśmy obecnie tych łotrów w swojej mocy. Teraz przede wszystkim trzeba umieścić gdzieś konie i zajść do jakiegoś sklepu, aby nasze łachmany zmienić na porządne ubrania”.

Istotnie, byliśmy wszyscy podobniejsi do opryszków niż do uczciwych ludzi. Udaliśmy się do gospody, gdzie umieściliśmy konie i zaspokoili głód i pragnienie. Potem znaleźliśmy sklep, który zaopatrzył nas w odpowiednią odzież.

Gdy wróciliśmy do portu, sternik, idący przodem, przystanął nagle i wydał głośny okrzyk zdumienia.

„Na Boga, co za żaglowiec! Wpada właśnie do portu, jak... Ależ to kliper, kliper z ożaglowaniem szkunera! To »Swallow«, »Swallow«! Jedyny statek, który szybkością przewyższa »L Horrible a«! A kto jest jego dowódcą? Porucznik Parker, a ja go znam! Teraz nam nie umkną te łotry!”

„Hura, »Swallow«, hura!” — zabrzmiało z tysiąca piersi. Wszyscy znali ten znakomity okręt, a przynajmniej słyszeli o nim. Domyślano się, że weźmie udział w pościgu, który skupiał w tej chwili uwagę całego miasta.

Przez tłum przecisnęli się dwaj ludzie w mundurach marynarskich. Wyglądali na kompletnie przybitych i wyczerpanych. Jeden był porucznikiem marynarki, a drugi sternikiem.

Wskoczyli do pustej łodzi, ujęli wiosła i pospieszyli ku przybyłemu statkowi. Dowódca jego stał na pomoście i patrzył na nadpływających.

„Poruczniku Jenner, czy to wy? A gdzież wasz «L Horrible»?!” — zawołał..

„Prędzej, spuśćcie drabinkę! — odpowiedział Jenner. — Muszę z wami pomówić”.

Obaj marynarze weszli po chwili na pokład.

„Mój sternik Perkins — przedstawił Jenner towarzysza. — Panie, musicie mi w tej chwili pożyczyć swego okrętu! — dodał niemal bez tchu, w najwyższym wzburzeniu. — Musicie ścigać «L Horrible a»!”

„Nie rozumiem was”.

„Ukradziono mi go, porwano, uprowadzono!”

Ze straszliwą wściekłością, od której trząsł się cały, Jenner przedstawił Parkerowi zamach, którego padł ofiarą. Zakończył swe opowiadanie powtórzeniem żądania:

„Jak powiedziałem, musicie mi dać swój okręt!”

„To nie może być, sir!”

„Jak to: nie może być?! — zawołał Jenner z iskrzącymi się oczyma. — Czemu?”

„Znacie prawo i regulamin wojskowy równie dobrze jak ja i wiecie, że nie wolno mi nikomu oddać komendy nad moim statkiem. Ale was pocieszę. Ruszę czym prędzej w pogoń za «L Horrible em». Czy będziecie mi towarzyszyć?”

„Dziwne pytanie! Przecież ja muszę go odebrać, żebym miał przejść przez piekło!”

„Dobrze! Czy statek był zaopatrzony w żywność?”

„Zaledwie na tydzień”.

„W takim razie musi przybić do lądu w Acapulco. Do Guayaquil czy do Limy nie zdoła dotrzeć”.

„A więc pochwycimy go niebawem! Sami dowiedliście mi, że «Swallow» jest szybszy od «L Horrible a». Ruszajmy!”

„Na razie muszę wysiąść na ląd, aby wedle instrukcji wypełnić moje zadanie. Nadto brak mi już żywności, wody i amunicji. Postaram się, żeby dostawiono mi to wszystko na nabrzeże. Długo nie zabawię”.

Parker chciał już odejść, kiedy jeden z marynarzy oznajmił:

„Łódź pod burtą, sir! Siedzi w niej osiem osób, a między nimi Indianin, jak się zdaje”.

Porucznik spojrzał w dół i zapytał:

„Czego chcecie, ludzie?”

Poprosiłem w imieniu wszystkich, żeby nam pozwolono wejść na pokład. Znalazłszy się na statku wyjaśniłem porucznikowi, o co nam chodzi. Jakkolwiek nie miał czasu, wysłuchał mnie spokojnie i zgodził się, żebyśmy mu towarzyszyli w pogoni za Czarnym Kapitanem. Było nas ośmiu: Pułkownik, jego bratanek, sternik, Holbers, Hammerdull, Potter, Winnetou i ja.

„Wyznaczą wam tu miejsca! — rzekł Parker. —. Odchodzę wprawdzie ze statku, ale za godzinę podnosimy kotwicę”.

Wsiadł z Jennerem do łodzi i powiosłowali w stronę lądu. Zaledwie odbili od statku, rozegrała się na nim zabawna scena.

Piotr Polter przystąpił do sternika.

„Johnie Forster, stary wilku, widzę, że zostałeś sternikiem!” — zawołał.

Zagadnięty przyjrzał się ze zdumieniem ogorzałemu i zarośniętemu Polterowi.

„A ktoś ty taki, hę?” — zapytał.

„Widzę tu także Mr Perkinsa, którego w Hoboken oprowadzałem po «Swallowie», a on w nagrodę za to spoił mnie tak, że omal pod stół nie wpadłem!”

Perkins także patrzył na naszego towarzysza z najwyższym zdumieniem. Cała załoga obstąpiła tę grupę, a Piotr chodził pełen radości od jednego do drugiego.

„Plovis, Miller, Oldstone, krzywy Baldings...”

„Sternik Polter!” zawołał nagle ktoś, poznawszy wreszcie olbrzyma.

„Polter, Polter, hura, Piotr Polter! W górę starego, w górę, hura!”;

Pochwycono dawnego kolegę i podniesiono w górę.

Piotr klął, złościł się i prosił, żeby go puścili na ziemię, ale nic nie pomagało. Wreszcie sternik wdał się w tę sprawę, wołając:

„Zejdź z tronu, Piotrze Polter, i chodź na pomost! Musisz opowiedzieć, gdzie żeglowałeś, stary rekinie!”

Myśliwcy, niemi świadkowie tej sceny, radzi byli z triumfów zacnego żeglarza, którego tak bardzo polubili. Rozgościli się swobodnie na pokładzie, o ile na to pozwalały niezwykłe dla nich warunki. .

Indianin nie był jeszcze nigdy na statku. Oparł się na rusznicy i wodził wzrokiem spokojnie i obojętnie po obcym otoczeniu. Kto go jednak znał, wiedział, że pod tą obojętnością kryła się przenikliwość, której nie uszedł najmniejszy nawet szczegół.

Jeszcze przed upływem wyznaczonej godziny złożono na wybrzeżu zapasy żywności i amunicji, zamówione przez porucznika. Marynarze popłynęli po nie łodziami i sprowadzili na statek. Wkrótce wrócił także Parker z Jennerem i „Swallow” wypłynął na morze.

Obaj porucznicy omówili już wszystkie ważniejsze sprawy podczas bytności na lądzie. Teraz Parker podszedł do

steru, przy którym stał Polter w towarzystwie Forstera.

„Czy to wy jesteście Piotr Polter?” — zapytał.

„Piotr Polter, panie poruczniku — odrzekł zagadnięty kłaniając się przepisowo. — Marynarz na angielskim okręcie wojennym «Nelson», a potem sternik na kliperze Stanów Zjednoczonych «Swallow»”.

„Co sądzicie, sterniku, o kierunku drogi, którą mógł obrać «L Horrible» ?”

Polter zmiarkował, że porucznik zadał mu to pytanie, aby wybadać jego żeglarskie umiejętności. Poczuwszy się w swoim żywiole, odpowiedział krótko:

„Dla braku żywności do Acapulco”.

„Czy chcecie zastępować czasem przy sterze Forstera?”

„Chętnie”,

„To uważajcie dobrze na kompas i mapę, abyśmy ściśle zachowali kierunek!”

Parker podszedł następnie do grupy myśliwców, pozdrowił ich i kazał im wyznaczyć miejsca w kajutach. Indianin zaciekawił go widocznie.

„Czy Winnetou nie tęskni do ojczyzny Apaczów?” — zapytał.

„Ojczyzną Apacza jest walka!” — brzmiała dumna odpowiedź.

„Walka na morzu jest gorsza od walki na ziemi”.

„Wódz wielkiego kanu nie zobaczy Winnetou drżącego ze strachu!”

Parker skinął głową. Nie wątpił, że Indianin powiedział prawdę.

Podniecenie, które towarzyszyło odjazdowi, uspokoiło się z wolna i życie na statku potoczyło się zwykłym trybem. Dzień mijał za dniem, a każdy tak był podobny do

poprzedniego, że myśliwcom, przywykłym do nieograniczonej wolności na preriach, zaczynało się nudzić.

Gdy znaleźli się na wysokości Acapulco, Parker kazał zboczyć z kursu, aby ukazać się piratom od południa i nie obudzić w nich podejrzenia, że są ścigani. Zerwał się tego dnia bardzo silny wiatr, a słońce zakryły czarne chmury.

„Będziemy mieli jutro trochę wiatru, kapitanie” — rzekł Piotr Polter do Parkera.

„Byłoby dobrze, gdyby pirat wpadł nam wtedy w ręce. Nie potrafi z pewnością tak manewrować podczas burzy jak my”.

„Widać żagiel!” —. zabrzmiał nagle okrzyk z bocianiego gniazda.

W jednej chwili porucznik znalazł się na górze i wziął szkła z rąk majtka, aby przypatrzyć się nieznanemu statkowi. .

„Dobrze go jeszcze nie widać, ale to w każdym razie trójmasztowiec jak «L Horrible» — powiedział. — Trzeba zmienić żagle”.

W ciągu kilku minut zastąpiono białe żagle czarnymi.

„Swallow” był teraz niewidoczny dla zbliżającego się statku. Cała załoga zebrała się na pokładzie, a Parker, popatrzywszy znowu przez lunetę, powiedział:

„Chłopcy, to jest «L Horrible». Chcę umknąć boju burtą o burtę. Wiem, że nikt z was walki się nie lęka, lecz tamten statek musi wpaść nie uszkodzony w nasze ręce. Piraci stoją poza prawem; dlatego postąpimy z nimi jak z rozbójnikami. Weźmiemy ich podstępem”.

„Tak jest!” — zawołali marynarze chórem.

„Noc jest ciemna i piraci powinni nas wziąć za rozbitków. Rzucą się na nas, jak na łatwy łup”.

„Tak jest!” — zawołali marynarze chórem.

„Zanim do nas podpłyną, spuścimy łodzie. Na «Swallowie» zostanie tylko sternik i sześciu ludzi. My wszyscy wsiądziemy do łodzi i kiedy piraci będą zajęci naszym okrętem, dostaniemy się na ich statek od strony rufy”.

Był to śmiały plan, lecz Parker ufał szczęściu, które go dotąd nigdy nie opuszczało. -

„Swallow” sunął powoli naprzeciw „L Horrible a”, którego załoga czuła się już na tych wodach zupełnie bezpieczną. Sanders skończył właśnie rozmowę z uwięzioną kobietą, jak zwykle zresztą bez pożądanego wyniku, i wybierał się na spoczynek, kiedy nagle doleciał go z oddalenia odgłos wystrzału.

Natychmiast Czarny Kapitan znalazł się na pokładzie. Usłyszał drugi wystrzał, a potem trzeci.

„Jakiś statek wzywa pomocy, kapitanie” — rzekł Długi Tom.

„Niewątpliwie jest przed nami jakiś statek bez masztów, bo bylibyśmy wieczorem widzieli żagle. Tomie, rakieta i trzy strzały!”

Rakieta wyleciała wysoko i zabrzmiały trzy strzały. Z drugiego statku proszono w dalszym ciągu o pomoc.

„Zbliżamy się, Tomie. To będzie piękna zdobycz.— rzekł Sanders. — Popatrz, tam stoi! Ma tylko jeden żagiel. Chciałbym się jednak najpierw z nim rozmówić”.

Wydał odpowiednie rozkazy i okręt podpłynął do „Swallowa”.

„Co to za statek?” — zapytano z klipera?

Prawie cała załoga „L Horrible a” stłoczyła się u lewej burty.

„Krążownik Stanów Zjednoczonych — odpowiedział Długi Tom. — A kim wy jesteście?”

„Kliper na służbie Stanów Zjednoczonych, porucznik Parker!” — zabrzmiał okrzyk, ale nie ze „Swallowa”, lecz z rufy „L Horrible a”.

Zagrzmiała dobrze wymierzona salwa, a zaraz potem na piratów rzuciła się gromada ciemnych postaci. Bandyci, uważając wszelki napad za niemożliwy, byli prawie nieuzbrojeni, stawiali jednak rozpaczliwy opór.

Tylko jedna osoba zobaczyła zbliżanie się łodzi — była nią Miss Admiral. Zaledwie Czarny Kapitan zamknął za sobą drzwi, podniosła się z niewysłowionym trudem i podeszła do ściany kajuty, w której tkwił gwóźdź. Usiłowała już przez kilka nocy rozciąć nim swoje więzy i dziś miała nadzieję się uwolnić. Nagle usłyszała trzy wystrzały, a potem plusk zbliżających się wioseł.

Co to było? Napad? Walka? Ratowanie rozbitków? Każda z tych okoliczności była dla niej pomyślna. Po krótkim wysiłku zdołała wyswobodzić ręce i odrzuciła pęta z nóg. W tej chwili na pokładzie rozległ się trzask wystrzałów rewolwerowych i tupot wielu ciężko obutych stóp. Nie pytała o przyczynę walki. Wiedząc, że Sanders musi być na górze, silnym kopnięciem wywaliła drzwi kajuty i porwała ze ściany broń. Potem rzuciła okiem przez okienko i zobaczyła trzy łodzie, przyczepione do liny, która zwisała z tyłu okrętu.

,,Napad — mruknęła. — Ale kto to może być? Ha, »L Horrible« znowu stracony, a Sanders nie uniknie teraz śmierci! Uwolnię jeńców, niech pomogą napastnikom, a potem umknę. Znajdujemy się w pobliżu Acapulco. Jeśli dostanę się niepostrzeżenie do łodzi, za dwa dni będę na lądzie”.

W rogu kajuty stała ręczna waliza. Miss Admiral wzięła ze stołu paczkę sucharów i manierkę z wodą, potem otworzyła skrytkę, wyjęła z niej swoje skarby i wrzuciła do walizki. Następnie zakradła się na górę i zbadała teren.

Korsarzy zepchnięto już na tylny pokład, widać było, że ulegną.

Szybko zeszła na dół i dostała się do uwięzionej załogi „Horrible a”.

„Jesteście skrępowani?”— zapytała jeńców. ,,Nie”.

„To spieszcie na górę i czyńcie, co do was należy! Jeśli Czarny Kapitan przeżyje dzisiejszą noc, powiedzcie mu, że Miss Admiral kazała mu się kłaniać”.

Pobiegła do kajuty, pochwyciła walizkę, wyszła na pokład i dostała się na tył okrętu. Już chciała po linie spuścić się do łodzi, gdy ktoś ją zatrzymał. To Piotr Polter spostrzegł przemykającą się, szczupłą postać, przyskoczył i pochwycił ją z tyłu.

„Stój, chłopcze! — zawołał. — Dokąd spieszysz z tą walizą? Zaczekaj jeszcze trochę”.

Miss Admiral nie odpowiedziała. Usiłowała mu się wyrwać, ale nadaremnie: nie mogła podołać jego olbrzymiej sile. Trzymając ją mocno, Polter zawołał kilku towarzyszy, którzy skrępowali dziwnego uciekiniera. Oczywiście, nie wiedzieli, kto dostał się w ich ręce.

Sanders, dla którego napad był straszliwą niespodzianką, opanował się jednak szybko.

„Do mnie!”; — krzyknął przyskakując do głównego masztu.

Podwładni usłuchali go.

„Kto uzbrojony, niech się broni! Reszta przez tylny luk po haki!”

Te słowa wskazywały jedyną drogę ocalenia. Gdy ci, którzy mieli broń, rzucili się na nieprzyjaciół, nieuzbrojeni pośpieszyli na dół i wrócili w mgnieniu oka z bosakami do zahaczania okrętów.

Wprawdzie pierwszy atak pochłonął kilka ofiar, rozbójnicy mieli jednak liczebną przewagę nad załogą

„Swallowa”. Rozpoczęła się walka tym straszliwsza, że niepodobna było widzieć jej szczegółów ani objąć okiem całego placu boju.”

„Pochodnie!” — ryknął Sanders.

I ten rozkaz wykonano natychmiast. Zaledwie jednak oświetlono straszliwą scenę, Czarny Kapitan odskoczył w tył, jak gdyby ujrzał upiora. Tuż przed nim stał z tomahawkiem w prawej ręce, a nożem do skalpowania w lewej Winnetou, wódz Apaczów; obok niego powiewały jasne, podobne do grzywy włosy Fireguna.

„Biały wąż wypluje swoją truciznę!” — zawołał Apacz, odsunął stojących mu na drodze ludzi i chwycił Sandersa za gardło. Pirat chciał się uwolnić, lecz mu się to nie udało. Uczuł, że silne ręce uniosły go w górę, a potem grzmotnęły nim o ziemię. Stracił przytomność.

Napad zaskoczył rozbójników jak koszmarny sen. Jego nagłość sparaliżowała ich siły, a upadek dowódcy odebrał im resztę odwagi.

Nagle wysypała się na pokład dawna załoga „L Horri-ble a”. Idący na czele marynarz spostrzegł od razu porucznika Jennera.

„Hura, porucznik Jenner! Hura! -Dalej na tych łotrów!”

Każdy chwycił z porzuconej broni, co mu w ręce wpadło, i zbóje dostali się w dwa ognie. Teraz byli zgubieni bez ratunku.

W samym środku walczących stali dwaj ludzie wsparci o siebie plecami, a kto zbliżył się do nich zanadto, przypłacał to życiem. Byli to Hammerdull i Holbers.

Wreszcie piraci stracili wszelką nadzieję i złożyli broń. Rozgłośne „hura!” zabrzmiało na pokładzie, a „Swallow” odpowiedział armatnimi strzałami. Złożył nowy dowód, że sława, którą się cieszył, słusznie mu się należała.

A teraz, dżentelmeni! — powiedział Treskow — zrobimy znowu skok, tym razem ostatni, znad Oceanu Spokojnego aż do Hoboken, przedmieścia Nowego Jorku. Tam, podobnie jak tu, znajduje się pewna gospoda, bardzo lubiana przez zjeżdżających zewsząd żeglarzy.

W dniu, który mam na myśli, rozmowa w oberży obracała się wokół politycznych i wojennych nowin. Powstanie południowych Stanów trwało nadal, a szczęście zdawało się sprzyjać zwolennikom niewolnictwa. Tylko nieliczne epizody wojny pozwalały się spodziewać; że Północ uzyska zwycięstwo. Im rzadziej zdarzały się takie wypadki, z tym większą radością przyjmowali wiadomości o nich ci, których zapatrywania zgadzały się z humanitarną i energiczną polityką prezydenta Lincolna.

Wtem otwarły się drzwi i weszło kilku marynarzy w dobrym widocznie nastroju.

„Hola, ludzie! Chcecie usłyszeć najświeższą nowinę? — spytał jeden z nich. — Odbyła się niedawno, na wysokości Charlestonu, bitwa na morzu, potyczka, jakich mało. Wszak słyszeliście wszyscy o historii z L Horrible em«, którego Czarny Kapitan porwał z przystani w San Francisco, a potem Parker tak wspaniale odebrał ? Od tej chwili »Swallow« i »L Horrible« trzymały się razem, opłynęły przylądek Horn, dotarły do wysokości Charlestonu i tu natknęły się na »Floridę«, okręt wojenny południowców, który natychmiast rozpoczął pogoń za nimi. Parker, który dowodził obydwoma żaglowcami, wysłał »L Horrible a« na pełne morze, a na »Swallowie« pościągano sporą część żagli, aby się wydawało, że ucierpiał od burzy. »Florida« pognała za »Swallowem« na mielizny, gdzie zaryła się w dno. Teraz dopiero Parker podniósł wszystkie żagle, przywołał »L Horrible a« i zaczął bombardować bezsilnego kolosa. Jeden z pierwszych strzałów zgruchotał mu ster. Doszło nawet do walki na pokładzie, ale ostatecznie »Florida« legła na dnie

oceanu, a nasze dwa okręty są już w drodze i mają lada chwila rzucić kotwicę w porcie nowojorskim”.

Upłynęło jednak sporo czasu, zanim wszyscy nasi dobrzy znajomi ze »Swallowa« znaleźli się w gospodzie. Oficerowie musieli bowiem zdać sprawę przełożonym ze swoich wyczynów. Gdy weszli za Parkerem do izby, lud tak się cisnął wokół bohaterów zuchwałej morskiej potyczki, że oberża nie mogła wszystkich pomieścić. Rezolutna gospodyni potrafiła jednak temu zaradzić. Otworzyła ustronny pokój i zaprosiła do niego z dawna oczekiwanych gości.

„Jakże tam było w admiralicji?” — spytał Firegun porucznika Parkera, gdy wreszcie zostali w swoim gronie.

„Zupełnie tak, jak się tego spodziewałem — odrzekł Parker, który trzymał rękę na temblaku. — Uzyskałem stopień kapitana i urlop aż do wyzdrowienia”.

„A co będzie ze statkiem?”

„»Swallow« ucierpiał trochę i pójdzie dla naprawy do doków”.

„A nasi jeńcy?”

„Stanie się z nimi to, co przewidziałem. Będą wisieli, co się tym bandytom doprawdy należy. Zwłaszcza zasłużyli na stryczek Sanders i Miss Admiral z powodu handlu niewolnikami i piractwa. Nie będą oni ze swego losu tak zadowoleni, jak wy z wiadomości, którą wam przynoszę z admiralicji”.

„Cóż to za wiadomość?”

„Bardzo dobra. Po pierwsze, wielką sumę znalezioną przy Miss Admiral uznano za naszą zdobycz wojenną. Za odebranie »L Horrible a« Czarnemu Kapitanowi też będzie wyznaczona wysoka nagroda. Pieniądze te rozdzielimy między siebie, a na każdą osobę wypadnie tyle, że...”

„Na mnie nic” — przerwał Firegun.

„Dlaczego?”

„Bo nie wezmę pieniędzy, które mi się nie należą”.

„Wszak zasłużyliście na nie!”

„Nie. Byłem gościem na waszym statku, a zdobycz należy się tylko załodze”.

„Nie byliście gościem, lecz walczyliście wespół z nami, macie więc prawo do udziału w nagrodzie”.

„Być może, ale ja nic nie wezmę. Odebrałem Sandersowi kwity depozytowe, które mi ukradł. Jeden kwit sprzedał już wprawdzie, ale wydał z tego niewiele. Jestem więc zupełnie zadowolony. Winnetou również nic nie przyjmie, a co do moich dzielnych traperów, to także nie przyjdzie im na myśl pozbawić pieniędzy waszych żeglarzy, którym zawdzięczamy odzyskanie tak znacznej sumy. Powiedz, Dicku, czy chcesz pieniędzy?”

„Czy chcę, czy nie chcę, to wszystko jedno, nie wezmę jednak ani centa — odpowiedział grubas. — Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?”

Chudzielec odpowiedział spokojnie:

„Jeśli sądzisz, Dicku, że nie trzeba brać pieniędzy, to nie mam nic przeciwko temu. A gdyby nam je narzucono siłą, to mój udział otrzyma Piotr Polter, choćby tylko dlatego, że nabrał ochoty odwiedzenia nas na Zachodzie. Bardzo lubię widzieć go na koniu!”

„Dajcie mi spokój z koniem! — zawołał sternik. — Prędzej dałbym z siebie zrobić suchary okrętowe, niżbym miał jeszcze raz wsiąść na taką bestię, jak mój kłusak”.

„Nie potrzebujesz bawić się w westmana — rzekł Parker. — Wspomniałem w admiralicji, ile mamy ci do zawdzięczenia i jak dzielnie się spisywałeś. Pomyślą o tobie przy najbliższym wakansie i powierzą ci miejsce, z którego będziesz dumny”.

„Dziękuję, sir, dziękuję! Zrobię zatem karierę! Hura, hura! Piotr Polter może jeszcze zostanie admirałem!”

„A co będzie z twoim nowym zawodem? — zapytał ktoś. — Tak się przecież do niego przywiązałeś”.

„Jakiż to zawód?”

„Westmana, myśliwego, łowcy bobrów...”

„Milcz! Ani słowa więcej, jeśli nie chcesz, żebym z tobą zerwał! Ilekroć wsiądę na konia, nie wiem nigdy, dokąd on mnie zaniesie. Ale kiedy stoję na pokładzie dobrego statku, na pewno nie zmylę kursu. Niech więc sobie westman będzie westmanem, a ja zostanę znowu wilkiem morskim, jakim byłem dotychczas!”

VIII. NIEROZŁĄCZNI PRZYJACIELE

Skończywszy swe opowiadanie Treskow musiał jeszcze odpowiedzieć na mnóstwo pytań, których mu słuchacze nie szczędzili. Nie mogli sobie na przykład wyobrazić Indianina biorącego udział w bitwie morskiej. Ja jednak znałem od dawna tę historię i wiedziałem, że Winnetou niejeden raz był na morzu.

Tymczasem zjawili się nowi goście w liczbie sześciu. Weszli z hałasem, bo wypili zapewne więcej, niż należało. Rozejrzeli się po sali, a chociaż było wiele wolnych miejsc, usiedli przy moim stole.

Wyglądali jak zbóje, cuchnęli wódką tak mocno, te trudno było z nimi wytrzymać, a rozprawiali tak głośno, że z rozmowy innych gości prawie nic nie słyszałem. Spokój i poprzedni miły nastrój zniknęły bez śladu.

Najgłośniej zachowywał się mocno, ale niezgrabnie zbudowany drab z twarzą podobną do pyska buldoga. Uważał się widocznie za dowódcę, a towarzysze darzyli go na swój sposób szacunkiem.

Rozmawiali o czynach bohaterskich, jakich dokonali i zamierzali dokonać, i o majątkach, które roztrwonili, a teraz postanowili odzyskać. Wychylali szklankę za szklanką, a kiedy pani Thick nie chciała im podać nowej butelki, zagrozili, że obejmą szynkwas w posiadanie i sami się obsłużą.

— Nie boję się was — odpowiedziała gospodyni,

Jest tutaj dość dżentelmenów, którzy się ujmą za bezbronną wdową.

— „Dość dżentelmenów”? — powtórzył drab podobny do buldoga śmiejąc się szyderczo i wodząc dokoła wyzywającym spojrzeniem. — Niech przyjdą i spróbują, czy nam dadzą radę!

Nikt mu nie odpowiedział i ja także milczałem, mając nadzieję, że może da się jeszcze uniknąć awantur i bijatyki. Ale drab rozzuchwalił się jeszcze bardziej.

— Nikt się nie zbliża! — śmiał się. — Chciałbym zobaczyć śmiałka, co by się odważył stanąć do walki z Toby Spencerem! Kto się chce przekonać, jaki zuch ze mnie, niech tutaj przyjdzie!

Podniósł zaciśniętą pięść i jeszcze raz powiódł wyzywającym wzrokiem dokoła. Czy to ze strachu, czy też z odrazy do awanturnika tego rodzaju, nikt się nie ruszył z miejsca. Na to on roześmiał się jeszcze głośniej i zawołał:

— Widzicie, chłopcy, jak wam dusza w pięty uciekła? Ani jeden nie ośmielił się słówka pisnąć. I to mają być dżentelmeni?

Na te słowa podniósł się wreszcie jeden z obecnych — ów Tim Kroner, który podawał się za „męża z Kolorado”.

— Mylicie się bardzo, Mr Spencer — powiedział — jeśli sądzicie, że nikt nie porwie się na was. Może wszyscy tu obecni są tchórzami, ale ja nie. Nazywam się Tim Kroner.

— Tim Kroner? Przybraliście sobie wcale słynne nazwisko.

— Przybrałem? To jest moje własne nazwisko!

— Hm! Możliwe, że się tak nazywacie, lecz nie będziecie chyba twierdzić, że jesteście sławnym Kronerem z Kolorado.

— Cały świat wie o tym. Nie potrzebuję tego dowodzić.

— Pshaw! Jeśli wam się zdaje, że to nazwisko mnie przestraszy, to mylicie się bardzo! Teraz powieszę was wysoko, żeby ludzie zobaczyli, jaki to z was Kroner z Kolorado! Chodź no tu, chłopczyku, chodź do mnie! Spencer

uderzył przeciwnika dwa razy po ramieniu, przysunął go do ściany i powiesił na haku za kołnierz. Powieszony krzyczał i szarpał się, dopóki nie pękł kołnierz jego skórzanej bluzy, a on sam nie stoczył się na ziemię. Spencer roześmiał się na całe gardło i usiadł obok towarzyszy, aby wieść z nimi dalej hałaśliwą rozmowę. Ale po chwili popatrzył na mnie ciekawie i zapytał:

— Czy wy może także jesteście z Kolorado jak tamten, he?

— Nie, sir — odrzekłem spokojnie.

Przy wszystkich stołach zapanowała cisza. Każdy był ciekaw, co teraz nastąpi.

— Ale wy także nie wyglądacie mi na bohatera! — mówił dalej Spencer.

Widać było, że szuka zaczepki. Dostrzegłem zaniepokojenie pani Thick i zrobiłem jej tę przyjemność, że odpowiedziałem bardzo uprzejmie.

— Hm! To zależy od okoliczności. Odwagę trzeba okazywać tylko tam, gdzie to jest konieczne. Inaczej jest to tylko chełpliwość.

— To bardzo słuszne! Słuchajcie, zaczynacie mi się podobać. Skromny z was chłopiec, który może nam się na coś przydać. Marny z was wprawdzie westman, to widać na pierwszy rzut oka, lecz gdybym wiedział, że nie jesteście greenhornem, to...

— To co? — zapytałem.

— To zapytałbym was, czy nie mielibyście ochoty pójść z nami.

— Dokąd?

— Na Zachód.

— Zachód jest wielki! Wolałbym usłyszeć jakąś bliżej określoną nazwę miejscowości.

— To wam mogę powiedzieć. Czy macie czas i czy nic was tu nie zatrzymuje?

— Nic.

całej imprezy należał „generał”. Dlaczego nazywał się wciąż jeszcze Douglasem, a nie przybrał innego nazwiska? Wydawało mi się to wielką nierozwagą z jego strony.

— Nie sir, wcale nie mam ochoty z wami jechać — odrzekłem.

— Czemu?

— Bo ,nie lubię tego rodzaju postępowania.

— A jakież postępowanie pochwalacie? — Takie; które opiera się, na uczciwości. Drab zerwał się i krzyknął:

— Do krocset diabłów! Czy chcecie przez to powiedzieć, że nie jestem uczciwy?

Zamierzył się na mnie, ale ja, będąc na to przygotowany, w mgnieniu oka odparowałem cios. Równocześnie zerwałem się i palnąłem go pięścią z taką siłą w brodę, że poleciał na drugą stronę izby i runął tam na ziemię, przewracając stół i krzesła.

Uporawszy się ze Spencerem, odwróciłem się do jego towarzyszy, gdyż byłem pewien, że zechcą pomścić kompana. Z dzikim wrzaskiem skoczyli wszyscy do mnie. Dwa uderzenia powaliły jednego w prawo, drugiego w lewo, a trzeciego tak poczęstowałem obydwiema pięściami, że padł z niedokończonym okrzykiem ha ustach. Pozostali cofnęli się ze strachem.

Tymczasem jednak Spencer podniósł się z ziemi i ryknął:

— Psie, zginiesz natychmiast! Taki greenhorn porywa się na Spencera! Ja ci...

— Stać! — przerwałem mu, gdyż sięgnął ręką do pasa; wydobyłem błyskawicznie rewolwer i wymierzyłem do opryszków.

— Ręce do góry! Wszyscy ręce do góry! Kto nie posłucha, dostanie kulą w łeb! — rozkazałem.

Zaledwie to powiedziałem, podniosło się dwanaście rąk; między nimi były także ręce Spencera. Trzymając przed nimi lufę rewolweru, upomniałem ich:

— Trzymajcie ręce do góry, dopóki się z wami nie załatwię! Mam jedenaście kul. Cóż tam, Toby, słynny bohaterze? Teraz się przekonałeś, z kim, masz do czynienia! Bani Thick, odbierzcie tym drabom strzelby, rewolwery i noże i schowajcie ją u siebie! Jutro będą je mogli odzyskać. Ą teraz proszę otworzyć drzwi, pani Thick, i niech te łotry się wynoszą. Na dworze mogą opuścić ręce, ale nie wcześniej, bo strzelę w ostatniej chwili.

Otwarto drzwi.

— Precz! Teraz wiecie, czy jestem tchórzem, czy nie!

Wyszli jeden po drugim z podniesionymi rękami. Ostatni był Spencer. Kiedy przekraczał próg, odwrócił się i syknął:

— Do widzenia! Ale wtedy ty podniesiesz ręce, psie! Gdy gospodyni zamknęła drzwi, schowałem rewolwer,

usiadłem i poprosiłem p nową szklankę piwa, Gospodyni wzięła mnie za rękę i rzekła:

— Muszę wam podziękować, sir. Uwolniliście mnie od ludzi, którzy, kto wie, co by tu zrobili. Z początku byłam w strachu o was, ale teraz widzę, że dajecie sobie radę W niebezpieczeństwie. Miejcie się jednak na baczności przed tymi drabami! Napadną na was przy najbliższej sposobności.

— Pshaw! Ja się nie boję.

— Nie bierzcie tego zbyt lekko! Takie łotry nie atakują nigdy wprost, lecz wbijają nóż w plecy.

Widziałem potem, że goście pytali panią Thick o mnie, lecz ona nie mogła im dać żadnych wyjaśnień.

Poprosiłem wreszcie, żeby mi wskazano przeznaczoną dla mnie izbę. Byłem z niej zupełnie zadowolony, a spałem nawet lepiej, niż się spodziewałem, gdyż westman, nocując w zamkniętym pokoju, zwykle oka nie może zmrużyć.

Nazajutrz rano udałem się do banku ,,Wallace and Company", aby dowiedzieć się czegoś o Old Surehandzie. Byłem bardzo ciekawy, jakie stosunki łączą mego przyjaciela z tym domem. W kantorze zapytałem o Mr Wallace a dodając że jestem znajomym Old Surehanda.

Zaledwie wymówiłem te słowa, zwróciły się na mnie oczy wszystkich urzędników. Zaprowadzono mnie do pokoju, w którym siedział przy biurku jankes średniego wzrostu, o dość sympatycznym wyglądzie. Wstał i patrząc na mnie badawczo, przedstawił się:

— Jestem Wallace, sir.

— A mnie nazywają Old Shatterhandem. Nie wiem, czy słyszeliście kiedy to nazwisko.

— Owszem, nawet bardzo często. Witam was serdecznie, proszę usiąść tu przy mnie. Zapewne niedawno przybyliście do Jefferson City?

— Jestem tu od wczoraj.

— Co? I nie przyszliście do mnie natychmiast? Gdzie zatrzymaliście się, sir?

— U pani Thick, przy tej samej ulicy.

— Znam ją. To zacna i uczciwa kobieta, ale jej zajazd nie jest odpowiednim mieszkaniem dla takiego dżentelmena jak Old Shatterhand. Spodziewam się, że przyjmiecie moje zaproszenie i będziecie moim gościem przez cały czas pobytu tutaj.

— Wybaczcie, ale muszę wam odmówić. Po pierwsze, odjadę stąd prawdopodobnie jutro, a po drugie, lubię być zupełnie niezależny. Wreszcie nie chciałbym wam się naprzykrzać ze względu na Old Surehanda.

— Jak to?

— Czy znacie go dobrze?

— Lepiej niż ktokolwiek inny. Powiem wam nawet otwarcie, że jestem jego krewnym.

— Well! Old Surehand prosił mnie, abym nie pytał o jego stosunki rodzinne. Gdybym u was zamieszkał, nie uszłoby pewnie wiele rzeczy mojej uwagi lub odgadłbym niejedno, czego nie powinienem wiedzieć.

— Hm! — rzekł bankier skinąwszy głową w zamyśleniu. — Ten powód muszę oczywiście uznać, nie będę więc już nalegał, ale zapewniam was, że bardzo chętnie widziałbym was u siebie.

— Dziękuję, sir! Przybyłem tu tylko, aby zapytać, gdzie znajduje się teraz Old Surehand.

— Udał się do Kolorado w pobliże doliny San Luis,

— Kiedy wyruszył?

— Przed trzema dniami.

— To go jeszcze dopędzę.

— Chcecie za nim pojechać?

— Tak, Winnetou mi towarzyszy.

— Winnetou także? To mię cieszy, niezmiernie cieszy! Zawsze bardzo obawiamy się o Surehanda, lecz powodu tych obaw nie mogę wam wyjawić. Wiedząc, że tacy dwaj przyjaciele są przy nim, będziemy spokojniejsi. Raz już ocaliliście mu życie, dlatego sądzę, że...

— Proszę pana — przerwałem pochwały Wallace a nie chcę, jak zaznaczyłem, wdzierać się w tajemnice Old Surehanda, ale myślę, że wolno mi zapytać, czy znalazł wtedy w forcie Terrel niejakiego Dana Ettersa?

— Ettersa tam wcale nie było.

— A więc „generał” skłamał?

— Tak.

W tej chwili wszedł do pokoju jeden z urzędników i pokazał Wallace owi jakiś papier, pytając, czy można na jego podstawie wypłacić pieniądze.

— Czek na pięć tysięcy dolarów z firmy „Grey i Word” w Little Rock — przeczytał Wallace.— Dobrze, można wypłacić.

Urzędnik oddalił się, a po chwili pod oknem przeszedł wysoki, stary człowiek.

— Nieba! — zawołałem. — To „generał!”

— Co? Czy to ten, który podstępnie wysłał Old Surehanda do fortu Terrel?

— Tak.

— Przechodził tędy, a więc musiał być w kantorze. Pozwólcie, że dowiem się, czego chciał!

— A ja zobaczę, dokąd poszedł.

Wybiegłem lecz „generał” już zniknął. Dotarłem do najbliższego zbiegu ulic, lecz i tam go nie było. Nie doznałem zbyt wielkiego zawodu, gdyż ten człowiek nic mnie właściwie teraz nie obchodził. Byłbym tylko musiał strzec się przed podstępnym napadem, gdyby mię zobaczył. Wróciwszy do Wallace a, dowiedziałem się, że to „generał” przedłożył ów czek. Oczywiście, w kantorze nikt go nie znał.

Wallace uprosił mnie, żebym przynajmniej został na śniadaniu, skoro nie chciałem u niego zamieszkać. Rodzina jego przyjęła mnie tak serdecznie, że dałem się nakłonić do pozostania także na obiedzie, a potem nawet nie spostrzegłem, kiedy nadeszła pora wieczerzy. Była już prawie dziewiąta, kiedy wróciłem do pani Thick. Musiałem zresztą przyrzec Wallace owi, że przed odjazdem odwiedzę go jeszcze.

Gospodyni dąsała się trochę na mnie za moją długą nieobecność. Powiedziała mi, że Toby Spencer zaraz po moim odejściu przysłał po swoją broń.

Wczorajsi goście zebrali się znowu i sala rozbrzmiewała gwarem rozmów. Usiadłem przy drzwiach i pierwszy zobaczyłem dwóch ludzi, na których wszyscy zwrócili także uwagę.

Jeden z nich był niski i gruby, a drugi wysoki i cienki. Grubas miał twarz ogorzałą, wygoloną; oblicze chudego było również opalone, ale zarost jego stanowiły rzadkie, długie włosy, zwisające ż policzków, brody i górnej wargi. Obaj ubrani byli od stóp do głów na zielono. Mieli zielone bluzy, zielone spodnie, zielone kamasze; zieldhe” rękawiczki i zielone czapki z daszkami z przodu i z tyłu, podobne do hełmów. W rękach trzymali dwa bardzo grube, niekształtne, zielone parasole.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku nim. Ja poznałem ich od razu pomimo dziwacznego przebrania, ale ponieważ chciałem im zrobić niespodziankę, odwróciłem się z krzesłem tak, że nie mogli mnie zobaczyć. Nie przyszło im wcale na myśl pozdrowić kogokolwiek z obecnych, nie uważali tez za stosowne cicho rozmawiać. Rozejrzeli się dokoła, po czym grubas stanął przed nie zajętym stołem i zapytał chudzielca:

— Jak myślisz, stary szopie, czy zatrzymamy się przy tym czworonogu?

— Jeśli sądzisz, że to dla nas odpowiednie, to nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział zapytany;

— Well! W takim razie usiądźmy! Zajęli miejsca, a gospodyni, podszedłszy do nich, zapytała, czego sobie życzą.

— Piwa nie macie?

— Owszem, jest, nawet bardzo dobre.

— To przynieście, dwie szklanki, ale duże!

Gdy dostali piwo, Hammerdull przyłożył szklankę do ust i wypił duszkiem. Widząc to Holbers wychylił również swoją

do ostatniej kropli.

— Jak myślisz, Pitt, każemy jeszcze raz nalać?

— Jeśli sądzisz, Dicku, że się nie utopimy, to nie mam nic przeciwko temu. To lepsze aniżeli woda na sawannie.

Otrzymali znów dwie szklanki i teraz dopiero zaczęli przypatrywać się lokalowi i znajdującym się w nim gościom. Wzrok grubasa padł najpierw na dawnego agenta handlowego, który podobnie jak Treskow, świdrował ich zdumionymi oczyma.

— Do wszystkich piorunów! — zawołał Dick. — Popatrz, Holbers, stary szopie, tam na ten długi stół! Czy znasz tego dżentelmena, który spogląda na nas i uśmie-

cha się, jak gdybyśmy byli jego krewniakami?

— Jeśli sądzisz, Dicku, że go znam, to ja nie mam nic przeciwko temu.

— Czy to nie jest agent handlowy, który wtedy... Nieba! — przerwał sam sobie, gdyż oko jego spoczęło na Treskowie. — Holbers, spojrzyj na prawo! Tam siedzi ktoś, kogo już na pewno raz widziałeś! przypomnijże sobie!

— Hm! Jeśli sądzisz, że to urzędnik policyjny, który wówczas miął taki apetyt na Sandersa, to masz słuszność. Jak myślisz, czy uściśniemy im przednie łapy?

— Czy ja myślę, czy nie, to wszystko jedno, ale uściśniemy. Chodź, stary szopie!

Podeszli do stołu, od którego równocześnie ruszyli z radością Treskow i agent handlowy. Dick Hammerdull i Pitt Holbers, o których wczoraj opowiadano, znaleźli się teraz u pani Thick! Było to rzeczywiście niezwykłe i radosne zdarzenie! Wszyscy ściskali ich ręce, po czym obaj myśliwcy musieli przysiąść się do starych i nowych znajomych.

— Właśnie wczoraj mówiliśmy tu o was — rzekł Treskow. — Opowiadaliśmy o naszych dawnych przygodach, nie dziwcie się tedy, że jesteście dobrze znani tym

dżentelmenom. Czy wolno zapytać, jak wara się później powodziło ? Musiałem się z wami rozstać, aby w Nowym Jorku być na rozprawie przeciwko Sandersowi, Miss Admiral i ich towarzyszom.

— Jak nam się powodziło? Bardzo dobrze — rzekł Hammerdull. — Udaliśmy się prosto na Zachód do hide--spot. Czy pamiętacie, że kiedy wsiedliśmy na pokład „Swallowa”, kilku naszych towarzyszy zostało na lądzie?

— Przypominam sobie.

— Czy sobie przypominacie, czy nie, to wszystko jedno. Ci ludzie nie czekali na nas w San Francisco, lecz wrócili do hide-spot. Dzięki temu zastaliśmy tam nasze konie po przybyciu.

— A wasza klacz była także?

— Oczywiście. Poczciwe, stare bydlę omal nie zwariowało z uciechy, ujrzawszy swojego pana. Winnetou dosiadł także swego karosza.

— Czy był jeszcze później w hide-spot?

— Yes. Odwiedził nas kiedyś z Old Shatterhandem. Byli u nas trzy miesiące, a przez ten czas, powiadam wam, zdobyliśmy dziesięć razy tyle skórek i futer aniżeli kiedy indziej przez pół roku. Dostaliśmy za nie całą kupę złota. Poznaliśmy także innego westmana, również bardzo sławnego. Prawda, Holbers, stary szopie?

— Jeśli masz na myśli Old Surehanda, to nie mogę nie przyznać ci słuszności.

— Tak, mam na myśli Old Surehanda. Niestety, ma on tę właściwość, że nie siedzi długo na jednym miejscu. Zabija tylko tyle zwierzyny, ile mu potrzeba do życia, dlatego nie jest właściwie myśliwcem, choć jego strzelba nigdy nie chybia, Nie zastawia sideł, nie kopie złota i nikt nie może powiedzieć, dlaczego kręci się po Dzikim Zachodzie. Wygląda na to, jakby czegoś szukał i nie mógł znaleźć. A

zatem zawsze nam się dobrze powodziło, Mx Treskow, a udane polowania tak napełniły nam kieski, że nie wiemy, co robić z pieniędzmi. — Można wam zatem pozazdrościć, Mr Hammerdull.

— Pozazdrościć? Nie gadajcie głupstw! Cóż poczniemy na Dzikim Zachodzie z naszym złotem, czekami i kwitami, he?

— Idźcie na Wschód i użyjcie sobie!

— Dziękuję! Czego tam można użyć? Czy to przyjemnie siedzieć w hotelu i jeść według karty, skoro nie ma w niej nic upieczonego przy obozowym ognisku? Albo czy warto w sali koncertowej dawać się miażdżyć przez tłumy ludzi, połykać najgorsze na kuli ziemskiej powietrze i narażać uszy na niebezpieczeństwo rozdarcia przez puzony i bębny, skoro tutaj Pan Bóg daje w głosach puszczy taki koncert, jakiemu nie dorównują- najlepsze wasze skrzypce i trąby? Czy mam sobie może wynająć mieszkanie, gdzie nie wolno powiać wiatrowi ani spaść kropli deszczu? Czy mam spać na łóżku, nad którym nie ma gwiazd ani chmur, ani jasnego nieba? Nie. Dziękuję wam za wasz Wschód i jego rozkosze! Prawdziwe rozkosze są tylko na Dzikim Zachodzie, ale tam za nic nie trzeba płacić. Możecie sobie wyobrazić, jak to złości, kiedy się jest bogaczem, a nie ma się z tego najmniejszej korzyści. Zaczęliśmy tedy rozmyślać, co robić z pieniędzmi, których nam nie potrzeba. Łamaliśmy sobie głowę przez całe miesiące, aż w końcu Pitt Holbers wpadł na bardzo dobry, wprost wyśmienity pomysł. Nieprawdaż, stary szopie?

— Jeśli sądzisz istotnie, że jest on wyśmienity, to zgadzam się z tobą. Czy masz na myśli moją starą ciotkę?

— A jakże! Trzeba wam wiedzieć, że Pitt Holbers stracił w dzieciństwie rodziców i wychowywała go stara ciotka, od której jednak umknął, bo jej metody wychowawcze były zbyt surowe. Teraz jednak nabrał rozumu i uznał, że właściwie

powinien był dostawać jeszcze więcej batów. Zacnej ciotki nie wyobraża już sobie w postaci smoka, lecz jako dobrą wróżkę, która polerowała kijem jego zewnetrzną powłokę, aby uszczęśliwić jego ducha. To wywalało w nim uczucie wdzięczności i jeśli odnajdzie ciotkę, odda jej pieniądze. Ja dam jej także swoje, bo ich nie potrzebuję, a zresztą to wszystko jedno, czy jest moją ciotką, czy Pitta. Wiecie, teraz, panowie, dlaczego widzicie mnie tu na granicy wschodnich stanów. Chcemy odszukać dobrodziejkę Holbersa, a ponieważ nie można takiej istocie pokazać się w puszczańskich strojach, zrzuciliśmy połatane bluzy i legginy, a wdzialiśmy te piękne zielone ubrania, przypominające nam barwę prerii i lasów.

— A jeśli ciotki nie znajdziecie, sir? — zapytał Treskow.

— To, odszukamy jej dzieci i damy im pieniądze.

— A jeśli one także umarły?

— Umarły? Nonsens! Żyją z pewnością! Dzieci wychowane metodą ciotki Pitta mają twarde życie i nie tracą go tak łatwo.

— Zapewne macie pieniądze ze sobą?

— Yes.

— A dobrze schowane, Mr Hammerdull? Pytam o to, bowiem, że westmani okazują często w sprawach pieniężnych wprost naiwną nieoględność.

— Czy westmani są oględni, czy nie, to wszystko jedno. My schowaliśmy grosiwo tak dobrze, iż najsprytniejszy opryszek nie zdoła nam go zabrać.

Miął, tak samo jak Holbers, zieloną torebkę u pasa; uderzył po niej ręką i powiedział:

— Nosimy zawsze z sobą te torebki, a w nocy kładziemy je pod głowę. Zmieniliśmy nasze złoto na kwity i czeki wystawione przez bank „Grey i Word” w Little Rock. Zaraz wam pokażę te papiery.

Gdy wymienił firmę „Grey i Word” w Little Rock, przypomniałem sobie zaraz „generała”, który dzisiaj u Wallace a przedstawił taki czek do wypłaty. Dick Hammerdull odpiął torebkę, wyjął z niej skórzany portfel i otworzył go malutkim kluczykiem.

— Tu są pieniądze — rzekł — schowane podwójnie, nikt więc nie może dostać się do nich. Jeśli te czeki...

Zamilkł: Dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Widziałem z daleka, że trzyma w ręce jakąś paczkę; a twarz jego wyraża zdumienie i przestrach.

— Co to jest? — spytał. — Czy owinąłem czeki gazetą, kiedy je wczoraj miałem w ręce? Nie przypominasz sobie; Holbers?

— Nie wiem nic o gazecie — odrzekł Pitt.

— Ja także nie, a przecież to jest gazeta. To szczególne, to osobliwe!

Rozwinął papier i krzyknął blednąc:

— A do stu diabłów! Czeków nie ma, gazeta jest pusta!

Sięgnął do innych przedziałów portfelu, lecz przekonał się, że są tak samo próżne.

— Czeków nie ma ani tu, ani tu! Popatrz zaraz, czy masz swoje, stary szopie!

Holbers odpiął swoją torbę i oświadczył:

— Jeśli sądzisz, że zniknęły, to masz słuszność, kochany Dicku.

Okazało się, że i czeki Holbersa przepadły. Obaj westmani zerwali się i patrzyli na siebie bezradnie: Długa i wąska twarz Holbersa wydłużyła się jeszcze bardziej, a Dick Hammerdull zapomniał po ostatnich słowach zamknąć usta.

Nie tylko goście od ich stołu, lecz i dalej siedzący przejęli się stratą myśliwców. Było zupełnie jasne, że

popełniono tu kradzież, a ja zaczynałem się domyślać, kto mógł być złodziejem.

— Czy jesteście pewni, że pieniądze znajdowały się w tym portfelu? — zapytał Treskow.

— Tak pewny, jak tego, że się nazywani Dick Hammerdull.

— A gazety w nim nie było?

— Nie.

— Złodziej wyjął więc pieniądze, a zamiast nich włożył gazetę, ażeby jak najdłużej utrzymać was w mniemaniu, że portfel nie stracił swej zawartości. Ale kto ukradł czeki?

— Tak... Kto je ukradł? — powtórzył Hammerdull.

— Czy się nie domyślacie?

— Ja nie! A ty, Pitt?

— Ja także nie, kochany Dicku — odrzekł Holbers.

— Musimy szukać złodzieja — rozstrzygnął Treskow. — Czy ktoś wiedział o tym, że macie w torbie pieniądze lub wartościowe papiery?

— Nie — odrzekł grubas.

— Odkąd nosiliście je w portfelach?

— Od przedwczoraj.

— Gdzie mieszkacie?

— W gospodzie. Hilleya przy Waterstreet.

— Gospodarz jest uczciwym człowiekiem, jego nie można podejrzewać. Ale tam nie ma osobnych pokoi, tylko jedna wspólna sypialnia.

— Tak. Tam stały nasze łóżka. Kiedy poszliśmy spać, torby położyliśmy pod poduszkami.

— Hm, to nie daje mi żadnej wskazówki. Musimy zaraz udać się. do Hilleya. Obejrzę gospodę i poszukam innych

śladów. Chodźcie, Mr Hammerdull i Mr Holbers! Spieszmy się!

— Poczekajcie, Mr Treskow! Tam nie zastaniecie złodzieja — odezwałem się.

Oczy wszystkich zwróciły się na mnie, a Treskow zapytał szybko:

— Skąd przyszła wam taka myśl do głowy? — Na podstawie domysłów.

— Czy jesteście może funkcjonariuszem policji?

— Nie, ale zdaje mi się, że potrafię mimo to rozwikłać tę sprawę. Pozwólcie, że zadam Mr Hammerdullowi i Mr Holbersowi kilka pytań!

Podszedłem do ich stołu i natychmiast Dick Hammerdull wyciągnąwszy obie ręce krzyknął:

— Na Boga! Kogo ja widzę! Czy to być może? Czy mnie oczy nie mylą? Holbers, stary szopie, czy widzisz tego dżentelmena?

— Jeszcze jak! To człowiek, jakiego nam właśnie potrzeba! On wyjaśni tę diabelską historię. Jestem tego pewien! Witajcie, Mr Shatterhand! To dopiero niespodzianka! Czy przybyliście dopiero teraz?

— Nie. Byłem tu już, nim wyście przyszli.

— Słyszeliście zatem wszystko, o czym tu mówiono, i wiecie, że nas okradziono?

— Tak.

Od chwili kiedy wymieniono moje nazwisko, zapanowała w izbie głęboka cisza. Odstąpiono od stołu, żeby zrobić miejsce, a dokoła mnie utworzył się krąg ludzi przypatrujących mi się ciekawie.

— Czy pozwoli mi pan, Mr Treskow, zadać kilka pytań?— powtórzyłem znowu.

— Naturalnie, sir — odrzekł detektyw.

— Well! A zatem, .Mr Hammerdull, włożyliście papiery wartościowe przedwczoraj do portfeli?

— Czemu nie wcześniej ?

— Bo nie mieliśmy portfeli. Kupiliśmy je dopiero tutaj przedwczoraj.

— A kiedy włożyliście do nich papiery?

— Zaraz w sklepie.

— Czy nikt tam oprócz was nie kupował?.

— Był tam jakiś człowiek, któremu tak podobały się nasze torebki, że zaraz kupił sobie dwie takie same.

— Czy widział, jak wkładaliście papiery do portfeli?

— Tak.

— Czy widział lub domyślił się, jakie to są papiery?

— Widzieć nie widział, a czy się domyślał, tego znowu ja nie wiem. Prawda, stary szopie?

— Jeśli sądzisz, że tego nie można się było domyślić, to jesteś w błędzie, kochany Dicku — odrzekł Pitt nie zgadzając się tym razem z przyjacielem. — Ty sam się wygadałeś!

— Nieprawda! Nie zamieniłem z tym człowiekiem ani słowa.

— Ale mówiłeś z kupcem. Posiedziałeś mu, wkładając czeki, że takie portfele, nadają się doskonale, do przechowywania wysokich sum.

— Była to wielka nierozwaga — zabrałem ponownie głos. — Czy ten człowiek kupił portfele, zanim to usłyszał?

— Nie, dopiero potem — odpowiedział Holbers.

— Kto pierwej odszedł: wy czy on?

— My

— Nie zauważyliście, czy poszedł za wami?

— Nie.

— To nie ulega wątpliwości, że was śledził, oczywiście potajemnie. Chciał zobaczyć, gdzie mieszkacie.

Hammerdull wtrącił skwapliwie:

— Czy chciał zobaczyć, czy nie, to wszystko jedno, ale był potem w. gospodzie Hilleya.

— Spał tam?

— Spał.

— W tej samej izbie?

— Oczywiście, bo nie ma innego pokoju.

— W takim razie on jest złodziejem.

— Do stu piorunów! Ale jak mógł dostać się do naszych portfeli?

— Wcale się nie dostawał.

— Jak to? Musiał je przecież otworzyć, skoro wyjął papiery.

— Nie. Czeki są nadal w portfelach z wyjątkiem jednego, na który złodziej podjął pieniądze w” banku. Czy rzeczywiście macie tak krótki wzrok, Dicku? Portfele, które teraz macie, nie są waszą własnością. To są te, które kupił nieznajomy. Włożył do nich gazety, a potem gdyście spali, zamienił je na wasze. Musi to być bardzo zręczny złodziej kieszonkowy, gdyż niełatwo jest wyciągnąć spod poduszek portfele dwu westmanom przyzwyczajonym do bardzo czujnego snu.

— Niestety, sir, nie spaliśmy czujnie, lecz jak susły. Zaduch i woń oliwy były okropne w tej izbie. Spaliśmy jak ogłuszeni.

— To ułatwiło drabowi kradzież. Czy znacie jego nazwisko?

— Nie.

— Dowiemy się o tym W gospodzie — wtrącił Treskow.

— Prawdopodobnie nie, — odpowiedziałem. — Przecież musiał podać nazwisko fałszywe. Zresztą, czy sądzicie, Mr Treskow, że on jest jeszcze w Jefferson City?

— Być może, że umknął! Pójdę natychmiast zawiadomić policję.

— Dajcie pokój policji — przerwałem mu. — Jeśli sami nie trafimy w sedno, to nie dokażę tego policja. Naradzimy .się nad tym! Ale nie tu; chodźcie do małej izby! Pani Thick zaniesie tam nasze szklanki.

Weszliśmy do przyległego pokoju — Treskow Hammerdull, Holbers i ja. Nie chciałem, żeby wszyscy słyszeli, co będziemy mówili, gdyż wśród gości mógł się znajdować jakiś podejrzany typ i popsuć nasze plany.

Kiedy usiedliśmy do stołu, powiedziałem wprost:

— Moi panowie, ja znam złodzieja. W tamtej izbie nie chciałem wymawiać jego nazwiska, bo mógłby się tam znaleźć ktoś, kto by go ostrzegł.

— Znacie złodzieja, Mr Shatterhand? — zapytał uradowany Hammerdull. — O, teraz jestem spokojny o pieniądze! Pochwycimy tego draba! Skoro Old Shatterhand jest na jego tropie, to nie może nam umknąć!

— Jesteście rzeczywiście nadzwyczajnym człowiekiem; Mr Shatterharnd! — rzekł Treskow.

— Przesadzacie! To czysty przypadek, że go widziałem, kiedy podejmował pieniądze. Czek opiewał na pięć tysięcy dolarów.

— Go? Pięć tysięcy dolarów! — rozgniewał się Hammerdull. — Niech go gęś kopnie, jeśli przeputa tę sumę, zanim go pochwycimy! Jak się nazywa ten człowiek?

— Z pewnością przybiera rozmaite nazwiska. Ja poznałem go pod nazwiskiem Douglasa.

— Douglas? Pośród naszych znajomych nie ma nikogo nazwiskiem Douglas! Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

— Hm, jeśli sądzisz, że nie zetknęliśmy się nigdy z żadnym Douglasem, to masz słuszność, kochany Dicku.

— Ale ja znam to nazwisko — wtrącił Treskow. — Czyżby to był ten Douglas, którego szukam?

— Poszukujecie tego człowieka? — zapytałem.

— Tak. Nazwisko to zresztą jest jednym z wielu, które przybiera. Ale skoro widzieliście Douglasa, to może mi go opiszecie, sir?

— Owszem, mogę wam dać dokładny opis tego łotra. Spędziłem z nim kiedyś całe dwa dni.

Opisałem wygląd „generała”, a gdy skończyłem, Treskow powiedział:

— Zgadza się. Aby się całkowicie upewnić, postawię wam jeszcze jedno pytanie. Czy. ten człowiek nie podaje się czasem za generała?

— Tak.

— W takim razie to on, na pewno. Przyznam wam się w tajemnicy, że przybyłem do Jefferson City, by go pochwycić. Dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnie przyjedzie tutaj. Gdzie poznaliście go, Mr Shatterhand?

— Na Liano Estacado.

— Na pustyni? Opowiedzcie mi o tym. Przedstawiłem pokrótce Treskowowi wypadek z kradzieżą strzelb.

— Dostał tylko pięćdziesiąt batów?! — zawołał detektyw, gdy skończyłem. — To grubo za mało! On ma daleko więcej na sumieniu, niż sądzicie. Będę się starał wpaść na jego ślad, a potem nie zejdę z tropu, dopóki nie pochwycę tego łotra.

— Ślad już znaleziony — powiedziałem. — Prowadzi jednak bardzo daleko, tak daleko, że zaniechacie być może pościgu.

— Nie ma obawy! Sandersa ścigałem w poprzek całego kontynentu, nie cofnę się też przed niczym, ażeby pochwycić Douglasa. Dokądże on zmierza?

— W Góry Skaliste.

— Doprawdy? Z takimi pieniędzmi w kieszeni?

— Jest za mądry na to, aby siedzieć na Wschodzie, trwonić pieniądze i dać się wkrótce pochwycić.

— Poza tym Góry Skaliste ciągną się przez całe Stany Zjednoczone! Czy znacie dokładnie miejsce, do którego Douglas podąża?

— Tak. Dowiedziałem się tego wczoraj od owego awanturnika Spencera, który mi proponował spółkę. „Generał” jest dowódcą drabów, którzy zamierzają utworzyć bandę zbójecką w okolicach doliny San Luis. Czy chcecie ich ścigać aż tam, Mr Treskow?

— Nie cofnę się przed niczym, żeby schwytać opryszka. Polecono mi, abym nie pozwolił mu umknąć.

— Zważcie, jak niebezpieczna droga was czeka! Musicie jechać przez terytorium Osedżów.

— Nic mi nie zrobią.

— Tak wam się zdaje? Osedżowie buntują się w ostatnich czasach. Jest to plemię Sjuksów, a co to znaczy, przekonaliście się na przykładzie Ogellallajów. I jeszcze jedno: czy macie odpowiednich towarzyszy?

— Hm! Jestem sam, ale sądzę, że mogę liczyć na Mr Hammerdulla i Mr Holbersa.

— To się rozumie — odpowiedział za siebie i przyjaciela grubas.

— Pięknie! Jest nas zatem trzech, a to potraja możliwości pojmania „generała”.

— Czy potraja, czy nie, to wszystko jedno, ale jedziemy wszyscy trzej. Tylko kiedy?

— Nad tym trzeba się jeszcze zastanowić. Może Mr Shatterhand da nam dobrą radę — rzekł Treskow patrząc na mnie.

— Z chęcią — odpowiedziałem — i przypuszczam, że mnie usłuchacie.

— Z pewnością! Cóż nam radzicie?

— Przede wszystkim nie jedźcie we trzech, tylko weźcie jeszcze kogoś z sobą.

— A kogo?

— Mnie.

— Was? — zapytał Treskow ze zdumieniem. — Halo!

Tego nie mogliśmy się spodziewać! Jeśli wy będziecie z nami, to tak, jakbyśmy już mieli ,,generała” w ręku!

— Gdybyście wiedzieli, ile mi się już rzeczy nie udało, nie robilibyście sobie tak wielkich nadziei! — odparłem. — Ale będzie z nami ktoś więcej wart ode mnie, a mianowicie Winnetou.

— Sądzicie, że przyłączy się do nas? — Z pewnością.

— Czy zamierzaliście może wybrać się do doliny San Luis?

— Nie. Mieliśmy zamiar dowiedzieć się tutaj o jednego z naszych przyjaciół i odszukać go, gdyby znajdował się niedaleko. Ale okazało się, że pojechał do Kolorado, ruszymy więc za nim: Mamy przed sobą tę samą drogę, co wy, toteż nie róbcie sobie wyrzutów, że ponosimy dla was ofiarę.

— W każdym razie jest to tak wielka przysługa, że odwdzięczyć się wam chyba nie zdołamy. Jest nas zatem pięć osób.

— A później będzie sześć.

— Sześć? Kto będzie szóstym?

— Ten, o którego dowiadywałem się tutaj: Old Surehand.

— Co? Znajdziecie Old Surehanda?

— Spodziewam się. — I przyłączy się do nas?

— Na pewno.

— No, to ,,generał” może sobie iść, gdzie chce. Wytropimy go z całą pewnością!

— Nie powinniśmy tracić czasu — powiedziałem — nie możemy jednak zaniedbać koniecznych przygotowań. Przede wszystkim potrzebne są nam konie. Byliście na Wschodzie prawdopodobnie bez koni?

— Bez koni? W takim razie nie znacie Dicka Hammerdulla, Mr Shatterhand. Jeśli nawet zmuszony jestem rozstać się ze swoją starą klaczą, to czynię to dopiero w ostatniej chwili. Mam ją tutaj, a Holbers ma także swojego wierzchowca;

— Dobrze! Z tym więc nie będzie kłopotu. Ale wasze ubrania traperskie?

— Z nimi pożegnaliśmy się i ruszymy tak, jak stoimy.

— A parasole? — spytałem żartobliwie.

— Weźmiemy je z sobą, bo zapłacone. Co kupiłem, to moje, a co moje, to mogę zabrać. Policja nie ma prawa troszczyć się o to. — Well! A broń?

— Jest w gospodzie.

— Wszystko zatem w porządku. Ale po będzie z wami, Mr Treskow?

— Mam przy sobie rewolwer, ale resztę muszę kupić. Czy pomożecie mi w tym?

— Chętnie. Strzelbę i amunicję dostaniecie tutaj, a konia dopiero w Kansas City albo w Topeka.

— Czy tamtędy pojedziemy?

— Tak. Popłyniemy parowcem, po pierwsze dlatego, że zyskamy na czasie, a po wtóre, oszczędzimy koni. Przypuszczam, że Old Surehand podążył w górę rzeki

Republican i my także wzdłuż niej ruszymy. Do takiej jazdy trzeba dobrych koni.

— Czy wiecie, kiedy statek stąd odchodzi?

— Zdaje mi się, że jutro po południu. Zostaje więc nam jeszcze cały ranek. Ale o jedno musimy, zaraz się rozpytać, nie czekając jutra.

— „Generał” jest już z całą pewnością w drodze, nie marny więc powodu szukać go tutaj, ale byłoby dobrze,

gdybyśmy się dowiedzieli, w jaki sposób z miasta wyjechał. Trzeba się też dowiedzieć, czy już wyruszył Toby Spencer ze swoimi towarzyszami.

— Mogę wam na to odpowiedzieć, sir: Toby odjechał pociągiem o godzinie drugiej.

— Aha! A więc koleją! Pojechali do St. Louis, to nie ulega wątpliwości.

— Ruszyli więc w przeciwnym kierunku, niż zamierzali: na wschód, do miasta St. Louis, zamiast na Zachód do doliny San Luis w Kolorado.

— Tak. ale w ten sposób prędzej będą u celu. Przecież to jasne, że z St. Louis udadzą się koleją do Kansas, gdzie staną prędzej, niż gdyby stąd popłynęli statkiem.

— Do wszystkich diabłów! Czy myślicie, że jadą z „generałem”?

— Z pewnością tak jest. Gdzie widzieliście Spencera?

— Na dworcu. Siedział już w wagonie ze swoimi pięcioma towarzyszami.

— Czy was widzieli?

— Tak; widocznie zapamiętali mnie wczoraj, bo uśmiechali się szyderczo.

— No, jeden z nich niewątpliwie nie uśmiechał się do was i nie wyglądał przez okno.

— Macie na myśli „generała”?

— Tak. Jestem pewien, że odjechał razem z nimi, Mr Treskow.

— To ja go tu na próżno szukam, a stałem zaledwie

o pięć kroków od wagonu, w którym siedział. Ale ten błąd da się naprawić, jeśli zmienimy nasz plan.

— W jaki sposób?

— Nie pojedziemy statkiem w górę rzeki, lecz tej nocy jeszcze pociągiem do St. Louis.

— Nie radziłbym tego — zaoponowałem. — Przede wszystkim musimy się wyrzec jazdy koleją z powodu koni. Nadto nie ma tu jeszcze Winnetou, muszę dopiero posłać po niego; a po trzecie, te draby mogą się zatrzymać w St. Louis i nie pojechać zaraz dalej. W takim razie wyprzedzilibyśmy ich i nie wiedzielibyśmy, dokąd się udać.

— To słuszne!

— Musimy tych, których chcemy pochwycić, mieć przed sobą, a nie za sobą. Pójdziemy potem ich śladem

i nie zmylimy drogi. Czy zgadzacie się, panowie, na mój plan?

— Tak — odrzekł Treskow.

— Czy się zgadzamy, czy nie, to wszystko jedno, to nawet całkiem to samo — oświadczył Hammerdull — ale postąpimy tak, jak radzicie. Wolimy słuchać was aniżeli naszych głupich głów. Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?” Przyjaciel odparł zwykłym swoim sposobem:

— Jeśli sądzisz, że jesteś głupcem, to ja nie mam nic przeciwko temu, kochany Dicku. Ale powiedzcie teraz, Mr Shatterhand, co my dwaj mamy jeszcze dzisiaj do czynienia?

— Nie ma dziś dla was roboty. Przyjdźcie jutro z. końmi na przystań. To wszystko, co wam chciałem powiedzieć. Ale, ale, byłbym zapomniał o rzeczy najważniejszej ! Okradziono was i brak wam z pewnością pieniędzy.

— Chcecie nam pożyczyć, sir?

— Owszem.

— Dziękuję! To my możemy wam służyć pożyczką, jeśli jesteście w potrzebie. Dam wam zaraz ten cały worek do rozporządzenia, jeśli będziecie tak dobrzy i przyjmiecie go ode mnie.

Z tymi słowy Hammerdull wyciągnął duży, skórzany worek i rzucił go na stół, aż zadźwięczało. Worek zawierał najwidoczniej złoto.

— Gdybym go przyjął, pozostalibyście bez grosza — odrzekłem.

— Nic podobnego, bo Holbers ma taki sam wielki i pełny worek. Byliśmy na tyle mądrzy, że do portfeli włożyliśmy tylko papiery. Kilka tysięcy dolarów w złocie schowaliśmy w tych workach. Możemy więc opędzić wszystkie nasze wydatki. No, ale teraz trzeba iść do łóżka, bo stąd aż do Kansas City nie będziemy wiele spali. Wiadomo, że na parowcu niepodobna oka zmrużyć.

— Jeśli chce wam się spać, to idźcie. Na razie omówiliśmy wszystko.

— Well! Chodźmy, Holbers, stary szopie! A może masz ochotę jeszcze zostać?

— Hm! Jeśli to dobrze rozważyć, piwo, którym nas raczy pani Thick, nie będzie płynęło strugą w Górach Skalistych. Tobie nie smakuje, Dicku?

— Czy mi smakuje, czy nie, to wszystko jedno, ale to napój wyborowy! Jeśli więc chcesz zabawić tu dłużej, to nie zostawię cię samego. Dlatego tylko wspomniałem o spoczynku, żebyś ty się nie zgodził. Ja mam także pragnienie.

Dwaj przyjaciele zostali więc, a ja i Treskow nie byliśmy na tyle okrutni, żeby ich porzucić w tej zacisznej izdebce.

Pani Thick postarała się o godnego zaufania posłańca, którego pchnąłem do Winnetou. Człowiek ten pospieszył się widocznie, gdyż Apacz przybył nazajutrz rano do gospody kiedy piłem kawę. Oczywiście przyprowadził i mojego konia. Cieszyłem się pełnym podziwu szacunkiem, z którym pani Thick obsługiwała Apacza, choć poprosił tylko o szklankę wody. Wyglądało to tak, jak gdyby król do niej zajechał.

Opowiedziałem Winnetou, dlaczego posłałem po niego, on zaś jak zwykle, zgodził się na wszystko, co postanowiłem. Poznał natychmiast Treskowa, ale przypomniał sobie widocznie popełnione wówczas przez traperów błędy, bo rzekł:

— Sam Firegun był wodzem Bladych twarzy, toteż Winnetou od chwili wejścia do hide-spot nie wydał śni jednego rozkazu, lecz stosował się do niego. Nie było tam także mojego brata Shatterhanda. Ale teraz wszystko będzie inaczej. Przelejemy mniej krwi i unikniemy wielu błędów. Jaką drogą ruszył Old Surehand?

— Tego nie wiem, ale wypytam jeszcze Mr Wallace a; kiedy pójdę się z nim pożegnać.

Wyszedłem z Treskowem na miasto, żeby mu pomóc przy zakupach. Na strzelbach nie rozumiał się zgoła, byliby go więc okpili w sklepie, dając mu błyszczącą, ale nic niewartą rusznicę.

Następnie udałem się do Bankiera; By mu oznajmić, że zamierzam opuścić miasto. O ,,generale” i wypadkach ostatniego wieczora nic nie wspominałem, wychodząc z założenia, że lepiej jest milczeć aniżeli powiedzieć za wiele. Wtem przyszło mi na myśl pytanie, które jeszcze wczoraj chciałem zadać Wallace owi.

— Czy wiecie, sir, że w drodze do fortu Terrel towarzyszył Old Surehandowi młody wódz Komanczów, Ąpanaczka?

— Tak, Old Surehand mówił mi o tym — odrzekł Wallace.

— Dokąd udał się ten Indianin i gdzie się rozstał z Old Surehandem?

— Pojechał z nim z fortu Terrel nad Rio Pecos i tam się pożegnał, aby wrócić do swoich.

— To dobrze! Wiecie może, jaki szlak obrał teraz Old Surehand?

— Popłynął statkiem do Topeki, a potem miał ruszyć konno w górę Republican River.

— Tak przypuszczałem. Jakiego ma konia?

— Tego, którego dostał od was, sir.

— To doskonale! Spodziewam się odnaleźć wkrótce jego ślady.

— Mogę udzielić wam pewnej wskazówki w tym względzie. W Topece poszukajcie winiarni Piotra Lebrun. Tam z pewnością Old Surehand zajechał, bo zna dobrze gospodarza. Poza tym o dwa dni drogi w górę Republican River znajduje się na prawym brzegu rzeki wielka farma, do której należą znaczne obszary ziemi. Właściciel jej ma ogromne stada koni i bydła, a nazywa się Fenner. Ilekroć O1d Surehand był w tamtych stronach, zawsze go odwiedzał. Więcej nie mogę wam nic powiedzieć, sir.

— To, co powiedzieliście, wystarczy mi aż nadto. Dowiecie się kiedyś, że przyjaciela mego odnalazłem z taką łatwością, jak gdybyście mi opisali jego podróż krok za krokiem.

Pożegnawszy się z bankierem, opuściłem jego dom a następnie podziękowałem za gościnę zacnej pani Thick i udałem się na przystań.

Statek, który nas wziął na pokład, nie był jednym z owych pływających pałaców, jakie sobie każdy wyobraża słysząc o podróżach po Missouri lub Missisipi, lecz niezgrabną barką, którą z trudem poruszała sapiąca

maszyna. Straciliśmy, pełnych pięć dni na drogę do Topeki, gdzie w winiarni Piotra Lebrun spytałem o Ola Surehanda. Powiedziano mi, że był tam przed trzema dniami. Kupiliśmy dobrego konia dla Treskowa i ruszyliśmy dalej na falujące prerie, ciągnące się wzdłuż Republican River. Wschodnia część stanu Kansas jest pokryta pagórkami. Jak daleko okiem sięgnąć, widać wzniesienia gruntu, podobne do fal morskich stężałych nagle w bezruchu.

Pod wieczór następnego dnia dotarliśmy do farmy Fennera. Dopytaliśmy się o nią z łatwością, gdyż na łąkach, przez które jechaliśmy, mnóstwo cowboyów pilnowało trzód. Fenner przypatrywał nam się z początku podejrzliwie, ale gdy wymieniłem nazwisko Old Surehanda, zaprosił nas do siebie w gościnę.

— Nie dziwcie się, panowie — rzekł — mojej nieufności, ale rozmaici ludzie włóczą się teraz po kraju. Onegdaj nocowało u mnie siedmiu drabów, których przyjąłem gościnnie, a kiedy rano odjechali, zniknęło jednocześnie siedem najpiękniejszych koni. Kazałem ścigać łotrów, ale niepodobna było ich dogonić, bo zabrali mi właśnie najlepsze wierzchowce.

Gdy Fenner opisał mi owych gości, przekonaliśmy się, że byli to „generał”, Toby Spencer i reszta dobranego towarzystwa. Old Surehand spędził na farmie tylko jedną noc, postanowiliśmy więc także nie bawić tu dłużej.

Ponieważ woleliśmy siedzieć na wolnym powietrzu aniżeli w izbie, wyniesiono dla nas na dwór stół i kilka krzeseł. Rozmawialiśmy tam. z gospodarzem, obok pasły się nasze konie, a dalej uganiali się cowboye spędzając na noc trzody. Wtem z lewej strony nadjechał cwałem jakiś jeździec.

— Poznacie teraz bardzo zajmującego człowieka — rzekł Fenner — który słynął w młodości pod nazwą „króla cowboyów”.

— Uff! — mruknął Winnetou.

— Czy przyjęliście go do swego domu? — zapytałem Fennera.

— Nie — odpowiedział. — Ten myśliwiec przyjechał dzisiaj w południe z kilkoma innymi westmanami i rozłożyli się obozem w zaroślach; jutro chcą wyruszyć w dalszą drogę. Staruszek ma przeszło dziewięćdziesiąt lat, ale siedzi jeszcze na koniu jak młodzieniec. Popatrzcie tylko!

Tak, to był Old Wabble. Podjechał, nie patrząc na nas, prawie do samego stołu, zatrzymał konia i chciał z niego zeskoczyć, kiedy nagle poznał swoich dawnych wrogów. Wsunął natychmiast z powrotem nogę w strzemię i zawołał:

— Do wszystkich diabłów! Old Shatterhand i Winnetou! Mr Fenner, czy oni są u was w gościnie?

— Yes — odparł farmer zdumiony.

— To my odjeżdżamy. Gdzie przebywają te łotry, tam nie ma miejsca dla uczciwych ludzi. Bądźcie zdrowi!

Zawrócił konia i odjechał cwałem. Fennera zaskoczyło nie tylko zachowanie się starca, lecz i nazwiska, które wymienił.

— Sir, wy jesteście Old Shatterhand, a ten czerwony dżentelmen to Winnetou, wódz Apaczów?

— Tak, Mr Fenner.

— Czemu nie powiedzieliście mi tego od razu? Byłbym was przyjął zupełnie inaczej. Powiem zaraz żonie, jakich ludzi dziś u siebie gości!

Wstał szybko i pobiegł do domu. Winnetou nie odrywał oczu od powiewającej w oddali białej grzywy Old Wabble a.

— Z twarzy jego biła nienawiść i chęć zemsty — rzekł. — Powiedział, że odchodzi, lecz z pewnością wróci jeszcze tej nocy. Winnetou i jego biali bracia muszą być bardzo czujni...

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy powrócił Fenner.

— Przepraszam was, moi panowie! — oświadczył. — Żona nakrywa w izbie do stołu. Nie sprzeciwiajcie się, lecz zróbcie mi tę przyjemność, pozwalając się lepiej ugościć.

Trudno było się wymawiać, ulegliśmy więc jego woli.

Siedząc przy stole zastawionym wszelakimi przysmakami, wyjaśniliśmy gospodarzowi zagadkowe dla niego zachowanie się Old Wabble a, opowiedzieliśmy mu o kradzieży strzelb i kaczę, jaką spotkała złodziei. Mimo to Fenner nie mógł pojąć wściekłości starego. Old Wabble powinien właściwie być nam wdzięczny, gdyż obeszliśmy się z nim ostatecznie dość łaskawie. Nie został ukarany, choć wziął udział w kradzieży, wprowadzając „generała” do domu Bloody Foxa.

Tymczasem zrobiło się ciemno, wstaliśmy więc od stołu, aby zająć się naszymi końmi.

— Jeśli nie chcecie ich zostawić na dworze z powodu Old Wabble a — rzekł farmer — możemy je przywiązać w szopie za domem. O wodę i paszę sam się postaram. Szopa nie jest wprawdzie zamknięta z jednej strony, ale postawię tam na straży godnego zaufania człowieka.

— Wolimy raczej zaufać samym sobie, sir. Będziemy czuwać kolejno: najpierw Pitt Holbers, potem Dick Hammerdull, potem ja, a na końcu Winnetou. Każdy po dwie godziny.

— Well, a spać będziecie obok, w przyległej izbie, gdzie każę wam zaraz posłać. W ten sposób zabezpieczycie się przed podstępnym napadem. Zresztą w polu zostaje na noc wielu cowboyów, którzy także będą uważali.

Zarządziliśmy te środki ostrożności, gdyż przywykliśmy mieć się na baczności nawet w takich warunkach, w których inni czuliby się zupełnie bezpieczni. Właściwie można się było nie obawiać napadu ze strony Old Wabble a, który — jak doniósł nam jeden z cowboyów — odjechał już ze swoimi ludźmi.

Konie umieszczono zatem w szopie, a Pitt Holbers wyszedł, aby stanąć przy nich na straży. Reszta towarzystwa pozostała nadal przy stole. Nie byliśmy zbyt znużeni, a Fenner wyciągnął nas na opowiadania, chcąc usłyszeć jak najwięcej o naszych przygodach.

Po upływie dwu godzin Hammerdull zastąpił Holbersa, który nam doniósł, że wszystko jest w porządku, że nie słyszał ani nie widział nic podejrzanego. Upłynęła znowu godzina. Opowiadałem właśnie jakąś wesołą przygodę, która mi się swego czasu wydarzyła pod namiotem Lapończyka, kiedy Winnetou schwycił mnie nagle za kołnierz i szarpnął tak silnie, ze spadłem z krzesła.

— Uf! Strzelba! — zawołał wskazując na okno. Równocześnie padł ze dworu strzał; kula przebiła szy-

bę i ugrzęzła w słupie podtrzymującym powałę. Była przeznaczona dla mnie i ugodziłaby mnie w głowę, gdyby Winnetou nie był mnie pociągnął w bok.

W mgnieniu oka miałem w ręku sztucer i pobiegłem ku drzwiom, a towarzysze za mną.

Uchyliłem ostrożnie drzwi, aby nie narazić się na drugą kulę, i wyjrzałem na dwór. Nie zauważyłem nic poderzanego. Wyszedłem więc z domu, a Fenner i towarzysze posuwali się za mną. Zaczęliśmy nasłuchiwać.

Wtem odezwał się za domem tupot i parskanie koni, a równocześnie zabrzmiał głos Hammerdulla:

— Na pomoc! Konie, konie!

Pobiegliśmy na drugą stroni domu i ujrzeliśmy kilka postaci walczących z końmi, które broniły się przed wyprowadzeniem: Dwaj jeźdźcy chcieli koło nas przemknąć.

— Stać! — zawołał Fenner.

Gdy padł strzał, wymierzony do mnie, porwał dwururkę ze ściany; teraz wycelował z niej do jeźdźców. Huknęły dwa strzały i dwaj ludzie spadli z siodeł na ziemię. Ci, którzy na

próżno mocowali się z końmi, porzucili je i uciekli. Posłaliśmy za nimi jeszcze kilka kul.

— Dobrze, doskonale! — doleciał nas głos Dicka z pobliża.— Poczęstujcie ich ołowiem! Ale potem przyjdźcie tutaj! Łotr nie chce leżeć spokojnie!

Udaliśmy się w stronę, skąd dochodziły te okrzyki, i ujrzeliśmy Dicka klęczącego na kimś i wytężającego wszystkie siły, aby powalonego pod sobą utrzymać. Był to Old Wabble. Pochwyciliśmy go oczywiście natychmiast.

— Powiedzcie mi, jak to się stało? — zapytałem grubasa, który stał przede mną, sapiąc głośno z wysiłku.

— Jak się to stało — odpowiedział — to wszystko jedno. Leżałem koło szopy, kiedy wydało mi się, że słyszę w pobliżu jakieś przyciszone głosy. Wychyliłem się tedy i zacząłem nasłuchiwać. Wtem huknął przed domem wystrzał, a zaraz potem nadbiegł zza rogu człowiek ze strzelbą w ręku. Pomimo ciemności widać było jego białe włosy, poznałem więc Old Wabble a, poskoczyłem ku niemu, powaliłem go i zawołałem o pomoc. Jego towarzysze, którzy siedzieli za szopą, zerwali się i rzucili do koni. Wasz ogier, karosz Winnetou i moja klacz nie chciały iść, ale konie Holbersa i Treskowa nie były takie mądre. Dwóch łotrów wskoczyło na siodła, ale wyście nadbiegli i zrobili z nimi porządek. Tak się ta sprawa przedstawia. Co zrobimy ze starym „królem cowbo-yów”, którego należałoby raczej nazywać królem opryszków?

— Zabierzcie go do izby, ja zaraz tam przyjdę! Strzały zwabiły kilku parobków Fennera. Z ich więc

pomocą zaprowadziłem konie do szopy. Przeszukaliśmy otoczenie farmy, ale złodziei nigdzie nie było. Ci dwaj, do których strzelił Fenner, już nie żyli.

Kiedy wszedłem do izby, Old Wabble stał tam przywiązany do słupa, w który wbiła się jego kula. Nie spuścił wcale oczu, lecz spojrzał mi w twarz zuchwale. Jak

pobłażliwie obchodziłem się z nim dawniej! Miałem szacunek dla jego podeszłego wieku, ale teraz budził we mnie tylko odrazę. Moi towarzysze naradzali się właśnie, jak by go ukarać. W chwili kiedy wchodziłem, Holbers powiedział:

— To jest nie tylko złodziej, ale i niebezpieczny skrytobójca. Musi zawisnąć!

— Strzelił do Old Shatterhanda — odrzekł Winnetou. — Old Shatterhand więc rozstrzygnie, co się z nim powinno stać.

— Tak, on jest moim jeńcem — stwierdziłem. — Niechaj przez noc zostanie przy tym słupie, a jutro rano wydam na niego wyrok.

— Wydaj go zaraz! — syknął skrytobójca. — Palnij mi w łeb, a potem będziesz mógł pomodlić się za moją duszę!

Odwróciłem się od starego w milczeniu. Fenner wyszedł, aby wysłać cowboyów w pościg za złodziejami; pasterze jednak, mimo usilnych poszukiwań, nie znaleźli nikogo. Tej nocy spaliśmy oczywiście bardzo mało, a ledwie zaczęło świtać, zebraliśmy się w górnej izbie.

Old Wabble był zupełnie rześki, noc spędzona przy słupie posłużyła mu widocznie. Przypatrywał nam się spokojnie, jak gdybyśmy nie mieli z nim żadnych porachunków i jakby był naszym najlepszym przyjacielem. Tak to oburzyło Fennera, że zawołał z gniewem:

— To bezczelność, jakiej w życiu nie spotkałem! Ilekroć ten człowiek do mnie przyjeżdżał, okazywałem mu zawsze szacunek, choćby ze względu na jego wiek, ale teraz jestem za tym, żeby zastosować prawo prerii. Koniokradów i morderców wiesza się przecież bez litości!

— Ogłoście wyrok, Mr Shatterhand — zawołał Treskow — a my go natychmiast wykonamy!

— Tak, ogłoszę wyrok, ale wy go nie wykonacie — odrzekłem.

Odwiązałem „króla cowboyów” od słupa. Old Wabble wyciągnął ścierpnięte ręce i spojrzał na mnie pytająco.

— Możecie odejść! — powiedziałem.

— Czy jestem wolny?

— Tak.

Staruch wybuchnął szyderczym śmiechem i zawołał:

— Jesteście wzorem chrześcijanina, Mr Shatterhand! Ale to mnie nie wzrusza. Bądźcie zdrowi, panowie! Myślę, że jeśli się zobaczymy, to w zupełnie innych okolicznościach niż teraz!

Odszedł z podniesioną głową. Jakże rychło miały się spełnić jego ostatnie słowa! Zobaczyliśmy go istotnie w zupełnie odmiennej sytuacji.

IX. SZAKO-MATTO

Często zarzucali nam towarzysze moich przygód, a potem czytelnicy moich książek, że z niegodziwymi ludźmi, którzy zachowywali się względem nas wrogo postępowałem zbyt łagodnie, kiedy dostawali się w moje ręce. Rozpatrywałem te zarzuty w każdym poszczególnym wypadku, ale zawsze dochodziłem do wniosku, że postępowanie moje było właściwe. Człowiek mściwy, uprzedzając sprawiedliwość boską i ludzką, puszczając wodze swemu egoizmowi i namiętności, okazuje słabość zasługującą na pogardę. Ten, względem którego dopuszczono się złego postępku, nie może uważać siebie za powołanego do sądzenia. Gdzież znajdzie się człowiek tak czysty, wolny od winy i doskonały moralnie, żeby mógł narzucać się jako sędzia swoim bliźnim?

W odniesieniu do ludów na pół lub całkowicie dzikich musimy być jeszcze bardziej pobłażliwi. Prześladowany przez białych, chwytający za broń Indianin godzien jest litości, a nie kary. Tak samo człowiek odepchnięty na zawsze od społeczeństwa, znajdujący schronienie na Dzikim Zachodzie i upadający tam coraz niżej, ponieważ pozbawiony jest wszelkiego moralnego oparcia, zasługuje, moim zdaniem, na pobłażliwość. Wielkoduszny Winnetou nigdy nie odmawiał takim ludziom względów, ilekroć go o to poprosiłem. Często zresztą czynił to z własnego popędu, nie czekając na moją prośbę.

Łagodność nasza przysparzała nam nieraz kłopotów, przyznaję, ale korzyści wynikające z takiego postępowania wynagradzały je sowicie. Kto chciał się do nas przyłączyć, musiał również porzucić okrucieństwo i bezwzględność Zachodu i stosować się do naszych humanitarnych zasad.

Old Wabble był właśnie jednym z takich nikczemnych ludzi, któremu pobłażaliśmy więcej, aniżeli na to zasługiwał. Przyczyniał się zresztą do tego i jego podeszły wiek, i pierwsze wrażenie, jakie ta niezwykła osobistość na mnie wywarła. Puściłem go więc wolno nazajutrz po usiłowanym morderstwie i kradzieży koni na farmie Fennera i sądzę, że uczyniłem to zgodnie z wolą Winnetou. Dick Hammerdull Pitt Holbers sprzeciwiali się temu, a jeszcze bardziej agent policji Treskow, ale najwięcej wyrzutów usłyszałem od właściciela farmy. Fenner nie mógł pojąć, jak mogliśmy wypuścić człowieka, od którego kuli ocaliły mnie jedynie Bystre oczy Apacza. Mówił, że z taką głupotą nie spotkał się jeszcze w życiu, i przysiągł wziąć zemstę w swoje ręce

Na farmie zaopatrzyliśmy się w żywność, której zapas powinien nam wystarczyć przynajmniej na pięć dni. Przez ten czas nie potrzebowaliśmy tracić ani chwili na polowanie — specjalnie trudne wtedy, gdy z powodu bliskości czerwonoskórych albo białych nieprzyjaciół nie wolno strzelać — i mogliśmy nie zatrzymując się jechać szybko za Old Surehandem.

Właściwie należało zaraz po wyruszeniu poszukać śladów Old Wabble a, który dał do poznania, co z jego strony nam grozi. Chcieliśmy jednak jak najrychlej doścignąć Old Surehanda, a poza tym mieliśmy przed sobą „generała” i Toby ego Spencera, którzy podążali spiesznie do Kolorado, przeto osoba starego „króla cowboyów” miała dla nas drugorzędne znaczenie.

Ponieważ Republican River zakreśla łuk za farmą Fennera, oddaliliśmy się od wody i pojechaliśmy prosto prerią, aby później znów wrócić do rzeki. Zobaczyliśmy tu ślady cowboyów, którzy ostatniej nocy bez skutku szukali Old Wabble a i jego towarzyszy. Później i te ślady zniknęły. Aż do wieczora tego dnia nie spotkaliśmy żadnej ludzkiej istoty.

O zachodzie słońca stanęliśmy znowu nad Republican River. Chociaż ta rzeka, jak wszystkie w Kansas, jest szeroka i płytka, Winnetou poprowadził nas do brodu, który znał z dawniejszych wędrówek.

Znalazłszy się na drugim brzegu, przecięliśmy pas zarośli, które ciągnęły się nad wodą, i wydostaliśmy się znów na otwartą prerię. Tutaj, niedaleko owych zarośli, biegł trop równoległy do rzeki, w odległości może pięciuset kroków od nas. Dick Hammerdull wskazał nań. palcem i rzekł do swego przyjaciela:

— Czy widzisz ten ciemny pas w trawie, Holbers, stary szopie? Jak sądzisz, czy to nie trop ludzki przypadkiem?

— Jeśli uważasz, że to trop, to nie mam nic przeciwko temu, kochany Dicku — odparł zapytany. — Musimy zaraz sprawdzić, skąd i dokąd prowadzi.

Ale Winnetou zawrócił w milczeniu na prawo i pojechał wzdłuż brzegu, nie troszcząc się o ślady.

— Czemuż tam nie jedziecie, Mr Shatterhand?! — zawołał Hammerdull. — Na Dzikim Zachodzie trzeba przecież odczytać każdy zauważony trop ze względu na bezpieczeństwo! Musimy się bezwarunkowo dowiedzieć, skąd i dokąd prowadzi.

— Prowadzi ze wschodu na zachód — odrzekłem.

— Jak to? Tego nikt nie może z góry wiedzieć. Trop może także biec z zachodu na wschód.

— Pshaw! Od kilku dni mamy wiatr z zachodu, a więc trawy położyły się, zwrócone końcami ku wschodowi. Każdy westman wie, że trop biegnący w tym właśnie kierunku byłby bardzo niewyraźny. Te ślady natomiast, leżące przynajmniej o pięćset kroków stąd, widzimy doskonale, co dowodzi, że ktoś przejeżdżał tędy ze wschodu na. zachód.

— Do wszystkich diabłów, to świetny sposób! Ja bym na to nie wpadł! Ale, Mr Shatterhand, musimy mimo to zbadać

trop, by przekonać się, ile osób go zostawiło.

— Nie potrzebujemy zbaczać z drogi o pięćset kroków. Wszak widzicie, że wkrótce zetkniemy się znów ze śladem.

Niedaleko od brodu ujrzeliśmy na prerii zielony pas, który stykał się z zaroślami nad rzeką i wskazywał na obecność potoku, wpadającego do Republican River. Do ostatniego zakrętu tego strumienia przytykał lasek w odległości może jednej mili angielskiej od nas. Zatrzymaliśmy się, gdyż trop zbliżył się nagle z lewej strony do zakrętu rzeki, gdzie znajdowaliśmy się właśnie. Były to ślady samotnego jeźdźca, który zatrzymał się tu na krótko. Nie zsiadał wcale z siodła, a odciski przednich nóg konia tworzyły półkole nad odciskami kopyt tylnych. Z tego należało wnosić, że jeździec, przybywszy ze wschodu, rozglądał się zwracając konia w trzech pozostałych kierunkach i szukał kogoś czy czegoś, po czym ruszył prosto do lasku nad potokiem. Obaj z Winnetou zwróciliśmy oczy w kierunku owej kępy drzew.

Właściwie mogliśmy się nie troszczyć o to, kim był nieznany jeździec, a lasek także nie miał w sobie nic szczególnego. Ale trop zostawiono zaledwie przed pół godziną, a ta okoliczność była dostatecznym powodem, aby zachować się ostrożnie i z rozwagą.

— Uff! Wouh-keca! — odezwał się Apacz wyciągając rękę w stronę lasu.

„Wouh-keca” to wyraz z narzecza Indian zamieszkujących Dakotę, który oznacza dzidę. Zdziwiło mnie, że Winnetou nie użył odpowiedniego słowa w języku Apaczów, ale wyjaśniło się to wkrótce. Zarazem przekonałem się znowu, po raz chyba setny, jak bystre oczy miał mój przyjaciel. Patrząc w kierunku jego wyciągniętej ręki spostrzegłem na skraju lasu drzewo z wysuniętym daleko konarem, do którego przytwierdzona była dzida. W tym oddaleniu wyglądała jak kreska zrobiona ołówkiem na

niebie, czerwonym od zachodu słońca. Gdyby trop nie zwrócił naszej uwagi na lasek, nikt z nas nie byłby zobaczył tej włóczni.

— Nie mogę jej dojrzeć — powiedział Dick Hammer dull — ale jeśli to rzeczywiście włócznia, jak mówicie to każdy przecież wie, że włócznie nie rosną na drzewach. To pewnie jakiś znak.

— Znak człowieka pochodzącego z Dakoty — potwierdził Winnetou. — Nie wiem tylko, do jakiego szczepu należy.

— Do jakiego szczepu to wszystko jedno! Cud prawdziwy, że są oczy, które o milę potrafią rozpoznać włócznię! Teraz chodzi o to, czy ta dzida może mieć jakieś znaczenie dla nas.

— Rozumie się, że nie jest dla nas obojętna — odparłem. — Oprócz Osedżów nie ma tutaj innych Indian z Dakoty, a wiemy, że Osedżowie wykopali topór wojenny. Musimy więc zbadać przeznaczenie tego znaku.

Apacz skierował się ostrożnie na północ, a my ruszyliśmy za nim. Gdy straciliśmy lasek z oczu, zawróciliśmy na zachód, żeby się dostać do potoku. Znalazłszy się nad jego brzegiem, mogliśmy, jadąc w górę biegu wody, pod osłoną zarośli zbliżyć się do lasku od północy. Tu Winnetou zsiadł z konia, oddał mi swoją strzelbę i powiedział:

— Moi bracia zaczekają tutaj, dopóki nie wrócę. Chcę zbadać, co tam jest pod tym drzewem z włócznią.

Obowiązki tego rodzaju Apacz brał najchętniej na siebie. Nie sprzeciwialiśmy się temu nigdy, gdyż w podchodzeniu nieprzyjaciela nikt mu nie mógł dorównać. Zsiadłszy z koni, zapędziliśmy je w zarośla aż do potoku, żeby się napiły, i usiedliśmy na ziemi, czekając na powrót wodza, który po upływie zaledwie pół godziny zjawił się obok nas i oznajmił:

— Blada twarz siedzi pod drzewem z włócznią i czeka na czerwonego wojownika, który był tam przez pół dnia i

odjechał, aby zaopatrzyć się w mięso.

— A kim jest ten biały, który siedzi pod drzewem? — zapytał Dick.

— To Old Wabble — odpowiedział krótko Winnetou.

— Do krocset piorunów! Czego ten cowboy tu chce?

Winnetou wzruszył ramionami, a grubas pytał dalej:

— Na kogóż on może czekać?

— Na Szako-mattę.

— Szako-mattę? Nie znam go i nigdy o nim nie słyszałem. Czy wódz Apaczów wie, co to za człowiek?

Winnetou skinął głową, a mały grubas dopytywał się dalej ciekawie:

— Czy to jakiś dzielny wojownik?

To pytanie było zbyteczne, bo Szako-matto znaczy „Siedem Niedźwiedzi”, rozumie się szarych. Kto zabił siedem szarych niedźwiedzi i samotnie wstępuje na ścieżkę wojenną, ten musi odznaczać się nie lada odwagą. Toteż Winnetou nic nie odpowiedział, wziął swoją strzelbę, pochwycił konia za cugle, po czym opuściliśmy naszą kryjówkę. Było teraz coś ważniejszego do roboty niż wdawać się w pogawędki. Udaliśmy się na skraj zarośli, a potem skradając się wzdłuż nich dotarliśmy do lasku. Tam Winnetou powiedział do nas stłumionym głosem:

— Old Shatterhand pójdzie ze mną, a reszta białych braci zostanie tutaj, dopóki nie zagwiżdżę trzy razy. Wtedy przyprowadzicie konie do drzewa, na którym wisi włócznia; zastaniecie nas tam z jeńcami.

Powiedział to z taką pewnością siebie, jakby mógł z góry przewidzieć, co się stanie. Odłożyliśmy strzelby, po czym nie wychylając się z zarośli podążyliśmy W górę potoku.

Zmrok już zapadał, a że w dodatku znajdowaliśmy się w gęstwinie, dokoła nas było ciemniej niż na prerii. Mimo to

posuwaliśmy się naprzód bez najmniejszego szmeru. Dotarłszy do miejsca, w którym potok skręcał W prawo, znaleźliśmy się w lasku bez podszycia, gdzie wygodniej było podchodzić. Przemykając się od drzewa do drzewa, zbliżyliśmy się wreszcie do tego, na którym wisiała włócznia. Stało ono na skraju lasu, wskutek czego było tam jaśniej aniżeli pod gęstymi konarami, które nas dotychczas osłaniały; mogliśmy przeto widzieć, co się dzieje pod owym podejrzanym drzewem.

Była tam pod małym pagórkiem opuszczona jama królicza, a przy niej siedział spokojnie „król cowboyów”. Koń jego pasł się w niewielkiej odległości na otwartej polanie. Ta okoliczność dowodziła, że Old Wabble czuł się tu zupełnie bezpiecznie, w przeciwnym razie byłby konia ukrył w lesie, obok drugiego wierzchowca, którego dostrzegliśmy przywiązanego do drzewa. Ten silnie zbudowany skarogniady ogier osiodłany był po indiańsku, ale na grzbiecie miał ciemny, skórzany czaprak, co jest u czerwonoskórych rzadkością. Powycinane w nim figury przedstawiały siedem niedźwiedzi, które widać było wyraźnie, gdyż czaprak miał białe, również skórzane podbicie.

Zrozumiałem teraz, dlaczego Winnetou mógł z taką pewnością twierdzić, że Old Wabble czeka na Szako--mattę, którego nazwisko oznacza „Siedem Niedźwiedzi”.

Wszystko wskazywało na to, że wódz odszedł na krótko, by zapolować i zdobyć trochę żywności. Cennego konia zostawił samego, uważał więc tę okolicę i lasek za zupełnie bezpieczne. Obecność Old Wabble a, czekającego nań tak spokojnie, kazała się domyślić, że szło tutaj o jakieś od dawna ułożone spotkanie. Nietrudno było odgadnąć, jakiego rodzaju sprawy ich łączyły. Old Wabble a nazywano nie bez racji „mordercą Indian” i wszyscy czerwonoskórzy nienawidzili i bali się go równocześnie. Wódz indiańskiego plemienia mógł tylko w tym wypadku zawrzeć z nim

przymierze, jeśli spodziewał się wyjątkowych korzyści. Osedżowie znajdowali się na ścieżce wojennej, mogło więc chodzić tylko o jakieś łajdactwo wymierzone najprawdopodobniej przeciwko białym. Nie po raz pierwszy zresztą sprzymierzał się Szako-matto z Old Wabble em, używając go jako szpiega,

Kiedy Winnetou z taką pewnością twierdził, że weźmiemy do niewoli dwu jeńców, był przekonany, iż niedługo będziemy czekali na powrót Osedża. Ja też tak sądziłem, gdyż z nastaniem ciemności o polowaniu nie mogło być mowy. Istotnie, po chwili ujrzeliśmy Indianina zdążającego do lasku tak swobodnie, jak gdyby się nie obawiał żadnej niepożądanej wizyty. Był niezbyt wysoki, lecz niezmiernie barczysty, lat około pięćdziesięciu. W jednej ręce niósł strzelbę, a w drugiej zabitego dzikiego indyka. Dochodząc do lasu zobaczył widocznie pomimo ciemności ślady, bo zatrzymał się i zaczął je badać.

— To ja, Old Wabble, tu jestem! — zawołał spomiędzy drzew stary cowboy. — Chodźże do mnie!

— Czy są z tobą inne blade twarze?

— Nie. Czy nie widziałeś po śladach, że sam przyszedłem?

”Old Wabble niewątpliwie nie sam znajdował się nad Republican River, ale towarzyszy jego nie było widać w pobliżu. Albo chciał ukryć przed nimi to, że zetknął się z Osedżem, albo zostawił ich może, by czyhali gdzieś na nas z ukrycia.

Szako-matto zbliżył się powoli do Old Wabble a, usiadł obok niego i zapytał:

— Kiedy Old Wabble przyszedł tutaj ?

— Mniej więcej przed dwiema godzinami — odpowiedział starzec.

— Czy Old Wabble zauważył od razu umówiony znak?

— Nie. Ale gdy rozejrzałem się stojąc nad zakrętem rzeki, pomyślałem sobie, że ten lasek nadaje się dobrze na kryjówkę. Przyjechałem tu i zobaczyłem włócznię. Bardzo dobre wybrałeś miejsce.

— Jesteśmy tutaj zupełnie bezpieczni. Ja przyjechałem już wczoraj, spodziewając się, że i ty się zjawisz. Musiałem czekać na ciebie do dzisiaj, zapas mięsa mi się skończył, dlatego odszedłem, by upolować ptaka.

— Niech się wódz Osedżów na mnie nie gniewa — odpowiedział Old Wabble. — Powiem mu potem,. dlaczego się spóźniłem, a ta wiadomość sprawi mu wielką przyjemność.

— Czy Old Wabble był w farmie Fennera?

— Tak. Przybyliśmy do niej na krótko przed południem. Zwiedzenie trzech innych farm, na które także zamierzacie napaść, zabrało nam więcej czasu, niżeśmy przypuszczali. Mimo to byłbyś czekał na nas tylko do nocy, gdyby nie pewna sprawa, o której ci opowiem, jeśli zgodzisz dopomóc mi w moim przedsięwzięciu.

— Co Old Wabble ma na myśli?

— O tym dowiesz się później. Najpierw chciałbym opisać te cztery farmy, do których się wybieracie.

Przysunąwszy się teraz całkiem blisko, słyszeliśmy każde ich słowo, bo mówili prawie głośno. Potwierdziły się moje przypuszczenia co do roli Old Wabble a jako szpiega Osedżów. W tej chwili chodziło o ograbienie czterech wielkich farm, łącznie z posiadłością Fennera. Była to zwykła historia, powtarzająca się stale. Biali oszukali Osedżów przy dostawach, a ci, żeby to sobie wynagrodzić, zajęli bydło na jednej z farm. Właściciel farmy puścił się ze swoimi ludźmi za nimi w pogoń i zabił kilku wojowników. Zdaniem Osedżów, wymagało to zemsty, toteż na radzie wojennej postanowiono wydać walkę bladym twarzom. Najpierw miano uderzyć na cztery wielkie farmy nad Republican

River. Ponieważ jednak służyła tam pokaźna liczba cowboyów, a czerwonoskórzy bali się tych na pół dzikich i śmiałych ludzi, przeto wysłali szpiegów, by się dowiedzieć, z ilu cowboyami będą mieli do czynienia. Nie mogli tego zadania powierzyć Indianom, a zwłaszcza wojownikom własnego szczepu, i Szako-matto był w wielkim kłopocie, kiedy nagle przypadek sprowadził w te strony Old Wabble a i jego towarzyszy. Widocznie Indianin miał już z nim kiedyś podobne konszachty, bo stary od razu zgodził się na jego propozycję. Stanęła umowa, że Osedżowie zabiorą skalpy, broń i trzody napadniętych, Old Wabble zaś resztę mienia, to znaczy pieniądze lub przedmioty dające się łatwo sprzedać. Zauważyliśmy, że Szako-matto nie nazywał „króla cowboyów" swoim bratem, lecz Old Wabble em; widocznie takie łotry zarówno u Indian, jak i u białych wywołują jednakową odrazę.

Gdy Old Wabble puszczał się na zwiady, Osedżowie nie byli jeszcze przygotowani do wyprawy, a ponieważ zbadanie możliwości obronnych czterech farm było bardzo ważną sprawą, wódz wybrał się sam, aby nad zakrętem rzeki Republican usłyszeć sprawozdanie starego. Dzida miała oznaczać miejsce spotkania.

Old Wabble opowiedział o przebiegu swego poselstwa, a i jego słów wynikało, że farmy można łatwo wziąć, z małymi dla napastników stratami. Rady jego w tym względzie pomijam, gdyż wskutek naszego wmieszania się w całą sprawę zaniechano napadu. Wódz zresztą interesował się głównie tajemniczym przedsięwzięciem, o którym wspomniał Old Wabble na. początku rozmowy.

— Wódz Osedżów — rzekł chytrze stary cowboy — musi mi odpowiedzieć wpierw na kilka pytań, zanim usłyszy, o co chodzi. Czy znasz wodza Apaczów, Winnetou?

— Znam tego psa!

— Nazywasz go psem? Czy występował wrogo przeciwko tobie?

— Niejeden raz! Przed trzema laty wykopaliśmy topór wojenny przeciw Szejenom i w kilku potyczkach zabiliśmy wielu ich wojowników. Wtem zjawił się Winnetou i objął nad nimi komendę u boku ich naczelnika. Jest on bojaźliwszy niż kujot, ale przebieglejszy niż tysiąc bab. Najpierw udał, że chce z nami walczyć, ale nagle cofnął się i zniknął po drugiej stronie Kansasu. Kiedy szukaliśmy tam na próżno jego i zbiegłych Szejenów, pośpieszył czym prędzej do naszych wigwamów i zabrał trzody i inny dobytek. Z naszego własnego obozu uczynił twierdzę, w której zamknął się z częścią naszych wojowników, starcami, kobietami i dziećmi i bronił jej wspólnie z Szejenami. W ten sposób zmusił nas do zawarcia pokoju, który jego nie kosztował ani kropli krwi, a nas okrył niesławą. Niech Wielki Duch sprawi, żeby ten parszywy Pimo wpadł mi kiedy w ręce.

Fortel wojenny, o którym Szako-matto opowiadał, był arcydziełem strategicznym Winnetou. Niestety, nie bytem świadkiem tego zdarzenia, ale znałem wszystkie szczegóły ciekawego manewru, którym wódz nie tylko ocalił od pewnej zagłady zaprzyjaźnionych z Apaczami Szejenów, ale jeszcze, pomimo liczebnej przewagi nieprzyjaciela, poprowadził ich do zwycięstwa bez rozlewu krwi.

— Dlaczego nie zemściliście się na Winnetou? — spytał Old Wabble. — Przecież pojmać go tak łatwo! Rzadko przebywa w wigwamach Apaczów, bo zły duch pędzi go ciągle po preriach i górach. Nie lubi licznego towarzystwa, wystarczyłoby więc rzucić się na niego, żeby go dostać w swoje ręce.

— Mówisz tak, jak gdybyś się nie zastanawiał nad swymi słowami. Właśnie dlatego, że włóczy się nieustannie, trudno go schwytać. Wskazywano nam już nieraz miejsca, w których się miał znajdować, ilekroć jednak przyszliśmy tam, już go nie było. Podobny jest do za-

. paśnika, którego nie można ująć, bo ciało ma wysmarowane tłuszczem. Czasem jest się już pewnym, że się go schwyta, ale wtedy zjawia się przy nim blada- twarz, którą nazywają Old Shatterhand. Ten biały to największy czarownik na świecie”. Jeśli on jest z Apaczem, to i stu Osedżów nie zdoła na nich uderzyć, a tym mniej wziąć do niewoli.

— Ja ci dowiodę, że się mylisz. Czy Old Shatterhanda uważasz także za swego wroga?

— Uff! Jego nienawidzimy jeszcze bardziej aniżeli Winnetou, który jest przynajmniej Indianinem i należy

do wielkiego ludu czerwonoskórych. Old Shatterhand dopomagał Utajom, którzy z nami walczyli, okazał się też najgroźniejszym wrogiem Ogellallajów, naszych przyjaciół i braci. Biada mu, jeśli się dostanie w nasze ręce! Ale do tego nigdy nie dojdzie, bo i on, i Winnetou podobni są do wielkich ptaków, które unoszą się wysoko nad morzem i nie dają się pochwycić.

— Znowu się mylisz. Wiem, gdzie ci dwaj teraz przebywają, i jestem pewien, że bardzo łatwo będzie ich można ująć.

— Uff! Czy to możliwe? Czy ich widziałeś?

— Nawet mówiłem z nimi.

— Gdzie, gdzie? Powiedz prędzej!

Old Wabble odparł po namyśle z udanym spokojem:

— Mogę ci pomóc w pojmaniu Winnetou, Old Shatterhanda i jeszcze trzech bladych twarzy, ale tajemnicę tę wyjawię ci tylko pod pewnym warunkiem. Weźmiemy do niewoli wszystkich pięciu. Wy dostaniecie tamtych białych, a mnie zostawicie Old Shatterhanda i Winnetou.

— Kim są tamte blade twarze?

— Dwaj westmani, Dick Hammerdull i Pitt Holbers, oraz agent policji nazwiskiem Treskow.

— Nie znam ich. Jak możesz wymagać od nas, żebyśmy, pojmawszy wszystkich pięciu, wzięli tych, którzy nam są zupełnie obojętni, a tobie oddali dwu, na których nam właśnie zależy?

— Żądam tego, bo ja przede wszystkim muszę się zemścić na Winnetou i Old Shatterhandzie. Jestem tak spragniony odwetu, że życie bym poświęcił, byleby tylko mój zamiar wykonać. A zresztą to ja ich osaczyłem, przeto mnie należy się pierwszeństwo.

Wódz Osedżów namyślał się przez chwilę, a potem rzekł:

— Gdzie oni są?

— Całkiem blisko, to jasne.

— Uff! Uff! Kto by to przypuszczał? Ale czy ci nie umkną?

— Potrzebuję tylko pewnej liczby twoich wojowników, żeby ich pochwycić.

— Potrzeba ci moich wojowników? Inaczej nie zdołasz ich pojmać?

— Nie.

— To znaczy, że ich jeszcze nie masz w swojej mocy. Chcesz dopiero rękami moich wojowników zapędzić ich w matnię. Dziwię się wobec tego, że stawiasz tak wysokie wymagania i żądasz dla siebie tych właśnie, którzy zasłużyli na naszą zemstę.

— Nie dostaniecie nic, jeśli nie spełnisz mojej woli. — Uff! A co ty byś osiągnął, gdyby ci nie pomogli

wojownicy Osedżów? Nic, zupełnie nic! Za wiele ode mnie wymagasz!

Sprzeczali się przez kilka chwil. Szako-matto był za mądry, aby się dać okpić, Old Wabble zaś widząc, że musiałby wyrzec się zemsty, gdyby nie ograniczył swych

żądań, zdecydował się poprzestać na jednym jeńcu. Oświadczył więc po namyśle Indianinowi:

— Dobrze! Na dowód, że jestem ustępliwy, dodam wam do owych trzech białych jeszcze Winnetou, ale Old Shatterhand musi bezwarunkowo do mnie należeć. Z nim mam o wiele więcej porachunków aniżeli z Winnetou. Jeżeli mi odmówisz, to wolę wszystkich pozostawić w spokoju. To moje ostatnie słowo. Czyń, co uważasz za stosowne!

Indianin zrozumiał w końcu, że lepiej zadowolić się tym, co mu Old Wabble ofiarowuje, niż wyrzec się sposobności wywarcia zemsty na Winnetou, i nie sprzeciwiał się dłużej.

— Niech więc Old Wabble weźmie sobie Old Shatterhanda — rzekł. — Teraz jednak powinienem nareszcie się dowiedzieć, gdzie tych pięciu białych się znajduje i jak możemy ich schwytać.

Stary cowboy opowiedział, że spotkał nas na farmie Fennera, nie wspominając wcale o tym, w jak przykrym położeniu znalazł się przy tej sposobności.

— Teraz już wiesz — zakończył opowiadanie — dlaczego nie mogłem stawić się tu na czas. Musiałem zbadać wszystko, co dotyczyło tych pięciu drabów, i obmyślić środki, które by nam ułatwiły połów. Gdy się zakradłem w nocy pod okno domu Fennera, wywnioskowałem z ich rozmów, że udają się obecnie do Kolorado, dokąd pojechał przed nimi inny biały, również nieubłagany wróg Indian. Mają się z nim spotkać, a potem napadną na gromadę bladych twarzy...

— O jakim białym mówisz? — przerwał staremu wódz Osedżów.

— Nazywają go zwykle Old Surehand.

— Old Surehand? Uff! Tego psa ścigaliśmy raz bezskutecznie przez trzy dni. Zastrzelił nam wtedy dwu wojowników i kilka koni i od tego czasu nie pokazuje się w naszych stronach, widocznie z obawy przed zemstą.

— Znowu się mylisz. Old Surehand był przed kilku dniami na farmie Fennera, a ponieważ podąża do Kolorado, musiał przejeżdżać przez wasz kraj. Z tego wynika, że się was wcale nie boi.

— Zapewne otrzymał od złego ducha dar robienia się niewidzialnym! Ale jeśli tylko nie pójdzie przez wielkie góry, na pewno wpadnie w nasze ręce w drodze powrotnej. Niewątpliwie jechał nocą, gdyż w przeciwnym razie bylibyśmy go widzieli.

— Nawet gdyby tak było, zobaczylibyście jego ślady. Strachu ten hultaj nie zna. Jak mało zresztą ludzie was

się boją, możecie wnosić z tego, że śmiertelni wasi wrogowie, Winnetou i jego przyjaciel Old Shatterhand, przybyli tutaj, choć bez wątpienia wiedzą, że wykopaliście topór wojenny.

— Milcz! Odważyli się na to nie z powodu swej odwagi, lecz dlatego, że Wielki Duch oślepił ich i chce wpędzić tę zdobycz w nasze ręce. Przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, gdzie teraz przebywają i którędy podążą do Kolorado.

— Czy sądzisz, że przyszedłem do ciebie, nie zbadawszy tej sprawy? Urządziłem wszystko tak, że nie potrafią nam umknąć. Nie wiem wprawdzie, jak długo zabawili u Fennera, ale prawdopodobnie już dziś wyruszyli stamtąd, chcąc doścignąć Old Surehanda. To jasne, że pojadą wzdłuż rzeki, a ponieważ muszą przeprawić się na drugi brzeg, przeto obok wszystkich brodów porozstawiam moich towarzyszy. Z tego właśnie powodu sam tu przybyłem. Strażnicy mają przypilnować, kiedy tych pięciu łotrów przeprawi się przez rzekę, pójść za nimi potajemnie i donieść nam, dokąd pojechali. Przyznasz chyba, że sprytnie to obmyśliłem.

— Old Wabble postąpił bardzo rozumnie! — oświadczył czerwonoskóry.

I Winnetou, i ja byliśmy jednak innego zdania. Stary „król cowboyów” pomylił się grubo, przypuszczając, że podążymy wzdłuż rzeki. Pojechaliśmy przecież po cięciwie łuku zakreślonego przez Republican River i wyprzedziliśmy znacznie jego strażników. Mogli teraz czekać u brodów, dopóki im się będzie podobało.

— Wódz Osedżów — mówił dalej Old Wabble — przyzna mi, że uczyniłem wszystko, co było w mojej mocy. Teraz chodzi tylko o to, żeby twoi wojownicy znaleźli się tam, gdzie należy.

— Zaraz po nich wyruszę — rzekł Szako-matto.

— Czy są daleko stąd?

— Mają zgromadzić się nad Wara-tu, Wodą deszczową, na wielkiej drodze bizonów. Miejsce to leży z dala od rzek, którymi lubią podróżować blade twarze, i wszyscy moi wojownicy mogą się tam zejść bez obawy, że jakiś biały ich zobaczy. Blade twarze mogą wiedzieć, że wykopaliśmy topór wojenny, lecz nie domyślą się, gdzie na nich uderzymy.

— Nie wiem, gdzie leży Wara-tu. Jak długo trzeba tam jechać konno?

— Mój koń jest wypoczęty, a w dodatku to najlepszy biegun Osedżów. Mogę tam być na długo przed świtem, a koło południa przyprowadzę ci tylu wojowników, ilu potrzeba do schwytania czterech białych i Apacza. Czy dwudziestu wystarczy?

— O, nie! Zadanie nasze byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby Old Shatterhand nie miał tego przeklętego sztucera, który uważacie za strzelbę czarodziejską. Ja wprawdzie nie wierzę w czary, ale sztucer ten w ręku swego właściciela przedstawia wartość przynajmniej dwudziestu albo trzydziestu strzelb w ręku zwykłych westmanów. Powiem ci, że raz ukradłem Old Shatterhandowi tę broń, lecz nie udało mi się z niej wystrzelić. Daremnie łamałem sobie głowę nad

jej konstrukcją. Nie zdołałem poruszyć żadnej sprężyny ani śruby.

— Uff! uff! Ukradłeś tę strzelbę i nie zatrzymałeś jej?

— Słusznie się temu dziwisz, ale moje położenie było wtedy takie, jakby wszyscy diabli sprzysięgli się przeciwko mnie. Powinienem był połamać i rozbić sztucer, ale „generał” mi przeszkodził. Ten łajdak chciał zachować strzelbę dla siebie i nie pozwolił, żebym...

Urwał w połowie zdania, gdyż przyszło mu na myśl, że lepiej zamilczeć o tej sprawie, która tak źle się dla niego skończyła.

Wódz Osedżów zapytał:

— Old Wabble mówi o jakimś „generale”. Czemu urywa swoją mowę tak prędko?

— Bo to do niczego nie doprowadzi. Są ludzie, których imienia lepiej nie wymawiać. Mam jednak nadzieję, że i on wpadnie jeszcze w moje ręce! Wtedy dostanie dziesięć razy więcej batów aniżeli w Helmers Home, gdzie ten nikczemnik zdradził, że ja... pshaw! Dziś jeszcze tak mnie to gryzie, jak gdyby wczoraj się zdarzyło. Ale po co tracić tyle słów? Musimy jeszcze wiele ważnych rzeczy omówić. Wódz Osedżów zatem gotów jest pojechać po dwudziestu wojowników? To nie wystarczy. Potrzeba przynajmniej pięćdziesięciu; to jasne.

Szako-matto zgodził się bez sprzeciwu.

— Old Wabble wie z pewnością, co mówi — rzekł. — Skoro sądzi, że nie obejdzie się bez pięćdziesięciu wojowników, to niechaj się stanie według jego woli. Pośpieszę zaraz po nich.

— Czy mam zostać tutaj, dopóki nie wrócisz?

— Tak.

— Czy nie byłoby lepiej, gdybym z tobą pojechał?

— Nie. Musisz tu zostać, żeby się połączyć z twoimi ludźmi. Oni nie znają dobrze drogi do tego lasku, trzeba więc rozniecić wielkie ognisko, żeby mogli tu trafić.

— Tego nam uczynić nie wolno, bo Winnetou i Old Shatterhand zobaczyliby ogień, gdyby nadeszli...

Nie dokończył, gdyż w tej samej chwili Winnetou chwycił go obiema rękami za gardło. Szako-matto odszedł już w tym momencie do swego konia, aby go odwiązać od drzewa. Gdy Apacz wziął na siebie Old Wabble a ja pomknąłem za drugim przeciwnikiem, chwyciłem go lewą ręką za kark, a prawą uderzyłem tak, że skurczył się i runął na ziemię. Zaniosłem go na miejsce, gdzie siedział poprzednio, a Winnetou uporał się tymczasem z Old Wabble em. W ciągu paru minut obydwaj byli skrępowani i Apacz gwizdnął trzykrotnie, dając umówiony znak towarzyszom.

Wkrótce nadeszli wszyscy z naszymi końmi i strzelbami. Jeńców, którzy nie odzyskali jeszcze przytomności, położono na grzbietach końskich i przywiązano jak wory. Następnie wyszliśmy pośpiesznie z lasku, aby nie spotkać się z towarzyszami Old Wabble a, którzy mogli przybyć tu lada chwila.

Pojechaliśmy najpierw w górę potoku, a potem prosto przez prerię. Po pewnym czasie zatrzymaliśmy się w napotkanych gęstych zaroślach. W wilgotnym gruncie bizony wygniotły dość głęboką kotlinę i na dnie tego zagłębienia mogliśmy rozniecić małe ognisko, którego blask nie padał na prerię.

Odwiązaliśmy od koni obu jeńców i położyliśmy ich na ziemi. Odzyskali już przytomność, ale w drodze milczeli uporczywie. Gdy teraz ujrzeli nasze twarze, wódz nie odezwał się ani słowem, ale Old Wabble zakrzyknął w najwyższym przerażeniu, szarpiąc więzy:

— Do krocset piorunów! Znowu ci nabożnisie, którzy tym razem nie jedną, lecz dwie owieczki chcą sprowadzić do

owczarni! Skąd wam przyszło do głowy chwytać mnie znowu?!

Winnetou był za dumny na to, żeby odpowiadać, a ja poszedłem za jego przykładem. Ale Dick Hammerdull, wiedząc, co staruch przeciw nam knował, rozsierdził się na dobre i odpowiedział:

— Nie nazywajcie siebie owieczką! Jesteście gorszym drapieżcą od najgorszego wilka, który zabija tylko dlatego, że musi żyć! Jeśli wam się zdaje, że zmienicie swoje położenie zuchwalstwem, to się grubo mylicie. Dowiodę wam tego zaraz, jeśli powiecie jeszcze jedno słowo, które mi się nie będzie podobało.

— Naprawdę? To pozwólcie mi przynajmniej zapytać, jakim prawem wzięliście nas do niewoli?!

— Nie pytajcie tak głupio! Old Shatterhand i Winnetou leżeli ukryci w lasku i słyszeli każde wasze słowo. Wiemy dokładnie, jakie mieliście względem nas zamiary. Istnieją dostateczne powody, żebyśmy się starali unieszkodliwić was!

Ta groźba podziałała na bezczelnego starca. Skorośmy wiedzieli, że zamierzają nas pojmać, a potem zabić, to rzeczywiście należało się obawiać naszej zemsty!

Przebaczyłem mu wprawdzie zamach na mnie, może i obecnie byłbym się okazał pobłażliwy, gdyby tylko

o mnie chodziło, ale przecież dzisiejsze knowania zwracały się przeciwko nam wszystkim!

Zaraz po wyjeździe z lasku przyszła mi na myśl farma Fennera i inne, na które planowano napad. Właściciele ich nic nie przeczuwali. Wprawdzie dzięki ujęciu wodza Osedżów wykonanie zbójeckiego przedsięwzięcia musiało ulec zwłoce, ale w tej chwili nie byliśmy jeszcze panami sytuacji i jakieś drobne, nieprzewidziane zdarzenie - mogło wydrzeć nam zdobytą chwilowo przewagę. Napad na farmy został odwleczony, ale nie zaniechany. Należało przeto

zawiadomić przynajmniej Fennera, który ostrzeżenie mógł posłać dalej. Ale komu poruczyć to poselstwo? W każdym razie nie Treskowowi. Hammerdull

i Holbers, choć byli westmanami, również nie nadawali się do tak ważnej misji. Chodziło bowiem nie tylko o to, żeby dojechać na miejsce, lecz i o to, by cało powrócić, co było połączone z wielkim ryzykiem. Wreszcie Winnetou rozstrzygnął sprawę, przy czym okazało się, że jak zwykle rozumieliśmy się cudownie, nie zamieniwszy ani jednego słowa.

Wódz Apaczów dłuższą chwilę przypatrywał się okiem znawcy koniowi Szako-matty, jakby odważał go i oceniał w myśli. Naraz wstał, podszedł do gniadosza, sięgnął do torby przy siodle, wyrzucił całą jej zawartość na ziemię, a na to miejsce włożył kilka kawałków suszonego mięsa. Następnie zarzucił na ramię swoją srebrzystą rusznicę i zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Co mój brat powie o ogierze Osedża?

— Płuca ma zdrowe — odrzekłem — ścięgna wytrzymałe, a nogi jak u antylopy. Niechaj koń mego czerwonego brata zbierze siły na drogę do Kolorado, ja sam się nim zaopiekuję. Winnetou tymczasem dosiądzie tego gniadosza, a on go szybko zaniesie tam i z powrotem.

— Uff! Mój brat Shatterhand wie, dokąd chcę pojechać?

— Tak. My zostaniemy tutaj i zaczekamy. Powrócisz jutro, nim słońce zajdzie.

— Howgh! Żegnam moich braci!

Zaledwie Winnetou odwrócił się od nas, towarzysze zapytali mnie o powód jego nocnej jazdy. Wyjaśniłem im po cichu, tak aby jeńcy nic nie usłyszeli, że postanowiliśmy ostrzec właścicieli zagrożonych farm.

Po skromnej wieczerzy rozdzieliłem czas warty w ten sposób, że mogłem spać do północy. Godziny między

północą a świtem są porą krytyczną na preriach, chciałem więc wtedy czuwać osobiście nad bezpieczeństwem obozu.

Zaleciwszy towarzyszom, by jak najbaczniejszą uwagę zwracali na jeńców, położyłem się i zasnąłem natychmiast. Spałem spokojnie i głęboko, dopóki nie zbudził mnie Dick Hammerdull, który pełnił straż jako trzeci. Zastałem wszystko w porządku i wyszedłem z kotliny, aby przejść się wokół zarośli. Po drodze rozmyślałem nad tym, co począć z jeńcami.

Na życie ich nie godziłem, chociaż zgodnie ze zwyczajami panującymi na sawannach mieliśmy prawo unieszkodliwić tych łotrów.

Ale jaką karę należało im wymierzyć? Zastanawiałem się nad tym, czy nie byłoby dobrze zabrać ich z sobą do Kolorado, aby zniweczyć ich plany napadu na farmy. Podróż z dwoma skrępowanymi ludźmi byłaby jednak bardzo uciążliwa i powolna, postanowiłem więc wstrzymad się na razie z wszelkimi projektami na przyszłość; dopóki nie zasięgnę rady Winnetou.

Obecne obozowisko Osedżów znałem dokładnie, gdyż byłem tam dawniej kilka razy. Stada bizonów, ciągnące w jesieni na południe, a z wiosną znowu na północ, wędrują zwykle tymi samymi drogami, wydeptanymi głęboko i widocznymi przez cały rok. Na takim właśnie szlaku leżało Wara-tu, czyli Woda Deszczowa. Było to miejsce podobne do tego, na którym znajdowaliśmy się obecnie, otaczało je tylko więcej krzaków, a kotlina była tak głęboka, że woda deszczowa mogła przetrwać w niej przez cały rok, nie wyparowując nawet w czasie letnich upałów. Miejsce, gdzie obozowaliśmy w tej chwili, leżało na drodze z lasku do Wara-tu. Winnetou chciał widocznie, prowadząc nas w tym kierunku, przypatrzyć się choć z daleka Wodzie Deszczowej.

Noc minęła, zaczęło świtać, wreszcie nastał jasny poranek, a ja ciągle nie budziłem towarzyszy, chcąc, aby

należycie wypoczęli. Gdy wreszcie sami wstali, zjedliśmy śniadanie i cały dzień zszedł nam znowu na odpoczynku i wyczekiwaniu. Przed wieczorem, jak się tego spodziewałem, wrócił Winnetou. Był w drodze prawie dwadzieścia godzin, nie spał ani chwili, ale mimo to wyglądał świeżo i dziarsko, podobnie jak i koń, na którym odbył podróż. Z zadowoleniem i dumą patrzył na gniadosza jego właściciel, wódz Osedżów, nie wiedząc, że postanowiłem tę dumę zamienić wkrótce we wściekłość. Wedle praw panujących na sawannach jeniec należy wraz ze wszystkim., co ma przy sobie, do zwycięzcy. Potrzebowaliśmy dobrych koni, a tylko ja i Winnetou mieliśmy naprawdę znakomite wierzchowce. Klacz Hammerdulla, brzydka wprawdzie, była także silna i wytrwała i traper nie byłby się z nią rozstał pod żadnym warunkiem. Ale wierzchowiec Treskowa już w tej krótkiej podróży okazał się niezbyt pewny i to samo było z koniem Pitta Holbersa. Dotychczas nie mieliśmy wprawdzie powodu do narzekań, ale gdyby kiedy zaszedł wypadek, że osiągnięcie ważnego celu lub nawet ocalenie życia zależałoby od szybkości naszych koni, te dwie szkapy mogły nas narazić na wielkie niebezpieczeństwo. Szako--matto nie miał już wobec tego odzyskać swego konia. To była rzecz postanowiona, a równocześnie kara,, na którą w każdym razie zasłużył. Winnetou zeskoczył z siodła, skinął nam głową na powitanie i usiadł obok mnie. Zamieniwszy ze sobą spojrzenia, wiedzieliśmy już, jak rzeczy stoją. Najwidoczniej zawiózł szczęśliwie ostrzeżenie do farmy Fennera. Treskow, Hammerdull i Holbers patrzyli na Apacza z ciekawością i dziwili się, że nie zdawał sprawy ze swego poselstwa. Nie śmieli jednak naprzykrzać mu się pytaniami.

Pozostała jeszcze pewna ważna sprawa, o której musieliśmy pomówić. Znając dobrze Winnetou, nie wątpiłem, że przerwie zaraz milczenie. Oto trzeba było się dowiedzieć, co robią Osedżowie nad Wodą Deszczową. Chcąc ich podejść, nie mogliśmy wlec z sobą jeńców.

Osedżów było znacznie więcej niż nas, a najmniejsza nieostrożność mogła się dla nas źle skończyć.

Winnetou widocznie myślał także o tym, bo po chwili milczenia odezwał się:

— Mój brat dobrze wypoczął. Czy gotów jest pojechać do Wara-tu?

Odpowiedziałem twierdząco na jego pytanie.

— Zabierzemy jeńców aż na granicę Kolorado, ale musimy zbadać, co zamierzają robić Osedżowie. Mój brat potrafi się o tym dowiedzieć.

— Czy Winnetou pojedzie stąd prosto do Kolorado?

— Tak.

— Kiedy?

— Skoro tylko napasie się koń Osedża.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby Winnetou zaczekał do jutra rana i wypoczął przez tę noc? Nie wiadomo, co nam przyniosą następne dni.

— Wódz Apaczów zażywa snu tylko wtedy, gdy ma na to czas. Mój brat Shatterhand ma także żelazne ciało, wie zatem, że nie jestem znużony.

— Czyń, co uważasz za stosowne. Gdzie się spotkamy?

— Czy mój brat zna ową miejscowość, którą Indianie z Dakoty nazywają Kipe-taki, Stara Kobieta?

— Znam. Nazywają ją tak, bo zarysy lasu wyglądają z daleka jak postać siedzącej na ziemi starej baby. Czy tam chcesz na mnie zaczekać?

— Tak. Ponieważ będziesz musiał okrążać i stracisz nieco czasu, żeby się przypatrzyć Osedżom, przybędziemy tam prędzej niż ty i Hammerdull.

— Hammerdull? Czy on mi będzie towarzyszył?

— Tak.

— Czy mój brat sądzi, że sam nie podołam zadaniu?

— Old Shatterhand nie bałby się Osedżów, gdyby nawet byli dziesięć razy liczniejsi, ale może potrzebować pomocnika, choćby, dla pilnowania konia. Mój brat z pewnością przyzna mi słuszność.

— Przyznaję, chociaż wiem, że raczej twoja miłość aniżeli obawa o skuteczność wyprawy dodaje mi towarzysza.

Zrozumiał, że go przejrzałem, bo uśmiechnął się nieznacznie. Potem zwrócił się do wodza Osedżów, z którym nie zamienił dotąd ani słowa:

— Szako-matto odpowie teraz na moje pytanie. Czy to prawda, że zamierzaliście napaść na cztery farmy bladych twarzy?

Indianin milczał. Winnetou powtórzył pytanie, a gdy znowu nie otrzymał odpowiedzi, rzekł:

— Wódz Osedżów do tego stopnia boi się wodza Apaczów, że słowa więzną mu w gardle.

Wyzwanie to nie chybiło celu, bo Szako-matto wybuchnął gniewnie:

— Ja, najwyższy wódz Osedżów, zabiłem tą ręką siedem szarych niedźwiedzi. Imię moje powiada to wyraźnie każdemu. Jak mógłbym wobec tego bać się kujota należącego do narodu Pimów?

Nazwa „Pimo” była ciężką obelgą dla Winnetou. Lecz nie stracił spokoju i mówił dalej:

— Szako-matto nie chce się przyznać, że miał napaść na farmy?

— Nie przyznaję się, bo to nieprawda.

— My jednak wiemy, co zamierzaliście uczynić. Leżeliśmy w lasku niedaleko naznaczonego włócznią drzewa, zanim ty przyszedłeś z zastrzelonym ptakiem, a potem słyszeliśmy wszystko, co mówiłeś z bladą twarzą,

zwaną Old Wabble em. Twoja włócznia została na drzewie i tym, którzy ją zobaczą, będzie mówiła, jak głupim może być czasem wódz. Winnetou nie słyszał jeszcze, żeby ktoś, chcąc się ukryć, zaopatrywał swoją kryjówkę w widomy znak. Możesz się już nie przyznawać, że zamierzałeś napaść na farmy, ponieważ napad nie nastąpi. Ja ostrzegłem blade twarze. Teraz batami rozpędzono by Osedżów, gdyby nadeszli. Wiedzą także biali, że Old Wabble był twoim szpiegiem. Jeśli się tam raz jeszcze pokaże, nie dostanie kulą w łeb, lecz założą mu stryczek na szyję jako szpiegowi.

Szako-matto milczał, chociaż szarpała nim wściekłość. Old Wabble natomiast zawołał:

— Ja szpiegiem? To kłamstwo! Jeśli Winnetou mnie nazwał szpiegiem, to sam jest największym łotrem na ziemi!

Winnetou nic nie odpowiedział, ale ja, który kochałem i szanowałem szlachetnego Apacza, nie mogłem puścić płazem tej bezczelności.

— Holbers — rzekłem — ściągnij mu więzy w przegubach i nie rozluźniaj ich, dopóki nie poprosi o łaskę.

Holbers zabierał się już do wykonania mego rozkazu, ale Winnetou powstrzymał go mówiąc:

— Nie czyń tego! On nie mógł mnie obrazić. Dni jego są policzone i nie należy go dręczyć!

— No! — roześmiał się staruch szyderczo. — Teraz nawet czerwonoskóry zaczyna prawić kazanie! Ale ja kpię sobie z tego!

Odwróciłem się od starca i podszedłem do Hammerdulla, aby go zawiadomić w tajemnicy przed jeńcami, że ma ze mną pojechać do Wara-tu. Wierny towarzysz bardzo się tym ucieszył; uważał naszą decyzję za wielki dowód zaufania.

Gdy opuszczaliśmy obóz, słońce chyliło się już nisko nad widnokręgiem. Noc się zbliżała, ale prawdziwy westman nie

boi się ciemności. Nawet gdy księżyc nie świeci, niezawodnym drogowskazem są dla niego gwiazdy, te światła niebieskie, które prowadzą człowieka po bezdrożach.

Słońce zapadło za widnokręgiem, zorza wieczorna zgasła, nastąpiła głęboka ciemność wieczoru, czarniejsza od nocy samej, bo ani jedna gwiazda nie świeciła na zachmurzonym niebie. Lecz my pędziliśmy mimo to cwałem po równej jak stół prerii. Wzrok nasz, bystry i wprawny, pozwalał nam się orientować w drodze, ale jeszcze lepiej chronił nas przed niebezpieczeństwem instynkt naszych koni. W jednym miejscu mój kary zatoczył łuk, chociaż nie zauważyłem na drodze nic szczególnego. Może ominął kolonię psów preriowych, które żyją w licznych stadach i tak drążą jamami ziemię, że jeździec musi okrążać te miejsca, jeśli nie chce, by jego koń połamał nogi. Wreszcie stukot kopyt stał się głośniejszy — to był znak, że nie jechaliśmy już po gęstej trawie, lecz znaleźliśmy się na suchych, nieurodzajnych terenach rozciągających się w zachodniej części stanu Kansas.

Nie było tu ani drzew, ani krzewów, które by nam mogły służyć za drogowskaz. Zresztą, otaczały nas zupełne ciemności. W takim położeniu człowiek zdaje się na ów zmysł wrodzony tylko mieszkańcom dzikich okolic, który można by nazwać „zmysłem orientacyjnym”.

Dick Hammerdull powierzył się zupełnie memu przewodnictwu. Pytał kilka razy, czy znam właściwą drogę, a ja odpowiadałem, że w tych bezludnych stronach nie ma wcale dróg, nie może być zatem mowy b właściwych czy fałszywych. Grubas skarżył się na Uciążliwość podróży, co mnie bardzo bawiło.

— Nie gońcie tak, Mr Shatterhand! — mówił. — Mam wrażenie, że jadę kominem, długim na całe mile. Mój kark także coś wart, a jeśli runę z konia i złamię go sobie, to skąd wezmę drugi? Czy trzeba się aż tak spieszyć, sir?

— Oczywiście. Na długo przed brzaskiem musimy dojechać do Wara-tu. Ta miejscowość leży na otwartej równinie, przeto za dnia zobaczyliby nas Osedżowie.

— Czy zobaczyliby, czy nie, to wszystko jedno, ale wobec tego musimy się rzeczywiście spieszyć. Czy nie sądzisz, Holbers...

Parsknąłem śmiechem, a Dick urwał i również zaczął się śmiać. Tak się przyzwyczaił pytać zawsze Pitta o radę, że i teraz chciał to uczynić, mimo że przyjaciela nie było u jego boku.

Po pewnym czasie zabłysła jedna gwiazda, potem druga, a w końcu rozpięło się nad nami przepiękne, wyiskrzone niebo. Jechało się teraz o wiele lepiej, mimo że teren zaczął się drobno marszczyć. Liczne zagłębienia, ciągnące się nieregularnie, musieliśmy albo przecinać na poprzek, albo okrążać, co oczywiście męczyło konie. Mój wierzchowiec trzymał się jednak dzielnie, a klacz Hammerdulla biegła tak wytrwale, jakby była cieniem mego ogiera. Od czasu do czasu puszczaliśmy konie wolniej, ale na ogół jechaliśmy tak szybko, że wierzchowce Treskowa i Holbersa przy takim tempie na pewno zostałyby w tyle.

Tak minęła północ. Gwiazdy wkrótce zniknęły, gdyż niebo pokryło się znowu chmurami, które coraz bardziej gęstniały. Zbierało się na burzę.

— Tego jeszcze brakowało! — złościł się Hammerdull. — Znowu robi się czarno, czarniej niż przedtem!

— Nie narzekajcie na zmianę pogody! Przecież jest nam ona bardzo na rękę: w ciemności o wiele łatwiej będzie podejść Osedżów. Za pół godziny będziemy na miejscu, od Wara-tu dzielą nas zaledwie dwie mile angielskie. Nie bójcie się, kochany Dicku! Znam dokładnie te strony.

Niebawem miało się pokazać, czy nie zanadto sobie ufałem. Droga powinna przecinać dalej podłużną, szeroką kotlinę: gdybym ją ominął, byłoby oczywiste, że

zabłądziłem. Już mnie opadały wątpliwości, kiedy grunt zaczął się gwałtownie obniżać. Zeskoczyliśmy więc z siodeł i sprowadziliśmy konie po zboczu. Na dole wsiedliśmy na nie znowu i przejechawszy w poprzek kotlinę, wydostaliśmy, się na zbocze przeciwległe. Teraz ściągnęliśmy koniom cugle — należało zachować największą ostrożność. Jechaliśmy tak zaledwie minutę, kiedy przed nami błyskawica mignęła na widnokręgu i oświetliła zarośla, oddalone od nas może o pięćdziesiąt kroków.

— Jesteśmy u celu — rzekłem zsiadając z konia. — Nasze wierzchowce położą się, a wy zostaniecie przy nich. Macie tu moje strzelby.

Dałem znak memu karoszowi, żeby się położył. Ogier usłuchał, a klacz Hammerdulla poszła za jego przykładem.

Ruszyłem ostrożnie ku zaroślom, za którymi kryło się Wara-tu. Wgłębienie miało kształt misy o średnicy pięćdziesięciu może metrów; napełnione było wodą i otoczone gęsto rosnącymi krzakami. Między wodą a zaroślami ciągnął się dość szeroki, wolny od roślinności pierścień, pokryty odciskami utworzonymi przez tarzające się bizony, które lubią okrywać się powłoką mułu, stanowiącą dla nich ochronę przed owadami.

Z łatwością dostałem się do zarośli i zaraz poczułem zapach koni, a równocześnie usłyszałem po lewej ręce ich tupot. Zawróciłem w tym kierunku, gdyż zawsze należy zająć się także końmi nieprzyjaciół. Wierzchowce były spętane z wyjątkiem jednego, przywiązanego do dwu wbitych w ziemię palików. Za krzakami płonęło ognisko, którego blask padał poprzez zarośla na konia. To mi wystarczyło, żeby poznać, jakiego rodzaju zwierzę mam przed sobą. Był to rasowy, bardzo ciemny deresz, podobny do tych, jakie widywałem u Komanczów Naini; wspaniała jego grzywa spleciona była w coraz mniejsze warkoczyki, co również przypomniało mi zwyczaje Nai~ nich. Skąd wziął się u Osedżów ten sposób zdobienia grzywy? Ale to było na

razie sprawą uboczną. Ważniejsza była dla mnie okoliczność, że przy koniach nie było straży. Widocznie Indianie czuli się tu zupełnie bezpieczni! Cofnąłem się o kilka kroków, żeby wyjść z zasięgu światła ogniska, położyłem się na ziemi i wpełzłem w zarośla.

Zdarza się czasem, że spełnienie zadania z pozoru nadzwyczaj trudnego ułatwia w wysokim stopniu zbieg pomyślnych okoliczności. Tak stało się dzisiaj nad Wara-tu. Ledwie wcisnąłem się w zarośla, ujrzałem wyraźnie przed sobą cały obóz. Osedżowie, w liczbie około dwustu, siedzieli oświetleni przez cztery wielkie ogniska na pierścieniu otaczającym wodę i przypatrywali się z zajęciem sześciu wojownikom, którzy wykonywali właśnie „taniec bizonów". Rzuciwszy okiem dokoła, zatrzymałem wzrok na jednym z niewielu rosnących tutaj drzew; przywiązany był do niego Indianin z nieubarwioną twarzą, na którą padał jaskrawy blask ognia. Zadrżałem. Znałem przecież dobrze i lubiłem tego człowieka! Teraz wyjaśniła się obecność konia z grzywą splecioną w warkoczyki; deresz był własnością jeńca. Ta wysoka, barczysta postać, te szlachetne, jakby wyrzeźbione, dumne rysy, pewne siebie i spokojne oczy należały do człowieka, którego dawno nie widziałem, ale o którym myślałem często. To był Apanaczka, miody wódz Komanczów Naini.

Co sprowadziło go do Kansas? W jaki sposób dostał się w ręce Osedżów? Wiedziałem dobrze, jak nieubłagana nienawiść panowała między tymi szczepami: jeniec musiałby zginąć, gdybym go nie ocalił. Na szczęście ratunek nie był rzeczą trudną. Nikt teraz na Apanaczkę nie zważał, oczy wszystkich zwrócone były na tancerzy. Za drzewem, do którego Komancz był przywiązany, rosły dwa krzaki, wymarzona osłona, gdybym zechciał zbliżyć się do niego od tyłu.

Wczołgałem się w zarośla, wstałem i pośpieszyłem do Hammerdulla. — Co się stało? — zapytał. — Odjeżdżamy?

— Nie. Osedżowie mają jeńca, którego muszę uwolnić.

— Na Boga! Kogo, Mr Shatterhand?

— O tym dowiecie się później. Chodźcie teraz! Wziąłem za cugle karosza, który zerwał się na dany

znak i pociągnąłem go za sobą. Hammerdull mimo swej tuszy szybko wskoczył na siodło i ruszył za mną. Nie zaprowadziłem go tam, gdzie byłem poprzednio, lecz na przeciwległą stronę zarośli, położoną za plecami Apanaczki.

— Zaczekajcie tu na mnie! Przyprowadzę jeszcze jednego konia.

Musiałem się spieszyć, gdyż pojmanego należało oswobodzić przed zakończeniem „tańca bizonów”, który skupiał teraz uwagę Osedżów. Pobiegłem na drugą stronę i odwiązałem deresza od palików. Koń opierał się i parskał głośno, ale na szczęście wiedziałem, jak sobie z nim poradzić.

— Eta, kawah, eta, eta! — przemówiłem do niego pieszczotliwie, gładząc go po szyi.

Usłyszawszy znajome słowa, deresz natychmiast zaniechał oporu i poszedł za mną. Gdy przybyłem z nim do Hammerdulla, niebo przecięła silna błyskawica i huknęły pierwsze grzmoty. Należało jeszcze bardziej się śpieszyć, bo taniec mógł się prędzej skończyć z powodu burzy.

— Potrzymajcie tego konia. Dosiądzie go uwolniony jeniec — powiedziałem do Dicka. — Gdy wrócę, dacie mi moje strzelby.

— Well! Sprowadźcie go, ale sami nie wpadnijcie w jakieś tarapaty — odpowiedział grubas.

Znowu błysnęło i zahuczały grzmoty. Wszedłem w zarośla, rzuciłem się na ziemię i poczołgałem po trawie. Wojownicy tańczyli jeszcze, a ich towarzysze przyśpiewywali im, wykrzykując co chwila i klaszcząc w ręce. Nie mogli wobec tego słyszeć szelestu gałęzi, toteż posuwałem się

szybko naprzód i przybyłem do pojmanego o wiele prędzej, aniżeli się spodziewałem. Nikt na niego nie patrzył, a i jego oczy zwrócone były również, jak mi się zdawało, na tancerzy. Dotknąłem jego stopy, a on drgnął lekko.

— Uważaj! — rzekłem tak cicho, żeby tylko on mógł mnie usłyszeć.

Jeniec skinął głową na znak, że poczuł moje dotkniecle i zrozumiał moje słowa. Wydobywszy nóż przeciąłem z łatwością rzemienie na jego nogach i rękach, ale, aby dosięgnąć rzemienia krępującego mu szyję, musiałem się podnieść, a to nie było zbyt bezpieczne. W pomoc przyszedł mi przypadek. Jeden z tańczących zbliżył się zanadto do brzegu, miękki grunt usunął mu się pod nogami i wojownik wpadł do wody. Rozległ się gromki śmiech i oczy wszystkich zwróciły się na ociekającego wodą „bizona”. Skorzystałem z tego natychmiast, zerwałem się na równe nogi, pociągnąłem nożem po rzemieniu i położyłem się równie prędko na ziemi.

— Chodź ze mną! — powiedziałem do Apanaczki i cofnąłem się o kilka kroków w zarośla.

Mając go ciągle na oku, widziałem, jak stał jeszcze przez chwilę, potem przykucnął nagle i pomknął za mną w krzaki. Chwyciłem uwolnionego za rękę i pociągnąłem za sobą. Biegliśmy pochyleni, gdy nagle błyskawica oświetliła zarośla, huknął ogłuszająco piorun i potoki deszczu lunęły z nieba na ziemię. Taniec skończył się niewątpliwie i Osedżowie musieli spostrzec ucieczkę Ko-

mancza. Nie kryjąc się już, popędziliśmy co tchu do Hammerdulla. Za nami zawyło sto głosów, gdy Dick podawał mi moje strzelby, a Komancz wskakiwał na swego deresza, nie dziwiąc się wcale, że go tu zastał. Hammerdull i ja dosiedliśmy również koni i ruszyliśmy tam, gdzie miałem się spotkać z Winnetou, to jest do Kipetaki. Z Wara-tu trzeba było tam jechać cztery godziny. Gdy obliczyłem odległość i

wziąłem pod uwagę, że Winnetou nie potrzebował zbyt prędko opuszczać naszego obozu, wydało mi się prawdopodobne, że jeszcze przed nim dotrzemy do lasu Starej Kobiety. Apacz niewątpliwie przypuszczał, że stracimy dużo czasu, zanim podejdziemy Osedżów, tymczasem wszystko poszło tak szybko! Mieliśmy wybadać, jakie są ich zamiary, ale teraz nie było to potrzebne. Porwaliśmy im przecież jeńca, który mógł nam udzielić wszelkich informacji. Uratowaliśmy przy tym właśnie Apanaczkę, którego tak polubiłem w czasie wyprawy na Liano Estacado.

Apanaczka nie widział dotąd mojej twarzy, nie miał więc pojęcia, kto był jego wybawcą. Jechałem z Hammerdullem naprzód, a on za nami, przy czym w strugach lejącego ciągle deszczu mógł widzieć tylko zarysy naszych postaci.

Osedżowie zapewne dosiedli czym prędzej koni i rozbiegli się po okolicy Wara-tu, ale na szczęście żaden nie zbliżył się. do nas, choć jechaliśmy niezbyt szybko. Wobec gwałtownej ulewy nietrudno było zabłądzić, ponadto panowała ciemność wprost nieprzebyta, a błyskawice, choć częste i oślepiające, nie pomagały w orientacji, raczej ją utrudniały, gdyż nagłe przejście od głębokiej ciemności do jaskrawego światła drażni oko, które nie chwyta przedmiotów w ich rzeczywistym kształcie. Deszcz lał przez dwie godziny, a gdy wreszcie ustał, ciemności panowały dalej, gdyż grube chmury zalegały ciągle niebo. Naraz, pomimo odgłosu kroków naszych koni, wydało mi się, że usłyszałem tętent. Zatrzymałem się sam i po cichu poleciłem grubasowi i Apanaczce, żeby przystanęli. Miałem słuszność: zbliżał się jeździec, choć nie jechał wprost na nas. Byłem skłonny przypuszczać, że to jeden z Osedżów. Gdyby mój domysł okazał się prawdziwy, mógł ten jeździec odegrać rolę posła i donieść swoim towarzyszom, że pochwyciliśmy Szakomattę. Zależało nam bardzo, aby ich o tym zawiadomić, dlatego postanowiłem pochwycić zbliżającego się zwiadowcę.

— Zostańcie tu i potrzymajcie mego konia i strzelby! — szepnąłem do towarzyszy zeskakując z siodła i oddając karego Apanaczce, a strzelby Hammerdullowi.

Następnie pobiegłem w lewo, gdzie spodziewałem się natknąć na jeźdźca. Gdy nadjechał puściłem go tak daleko, jak to mi było potrzebne do rozbiegu, po czym rozpędziwszy się wskoczyłem z tyłu na jego konia. Indianin, nie spodziewając się napaści, tak się przeraził poczuwszy mnie za sobą, że nie usiłował wcale się bronić. Ścisnąłem go za gardło tak silnie, iż puścił cugle, a ręce opadły mu bezwładnie. Niestety koń jego nie zachował się równie biernie. Gdy zauważył, że niesie podwójny ciężar, stanął dęba, a potem zaczął podskakiwać i rzucać się na wszystkie strony.

Nie było to drobnostką, bo musiałem trzymać jeźdźca i jednocześnie pochwycić cugle. Za dnia byłoby mi to poszło łatwiej, ale w tej ciemności nie mogłem dojrzeć cugli i starałem się tylko o to, żeby nie dać się zrzucić na ziemię. Wtem wynurzyła się obok mnie postać, która sięgnęła koniowi ręką do pyska.

— Kto to? — spytałem.

— To ja, Apanaczka — zabrzmiała odpowiedź. — Mech Old Shatterhand strąci Osedża!

Wódz Komanczów poznał po tupocie kopyt, w jakim znajduję się położeniu, zeskoczył z konia i rzuciwszy Hammerdullowi cugle karego, pospieszył mi z pomocą. Pochwycił rozhukanego wierzchowca za uzdę i zmusił do spokoju, a ja zrzuciłem pojmanego na ziemię i zeskoczyłem sam, bo jego omdlenie mogło być tylko podstępem. Lecz wojownik i teraz nie stawiał oporu.

— A więc Apanaczka mnie poznał? — zapytałem Komancza.

— Gdy poleciłeś mi przytrzymać twego konia, wydało mi się, że to Hatatitla — odpowiedział — a potem zauważyłem,

że dałeś swemu towarzyszowi dwie strzelby. Mimo to miałem jeszcze pewne wątpliwości i dopiero gdy cię zobaczyłem na koniu Osedża poznałem, kim jesteś. Na taki skok, zwłaszcza w nocy, odważyłby się tylko Winnetou albo Old Shatterhand. Co uczynimy teraz z jeńcem?

— Przypuszczam, że to zwiadowca Osedżów, którego musimy zabrać z sobą.

Przywołaliśmy Hammerdulla. Indianin zaczął się poruszać, spróbował nawet oporu, lecz nic nie wskórał. Przywiązaliśmy go do konia i pojechaliśmy dalej. Ko-

mancz przysunął się do mnie, ujął mnie za rękę i rzekł serdecznie:

— Apanaezka dziękuje Wielkiemu Manitou, że pozwolił mu zobaczyć znowu najlepszego ze wszystkich białych myśliwców. Old Shatterhand ocalił mnie od pewnej śmierci!

— Od czasu kiedy musiałem rozstać się z walecznym wodzem Nainich, tęskniła za nim dusza moja — odpowiedziałem. — Wielki Duch kocha swoje dzieci i spełnia ich życzenia nawet wtedy, kiedy się tego nie spodziewają!

Nic więcej nie mówiliśmy do siebie. Jechaliśmy w milczeniu, dopóki noc nie ustąpiła przed szarością świtu. W jego niepewnym świetle przekonałem się, że nie zmyliłem kierunku. Ucieszyłem się tym, bo chciałem przed Winnetou stanąć u celu podróży.

Słońce wschodziło właśnie za nami, gdyśmy ujrzeli przed sobą las otaczający kotlinę. Dla ostrożności kazałem się towarzyszom zatrzymać, a sam obszedłem dokoła Kipe-taki. Nie było tu ani śladu ludzkiej istoty, sprowadziliśmy więc konie na dno kotliny, gdzie przywiązaliśmy jeńca do drzewa. Okazało się, że miał znakomitego wierzchowca. Barwne pasy na jego twarzy świadczyły, że należy do szczepu Osedżów.

Teraz mogłem zapytać Apanaczkę, co przeżył od chwili naszego rozstania, wolałem jednak zaczekać, dopóki sam

nie zacznie o tym mówić, gdyż nie chciałem naprzykrzać się temu niezwykłemu wojownikowi. Ale Dick Hammerdull był mniej delikatny; zaledwie usiadł, zwrócił się do Indianina z zapytaniem:

— Słyszę, że mój czerwony brat jest wodzem Komanczów. Jak się to stało, że wpadł w ręce Osedżów?

Apanaczka rzucił na jeńca wzgardliwe spojrzenie i rzekł:

— Synowie Osedżów to nie są wojownicy. Boją się broni walecznych mężów i napadają tylko na bezbronnych. -

— Czy mój brat nie miał z sobą broni?

. — Miałem tylko nóż, bo wszelką inną broń musiałem zostawić w domu.

— Aha! Wódz Nainich był w drodze po świętą glinę do fajek? — spytałem.

— Słusznie mój brat się domyśla. Apanaczkę wysłała rada starszych na północ, żeby poszukał świętych kamieniołomów. Mój brat Old Shatterhand, wie, że żaden wojownik, wysłany przez swój szczep w tę podróż, nie bierze z sobą innej broni prócz noża. Nie potrzebuje ani łuku, ani strzał, ani tomahawka, gdyż mięsa mu jeść nie wolno, a bronić się przed nieprzyjacielem nie potrzebuje, bo chroni go odwieczne prawo. Apanaczka nie słyszał jeszcze, żeby to prawo, obowiązujące wszystkie szczapy, kiedykolwiek przekroczono. Ale Osedżowie dopuścili się tego hańbiącego czynu, pojmali mnie i związali, chociaż miałem przy sobie tylko nóż i wampum świadczący, że znajduję się w drodze po świętą glinę.

— Pokazałeś im wampum?

— Tak. Odebrali mi go i wrzucili w ogień.

— Nie do uwierzenia! Coś podobnego nie zdarzyło się jeszcze nigdy! Osedżowie spalili więc w ogniu swój honor i zniszczyli go na zawsze. Powinni byli obejść się z tobą jak z gościem, gdybyś nawet był ich największym wrogiem!

— Uff! Oni chcieli mnie nawet zabić.

— Czy broniłeś się, gdy cię schwytali?

— Czy było mi wolno ?

— Nie.

— Gdybym się był bronił, popłynęłoby dużo krwi. Zdałem się przeto na mój wampum i odwieczne prawa, których jeszcze nikt nie naruszył, i poszedłem za nimi do obozu posłusznie jak dziecko. Teraz uczciwy wojownik może plunąć w twarz każdemu Osedżowi, którego spotka.

Poprosiłem Apanaczkę, żeby został przy jeńcu, a sam udałem się z Hammerdullem na drugą stronę Kipe-taki, skąd powinni byli nadjechać nasi towarzysze. Spodziewałem się oczywiście pięciu osób, a mianowicie Winnetou, Treskowa, Holbersa, Old Wabble a i Szako-matty, toteż byłem niezmiernie zdziwiony, gdy zauważyłem w zbliżającej się do nas grupie jeszcze jednego Indianina, przywiązanego do konia. Winnetou prowadził więc jeńca, również Osedża, na co wskazywały barwy na jego twarzy.

Wyszedłem z zarośli, aby Winnetou nie potrzebował badać terenu i dowiedział się od razu, że przybyliśmy na miejsce spotkania.

Apacz podjechał do mnie i zapytał:

— Czy zdarzyło się coś niezwykłego, że mój brat przybył tu przede mną?

— Wszystko odbyło się szybciej i lepiej, aniżeli przypuszczałem, dlatego znalazłem się tu wcześniej.

— Niech mój brat zaprowadzi nas do swoich koni! Mam mu coś ważnego do powiedzenia.

Szako-matto rzucił na mnie pogardliwe spojrzenie, usłyszawszy te słowa.

— Old Shatterhand usłyszy, co zaszło — powiedział — i będzie musiał wkrótce puścić mnie wolno! Nie odpowiedziałem mu i cofnąłem się w zarośla, a wszyscy

poszli za mną; przybywszy do niewielkiej rozpadliny odwiązaliśmy jeńca od konia, położyliśmy go na ziemi, a sami usiedliśmy obok. Winnetou domyślał . się, że i ja mam dla niego jakąś niezwykłą wiadomość i rzucił mi pytające spojrzenie, ale na razie nie zaspokoiłem jego ciekawości. Poprosiłem go, żeby pierwszy zaczął mówić.

— Spodziewam się — rzekłem — że nie spotkało was nic przykrego?

Nim Winnetou zdążył odpowiedzieć, Old Wabble rzucił szyderczym tonem:

— Nawet coś bardzo przykrego dla was! Jeśli wam się zdaje, że wciąż jeszcze macie nas w ręku, to mylicie się grubo!

— Pshaw! — roześmiałem się. — Teraz mamy lepsze karty niż przedtem.

— Jak to?

— Przecież Winnetou pojmał jeszcze jednego jeńca.

— I sądzicie, że to dla was takie korzystne?

Apacz porzucił tym razem wyniosłe milczenie i rzekł ze wzgardą:

— Stary cowboy ma jad w ustach. Nie bronię mu plwać nim na nas.

— Tak, to jad, od którego wszyscy zginiecie, jeśli natychmiast nie puścicie nas wolno, to jasne!

— Niepotrzebnie nas straszycie — zauważyłem chłodno.

— Będziecie inaczej śpiewali, gdy się dowiecie, co zaszło podczas waszej nieobecności.

Wskazał na świeżo schwytanego Indianina i mówił dalej:

— Wojownicy Osedżów, nie mogąc się doczekać powrotu swego wodza, wysłali po. niego tego oto człowieka. Przyszedł on do lasku, w którym wzięliście nas do niewoli, a

potem ruszył za tropem i znalazł nasze wczorajsze obozowisko. Czy niczego się jeszcze nie domyślacie?

— Domyślam się, że go przy tym pochwycono.

— Bardzo ładnie! Ale tego nie wiecie, że zwiadowca miał towarzysza; tamten, rozsądniejszy widać i ostrożniejszy od kamrata, umknął i pośpieszył po kilkuset Osedżów, którzy wkrótce was dopędzą. Radzę wam uwolnić nas natychmiast, bo jeśli nadejdą i zastaną nas w więzach, nie oszczędzą nikogo, lecz zdmuchną was jak wiatr nędzne zapałki!

— Czy to wszystko, co chcieliście mi powiedzieć? — zapytałem.

— Na razie tak. Chciałbym zobaczyć, czy Old Shatterhand ma choć setną część tego rozsądku, który mu ludzie przypisują,

— Tyle rozsądku nie potrzeba na to, żeby wyśmiać waszą groźbę. Jeśliby nawet przypuścić, że wszystko jest tak, jak mówicie, to w każdym razie znajdujecie się jeszcze w naszej mocy, a Osedżów tutaj nie ma. Kto nam zabroni, żebyśmy was nie zdmuchnęli jak wiatr nędzne zapałki?

— Pshaw! Tego nie uczynicie, bo jesteście zbyt dobrym i miłosiernym chrześcijaninem, a nadto wiecie, że Osedżowie pomściliby krwawo naszą śmierć.

— Co mogą zdziałać ci ludzie, wobec takich śmiałków jak Winnetou, nie mówiąc już o mnie!

— Zarozumiałość wasza nie ma granic. To rzecz znana. Domyślam się nawet, co was napełnia taką otuchą. Byliście zapewne w farmie Fennera i poprosiliście tam

o pomoc. Prawdopodobnie jest już w drodze kilku nędznych cowboyów, którymi chcecie nas zastraszyć.

— Pshaw! Gdybyście umieli obliczać czas i przestrzeń, tobyście wiedzieli, że z farmy Fennera nie mógłbym jeszcze wrócić. Byłem zupełnie gdzie indziej, a na dowód, z jaką miłością myślałem o was, przywiozłem wam tutaj kogoś.

— Ciekaw jestem kogo? Pokażcie go nam!

— Chętnie zrobię tę przyjemność wam i waszemu sprzymierzeńcowi.

Powiedziałem Hammerdullowi do ucha kilka słów; grubas skinął głową z uśmiechem, wstał i oddalił się. Wszyscy, nawet Winnetou, choć nie okazywał tego po sobie, z napięciem oczekiwali, kogo przyprowadzi. Po chwili Dick zjawił się z pojmanym przeze mnie Osedżem.

— Uff, uff, uff! — zawołał Szako-matto z przestrachem.

— Do wszystkich diabłów! — krzyknął Old Wabble. — To właśnie ten...

Utknął w połowie zdania. Dałem znak Hammerdullowi, żeby odprowadził czerwonoskórego do naszego obozu, i powiedziałem do starego cowboya:

— Ten wojownik miał sprowadzić setki Osedżów. Czy

i teraz jeszcze sądzicie, że oni przyjdą?

— Niech was diabeł porwie! — syknął staruch.

— Uff! — wtrącił szybko Szako-matto. — Old Wabble zapomina zupełnie o Nainim!

— O, nie — odparł „król cowboyów” i zwróciwszy się do mnie dodał: — Mam jeszcze jedną kartę, której nie potraficie przybić, chociaż uważacie się za tak mądrego gracza.

— Co to za karta?

— Zaraz się dowiecie. Przypominacie sobie zapewne Liano, gdzie mieliście zaszczyt...

— Być przez was okradzionym — wtrąciłem.

— To także prawda, ale ja chciałem powiedzieć coś innego — rzekł starzec ze śmiechem. — Był tam młody wódz Nainich. Jak on się nazywał?

— Apanaczka — odpowiedziałem udając, że nie domyślam się niczego.

— Yes. Apanaczka! Lubiliście go bardzo. Nieprawdaż?

— Nie przeczę..

— Słyniecie z nadzwyczaj dobrego serca, przypuszczam więc, że miłość wasza ku niemu nie zmalała.

Old Wabble mówił pewnym siebie tonem, a ja nie starałem się wyprowadzić go z błędu, bo oto w zaroślach mignęła mi postać Apanaczki, Hammerdull nie wrócił po odprowadzeniu Osedża — zamiast niego zakradł się tu wódz Nainich nie czekając na moje wezwanie. Oczywiście dostrzegłem go tylko ja i bystrooki Winnetou.

— To znaczy, że jak dawniej uważacie Apanaczkę za swego przyjaciela i brata? — ciągnął Old Wabble.

— Istotnie!

— I gdyby o niego chodziło, żadna ofiara nie byłaby dla was zbyt wielka?

— Tak. Nie zostawiłbym go w niebezpieczeństwie, choćbym miał własne życie narazić.

— Bardzo ładnie! Właśnie mogę wam powiedzieć, że on znajduje się w największym niebezpieczeństwie. Jest jeńcem Osedżów.

— Nie wierzę temu.

— Zapytajcie o to zwiadowcę, którego Winnetou wczoraj pochwycił! On przyniósł nam tę wiadomość, która nas ucieszyła tak, jak was z pewnością zmartwi. Mogę na to przysiąc sto razy!

— Pshaw! Przysięgi Old Wabble a nic w moich oczach nie znaczą! Czy pojmanie Apanaczki miało być owym atutem, którego nie potrafiłbym przybić?

— Oczywiście!

— Domyślam się, jaki macie w tym cel. Przypuszczacie, że wydamy was za niego! A więc popatrzcie teraz w tamtą stronę.

Old Wabble rzucił okiem we wskazanym kierunku. Apanaczka, który słyszał każde nasze słowo, rozsunął teraz gałęzie i podszedł do nas. Gdyby piorun uderzył w ziemię przed Szako-mattą i Old Wabble em, nie byliby się tak przerazili, jak na widok wodza Nainich.

— No? — spytałem. — Kto z nas ma w ręku silniejszy atut?

Staruch zgrzytnął zębami i krzyknął głosem drżącym z wściekłości:

— Psie stokrotnie przeklęty! Jesteś w przymierzu z piekłem i wszystkimi diabłami! Nienawidzę cię nienawiścią, jakiej jeszcze nikt nie odczuwał. Słyszysz, ty psie przeklęty?

— Ubolewam nad tobą z całego serca — odpowiedziałem spokojnie. — Poznałem wiele ludzi godnych pożałowania, ale tyś najgodniejszy litości ze wszystkich. Skończyłem z tobą. Jesteś tak nędzną istotą, że widok twój budzi we mnie odrazę. Zabieraj się stąd czym- prędzej!

Podszedłem do starego cowboya, rozciąłem mu więzy i odwróciłem się od niego. Myślałem, że zerwie się natychmiast i ucieknie, lecz on wstał powoli i rzekł tonem wyraźnego szyderstwa:

— Bywaj zdrów, człowieku miłości i miłosierdzia! Pomimo twojej głupoty jestem dziś z ciebie zadowolony. Nie sądź jednak, że przy spotkaniu się z tobą przemówię do ciebie inaczej aniżeli kulą! Dla nas obydwu nie ma miejsca na sawannach. Jeden z nas musi się stąd wynieść, a ponieważ ty się tak boisz widoku krwi ludzkiej, to ja ci jej trochę upuszczę przy najbliższej sposobności. Warn wszystkim, panowie, to samo obiecuję. Do widzenia!

Podszedł do swego konia, chwycił strzelbę przytroczoną z boku, zarzucił ją sobie na plecy i chciał wskoczyć na siodło. Ale w tej chwili wstał Winnetou, wyciągnął rękę i rozkazał:

— Stać, powiesić strzelbę z powrotem!

W postawie i twarzy Apacza było coś tak władczego, że Old Wabble usłuchał go wbrew swemu zwyczajowi. Zwrócił się. jednak do mnie i zawołał: — Co to ma znaczyć?! Przecież koń i strzelba są moją własnością!

— Nie — odparł Winnetou. — Dając ci wolność mój brat Shatterhand chciał tylko okazać ci odrazę, którą każdy musi na twój. widok odczuwać. Zgadzamy się z nim wszyscy, że wzdragamy się na myśl o dotknięciu ciebie ręką, nożem lub kulą. Oddajemy cię sprawiedliwości Wielkiego Manitou. Byłbyś mógł zabrać swojego konia i broń, ale ponieważ zagroziłeś nam zemstą, przeto nie otrzymasz teraz nic oprócz wolności. Odejdziesz stąd natychmiast, a gdybyś się za dziesięć minut pokazał w pobliżu, ten rzemień owinie ci się wokoło szyi i przywiąże do gałęzi. Howgh! A teraz precz mi z oczu!

Old Wabble roześmiał się głośno, skłonił się głęboko i odrzekł:

— Przemówiłeś jak król. Szkoda tylko, że twoje słowa w moich uszach brzmią jak szczekanie psa! Idę, ale zobaczymy się jeszcze!

Odwrócił się, wdrapał na górę po pochyłym zboczu rozpadliny i zniknął. Gdy dla ostrożności wyjrzałem za nim, zobaczyłem, jak chwiejnym krokiem podąża z wolna po równinie. Puściłem go wolno bez namysłu wskutek chwilowego odruchu, gwałtownego uczucia wstrętu, które nie pozwoliło mi przemówić do niego ani słowa więcej.

— Nie weźcie mi tego za złe, Mr Shatterhand, że was zganię — zwrócił się do mnie Treskow, kiedy wróciłem. — Jak możecie puszczać wolno takiego niepoprawnego łotra jak Fred Cutter! Staracie się po prostu odwrócić od niego zasłużoną karę! Żadną miarą nie pojmuję pobudek waszego postępowania.

— Nie mam wcale zamiaru chronić go przed karą, nie chcę tylko być jego sędzią ani katem. Jestem mocno

przekonany, że już od dawna wisi nad jego głową miecz, którym ugodzi go wyższa i potężniejsza ręka. Coś mnie wstrzymuje od uprzedzania sprawiedliwości boskiej.

— Być może! Muszę jednak zwrócić waszą uwagę na skutki wynikające z waszego posłuszeństwa wobec tych tajemniczych, a niezrozumiałych dla mnie, wewnętrznych praw. Ułaskawiliście Old Wabble a, A co teraz uczynimy z wodzem Osedżów, drugim winowajcą? Czy także puścimy go wolno?

— Gdyby to zależało ode mnie, tobym tak właśnie postąpił.

— W takim razie niech diabli porwą wszystkie wasze prawa prerii, których nie stosujecie, pomimo że sławicie ich bezprzykładną surowość!

— Przede wszystkim jestem chrześcijaninem, a dopiero potem westmanem! W tym wypadku biali oszukali Osedżów, a ci postanowili sobie powetować straty za pomocą napadu. Uważają się za zupełnie do tego uprawnionych. Czy wolno nam zresztą karać Szako-mattę za nie wykonany zamiar?

— Pomińmy więc sprawę napadu. Ale nie można mu darować, że godził na nasze życie, chciał nas pochwycić i zabić!

— Czy spełnił ten zamiar? Powiedzcie mi jasno i wyraźnie: czy sam zamiar jest karygodny?

— Moralnie tak.

— Well! Ale czy mamy prawo ukarać Szako-mattę? - Treskow milczał przez chwilę, po czym zawołał gniewnie :

— Jesteście najprzykrzejszym adwokatem, z jakim kiedykolwiek sędzia mógłby mieć do czynienia! Nie chcę nic więcej wiedzieć o tej sprawie!

— Powoli, powoli, Mr Treskow! Jestem surowszy, aniżeli wam się zdaje. Za sam zamiar nie możemy go ukarać,

jednakże jestem za tym, abyśmy zastosowali środki zapobiegawcze, które podobne są do kary jak rodzeństwo.

— To co innego! Cóż proponujecie?

— Na razie nic. Nie tylko ja mam tu coś do powiedzenia.

— Bardzo słusznie! — potwierdził Dick Hammerdull skwapliwie. — Jakąś nagrodę musi ten czerwonoskóry

otrzymać. Nieprawdaż, Holbers, stary szopie?

— Hm, jeśli sądzisz, że zasłużył na klapsa, to masz słuszność, kochany Dicku — odpowiedział chudzielec.

Szako-matto przysłuchiwał się naszej rozmowie nie tracąc z niej ani słowa, wiedział więc, w jaki sposób odniosłem się do jego sprawy. Oczy wodza, patrzące z początku posępnie, spoczęły teraz na mnie z niemal przyjaznym wyrazem. Widać było, że czuł dla mnie głęboką wdzięczność. W pewnej chwili przerwał milczenie i zwrócił się do mnie:

— Czy Old Shatterhand zechce mnie wysłuchać?

— Mów! — odrzekłem.

— Słyszałem słowa, których nie mogę dobrze pojąć, bo są mi obce; to jednak zrozumiałem, że Old Shatterhand był po mojej stronie, a tamta blada twarz przeciwko mnie. Winnetou, wódz Apaczów, milczał podczas tej sprzeczki. Zapewne więc godzi się na postanowienie swego przyjaciela i brata. Wprawdzie obaj są nieprzyjaciółmi Osedżów, lecz wszyscy Indianie wiedzą, jak sprawiedliwie postępują ci dwaj słynni wojownicy. Wzywam ich, by i dziś byli sprawiedliwi!

Zamilkł i popatrzył na mnie, jakby czekał na odpowiedź.

— Wódz Osedżów — oświadczyłem — może się nie obawiać niesprawiedliwości z naszej strony. Muszę jednak sprostować jego mylne twierdzenia, jakobyśmy byli wrogami Osedżów. Pragniemy zawsze żyć w zgodzie i pokoju ze wszystkimi czerwonymi i białymi ludźmi. Gdy jednak ktoś

godzi na nasze życie, czy nie powinniśmy się bronić? A jeśli, broniąc się, zwyciężamy napastnika, czyż ma on prawo twierdzić, że jesteśmy jego wrogami ?

— Old Shatterhand miał niewątpliwie mnie na myśli mówiąc o obronie przed napastnikiem. Ale Szako-matto chciałby zapytać, na go blade twarze mają sędziów i sądy?

— Ażeby wydawać wyroki i wymierzać sprawiedliwość.

— Czy te wyroki są zgodne z prawem, czy istotnie wymierzają sprawiedliwość?

— Tak.

— Czy Old Shatterhand wierzy w to, co mówi?

— Tak. Wprawdzie sędziowie są także ludźmi, którzy mogą się mylić, i dlatego...

— Uff, uff! — wtrącił Szako-matto skwapliwie. — Dlatego mylą się zawsze, ilekroć chodzi o prawa czerwonych mężów! Old Shatterhand i Winnetou siedzieli już przy stu obozowych ogniskach i tysiące razy słyszeli nasze skargi na białych. Ileż to razy oszukały nas. blade twarze, a my nie znaleźliśmy sędziego, który by się zlitował nad nami i przyznał nam słuszność! Przed miesiącem dopuszczono się znowu względem nas wielkiego oszustwa, a gdy domagaliśmy się sprawiedliwości, wyśmiano nas. Co czyni biały człowiek, gdy sędzia odmówi mu sprawiedliwości? Zwraca się do sądu wyższego, a gdy i ten go z niczym odprawi, wymierza sobie sam sprawiedliwość: linczuje swego przeciwnika lub tworzy związki, których członkowie potajemnie i wbrew prawu niosą sobie pomoc, jeśli otwarcie nie mogą jej uzyskać. Czemu czerwonemu mężowi nie wolno uczynić tego, co czyni biały? Wy mówicie: lincz, my mówimy: zemsta, wy mówicie: związek, a my: rada starszych. To wszystko jedno. Ale gdy my sami sobie radzimy, wy to określacie, jako grabież i rabunek. Biały to waszym zdaniem człowiek honorowy, chociaż Indianina nieustannie oszukuje i okrada, a Indianin to złodziej i

rozbójnik, choć właśnie biały z niego skórę zdziera. Oszukano nas niedawno na mięsie, prochu i wielu innych rzeczach. Wobec tego wzięliśmy sobie proch i mięso, gdzie się dało, bo bez tego żyć nie możemy. Za to zaczęto nas ścigać i zabito nam wielu wojowników. Jeśli wyruszyliśmy teraz, by pomścić śmierć poległych, to kto temu winien?

Kto jest oszukanym, a kto oszustem? Kto ograbionym, a kto grabieżcą? Niech Old Shatterhand da mi na te pytania odpowiedź!

Cóż mogłem mu na to odpowiedzieć? Winnetou wybawił mnie z kłopotliwego położenia i zabrał głos, choć dotychczas milczał uparcie.

— Winnetou jest najwyższym wodzem wszystkich plemion Apaczów — powiedział. — Żadnemu z wodzów nie może bardziej chodzić o dobro jego ludzi aniżeli mnie o szczęście mego narodu. Zarzuty Szako-matty nie są dla mnie nowością. Ja sam podnosiłem je nieraz przeciwko bladym twarzom, ale bez skutku. Czy jednak w wodzie, w której znajdują się ryby drapieżne, każda ryba musi żyć mięsem drugich? Czy w lesie, w którym żyją skunksy, każde zwierzę musi być śmierdzielem? Czemu wódz Osedżów nie czyni między białymi różnicy? Żąda sprawiedliwości, a sam postępuje niesprawiedliwie, odnosząc się nieprzyjaźnie do ludzi niewinnych. Czy może przytoczyć choćby jeden wypadek, w którym Old Shatterhand albo Winnetou, odnieśli się wrogo do spokojnego człowieka? Czy nie słyszał nigdy, że, przeciwnie, nawet najgorszych łotrów oszczędzamy, jeśli to. tylko jest możliwe? Gdyby zresztą dotąd nic o tym nie wiedział, to przekonał się teraz, że mój brat i przyjaciel Old Shatterhand przemawiał za nim, chociaż wódz Osedżów godził na jego życie. Szako-matto zamierzał nas oskalpować, a teraz widzi, że my moglibyśmy mu zabrać skalp i życie. Ale niech zachowa sobie jedno i drugie. Odzyska nawet wolność, choć jeszcze nie dzisiaj. Za jego nieprzyjaźń odpłacimy mu dobrocią, a za jego żądzę krwi —

łagodnością. Jeśli potem jeszcze będzie utrzymywał, że jesteśmy wrogami Osedżów, to nie będzie godzien, aby jego imię znalazło się na ustach czerwonego albo białego wojownika. Szako-matto wygłosił długą mowę, a ja poszedłem za jego przykładem, chociaż jego słowa i moje były zupełnie zbyteczne. Howgh!

Teraz nastała głęboka cisza; Treść przemówienia, a także osoba i sposób wyrażania się Winnetou wywołały silne wrażenie. Słowa jego stosowały się oczywiście nie tylko do wodza Osedżów: były zwrócone także do innych, a szczególnie do Treskowa. Szako-matto leżał z miną niewzruszoną, a Treskow spuścił oczy i patrzył w bok, zakłopotany. Wreszcie zdecydowałem się przerwać milczenie.

— Well! Szako-matto pojedzie z nami w odległe strony, gdzie przestanie być dla nas niebezpieczny. Będzie wprawdzie skrępowany, ale otoczymy go takimi względami, jakie każdy prawy westman powinien okazywać wodzowi walecznego narodu. Obaj jego wojownicy są wolni. Niech wrócą nad Wara-tu i oznajmią Osedżom, że wódz ich jest pojmany, a blade twarze ostrzeżone. Gdyby mimo to odważyli się napaść na farmy, to wódz ich zginie od kuli. Rozwiążcie im rzemienie!

Hammerdull i Holbers natychmiast uwolnili jeńców. Ci, zerwawszy się z ziemi, chcieli pobiec do swoich koni, lecz powstrzymałem ich mówiąc:

— Stać! Nie pojedziecie do Wara-tu, lecz pójdziecie tam pieszo. Wasze konie i strzelby my zabierzemy. Czy je odzyskacie, to będzie zależało od zachowania się Szako-matty. Idźcie więc i powiedzcie także swoim braciom, że Old Shatterhand oswobodził wczoraj Apanaczkę, wodza Nainich!

Osedżowie nie mogli pogodzić się z myślą, że będą musieli wracać bez koni i strzelb. Spojrzeli pytająco na swego wodza, ale on powiedział:

— Czyńcie, co wam Old Shatterhand rozkazał! Gdyby wojownicy Osedżów nie wiedzieli, co mają zrobić, niech zapytają Hon-skej-nonpeja, Długą Rękę, na którego zdaję dowództwo. On postąpi tak, jak należy! Przypatrywałem się bacznie twarzy Osedża, gdy mówił do swoich ludzi, lecz nie mogłem się zorientować, czy to odstąpienie dowództwa przyniesie nam później walkę czy pokój. Obaj uwolnieni jeńcy weszli na zbocze, a potem oddalili się w tym samym kierunku, w którym podążył Old Wabble. Konie ich zatrzymałem z kilku powodów. Mając wierzchowce byliby się dostali do Wara-tu o wiele szybciej niż pieszo i ewentualny pościg za nami mógłby się zacząć o kilka godzin wcześniej. Ponadto konie te były bardzo dobre, a my właśnie takich potrzebowaliśmy w tej chwili. Broń Osedżów także mogła nam się przydać. Apanaczka, który, jak wiadomo, miał tylko nóż, wziął sobie niezłą strzelbę Szako-matty. Porzucił na razie pierwotny zamiar udania się po świętą glinę i postanowił towarzyszyć nam do Kolorado. Ponieważ należało się spodziewać, że Osedżowie, otrzymawszy wiadomość o pojmaniu wodza, ruszą natychmiast do Kipe--taki, a stamtąd za nami, przeto nie mogliśmy zabawić tutaj dłużej. Szako-mattę przywiązaliśmy do konia, zostawiwszy mu jednak pewną swobodę ruchów, Holbers i Treskow dosiedli koni Osedżów, a resztę zwierząt wzięto pod juki. Tak opuściliśmy las Starej Kobiety.

W dalszej drodze musieliśmy oddalić się od rzeki Republican, która skręcała na północ. Jechaliśmy wprost na zachód, aby się dostać do Solomon River. Groziło nam teraz podwójne niebezpieczeństwo. Przed nami podążał oddział „generała”, którego trop spodziewaliśmy się znaleźć niebawem, a za nami Osedżowie; zemsta z ich strony była bardzo prawdopodobna. Ani jedno, ani drugie spotkanie nie budziło w nas jednak wielkiego niepokoju. Nie przeczuwaliśmy, że zagrażało nam jeszcze trzecie, o wiele bliższe niebezpieczeństwo, choć . jechaliśmy wprost na nie.

Mogliśmy dla zmylenia Osedżów zwrócić się nieco na południe, ale takie okrążenie opóźniłoby termin naszego spotkania z Old Surehandem. Jechaliśmy więc ciągle na zachód, aż do południa następnego dnia; w tym czasie jednak otrzymaliśmy wiadomość, która skłoniła nas wbrew naszym pierwotnym zamiarom do zboczenia z drogi.

Natknęliśmy się na trzech jeźdźców, od których usłyszeliśmy, że w tej okolicy grasuje liczna banda trampów. Spotkani przez nas ludzie wpadli właśnie w ich ręce i nie tylko zostali zupełnie ograbieni, lecz nadto jeden z nich otrzymał dość niebezpieczną ranę postrzałową w udo. Kto słyszał o trampach lub, co gorsza, poznał ich osobiście, ten łatwo zrozumie, że nie pragnęliśmy zobaczyć się z nimi. Każdy westman unika tego plugastwa, podobnie jak najwprawniejszy szermierz na florety musi ustąpić przed widłami stajennego parobka. Toteż i my zawróciliśmy na południe, a przeprawiwszy się wieczorem przez północne ramię rzeki Solomon, rozłożyliśmy się nad brzegiem obozem.

Teraz dopiero Apanaczka opowiedział mi, co przeżył od czasu, gdyśmy się rozstali na Liano Estacado. Jego wyprawa z Old Surehandem do fortu Terrel, jak wiemy, nie zdała się na nic: nie znaleźli tam ani śladu Dana Ettersa. Nikt ż mieszkańców fortu nie słyszał tego nazwiska ani nie znał jego właściciela.

— Sprawdziła się więc ”moja ówczesna przepowiednia — powiedziałem. — Nie dowierzałem „generałowi”, czułem, że usiłuje wywieść w pole Old Surehanda, nie zdołałem tylko odgadnąć, w jakim celu to czyni. Wydawało mi się, że dokładnie zna stosunki łączące Old Surehanda z Ettersem, i zwróciłem na to uwagę naszego przyjaciela. Lecz on nie chciał mi wierzyć. Czy mówił o tym z bratem Apanaczka?

— Nie.

— Nie wspomniał ani słowem, dlaczego tak gorliwie szuka Ettersa?

— Ani jednym.

— Potem rozstaliście się nad Rio Pecos, a ty wróciłeś do swego szczepu?

— Tak, pojechałem do Kaam-kulano.

— Matka przyjęła cię zapewne z radością?

— Poznała mnie w pierwszej chwili i przyjęła z miłością, ale potem opuścił ją znowu duch jej — odrzekł młody Indianin nagle zasępiony.

Nie zważając na to, zapytałem:

— Czy przypominasz sobie naszą rozmowę o słowach, które z jej ust słyszałeś?

— Tak. Ona mówi je stale.

— Czy i dziś jeszcze wierzysz, że należą do czarodziejskich obrządków indiańskich?

— Tak.

— Mylisz się. W duszy twojej matki tkwią obrazy dawnych zdarzeń i osób, ale niewyraźne i mgliste. Czy nie zauważyłeś, by te obrazy stawały się chwilami jaśniejsze?

— Nie. Nie przebywałem teraz wiele z matką; musiałem ją pożegnać wkrótce po powrocie do domu.

— Dlaczego?

— Wojownicy Nainich, a szczególnie Wupa-umugi, ich wódz, nie chcieli mi przebaczyć, że mój biały brat, Old Shatterhand, uznał mię za godnego wypalenia z nim fajki przyjaźni i wierności. Tak mi utrudniali życie w Dolinie Zajęczej, że odszedłem.

— Dokąd?

— Do plemienia Komanczów Kanean.

— Czy chętnie przyjęto tam mego brata?

— Uff! Gdyby to nie Old Shatterhand pytał, śmiałbym się z takich słów! Ani jeden głoś nie podniósł się przeciwko mnie, kiedy mężowie Kaneanów naradzali się nad przyjęciem Apanaczki do swego szczepu. Teraz jestem najwyższym wodzem tego plemienia.

— Cieszy mnie to bardzo! Czy nie mogłeś zabrać matki od Nainich?

— Chciałem to uczynić, ale jej mąż nie dopuścił do tego.

— Czarownik? Nie nazywasz go ojcem, lecz mężem matki? Zauważyłem już dawniej, że go nie kochasz.

— Nie mogłem nigdy oddać mu swego serca, a teraz nienawidzę go, bo rozłączył mnie z kobietą, która mnie na świat wydała.

— Czy wiesz na pewno, że to twoja matka? Apanaczka spojrzał na mnie zaskoczony i powiedział:

— Dlaczego o to pytasz? Wiem, że Old Shatterhand nie mówi nic bez powodu, że czyni wszystko po głębokim namyśle. Zapewne i teraz jakaś ważna przyczyna zmusiła cię do tego osobliwego pytania.

— Rzeczywiście, mam do tego powody, ale nie jest to owoc namysłu, lecz skutek głosu, który już dawniej odzywał się w mym sercu. Czy Apanaczka odpowie mi na moje pytanie?

— Odpowiem, choć nie rozumiem, dlaczego pytasz. Skwaw, o której mówimy, jest moją matką. Nigdy nie myślałem, że jest inaczej, i kocham ją bardzo.

— Czy ona rzeczywiście jest żoną czarownika? Apanaczka znowu odparł z najwyższym zdumieniem:

— Nie rozumiem i tego pytania! Nasi wojownicy uważali ich zawsze za męża i żonę.

— I ty także?

— Oczywiście.

— A on nazywał cię synem? Przypomnij sobie!
Apanaczka milczał przez chwilę, spuściwszy głowę,

potem wyprostował się i rzucił gwałtownie: .

— Uff! Teraz sobie przypominam, że nigdy, ani razu nie nazwał mnie szi-yej.

— Ale matka mówiła do ciebie se-tsej ?

— Także nie!

Wyrazy, oznaczające zwrot „mój synu”, są u większości plemion indiańskich inne, gdy je wymawia ojciec, a inne, gdy ich używa matka. U Nainich ojciec nazywał syna szi-yej, a matka — se-tsej. Apanaczka ciągnął dalej:

— Oboje mówili do mnie tylko rani — ty. Matka nazywała mnie czasem se-tsej, lecz tylko wtedy, gdy mówiła o mnie z obcymi.

— To szczególne, to osobliwe! Chciałbym teraz wiedzieć, czy tych dwoje mówiło do siebie „mężu” i „żono”?

Młodzieniec namyślał się znów przez chwilę, a potem odpowiedział:

— Zdaje mi się, że nazywali się tak, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, ale od dawna nie słyszałem tych słów w ich ustach.

— Od tego więc czasu kobieta używała tylko słów Tibo-taka i Tibo-wete?

— Tak.

— A ty uważasz te słowa za wyrazy mające związek z obrzędami?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo ojciec zawsze tak twierdził. Jest to niewątpliwie prawda, bo nie ma czerwonego ani białego męża, który by wiedział, co znaczy słowo Tibo. A może wie to mój brat Shatterhand?

Ja także tego nie wiedziałem. Przypomniały mi się wprawdzie francuskie nazwiska Thibaut lub Thibault, lecz łączenie z tak samo brzmiącym słowem „tibo” wydało mi się rzeczą zbyt ryzykowną. Chciałem właśnie to powiedzieć, lecz nie zdążyłem, gdyż uprzedziły mnie dwie osoby, które zbliżyły się do nas w tej chwili.

Swego czasu, jeszcze na Liano Estacado, przyrzekłem Apanaczce, że nikomu nie wyjawię tych tajemniczych słów. Dotrzymałem obietnicy tak wiernie, że nie wspomniałem o nich nawet Winnetou. Toteż zdziwiłem się niemało, kiedy teraz Apacz przerwał naszą rozmowę okrzykiem:

— Tibo-taka i Tibo-wete? Ja znam te słowa! Prawie równocześnie z nim zawołał wódz Osedżów:

— Ja także znam Tibo-taka i Tibo-wete! Byli w obozie Osedżów i ukradli nam dużo futer i koni.

Apanaczka zdumiał się tak samo jak ja i zwrócił się najpierw do Winnetou.

— Skąd wódz Apaczów zna te słowa? — zapytał. — Czy był kiedy w obozie Nainich?

— Nie, ale ojciec mój, Inczu-czuna, spotkał kiedyś mężczyznę i kobietę, którzy nazywali się Tibo-taka i Tibo-wete. On był bladą twarzą, a ona Indianką.

— Gdzie ich spotkał-? Gdzie to było?

— Na skraju Estacado. Oni sami i konie ich były bliskie śmierci głodowej. Kobieta trzymała na rękach chłopczyka owiniętego w chustę. Ojciec mój zajął się nimi, zaprowadził do najbliższego źródła, nakarmił i napoił, a gdy przyszli do siebie, chciał ich zaprowadzić do osady bladych twarzy. Oni woleli jednak, żeby im pokazał, gdzie przebywają Komancze. Ojciec wędrował więc z nimi przez dwa dni, dopóki nie znalazł śladów tych wojowników. Ale Komancze byli jego śmiertelnymi wrogami, musiał przeto zawrócić. Wybawionej przez siebie rodzinie dał mięsa, wydrążoną dynię pełną

wody i dokładne wskazówki, gdzie mają szukać siedziby plemienia.

— Kiedy to się zdarzyło?

— Byłem wtedy niedorosłym chłopcem.

— Czego jeszcze dowiedział się mój brat o tych dwu osobach i ich dziecku?

— Kobieta owa utraciła duszę, mówiła bezładnie, a gdy tylko znalazła jakiś krzak, odrywała zieloną gałązkę i owijała ją sobie dokoła głowy.

— Nic więcej Winnetou nie wie?

— To wszystko, co mi ojciec mówił o tym spotkaniu,

— Ale ja mogę coś więcej powiedzieć — wtrącił Szako-matto. — Znam lepiej tych złodziei aniżeli Winnetou, wódz Apaczów.

Apanaczka chciał znowu zabrać głos, lecz dałem mu znak, aby milczał. Wódz Osedżów posądzał o kradzież mężczyznę i kobietę, którzy uchodzili za jego rodziców, przeto chcąc zapobiec bezpośredniej a ciężkiej obrazie, przemówiłem zamiast niego:

— Niech wódz Osedżów, Szako-matto, podzieli się z nami wiadomościami o tych osobach. Prawdopodobnie nie usłyszymy o nich nic dobrego.

— Old Shatterhand ma słuszność — potwierdził wódz. — Czy Old Shatterhand znał człowieka, który nazywał się Raller i był u bladych twarzy oficerem?

— Nie znam oficera o tym nazwisku.

— W takim razie jest tak, jak przypuszczałem. Człowiek ten podał nam fałszywe nazwisko i przybył do nas tylko w tym celu, by nas okpić. Szukaliśmy go wszędzie, byłem nawet w fortach i w wielkich miastach bladych twarzy, aby się o niego dopytać, ale nigdzie nikt nie znał oficera nazwiskiem Raller.

— Czegóż on chciał od wojowników Osedżów?

— Przedstawił się nam jako poseł ”Wielkiego Ojca z Waszyngtonu. Oświadczył, że wybrano nowego Wielkiego Ojca, który go wysłał do nas, by nam oznajmić,

że miłuje czerwonych mężów, że chce żyć z nimi w zgodzie i lepiej o nich dbać aniżeli dawniejsi ojcowie, którzy nie byli dla nich dobrzy. Ta zapowiedź podobała się wojownikom Osedżów. Przyjęli posła jak przyjaciela i brata, okazując mu większą cześć aniżeli swemu najstarszemu wodzowi. Zawarli z nim także umowę, że dostarczą mu skór i futer, za odpowiednią ilość broni, prochu, ołowiu, noży, tomahawków, gotowych ubrań i ozdób dla kobiet. Zostawił im dwa tygodnie na zgromadzenie futer, a powróciwszy jeszcze przed tym terminem, przyprowadził z sobą białego męża, bardzo piękną, młodą, czerwoną skwaw i małego chłopaka. Biały mąż miał rękę zawiniętą, gdyż odnowiła mu się dawna rana od postrzału. Młoda kobieta była jego żoną, a chłopak synem, ale piękne ciało kobiety opuścił duch. Mówiła o Tibo-taka i Tibo-wete i splatała sobie gałązki na głowie. Powtarzała także wyrazy „wawa Derrik”, ale my nie wiedzieliśmy, co to znaczy, a biały, którego była żoną, zapewniał, że także nie rozumie jej mowy. Przyjęto ich u nas bardzo serdecznie, a Raller odjechał potem znowu.

Szako-matto przerwał swe opowiadanie, a ja skorzystałem z tego i zapytałem:

— Czy z zachowania się wzajemnego obydwu białych można było wnosić, że łączyła ich przyjaźń? Ta okoliczność będzie niewątpliwie bardzo ważna w tej sprawie.

— Byli przyjaciółmi, gdy widzieli, że ludzie na nich patrzą, ale ilekroć myśleli, że są sami, kłócili się z sobą.

— Czy któryś z tych białych nie miał czasem szczególnego znaku, po którym można by go rozpoznać?

— Nie. Tylko oficerowi, który się podawał za Rallera, brakowało dwu zębów w górnej szczęce, z prawej i lewej

strony.

— To Etters! — zawołałem.

— Uff! To był Dan Etters! — powtórzył Winnetou.

— Etters? — zapytał wódz Osedżów. — Zdaje mi się, że nie słyszałem tego nazwiska. Czy ten człowiek tak się naprawdę nazywał?

— Nie wiadomo. Był to, a pewno i jest jeszcze, wielki zbrodniarz, który przybierał wiele fałszywych nazwisk. Jak nazywał białego, ranionego w rękę? Musiał przecież czasem w" rozmowie wypowiadać jego nazwisko.

— Gdy byli w zgodzie, nazywał go Lo-tej, a gdy sądząc, że są sami, kłócili się z sobą, mówił do niego często w gniewie: Ekamotej.

— Czy to nie pomyłka? Czy wódz Osedżów zapamiętał dobrze te nazwiska? Może zmieniły się w jego pamięci w tym długim czasie?

— Uff! — zawołał wódz. — Szako-matto pamięta zwykle imiona ludzi, których nienawidzi!

Oparłem głowę na dłoni i zamyśliłem się głęboko. Wpadłem na pewien domysł, śmiały, a jednak dość prawdopodobny, lecz wahałem się jeszcze, czy mam go wyjawić.

Wreszcie, zwróciwszy się do Winnetou i Szako-matty, powiedziałem:

— Może się mylę, ale zdaje mi się, że wiem, co znaczy tajemnicze słowo: Tibo. Idzie tylko o to, czy wódz Osedżów dobrze zachował w pamięci te dwa nazwiska, które przedtem wymienił. Pierwsze ż nich brzmiało: Lo-tej. Jest to właściwością wymowy Szako-matty, że ostatnią literę wymówił jako „j": naprawdę było to „r", a więc mielibyśmy francuskie imię „Lothaire".

— Tak, tak! — wtrącił Osedż. — Tak brzmiało to imię, gdy je wymawiał Raller.

— Dobrze! Drugie słowo, „eka-motej”, byłoby francuskim wyrazem „escamoteur”; nazwa ta oznacza sztukmistrza, kuglarza, iluzjonistę. Taki człowiek potrafi na przykład sprawić, że różne przedmioty w niepojęty sposób znikają i ukazują się z powrotem.

— Uff, uff, uff! — zawołał Szako-matto. — Old Shatterhand znajduje się na dobrym tropie!

— Rzeczywiście? — zapytałem ucieszony. — Czy może ten biały zabawiał wówczas Osedżów jakimiś sztuczkami?

— Istotnie. Robił tak, że wszystko znikało i ukazywało się znowu. Uważaliśmy go za wielkiego czarownika. Mężczyźni, kobiety, chłopcy i dziewczęta przypatrywali mu się ze zdumieniem, a nawet z przerażeniem.

— Teraz — zwróciłem się do Winnetou — przypomnę wodzowi Apaczów człowieka, o którym on także słyszał. Opowiadano nam nieraz o słynnym niegdyś, a później zapomnianym iluzjoniście i o jego sztuczkach, które uważano za niezrównane. Nazywano go Mr Lothaire, „król czarodziejów”.

— Uff! — potwierdził Apacz. — Słyszeliśmy o nim nieraz w fortach i przy obozowych ogniskach.

— Czy mój brat pamięta, dlaczego ten człowiek musiał potem zniknąć?

— Podrabiał pieniądze i puszczał je w obieg. Kiedy go chciano zaaresztować, zastrzelił dwu policjantów, a jednego zranił.

— Nie tylko to! — dodał Treskow, który podszedł także do nas. — Nie znam wprawdzie Mr Lothaire a, ale słyszałem o tym wypadku, gdyż mówiono o nim często w kołach służby policyjnej. Temu bandycie udało się kilka razy uniknąć pościgu w sposób nader pomysłowy. Był to, jeśli się nie mylę, Kreol z Martyniki, a ostatni raz widziano go w forcie Bents nad Arkansasem.

— Lothaire było to tylko jego imię. Czy nie przypominacie sobie, Mr Treskow, jego nazwiska?

— Nazywał się... Nazywał... hm, jakże on się nazywał? Było to jakieś nazwisko francuskie. Ach! Nazywał się Lothaire Thibaut i... a do krocset! Otóż mamy wyraz Tibo, który, jak słyszałem, na próżno staraliście się odgadnąć.

— Istotnie zagadka została rozwiązana! „Taka” znaczy mąż, a „wete” żona. Thibaut-taka i Thibaut-wete to pan i pani Thibaut. Żona czarownika, podając swoje pełne nazwisko, mówiła Tibo-wete-elen. Co może znaczyć to „elen”?

— Czyżby imię Ellen?

— Prawdopodobnie. Jeśli obłąkana nie myli siebie z inną osobą, to jest ochrzczoną Indianką z plemienia Moki — powiedziałem.

— Dlaczego Moki? — zdumiał się Treskow.

— Bo wyrazy taka, wete i wawa są wzięte z języka Moki. Thibaut-taka był owym słynnym sztukmistrzem, który skrył się wśród Indian, bo w okolicach zamieszkanych przez białych nie mógł się już pokazać. U Indian został czarownikiem i zdobył tam sobie wielkie poważanie.

— Ale barwa, barwa jego skóry!

— Pshaw! To drobnostka dla takiego magika! Teraz jestem prawie pewien, że Tibo-taka i Tibo-wete nie są mężem i żoną. Przypuszczam też, iż Apanaczka nie jest ich dzieckiem, a przynajmniej nie synem sztukmistrza, który nigdy nie obchodził się z nim jak ojciec.

Apanaczka z najwyższym napięciem słuchał naszej rozmowy — każde słowo miało dla niego ogromne znaczenie. Na twarzy młodzieńca odbijały się najsprzeczniejsze uczucia. Wątpliwość, czy czarownik jest jego ojcem, oraz podejrzenie, że mógł być zbrodniarzem, mniej go dotknęły. Ale z pewnością bolał nad tym, że

chciałem mu odebrać matkę. Zauważyłem jego niepokój, wydało mi się nawet, że zamierza ze mną dyskutować, lecz nakazałem mu gestem milczenie i zwróciłem się znowu do Szako-matty.

— Przerwaliśmy wodzowi Osedżów opowiadanie — rzekłem — a teraz prosimy, by mówił dalej. Biały, który podawał się za Rallera, nie wypełnił oczywiście zawartej z wami umowy?

— Nie. Był to oszust jak większość bladych twarzy. Wojownicy Osedżów wydobyli futra i skóry z ukrycia - i przynieśli mu je do obozu — odpowiedział Szako--matto.

— Gdzie znajdował się ten obóz?

— Nad rzeką zwaną przez białych Arkansas,

— Aha! Tam właśnie widziano Thibauta po raz ostatni. Wszystko się zgadza! Czy skór było dużo?

— Bardzo wiele tobołów. Ogromne czółno było nimi wypełnione.

— Co? Raller miał czółno?

— Nawet bardzo wielkie. Zbudowaliśmy je specjalnie dla niego. Samych tylko skórek bobrowych było dziesięć razy po dziesięć wiązek, nie licząc innych cennych futer.

— Takie mnóstwo? Nie mógł więc jechać z nimi daleko. Dokąd chciał je zawieźć?

— Do fortu Mann.

— Aha! Fort ten leży nad rzeką Arkansas w tym miejscu, w którym przecina ją bardzo uczęszczana droga. Przyjeżdżało tam zawsze wielu handlarzy, którzy mogli w każdej chwili wyłożyć znaczne sumy za towar. Była tam także silna załoga wojskowa. Thibaut zdobył się na nie lada zuchwalstwo, że. się tam w ogóle pokazał, w dodatku dla dokonania takiego oszustwa. Z waszej strony było to jednak wielką nieostrożnością po-

wierząc mu tyle towarów. Domyślam się, że wyjechał od was całkiem swobodnie?

— Old Shatterhand ma rację. Uważaliśmy- go za wysłannika Wielkiego Ojca, sądziliśmy więc, że możemy mu zaufać. Pozyskał nas zresztą i tym, że sam poprosił, byśmy go odprowadzili do fortu Mann, gdzie mieliśmy otrzymać zapłatę w towarach.

— Ilu Osedżów mu towarzyszyło?

— Sześciu. Ja także byłem z nimi.

— Czyż w łodzi zmieściło się tyle osób?

— Dwu ludzi wziął Raller do czółna, aby mu pomagali przy wiosłach, a czterech innych podążyło za nim konno wzdłuż brzegu. Nie chcąc pozostawać w tyle za szybko płynącą łodzią wzięliśmy najlepsze nasze konie.

— Jak on wszystko sprytnie obmyślił! Jestem pewien, że chodziło mu także o konie.

— Old Shatterhand zgadł. Działo się to o tej porze, kiedy rzeka ma dużo wody i prąd jest silny. Łódź przeto dotarła do fortu o dzień wcześniej aniżeli my czterej na koniach. Kiedy przybyliśmy późnym wieczorem, wpuszczono nas i zaraz zamknięto bramę. Przy naszych wierzchowcach zostawiliśmy przed fortem dwu wojowników na straży. Raller ugościł nas obfitym jadłem i wodą ognistą, której wypiliśmy tyle, że spaliśmy aż do wieczora następnego dnia. Gdyśmy się przebudzili, nie było już ani Rallera, ani owego białego z czerwoną skwaw i dzieckiem, ani naszych koni, ani wojowników, którzy ich mieli pilnować. Gdyśmy zażądali wyjaśnień, jak się to wszystko stało, powiedziano nam, że Raller sprzedał futra jeszcze przed naszym przybyciem, a kiedy zasnęliśmy twardo, upojeni wodą ognistą, kazał otworzyć bramę, po czym wraz z towarzyszami wymknął się z fortu. Ponieważ była noc, nie mogliśmy już szukać jego śladów, co nas wielce rozgniewało. Rozdrażnienie nasze zwiększyło się jeszcze, gdy na nasze żądanie, aby nam

wydano futra znajdujące się w łodzi, żołnierze i reszta bladych twarzy wyśmieli nas tylko. Kiedyśmy okazali gniew z tego powodu, zamknięto nas, nie dano jeść ani pić i wypuszczono dopiero po trzech dniach. Wtedy oczywiście już ani śladu nie było po oszustach. W zaroślach nad rzeką znaleźliśmy trupy wojowników, którzy mieli pilnować koni. Zabito ich w pobliżu fortu, a potem zawleczono na brzeg i ukryto w krzakach.

— Czy zawiadomiliście o morderstwie przełożonego fortu?

— Chcieliśmy to uczynić, lecz nie wpuszczono nas, a nawet zagrożono powtórnym uwięzieniem, gdybyśmy się poważyli przekroczyć bramę. Tak straciliśmy zdobycz z całorocznych polowań, a nadto dwu wojowników i konie. Zamiast użyczyć nam pomocy, o którą prosi władze białych chciały nas uwięzić. Morderca i oszust Raller nie był posłem Wielkiego Ojca. Bylibyśmy go za ten podstęp ukarali, gdybyśmy mieli konie i mogli zaraz wyruszyć. Oto jest sprawiedliwość bladych twarzy, które mówią o miłości, dobroci, zgodzie i przebaczeniu i nazywają siebie chrześcijanami, a nas poganami! Teraz Old Shatterhand usłyszał, co wiem o Ti-bo-taka i Tibo-wete. Czy teraz jeszcze uważa białych za lepszych ludzi od czerwonych, o to go już nie pytam.

Niestety, musiałem wstrzymać się od wyrzeczenia sądu o tym, co nam Szako-matto opowiedział. Zauważyłem tylko spokojnie:

— Wodzowi Osedżów wiadomo, że żadnej rasy nie uważam za lepszą od drugiej. U wszystkich narodów, w każdym kraju znajdują się dobrzy i źli ludzie. Czy Szako-matto spotkał się jeszcze kiedyś z tymi białymi?

— Nie.

— I nie słyszał o nich nic więcej?

— Nie. Dziś po raz pierwszy od owych czasów obiły mi się o uszy. nazwiska Tibo-taka i Tibo-wete. Długo szukaliśmy człowieka z dwiema szczerbami w zębach, ale nadaremnie. Od tego czasu upłynęło więcej niż dwadzieścia zim, myślę zatem, że Raller nie żyje. Jeśli go jednak śmierć nie porwała, to błagam Wielkiego Manitou, by go oddał w nasze ręce, albowiem od bladych twarzy nie oczekuję już sprawiedliwości.

Nastąpiło głuche milczenie, gdyż nikt z nas, białych, nie czuł się na siłach, aby zaprzeczyć wodzowi. Trzeba było w milczeniu przyjąć zarzuty stawiane białej rasie i tylko dowieść własnym postępowaniem, że nie wszyscy zasługujemy na pogardę.

Co do Rallera, rzekomego wysłannika Wielkiego Ojca, obudziło się we mnie jeszcze inne podejrzenie. Nie wyjawiałem swych myśli, lecz jakiś głos wewnętrzny mówił mi, że się nie mylę.

Gdy Szako-matto wspomniał, że Raller podawał się za oficera, zaraz przyszedł mi na myśl „generał”. Nie miałem co prawda dostatecznych podstaw, aby łączyć w ten sposób tych dwu łotrów. To, że obaj byli zbrodniarzami i obaj udawali wojskowych, nie uprawniało jeszcze do przypuszczenia, że są jedną i tą samą osobą. W mojej wyobraźni jednak zbliżali się do siebie tak bardzo, że w końcu utworzyli jedną postać.

Z tymi ludźmi łączyłem oczywiście jak najściślej Old Surehanda. On był ośrodkiem tych tajemniczych spraw i trzymał w ręku klucz do ich rozwiązania. Postanowiłem zachować moje przypuszczenia dla siebie i dopiero jemu je wyjawić.

Długo jeszcze nad tym myślałem, zanim zasnąłem, i doszedłem do przekonania, że prawdopodobnie się nie mylę. Nie miałem tylko jeszcze odpowiedzi na pytanie, kto mógł być „wawą Derrikiem”. Trudno mi było to odgadnąć,

gdyż prawdopodobnie nie znałem człowieka, który się krył pod tym imieniem.

Droga nasza prowadziła teraz przez okolicę zupełnie pozbawioną drzew i zarośli, między północnym a południowym ramieniem Solomon River przez prerie porosłe trawą bawolą.

Gdy po południu zbliżyliśmy się do południowego ramienia rzeki, zobaczyliśmy jeźdźca, który zdążał od północy. Zauważył nas i zawrócił w naszą stronę. Pokazało się niebawem, że mamy przed sobą białego, który stanął stropiony, widząc, że nasza gromadka składa się z białych i czerwonoskórych. To budzi zawsze podejrzenia, toteż nieznajomy czekał na nas ze strzelbą gotową do strzału. Nie podobało się to wcale Hammerdullowi, który zapytał ostro:

— Chcielibyśmy usłyszeć, kim jesteście i w jakim celu odbywacie konne przejażdżki po prerii!

— Przejażdżki? Moja wyprawa wcale nie była przyjemna.

— Dlaczego?

— Powiedzcie wpierw, coście za jedni, a może usłyszycie odpowiedź!

— Okoliczność, że jedziemy w towarzystwie Indian, nie uprawnia was jeszcze do uważania nas za ludzi, którym nie należy dowierzać. Jesteśmy uczciwymi westmanami. Wiemy, że na północy włóczy się mnóstwo trampów, z którymi nie chcemy się spotkać, i dlatego pragniemy usłyszeć, kim jesteście.

Ze stroju i uzbrojenia przybysza wywnioskowałem, że jest on cowboyem.

— Z powodu właśnie tych trampów — odpowiedział uspokojony nieco — nie ufam wam i teraz jeszcze muszę nie dowierzać.

— Hm! Nie mogę wam nakazać, żebyście nam wierzyli, spodziewam się jednak, że zmienicie zdanie, jeśli imię

Winnetou nie jest wam obce.

— Winnetou? Któż go nie zna!

— Czy wiecie, jak wódz Apaczów jest ubrany i uzbrojony?

— Tak. Nosi ubranie skórzane, koc owinięty dokoła bioder, długie włosy i strzelbę srebrzystą...

Zamilkł wpatrując się w Apacza, uderzył się ręką w czoło i zawołał:

— Gdzież ja miałem oczy! Toż to słynny wódz Apaczów! Teraz jestem spokojny! Kim są jego towarzysze, o to już nie dbam: Winnetou otacza się tylko uczciwymi ludźmi. Teraz niczego nie potrzebuję przed wami ukrywać.

— Well! Pytaliśmy już kilkakrotnie, kim jesteście.

— Nazywam się Bell, służę w farmie Harboura. — Gdzie leży ta farma?

— O dwie mile stąd na południe, nad rzeką.

— Chyba niedawno została założona? Niegdyś nie było tam żadnego osiedla.

— Istotnie. Harbour mieszka tu dopiero od dwu lat.

— Widocznie to odważny człowiek, skoro osiedlił się na tym pustkowiu.

— I to prawda. Z Indianami dawaliśmy sobie zawsze radę, ale trampów musimy brać poważniej. Usłyszawszy, że nad Nord Fork włóczy się banda tych rabusiów, pojechałem tam, by się dowiedzieć, co zamierzają. Przekonałem się, że nie ma powodu do obaw, gdyż podążyli teraz do Nebraski. Dokąd chcecie, panowie, dzisiaj dojechać?

— Pojedziemy jeszcze z godzinę zanim rozłożymy się obozem.

— Może byście zajechali do naszej farmy, zamiast nocować pod gołym niebem?

— Me znamy właściciela.

— To dżentelmen w całym tego słowa znaczeniu, a zarazem wielki wielbiciel Winnetou, którego widział kilka razy. Często opowiada o nim, o Old Shatterhandzie oraz o ich wspaniałych koniach...

Urwał znowu, rzucił badawcze spojrzenie na mego karosza i z radością zawołał:

— Do pioruna! Czy to może Old Shatterhand?

— Nie kto inny!

— Wobec tego musicie udać się ze mną do farmy Harboura. Nie wyobrażacie sobie, jak wielką radość sprawicie gospodarzowi i jego ludziom. Nocleg w farmie w każdym razie będzie przyjemniejszy aniżeli pod gołym niebem. Konie wasze dostaną obroku, a wam też podadzą coś lepszego do jedzenia niż to, co można znaleźć na sawannach.

Koniom należało się rzeczywiście trochę ziarna, a my mogliśmy na farmie uzupełnić nasze prowianty, które już się kończyły. Zaopatrzeni w żywność, moglibyśmy podróżować swobodnie, nie tracąc czasu na polowanie. Rzuciłem pytające spojrzenie na Winnetou, on zaś, odpowiedziawszy mi spuszczeniem powiek, zwrócił wzrok na wodza Osedżów. Zrozumiałem tę wskazówkę i powiedziałem do cowboya:

— Widzicie, że mamy jeńca; bardzo nam zależy na tym, aby nie uciekł. Czy możemy liczyć, że na farmie nie będzie miał do tego sposobności?

— Zapewniam was, sir, że będzie u nas tak strzeżony jak w najsurowszym więzieniu.

— Well! Skorzystamy więc z waszego zaproszenia. Odwiedzimy Harboura, skoro twierdzicie, że przyjmie nas tak chętnie.

Już mieliśmy wyruszyć, kiedy Szako-matto, który mógł kierować koniem, ponieważ zostawiliśmy mu wolne ręce, zatrzymał się i oświadczył:

— Wódz Osedżów pragnie coś powiedzieć Old Shatterhandowi i Winnetou, zanim pojedziemy dalej.

— Słuchamy! — zachęciłem go.

.— Wiem, że nie godzicie na moje życie i że puścicie mnie wolno, gdy znajdziemy się dość daleko, abym nie mógł powrócić rychło do domu i sprowadzić swoich wojowników. Ja zaś zdałem dowództwo nad synami Osedżów na Honskej-nonpeja, gdyż nie chciałem, żeby was ścigano — on bowiem jest przeciwny walce i napadom na blade twarze. Czy Old Shatterhand wierzy moim słowom?

— Wystawimy cię na próbę, gdyż wróg nie zmienia się tak prędko w przyjaciela.

— Posłuchajcie, co wam jeszcze powiem! Gdybym teraz odzyskał wolność, nie opuściłbym was.

— Uff! — zawołał Winnetou.

— Wódz Apaczów może się dziwić, ale jest tak, jak powiedziałem. Pojechałbym z wami dobrowolnie.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Chodzi mi o Tibo-taka.

— Tak? Niezupełnie mojego brata rozumiem.

— Bo Old Shatterhand przypuszcza, że wczoraj uszła mej uwadze rzecz dla mnie nadzwyczaj doniosła. Usłyszałem, że Tibo-taka jest czarownikiem Komanczów Naini. Milczałem, ale myślałem nad tym długo. Dziś postanowiłem pojechać z wami, gdybyście mnie nawet uwolnili, ponieważ chcę zdobyć sobie przyjaźń wodza Komanczów, Apanaczki.

— Na co?

— Gdy on zostanie moim przyjacielem, dopomoże mi pochwycić czarownika.

Apanaczka podniósł szybko rękę jak do przysięgi i oświadczył:

— Nigdy tego nie uczynię, nigdy!

— Uczynisz to! — zawołałem stanowczo.

— Nigdy! — stwierdził ponownie.

— Uczynisz to, nawet bardzo chętnie — powtórzyłem spokojnie.

— Wolę umrzeć! Wprawdzie nienawidzę tęgo człowieka, ale to przecież mój ojciec.

— Nie jest nim.

— Żona jego jest moją matką!

— Nie!

— Co Old Shatterhand mówi? Czy potrafi mi to udowodnić?

— Nie, ale czuję, że tak jest.

— Tu trzeba dowodów, a nie uczuć!

— Sądzę, że jesteś dzieckiem porwanym, a porwali cię Tibo-taka i Etters. To dla mnie nie ulega wątpliwości. Że Tibo-wete wzięła udział w porwaniu, tego na razie tylko się domyślam, lecz przyjdzie czas, iż uzyskamy niezbite dowody, a wtedy mi uwierzysz. Gotów jestem pojechać z tobą i wodzem Osedżów do Nainich i zdemaskować czarownika. Teraz jednak nie mówmy o tym, jedźmy dalej!

Cowboy stanął na czele oddziału jako przewodnik, a my ruszyliśmy za nim. Już po upływie pół godziny pokazała się na równinie bujna roślinność — poznaliśmy, że zbliżamy się do rzeki. Niebawem pojawiły się także drzewa, najpierw pojedynczo, a potem w grupach, między którymi pasło się bydło i owce. Dalej ciągnęły się pola kukurydzy, a wreszcie wynurzyły się przed nami budynki farmy.

Kiedy je zobaczyłem, byłbym najchętniej zawrócił, tak bardzo przypomniały mi osiedle Fennera, gdzie omal nie zginąłem marnie. Nie wspomniałem jednak towarzyszom, że

opanowało mnie przeczucie nieszczęścia, bo z pewnością byliby mnie wyśmiali.

Bell pojechał naprzód, by oznajmić właścicielowi farmy o naszym przybyciu, toteż przed domem zastaliśmy zgromadzoną całą rodzinę gospodarza. Poznaliśmy Harboura, jego żonę, trzech synów i dwie córki. Byli to dzielni ludzie, którzy z pewnością nie przestraszyli się jadących z nami Indian. Przyjęto nas gościnnie, a służba przypatrywała się z ciekawością słynnemu wodzowi Apaczów. Winnetou powitał wszystkich dumnym, lecz łaskawym skinieniem głowy, jak prawdziwy król.

Farma, podobna nieco do południowej hacjendy, zbudowana była z drzewa, gdyż kamień nad Solomon River jest rzadkością. Solidna palisada z wielkich pni otaczała obszerne podwórze, na którym od strony północnej wznosił się dom mieszkalny. Od południa stała szopa dla bydła, a na prawo i lewo ciągnęły się zabudowania gospodarskie, domy dla czeladzi i gości. Poza palisadą znajdowało się kilka zagród dla koni, bydła i owiec, z osobnym pomieszczeniem dla wierzchowców Harboura i jego rodziny. Tam właśnie postawiono nasze konie, przy których na moje życzenie pełniło straż dwu parobków.

Dom Harboura składał się z trzech izb. Całą jego połowę zajmował pokój bawialny o trzech oknach opatrzonych szybami. Umeblowanie, wykonane własnoręcznie przez gospodarza, było proste, lecz trwałe, na ścianach wisiały trofea myśliwskie i broń. Tylną część domu zajmowała kuchnia i sypialnia, którą zamierzano nam teraz odstąpić. My jednak oświadczyliśmy, że wolimy przenocować w. pokoju bawialnym przy otwartych oknach.

Gdyśmy się przywitali ze wszystkimi i zaprowadzili nasze konie do zagrody, zapytaliśmy gospodarza, czy na farmie przebywa jeszcze ktoś oprócz stałych mieszkańców.

— Przed godziną — padła odpowiedź — zjawił się tu lekarz, który odprowadza chorą kobietę do fortu Wallace.

— Skąd przybyli? — spytałem.

— Z Kansas City. Kobieta cierpi na nieuleczalną chorobę, rodzaj raka twarzy, tak że musi stale nosić gęstą zasłonę. Przyjechali na dwu koniach, a mają także ze sobą jednego jucznego.

— Ten lekarz musi być albo bardzo śmiałym człowiekiem, albo bardzo nieostrożnym. Dlaczego podróżują bez eskorty?

— Ja także wspomniałem o tym mojemu gościowi. Odpowiedział mi, że przykra dla otoczenia choroba jego pacjentki zmusiła ich do jazdy tylko we dwoje.

— Kiedy mają opuścić farmę?

— Jutro rano. Oboje byli bardzo znużeni, posilili się naprędce i kazali się zaprowadzić do oficyny, gdzie wyznaczyłem dla nich nocleg. Konie ich umieszczono na tylnym dziedzińcu.

Obecność kobiety chorej na raka i lekarza nie mogła budzić w nas niepokoju. Nie potrzebowaliśmy zaprzątać myśli tymi osobami, współczuliśmy tylko z nimi.

Ponieważ przed domem nie było ławek, weszliśmy do izby, gdzie szybko podano nam doskonały posiłek. Zasiedliśmy do stołu z gospodarzem i jego rodziną, a wodzowi Osedżów pozwoliliśmy także wziąć udział w wieczerzy. Przedtem zdjęliśmy z niego pęta, co przyjął z niezmierną wdzięcznością jako dowód naszego zaufania. Byłem pewien, że nie pożałuję tego zarządzenia, chociaż Treskowowi nie bardzo się ono podobało.

Gdy się ściemniło, zapalono dużą lampę, której wesołe światło podniosło jeszcze miły nastrój. Rozwiązały się języki i rozmowa nasza z każdą chwilą stawała się żywsza i bardziej zajmująca. Opowiadano sobie o zdarzeniach,

których nie wymyśliłby najbardziej utalentowany pisarz, nie ma bowiem literata z bujniejszą wyobraźnią niż samo życie. Dick Hammerdull bawił nas swoimi komicznymi historiami, a i Harbour opowiadał niezwykle zajmująco. Dawniej jeździł on wiele po całych Stanach, przeżył mnóstwo osobliwych przygód, w końcu zdobył majątek dzięki śmiałej, a zarazem uczciwej spekulacji. Potem zmienił awanturniczy tryb życia i po kilku próbach w innych stronach kraju tutaj przed dwoma laty założył sobie gospodarstwo.

Podobała mi się jego pogodna, a mocna wiara w Boga, która towarzyszyła mu wszędzie. Ucieszyło mnie też, że nie hołdował zwykłym zapatrywaniom na rasę czerwoną. Opowiedział o kilku wydarzeniach z życia Indian, których charakter mógł każdemu białemu służyć za wzór. Kiedy zaś Treskow odezwał się, że według ogólnego mniemania Indianie nie są zdolni do przyjęcia cywilizacji i chrześcijaństwa, gospodarz rozgniewał się i zapytał poważnie:

— Co właściwie rozumiecie przez cywilizację i chrześcijaństwo? Co otrzymali Indianie od cywilizowanych, chrześcijańskich białych? Dziękuję za taką cywilizację, żyjącą z grabieży ziemi i broczącą we krwi. Nie bierzmy zresztą pod uwagę wyłącznie rasy czerwonej! Popatrzmy także na inne części świata! Czyż ludzie cywilizowani nie rabują wszędzie, nie kradną ziemi, czy nie burzą państw, nie niszczą narodów, nie wydzierają milionom ludzi ich odwiecznych praw? Jako dobry człowiek, jakim niezawodnie jesteście, powinniście zdanie swoje kształtować nie na opiniach zdobywców, lecz na uczuciach zwyciężonych, uciśnionych i podbitych. A jeśli mi zarzucacie, że zdobywcy i twórcy nowych państw istnieli od początku świata, to wam odpowiem tak: to byli Macedończycy, Grecy, Rzymianie, Persowie, Mongołowie i Hunowie, a więc poganie nie znający Chrystusa, który nakazuje nam kochać bliźniego jak siebie samego! Naszą jedyną bronią powinna być miłość i

przebaczenie. Człowiek wynalazł pierwszą broń morderczą, ale wierzę, że znajdzie się kiedyś taki, który ostatnią broń skruszy swymi rękami. Powtarzam jeszcze raz: dopóki krew ludzką przelewa się za pomocą żelaza, prochu i ołowiu, dopóty nie może być mowy o prawdziwej cywilizacji!

Dzielny farmer przestał mówić, a Winnetou ująwszy jego rękę uścisnął ją serdecznie i rzekł:

— Mój biały brat wypowiedział właśnie słowa, które kryją się w głębi mojej duszy. Z jakiego źródła czerpał brat te myśli, które, niestety, nieliczne tylko blade twarze wyznają?

— Z serca nie białego, lecz czerwonego człowieka, który był kapłanem i krzewicielem prawdziwego chrześcijaństwa. Żaden biały nauczyciel ani mówca nie może się z nim równać. Po raz pierwszy spotkałem go po. tamtej stronie gór, nad Rio Puerco. Byłem wtedy w niewoli u Nawahów, którzy mnie już skazali na śmierć przy palu. Wtedy ów czerwony mąż ukazał się między nimi i wygłosił mowę tak wzruszającą, że nieprzyjaciele puścili mnie wolno, zanim jeszcze przebrzmiały jego ostatnie słowa. Był to mocny duchem człowiek, a zarazem siłacz, który nie bał się nawet szarego niedźwiedzia.

— Uff! To mógł być tylko Ikwet-sipa.

— Nie. Wódz Apaczów myli się. Nawahowie nazywali go Sikis-sas.

— To zupełnie to samo. Człowiek ten pochodził ze szczepu Moki, a obie te nazwy znaczą to samo: „Wielki Przyjaciel”. Biali w Nowym Meksyku i w innych krajach, gdzie mówią po hiszpańsku, nazywają go „padre Diterico”.

— Winnetou go znał?

— Widziałem go i słyszałem nieraz jako mały chłopiec. Dusza jego należała do Wielkiego Manitou, serce do uciśnionej ludzkości, a ramię do każdego białego i czerwonego człowieka, któremu groziło niebezpieczeństwo.

Oczy jego promieniały tylko miłością, słowom jego nikt nie mógł się oprzeć, a wszystkie jego czyny zmierzały do tego, aby rozsiewać dobro i szczęście. On sam przyjął chrześcijaństwo i swoje dwie siostry uczynił chrześcijankami. Dobry Manitou użyczył tym kobietom wielkiej piękności, wielu wojowników narażało życie, aby zdobyć ich miłość, ale zawsze na próżno. Starsza nazywała się Techua — Słońce, a młodsza Tokbela — Niebo. Pewnego dnia zniknęły razem z bratem i nikt ich więcej nie widział. ...

— Nikt? — zapytał farmer.

— Nikt! — odrzekł Winnetou. — Przepadły wraz z nimi nadzieje czerwonych wojowników, a w Ikwet--sipie utraciło chrześcijaństwo największego Kaznodzieję, jakiego wydała ziemia. Był on przyjacielem, bratem i wiernym doradcą mego ojca, Inczu-czuny, który go miłował całym sercem i wiele byłby dał za to, nawet życie by naraził, byle się dowiedzieć, co się stało z tymi szlachetnymi ludźmi.

Farmer słuchał opowieści Winnetou z wielką uwagą, a potem zapytał:

— Poprzedni wódz Apaczów chciał ponieść dla nich wielkie ofiary, ale czy obecny byłby także gotów to uczynić?

— Tak. Nie wahałbym się ani przez chwilę, aby spełnić to, czego nie mógł dokonać Inczu-czuna.

—. W takim razie sprowadził was dzisiaj do mnie przedziwny i szczęśliwy przypadek. Mogę wam udzielić

o tych ludziach pewnych wyjaśnień.

Aby określić wrażenie, jakie wywarły te słowa, wystarczy powiedzieć, że Winnetou, wzór spokoju i opanowania, nie wstał z krzesła, lecz zerwał się jak szalony

i chwytając oddech, zawołał:

— Możesz nam udzielić wyjaśnień co do ojca Diterica, którego opłakiwaliśmy od dawna? Czy to możliwe? To chyba pomyłka, złudzenie!

— To nie pomyłka. Mam o nim wiadomości pewne, choć, niestety, nie są one pocieszające. Diterico już nie żyje.

— Uff! Nie żyje?

— Tak.

— A jego siostry?

— O nich nic nie słyszałem. Nie wiem także, co się działo z Diterikiem od chwili jego zniknięcia do śmierci, nie wiem, jak go zamordowano i kto był jego mordercą. Ale widziałem jego grób...

— Kiedy? Gdzie?

— Opowiem to, ale proszę wodza Apaczów, by usiadł i wysłuchał mnie spokojnie.

Winnetou opadł na krzesło, odetchnął głęboko i rzekł przesunąwszy dłonią po czole:

— Mój biały brat ma słuszność. Wojownik, a zwłaszcza wódz, nie powinien poddawać się wzruszeniu. Zachowam się spokojnie, cokolwiek bym usłyszał.

Harbour napił się herbaty ze stojącej przed nim filiżanki i zapytał:

— Czy wódz Apaczów był kiedy w dolinie San Luis?

— Byłem tam kilika razy — odparł Winnetou.

— Czy zna okolice Kaskady Pian?

— Tak.

— A niebezpieczną ścieżkę górską wiodącą na Czarcią Głowę?

— Nie znam ani tej drogi, ani Czarciej Głowy, ale znajdę na pewno jedno i drugie. Howgh!

— Tam właśnie postanowiłem wyrz”ec się Dzikiego Zachodu i awanturniczego życia. Byłem już wtedy żonaty i miałem dwu synków, jeszcze zupełnie małych. Nieźle nam się powodziło, ale kogo życie na Dzikim Zachodzie raz pochwyci w swe szpony, tego niełatwo wypuszcza. Stało się

więc tak, że zostawiłem żonę i dzieci w domu, a sam przyłączyłem się do kilku ludzi, którzy udawali się do Kolorado, aby tam szukać złota. Dostaliśmy się na miejsce szczęśliwie, lecz ja tęskniłem ciągle za rodziną. Po raz pierwszy zrozumiałem, że to co innego narażać się na setki niebezpieczeństw, gdy człowiek jest samotny, a zupełnie co innego, gdy ma żonę i dzieci. Początkowo było nas czterech, ale do doliny doszło tylko trzech, gdyż jeden opuścił nas u stóp gór. Wśród nieopisanych trudów i niewygód szukaliśmy złota przez dwa miesiące, ale na próżno. Wreszcie jeden z nas, doświadczony górnik, spadł ze skały i skręcił sobie kark. Ja i mój towarzysz doszliśmy wobec tego do wniosku, że obecnie nic już nie znajdziemy. I tak się też stało. Przymieraliśmy głodem, ubrania nasze się podarły, a buty spadały nam z nóg. Osłabliśmy zupełnie i na koniec mój towarzysz zachorował i umarł. Kiedy zostałem sam, nie miałem innego wyboru, jak wracać do domu. Szedłem bardzo powoli i śmiertelnie znużony dotarłem po kilku dniach do Czarciej Głowy. Skała ta wygląda rzeczywiście tak, jak gdyby w tym miejscu diabeł pozował rzeźbiarzowi. Rzuciłem się na wilgotny mech i zacząłem płakać. Położenie moje było straszne. Byłem obdarty, wycieńczony, niespokojny o los żony i dzieci, a nadto zagrożony śmiercią głodową, bo wskutek zepsucia się zamka u strzelby nie mogłem nic upolować już od dwóch dni. Nagle wzrok mój padł na ścianę skalną, gdzie widniały litery wyryte nożem lub innym ostrym narzędziem. Zdziwiło mnie to niezmiernie. Wstałem i podszedłem do skały, żeby przeczytać napis. Z bliska zobaczyłem nie tylko litery, lecz także figury, których znaczenia nie mogłem zrozumieć. Były to postacie ludzkie, umieszczone w górze i po obu bokach wyrytego na skale krzyża. Pod krzyżem napisane było wyraźnie: „Na tym miejscu padre Diterico został zamordowany przez J.B.”. Pod tymi słowami wyryto słońce; po jego prawej stronie była litera E, a po lewej B.

— Czy rzeczywiście — przerwał Winnetou — można było przeczytać na skale słowa „padre Diterico”?

— Tak.

— A morderca był oznaczony literami J. B.?

— Tak.

— Czy mój brat Harbour zna może człowieka, którego imię i nazwisko zaczynają się od tych liter?

— Takich ludzi istnieją zapewne tysiące, lecz ja nie znam żadnego z nich.

— Czy mój brat sądzi, że ten grób nie kłamie?

— Jestem tego pewien. Komu przyszłoby na myśl wykuwać fałszywy napis na skale?

— Gdzie był umieszczony grób? Chyba nie w litej skale.

— Nie, lecz tuż pod nią. Wzgórek był porośnięty mchem i widocznie pielęgnowany.

— Na pustkowiu, w górach? Uff!

— To jeszcze nie takie dziwne. Ale posłuchajcie, co się potem przydarzyło. Możecie sobie, panowie, wyobrazić, jakiego uczucia doznałem, kiedy tak niespodzianie znalazłem grób Diterica. Osłabłem jeszcze bardziej, krzyknąłem i osunąłem się na ziemię. Obudziłem się dopiero około południa następnego dnia, czyli przeleżałem tam prawie całą dobę. Znużony i wygłodniały, z biedą zawlokłem się do pobliskiego źródła, a potem przetrząsnąłem zarośla, gdzie na szczęście znalazłem kilka jadalnych korzeni i po ich spożyciu zasnąłem powtórnie. Obudziłem się pod wieczór i zobaczyłem koło siebie kawał pieczonej owcy. Kto go mógł położyć? Nie było to dla mnie rzeczą obojętną, ale nie zastanawiałem się długo, tylko zabrałem się do jedzenia i jadłem, dopóki się nie nasyciłem i nie zasnąłem po raz trzeci. Spałem do rana i wstałem o wiele silniejszy. Reszta mięsa leżała na dawnym miejscu. Schowałem je i udałem się na poszukiwanie tajemniczego dobroczyńcy. Nie

znalazłem jednak żadnych śladów, a na moje wołania nikt nie odpowiedział. Wobec tego wróciłem do grobowca i wyjąwszy mięso z kryjówki, puściłem się w dalszą drogę. Następnego dnia, kiedy skończył się mój zapas mięsa, spotkałem pewnego myśliwca, który wziął mnie pod swoją opiekę. Jak powróciłem do domu, to w. tej chwili rzecz nieważna. Opowiedziałem wam o grobowcu, a wódz Apaczów wierzy chyba teraz memu twierdzeniu, że padre Diterico już nie żyje.

Winnetou podniósł głowę i zwrócił na mnie pytające spojrzenie, a ja odpowiedziałem natychmiast na jego nieme wezwanie.

— Moim zdaniem — stwierdziłem — nie ulega żadnej wątpliwości, że popełniono tam morderstwo.

— Mój brat wierzy zatem grobowi i pismu? — zapytał Apacz.

— Tak. Nasz zacny gospodarz, Mr Harbour, opowiedział mi daleko więcej, niż sądzi. Znalazłem nareszcie poszukiwanego daremnie „wawę Derrika”.

— Uff, uff! Któż to jest?

— Padre Diterico.

— Uff!

— Zdziwisz się jeszcze bardziej, gdy ci powiem, że Tokbela, młodsza siostra Diterica, to Tibo-wete, żona czarownika Nainich. Mogę ci też powiedzieć, że Tehua, starsza siostra, żyje prawdopodobnie. Słyszałeś, że pod napisem wyryte jest słońce. Starsza siostra nazywała się Tehua, czyli Słońce. Ona to postawiła pomnik, a zatem żyła wtedy, kiedy zamordowano jej brata.

— Uff! To myśl prosta i słuszna! Ale jeśli Tehua rzeczywiście jeszcze żyje, to gdzie mamy jej szukać?

— Ukrywa się zapewne i stara się, żeby nikt nie znalazł jej kryjówki.

— Z czego to wnosisz?

— Kawał pieczonej baraniny pochodził od niej, ale nie chciała się pokazać człowiekowi, którego ocaliła od śmierci.

— Po cóż miałaby żyć w ukryciu, skoro wie, iż przyjaciele martwią się z jej powodu w ojczyźnie?

— To tajemnica, której na razie zbadać niepodobna. Możliwe, że Tehua czeka tam na mordercę, jeśli zna zwyczaj zbrodniarzy odwiedzania miejsca zbrodni. Może od powrotu do ojczyzny wstrzymuje ją jej rodzina...

— Rodzina? Czy mój brat sądzi, że Tehua jest mężatką?

— Jeśli młodsza siostra ma męża, czyż starsza nie mogła jeszcze prędzej wyjść za mąż?

— To słuszne, ale jedna okoliczność niweczy przypuszczenia mojego brata Old Shatterhanda.

— Jaka?

— Nasz brat Harbour był przyjacielem Diterica i znał jego siostry. Tehua nie ukrywałaby się przed przyjacielem, lecz przeciwnie, zajęłaby się nim osobiście.

— Byłaby to może uczyniła, gdyby go poznała. Zważ, że od czasu jej zniknięcia upłynęło wiele lat. Mr Harbour zmienił się niewątpliwie, a w dodatku był wtedy śmiertelnie wyczerpany i obdarty.

— Ale pomyśl, czyż słaba kobieta mogłaby wieść w Górach Skalistych to samotne, ciężkie życie?

— Być może nie jest samotna. I czy nie istnieje wielka różnica między zahartowaną Indianką a białą kobietą?

— Uff! Old Shatterhand odpiera dziś z łatwością wszystkie moje zarzuty. Muszę uznać słuszność jego twierdzeń.

— Nie są to twierdzenia, ale raczej domysły. Celem naszej podróży jest dolina San Luis. Gdy tam dotrzemy,

odwiedzimy grób i przekonamy się, czy moje domysły są słuszne.

— Tak, odszukamy grób i postaramy się znaleźć ślad mordercy. Biada mu, gdy go pochwycimy! Nigdy nie sprzeciwiałem się bratu Shatterhandowi, ilekroć kierował się łagodnością, ale w tym wypadku nie będę znał łaski!

Winnetou, ufny w swe siły, spodziewał się, że po przeszło dwudziestu latach odnajdzie ślad mordercy, a ja nie wątpiłem, że mu się to uda. Przyznałem rację Apaczowi co do konieczności ukarania zbrodniarza i oświadczyłem:

— Jestem gotów postąpić w tym wypadku z największą surowością. Żywię także mocne przekonanie, że nie na próżno udamy się do grobowca.

— Na jakiej podstawie doszedł mój brat do tego przekonania?

— Czy Winnetou sądzi, że był tam tylko jeden morderca?

— Przypuszczam, że było ich więcej.

— Słusznie! Jeden z nich jest już w drodze do doliny.

— Uff! Kto taki?

— Douglas, zwany „generałem”.

— Uff, uff! Ten człowiek brał udział w morderstwie. Jak Old Shatterhand wpadł na ten domysł?

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że swego czasu „generał” zgubił w farmie Helmersa pierścień, który mnie potem oddano i który stale nosiłem na palcu. Zdjąłem go teraz i podałem Apaczowi mówiąc:

— Mój brat widział ten pierścień w Helmers Home. Niech się przypatrzy literom wyrytym na stronie wewnętrznej.

Winnetou przyjrzał się obrączce, przeczytał napis „E. B. 5. VIII. 1842”, podał następnie pierścień farmerowi i rzekł:

— Jeśli nasz brat Harbour chce się przekonać, że jesteśmy na tropie morderców, niechaj porówna te litery z napisem na skale grobowej!

Spojrzawszy na pierścień gospodarz zawołał:

— Do diabła! Litery E. B., które znalazłem na owej skale! W nazwisku mordercy jest także B, które wprawdzie...

Nie dosłyszałem dalszych słów, gdyż uwagę moją zaprzątnęło coś innego. Oto zobaczyłem w oknie twarz mężczyzny stojącego na dworze i zaglądającego do pokoju. Twarz ta, jasna jak u człowieka białego, wydała mi się znajoma, chociaż nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie ją już widziałem. Miałem właśnie przestrzec obecnych przed podsłuchującym, kiedy Szako-matto wyciągnął rękę i krzyknął:

— Tibo-taka! Za oknem stoi Tibo-taka!

Wszyscy, którzy znali to nazwisko, zerwali się na równe nogi. Był to istotnie czarownik Komanczów Naini! Twarz jego nie była teraz czerwonobrunatna, toteż nie poznałem go od razu. Obecność tego osobnika za oknem jasno oświetlonej izby groziła nam wielkim niebezpieczeństwem. Przypomniałem sobie Old Wabble a i rozkazałem:

— Czym prędzej zgaście światło! Może do nas strzelić.

Nie dokończyłem jeszcze ostrzeżenia, kiedy rozległ się brzęk rozbitej szyby i w oknie ukazała się lufa. Jednym skokiem znalazłem się w kącie izby, a w tej samej chwili huknął strzał, dla mnie niewątpliwie przeznaczony. Kula przeleciała nad moim krzesłem i wbiła się w ścianę. Lufa znikła, a wtedy poskoczyłem do lampy i zgasiłem ją. Gdy izbę zaległa ciemność, podbiegłem do drzwi, otworzyłem je, dobyłem rewolweru i wyjrzałem na dwór. W tym czasie ani jedna gwiazda nie świeciła na niebie, panowały nieprzejrzane ciemności. Apacz stanął przy mnie, wyjrzał ostrożnie przez drzwi i rzekł:

— Nie ma go już tutaj, śpieszmy za nim! Gdyby czarownik był sprytniejszy, nie opuściłby

swego stanowiska, lecz dałby drugi strzał, kiedy ukazałem się w drzwiach. Najwidoczniej jednak uciekł zaraz po pierwszej nieudanej próbie, Szybko oddaliliśmy się , z Winnetou od domu, położyliśmy się na ziemi i zaczęliśmy nadsłuchiwać. Ziemia drżała wyraźnie od tętentu trzech koni pędzących na zachód. Liczba koni wskazywała, że czarownik nie był na farmie sam. Dziwiło nas, że potrafił przedostać się tak daleko, mijając kraje wrogich szczepów. Jaki powód mogła mieć jego niebezpieczna podróż?

Zaczęliśmy się zastanawiać nad tymi pytaniami i wkrótce mieliśmy odpowiedź na nasze wątpliwości.

— Tibo-taka zrobił się białym lekarzem, który odprowadza chorą kobietę do fortu Wallace — rzekł Apacz. — Co brat Shatterhand myśli o tym?

— Myślę, że odgadłeś trafnie. Chora dama to Tibo--wete, której rzekomy lekarz kazał zasłonić twarz, aby ukryć, fakt, że podróżuje z Indianką. Nie jadą oczywiście do fortu Wallace, lecz z „generałem” do Kolorado. Jestem pewien, że spotkamy morderców nad grobem zamordowanego! Chodź, wypytamy jeszcze farmera!

Wróciwszy zastaliśmy wszystkich przed domem ze strzelbami w rękach. Dick Hammerdull, który słyszał naszą rozmowę odnoszącą się do nazwiska Tibo, ale nie pojął wszystkiego, rozprawiał głośno:

— Jeśli to rzeczywiście był Tibo-taka, w takim razie przyszli tutaj Komancze, żeby napaść na farmę. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Mr Harbour, zwołajcie wszystkich swoich ludzi i przygotujcie się do obrony!

Obecni zaczęli sprzeczać się z sobą, każdy doradzał co innego. Aby położyć kres zamieszaniu, krzyknąłem głośno:

— Cicho, ludzie! Czemu tak wrzeszczycie ?

— Co za pytanie! — odparł Hammerdull. — Komancze !

— Gdzie?

— Gdzieżby, jeśli nie tutaj! Wszak ich czarownik dał już jeden strzał!

— Skąd wzięliby się tu, nad Solomon River, Komancze ?

— Przyjechali na koniach!

— A może na małpach i wielbłądach? Pomyślcie tylko, przez ile nieprzyjacielskich krajów musieliby się przedzierać! Tylko ludzie pozbawieni zdrowego rozsądku odważyliby się na podobną wyprawę!

Hammerdull wycofał się zawstydzony, a ja zwróciłem się do Szako-matty, którego obecność w grupie obrońców farmy ucieszyła mnie niezmiernie. Mógł przecież skorzystać ze sposobności i umknąć, zabierając broń; skoro tego nie uczynił, dał najlepszy dowód, że istotnie zamierza z nami jechać dobrowolnie.

— Od tej chwili wódz Osedżów jest wolny — powiedziałem do niego. — Może pójść, gdzie zechce.

— Zostanę z wami — odrzekł. — Ponieważ Tibo-taka sam się tu zjawił, już mi nie ujdzie. Czy wyruszycie za nim?

— Bezwarunkowo. Czy poznałeś go od razu?

— Oczywiście. Czego on chce w Kansas? Czemu zakradł się nocą do farmy?

— Nie zakradł się nocą, lecz był tu jeszcze przed nami. Zaraz ci to udowodnię. Czy lekarz z chorą kobietą jest jeszcze? — zwróciłem się do stojącego przy mnie farmera.

— Nie — odpowiedział Harbour. — Bell zawiadomił mnie, że odjechali.

— To nie był lekarz, lecz czarownik Komanczów Nami, a kobieta jest jego żoną. Czy rozmawialiście z nią?

— Nie, ale słyszałem jej głos.

— Co mówiła?

— Żądała od rzekomego lekarza mirtowego wianka, a on wyprowadził ją z izby czym prędzej.

— Miał odjechać dopiero jutro rano. Dlaczego zmienił tak nagle plany?

W tej chwili podszedł do nas cowboy Ball i oświadczył: — Mogę wam to wyjaśnić, Mr Shatterhand. Ten człowiek przyszedł na dziedziniec do koni, a usłyszawszy głośny śmiech w izbie, gdzie Mr Hammerdull opowiadał właśnie jedną ze swych wesołych historii, zapytał mnie, kto się tam znajduje. Powiedziałem mu to oczywiście i dostrzegłem mimo ciemności, że się przestraszył. Potem podeszliśmy do domu i on zajrzał przez okno do izby. Dał mi kilka dolarów i powiedział, prosząc o sekret, że nie może tu dłużej pozostać, gdyż niedawno wygrał z wami proces w Kansas City, a wy poprzysięgliście mu z tego powodu krwawą zemstę. Prosił mnie też, żebym nie ”zawiadamiał was o tym, że tu nocował. Żal mi się go zrobiło, otworzyłem więc tylną bramę i wypuściłem go razem z kobietą i koniem jucznym. Łajdak przywiązał widocznie w pobliżu wszystkie trzy konie i zakradł się z powrotem.

— Nie inaczej, Mr Bell. Popełniliście wielki błąd, lecz nie jesteście temu winni, bo nie wiedzieliście, co to za zbrodniarz. Czy mówił wam tylko o mnie?

— Tak.

— A o młodym czerwonym wojowniku, którego nazywamy Apanaczką?

— Ani słowa!

— Well! Chciałbym teraz zobaczyć izbę, w której nocował z żoną.

Cowboy zapalił latarnię i zaprowadził mnie przez dziedziniec do niskiego budynku o jednej izbie i płaskim dachu. Należało się spodziewać, że czarownik nie był na tyle nieostrożny, aby zostawić po sobie jakiekolwiek ślady. Mimo to postanowiłem zbadać wszystko, bo tak nakazywało mi

długie doświadczenie w tych sprawach. Nic jednak nie znalazłem i powróciłem do izby, gdzie zastałem swoich towarzyszy i wszystkich domowników zajętych ożywioną rozmową o tych niezwykłych wydarzeniach.

Zebrani snuli rozmaite domysły, dotyczące podróży czarownika z żoną aż do Kansas, zastanawiali się nad powodem i celem wyprawy, lecz nikt nie zdołał trafić w sedno. Ani ja, ani Winnetou nie wyprowadziliśmy nikogo z błędu, zapewniliśmy tylko wszystkich, że nazajutrz udamy się w pogoń za czarownikiem i że wkrótce wyjaśni się niejedna tajemnicza sprawa.

Zamierzaliśmy wyruszyć wcześnie, toteż nie zwlekając udaliśmy się na spoczynek. Zasnąłem jednak nie od razu. Potem jakiś dziwny sen tak mocno zaczął mnie trapić, że wkrótce się obudziłem. Wstałem, wyszedłem po cichu z izby i udałem się do zagrody,- gdzie stały nasze konie. Pełnili tam straż dwaj parobcy.

— Czy wszystko w porządku? — spytałem zamknąwszy za sobą furtę.

— Tak — odpowiedziano mi.

— Mój kary i koń Winnetou kładą się zazwyczaj w nocy, a teraz stoją. To mi się nie podoba.

— Wstały właśnie teraz, gdy wyście się zbliżali.

— Z pewnością nie to było powodem. Popatrzcie na nie!

Konie zwróciły głowy ku domowi, a oczy ich gorzały niepokojem. Ujrzawszy mnie parsknęły. Był. to skutek starannej tresury. Wierzchowce indiańskie w nieobecności panów, nawet wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa, zachowują się zazwyczaj spokojnie i dopiero gdy właściciele ich wrócą, oznajmiają im swe obawy parskaniem.

— Coś wisi w powietrzu — powiedziałem do parobków. — Miejcie się na baczności! Jacyś ludzie są w pobliżu domu. Czy to przyjaciele, czy wrogowie, to się dopiero pokaże. Ale

podejrzane jest, że się ukryli — przyjaciele nie potrzebują tego czynić. Albo siedzą tam za krzakami, albo leżą już bliżej w wysokiej trawie.

— Do diabła! To chyba nie banda trampów, z powodu których Bell jeździł nad Nord Fork?

— Zobaczymy. Lepiej będzie, jeśli pierwsi wystąpimy nie czekając aż nieprzyjaciel rozpocznie atak. O, tam, naprzeciw bramy podniósł się ktoś z trawy! Nie zdążę już wrócić do izby, ale zbudzę towarzyszy! Czy macie strzelby?

— Tam stoją oparte.

— Weźcie je, aby bronić zagrody, lecz nie strzelajcie, dopóki wam nie powiem.

Złożywszy dłonie przy ustach, krzyknąłem trzy razy, naśladując głos orła tak donośnie, że słychać mnie było pewnie na pół mili angielskiej wokoło. W kilka sekund potem zabrzmiał taki sam okrzyk w izbie. Była to odpowiedź Winnetou, który zrozumiał doskonale moje ostrzeżenie. Natychmiast zerwało się z trawy mnóstwo ciemnych postaci, a powietrze zadrgało donośnym wyciem, w którym rozpoznałem hasło do ataku Indian Szejenów.

Co ich tu sprowadziło? Dlaczego zapuścili się aż tak daleko? Czy wykopali topór wojenny tak samo jak Osedżowie? Nie potrzebowaliśmy się ich obawiać, gdyż Apacze żyli z nimi w. przyjaźni — wystarczy przypomnieć to, co Szako-matto opowiadał staremu Wabble owi pod „drzewem z włócznią”. Winnetou, stanąwszy ongiś na czele Szejenów, dopomógł im do zdobycia obozu Osedżów, mógł więc liczyć na ich wdzięczność. Ja zaś wiedziałem, że żaden przyjaciel wodza Apaczów nie będzie wrogiem Old Shatterhanda.

Uderzyło mnie to, że napastnicy nie rzucili się najpierw do koni, co zwykle czynią Indianie. Z niezrozumiałych dla mnie powodów atak wymierzony był jedynie na dom. Zagrody nie trzeba było bronić, gdyż żaden czerwonoskóry

tu się nie zjawił. Zapewne zamierzali zakraść się pod drzwi wiodące do mieszkania, wywalić je i wpaść do wnętrza, lecz przeszkodziłem w tym, zbudziwszy mieszkańców okrzykiem orła. Napad nie mógł się teraz udać.

Indianie stanęli przed drzwiami bezradnie, jakby sobie nie zdawali sprawy, że mieszkańcy domu mogą do nich strzelać przez okna. Wyjąc i rycząc utworzyli przed budynkiem półkole, sięgające od jednego rogu do drugiego. Potem się uciszyli. Znając Winnetou, byłem pewien, że teraz przemówi. Rzeczywiście, otworzywszy drzwi, stanął w nich bez obawy i zawołał donośnym głosem: . . .

— Słyszę okrzyk wojenny Szejenów! Tu stoi wódz Apaczów, Winnetou, który wypalił z nimi fajkę pokoju i przyjaźni. Jak nazywa się wasz dowódca?

Ze środka półkola odpowiedziano:

— Dowódcą Szejenów jest Wicz-panaka, Żelazny Nóż.

— Winnetou zna wszystkich sławnych wojowników Szejenów, lecz nic mu nie wiadomo o Wicz-panace. Od kiedyż to on jest wodzem?

— Na to odpowie on wówczas, gdy mu się spodoba!

— Dlaczego? Czy wstydzi się swego imienia? Po co Szejenowie przyszli do tego domu z okrzykiem wojennym?

— Po Szako-mattę, wodza Osedżów.

— Uff! A skąd wiecie, że on jest tutaj?

— Nie potrzebujemy nikomu tego wyjawiać.

— Uff, uff! Szejenowie potrafią tylko ryczeć, a nie mówić. Winnetou przyzwyczajony jest otrzymywać odpowiedzi na swoje pytania.. Jeśli mu nie odpowiecie, wejdzie do domu i zaczeka spokojnie na dalsze wypadki.

— Zdobędziemy dom szturmem.

— Spróbujcie! My mamy strzelby.

— Spalimy go!

— Uważajcie, żeby nie było wam przy tym za gorąco.

— Żądamy wydania Szako-matty. Gdy go dostaniemy, odejdziemy spokojnie.

— Lepiej zrobią Szejenowie, jeśli opuszczą nas zaraz, nie czekając na wydanie wodza Osedżów.

— Nie oddalimy się, dopóki nie będziemy go mieli w swych rękach. Wiemy, że w tym domu znajduje się Old Shatterhand, Winnetou i młody wojownik Apanaczka. Tego ostatniego też musicie nam wydać.

— Czy chcecie zabić Szako-mattę?

— Tak.

— I Apanaczkę?

— Jemu nic się nie stanie. Jest tu między nami ktoś, kto pragnie z nim pomówić. Potem będzie mógł odejść, dokąd mu się spodoba.

— Nie wyjdzie ani on, ani Szafco-matto.

— Wobec tego musimy Old Shatterhanda i Winnetou uważać za nieprzyjaciół i zabić ich także.

— Spróbujcie, czy tego dokonacie!

— Winnetou jest chyba rażony ślepotą! Czy nie widzi, że tu stoi osiem razy po dziesięciu wojowników? Czyż oprą się nam ludzie znajdujący się w domu, jeśli przypuścimy szturm? Wszystkich czeka niechybna śmierć. Zostawiamy wodzowi Apaczów godzinę, żeby się mógł naradzić z Old Shatterhandem. Gdy ten czas upłynie, a Szako-matto i Apanaczka nie zostaną nam wydani, będziecie musieli zginąć. Howgh!

Zanim Winnetou odpowiedział, stało się coś, czego ani on, ani wódz Szejenów się nie spodziewali. Tę niespodziankę ja im sprawiłem. Sposób dokonywania napadu pozwolił mi się domyślić, że podjęli się tego przedsięwzięcia ludzie zupełnie niedoświadczeni. Uderzać na dom od frontu, nie otoczywszy go równocześnie, utworzyć potem półkole i

wystawiać się na kule obrońców — to były błędy godne politowania. Osiemdziesięciu napastników nie zrobiło widocznie wrażenia na Apaczu, bo nazywał ich tylko Szejenami, a nie wojownikami Szejenów.

Wymknąłem się ostrożnie z zagrody i położywszy się na ziemi, poczołgałem aż do miejsca, na którym stał Żelazny Nóż. Przyszło mi to z łatwością, ponieważ Indianie patrzyli w stronę domu, nie zważając na te, co się działo za nimi. Kiedy wódz ich wymówił „howgh!”, podniosłem się i skoczyłem naprzód, przebiłem się przez szereg Indian i stanąłem obok dowódcy, zanim ktokolwiek miał czas pomyśleć, aby temu przeszkodzić.

— Nie potrzeba godziny, żeby Szejenowie dowiedzieli się, co postanowimy. Mogą usłyszeć to zaraz! — zawołałem. — Tu stoi Old Shatterhand, którego znacie zapewne wszyscy. Jeśli któryś z was ma odwagę podnieść na mnie rękę, niech przystąpi bliżej!

Moje wystąpienie zaskoczyło Indian, a wyzwanie stropiło ich do reszty. Skorzystałem z wrażenia, jakie na nich wywarłem, i pochwyciwszy dowódcę za rękę rozkazałem:

— Wicz-panaka zaraz usłyszy, co chcemy z Szejenami uczynić. Niech idzie ze mną!

Pociągnąłem go do drzwi. Była to z mej strony już nie odwaga, lecz bezczelność, ale Wicz-panaka tak się przeraził, że wcale nie stawiał oporu. Posłusznie, jak dziecko, podszedł ze mną do Winnetou, który stał jeszcze w drzwiach i chwycił go za drugą rękę. Wciągnęliśmy Szejena do środka i zamknęliśmy drzwi za sobą.

Szejenowie dopiero teraz poznali, jaki popełnili błąd, dopuszczając do porwania wodza. Podnieśli dziki wrzask, lecz my nie troszczyliśmy się o to: nie mogli nic przeciwko nam przedsięwziąć, dopóki Żelazny Nóż był w naszej mocy.

— Niech Wicz-panaka usiądzie z nami — rzekłem wskazując mu krzesło. — Jesteśmy przyjaciółmi Szejenów i

cieszymy się widząc u siebie ich wodza jako gościa.

Młody Indianin usiadł bez sprzeciwu. Przybył na czele osiemdziesięciu ludzi, żeby zdobyć farmę, a w dziesięć minut po pierwszym okrzyku wojennym znajdował się w niej, lecz nie jako zwycięzca. Wpadł w nasze ręce i musiał się z tym pogodzić, że drwiliśmy z niego nazywając go gościem. Swoim bezczelnym wystąpieniem zapobiegłem rozlewowi krwi i sprawiłem to, że Szejenowie byli wobec nas bezsilni,

Wicz-panaka siedział między nami, patrząc ponuro w ziemię. Szako-matto zajął miejsce naprzeciw niego , i zapytał posępnie:

— Czy dowódca Szejenów mnie zna? Jestem wodzem Osedżów, zwanym Szako-matto. Jak Wicz-panaka sądzi, co z nim zrobimy?

— Old Shatterhand nazwał mnie gościem! — odparł zapytany.

— To powiedział Old Shatterhand, lecz nie ja. Chciałeś mnie zabić, przeto mam teraz prawo żądać twojej śmierci.

— Old Shatterhand mnie obroni!

— To będzie zależało od tego, jak się teraz zachowasz — rzuciłem surowo. — Jeśli mi udzielisz wiadomości, których od ciebie zażądam, zostaniesz pod moją opieką, w przeciwnym razie nie. Spotkaliście dzisiaj białego człowieka z czerwoną skwaw?

— Spotkaliśmy.

— Ten biały powiedział wam, że znajdujemy się tutaj i że jest z nami Szako-matto?

— Tak.

— Za tę przysługę zażądał od was wydania Apanaczki, który tu siedzi obok ciebie?

— Tak.

— Co chciał z Apanaczką uczynić?

— Me wiem. Nie pytałem o to, gdyż ten czerwony wojownik jest mi zupełnie obojętny.

— Gdzie jest teraz ów biały?

— Tego nie wiem.

— Nie okłamuj mnie! Miałeś sprowadzić białemu Apanaczkę, musisz zatem wiedzieć, gdzie teraz przebywa. Jeśli jeszcze raz skłamiesz, wydam cię wodzowi Osedżów, który jest twoim śmiertelnym wrogiem. Wyjaw zatem, gdzie znajduje się biały!

Groźba poskutkowała widocznie, bo Żelazny Nóż odpowiedział:

— Jest z moimi wojownikami.

— Ale bez skwaw?

— Ona jest tam, gdzie zostawiliśmy konie. Teraz zabrał głos Winnetou:

— Bywałem często u Szejenów, ale nigdy nie widziałem tam Wicz-panaki. Jak mam to sobie tłumaczyć?

— My należymy do szczepu Szejenów Nukweint, u których wódz Apaczów nie był jeszcze.

Winnetou zamilkł, wobec czego ja przedłożyłem Szejenowi następne pytanie:

— Widzę, że porwaliście za tomahawki. Przeciw komu wymierzona jest wasza wyprawa?

Zawahał się z odpowiedzią, lecz na groźny mój gest, którym wskazałem na Szako-mattę, przyznał się:

— Przeciw Osedżom.

— Słyszeliście, że Osedżowie opuścili obóz, by wyruszyć przeciwko bladym twarzom, i postanowiliście skorzystać ze sposobności i ograbić ich osiedle?

— Tak.

— Cieszcie się zatem, żeście się z nami spotkali, bo Osedżowie wrócili już do domu i byliby wam, osiemdziesięciu wojownikom, zabrali skalpy. Cóż zamierzacie teraz uczynić?

— Zabierzemy z sobą Szako-mattę. Apanaczkę możecie sobie zatrzymać,

— Nie bądź śmieszny! Wiesz dobrze, że jesteś moim jeńcem. Czy sądzisz, że boimy się twoich osiemdziesięciu ludzi? Szejenowie Nukweint znani są z tego, że zupełnie nie rozumieją się na walce.

— Uff! — wybuchnął Indianin gniewnie. — Kto ci to powiedział?

— Sami dowiedliście tego dzisiaj. Napad urządziliście tak głupio, jak gdybyście byli małymi chłopcami. Potem stanąłem pomiędzy wami, a nikt nie odważył się mnie dotknąć. Wziąłem cię za rękę i poszedłeś ze mną do domu jak dziecko. Jeśli wiadomość o tym puścimy w świat, wielki śmiech przeleci przez sawanny i góry, a inne szczepy Szejenów wyrzekną się was. Jeśli chcesz walki, to zabijemy cię tutaj, skoro tylko twoi ludzie dadzą jeden strzał. Wasze kule nam nie zaszkodzą, ponieważ chronią nas ściany...

— Pshaw! — przerwał mi Winnetou przystępując do Żelaznego Noża. — Po co te długie rozmowy! Zaraz uporamy się z Szejenami!

I zdarł Wicz-panace z piersi worek z talizmanami. Młody wódz zerwał się z okrzykiem przerażenia. W tej chwili jednak przyskoczyłem i przygniotłem go do krzesła mówiąc:

— Siedź! Jeśli będziesz posłuszny, otrzymasz „leki” z powrotem, inaczej nie!

— Tak, jeśli będziesz posłuszny — potwierdził Winnetou. — Życzę sobie, żeby Szejenowie odeszli w pokoju. Gdy to uczynią, nic im się złego nie stanie i nikt się nie dowie, że zachowali się tu jak małe dzieci. Jeśli jednak Wicz-panaka na

to się nie zgodzi, wrzucę jego „leki” do ognia, a zaraz potem przemówią nasze strzelby. Howgh!

Kto wie, czym są talizmany dla czerwonoskórych, a zwłaszcza dla wodzów, ten nie zdziwi się, że Szejen, chociaż po dłuższym wahaniu, przystał na żądanie Apacza.

— Ja bym postawił jeszcze jeden warunek — wtrącił Treskow.

— Jaki? — spytałem.

— Szejenowie muszą nam wydać Tibo-taka i Tibo-wete!

— To wykluczone! — zawołałem. — Byłby to wielki błąd z naszej strony. Zresztą jestem pewien, że czarownika nie ma już między Szejenami. Widząc, że zabieram ich wodza, zrozumiał pewnie od razu, co się święci,

i ulotnił się czym prędzej. Jest mi to bardzo na rękę, a dlaczego, to później zrozumiecie.

Szejenowie odjechali jeszcze przed południem, zadowoleni, ze niefortunny ich napad na farmę skończył się bez rozlewu krwi. My wyruszyliśmy także w godzinę po nich. Szako-matto otrzymał z powrotem swoją broń i towarzyszył nam jako wolny człowiek. Był bardzo wzburzony, iż czarownik umknął nam znowu; Dick Hammerdull starał się go pocieszyć mówiąc:

— Niech wódz Osedżów nie rozpacza. Pochwycimy na pewno czarownika, bo co ma wisieć, nie utonie. Dla takiego draba nie ma piękniejszej śmierci jak na powrozie! Nieprawdaż, Holbers, stary szopie?

— Yes, kochany Dicku — odparł chudzielec. — Ty zawsze masz słuszność.

X. KOLMA-PUSZI

Na drugi dzień po opuszczeniu farmy Harboura zdarzył się nam przykry wypadek. Koń Treskowa upadł, wyrzucił go z siodła, a zaraz potem, zerwawszy się, popędził dalej, wlokąc za sobą jeźdźca zawieszonego jedną nogą w strzemieniu. Wprawdzie zatrzymaliśmy wkrótce konia, ale Treskow byt tak potłuczony, że nie mógł się prawie poruszać.

Na szczęście w pobliżu znalazła się woda. Zanieśliśmy tam chorego i rozłożyliśmy się koło źródła obozem.

Winnetou zbadał Treskowa. Okazało się, że kości nie są uszkodzone, ale Treskow nie odznaczał się bynajmniej odpornością westmanów, którzy w szkole trudów i niewygód nauczyli się znosić ból bez skargi. Toteż straciliśmy całe trzy dni, zanim mogliśmy się puścić w dalszą drogę. Trzeba było pogodzić się z myślą, że nie dościgniemy Old Surehanda przed jego przybyciem do doliny San Luis. W innych okolicznościach nie miałoby to wielkiego znaczenia, lecz teraz za tym samotnym wędrowcem szła gromada ludzi, którym nie można było ufać. Gdyby Old Surehand wiedział, że „generał” podąża równocześnie z nim do tego samego „parku”, zachowałby wszelkie środki ostrożności, ale nie miał przecież o tym pojęcia. Co do starego Old Wabble a, można się było spodziewać, że nam z kolei będzie następował na pięty. To, że zabraliśmy mu konia, mogło co najwyżej opóźnić jego zemstę. Nie schodził mi także z myśli Tibo-taka. Nie znałem celu jego podróży, bo oświadczenie, że jedzie do fortu Wallace, było oczywiście kłamstwem. Obaj z Winnetou podejrzewaliśmy, że „generał” wezwał czarownika, żeby udał się do Kolorado i spotkał się z nim w oznaczonym miejscu. Tibo-taka, jadący samotnie,

skrępowany ponadto obecnością obłąkanej kobiety, nie był dla nas groźny. Ponieważ jednak szczęście sprzyja czasami takim opryszkom, przeto wypadało liczyć się z nim także.

Byliśmy więc podczas całej naszej podróży bardzo ostrożni. Przekroczywszy granicę wjechaliśmy w głąb stanu Kolorado bez przeszkód, nie natrafiając jednak nigdzie na ślad poszukiwanych przez nas osób.

Znajdowaliśmy się w pobliżu Rush Creek. Winnetou znał w tej okolicy miejsce nadające się na obozowisko, do którego chcieliśmy dotrzeć pod wieczór. Wedle opisu Apacza było tam nigdy nie wysychające źródło, otoczone wałem usypanym z kamieni. Dla westmana taki wał, choćby niewysoki, jest bardzo pożądaną osłoną przed nieprzyjacielem.

Na krótko przed południem zauważyliśmy trop około dwudziestu jeźdźców, którzy zdążali z północnego wschodu, prawdopodobnie także nad Rush Creek. Siady wskazywały, że konie były podkute i nie szły jeden za drugim, a więc mieliśmy przed sobą białych. Byli to prawdopodobnie jacyś awanturnicy, którzy zwykle na wieść o odkryciu złota w górach zbierają się w bandy, a potem równie prędko się rozchodzą.

Siady zostawiono przed pięciu godzinami, wobec tego nie spodziewaliśmy się, że dziś jeszcze spotkamy tych ludzi. Po pewnym czasie dotarliśmy do miejsca, na którym nieznajomi obozowali niedawno. Kilka próżnych puszek od konserw, walających się na ziemi, zdradzało, że jedli tu obiad. Leżała też w trawie spora flaszka. Hammerdull podniósł ją, obejrzał pod światło, a zobaczywszy, że jest w niej jeszcze kilka łyków, przyłożył szyjkę do ust. Splunął jednak od razu i z kwaśną miną zawołał:

— Fe! Wystała, letnia woda! A ja myślałem, że to łyk mocnej wódki! Ludzie, którzy to zostawili, nie mogą być dżentelmenami!

Najrozumniejszy westman popełnia czasem głupstwa i to nam się właśnie zdarzyło. Ani Winnetou, ani ja nie zwróciliśmy uwagi na flaszkę, co było karygodnym niedbalstwem z naszej strony. Na Dzikim Zachodzie flaszki były podówczas rzadkością, nie wyrzucano ich nigdy, lecz przeciwnie, starannie przechowywano. Znalezioną przez Dicka butelkę zostawiono z pewnością przez zapomnienie. Powinniśmy byli od razu pomyśleć o tym, że jej właściciel, zauważywszy zgubę, zawróci i natrafi na nasze ślady. Do dziś gniewa mnie ta nierozwaga, której skutki nie dały na siebie czekać.

Pojechaliśmy dalej za tropem nieznajomych, dopóki nie spostrzegliśmy na widnokręgu zarośli; po prawej ręce wznosiło się lesiste wzgórze, na które Winnetou wskazał ręką.

— Musimy przejść obok tej góry — powiedział — jeśli chcemy dostać się do obozowiska. Niech moi bracia pójdą za mną!

To rzekłszy skręcił na prawo.

— A trop? — zapytałem. — Nie pójdziemy za nim?

— Dzisiaj nie. Jutro odnajdziemy go znowu. Obliczenie to było słuszne. Bylibyśmy wrócili na trop,

gdybyśmy nie zlekceważyli sprawy owej flaszki. Tymczasem ruszyliśmy spokojnie za Apaczem, który także nie przeczuwał, jakie nieszczęście miało nas wkrótce spotkać.

Jadąc ciągle zarosła krzakami okolicą, okrążyliśmy w ciągu godziny lesiste wzgórze, za którym ukazały się dalsze wzniesienia, wysuwające się jedne zza drugich jak teatralne kulisy. Wjechaliśmy między te wzgórza, powierzając się przewodnictwu Winnetou, i pod wieczór przybyliśmy do kotliny, której środek zajmowała niewielka sadzawka. Cieniste drzewa otaczały wodę, a za sadzawką wznosiły się

kupy kamieni, które wyglądały jak ruiny zamieszkanych niegdyś budowli.

— Oto obozowisko, o którym mówiłem! — oświadczył Winnetou. — Tu będziemy bezpieczni, jeśli u wejścia do kotliny postawimy kogoś na straży.

Po miękkim gruncie podjechaliśmy prawie niedosłyszalnie aż do sadzawki.

Nagle Winnetou zatrzymał się i położył palec na ustach, nakazując nam milczenie. Zaczął nasłuchiwać, a my poszliśmy za jego przykładem.

Spoza kamiennego wału płynęły niewyraźne dźwięki, dosłyszalne tylko dla bardzo bystrego ucha. Apacz zsiadł z konia i dał mi znak, żebym uczynił to samo. Zostawiwszy wierzchowce towarzyszom, pomknęliśmy ostrożnie ku kamieniom. Im bardziej zbliżaliśmy się, tym wyraźniejsze stawały się dźwięki. Wysoki, męski tenor albo może niski alt kobiecy nucił powoli żałosną pieśń w języku indiańskim. Melodia nie była ani europejska, ani indiańska — stanowiła coś pośredniego, jak gdyby czerwonoskóry przystosował się do sposobu śpiewania bladych twarzy. Byłbym się założył, że śpiewająca osoba sama wymyśliła słowa i melodię, które zdawały się dobywać z głębi jej duszy.

Posuwając się coraz dalej, dotarliśmy do wąskiej wyrwy w kamiennym wale, przez którą mogliśmy wyjrzeć.

— Uff, uff! — rzekł Winnetou niemal głośno.

— Uff, uff! — powtórzyłem prawie równocześnie, gdyż naszym oczom przedstawił się naprawdę zdumiewający widok.

Wał ocieniony drzewami i porosły krzakami otaczał polankę o czterdziestu może metrach średnicy. Na skraju wału, tuż obok wyrwy siedział... Winnetou!

Istotnie, z większego oddalenia można było tego Indianina wziąć za wodza Apaczów. Głowa jego była

odkryta. Końce długich, ciemnych włosów, zwiniętych w węzeł, spływały mu na plecy. Miał na sobie bluzę myśliwską i legginy ze skóry, na stopach mokasyny. Biodra jego otaczał zwinięty koc, za którym tkwił nóż; obok leżała dwururka. Na szyi miał zawieszone rozmaite przedmioty, ale nie zauważyłem między nimi nic takiego, co można by wziąć za worek z talizmanami.

Indianin był wprawdzie starszy od Apacza, lecz musiał kiedyś odznaczać się niezwykłą pięknością. Rysy jego twarzy, poważne i surowe, miały jednak w sobie jakby kobiecą delikatność. Bądź co bądź zdziwiło mnie jego podobieństwo do Winnetou, a gdy przeminęło zdumienie, doznałem uczucia, którego nie potrafię określić. Stałem przed czymś zagadkowym, przed obrazem zakrytym tajemniczą zasłoną.

Winnetou podniósł rękę i szepnął:

— Kolma-puszi!

Kolma-puszi! A więc słusznie się domyślałem. Mieliśmy przed sobą zagadkową zaiste postać. W skalistych dolinach Kolorado przebywał Indianin, którego nikt nie znał bliżej, który nie należał do żadnego szczepu i gardził dumnie pożyciem z ludźmi. Polował samotnie, a gdy spotkał innych myśliwców, znikał natychmiast. Nie występował wrogo przeciw nikomu, ale też nikt nie mógł się pochlubić, żeby choć przez jeden dzień był jego towarzyszem. Jedni widywali go na koniu, drudzy idącego pieszo, a zawsze robił wrażenie człowieka umiejącego świetnie władać bronią, człowieka, z którym nie ma żartów. Osoba jego w oczach Indian i białych uchodziła za neutralną i nietykalną, wierzono, iż zamach na niego mógł wywołać gniew Wielkiego Manitou. Niektórzy Indianie twierdzili nawet, że tajemniczy samotnik nie był człowiekiem, lecz duchem słynnego wodza, wysłanym przez Manitou z Wiecznych Ostępów, aby sprawdził, jak się powodzi na ziemi jego czerwonym dzieciom. Nikt nie zdołał wybadać, jak się ten człowiek naprawdę nazywa; z powodu

jego czarnych jak noc oczu nazywano go Kolma-puszi, czyli Ciemne Oko. Kto nadał mu tę nazwę, kto ją wymówił po raz pierwszy — tego nikt oczywiście nie wiedział.

Ten tajemniczy Indianin siedział teraz przed nami. Winnetou nie znał go także, nie spotkał się z nim nigdy przedtem, lecz teraz od razu zrozumiał, że to Kolmapuszi. Mnie nawet przez myśl nie przeszło wątpić o prawdziwości tych słów, ktokolwiek bowiem słyszał

o tym Indianinie, musiał poznać na pierwszy rzut oka, że właśnie jego ma przed sobą.

Nie uważaliśmy za potrzebne śledzić go dłużej, toteż podnieśliśmy się z ziemi, umyślnie wywołując szelest. Ruchem szybkim jak błyskawica Kolma-puszi pochwycił swoją strzelbę zwrócił ją ku nam, zgrzytnął kurkami i zawołał:

— Uff! Dwaj ludzie! Coście za jedni?

Winnetou chciał już odpowiedzieć, kiedy postawa obcego zmieniła się nagle. Opuścił strzelbę trzymając ją jedną ręką za lufę; drugą wyciągnął jakby na powitanie i zawołał:

— Inczu-czuna! Inczu-czuna, wódz... Nie, to nie In-czu-czuna. To może być tylko jego syn, Winnetou, o wiele potężniejszy i słynniejszy od ojca!

— Znałeś mego ojca Inczu-czunę? — spytał Winnetou wchodząc ze mną przez wyrwę w kamiennym wale.

Zdawało się, że Kolma-puszi zawahał się, ale ponieważ nie mógł już zaprzeczyć, odpowiedział:

— Znałem go. Widziałem go raz, może dwa razy. Ty jesteś jego odbiciem.

Głos jego brzmiał miękko, a jednocześnie władczo

i stanowczo.

— Tak, jestem Winnetou. Poznałeś mnie. A ciebie nazywają Kolma-puszi.

— Winnetou mnie zna?

— Nie. Nie widziałem cię nigdy, lecz domyślam się, że to ty jesteś. Słyszałem o tobie wiele dobrego. Czy Kolma-puszi pozwoli, żebyśmy obok niego usiedli?

Indianin obrzucił mnie badawczym spojrzeniem i odpowiedział:

— Ja także słyszałem o Winnetou. Wiem, że przebywa z nim często słynny biały myśliwiec, który nie dopuścił się jeszcze nigdy złego czynu. Nazywają go Old Shatterhand. Czy to on jest teraz z tobą?

— To on — potwierdził Winnetou.

— Usiądźcie i witajcie — rzekł Kolma-puszi podając nam rękę, która wydała mi się niezwykle mała.

— Mam ze sobą jeszcze innych towarzyszy — oznajmił Winnetou — którzy czekają tam nad wodą. Czy mogą przyjść do nas?

— Wielki Manitou stworzył ziemię dla wszystkich dobrych ludzi. Dla waszych towarzyszy będzie tu dość miejsca.

Poszedłem po nich i wkrótce cały nasz oddziałek znalazł się na polance otoczonej kamiennym wałem. Kolmapuszi patrzył na nas z owym miernym zainteresowaniem, którym darzy się nieznajomych, mających nam tylko przez krótki czas towarzyszyć. Nagle, na widok Apanaczki, który wjechał ostatni, poderwał się z ziemi, jakby pchnięty niewidzialną siłą, i podbiegł do młodzieńca.

— Kto ty jesteś? Powiedz... powiedz mi! — zawołał wzburzony.

Zapytany odparł z uprzejmą obojętnością.

— Jestem Apanaczka wódz Komanczów Kanean.

— Czego szukasz w Kolorado ?

— Zdążałem na północ do świętych kamieniołomów, ale po drodze spotkałem się z Winnetou i Old Shatterhandem, którzy jechali w góry. Porzuciłem mój pierwotny plan i przyłączyłem się do nich.

— Uff, uff! Wódz Komanczów! To nie może być! Wpatrywał się wciąż w Apanaczkę tak badawczo, że

młody Indianin zapytał:

— Czy znasz mnie? Czy widziałeś mnie kiedy?

— Musiałem, musiałem cię widzieć, lecz chyba we śnie... We śnie młodości, która już dawno minęła!

Z wysiłkiem zapanował nad wzruszeniem, podał Apanaczce rękę i rzekł:

— Bądź mi również pozdrowiony! Dzisiaj mam dzień, jakich mało zdarza się w moim życiu!

Wrócił do Winnetou, przy którym ja tymczasem usiadłem, ale nie spuszczał oczu z Apanaczki. Takie zachowanie jest u Indian rzadkością i niepodobna go nie zauważyć. Zastanowiło też ono i Winnetou, i mnie, chociaż nie daliśmy poznać po sobie zdziwienia.

Konie napojono obficie i dano im pod dostatkiem zielonej paszy. Uzbieraliśmy sporo chrustu i gdy się ściemniło, zapłonęło ognisko. Holbers odszedł, by jako pierwszy stanąć na straży u wejścia do kotliny, a my wszyscy zasiedliśmy kołem przy ognisku. Byliśmy zaopatrzeni w żywność i udzieliliśmy jej trochę Kolmie-puszi, sądząc, że nie ma nic do jedzenia.

— Moi bracia są dla mnie bardzo dobrzy — odrzekł Indianin — ale ja mógłbym im także dać tyle mięsa, że nasyciliby się wszyscy.

— Gdzie je masz? — zapytałem.

— Przy koniu.

— Czemu nie zabrałeś go tutaj?

— Bo nie zamierzam tu zostać, chciałem pojechać dalej. Mój koń stoi w ukryciu bezpieczniejszym od tej kotliny.

— Czy nie uważasz naszego obozowiska za bezpieczne?

— Dla jednego człowieka nie byłoby bezpieczne, ale ponieważ jest was tylu, iż możecie wystawić straże, nie potrzebujecie się niczego obawiać.

Byłbym chętnie wdał się z nim w rozmowę, lecz zaniechałem tego — Indianin, usłyszawszy, że zdążamy do doliny San Luis, zamilkł nagle i pogrążył się w myślach, nie chciałem go więc niepokoić pytaniami. Ale Dick Hammerdull, niezadowolony, że tak mało dowiedzieliśmy się od tego nieznajomego Indianina, zagadnął go w swój zwykły, poufały sposób:

— Mój czerwony brat słyszał, że przyjechaliśmy tu z Kansas. Czy wolno nam zapytać, skąd on przybywa? .

— Kolma-puszi. jest jako wiatr, który lata po wszystkich drogach — brzmiała nieokreślona odpowiedź.

— A dokąd się teraz udaje?

— Tam, dokąd koń jego zwróci swe kroki.

— Oho! A więc ja nie powinienem nic o tym wiedzieć?

— Nie.

— To nie tylko bardzo szczera, ale i bardzo grubiańska odpowiedź. Czy nie tak, Holbers, stary...

Spostrzegł, że Holbersa nie ma przy nim w tej chwili, i urwał, Kolma-puszi zaś zwrócił się do niego i rzekł poważnie:

— Biały mąż, Dick Hammerdull, nazywa mnie grubianinem. A czy z jego strony było to delikatnie i uprzejmie, że chciał mi usta otworzyć, skoro lubię je trzymać zamknięte? Blada twarz nie zna widocznie dobrze Dzikiego Zachodu. Tu zawsze jest lepiej, gdy nikt nie wie, skąd się przybywa i dokąd podąża. Kto cel drogi zatai, tego niebezpieczeństwo nie wyprzedzi.

— Dziękuję! — roześmiał się skarcony grubas. — Nie miałem nic złego na myśli. Czerwony brat podoba mi się nadzwyczajnie, dlatego cieszyłbym się, gdyby jego droga była tą samą, co nasza.

— Czy moja droga będzie ta sama, to się dopiero pokaże. Zastanowię się jeszcze nad tym. Howgh!

Na tym skończyła się rozmowa. Ponieważ nazajutrz mieliśmy wcześnie wyruszyć, położyliśmy się spać, gdy tylko Holbers, oddawszy straż Treskowowi, wrócił do obozu.

Nie wiem, jak długo spałem, kiedy obudziły mnie głośne wrzaski. Otworzywszy oczy zobaczyłem nad sobą człowieka, który zamierzał się, by mnie walnąć kolbą strzelby. Zanim zdołałem się poruszyć, otrzymałem potężny cios i straciłem przytomność.

Kiedy przyszedłem do siebie i otworzyłem oczy, nie byłem wcale zachwycony widokiem, który ujrzałem. Opodal płonęło ognisko, a przede mną siedział Old Wabble z twarzą wykrzywioną nienawiścią i płonącą triumfem.

— Nareszcie, nareszcie! — zawołał. — Wyspaliście się, Mr Shatterhand? Śniliście o mnie, nieprawdaż? Jestem pewien, że ukazałem się wam we śnie jako anioł, i gotów jestem grać dalej tę rolę, to jasne. Jakiego anioła widzicie we mnie teraz: mściciela czy zbawcę?

— Pshaw! — odrzekłem. — Nie wyglądacie mi ani na jednego, ani na drugiego.

Gniewało mnie to niezmiernie, że muszę odpowiadać temu łotrowi, ale dumne milczenie nie byłoby tu na miejscu. Powiódłszy oczyma wokoło, przekonałem się, że wszyscy byliśmy pojmani i skrępowani, łącznie z Treskowem, który ostatni stał na warcie i widocznie nie czuwał jak należy, jeśli się dał niespodziewanie zaskoczyć. Brakowało tylko tajemniczego Indianina. Na lewo ode mnie leżał Winnetou, na prawo — gruby Dick Hammerdull. Odebrano nam broń i wypróżniono kieszenie. Z dwudziestu drabów, siedzących

dokoła nas, nie znałem oprócz Old Wabble a nikogo. Byli to niewątpliwie ci sami ludzie, których trop widzieliśmy wczoraj. Skąd oni się tu wzięli? Jechali przecież przed nami w lewą stronę, a my skierowaliśmy się na prawo. Wtem przypomniałem sobie flaszkę z wodą i od razu zrozumiałem, jak wielki popełniliśmy błąd.

Stary „król cowboyów” tkwił ciągle przede mną. Radość z pojmania mnie przebijała z każdej zmarszczki jego pooranego oblicza. Migotliwe światło to buchającego w górę, to znów przygasającego ognia nadawało mu niesamowity wygląd.

Na pytanie jego nie mogłem mu dać lepszej odpowiedzi od tej, którą usłyszał. Staruch zrozumiał, że z niego szydzę, i wrzasnął:

— Nie pozwolę, żebyście mnie wyśmiewali! Nie jestem Indianinem! Czy rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć?

— Że w ogóle nie należycie do istot zwanych ludźmi. Old Wabble roześmiał się chrapliwie i zawołał:

— Ten drab rzeczywiście mnie nie zrozumiał! Oświadczyłem wam, że nie jestem Indianinem. Czerwonoskórzy włóczą długo jeńców za sobą i prowadzą do swych siedzib. Potem karmią ich dobrze, aby byli zdolni wytrzymać najgorsze męczarnie. Sam doświadczyłem w waszym towarzystwie, że daje to nieraz jeńcom sposobność do ucieczki. Ale kto nie ma nadziei umknąć, a chce umrzeć prędko i bez bólu, chwyta się wypróbowanego środka, a mianowicie obraża Indian, aby w gniewie zabili go bez zwłoki. Jeśli sądzicie, że z wami będzie tak samo, to mylicie się grubo. Nie znajdziecie sposobności do ucieczki, bo ani myślę włóczyć was długo z sobą, a z drugiej strony, nie doprowadzicie do tego, żebym was przebił kulą lub nożem i wyrzekł się widoku waszych powolnych męczarni. Nie tracicie wprawdzie nigdy odwagi, ale jeśli teraz żywicie jakąkolwiek nadzieję, to chyba nie znacie Freda Cuttera,

którego nazywają Old Wabble em. Postanowiłem skończyć z wami rachunki, które będziecie musieli przypieczętować własnym życiem. Nie uchroni was przed tym nawet wasz spryt, który zresztą nie jest tak wielki jak wam się zdaje. Wczoraj na przykład popełniliście błąd, którego powinniście się wstydzić. — Macie na myśli ową flaszkę?

— Istotnie! Teraz widzę, że nie jesteście tak głupi, jak przypuszczałem. Gdyby nie to, że stoicie w obliczu śmierci, mógłby z was jeszcze być dzielny westman. Ta flaszka była waszym nieszczęściem. Jeśli wiecie, czym jest łyk wody na pustkowiu, to nie zdziwicie się, że zauważywszy zgubę, natychmiast zawróciłem. Wtedy przekonałem się ku mej radości, że mam przed sobą dżentelmenów, których szukam. Popędziłem z powrotem po moich ludzi i śledziłem was aż do doliny, gdzie wasz strażnik pozwolił nam napaść na was, kiedyście spali snem sprawiedliwych. A teraz zapraszamy was do podróży w naszym towarzystwie. Mr Shatterhand nie po-

jedzie niestety z nami, albowiem już o świcie będzie musiał wstąpić na drabinę niebieską.

— Nie gadajcie tyle! — rzekł jeden z bandytów, który stał oparty o drzewo, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. — Co tam macie do załatwienia z Old Shatterhandem, to nas nic nie obchodzi. Chodzi nam o to, byście dotrzymali danego przyrzeczenia.

— Dotrzymam go! — odpowiedział Old Wabble.

— A więc rozmówcie się z Winnetou; wszystko inne nie przedstawia dla nas żadnej wartości. Oderwaliście nas od doskonałych interesów, przeto teraz, po schwytaniu tych drabów, powinniście nam dowieść, że istotnie spełnią się wasze obietnice.

— Powoli, Mr Cox, powoli! Czasu mamy dość, możecie trochę poczekać.

A zatem człowiek stojący pod drzewem nazywał się Cox. Z tego, co mówił, domyśliłem się, że napastnicy byli bandą trampów, których tak gorliwie staraliśmy się unikać. Cox był zapewne dowódcą oddziału, Old Wabble zaś nakłonił go, żeby mu dopomógł w schwytaniu nas. Położenie nasze było bardzo ciężkie, znajdowaliśmy się bowiem w rękach ludzi niebezpieczniejszych od hordy Indian. Mój los był wprost okropny. Chcieli mnie natychmiast zamordować, a należało się spodziewać, że Old Wabble na pewno wykona swą groźbę.

Cox podszedł tymczasem do Apacza i rzekł:

— Mam do was interes, Mr Winnetou, i przypuszczam, że przystaniecie na nasze żądanie. Old Wabble chciał zemścić się na Old Shatterhandzie, a obawiając się, że sam tego nie zdoła dokonać, wezwał nas do pomocy. Zgodziliśmy się pod warunkiem, że otrzymamy odpowiednią zapłatę, a on nam obiecał dużo złota. Zapewne rozumiecie teraz, o co mi chodzi?

— Uff!

— Nie wiem, co oznacza wasz okrzyk, domyślam się jednak, że zgodę. Tu, w Kolorado, odkryto pokłady złota i nieraz myśleliśmy o tym, żeby rozpocząć poszukiwania. Wiadomo wam jednak, że to rzecz bardzo niepewna, że mimo wysiłków można w końcu nic nie znaleźć. Toteż pomysł Old Wabble a wydał nam się doskonały. Oto wy, Mr Winnetou, znacie podobno wiele miejsc obfitujących w złoto.

Winnetou, któremu zależało na tym, aby za wszelką cenę mnie ocalić, namyślał się przez chwilę, zanim dał następującą odpowiedź:

— Niejeden czerwony mąż zna miejsca, w których kryją się pokłady złota. Ale Indianin wolałby raczej zginąć niż wyjawić taką tajemnicę.

— Pshaw! Czy Indianie tak chętnie umierają?

— Winnetou nie bał się nigdy śmierci.

— Słyszałem o tym. Tym razem jednak nie o was tylko idzie, lecz i o wszystkich waszych towarzyszy. Old Shatterhand zginie, tego już nie da się zmienić, bo przyrzekliśmy go wydać Old Wabble owi, ale siebie i resztę jeńców możecie ocalić przez wskazanie nam pokładów złota.

— Blada twarz pozwoli, że się nad tym jeszcze zastanowię!

Winnetou zamknął oczy udając, że się namyśla. Nastąpiła chwila milczenia. Istotnie wódz Apaczów wiedział, gdzie się znajdują pokłady złota, ale nikt nie potrafiłby go zmusić do wydania ich białym. Teraz jednak chodziło mu o dwie rzeczy: żeby mnie wyratować od śmierci i zaczekać na sposobność uwolnienia nas wszystkich.

— Kiedyż dostanę odpowiedź? — zapytał niecierpliwie Cox.

— Blade twarze nie dostaną złota — odparł Winnetou otwierając oczy.

— Wzbraniasz się wskazać nam bonanzę?

— Me.

— Jak mam to rozumieć? Nie odmawiasz nam pomocy, a jednak każesz wyrzec się złota! To sprzeczność!

— To nie jest sprzeczność. Winnetou zna pewną wielką, i bogatą bonanzę. Gdyby szło tylko o niego, nie. zdradziłby nigdy jej położenia. W tym wypadku jednak, kiedy wchodzi w grę życie tylu ludzi, pokazałby ją wam, gdyby był pewny, że ją znajdzie.

— Co? Znasz bonanzę i nie mógłbyś jej odnaleźć?

— Tak, bo Winnetou nie pożąda złota. Ilekroć na nie natrafi, wnet o tym zapomina. W Kolorado widziałem niezmiernie bogatą bonanzę, lecz niestety zapomniałem drogi wiodącej do niej.

— Do wszystkich diabłów! Jak można zapomnieć drogi do bogatej bonanzy? Coś podobnego jeszcze się chyba

nigdy nie zdarzyło. Nie wiesz nawet, w których stronach leży?

— To wiem. Bonanza leży nad Squirrel Creek. Jadąc raz z Old Shatterhandem wzdłuż strumienia, zauważyłem, że na brzegu pod mchami coś błyszczy. Gdyśmy zsiedli z koni i zbadali grunt, pokazało się, że woda naniosła tam dużo złota. Były tam małe i większe kawałki nuggetu.

— Jak wielkie? — zapytał Cox, a wszyscy jęli nasłuchiwać nabożnie.

— Niektóre sięgały wielkości ziemniaka.

— Do krocset! Toż tam leżą miliony! I zostawiliście je?

— A po co mieliśmy je zabierać?

— Czy słyszeliście coś podobnego, towarzysze? Ci ludzie znaleźli olbrzymią bonanzę i nie zabrali z niej złota! I to jest Winnetou, ten słynny mądrala!

Pomruk zdumienia towarzyszył okrzykom Coxa. Nikt nie podał w wątpliwość słów Apacza, który słynął ze swej prawdomówności.

— Czemu biały mąż tak bardzo się dziwi? — zapytał Winnetou. — Wszędzie znajdują się pokłady, z których wódz Apaczów i Old Shatterhand mogą czerpać do woli. Ilekroć potrzebują złota, udają się na miejsce, do którego im w danym wypadku najbliżej. Teraz także jechaliśmy po złoto.

— Domyślaliśmy się, że podążacie w góry w tym właśnie celu. Ale jak to pogodzić? Mówiłeś przecież, że nie pamiętasz, gdzie leży bonanza!

— Ja rzeczywiście zapomniałem, ale mój brat Old Shatterhand zapamiętał dobrze to miejsce.

Oto do czego zmierzał Winnetou! Ponieważ wykazał, że tylko ja znałem położenie bonanzy, przeto napastnicy musieli mnie zachować przy życiu. Apacz nie podkreślał zbytnio swych słów, aby się nie zdradzić, że cała sytuacja jest zmyślona. Zamiar mu się udał, bo Cox zawołał:

— To wszystko jedno, czy drogę do bonanzy zna Winnetou, czy Old Shatterhand! Obydwaj są naszymi jeńcami. Skoro Winnetou nie może nas poprowadzić, to Old Shatterhand będzie naszym przewodnikiem.

— Spytajcie wprzód, Mr Cox, czy ja się na to zgodzę — rzekł Old Wabble. — Shatterhand należy do mnie.

— Tego wam nikt nie zaprzecza!

— Jak to? Wszak chcecie go zabrać nad Squirrel Greek, gdy on ma zginąć jeszcze dzisiaj!

— O tym nie ma co mówić. Będzie żył i zaprowadzi nas do bonanzy.

— Na to ja nie pozwolę!

— Czyście rozum postradali, stary Wabble u?

— Właśnie dlatego, że mam więcej rozumu niż wy, nie dopuszczę do tego. Wiem, co czynię. Wynająłem was do schwytania Old Shatterhanda, a za to udzieliłem wam rady, żebyście zmusili Winnetou do pokazania wam pokładów złota. Bonanza należałaby więc wyłącznie do was. Nie dziwcie się, że za korzyści, w których nie będę miał udziału, nie mogę wam oddać Old Shatterhanda.

— Przecież go nam nie wydajecie!.

— Czy sądzicie, że zdołacie zaprowadzić go aż do bonanzy?

— Oczywiście!

— To się bardzo mylicie! Wyrwie się wam i ucieknie. Cox wybuchnął głośnym śmiechem.

— Wyrwie się i ucieknie! — zawołał. — Słyszeliście, ludzie? Ktoś przez nas pojmany miałby nam umknąć!

Wszyscy zawtórowali mu śmiechem, lecz Old Wabble krzyknął gniewnie:

— Trudno po prostu wysłowić, jak bardzo jesteście głupi! Jeśli sobie wyobrażacie, że utrzymacie w swych rękach tego

draba, to ubolewam nad wami! On rozrywa pięściami żelazne łańcuchy, a gdzie nie może siłą nic wskórać, ucieka się do podstępów, w których jest mistrzem.

— My nie potrzebujemy łańcuchów, wystarczą nam rzemienie. A co do podstępów, to chciałbym widzieć człowieka, który potrafiłby uciec takim dwudziestu zuchom jak my! Czterdzieści oczu zauważy chyba jego podstęp, choćby był najchytrzej obmyślony!

— Śmieszne jest wasze samochwalstwo! Czy nie słyszeliście, ile razy był on pojmany przez Indian i zawsze im uciekał?

— My nie jesteśmy Indianami!

— Z białymi było tak samo. Ten łotr potrafi bez trudności zrobić to, co dla innych jest niemożliwością. Trzeba go zastrzelić jak najprędzej, bo wyśliźnie się wam jak woda przez palce.

— Robicie z igły widły. Powtarzam jeszcze raz, że chciałbym widzieć człowieka, który by potrafił z moich rąk się wydostać. Obstaję przy tym, żeby Old Shatterhand poprowadził nas do bonanzy!

— A ja na to nie pozwalam!

Cox położył staremu Wabble owi rękę na ramieniu i rzekł groźnie:

— Czy wam się naprawdę zdaje, że będę was pytał o pozwolenie?

— Spodziewam się! — To się łudzicie!

— Chcecie mnie oszukać i złamać słowo?

— Słowa dotrzymamy.

— Wcale się na to nie zanosi!

— Obiecaliśmy wam, że schwytamy Old Shatterhanda i wydamy w wasze ręce. Otóż pojmaliśmy go i z pewnością wam go wydamy, tylko nie dzisiaj.

— Nic mi po takiej obietnicy! Powtarzam wam, że nie zdołacie jej spełnić.

— To już nasza rzecz. A gdybyście chcieli nam przeszkadzać, to popatrzcie, ilu nas jest! Musicie się poddać. Bądźcie jednak spokojni, to tylko na krótko!

— Ja twierdzę, że na zawsze! On wam z pewnością ucieknie! Najlepiej będzie, jeśli od razu dostanie kulą w łeb!

— Nie ważcie się, Mr Wabble! Jeśli zastrzelicie Old Shatterhanda albo tylko zranicie, to bądźcie pewni, że w następnej chwili dosięgnie was moja kula. Zapamiętajcie to sobie!

— Co, grozicie mi śmiercią? To ma być zgoda, o której mówicie?

— Tak. A z waszej strony to ładnie, że chcecie nas pozbawić bonanzy?

— No, ostatecznie ustąpię, ale pod pewnym warunkiem.

— Jakim?

— Jeśli znajdziecie bonanzę, przypuścicie mnie do udziału w zyskach; to jasne!

— Well! Zgadzamy się na dowód, że mamy względem was przyjazne zamiary.

— Powinniście tak zrobić, bo przecież złoto, które dostaniecie, mnie będziecie zawdzięczali. Zresztą Shatterhanda ja sam przypilnuję.

Staruch zwrócił się do mnie.

— Mam doskonały sposób, aby powstrzymać was od ucieczki. Bez tych strzelb nie uciekniecie mówił wskazując na mój sztucer i niedźwiedziówkę. — Pod tym względem znam was dobrze. Raz już je posiadałem, lecz, niestety, tylko na krótko. Teraz będą moje na zawsze. Słyszycie?

Nie otrzymawszy odpowiedzi kopnął mnie i zawołał:

— Gadajcie, kiedy was pytam! To dla was wielki i niezasłużony zaszczyt, że Old Wabble z wami mówi! Kiedy wygnaliście mię z Kipe-taki bez strzelby i wierzchowca, nie sądziliście chyba, że doścignę was tak rychło. Udałem się do Osedżów, dostałem od nich konia i broń, ale te niedołęgi pozbawione są ducha przedsiębiorczości. Honskej-nonpej nie miał ochoty puszczać się za wami. Zaniechał nawet wszelkich kroków nieprzyjacielskich względem bladych twarzy i udał się z wojownikami do domu. Ale mnie to nie powstrzymało. Zwróciłem się do trampów i nakłoniłem ich, żeby mi pomogli, a koszta wyprawy wy zapłacicie. Jesteście wobec mnie niczym!

Kopnął znowu z całej siły mnie i Winnetou. Podniósł też nogę, by i Hammerdulla potrącić, lecz grubas jakkolwiek miał tak samo jak my skrępowane nogi, a ręce związane na plecach, zgiął kolana i odbiwszy się rękoma od ziemi, podskoczył jak pchnięty sprężyną. Z taką siłą uderzył głową w brzuch Old Wabble a, że stary cowboy padł na wznak prosto w ognisko i przysmolił sobie białą grzywę i górną część ubrania. Rozległ się gromki śmiech trampów, a Old Wabble, zerwawszy się na równe nogi, przyskoczył znów do Hammerdulla.

— Dajcie pokój tym ludziom — powstrzymał go Cox. — Old Shatterhand należy do was, ale tamci są naszą własnością i nie pozwolę znęcać się nad nimi niepotrzebnie. Muszą jechać z nami, a ja nie mam ochoty wlec się z rannymi i pobitymi. Mam zresztą coś ważniejszego na głowie aniżeli sprzeczać się z wami. Nie wiemy jeszcze, gdzie są ich konie. Trzeba poszukać!

Konie stały poza kamiennym wałem, przywiązane do kołków, przeto bandyci znaleźli je wkrótce. Postanowili następnie przespać się trochę do rana, wyznaczywszy dwu wartowników, przy czym Old Wabble wpadł na bardzo nieprzyjemny dla mnie pomysł. Oto położył się pomiędzy mną a Winnetou i przywiązał sobie do ręki rzemień, którym

byłem skrępowany. Ta nadzwyczajna ostrożność mogła zabić we mnie wszelką nadzieję ocalenia.

A jednak myślałem o ucieczce!

Nie ma tak złego położenia, z którego by człowiek nie mógł się uwolnić albo sam, albo przy pomocy z zewnątrz. Ja też nie zwątpiłem w możliwość ratunku. Uniknąłem natychmiastowej śmierci, którą mi groził Old Wabble, a do Squirrel Creek było daleko i w drodze mogła się nadarzyć sposobność do ucieczki. Zresztą nie sięgałem myślą tak daleko, pokładając nadzieję w Kolmie-puszi. Zagadkowego Indianina nie było wśród pojmanych, co zauważyłem od razu, gdy tylko ocknąłem się z omdlenia. Gdzież on zatem mógł być?

W pierwszej chwili powziąłem podejrzenie, czy nie był w porozumieniu z trampami, lecz nieufność ta rozwiała się wkrótce. Sława, jakiej zażywał, czyniła niepodobieństwem, by zbliżył się do takich ludzi. Wobec tego zadałem sobie inne pytanie: czy czasem nie umknął usłyszawszy, że nadchodzą nieprzyjaciele. Lecz i to również nie wydało mi się prawdopodobne — nie miał powodu, by nas nie obudzić i nie ostrzec. Jego zniknięcie musiało mieć inną przyczynę.

Dick Hammerdull pytał Kolmę-puszi, czy pojedzie z nami, on zaś odpowiedział, że namyśli się nad tym. Nie miał tu swego konia, więc kiedy zasnęliśmy, oddalił się potajemnie albo żeby go sprowadzić, albo żeby dosiąść go i więcej nie wrócić. W drugim wypadku opuścił nas bez pożegnania, żeby się uwolnić od natrętnych pytań. Podczas krótkiego z nami pobytu wykazał przecież, że nie lubi zbyt ciekawych ludzi.

Jeśli odszedł, aby już nie wrócić, nie mogliśmy spodziewać się żadnej pomocy z jego strony. Jeśli jednak chciał tylko sprowadzić konia, to oddalił się na krótko przed napadem i niezawodnie hałas wywołany walką skłonił go do zachowania ostrożności. Może potem podkradł się

potajemnie do obozu i zobaczył, co się stało. W takim razie byłem pewien, że postara się nas uwolnić, zwłaszcza że okazał nie tylko radość z powodu spotkania Winnetou, lecz i o wiele żywsze, tajemnicze zainteresowanie Apanaczką. Osób, do których się tak odniósł, nie zechce z pewnością opuścić w niebezpieczeństwie.

Jeśli moje domysły były słuszne, to Kolma-puszi powinien znajdować się w pobliżu i czekać na sposobność, żeby nas o tym zawiadomić. Łatwo sobie wyobrazić, z jak wielkim napięciem wyczekiwałem, co dalej nastąpi. Wiedziałem też, że Winnetou, obdarzony tak niezrównaną bystrością umysłu, z pewnością myśli to samo, co ja.

Oczekiwania moje spełniły się wcześniej, niż przypuszczałem. Obaj wartownicy siedzieli przy ognisku, które wciąż podsycali, ale wreszcie jeden z nich położył się, a drugi odwrócił się do mnie plecami. Doliną przeciągał wiatr, szeleściły liście i gałęzie, co mogło doskonale zagłuszyć szmer, wywołany przez skradającego się człowieka.

Podnosząc od czasu do czasu głowę, przypatrywałem się śpiącym i po upływie pół godziny byłem pewien, że oprócz dozorców, Winnetou i mnie nikt nie czuwa. Po prawej stronie leżał Hammerdull, po lewej Old Wabble, dalej Winnetou, obok niego Pitt Holbers, a za nim kilku trampów.

Kiedy pomyślałem, że teraz byłaby najlepsza pora, aby Indianin nadszedł, usłyszałem po prawej stronie delikatny szelest i jakaś głowa przysunęła się do mojej. Był to Kolma-puszi.

— Niech się Old Shatterhand nie rusza! — szepnął. — Czy biały brat myślał o mnie?

— Tak — odrzekłem równie cicho.

— Kolma-puszi chciał zbliżyć się do Winnetou, ale tam nie ma osłony. Niech mi biały brat powie, czego sobie życzy. Ja go wysłucham. — Czy chcesz nas wyswobodzić?

— Tak. — Gdzie?

— To oznaczy Old Shatterhand, bo wie to sam najlepiej.

— Musimy to tak urządzić, żebyśmy mogli uwolnić wszystkich towarzyszy. Dlatego tutaj tego dokonać nie możemy. Czy mój czerwony brat zechce podążyć za nami?

— Naturalnie. Tak długo, dopóki nie będziecie wszyscy wolni.

— Czy słyszałeś, o czym tu mówiono?

— Kolma-puszi leżał za kamieniami i słyszał wszystko.

— I to, że udajemy się nad Squirrel Creek?

— Tak. Biali chcą znaleźć bonanzę, której tam nie ma.

— Czy mój czerwony brat zna Squirrel Creek?

— Znam. doskonale, tak jak i całą dalszą okolicę.

— Czy na drodze do tego potoku jest miejsce, które by się nadawało do wyswobodzenia nas dzisiaj wieczorem? Chodzi mi o to, żeby tam było dużo drzew i zarośli.

— Kolma-puszi zna takie miejsce. Możecie tam dojechać na wieczór i nie wyda się podejrzane, że się tam zatrzymacie. Ale czy biali pójdą za wami?

— Na pewno. Nie znają tych stron i bez zastrzeżeń powierzą się naszemu przewodnictwu.

— W takim razie niech Old Shatterhand zdąża prosto na południowy zachód, a gdy dojdzie do Rush Creek, niech się przeprawi przez tę rzeczkę. Następnie pójdzie jej brzegiem, aż do miejsca, w którym wpada do niej inny strumień. Wtedy trzeba skręcić na północny zachód, przez wznoszącą się z wolna prerię, pokrytą gęsto zaroślami, aż do widocznego z dala wzgórza, u którego stóp wytryska kilka źródeł i rośnie dużo drzew. Koło źródła najbardziej wysuniętego na północ macie rozbić obóz.

— Dobrze. Znajdę to źródło.

— Kolma-puszi tam przyjdzie.

— Ale nie przed nami, lecz po nas.

— Czy Old Shatterhand sądzi, że o tym nie wiem? Wszak trop zdradziłby mnie. Co Old Shatterhand ma mi jeszcze do powiedzenia?

— Na razie nic, bo nie wiem przecież, jak ułożą się sprawy dziś wieczorem. Prawdopodobnie zdołasz zbliżyć się do nas, ale podejdź tylko do Winnetou albo do mnie, bo nikt inny nie potrafi wyzyskać szybko pomocy, której nam zamierzasz udzielić.

— Mogę więc już zniknąć?

— Tak. Dziękuję memu czerwonemu bratu. Gdy będę wolny, życie dla niego narażę w potrzebie!

— Wielki Manitou kieruje krokami swych dzieci, może więc i Kolma-puszi będzie kiedyś potrzebował pomocy Winnetou i Old Shatterhanda. Jestem waszym przyjacielem, a wy bądźcie mi braćmi!

Znikł tak samo cicho, jak się przyczołgał. Winnetou, leżący po drugiej stronie Old Wabble a chrząknął nieznacznie, aby mnie zawiadomić, że zauważył bytność Kolmy-puszi.

Byliśmy niezmiernie zadowoleni, że nasza niewola nie potrwa długo, i mogliśmy zasnąć spokojnie. Ja jednak jeszcze przez chwilę rozmyślałem o Kolmie-puszi. Mówił prawie płynnie po angielsku i używał wyrażeń „północny” i „południowy zachód”, których nie słyszałem nigdy w ustach Indian. Jak doszedł do takiej wprawy w angielskim, skoro z nikim nie obcował i wiódł tak samotne życie? Może dawniej zetknął się z białymi, a w takim razie jakieś przykre doświadczenia musiały go od nich odtrącić i popchnąć do obecnego samotnictwa.

Kiedy się obudziłem wczesnym rankiem, zauważyłem, że rabusie dzielą się łupem na nas zdobytym. Old Wabble wziął sobie moją broń, a Cox srebrzystą flintę Winnetou, nie zastanowiwszy się nad tym, że wszędzie, gdzie by ją

pokazał, zdradziłby się jako złodziej i rozbójnik, bo strzelba ta znana była szeroko na Dzikim Zachodzie. Ogiera Apacza Cox także przeznaczył dla siebie, a Old Wabble owi oświadczył:

— Weźcie sobie, Mr Cutter, konia, na którym jeździł Old Shatterhand. Niech to będzie dowodem, że wam dobrze życzę.

Ale Old Wabble potrząsnął głową i odparł:

— Dziękuję bardzo. Ja go nie chcę!

Wiedział, dlaczego to robi — znał aż za dobrze mego Hatatitlę!

— Czemu? — zapytał Cox ze zdumieniem. — Jesteście przecież znawcą koni i wiecie, że żaden nie może się równać z tymi dwoma karoszami.

— To prawda, ale ja wolę tego — rzekł stary wskazując na konia Szako-matty.

Cox dał komu innemu mego rumaka, a resztę naszych zwierząt rozdzielił między swoich towarzyszy. Tylko klacz Hammerdulla nikomu się nie podobała.

Cieszyłem się z góry na to, co teraz musiało nastąpić: nasze konie nie znosiły obcych na sobie.

Żywność zabrano nam także i pochowano w jukach, zostawiając tylko trochę na śniadanie. Po napojeniu koni mieliśmy odjechać. Przywiązano nas do szkap trampów tak, że mogliśmy tylko trzymać . rękami cugle. Wreszcie przyprowadzono zrabowane nam konie. Wierzchowce Osedżów nie sprawiły trudności tym, którzy ich dosiedli, ale gorzej już poszło z dereszem Apanaczki: zaczął uciekać i długo trwało, zanim dał się pochwycić. Potem Cox wsiadł na Ilczi Winnetou, a ogier pozwolił na to tak spokojnie, jakby był najpokorniejszą szkapą z manežu. Tramp chciał już usadowić się wygodnie, kiedy nagle wyleciał wielkim łukiem

w powietrze. Równocześnie zabrzmiał nie opodal głośny krzyk: to mój Hatatitla zrzucił innego draba na ziemię.

Obaj rabusie podnieśli się wśród przekleństw i ze zdziwieniem zobaczyli, że konie stoją tak spokojnie, jak gdyby nic nie zaszło. Wskoczyli więc znów na siodła, ale zaraz spadli z powrotem.

Trzecia próba skończyła się tak samo. Old Wabble śmiał się z trampów pod wąsem, a wreszcie zarechotał na cały głos.

— Teraz już wiecie, Mr Cox — krzyknął — dlaczego nie chciałem tego czarnego diabła! Te ogiery tak są wytresowane, że najlepszy jeździec nie utrzyma się na nich ani minuty.

— Czemu dopiero teraz mi to mówicie?

— Bo chciałem, żebyście się przekonali, jak to przyjemnie spaść z konia na ziemię.

— Niech was diabeł porwie! Czy te konie rzeczywiście nikogo na sobie nie ścierpią?

— Nikogo.

— To okropne! Cóż poczniemy wobec tego?

— Jeśli chcecie odbyć podróż bez kłopotów, to posadźcie na razie na tych bydlakach poprzednich właścicieli. Potem spróbujemy nakłonić je do posłuszeństwa.

Postąpiono wedle rady „króla cowboyów”, wskutek czego ruszyliśmy w drogę na naszych własnych wierzchowcach. U wylotu doliny zbliżył się do mnie Cox.

— Przypuszczam — rzekł — że nie myślicie pogarszać swego położenia przez jakieś wybiegi. Czy znacie drogę?

— Tak.

— I w błąd nas nie wprowadzicie?

— Ani mi się śni!

— Dokąd jedziemy dzisiaj?

— Do źródła po drugiej stronie rzeczki Rush. Było mi to bardzo na rękę, że uważał mnie za jedynego przewodnika.

Aby zbadać, w jakim stopniu bandyci znają te okolice, zapytałem:

— Wy zapewne także znacie drogę do Squirrel Creek?

— Nie.

— I nikt z waszych ludzi tam nie był?

— Nikt. Wy nam pokażecie drogę.

— Gzy sądzicie, że was rzeczywiście zaprowadzę do bonanzy?

— Naturalnie.

— Osobliwy z was. człowiek!

— Jak to?

— Jaką korzyść będę miał z tego, że pomogę wam zdobyć złoto? Żadnej! Śmierć jest mi przeznaczona bez względu na to, czy zdobędziecie bonanzę, czy nie. Czy myślicie, że będzie mi przyjemnie zrobić z was milionerów za to, żeście nas napadli, ograbili, a mnie postanowili zamordować?

— Hm... — mruknął niepewnie opryszek.

— Nie rozpatrzyliście widocznie sprawy z tej strony?

— Rzeczywiście, nie zastanawialiśmy się nad tym, ale przecież musicie mieć wzgląd na swoich towarzyszy.

— Jak to?

— Jeśli nie znajdziemy bonanzy, wszyscy będą musieli umrzeć!

— Co mnie to obchodzi, skoro ja muszę zginąć? Czy

o mnie kto dba? Co mi z tego, że inni będą żyli, jeżeli ja padnę?

Cox patrzył jakiś czas przed siebie, a w końcu rzekł:

— Well! Mówmy z sobą otwarcie! Czy rzeczywiście myślicie zataić przed nami drogę do pokładów złota?

— To się rozumie!

— Wybijcie to sobie z głowy! To spowodowałoby bezwarunkowo śmierć waszych towarzyszy, a wam przyniosłoby szkodę.

— Dlaczego szkodę?

— Bo to jeszcze nie jest pewne, czy wydam was Old Wabble owi.

— A-a-a! — mruknąłem przeciągle.

— Tak — potwierdził. — Stary jedzie teraz przodem

i nie słyszy, co do was mówię. Jeśli nam pokażecie bonanzę, a ona istotnie będzie tak obfita, jak nam ją przedstawił Winnetou, to może i was wypuszczę, nie tylko waszych towarzyszy.

— Szkoda, że wspominacie jedynie o możliwości uwolnienia mnie. Ja muszę wiedzieć na pewno, co mnie czeka.

— Wszystko zależy od bogactwa bonanzy. Jeśli oczekiwania nasze się spełnią, to i wy będziecie zadowoleni. Znacie zapewne dobrze stan pokładów?

— Istotnie, wiem, że kryją się tam miliony.

— Wobec tego jesteście już prawie wolni.

— Ale co na to powie Old Wabble?

— To moja rzecz! Jeśliby chciał robić jakieś trudności, to napędzę go po prostu do diabła. Nie będę na tyle głupi, żeby mu dotrzymywać słowa!

A jednak Cox był bardzo głupi! Jeśli gotów był złamać słowo dane. Old Wabble owi, jakże mogłem wierzyć, że ze mną nie postąpi tak samo! Przeciwnie, byłem pewien, że wcale nie myśli wypuścić, mnie na wolność po zdobyciu bonanzy. Co więcej, i towarzysze moi nie mogli być pewni

życia, bo przecież mordercy pragnęliby usunąć także świadków gwałtu popełnionego na mnie. Cox chciał tylko zapewnić sobie moją pomoc, a posiadłszy bonanzę byłby niewątpliwie złamał dane słowo.

— Czy już rozważyliście to sobie? — zapytał tramp po chwili. — Pokażecie nam bonanzę?

— Tak.

— Well! To istotnie najlepsze wyjście!

Cox oddalił się, a ja zacząłem słuchać rozmowy jadących ze mną — Dicka Hammerdulla, Pitta Holbersa i jednego z trampów, który ich pilnował.

— Jesteście więc tacy pewni, że macie nas w swej mocy? — zapytał Hammerdull strażnika.

— Tak — odrzekł drab.

— Jesteście w grubym błędzie, gdyż my się wcale za waszych jeńców nie uważamy.

— A jednak jesteście u nas w niewoli.

— Śmieszne! Jedziemy tylko z wami na wycieczkę.

— Dziękuję za taką przyjemność! A to nic, że jesteście ograbieni?

— To rzeczywiście smutne! — parsknął śmiechem grubas.

Nie tracił humoru, bo podobnie jak Pitt przed wyruszeniem na Zachód zaszył pieniądze w ubraniu i był o nie zupełnie spokojny.

— Szaleńcy z was, zupełni szaleńcy!— rzucił tramp ze złością.

— Skoro uważacie nas za wariatów, to muszę na chwilę zaprzestać żartów i złożyć wam poważne oświadczenie. Czyż to nie jest właśnie nieuleczalnym szaleństwem sądzić, że nie wyratujemy się z klatki, w którą

zapakowaliście nas? Ja mimo swej tuszy wyśliznę się wam, a Pitta Holbersa nie utrzymacie także, bo nosem przewyższa wszystkie wasze kraty. O Winnetou i Old Shatterhandzie nawet nie mówię! Kto sobie uroił, że ich zatrzyma, ten chyba rozum postradał. Nieprawdaż, Holbers, stary szopie?

— Hm! — mruknął chudzielec. — Jeśli sądzisz, że się wyrwiemy, to masz słuszność, kochany Dicku.

— Wy byście się nam wyrwali?! — roześmiał się tramp szyderczo. — Jestem tak pewny, że was utrzymamy, jak tego, że się przypadkowo także Holbers nazywam.

— Ach, Holbers? Piękne nazwisko! Prawda? Czy na imię wam również Pitt?

— Nie. Na imię mam Izajasz. Czy was to interesuje?

— Izajasz? Uff! Oczywiście, że tak. Czy w waszej rodzinie jest więcej imion biblijnych?

— Jest jeszcze jedno. — Jakie?

— Joel.

— Uff! Znowu jeden z proroków. Wasz ojciec był pewnie nieźle obznajmiony z Biblią. Nieprawdaż?

— O tym nic nie wiem. Ale matka była rzeczywiście pobożną kobietą, chociaż nie miała dla nas lekkiej ręki. Gdyby wszystkie sińce, którymi mnie obdarzyła, nie znikły z mego grzbietu, to z bólu nie mógłbym się teraz utrzymać na koniu.

— Jej metody wychowawcze były zatem dość surowe, A jak było z waszym bratem Joelem?

— Tak samo.

— Czy on żyje jeszcze?

— Ani mu się śniło umierać!

— Gdzież znajduje się teraz?

— Tutaj.

— Co? Tutaj z nami?

— Popatrzcie przed siebie! Ten, który jedzie z Coxem, to jest właśnie mój brat!

— Na Boga! Mamy więc dwu proroków: Izajasza i Joela. Co ty na to, Holbers, stary szopie?

— Nic! — odparł chudzielec krócej niż zwykle.

— Dlaczego wy właściwie zajmujecie się mną i moim bratem? — spytał tramp, którego zastanowiła ta rozmowa.

— Może usłyszycie o tym wkrótce. Powiedzcie mi jeszcze, czy wasza matka nie mieszkała po śmierci ojca w Smithville w stanie Tennessee?

— Słusznie! Ale skąd wy to...

— A potem udała się z dziećmi na Wschód — przerwał mu Hammerdull.

— I to prawda! Powiedzcie mi nareszcie..:

— Zaczekajcie! Pracowała i zarabiała tyle, że mogła nawet wziąć do siebie biednego krewniaka, który później, kiedy mu zanadto dopiekła jej surowość, zniknął pewnego pięknego dnia. Czy mówię prawdę?

— Tak było istotnie. Ale skąd wy to wszystko wiecie?

— Mieliście także siostrę?

— Tak.

— Gdzie ona jest teraz?

— Nie żyje już, tak jak i matka.

— W takim razie wy obaj z bratem jesteście jedynymi spadkobiercami matki?

— Oczywiście!

— Well! Jak sądzisz, Holbers, stary szopie, czy powinni dostać?

— Hm! — mruknął Pitt. niechętnie. — Ja uczynię to, co ty postanowisz, kochany Dicku.

— Well! W takim razie nic nie dostaną. Zgadzasz się na to?

— Yes! Niewarci tego!

— Czy warci, czy niewarci, to wszystko jedno, ale to byłoby wprost hańbą, gdyby dostali!

— Co wy pleciecie? O kim właściwie mówicie? — spytał tramp.

— O Izajaszu i Joelu — odrzekł Hammerdull.

— Czyli o mnie i o moim bracie?

— Tak.

— Mamy czegoś nie dostać?

— Tak.

— Czego?

— Naszych pieniędzy.

— Waszych pieniędzy? Diabeł was rozumie! Przecież wypróżniliśmy wam wszystkie kieszenie!

— Pshaw! Czy sądzicie, że majątek, który każdy z nas posiada, wozimy z sobą po Dzikim Zachodzie? Tysiące dolarów, któreśmy zebrali, zamierzaliśmy darować wam i waszemu bratu Joelowi, teraz jednak postanowiliśmy nie dać nic.

Nie oglądałem się, ale wyobrażałem sobie minę trampa. Upłynęła długa chwila, zanim przemówił:

— My... my... mieliśmy otrzymać... wasz... majątek?

— Tak.

— Drwicie sobie ze mnie!

— Ani nam się śni!

Izajasz przypatrywał się zapewne w milczeniu twarzom obu przyjaciół, gdyż upłynęła znów długa chwila, zanim odezwał się głosem pełnym zdumienia:

— Nie wiem istotnie, co o was sądzić! Miny macie poważne, a jednak wasze gadanie może być tylko głupim żartem!

— Czyż nie pojęliście dotychczas, do czego zmierzały moje pytania?

— Niech was diabeł zrozumie!

— On nie ma na to czasu! Wy jesteście pod ręką, a przy tym nie lepsi od niego! Wszak podaliście nam swoje nazwisko?

— Tak.

— A mój przyjaciel jak się nazywa? — Tak samo.

— A jak mu na imię?

— Pitt. Pitt Holbers. To całkiem... ach... ach... Zamilkł, potem zaczął gwizdać z cicha przez zęby,

wreszcie zawołał:

— Pitt, Pitt! Tak nazywał się ów chłopak, nasz krewniak, którego matka wzięła do siebie i... Do pioruna! Czy to możliwe, żeby ta długa tyka była owym małym Pittem?

— Tak, to on! Wreszcie wpadliście na to!

— Co? Ty jesteś naprawdę tym głupim Pittem — zawołał tramp — który za wszystkich dostawał cięgi i któremu tak to w końcu dojadło, że zwiał?!

Pitt widocznie tylko głową skinął, bo nie usłyszałem odpowiedzi.

— A to szczególny zbieg okoliczności! — mówił Izajasz dalej. — Że też musiałeś zostać naszym jeńcem!

— Którego wy chcecie zamordować! — dodał Hammerdull.

— Zamordować? Hm! Nie mówmy o tym na razie. Lepiej powiedz mi, Pitt, dokąd wówczas uciekłeś i czym się do tego czasu zajmowałeś! Jestem bardzo tego ciekaw!

Pitt zakaszlał kilka razy, a potem rzekł nie tak oschle jak zwykle:

— Dziwię się bardzo, dlaczego mówicie do mnie „ty”. Na to pozwala się tylko dżentelmenom, a nie ludziom, którzy wyzbyli się czci i bezwstydnie przystali da trampów. Muszę, niestety, przyznać, że jestem waszym stryjecznym bratem, ale stało się to doprawdy wbrew mojej woli!

— Oho! — wtrącił tramp gniewnie. — Teraz się mnie wstydzisz? A nie wstydziłeś się, kiedyśmy cię żywili!

— Wy? To wasza matka dawała mi jeść, na co zresztą musiałem rzetelnie zapracować. Kiedy zbijaliście bąki, ja harowałem tak, że mnie wszystkie kości bolały,

a oprócz tego brałem za was baty. Nic wam nie zawdzięczam. Chciałem wam sprawić radość darowaniem naszych oszczędności, gdyż jako westmani nie potrzebujemy pieniędzy, ale teraz wolimy uszczęśliwić godniejszych od was ludzi. Zobaczyliśmy się po raz pierwszy od czasów dzieciństwa i z całego serca sobie życzę, bym już nigdy nie musiał spotkać się z wami! .

Skąpy zazwyczaj w słowach Pitt Holbers wygłosił, ku memu zdumieniu, dość płynnie tę długą mowę. Dick Hammerdull czym prędzej potaknął przyjacielowi:

— Słusznie, stary szopie, słusznie! Spod serca mi to wyjąłeś. Możemy uszczęśliwić naszymi pieniędzmi innych, lepszych ludzi.

— Nie zazdrościmy wcale tym dobrym ludziom — roześmiał się tramp szyderczo. — Obejdziemy się bez tych kilku dolarów, któreście uciułali. Będziemy mieli miliony, skoro tylko natrafimy na bonanzę!

— Jeśli wam się to uda! — parsknął Hammerdull.

— Old Shatterhand już o to się troszczy.

— On wam pokaże drogę?

— Oczywiście!

— Tak, tak! Widzę go już, jak palcem wskazuje na ziemię i mówi: „Tu leżą grudy złota, jedne większe od drugich. Zabierzcie je sobie, bo nie możecie niczym sprawić większej przyjemności nam, biednym jeńcom!”

— Nie gadajcie głupstw! — ofuknął Izajasz obu przyjaciół. — Złość przez was przemawia! Wiem, że sami wolelibyście objąć bonanzę w posiadanie! Ale teraz muszę powiedzieć bratu, że znalazłem kuzyna Pitta, który nie pozwala mi nawet mówić do siebie „ty”.

Ruszył naprzód i przejechawszy obok mnie, wysunął się na czoło orszaku, gdzie jego brat rozmawiał z dowódcą.

— Czy byłbyś przypuścił coś podobnego? — zapytał Hammerdull.

— Nie — odparł Pitt krótko. — Ładne pokrewieństwo!

— Czarna rozpacz mnie ogarnia! Koniu teraz darujemy pieniądze?

— Znowu będziemy musieli łamać sobie nad tym głowy!

Odwróciłem się do przyjaciół i powiedziałem: — Nie troszczcie się o to niepotrzebnie! Podjechali do mnie natychmiast, jeden z lewej, drugi z prawej strony, i grubas zapytał:

— Mamy się o to nie troszczyć? Czy znacie kogoś zasługującego na taki dar?

— Mógłbym wam setki ludzi polecić, ale nie o tym myślę. Czy macie już pieniądze?

— Niestety, nie. Większa część jest jeszcze u „generała”. Przecież dobrze o tym wiecie!

— Nie martwcie się zatem na razie! Kto wie, czy schwytamy tego bandytę.

— O, skoro wy i Winnetou jesteście z nami, to tak, Jakbyśmy go już mieli w swoich rękach! Czy słyszeliście naszą rozmowę z trampem?

— Znaleźliście kuzynów. Pitta.

— Cóż wy na to, sir?

— Byliście bardzo nieostrożni.

— Jak to? Czy mieliśmy zataić, kim jest Holbers? — Nie. Ale zachowywaliście się tak, jak gdybyście

wiedzieli na pewno, że wkrótce będziemy wolni.

— Czy to było błędem?

— Bardzo wielkim! To może obudzić podejrzenia, które gotowe wszystko nam popsuć. Wasze drwiny dotyczące złota były mocno niebezpieczne. Rabusie powinni być do ostatniej chwili przekonani, że ich zaprowadzę do bonanzy.

— Ale kiedy wreszcie nadejdzie ta ostatnia chwila?

— Może dziś jeszcze.

— Hura! Naprawdę?

— Spodziewam się. Indianin Kolma-puszi przyjdzie nam z pomocą. Gdy się rozłożymy obozem, czuwajcie udając tylko śpiących. Powiedzcie to ostrożnie wszystkim towarzyszom! Ja nie chcę się z nimi porozumiewać, aby nie ściągnąć na siebie podejrzenia. Nie musicie zachowywać się pokornie, lecz nie okazujcie też zbytniej pewności siebie!

Kazałem im jechać za sobą i czekać spokojnie na dalsze wypadki, chodziło mi bowiem o to, by bandyci nie spostrzegli, że rozmawiam z towarzyszami.

Bracia Holbersowie zatrzymali teraz konie i zaczekali, dopóki Dick i Pitt nie podjechali do nich. Izajasz wskazał na Holbersa i rzekł:

— To jest ten krewniak, który zabrania mi mówić do siebie „ty”.

Joel rzucił na Pitta lekceważące spojrzenie i odpowiedział:

— Mech się cieszy, że w ogóle pozwalamy mu gadać. A więc on chciał nam darować pieniądze?

— Cały swój majątek!

— I ty w to uwierzyłeś?

— Ani mi się śniło!

— Przypatrz mu się tylko! On i majątek! Zwykła przebiegłość! To była przynęta, na którą oczywiście nie damy się złapać. Chodź!

Puścili się znów naprzód, a i mnie zawołano po chwili, bym jako przewodnik stanął na czele pochodu. Ponieważ zbliżyliśmy się do spływu dwu strumieni, nawodnioną obficie prerię przerywały teraz mniejsze i większe grupy drzew i krzaków. Abym nie znalazł w tej okolicy sposobności do ucieczki, Cox i Old Wabble wzięli mnie między siebie. Nagle stary cowboy wyciągnął rękę i zawołał:

— Do diabła! A tam kto znowu? Ludzie, miejcie się na baczności i otoczcie ciasno jeńców, gdyż nadjeżdża człowiek, który postawi wszystko na kartę, aby ich uwolnić!

— Kto taki? — zapytał Cox.

— Przyjaciel Winnetou i Shatterhanda, Old Surehand. Przysiągłbym, że to on.

Spoza lasku wyjechał jeździec i ruszył ku nam wyciągniętym kłusem. Był jeszcze daleko, toteż nie mogliśmy rozpoznać jego twarzy, widzieliśmy tylko długie, rozwiane włosy. To nadawało mu wiele podobieństwa do Old Surehanda, nie miał jednak barczystej i silnej postaci myśliwca. Był to Kolma-puszi, który chciał nam pokazać, że jest już na miejscu.

Z początku udał, że nas nie widzi, potem zatrzymał konia i jął się nam przypatrywać. Gdyśmy się na tyle zbliżyli, że można było rozpoznać jego rysy, Old Wabble rzekł z widoczną ulgą:

— To nie Old Surehand, lecz jakiś ”Indianin. Bardzo jestem z tego zadowolony. Ciekaw jestem, do jakiej on trzody należy?

— Głupie spotkanie! — zauważył Cox.

— Czemu? Lepiej, że zjawił się on aniżeli jakiś biały. Ale nie powinien włóczyć się w pobliżu nas, to jasne! Musimy ostro zabrać się do niego, aby mu nie przyszło na myśl nas szpiegować.

Dojechawszy do Indianina, zatrzymaliśmy konie, a on pozdrowił nas ruchem ręki i zapytał:

— Może moi bracia widzieli czerwonego wojownika niosącego siodło i szukającego konia, który mu uciekł w nocy?

Cox i Old Wabble wybuchnęli głośnym śmiechem, a tramp odpowiedział:

— Czerwonego wojownika niosącego siodło? Ładny z niego wojownik!

— Czemu biali bracia się śmieją? — spytał poważnie Indianin. — Jeśli koń uciekł, to trzeba go poszukać.

— Bardzo słusznie, ale kto pozwala uciec koniowi, a potem ugania się za nim z siodłem, ten nie jest na pewno wielkim wojownikiem. Czy to twój towarzysz?

— Tak. W nocy, gdyśmy spali, koń się urwał i zniknął, co zauważyliśmy dopiero rano. Obaj wyruszyliśmy na poszukiwania, a teraz nie mogę odnaleźć ani towarzysza, ani jego konia.

— A to wesoła historia! Prawdziwe z was zuchy! Człowiek nabiera dla was szacunku. Do jakiego szczepu należycie ?

— Do żadnego.

— A więc wygnańcy, hołota! Wobec tego trzeba wam okazać miłosierdzie i dopomóc trochę. Widzieliśmy tego wojownika.

— Gdzie?

— Ze dwie mile za nami. Wystarczy ci pojechać naszym tropem, aby go spotkać.

Indianin poderwał konia, ścisnął go lekko nogami i pomknął cwałem po naszym tropie. Wszyscy patrzyli jakiś czas za nim, ale on nie obejrzał się ani razu.

— Przeklęta czerwona skóra! Niech sobie jedzie te dwie mile i szuka dalej. „Wojownik” z siodłem na ramieniu! To mi zuch! Ta nędzna banda upada coraz niżej! — roześmiał się Old Wabble.

Pojechaliśmy dalej. Trampom się nie dziwiłem, bo nie byli westmanami, ale stary cowboy nie powinien był ”spotkania z Indianinem uważać za: epizod pozbawiony znaczenia. Na jego miejscu pojechałbym za nieznajomym, by sprawdzić, jakie ma zamiary. Kto z najzwyklejszych wydarzeń nie wyciąga wniosków, ten nie dorósł do tego, by stawić czoło niebezpieczeństwom Dzikiego Zachodu.

Nie ujechaliśmy daleko, kiedy nastąpiło nowe spotkanie, zupełnie przez nas nie przewidziane. Jechaliśmy wzdłuż skraju zarośli, wijących się jak wstęga przez sawannę, gdy ujrzeliśmy dwu jeźdźców zbliżających się z koniem jucznym od prawej strony. Jeden z nich wziął do ręki strzelbę, jak to się dzieje zawsze przy spotkaniu z obcymi.

W odległości może trzystu kroków od nas zatrzymali się z widocznym zamiarem przepuszczenia nas obok siebie. Po chwili usłyszałem kilka głośnych okrzyków.

— Uff, uff! — zabrzmiał głos Szako-matty.

— Uff! — zawołał Apanaczka.

Spojrzałem bacznie na nieznajomych i zdumiałem się tak samo jak moi towarzysze: jeździec trzymający strzelbę był białym czarownikiem Nainich, drugim mogła być tylko jego czerwona skwaw, tajemnicza Tibo-wete. Domysł mój potwierdzała obecność konia jucznego, którego mieli także z sobą w farmie Harboura.

Czarownik zaniepokoił się, ale trwało to tylko chwilę. Ruszył ku nam i wymachując rękami zawołał:

— Old Wabble, Old Wabble! Witajcie! Teraz nie potrzebuję niczego się obawiać!

— Kto to? — zapytał stary cowboy. — Ja go nie znam!

— Ja także nie — odrzekł Cox.

Old Wabble a można było poznać z daleka po niezmiernie chudej, wysokiej postaci oraz po długiej grzywie białych włosów. Kiedy podjechaliśmy bliżej, czarownik rozpoznał nas wszystkich i wykrzyknął z radością:

— Old Shatterhand, Winnetou, Szako-matto... i wszyscy związani! Co za cudowny zbieg okoliczności! Jakże się to mogło stać? Jak tego dokazaliście?

— Kim właściwie jesteście, sir? — spytał Old Wabble. — Skąd mnie znacie? Zdaje mi się wprawdzie, że was już kiedyś widziałem, ale nie mogę sobie przypomnieć, w jakich to było okolicznościach.

— Byłem na Liano Estacado, gdzie wraz z oddziałem Komanczów Old Shatterhand wziął mnie do niewoli.

— A dlaczego powiedzieliście, że nie potrzebujecie się teraz niczego obawiać?

— Bo wy nie możecie być przyjacielem moich wrogów: zabraliście przecież strzelby Old Shatterhanda i byliście w spółce z „generałem”. W farmie Harboura dowiedziałem się, iż mieliście nowe przykre starcie z Old Shatterhandem. Dlatego cieszę się bardzo, że was niespodziewanie spotkałem.

— Well! Rozumiem to wszystko, ale..;

— Nie dziwię się, że mnie nie poznajecie — przerwał mu były Komancz. — Wówczas udawałem Indianina i miałem skórę zabarwioną na czerwono...

— Do wszystkich diabłów! Teraz już wiem! Czy nie byliście przypadkiem czarownikiem Komanczów?

— Byłem.

— Co za szczególna rzecz! Biały czarownikiem Komanczów! To bardzo ciekawe, musicie mi o tym opowiedzieć. Może pojedziecie z nami?

— Niestety, Mr Cutter, muszę jechać w inną stronę, spodziewam się jednak, że zobaczymy się jeszcze. Oświadczam wam, że dzień dzisiejszy jest najszczęśliwszym dniem w moim życiu, widzę bowiem, że dostali się w wasze ręce ludzie, których sprzątnąłbym natychmiast, gdyby to ode mnie zależało. Trzymajcie ich tylko mocno!

Podczas tej rozmowy przypatrywałem się drugiemu jeźdźcowi. Była to Indianka, bez zasłony, która w farmie Harboura zakrywała jej oblicze. Poznałem ją mimo męskiego stroju. Była to ta sama starsza kobieta, którą spotkałem w Kaam-kulano; ta sama twarz ciemnobrunatna, zapadnięta, pomarszczona, o nieomal europejskich rysach, te same beznadziejne, nieruchome, a przy tym dziko połyskujące oczy, na których widok przypomniał mi się szpital wariatów. Siedziała aa koniu po męsku, zręcznie i pewnie, jak wprawny jeździec. Po chwili zbliżyła się do nas i zatrzymała w milczeniu, patrząc tępo przed siebie. Apanaczka siedział także na koniu nieruchomy jak posąg, jakby nikogo więcej nie widział prócz tej, którą nazywał matką; nie próbował bynajmniej zbliżyć się do niej.

Tibo-taka zauważył z widoczną niechęcią, że jego żona podjechała do nas, lecz uspokoił się widząc, że z nikim nie rozmawia. Zwrócił się znów do Old Wabble a:

— Jak już powiedziałem, muszę odjechać, ale skoro tylko zobaczymy się znowu, dowiecie się, dlaczego ”tak się cieszę, że pochwyciliście tych ludzi. Co się z nimi stanie?

— To się dopiero pokaże — odparł stary. — Znam was zbyt mało, żebym miał odpowiadać na to pytanie.

— Well! Możecie nie odpowiadać! I tak jestem pewien, że nie będziecie robili z nimi wielkich ceremonii. Zasługują

na śmierć. Byłby to największy błąd, gdybyście im darowali życie. Co za rozkosz dla moich oczu, że ich widzę w więzach! Czy pozwolicie, że się im dokładnie przypatrzę?

— Owszem! Przypatrujcie się, ile wam się podoba! Tibo-taka podjechał całkiem blisko do Osedża, roześmiał mu się w twarz i powiedział:

— To Szako-matto, który przez tyle. lat na próżno starał się mnie odnaleźć. Biedny robaku. To była dobra sztuka, nieprawdaż? Zakupić tyle skór tak tanio nie każdemu się udaje!

— Morderco, złodzieju! — zgrzytnął wódz. — Gdybym miał wolne ręce, zaraz bym cię udusił!

— Bardzo wierzę! Tymczasem uduś się sam! Następnie zwrócił się do Treskowa:

— A to osławiony agent policji, o którym mi cowboy powiedział, że siedzi w izbie u Harboura. Głupcze! Za czym ty właściwie węszysz? Daremne twoje starania! Jeszcze kilka tygodni i wszystko będzie przedawnione. Właśnie dlatego wracamy teraz. Czy tego nie miarkujesz?

— Mogą sobie te tygodnie upłynąć — odparł Treskow. — Za wcześnie triumfujecie, monsieur Thibaut!

— Do pioruna! Znacie więc moje nazwisko? Czy policja stała się nagle wszechwiedząca? Gratuluję wam. sir!

Podjechał do Apanaczki, rzucił mu jakąś obelgę w twarz i zatrzymał się wreszcie przed Winnetou.

— To wódz Apaczów — rzekł. — Najsłynniejszy ze wszystkich wodzów! Znamy się dobrze, nieprawdaż? Spodziewam się, że tym razem znajdziesz się wreszcie na drodze do Wiecznych Ostępów. A jeśli nie, to wystrzegaj się spotkania ze mną, bo tak ci kulą przedziurawię łeb, że słońce z dwu stron będzie mogło zaglądać do mózgu!

Winnetou milczał, nawet nie spojrzał na napastnika. Byłby pomimo więzów nie przepuścił tej obelgi, gdyby nie

gardził w najwyższym stopniu białym opryszkiem. Tibo-taka skierował teraz konia w moją stronę. I mnie duma skłaniała do lekceważenia byłego kuglarza, lecz rozum nakazywał mi postąpić inaczej. Postanowiłem spróbować, czy nie wyciągnę zeń jakichś dodatkowych wiadomości, toteż zwróciłem się do niego i odezwałem wesoło:

— Teraz mnie zapewne zaszczyci odwiedzinami słynny Tibo-taka? Jestem skrępowany, macie więc sposobność wywnętrzyć się bez obawy o skutki. Zaczynajcie!

— Diable! — syknął drab z wściekłością. — Ten hultaj nie czeka nawet, żebym do niego przemówił! To niesłychane zuchwalstwo! Istotnie, chcę z tobą pomówić, łotrze, i to gruntownie!

— Well! Słucham uważnie. Zanim jednak zaczniecie, przyjmijcie ode mnie pewną radę. Bądźcie ostrożni, kiedy ze mną będziecie mówili. Wiecie zapewne z dawniejszych czasów, że mam swoje dziwactwa.

— Tak, masz je, lecz niebawem będziesz z nich wyleczony na zawsze. Może cię to gniewa, że mówię do ciebie „ty”? Pozwalam ci na taką samą poufałość względem mnie.

— Dziękuję! Nie zawieram braterstwa z głupcami i nie dbam o to, że mówią do mnie „ty”.

— Ty łotrze nikczemny! Czy sądzisz, że jeśli raz moja kula cię nie dosięgła, to już nigdy w ciebie nie trafię?

Podniósł strzelbę i trzasnął kurkiem, ale w tej chwili przyskoczył do niego Cox i odtrącił lufę krzycząc:

— Precz ze strzelbą, bo ja wdam się w tę sprawę! Kto ruszy Old Shatterhanda, dostanie ode mnie kulą w łeb!

— Od was? A wy kim jesteście?

— Jestem Cox, dowódca oddziału.

— Wy? Myślałem, że Old Wabble tu rozkazuje.

— Tak jest, jak powiedziałem!

— W takim razie wybaczcie, sir! Ale sami chyba przyznacie, że nie powinienem pozwolić, aby rnnie w ten sposób obrażano.

— Mr Cutter pozwolił wam mówić, z jeńcami i ja przystałem na to. Ale godzić na ich życie nie pozwolę.

— Czy mogę dalej mówić z tym człowiekiem?

— Nie mam nic przeciwko temu.

— Ja. także nie — dodałem. — Rozmowa z błaznem każdego rozweseli, a ten stary bawi mnie specjalnie.

Podniósł zaciśniętą pięść, lecz opuścił ją zaraz i rzekł:

— Pshaw! Nie rozgniewasz mnie więcej! Gdybyś nie był jeńcem i spotkał się ze mną na preriach, zapłaciłbym ci za odwiedziny w Kaam-kulano!

— Nie wiem, czy byście potrafili! Nawet wawy Derrika nie zdołaliście sami wysłać na tamten świat, lecz szukaliście pomocy u innych!

Tibo-taka wbił we mnie szeroko rozwarte oczy, jakby mnie chciał przeszyć wzrokiem, a gdy mimo to nie straciłem spokoju, zawołał:

— Co ci nagadał wówczas ten przeklęty drab, młody Bender?!

Bender! To nazwisko, zaczynające się na literę B, przypomniało mi natychmiast inicjały na grobie zamordowanego Diterica. Ale kto ukrywał się pod tym nazwiskiem? Nie mogłem oczywiście wprost o to zapytać, rzuciłem więc prędko:

— Kiedy?

— Na Liano Estacado, gdzie ze swoim bratem..: Zamilkł przerażony, a mnie w tej chwili przebiegła

błyskawicznie przez głowę pewna myśl, którą wyraziłem, kończąc przerwane zdanie:

— ...gdzie ze swoim bratem stoczył walkę? Pshaw! To, co on mi wówczas wyjawił, wiedziałem od dawna i lepiej od niego. Ja znacznie wcześniej szukałem człowieka zwanego padre Diterico.

— Diterico...? — powtórzył przeciągle.

— Czy trudno wam wymówić jego imię w tym brzmieniu? Jeśli tak, to możemy posługiwać się słowami Ikwet-sipa, bo tak go nazywano w ojczyźnie, wśród Indian Moki.

Z początku Tibo-taka nie mógł przemówić ani słowa. Krztusił się, połykał ślinę, jakby mu coś w gardle utkwiło, wreszcie wybuchnął głośnym, chrapliwym rykiem:

— Psie, teraz znów wywiodłeś mnie w pole, jak wówczas nas wszystkich! Zabiję cię. Masz!

Podniósł znowu strzelbę i trzasnął kurkiem. Cox rzucił się w naszą stronę, ale nic by nie wskórał, gdybym ja sam sobie nie poradził. Pochyliłem się w siodle, związanymi rękoma pochwyciłem cugle, wparłem pięty w boki konia i zawołałem:

— W górę, Hatatitlo, w górę!

Ten okrzyk został doskonale zrozumiany przez mego karosza. Ogier skurczył się jak kot i zaniósł mię jednym susem tak blisko napastnika, że strzemiona nasze otarły się o siebie. Z całej siły uderzyłem nogą w jego nogę, po czym, puściwszy cugle, palnąłem go w bok związanymi pięściami tak mocno, że w chwili kiedy wypalił, . runął na ziemię po drugiej stronie wierzchowca.

Prócz Winnetou i obłąkanej nikt nie zdołał się powstrzymać od wydania okrzyku przerażenia, zdumienia i uznania zarazem. Mój ogier, wykonawszy skok, stał teraz spokojnie, jak ulany ze spiżu. Thibaut zerwał się i oglądał za strzelbą, którą Cox zdołał już jednak pochwycić.

— Zabijcie go, Mr Cox! Czy go zabijecie? — stękał były kuglarz z wściekłością.

— Tak — potwierdził zapytany. — Jego życie przyrzekłem Old Wabble owi.

— Dzięki Bogu! W przeciwnym razie ja bym go sprzątnął po otrzymaniu strzelby, nie zważając, że wy byście mnie potem zastrzelili. Wy nie wiecie, co to za diabeł. Winnetou jest wobec niego prawdziwym aniołem. Zastrzelcie go, zastrzelcie!

— Zapewniam was, że życzenie wasze się spełni — uspokoił go Old Wabble. — On albo ja! Z nas dwu jeden może pozostać na ziemi.

— To skończcie z nim rychło, bo wam jeszcze ucieknie!

Indianka, nie wzruszona niczym, nawet wystrzałem, podjechała do zarośli, odłamała kilka gałązek, splotła je na kształt wianka i włożyła sobie na głowę. Potem zawróciła do najbliższego trampa i rzekła wskazując na swoje skronie:

— To jest mój myrtle wreath. Włożył mi go na głowę mój wawa Derrik.

Usłyszawszy jej słowa Thibaut zapomniał o mnie, przestraszony, że kobieta może zdradzić jego tajemnicę. Grożąc jej pięścią zawołał:

— Milcz, wariatko! — a zwróciwszy się do trampów dodał: — Ona jest obłąkana i wygłasza rzeczy, które mogą zdrowemu w głowie zawrócić.

W tej samej chwili Apanaczka, który dotąd siedział na koniu jak posąg, podjechał do Tibo-wete i zapytał:

— Czy matka mnie poznaje? Czy ma oczy otwarte dla swego syna?

Indianka spojrzała nań ze smutnym uśmiechem i potrząsnęła głową.

— Co masz z nią do mówienia? Milcz! — krzyknął jej mąż.

— To moja matka! — odrzekł Apanaczka spokojnie.

— Teraz nią nie jest. Ona należy do.. Nainich, a ty musiałeś opuścić to plemię. Od tego czasu nie masz już matki!

— Jestem wodzem Komanczów i nie pozwolę, żeby mi rozkazywał człowiek, który i ją, i mnie oszukał. Będę z nią mówił!

— A ja zabraniam ci tego!

— Przeszkodź, jeśli potrafisz!

Thibaut nie ośmielił się zaczepić Apanaczki, choć ten był skrępowany, i zwrócił się do Old Wabble a:

— Pomóżcie mi, Mr Cutter! To mój wychowanek, przez którego żona moja dostała pomieszania zmysłów. Ilekroć go zobaczy, jej choroba się pogarsza. Niech ją zostawi w spokoju!

Old Wabble, wściekły, że Cox podał się za dowódcę, chciał teraz pokazać, że także ma coś do powiedzenia.

— Zabieraj się, czerwony łotrze! — krzyknął do Apanaczki. — Słyszałeś, że ta skwaw nie ma nic wspólnego z tobą. Wynoś się!

I wcisnął się z koniem pomiędzy Apanaczkę a kobietę. Młodzieniec cofnął się o kilka kroków i chciał podjechać do matki z drugiej strony, ale Old Wabble ruszył natychmiast za nim.

— Czy Old Wabble dopuści mnie do tej kobiety? — spytał Indianin.

— Nie! — oświadczył starzec.

— Ja go zmuszę!

— Spróbuj!

— Nie będę oszczędzać starego zabójcy Indian!

— Ja ciebie także nie!

— Uff! To zatrzymaj tę skwaw dla siebie! Zawrócił konia, jakby chciał dać za wygraną, ale kto

znał Apanaczkę, wiedział, że to tylko podstęp z jego strony. Old Wabble pozwolił się jednak wywieść w pole i odwrócił się z triumfującą miną w stronę Coxa.

— Uważajcie, uważajcie, nadjeżdża! — zabrzmiały ostrzegawcze okrzyki trampów.

Stary obejrzał się i widząc Apanaczkę, zbliżającego się w potężnych skokach, krzyknął ze strachu. Widzowie z zapartym oddechem czekali, co teraz nastąpi. Apanaczka zaś, wydawszy przeraźliwy okrzyk wojenny Komanczów, rzucił się naprzód i przesadził konia Old Wabble a na poprzek jakby na nim jeźdźca nie było. Narażał przy tym życie, bo mając skrępowane nogi i ręce, mógł łatwo sam wylecieć z siodła. Mimo to przeskoczył szczęśliwie — zdawało się tylko, że koń jego padnie na głowę, gdy dotknie ziemi nogami. Lecz Apanaczka rzucił się wstecz, poderwał wierzchowca i popędził przed siebie, zanim się wreszcie nie zatrzymał w znacznej odległości. Odetchnąłem z ulgą.

A Old Wabble? Wyleciał z siodła, jak trafiony kulą armatnią, i legł niepx-zytomny na ziemi. Koń jego przewrócił się także, przez chwilę tarzał się w jedną i drugą stronę, ale w końcu wstał, nie doznawszy widocznie szwanku. Nastąpiło teraz niebywałe poruszenie i bieganina. Mogliśmy, korzystając z zamieszania, umknąć bez trudu, lecz nie chcieliśmy zostawić w rękach rabusiów naszej broni i zapasów żywności.

Cox zajął się tymczasem starym cowboyem, który przyszedł wkrótce do siebie. Lecz kiedy chciał wstać opierając się na rękach, nie mógł tego dokazać. Podniesiono go, i okazało się, że może poruszać tylko jedną ręką — druga, złamana, zwisała bezwładnie.

— Zastrzelcie tego przeklętego łotra! — wybuchnął starzec. — Ja tak każę! Słyszycie, ja rozkazuję!

Nikt go oczywiście nie słuchał. Old Wabble krzyczał i piorunował, dopóki Cox nie huknął na niego:

— Dajcie spokój, bo zostawimy was i odjedziemy! Nie ryczcie jak dzikie zwierzę! Zajmijcie się lepiej swoją ręką!

Old Wabble kazał zdjąć z siebie starą bluzę, co nie obyło się bez dotkliwego bólu. Następnie Cox obmacał mu rękę, a po nim inni, przy czym starzec jęczał okropnie. Nikt jednak nie umiał mu nic poradzić, dlatego Cox zwrócił się do nas.

— Słuchajcie, panowie, czy ktoś z was potrafi złożyć złamaną rękę? — zapytał.

— Naszym nadwornym lekarzem jest Winnetou — odpowiedział Hammerdull. — Jeśli go poprosicie, nie odmówi wam zapewne.

Ale Apacz oświadczył stanowczym tonem:

— Winnetou nie będzie leczył morderców. Stary cowboy przeprowadził przedtem swoją wolę, więc i teraz niech czyni, co mu się podoba. Winnetou skończył!

Cutter stękał i jęczał, aż litość brała. Nie mogąc nic mu poradzić Cox zwrócił się wreszcie do mnie:

— Słyszałem od Old Wabble a, że jesteście niezłym . chirurgiem. Zajmijcie się nim, a może się jeszcze rozmyśli i puści was wolno.

— Bardzo pięknie! „Może mnie puści wolno”! Ulżę staremu w cierpieniach tylko pod warunkiem, że się wyrzeknie myśli o zamordowaniu mnie.

— Well! Zaraz go o to zapytam.

Cox układał się z Old Wabble em przez dłuższy czas, a w końcu przyszedł do mnie i oświadczył:

— To twardy człowiek. Trwa przy tym, że musicie umrzeć. Woli znosić cierpienia niż wyrzec się zemsty. Wobec tego zapewne nie zajmiecie się nim wcale, Mr Shatterhand?

— Czemu nie? Jestem człowiekiem i postąpię po ludzku. Będę w nim teraz widział tylko cierpiącego i pomogę mu.

Towarzysze usiłowali mnie powstrzymać, ale ja na nich nie zważałem. Odwiązano mnie od konia i zaprowadzono do Cuttera, który zamknął oczy, żeby na mnie nie patrzeć. Oczywiście rozkrępowano mi także ręce. Po zbadaniu okazało się, że złamanie było podwójne, w jego wieku bardzo niebezpieczne.

— Widziałem, jak zlatywaliście z konia — powiedziałem. — Mieliście na plecach moje strzelby i podczas upadku wasza ręka dostała się pomiędzy ich lufy. Gdyby nie to, że porwaliście się na moją własność, bylibyście zdrowi i cali. A teraz musimy stąd odjechać i jak najprędzej dotrzeć do rzeki, gdzie zrobię wam opatrunek.

Pozwoliłem się na nowo skrępować, choć miałem doskonałą sposobność do ucieczki: byłem przez chwilę pozbawiony pęt, nie opodal leżały moje strzelby, a kary czekał na mnie. Ale co byłbym przez to osiągnął? Bandyci pilnowaliby odtąd moich towarzyszy z nieubłaganą czujnością i trudno byłoby ich uwolnić. Moja potulność natomiast uspokoiła ich do tego stopnia, że Kolma-puszi powinien mieć ułatwione zadanie.

Apanaczka zbliżył się tymczasem do Indianki. Thibaut śledził ich z hamowanym gniewem, lecz nie ośmielił się odpędzić Komancza. Widocznie nauczka, którą dostał, poskutkowała. Nie odezwał się też ani słowem, kiedy podjechałem bliżej, aby posłuchać, co mówi kobieta. Ale były to, niestety, wyrazy bez związku.

— Duch jej odszedł i nie chce powrócić! — skarżył się Apanaczka. — Matka nie rozumie syna!

— Pozwól mi spróbować, czy nie da się przywołać jej duszy — powiedziałem.

— Nie, nie! — zawołał Thibaut. — Nie dopuszczę do tego, żeby Old Shatterhand z nią rozmawiał...

— Old Shatterhand może zdać się na mnie — przerwał mu Apanaczka. — Niech pomówi ze skwaw, a gdyby czarownik ręką ruszył, zostanie rozdeptany przez końskie kopyta.

Ustawił się tuż obok byłego kuglarza i byłem pewny, że w razie czego groźby swej dotrzyma.

— Czy znałaś wawę Ikwet-sipę? — zapytałem obłąkaną.

— Ikwet-sipę? — westchnęła:

— Tak. Ikwet-sipę — powtórzyłem kładąc nacisk na każdą zgłoskę.

Kobieta odpowiedziała jak we śnie, ale wyraźnie: — Ikwet-sipa to mój wawa.

Domysł mój był słuszny; Tibo-wete była siostrą Diterica.

— Czy znasz Tehuę?

— Tehua była moją starszą siostrą.

— A feto to jest Tokbela?

— Tokbela to ja.

Słowa odnoszące się do jej dzieciństwa i młodości wywarły na niej silne wrażenie. Świadomość wracała jej powoli, szukając iskierki światła w otaczających ją ciemnościach. Ponieważ mieliśmy zaraz wyruszyć i czas był drogi, przeto zadałem jej najważniejsze pytanie:

— Czy znasz Bendera?

— Bender... Bender... — powtórzyła za mną i radosny uśmiech ukazał się na jej twarzy,

— Albo Tehuę Bender? Obłąkana klasnęła w ręce i zawołała:

— Tehua to żona Bendera, tak, to jego żona!

— Czy Tehua ma dzieci?

— Tak, dwu chłopców. Tokbela nosiła ich na rękach.

— Jak nazywają się te dzieci?

— Leon i Fred.

Thibaut, trzymany w szachu przez Apanaczkę, zwrócił na mnie oczy pełne wściekłości jak drapieżne zwierzę gotowe do skoku na swą ofiarę. Ale ja nie zważałem na niego, starając się wydobyć z kobiety wszystko, co mogłoby rzucić światło na tajemnicę pochodzenia Old Surehanda i Apanaczki. Już zamierzałem postawić nieszczęśliwej nowe pytanie, kiedy mi w tym przeszkodzono. Dwaj bandyci przynieśli mi flintę na niedźwiedzie i sztucer, a jeden z nich powiedział:

— Old Wabble życzy sobie, żebyście sami nieśli te nieszczęsne strzelby, które ludziom łamią kości, Przewiesimy wam je przez plecy.

— Ja sam muszę to zrobić. Rozwiążcie mi ręce na chwilę. Potem skrępujecie mnie na nowo.

Musiałem przerwać rozmowę z obłąkaną, bo wszyscy dosiadali już koni, żeby puścić się w dalszą drogę. Ciekaw byłem, jak Apanaczka zachowa się teraz względem Tibo-taka i Tibo-wete. Młody wódz zbliżył się do mnie i zapytał:

— Biały czarownik zechce teraz zapewne odłączyć się od trampów?

— Najprawdopodobniej. — I zabierze skwaw ze sobą?

— Oczywiście.

— Uff! Czy ona nie może jechać z nami?

— Nie.

— Dlaczego?

— Niech mi Apanaczka najpierw powie, czemu życzy sobie, żeby została z nami?

— Bo jest moją matką.

— Nie jest nią.

— Jeśli nawet nią nie jest, to przecież kochała mnie, jak gdybym był jej synem. Nie chcę, by została z tym białym,

który podawał się za jej męża i przez tyle lat oszukiwał Nainich.

— On jej nie odda.

— Zmusimy go.

— To niemożliwe. Apanaczka zapomina, że jesteśmy jeńcami. Czyż nasi prześladowcy przyjęliby choć na krótki czas skwaw do swego orszaku?

— Nie. Jeśli jednak zostawimy ją z tym białym łotrem, nie ujrzę już nigdy tej, którą uważałem za swoją matkę.

— Apanaczka zobaczy ją jeszcze.

— Kiedy?

— Zapewne już wkrótce. Niech mój brat pamięta o wszystkim. Tibo-taka jej nie wyda, bandyci jej nie przyjmą, a nam zawadzałaby tylko, nawet gdybyśmy zdołali się uwolnić. Jeśli zaś Tibo-taka zabierze ją ze sobą, odpadną nam te kłopoty.

— Ale ta daleka droga będzie dla niej bardzo uciążliwa!

— Z nami musiałaby jeszcze dalej jechać.

— Tibo-taka nie będzie dla niej dobry...

— Nie był dobry i w Kaam-kulano. Zresztą zdaje mi się, że jej obecność będzie mu potrzebna u celu podróży, musi zatem dbać o nią bardziej niż zwykle. Niech więc mój brat Apanaczka pozwoli jej odjechać. Taka jest moja rada.

— Old Shatterand wie najlepiej, co przynosi korzyść jego przyjaciołom. Nie będę mu się sprzeciwiał!

Old Wabble a ubrano z trudem w bluzę i wsadzono na konia. Tibo-taka podjechał do niego chcąc się pożegnać.

— Dziękuję wam, Mr Cutter — rzekł — że ujęliście się za mną tak energicznie. Zobaczymy się jeszcze, a wtedy wiele rozmaitych rzeczy...

— Milczcie lepiej! — przerwał mu starzec. — Diabeł sprowadził was do nas! Przez was rozbito mi rękę! Wynoście

się i nie pokazujcie mi się więcej na oczy!

Thibaut odpowiedział obrażony:

— Mnie również na tym wcale nie zależy, żeby się spotkać z takim szubrawcem jak wy, ale gdyby to kiedyś nastąpiło, to powitanie moje będzie nie mniej uprzejme, jak wasze pożegnanie. Jedźcie sobie do piekła!

— Przeklęty drab! Poślijcie za nim kulę! — ryknął starzec.

— Nikomu przez myśl nie przeszło usłuchać tego rozkazu i Thibaut oddalił się bez przeszkód w towarzystwie obłąkanej .

— Czy też zobaczymy go jeszcze? .— zapytał mnie Apanaczka półgłosem.

— Na pewno! — odpowiedziałem.

Musiałem znowu stanąć na czele pochodu i niebawem dotarliśmy do rzeczki. Gdy kilku trampów szukało wygodnego brodu, mnie zdjęto tymczasem z konia i polecono opatrzyć Old Wabble a. Nie mogę powiedzieć, że dokonałem zabiegu z nadmierną delikatnością. Stary cowboy zawył kilka razy głośno i obdarzył mnie przezwiskami, których niepodobna przelać na papier.

Uporawszy się z nim, wsiadłem znowu na konia, po czym przeprawiliśmy się przez rzeczkę i ruszyliśmy po drugiej stronie wzdłuż brzegu, dopóki nie przeciął nam drogi wpadający do Rush Creek strumień. Skręciliśmy wtedy na północny zachód przez prerię, tak jak pouczył mnie Kolma-puszi.

Grunt wznosił się tu z wolna, tworząc pociętą rozpadlinami wyżynę, porosłą kępami krzaków. Uwijało się wśród nich mnóstwo dzikich indyków, których z pół tuzina bandyci upolowali na wieczorny posiłek.

Późno po południu ujrzeliśmy nagle przed sobą wzgórze, pod którym musiały znajdować się źródła wskazane przez

Kolmę-puszi. Byłem ciekaw, czy otoczenie źródła leżącego najdalej na północ będzie rzeczywiście odpowiadało naszym zamiarom.

Już z daleka widać było, że górę pokrywa gęsty las. Na krótko przed wieczorem przybyliśmy nad mały strumyk i pojechaliśmy cwałem, wzdłuż brzegu, aby przed nastaniem ciemności dostać się do jego źródła. Znaleźliśmy się na miejscu, kiedy już znikły ostatnie blaski dnia. Było mi to na rękę, ponieważ bandyci nie mogli szukać po nocy innego obozowiska, gdyby im się nawet nie podobało wybrane przeze mnie miejsce.

Nie orientowałem się dokładnie, przypuszczałem tylko, że znajdujemy się nad źródłem wyznaczonym przez Kolmę-puszi. Wytryskało ono spod omszałego kamienia, na wąskiej polance podzielonej przez drzewa i krzaki na trzy części, co powinno znacznie utrudnić bandytom pilnowanie nas. Old Wabble, zauważywszy tę niedogodność, zsiadł z konia i rzucił niechętnie:

— Mnie się to obozowisko nie podoba. Gdyby nie było tak późno, lepiej byłoby pojechać dalej i poszukać innego miejsca. Tutaj będzie trudno upilnować jeńców, chyba że postawimy aż trzech wartowników.

— Pshaw! A więzy od czego? Gdy jeńcy będą skrępowani, ”nie uciekną nam z pewnością! — zawołał Cox. — Jeden dozorca wystarczy dla koni, a drugi dla pojmanych.

— Jeśli rozniecimy dwa ogniska.

— I to zbyteczne! Zobaczycie zaraz, że mam słuszność. Zdjęto nas z koni, skrępowano i zaniesiono na oznaczone przez dowódcę miejsce. Następnie Cox kazał rozniecić wielkie ognisko, które oświetliło cały teren. Dumny ze swoich zarządzeń, zapytał Old Wabble a:

— No, czy jeszcze jesteście niespokojni? Jeden dozorca wystarczy do pilnowania jeńców. Inne środki ostrożności są chyba zbyteczne.

Stary mruknął coś pod nosem i nie sprzeciwiał się więcej. Ja radowałem się w duchu, gdyż położenie obozu i zarządzenia Coxa przechodziły nasze najśmielsze oczekiwania.

Umieszczono mnie na środku małej polanki, lecz potoczyłem się zaraz na jej skraj. To samo zrobił Winnetou. Leżeliśmy dotykając głowami zarośli, w pobliżu pozostałych towarzyszy, tak że nie tylko mogliśmy dawać sobie znaki, lecz nawet porozumiewać się słowami.

Niebawem woń pieczonych indyków napełniła powietrze. Bandyci raczyli się mięsem, ale nam nie dali nic.

— Te draby leżą tak blisko siebie, że nie można się między nimi przecisnąć, by im podać posiłek — rzekł Old Wabble. — Niech zaczekają do rana! Do tego czasu nie umrą z pragnienia i głodu, to jasne!

Śmierci z głodu i pragnienia nie obawiałem się, gdyż byłem przekonany, że jeszcze tej nocy najemy się i napijemy do syta. Ale Dick Hammerdull, który nie uważał tej sprawy za błahą, powiedział gniewnie:

— Ładne postępowanie! Ani słowa! Co ty o tym sądzisz, Holbers, stary szopie?

— To samo, co ty, kochany Dicku — odrzekł chudzielec. — Spodziewam się jednak, że wkrótce skończy się nasza niedola.

— Czy się skończy; czy nie, to wszystko jedno, byleby jak najprędzej ustała. Czy wolno zapytać was o zdanie w tej sprawie, Mr Shatterhand?

— Prawdopodobnie jeszcze tej nocy podjemy sobie indyka — odpowiedziałem. — Nie śpijcie tylko i unikajcie wszystkiego, co mogłoby obudzić podejrzenia trampów.

— Well! Będziemy czekać spokojnie — oświadczył grubas.

Wskutek niedbalstwa trampów miałem ciągle przy sobie moje strzelby. Położyłem je obok siebie, a Winnetou widząc to, odezwał się do mnie szeptem:

— Nawet jeśli mój brat sam jeden zdoła się wyrwać, wygramy, gdyż przeciwko temu sztucerowi bandyci nic nie poradzą.

Wreszcie wieczerza się skończyła i „król cowboyów” podszedł z Coxem do nas, aby sprawdzić, czy dobrze jesteśmy związani. Oględziny wypadły po ich myśli i Cutter powiedział:

— Wszystko w porządku. Sądzę, że i bez wieczerzy będziecie dobrze spali. Śnijcie o mnie przyjemnie!

— Dziękuję — odpowiedziałem. — A ja wam życzę wesołego przebudzenia, Mr Cutter.

Old Wabble oddalił się razem z Coxem, a strażnik usiadł wprost przede mną, co oczywiście było dla nas bardzo niewygodne. Obok ogniska leżała kupa chrustu, zebranego przez trampów. Wartownik, którego zadaniem było także podsycać ogień, musiał odwracać się, gdy sięgał po suche gałęzie. Z tych krótkich chwil, kiedy na nas nie patrzył, musielibyśmy skorzystać, jeśliby Kolma-puszi, stosownie do obietnicy, przyszedł nad źródło. Ledwie o tym pomyślałem, ledwie strażnik dołożył drzewa po raz drugi, usłyszałem za sobą szelest, a zaraz potem słowa wypowiedziane tuż” przy moim uchu:

— Kolma-puszi jest tutaj. Co mam uczynić?

— Zaczekaj, dopóki nie położę się na drugim boku — odpowiedziałem równie cicho. — Potem rozetniesz mi rzemień na rękach i dasz mi nóż.

Wartownik znów odwrócił się do nas, a Kolma-puszi cofnął się szybko.

Czas działania jeszcze nie nadszedł: należało zaczekać, aż wszyscy bandyci zasną. Dopiero po godzinie rozgłośne

chrapanie dało mi znać, że cały obóz pogrążył się we śnie z wyjątkiem Old Wabble a. Stary cowboy stękał i jęczał, widocznie bolała go ręka. Leżał po drugiej stronie zarośli, tak że nie mógł widzieć stamtąd naszego strażnika, co odpowiadało mi bardzo. Tej nocy nie powinniśmy stracić nie uczyniwszy próby wydostania się z niewoli.

Położyłem się na drugim boku i wysunąłem ręce. Gdy po chwili strażnik odwrócił się do ogniska, poczułem, że przecięto mi rzemienie i wciśnięto w rękę nóż. Uniosłem się szybko, skurczyłem nogi i sam przeciąłem na nich pęta. Zaledwie położyłem” się na powrót i wyciągnąłem na ziemi, strażnik przestał dokładać chrustu do ognia i odwrócił się znowu do nas. Wobec tego należało jeszcze zaczekać, ale byłem już prawie pewny, że wszystko dobrze pójdzie.

— Teraz mnie pomóż! — szepnął Winnetou, który śledził z uwagą moje ruchy.

Gdy strażnik sięgnął po chrust, Apacz w jednej chwili miał wolne ręce i nogi.

Aby uniknąć przelewu krwi, musieliśmy jednak zdobyć się jeszcze na cierpliwość. Położyliśmy się z powrotem tak, jak gdybyśmy byli skrępowani, po czym szepnąłem do Apacza:

— Najpierw trzeba się zabrać do strażnika. Który z nas rzuci się na niego?

— Ja — odpowiedział Winnetou.

Chodziło o to, żeby unieszkodliwić tego człowieka bez najmniejszego szmeru. Gdyby się odwrócił i zawołał o pomoc, nie moglibyśmy uwolnić towarzyszy tak, jak to sobie umyśliłem. Istotnie, tylko Winnetou mógł przezwyciężyć trudności, jakie nastręczało to zadanie.

Tym. razem wartownik odwrócił się do kupy chrustu po dłuższej niż zwykle przerwie. Winnetou skoczył jak pantera i pochwycił go oburącz za szyję. Tramp skamieniał i ze strachu nie wykonał najmniejszego ruchu, nie wydał głosu

ani nawet westchnienia. Ponieważ Winnetou miał ręce zajęte, poskoczyłem i ja i uderzyłem trampa dwukrotnie pięścią w głowę. Apacz puścił go, a drab osunął się bezwładnie na ziemię. Pierwsza część zadania udała nam się znakomicie.

Towarzysze nasi nie spali i obserwowali w milczeniu całą scenę. Natychmiast zabrałem się z Winnetou do rozcinania ich pęt. Dziwiło mnie, że nie zjawił się przy nas Kolma-puszi. Czyżby ten tajemniczy Indianin znowu zniknął? Kiedy już wszyscy nasi towarzysze zostali uwolnieni, poczołgałem się z Apaczem dokoła ogniska, aby zajrzeć do trampów oddzielonych od nas ścianą zarośli. Przekonaliśmy się, że wszyscy spali. Old Wabble leżał także wyciągnięty na ziemi, ale był ”skrępowany, w ustach miał knebel, a obok niego siedział nasz wybawca, Kolma-puszi. Zdumienie ogarnęło mnie na widok niezwykłego czynu, dokonanego tak cicho przez dziwnego Indianina. Spostrzegłszy nas, skinął nam głową z uśmiechem. Jego spokój i zimna krew wprawiły wszystkich w jeszcze większe zdumienie.

Teraz należało się uzbroić. Bandyci leżeli ciasno obok siebie, postawiwszy strzelby w polbliżu, aby im nie zawadzały, dzięki temu w przeciągu minuty mieliśmy je w swym posiadaniu. Każdy z towarzyszy odnalazł swoją broń, tylko srebrzysta rusznica Winnetou leżała obok Coxa, lecz Apacz zabrał ją natychmiast podpełznąwszy do dowódcy jak wąż.

Gdy byliśmy całkowicie uzbrojeni, obstąpiliśmy śpiących w ten sposób, że żaden nie mógł nam umknąć. Dick dorzucił tyle drzewa do ogniska, że buchnęło wysokim, jasnym płomieniem..

— Musimy jeszcze pojmać strażnika, który został przy koniach — szepnąłem do Winnetou wskazując na zarośla.

Kolma-puszi zauważył mój ruch, bo podszedł do nas i oznajmił:

— Blada twarz, o której Old Shatterhand myśli, leży przy koniach, powalona i skrępowana przez Kolmę-puszi. Niech moi bracia zaczekają chwilę.

Zniknął, a po kilku sekundach wrócił z mnóstwem rzemieni. Rzucił je na ziemię i rzekł:

— Kolma-puszi zabił po drodze kozia i pociął jego skórę na pasy; sądził, że będą potrzebne.

Niezwykły człowiek! Obaj z Winnetou uścisnęliśmy w milczeniu jego ręce. Teraz mogliśmy już obudzić trampów. Dick poprosił, oczywiście, żebyśmy pozwolili mu to uczynić, i ryknął z całych sił. Śpiący zerwali się, a ujrzawszy nas, stojących z wymierzonymi strzelbami, osłupieli ze strachu. Korzystając z ich przerażenia, zawołałem :

— Ręce do góry albo strzelamy! Wszyscy ręce do góry! Na Dzikim Zachodzie każdy wie, co znaczy ten rozkaz. Nic też dziwnego, że wszystkie ręce podniosły się jednocześnie do góry.

— Jestem z was zadowolony, panowie! — mówiłem dalej. — Stójcie tak dalej, bo kto spuści choćby jedną rękę, zanim uporamy się ze wszystkimi, ten upadnie w trawę. Wiecie, ile strzałów daje mój sztucer — na każdego z was wypada więcej niż po jednej kuli. Hammerdull i Holbers powiążą was, a wy nie próbujcie się bronić. Dick, Pitt, zaczynajcie!

Była to sytuacja bardzo poważna, lecz bawił nas jednocześnie osobliwy widok ludzi, stojących z rękami wzniesionymi do góry i czekających bez oporu, dopóki nie zostaną skrępowani i poukładani na trawie. Rozumie się, że przydały nam się bardzo rzemienie przyniesione przez Kolmę-puszi.

Gdy ostatniego trampa położono na ziemi, opuściliśmy strzelby. Nasz wybawca odszedł z Szako-mattą, aby przynieść strażnika, który pilnował koni.

Byliśmy teraz panami sytuacji. Bandyci, zgnębieni kompletnie, nie odzywali się ani słowem. Old Wabble tylko, któremu wyjęliśmy knebel z ust, klął od czasu do czasu. Aby mieć więcej miejsca, zsunęliśmy ciasno jeńców i zabraliśmy się do przyrządzania dwu indyków, których nasi prześladowcy nie zdążyli zjeść. Wkrótce zasiedliśmy do obfitej wieczerzy, bo i Kolma-puszi przyniósł nam upolowaną przez siebie zwierzynę, którą razem z koniem ukrył w pobliżu obozu.

Nasz nowy przyjaciel jadł w milczeniu i nie wtrącał się do rozmowy, podobnie jak Winnetou. Dopiero gdy ktoś wspomniał o naszym spotkaniu z białym czarownikiem Komanczów i jego żoną, zabrał głos:

— Kolma-puszi jechał za tropem swoich braci, aby się przekonać, czy nie zmylą drogi, i zobaczył ślady trzech koni, które podeszły od prawej strony. Czy to były konie białego, który jechał z czerwoną skwaw?

— Tak — odpowiedziałem.

— Ten biały podawał się dawniej za Komancza?

— Tak było istotnie.

— Uff! Czemu teraz usunął czerwoną barwę z twarzy i przybył tu jako biały, a nie Indianin?

— Chyba ze względu na bezpieczeństwo. Jako Komancz byłby tu uważany nie tylko za wroga bladych twarzy, ale i za wroga wszystkich tutejszych Indian.

— Zdaje się, że te słowa zawierają prawdę, lecz Kolmie-puszi jeszcze inne myśli przychodzą do głowy.

— Czy usłyszymy je?

— Czerwonemu wojownikowi wolno wypowiadać tylko takie myśli, o których wie na pewno, że są słuszne. Muszę się jeszcze nad tym zastanowić.

Gdyśmy zaspokoili głód, opróżniliśmy kieszenie pojmanym trampom i każdy z nas odebrał swoją własność.

Po czym pierwszy stanąłem na straży, a moi towarzysze ułożyli się do snu.

Kolma-puszi czuwał bezpośrednio po mnie, ale kiedy obudziłem się nazajutrz w godzinę po wschodzie słońca, przekonałem się, rzuciwszy okiem dokoła, że Indianina nie ma już w obozie. Zapytałem o niego Szako-mattę, który objął po nim wartę i usłyszałem taką odpowiedź:

— Kolma-puszi oddalił się. Twierdził, że nie może tu zostać dłużej, bo Wielki Duch wzywa go gdzie indziej. Kazał pozdrowić Old Shatterhanda, Winnetou i Apanaczkę i powiedzieć im, że zobaczy się jeszcze z nimi.

— Czy odjechał?

— Nie. Odszedł pieszo. Nie wiedziałem, gdzie stoi jego koń, a jako pełniący straż nie mogłem opuścić posterunku. Możemy jednak dowiedzieć się ze śladów, dokąd się udał.

— Nie. Gdyby był naszym wrogiem, musielibyśmy pójść za nim, ale to nasz przyjaciel. Jeśli nie chciał dobrowolnie wyjawić nam celu swej drogi, musimy uszanować jego tajemnicę.

Przed śniadaniem poszedłem do koni, które stały spętane powyżej obozowiska. Można stąd było sięgnąć spojrzeniem daleko na południe, skąd przybyliśmy wczoraj. . Popatrzywszy w tym kierunku, spostrzegłem trzy punkty, zbliżające się do nas. Niebawem rozpoznałem dwu jeźdźców z koniem jucznym. Czyżby to był Thibaut z żoną, który wczoraj odjechał na południowy zachód? Z jakiego powodu zawrócił i puścił się naszym śladem? Cofnąłem się do obozu i zawiadomiłem o tym Winnetou.

— Dla tego człowieka — oświadczył Apacz — wystarczającym powodem jest nienawiść. Chciał się przekonać, czy Old Shatterhand już nie żyje. Ukryjmy się, żeby zobaczyć, jak się zachowa.

Wsunęliśmy się wszyscy w zarośla i czekaliśmy na przybysza. Wkrótce usłyszeliśmy tętent jednego konia.

Thibaut zostawił żonę z koniem jucznym w ukryciu, a sam przyjechał na zwiady. Widząc Old Wabble a i trampów skrępowanych na ziemi, zawołał w najwyższym zdumieniu:

— Na Boga! Co ja widzę? A gdzież te draby, które były waszymi jeńcami?

Old Wabble przypuszczał, że oddaliliśmy się nieostrożnie, nic nie wiedząc o przybyciu czarownika, toteż zawołał pośpiesznie stłumionym głosem:

— Zeskoczcie zaraz z konia i przetnijcie nam więzy!

— Ja? Przecież uważacie mnie za swego wroga!

— Głupstwo. Wczoraj tak się tylko niezręcznie wyraziłem. Prędzej, bierzcie się do roboty!

— A wasi jeńcy?

— Wyswobodzili się w nocy i napadli na nas. Nie ociągajcie się dłużej, uwolnijcie nas.

— Ależ oni przyjdą i zaskoczą mnie tutaj!

— Jeśli się pośpieszycie, to zdążymy chwycić za broń i pozabijamy ich wszystkich.

— Well! Szczególnie Old Shatterhand musi bezwarunkowo zginąć. Przez niego właśnie zawróciłem, bo przeczuwałem, że ściągnie na was jakieś nieszczęście. A więc do dzieła! Zaraz was uwolnię!

Mówiąc to zsiadł z konia, podszedł do Old Wabble a i dobył noża. Wtem, tuż przed jego nosem, Hammerdull wysunął lufę z zarośli i zawołał:

— Mr Tibo-taka, zaczekajcie troszeczkę! Tu w krzakach siedzą wasi dobrzy znajomi!

— Przeklęta sprawa! Za późno! — ryknął Old Wabble z wściekłością.

Thibaut odrzucił nóż i czym prędzej schował się za koniem, który odgradzał go od niebezpiecznych zarośli.

— Schowajcie strzelbę! — zawołał. — Wolę nie mieć z wami do czynienia i odjeżdżam!

— Zaczekajcie jeszcze chwilę, kochany przyjacielu! Za wami też stoją ludzie, którzy chcieliby się z wami przywitać!

Thibaut odwrócił się szybko, a zobaczywszy nas wszystkich za sobą, niezmiernie się przeraził.

— Więc ja muszę bezwarunkowo zginąć? — powiedziałem podchodząc do niego. — Zdaje się, że mnie jeszcze dobrze nie znacie. Holbers, Hammerdull! Związcie go! Jeśli będzie się opierał, dostanie kulą w łeb. Prędko, towarzysze!

Opryszka skrępowano bez trudu, bo ze strachu prawie się nie bronił, krzyczał tylko wniebogłosy:

— To gwałt, panowie! Ja na to nie zasłużyłem! I nie jestem sam! Co się stanie z moją żoną?

— Przyjmiemy ją jako miłego gościa. Pogódźcie się z naszą wolą, bo teraz od waszego zachowania będzie zależało, co z wami uczynimy. Jeśli będziecie posłuszni, nic wam się nie stanie. Połóżcie go osobno, nie obok trampów.

— Well! Muszę ustąpić przed siłą.

Położono go na uboczu, żeby nie mógł rozmawiać z resztą jeńców. Potem obaj z Winnetou poszliśmy, by odszukać obłąkaną. Siedziała jeszcze na koniu, trzymając W ręku cugle jucznego, i wcale się nie zmieszała na nasz widok. Gdyśmy zaprowadzili ją do źródła, zeskoczyła bez wezwania z siodła i przykucnęła obojętnie obok Thibauta, jak gdyby wcale nie zauważyła, że był związany. Konia jucznego zostawiliśmy poza obozem, a teraz odprowadziłem tam także oba wierzchowce, żeby czarownik nie widział, jak będziemy przeszukiwać jego rzeczy. Postanowiliśmy to uczynić w nadziei, że znajdziemy jakąś ważną dla nas wskazówkę.

Dawszy nieszczęśliwej kobiecie najlepsze kąski mięsa, zabraliśmy się także do jedzenia. Po śniadaniu poszedłem z Winnetou do koni Thibauta. W jukach znaleźliśmy żywność, kilka ubrań kobiecych, bieliznę i inne drobiazgi. Na koniu obłąkanej także nic szczególnego nie było, Wreszcie zajęliśmy się zbadaniem rzeczy czarownika,

U łęku siodła wisiała strzelba, w prawej torbie tkwił nabity pistolet o dwu lufach i blaszana puszka z farbami do barwienia twarzy; w lewej były naboje, przybory do golenia i druga puszka blaszana, o wiele mniejsza od pierwszej, w której znajdował się zwinięty czworokątny kawałek doskonale wygarbowanej skóry z czerwonymi kreskami i znakami.

„Mówiąca skóra” — powiedziałem do Winnetou używając wyrażenia Indian. — Może wreszcie dowiemy się czegoś pewnego.

— Niech mój brat ją pokaże! — poprosił Apacz. Gdy podałem mu skórę, przypatrywał się jej długo

i uważnie, potrząsając głową.

— Niewiele z tego rozumiem — oświadczył wreszcie. — Znaki wyryto zwyczajem Indian końcem noża, a potem zabarwiono je na czerwono. Te kręte linie przedstawiają rzeki, a więc dokument jest prawdopodobnie mapą. Tu jest rzeka Republican, tutaj obydwie odnogi Solomon River, potem następuje Arkansas, dalej Horse Creek, a na południu Apisharo River i Huerfano. Oznaczono wszystkie rzeki, aż do doliny San Luis. Znam te wody, ale są tu też znaki, których nie rozumiem: punkty, krzyżyki różnego kształtu, pierścienie, trójkąty, czworoboki i inne figury. Umieszczono je na mapie w tych miejscach, gdzie nie ma żadnego miasta, wsi ani domu.

Winnetou oddał mi skórę. Znaki rzeczywiście wyryto i zabarwiono bardzo starannie, najmniejsze i najcieńsze kreski widać było doskonale. Ale i ja nie mogłem

wytłumaczyć sobie znaczenia dokumentu, dopóki nie odwróciłem skóry. Tu wszystkie znaki były wyrysowane szeregiem, a obok każdego z nich znajdowały się imiona własne. Tak, nie nazwy miejscowości, lecz imiona osób. Wydało mi się to bardzo dziwne. Długo nad tym myślałem, aż wreszcie przyszło mi do głowy, że mogą to być imiona świętych. Wydobyłem kieszonkowy kalendarz, porównałem imiona z rozłożeniem znaków na mapie i mogłem już wszystko wytłumaczyć Apaczowi.

— To jest list — powiedziałem — pisany do czarownika Komanczów. Nadawca zawiadamia go, którego dnia będzie się znajdował w oznaczonych kółkami i krzyżykami miejscowościach. Chrześcijanie poświęcają każdy dzień w roku jednemu z dawno zmarłych świętych mężów lub niewiast. Piszący określił w ten sposób czas. Na odwrocie listu mamy imiona świętych, którym są poświęcone dni: 1, 4, 7, 11, 13, 18 i 23 września, a więc w tych dniach nadawca będzie tam, gdzie na mapie znajdują się znaki stojące obok imion. Mamy zatem w ręku cały plan jego podróży, z wyszczególnieniem miejscowości i dat. Zrozumiałeś?

— Rozumiem dobrze mego brata. Nie wiem tylko, na które dni w roku przypadają te męskie i kobiece imiona.

— Wystarczy, że ja to wiem. Ta skóra ma dla nas wielką wartość, ale zatrzymać jej nie możemy. Tibo-taka nie powinien się domyślić, że wiemy, dokąd podążał.

— W takim razie mój brat musi przepisać ten dokument.

— Zaraz to uczynię.

Winnetou potrzymał mi list, a ja skopiowałem go w notatniku opartym o siodło. Potem włożyliśmy skórę do blaszanej puszki, schowaliśmy ją do torby przy siodle i udaliśmy się z powrotem do obozu. Kiedyśmy okrążali kępę zarośli, wyszła naprzeciw nas obłąkana. Thibaut nie mógł jej zatrzymać, ponieważ był związany, a na jego nawoływania

nie zważała wcale. Sunęła powoli z podniesioną głową i spuszczonymi oczyma jak lunatyczka. Zawróciłem i poszedłem za nią. Kobieta zatrzymała się, urwała gałązkę i owinęła ją sobie dokoła głowy. Wiedziałem już, że tylko dawne wspomnienia budzą w niej przebłyski świadomości, zapytałem więc:

— Czy to twój myrtle wreath?

Podniosła na mnie oczy i odpowiedziała obojętnie:

— Tak, to mój myrtle wreath.

— Kto ci go dał?

— Mój wawa Derrik.

— Czy Tehua Bender dostała także myrtle wreath? Obłąkana skinęła głową z uśmiechem.

— W tym samym dniu, co ty?

— Nie. O wiele wcześniej.

— Czy widziałaś na niej myrtle wreath?

— Tak. Tehua była piękna, bardzo piękna. Idąc za biegiem moich myśli, zapytałem jeszcze: — A czy widziałaś frak?

— Frak?... Widziałam — odpowiedziała po krótkim namyśla.

— Weselny frak?

Nieszczęśliwa klasnęła w ręce, roześmiała się i zawołała:

— Weselny frak. Piękny. Z kwiatem!

— Kto go miał na sobie?

— Tibo-taka.

— A ty stałaś u jego boku?

— U boku Tibo-taka. On zatrzymał moją rękę w swojej ręce. Potem...

Drgnęła jakby pod wpływem nagłego strachu i przestała mówić. Przypomniałem sobie opowiadanie Szako--matty,

wedle którego Tibo-taka, przybywszy do Osedżów, nosił rękę na temblaku, i zapytałem:

— Frak poczerwieniał?

— Poczerwieniał — rzekła drgnąwszy ponownie. — Od krwi Tibo-taka.

— Czy go przebito nożem?

— Nie.

— Przestrzelono kulą?

— Tak.

— Kto to uczynił?

— Wawa Derrik. Och! Krew! Dużo, bardzo dużo krwi! Kobieta uciekła ode mnie, niesłychanie wzburzona.

Teraz byłem już pewien, że w dniu jej ślubu zdarzyło się nieszczęście, które pozbawiło ją rozumu. Nowożeńcem był Thibaut, zbiegły zbrodniarz. Czy zdemaskowano go w tym dniu, a brat jej go postrzelił? Czyżby Thibaut zamordował potem jej brata z tego powodu? Czułem głęboką litość dla nieszczęśliwej, której szaleństwo ciągnęło się widocznie od wielu lat. Jej słowa o fraku pozwalały się domyślać, że wesele, chociaż panna młoda należała do rasy czerwonej, odbyło się, czy też miało się odbyć, w środowisku białych. Zresztą była ona chrześcijanką, siostrą słynnego czerwonego kaznodziei, i ta okoliczność tłumaczyła wiele rzeczy.

Siostra Tibo-wete, Tehua, dobrze zapewne wyszła za mąż i także za człowieka białego. Może obłąkana poznała u niej swego późniejszego narzeczonego? Żałowałem, że nie mogłem dziś niczego więcej się od niej dowiedzieć.

Poszedłem do obozu, gdzie Winnetou skierował się już przede mną. Gdy się tam znalazłem, Treskow mówił właśnie do Coxa:

— Chyba nie przypuszczacie, że ominie was kara?

— Kara? Cóż myśmy wam uczynili?

— Napadliście na nas, związali i ograbili. Czy to nie dosyć? Za to powinno się was wsadzić do więzienia.

— Czy powleczecie nas do Sing-Sing? Spróbujcie tylko!

— Na Zachodzie nie robi się prób. Sąd zaraz się zbierze, wydamy wyrok i natychmiast go wykonamy. Chodźcie, Mr Shatterhand! Myślę, że tym razem nie powinniście się kierować swoją zwykłą łagodnością, bo ci bandyci tego niewarci!

Treskow miał słuszność. Kara musiała nastąpić, lecz niełatwo było ją obmyślić. Więzienia na preriach nie ma, a na zapłacenie grzywny winowajcy nie mieli pieniędzy. Gdybyśmy zabrali im konie i broń, zginęliby z głodu. Pozostawała więc tylko chłosta.

Myśl o tym nie była mi przyjemna, ale inna kara nie wydawała się możliwa, a oni przecież zasłużyli na jakąś nauczkę.

Winnetou odgadł widocznie moje wątpliwości, bo przelotny uśmiech zaigrał na jego ustach, kiedy spytał:

— Czy mój brat chce im. może przebaczyć?.

— Nie — odpowiedziałem. — Tym utwierdzilibyśmy ich w mniemaniu, że nic złego nie popełnili. Ale jaka kara powinna ich spotkać?

— Kije! Howgh!

Ostatnie słowo wypowiadał Apacz zawsze, ilekroć stanowczo jakąś sprawę rozstrzygał. Treskow zgodził się z nim od razu, a i reszta towarzyszy go poparła. Jedynie wódz Osedżów odezwał się w te słowa:

— Szako-matto prosi, żeby mógł nie wydawać wyroku.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Ponieważ był także waszym wrogiem i godził na wasze życie.

— Ale teraz jesteś naszym przyjacielem i zostałeś razem z nami pojmany przez trampów. Zamiar, którego zresztą nie wykonałeś, powziąłeś jako wódz swego szczepu, jako wojownik, to zaś są pozbawieni czci rabusie, którym do rozumu może przemówić tylko chłosta.

Dick Hammerdull i Pitt Holbers z wielką wprawą i zapałem wykonali wyrok, toteż stan trampów był doprawdy godny pożałowania. Jedynie Old Wabble a oszczędzono na skutek mego wstawiennictwa — nie chciałem pozwolić, żeby bito tak ciężko okaleczonego starca. „Król cowboyów” nie okazał jednak za to najmniejszej wdzięczności i przeklinał nas na wyścigi z trampami. Thibaut był tylko widzem, chociaż dobra dawka kijów wcale by mu nie zaszkodziła. Ukaranie go zachowałem na później, w przekonaniu, że wpadnie z pewnością w nasze ręce.

Gdyśmy już mieli wyruszyć, Apanaczka poprosił mnie, żebym mu pozwolił zabrać Indiankę. Z trudem odwiodłem go od tego zamiaru, zwróciwszy mu uwagę, że kobieta zawadzałaby nam w drodze. Zapewniłem go, że wiemy, dokąd podąża Tibo-taka, i że wkrótce spotkamy się z nim znowu.

Każdy z nas odzyskał swoją własność, nie wyłączając najmniejszych drobiazgów. Ponieważ sprawiedliwości stało się zadość, z zadowoleniem opuściliśmy źródło. Jeńców pozostawiliśmy częściowo skrępowanych, tak że po pewnym czasie mogli się sami, choć z trudem, wyswobodzić. Żegnali nas oczywiście niezbyt serdecznie, a Old Wabble groził nam ciągle zemstą i śmiercią.

Zanim dosiedliśmy koni, Apanaczka próbował wydobyć z Indianki choć słowo pożegnania, ale na próżno. Nie poznawała go i chowała się przed nim jak przed wrogiem.. Dopiero gdy ruszaliśmy w drogę, zwróciła uwagę na młodego wodza. Biegła jakiś czas za nami i zdjąwszy z głowy zieloną gałązkę wołała:

— To jest mój myrtle wreath, to jest mój myrtle wreath!

XI. W NIEDŹWIEDZIEJ DOLINIE

Z powodu wczorajszych wypadków zboczyliśmy znacznie z obranego kierunku i trzeba było teraz powetować tę stratę czasu. Aby wrócić na dawny szlak, musieliśmy przejechać przez Squirrel Creek, a więc tamtędy, gdzie umieściliśmy zmyśloną bonanzę. Gdy to Dick Hammerdull usłyszał, roześmiał się i rzekł:

— Chyba towarzysze Coxa nie będą tacy głupi, żeby podążyć za nami. Zapewne zrozumieli, że nasza bonanza w ogóle nie istnieje. Co o tym sądzicie, Mr Shatterhand?

— Ja myślę, że jednak udadzą się za nami — odpowiedziałem. — a skłonią ich do tego dwa powody. Po pierwsze, są przekonani, że wybraliśmy się po złoto i kierujemy się do jakiejś prawdziwej bonanzy. Poza tym będzie ich gnała chęć zemsty.

— Słusznie. Kipi w nich z pewnością jak w garnkach. Uczepią się naszego tropu i nie będą szczędzili trudu, by nas doścignąć. Ale czy trafią nad Squirrel Creek, Mr Shatterhand? Nie spodziewam się, żeby umieli dobrze odczytywać tropy.

— Ja także nie, ale dziś przez cały dzień będziemy jechali po prerii i zostawimy ślady, które pozostaną wyraźne jeszcze do jutra. Nadto przypuszczam, że wśród trampów znajduje się teraz człowiek znający drogę nad Squirrel Creek.

— Kto taki?

— Biały czarownik Komanczów.

— Tibo-taka? A skąd mógłby ją znać?

— Zanim zjawił się u Komanczów, przebywał długo w tych stronach. Czy przypomni sobie drogę, tego oczywiście nie wiem, należy jednak przypuszczać, że mniej więcej zna jej położenie.

— Well! Ale czy przyłączy się do trampów?

— Z pewnością!

— Posprzeczał się przecież wczoraj z Old Wabble em! — Ale dziś połączył się z nimi na nowo. Uważa nas

za swoich wrogów i w towarzystwie trampów zechce podążyć za nami. Zresztą nie będzie w tym celu zbaczał z drogi, ponieważ udaje się także do doliny San Luis.

— Well, w takim razie jestem zadowolony! Serdecznie się cieszę, że spotkamy tego draba. Takie ślady zostawię na jego twarzy, że po wielu latach będzie je można odczytać!

Droga nasza prowadziła przez z wolna, lecz stale wznoszącą się sawannę. Przed południem zobaczyliśmy Góry Skaliste, stojące w dali jak gigantyczny mur przysłonięty mgłą. Z każdą godziną coraz wyraźniej widzieliśmy masy skalne, przezierające przez pokrywające je lasy.

Noc już zapadała, kiedy dotarliśmy do Squirrel Creek. Niedługo szukaliśmy miejsca odpowiedniego na obóz, bo znaliśmy te strony z dawnych czasów. Nie zbadaliśmy dokładnie okolicy, gdyż było na to za ciemno, a zresztą nie przypuszczaliśmy, żeby w tym odludnym miejscu mógł przebywać jakiś nieprzyjaciel.

Strumień tworzył krótki łuk, zamykający otoczoną skałami polanę, na której rozniecilismy zwyczajem Indian raczej żarzące się niż płonące ognisko. Brzeg przeciwległy pokrywały gęste krzaki, które dalej gubiły się na rozległej prerii. Jedzenia mieliśmy dość, ponieważ zabraliśmy nie tylko nasze zapasy, lecz także prowianty trampów, aby konieczność upolowania zwierzyny zatrzymała ich dłużej w pobliżu źródła.

W czasie wieczerzy Hammerdull roześmiał się nagle i zawołał:

— Panowie! Przyszła mi do głowy doskonała myśl, której powinniśmy raczej unikać, gdyby rzeczywiście istniała.

— O, te draby są za głupie na to, żeby mogły tak rozumować!

— A cóż chcecie napisać na kartce?

— Nad tym się jeszcze naradzimy. Treść musi być taka, żeby popękali ze złości!

Dick tak się zapalił do tego dziecinnego przedsięwzięcia i tak długo mnie prosił, że wreszcie, wyrwawszy kartkę z notatnika, dałem mu ją razem z ołówkiem. Teraz dwaj przyjaciele zaczęli się zastanawiać, co napisać. Prosili mnie, żebym ułożył list, lecz usunąłem się od współpracy, a Treskow i trzej wodzowie poszli za moim przykładem. Wskutek tego Hammerdull i Holbers musieli się sami podjąć tego literackiego zadania.

— Hm! — mruknął grubas.— Uczyłem się pisać swego czasu, ale teraz już sam nie potrafię przeczytać tego, co nagryzmolę.

— Jakże więc wybrniemy z kłopotu? — zapytał chudzielec. — Skoro ci panowie nie chcą obmyślić treści listu, to może przynajmniej któryś z nich będzie łaskaw przenieść ją na papier?

Po wielu prośbach zgodził się na to Treskow.

— Well! Teraz możemy się zabrać do pracy! — rzekł Hammerdull. — Zaczynaj Pitt!

— Ty zawsze zwalasz wszystko na mnie — odpowiedział Holbers. — Zacznij ty!

— Przecież potrafisz coś stworzyć!

— Rozumie się, ale ty także potrafisz!

— Oczywiście! A zwłaszcza poezja przychodzi mi bardzo łatwo!

— A czy wiecie, że wiersze muszą się rymować? — spytał Treskow.

— Rymować? — Holbers otworzył szeroko usta ze zdumienia. — Do krocset piorunów! Czy naprawdę muszą się rymować?

— Oczywiście!

— Na przykład jak?

— Tobie? — zapytał Holbers. — To rzadki wypadek!

— Niepotrzebnie wtykasz swoje trzy grosze do moich spraw! Chcę wypłatać figla trampom. Wyobrażają sobie, że odszukamy od razu bonanzę, nakopiemy złota, a potem zatrzemy ślady, aby ukryć przed nimi skarby. Trzeba więc rozgrzebać tu ziemię w którymkolwiek miejscu, a potem nakryć ją tak, żeby od razu można było poznać, gdzieśmy kopali. Ci głupcy pomyślą oczywiście, że to jest właśnie bonanza, i z zapałem zabiorą się do poszukiwań.

— I nic nie znajdą! — rzekł Treskow.

— Nie, mój plan jest inny! Chcę ukryć w tym miejscu zapisaną kartkę. To, co na niej przeczytają, powinno im trochę krwi napsuć.

— To rzeczywiście niezła myśl!

— Niezła czy nie, to wszystko jedno, jeśli tylko trampom zrobi się przy tym niedobrze. Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

— — Hm, sądzę, że to wcale dobry żart, na który możemy sobie pozwolić. Ale skąd weźmiesz kartkę? Przecież na preriach papier nie rośnie.

— Mr Shatterhand ma notatnik. Poproszę go o jedną stroniczkę i myślę, że mi nie odmówi.

— Jeśli tak sądzisz, to chyba nie wiesz, co znaczy czysty kawałek papieru na Dzikim Zachodzie.

— Owszem, zdaję sobie z tego sprawę, ale mój pomysł jest tak nioceniony, że dla wykonania go można ponieść małą ofiarę. Nieprawdaż, Mr Shatterhand?

— Należałoby najpierw się upewnić, czy i ja uważam ten pomysł za nieoceniony — odrzekłem spokojnie. — Nie jest ani nieoceniony, ani zabawny, lecz co najwyżej dziecinny. Po pierwsze, nie jest pewne, czy banda przyjdzie właśnie tutaj. Cox może zboczyć z powodu jakichś nieprzewidzianych okoliczności.

— A po wtóre?

— Po wtóre, byliby chyba pozbawieni krzty rozsądku, gdyby przypuścili, że pojedziemy prosto do bonanzy,

— Serce... kobiece, kobiety... niestety, świat... lat...

— Jeśli tylko na tym rzecz polega, to nic tu nie widzę trudnego — ucieszył się Hammerdull. — Na próbę powiem wam: pies... bies, klaps... sznaps... sadło... spadło, pantofel... kartofel! To idzie wspaniale. A ty, stary szopie, dałbyś sobie z tym radę?

— Czemu nie? — odrzekł chudzielec.

— To powiedz coś podobnego!

— Zaraz! Już mam: słoń... koń, brzuch... spuchł, syrop... syrop, hm...

— Do syropu nic nie dobierzesz. Lepiej szukaj innych słów!

— Słusznie! Może tak będzie dobrze: zysk... pysk, drab... grab, byku... Dicku...

— Well! Zabieramy się do pracy!

Widziałem rębaczy, hutników, tragarzy, palaczy okrętowych, kotlarzy i tym podobnych ludzi pracujących w pocie czoła, lecz ich wysiłek był igraszką w porównaniu z

natężeniem wszystkich władz duchowych, w jakim wili się Hammerdull i Holbers. Patrzyliśmy na nich z udaną powagą, ale w duchu pękaliśmy ze śmiechu. Wreszcie po upływie godziny, wśród kaszlania, chrząkania, strumieni potu i stękania, powstało sześć wierszy, które Treskow uwiecznił na papierze:

Jacyż to strasznie głupi chłopi!
Każdy na próżno ziemię kopie,
Nie mogąc z przodu ani z tylu
Dogrzebać się złotego pyłu.
Bonanza powstała w naszej głowie,
O czym się świat ze śmiechem dowie!
Dick Hammerdull Pitt Holbers

Nawet podpisy obydwu poetów-męczenników musiał Treskow sam pod tym arcydziełem umieścić. Teraz dowcipni przyjaciele zabrali się do kopania.. Pracowali dwie godziny, dopóki jama. nie osiągnęła odpowiedniej głębokości. Potem złożyli w niej pismo, owinąwszy je tak, żeby nie przesiąkło wilgocią, zasypali jamę i ubili ziemię nogami tak mocno, jak tylko mogli, aby rabusie musieli się dobrze napocić, zanim odgrzebią rzekome skarby.

Można sobie wyobrazić, że to kopanie, deptanie i ubijanie nie odbyło się bez hałasu. Gdyby okolica, w której znajdowaliśmy się, nie była tak bezludna, nie pozwolilibyśmy nigdy na ten dziecinny żart.

Kiedy dwaj przyjaciele zasypali wreszcie jamę, zasiedliśmy dokoła ogniska, rozmawiając półgłosem. Wtem zauważyłem, że Winnetou ujął swoją rusznicę w okolicy zamka i przyciągnął ją nieznacznie do siebie, a równocześnie skurczył prawą nogę, podnosząc kolano. Domyśliłem się od razu, że chciał strzelić „z kolana”. Twarz

miał zwróconą ku wodzie, wywnioskowałem więc, że po drugiej stronie zobaczył w krzakach człowieka, którego chciał ugodzić.

„Strzał z kolana” jest, jak już wspominałem, najtrudniejszym ze wszystkich strzałów. Winnetou, niedościgniony mistrz we władaniu wszelką bronią Dzikiego Zachodu, nie chybiał jednak nawet w mrokach najciemniejszej nocy. Nigdy nie zauważyłem, żeby jego kula minęła cel. Teraz zwrócił twarz ku wodzie, a wylot lufy ku zaroślom po drugiej stronie, gdzie ktoś się widocznie ukrywał.. Natychmiast rozciągnąłem się na ziemi i podniosłem w górę prawe kolano, rozmawiając jednocześnie z Hammerdullem i udając, że jemu poświęcam całą uwagę. Spod spuszczonych powiek śledziłem zarośla i nagle spostrzegłem z przerażeniem wylot wymierzonej do mnie lufy. Zanim zdołałem skierować sztucer w tę stronę, huknął strzał; w tej samej chwili wypaliła także rusznica Winnetou i po drugiej stronie zabrzmiał okrzyk bólu. Winnetou trafił, ale i ja otrzymałem w udo cios, który wyprostował mi nogę.

Wszyscy zerwali się z miejsc. Ja wstałem również i rozrzuciłem nogami płonące drwa, aby przytłumić ogień, gdyż strzały z zarośli mogły się powtórzyć. Gdy zrobiło się ciemno, Apacz rzekł:

— Niech moi bracia posiedzą teraz cicho i poczekają na mnie.

W chwilę potem dał się słyszeć w zaroślach trzask, po czym zapanowała cisza. Rzeczka miała w tym miejscu z dziesięć stóp szerokości, ale Winnetou przesadził ją, skoczywszy tak, jak tylko on to potrafił, i wpadł w zarośla. Ciekawi,, co dalej nastąpi, zaczęliśmy nasłuchiwać.

Noga mnie bolała, a gdy dotknąłem zranionego miejsca, poczułem, że krew cieknie obficie. Może w pół godziny po zniknięciu Apacza zabrzmiał z zarośli jego głos:

— Rozniećcie ogień!

Zsunąłem tlejące głownie, dmuchnąłem na nie kilka razy i dołożyłem chrustu. Gdy płomień buchnął, ujrzeliśmy Winnetou, stojącego na drugim brzegu strumienia. Trzymał w ręku koniec lassa, którym skrępowany był jakiś mężczyzna. Apacz, nie wypuszczając lassa z ręki, bez rozbiegu, przeskoczył na naszą stronę i przeciągnął przez wodę nieruchome ciało pojmanego.

— Zobaczyłem po drugiej stronie twarz jakiegoś człowieka — powiedział — i wypaliłem z rusznicy. Ale był tam jeszcze jego towarzysz, który także strzelił. Skoczywszy na drugą stronę potoku, by się przekonać, czy nie ma tam więcej ludzi, usłyszałem, że ktoś ucieka. Puściłem się za nim i dobiegłem do miejsca, w którym obozowało pięciu jeźdźców i siedem koni. Zbieg opowiedział towarzyszom, że zastrzelił Old Shatterhanda, ale jednocześnie Winnetou trafił jego towarzysza. Były tam same blade twarze, ani jednego czerwonoskórego, i ów zbieg mówił do nich czystą angielszczyzną. Wszyscy zaczekali pewien czas, a gdy nie nadszedł ten, do którego strzelałem, powiedzieli: „Tamten widocznie nie żyje, bo inaczej byłby przyszedł albo zawołał o pomoc”. Winnetou zląkł się, że jego przyjaciel jest może ciężko ranny, wrócił więc nad wodę, a znalazłszy zwłoki zastrzelonego, przywiązał je do lassa i kazał rozniecić ogień. Jakże się ucieszył, widząc brata Shatterhanda między wami!

— Co to za jedni mogli być ci biali? — zapytał Treskow. — W każdym razie nie banda Coxa, bo tamci nie zdążyliby jeszcze tu przybyć.

Pochyliwszy się nad zabitym, zauważyłem, że niechybna kula Apacza przeszyła mu kość czołową. Był to — jak od razu poznałem — jeden z opryszków Toby ego Spencera. Treskow poznał także awanturnika, którego widział u pani Thick w Jefferson City. Ale Winnetou, zobaczywszy krew na trawie, tam gdzie leżałem poprzednio, zawołał z przestrachem:

— Uff! Mój brat jest ranny! Krew płynie obficie! Czy rana jest niebezpieczna?

— Sądzę, że nie.

— Czy kość nie została uszkodzona?

— Zapewne nie, bo mogę stać. Strzelec spudłował wprawdzie, ale kula, odbiwszy się od skały, uderzyła mnie w nogę.

— To niedobrze! Strzały odbite są bardzo bolesne. Muszę zaraz zbadać ranę mojego brata.

— Lepiej później, bo trzeba co rychlej stąd odjechać!

— Czy z powodu tych bladych twarzy?

— Tak. Rozpaliliśmy znowu ognisko i jeśli bandyci powrócą, będą mogli nas wystrzelać z ukrycia.

— Nie wrócą. Ten, który mi uciekł, był śmiertelnie przerażony. Prawda, że nie powinniśmy tu długo pozostać, ale ranę trzeba zbadać i opatrzyć, aby mój brat nie utracił zbyt dużo krwi.

— W takim razie niech reszta towarzyszy pilnuje brzegu z rusznicami gotowymi do strzału.

Badanie rany wykazało, że kość udowa nie została naruszona, ale kula, którą Winnetou wydobył nożem, była z jednej strony spłaszczona; wskutek tego ciało miałem głęboko i niebezpiecznie rozszarpane. Groziła mi gorączka, silne bóle i konieczność długiego leczenia, teraz, kiedy nasz czas był tak cenny.

Na szczęście miałem w torbie u siodła kilka czystych chustek, z których Winnetou zrobił mi tymczasowy opatrunek.

— Jak do dobrze — rzekł Apacz — iż mój brat nauczył się znosić cierpienia na wzór czerwonych wojowników. Jeśli nie uda nam się wkrótce nazbierać ziela na ranę w dostatecznej ilości, to nastąpi ostre zapalenie. Jeśli jednak znajdziemy je, to spodziewam się, że mając tak silną naturę i zdrową krew,

nie ucierpisz zbytnio z powodu zranienia. Na koniu zapewne będziesz mógł teraz jechać?

— Oczywiście!

— A więc opuścimy to miejsce i poszukamy innego obozowiska. Uważaj tylko, żeby rana nie krwawiła!

Ruszyliśmy w dół rzeczki, a po upływie godziny zsiedliśmy z koni i rozniecili znowu ognisko. Indianie udali się na poszukiwanie ziół, świecąc sobie smolnymi gałęziami, które na szczęście znaleźli bez trudu.

Dick Hammerdull usiadł przy mnie i mruknął:

— Ten, który strzelił, musi się pożegnać ze światem, jeśli go pochwycę! Chciałbym wiedzieć, kto to był!

— Prawdopodobnie sam Toby Spencer.

— Ładny strzelec! Strzał Winnetou był zupełnie inny. Dany z kolana, w ciemności, a jednak trafił w samo czoło. Cox otworzy oczy szeroko, gdy nad Squirrel Creek zobaczy trupa! Cała banda pomyśli sobie, że tam rzeczywiście znajduje się bonanza. Będzie im się zdawało, że zastrzeliliśmy tego draba dlatego, że odkrył złoże.

— Być może, iż tak pomyślą. Ale urządzony przez was figiel spowodował tymczasem moje zranienie.

— Jak to?

— Hałas, jakiego narobiliście kopiąc jamę, ściągnął tamtych ludzi.

— Hm! Nie mogę temu zaprzeczyć. Słuszne są wasze wyrzuty.

— Nic wam nie wyrzucam. Co się stało, to się już nie odmieni. Ale oto nadchodzą wodzowie!

— Niech się mój brat Shatterhand cieszy! — zawołał z radością Winnetou. — Znaleźliśmy dużo ziela na ranę. Wyzdrowiejesz szybko, choć nie obejdzie się bez bólu.

Zdjęto mi opatrunek, wymyto ranę, po czym Winnetou sporządził z miękkiego liścia rodzaj korka, który umoczył w gryzącym soku nie znanej mi rośliny. Gdy ten korek wkręcano w ranę, zdawało mi się, że wkładają tam rozżarzone żelazo. Zwykle zagryzam tylko usta w razie bólu, ale teraz musiałem się dobrze wysilić, aby zachować obojętny wygląd. Winnetou spojrzał na mnie i potrząsając głową rzekł:

— Wiem, że Old Shatterhand cierpi teraz męki gorsze, niż gdyby był przywiązany do pala. Skoro jednak znosi ten ból tak łatwo, to przy palu śmiałby się chyba głośno. Howgh!

Przykre zabiegi powtórzyły się jeszcze dwa razy, lecz ból za każdym razem był mniej dojmujący. Potem Apacz obłożył ranę zielem i przewiązał ją mocno.

Biali, których podpatrzył Winnetou, mogli powrócić i szpiegować nas, dlatego zarządziliśmy konieczne środki ostrożności, wyznaczając porządek czuwania, od którego mnie, jako rannego, zwolniono. Spałem mocno aż do rana, ale zbudziło mnie uczucie szarpania w nodze. Winnetou zajął się mną znowu i obłożył ranę świeżym zielem. Po śniadaniu wyruszyliśmy w dalszą drogę. Przede wszystkim należało zbadać, dokąd się udał Toby Spencer ze swymi towarzyszami. Przeprawiwszy się przez strumień, jechaliśmy powoli, ze względu na moją nogę, ale Apacz pocwałował naprzód, żeby odszukać trop białych. Niebawem powrócił i zaprowadził nas na ślad, który biegł w tym samym kierunku, w którym i myśmy zdążali. Nie zdziwiło nas to wcale; przecież Toby zmierzał także do „parku” San Luis. Oczywiście trzymaliśmy się dalej tego tropu.

Znalazłszy się na przedgórzu, musieliśmy jednak wyrzec się jazdy w prostym kierunku. Na szczęście znaliśmy dobrze wąwozy, w które mieliśmy się zapuścić. Chodziło o to, żeby dotrzeć do tak zwanego „kontynentalnego szlaku”, czyli drogi, wówczas zapomnianej, a uczęszczanej dawniej przez

westmanów, wijącej się w niezliczonych skrętach między górami.

Ponieważ zostawiliśmy za sobą grunt pokryty trawą, trudniej było odczytywać ślady, które nieraz na dłuższy czas zupełnie znikały. Mimo wszystko wywnioskowaliśmy, że jadący przed nami kierowali się także do „kontynentalnego szlaku”.

Nikt nie uwierzy, jakie wrażenie sprawiają Góry Skaliste, kiedy się przez długi czas dzień za dniem pędziło po nieskończonych na pozór równinach. Na sawannach widnokrąg ucieka ciągle w dal,- w nieskończoność, znużone oko z tęsknotą szuka stałego oparcia, lecz nie znajduje go nigdzie. I oto wreszcie wynurzają się szare zasłony, które nie cofają się przed podróżnym, przeciwnie, zdają się wychodzić mu naprzeciw. Im bardziej zbliża się do nich wędrowiec, tym bardziej stają się przezroczyste, podnoszą się z wolna i wreszcie odkrywają wspaniałości, piękniejsze od tego, co człowiek może wymarzyć. Oko zdobywa teraz oparcie, a życie — barwy i kształty. Z ziemi płynie radosny hymn: „Niebiosa głoszą cześć Boga, a góry pokazują dzieło rąk Jego!” Temu hymnowi skał wtóruje dusza człowieka, ręce składają się same, a usta szepczą modlitwę: „Panie, jak wielkie i liczne są dzieła Twoje!”

Jechaliśmy na razie u podnóża gór, a jednak jakaż wspaniałość roztaczała się dokoła! Za każdym załomem podnosiła się nowa zasłona i nowy ukazywał się obraz. Wysoki las wyciągał ku nam ręce, wody górskie, przezrocze i jasne, doganiały nas w podskokach, a wichry muskały nasze twarze.

Było już dobrze po południu, kiedy dojechaliśmy do ,,szlaku kontynentalnego”. Mijając las pełen wysokich, wspaniałych jodeł, spotkaliśmy niespodziewanie jeźdźca w lekkim, płóciennym ubraniu i kapeluszu sombrero, powszechnie noszonym w Kolorado. Był to młodzieniec lat może dwudziestu, uzbrojony tylko w nóż, który tkwił za jego

pasem. Ujrzawszy nas, zatrzymał konia, mierząc wszystkich bacznym spojrzeniem. Zanim dojechaliśmy do niego, pozdrowił nas pierwszy:

— Witajcie, panowie! Czy wolno zapytać, dokąd zdążacie?

— W góry — odpowiedziałem.

— Jak daleko?

— Dopóki się nie ściemni i dopóki nie znajdziemy dobrego miejsca na obóz.

— Widzę między wami białych i czerwonych. Jak się nazywacie?

— Dlaczego pytacie oto?

— Bo szukam pomocy, a spodziewani się jej tylko od dżentelmenów.

— W takim razie dobrze trafiliście. Ja jestem Old Shatterhand, a...

— Old Shatterhand? — przerwał mi młody człowiek pośpiesznie. — Ja myślałem, że już nie żyjecie.

— Kto wam to powiedział?

— Ten, który wczoraj wieczorem do was strzelał,

— Gdzież on jest?

— U nas.

— Co to znaczy?

— Zaraz się dowiecie, sir. Jeśli jesteście tym, do którego owi ludzie strzelali, to mogę wam zaufać. Mój ojciec jest kowalem. Osiedliśmy tutaj niedawno, bo teraz można na tej drodze dobrze zarabiać. W górach odkryto nowe pokłady złota i codziennie przechodzi tędy mnóstwo ludzi, którzy potrzebują kowala. Dotąd powodziło nam się wcale dobrze i bylibyśmy zadowoleni ze swego losu, gdyby nie to, że czasem zatrzymują się u nas podróżni, którzy bynajmniej nie zasługują na nazwę dżentelmenów. Ci, którzy przed

czterema godzinami do nas przyjechali, zażądali wykonania pewnych robót, a potem nie chcieli zapłacić. Siostra moja musiała się przed nimi ukryć, tak ją napastowali. Ojca zamknęli w piwnicy, a mnie kazali wydać wszystko, co tylko było w domu do jedzenia i picia. Mięso, mąkę i chleb rozrzucili po ziemi, a flaszkami ciskali w powietrze, kiedy je wypróżnili. Udało mi się jakoś umknąć i postanowiłem zawołać na pomoc brata, który łowi ryby w dolinie.

— Czy wiecie, jak się nazywają wasi goście?

— Na jednego towarzysze wołają Spencer, a na drugiego „generał”.

— Well! Wasze szczęście, żeście na nas trafili. Nie potrzebujecie sprowadzać brata. My wam pomożemy. Chodźcie z nami!

Zawrócił i poprowadził nas na skraj lasu; w odległości pół strzału od ostatnich drzew stał przy drodze dom, a przy nim kuźnia. Obok niej, w ogrodzeniu, stało kilka koni. Na zewnątrz nie zauważyłem nikogo. Widocznie wszyscy napastnicy siedzieli w izbie.

— Najlepiej będzie ich zaskoczyć — powiedziałem do towarzyszy. — Popędzimy cwałem pod dom, zeskoczymy z koni, wpadniemy do wnętrza, pochwycimy ich strzelby i rozkażemy im podnieść ręce do góry! Mr Treskow zostanie na dworze przy koniach.

Towarzysze puścili się naprzód, ale ja z moją ranioną nogą, nie mogłem za nimi nadążyć. Kiedy wreszcie przestąpiłem próg domostwa, bandyci stali już z rękami podniesionymi do góry. Winnetou komenderował:

— Kto opuści ręce, dostanie kulą w łeb! Niech Szako-matto zabierze ich strzelby, a Hammerdull wyjmie im noże zza pasów!

Gdy spełniono ten rozkaz, Apacz zwrócił się do rabusiów:

— Usiądźcie wzdłuż ściany jeden obok drugiego! Ręce możecie opuścić, ale kto wstanie, w tego wpakuję kulę!

W tej chwili odsunąłem Apanaczkę i Holbersa i wystąpiłem na środek izby.

— Do krocset! Old Shatterhand! — zabrzmiał okrzyk pełen przerażenia.

Wydał go Spencer. U pani Thick nie wiedział, kim jestem, wczoraj jednak, gdy strzelił do mnie, powiedział towarzyszom moje nazwisko, a teraz znów je wymienił. Skąd je znał? Ale to pytanie było na razie mniej ważne.

— Umarli wstają czasami! — powiedziałem surowo. — Mierzyliście źle.

— Ja? — zapytał.

— Nie wypierajcie się, nic wam to nie pomoże! Gdzie jest „generał”? — zapytałem widząc, że Douglasa nie ma w izbie.

— Nie wiem — odparł Spencer.

— Wiecie z pewnością, dokąd poszedł! Jeśli nie zechcecie mówić, załatwię się z wami krótko. Po prostu zastrzelę was!

Toby zobaczył mój rewolwer tuż przed swoją twarzą. Tego rodzaju awanturnicy nie odznaczają się zwykle prawdziwą odwagą. Mógł przypuszczać, że nie strzeliłbym, choćby się nawet wypierał dalej, lecz strach wyrwał mu wyznanie:

— Douglas pogonił za synem kowala.

— Dlaczego?

— Bo sądził, że chłopak sprowadzi ludzi na pomoc.

— Czy wyjechał konno?

— Tak, ponieważ i tamten wziął konia.

— Well! Sprawa wyjaśni się wkrótce. Wyszedłem, by pouczyć Treskowa, jak ma postąpić

w razie zjawienia się „generała”. Obok stał syn kowala, który przez ostrożność nie wrócił do izby. W tej chwili z lewej strony nadeszła jego siostra.

Brat uspokoił ją, że nie potrzebuje się teraz niczego obawiać, ponieważ sprowadził na ratunek dzielnych i uczciwych ludzi.

— Gdzie się pani schowała, miss? — spytałem dziewczynę.

— W lesie — odpowiedziała.

— I siedziała tam pani przez cały czas?

— Nie. Widząc, że brat odjeżdża, wyszłam z kryjówki i chciałam pobiec za nim. W tej chwili wyszedł z domu człowiek, którego towarzysze nazywali „generałem”, wyprowadził z ogrodzenia swojego konia i podjechał do mnie. Zaczęłam uciekać, lecz on dopędził mnie pod lasem w tym momencie, kiedy nowy oddział konnych podjeżdżał do naszego domu.

— To myśmy byli. Czy „generał” nas zobaczył?

— Tak. Przestraszył się widocznie, bo zaklął okropnie.

— Czyżby nas poznał?

— Zdaje się. Wymienił nazwisko Old Shatterhanda i Winnetou.

— To rzeczywiście nas poznał. Szkoda, że się tak stało! A co potem uczynił?

— Odjechał.

— I nic już więcej nie powiedział?

— Dał mi jeszcze polecenie.

— Do kogo?

— Do Old Shatterhanda.

— To znaczy do mnie. Jakież to polecenie?

— Właściwie... obrazicie się pewnie, sir...

— Proszę mi powtórzyć dokładnie każde słowo!

— Nazwał was największym łotrem na świecie i oświadczył, że nie miałby nic przeciwko temu, gdybyście powywieszali jego towarzyszy, że jednak on sam jeszcze się z wami policzy.

— To wszystko?

— Wszystko.

Wróciłem do izby, a syn kowala poszedł za mną.” — Czy wiecie już, gdzie jest „generał”? — zapytał mnie Spencer.

— Uciekł — odparłem.

— Ach! Naprawdę? — rzekł wesoło. — Dzięki Bogu! Wobec tego nie wpadnie już w wasze ręce.

— Dziś nie, ale kiedyś to przecie nastąpi. Za to wy nam nie umkniecie!

— Pshaw! Wypuścicie nas wkrótce na wolność!

— Dlaczego?

— Ze strachu przed „generałem”.

— Przed tchórzem, który drapnął, gdy nas tylko zobaczył?

— On zemści się za nas.

— Nie łudźcie się! Zawiadomił mnie przez córkę kowala, że nie dba o to, czy was powywieszam. Ale teraz przystępuję do innej sprawy. Gdzie gospodarz tego domu?

— W piwnicy — odpowiedział młody człowiek wskazując na drewniane drzwi umieszczone w podłodze.

Gdy otworzono drzwi od piwnicy, wyszedł z niej kowal, wysoki, barczysty chłop. Niewątpliwie bandyci niemało się nabiedzili, zanim wtrącili go do tego więzienia. Siady walki były widoczne na jego podrapanej i okrwawionej twarzy.

Rzuciwszy okiem dokoła i domyśliwszy się, że jestem dowódcą, zwrócił się do mnie:

— Kto wypuścił mnie z piwnicy?

— My — odpowiedziałem.

— Jak się nazywacie?

— Old Shatterhand.

— Słynny westman?

— Tak.

— A ci Indianie? Czy można im zaufać?

— To są sławni wodzowie, którzy chętnie bronią uciśnionych.

— Well! Przybyliście, panowie, w sam czas! Czy to nie okropne, żeby czerwonoskórzy musieli bronić uczciwego człowieka przed białymi łotrami? Nie wyobrażacie sobie, co to za zbóje!

— Znamy ich dobrze! My także mamy z nimi porachunki. Ten drab z pyskiem buldoga strzelił wczoraj do mnie.

— Dzięki Bogu!

— Jak to? Dziękujecie Bogu za to, że ten opryszek dokonał na mnie zamachu? Darujcie, ale to niezbyt uprzejmie z waszej strony!

— Wcale nie! Dziękuję Bogu za to, żeście nie zginęli, a po wtóre za to, że macie teraz prawo krótko się załatwić ze skrytobójcą, choć do was nie trafił.

— Trafił, niestety! Kula ugodziła mnie w udo, powodując ciężką ranę.

— Dzięki Bogu!

— Z czego się znów tak cieszycie?

— Że jesteście ranni.

— To rzeczywiście bardzo miłe z waszej strony!

— To zależy od zapatrywania! Jeśli istotnie was ranił, przypłaci to gardłem, co mnie niezmiernie ucieszy!

Powiedzcie mi, co z nim zrobicie?

— Zwołamy sąd prerii, który rozstrzygnie sprawę.

— Słusznie! Czy i ja będę mógł wziąć w nim udział?

— Oczywiście, przecież i wam ci bandyci wyrządzili krzywdę.

— I to niemałą! Kiedy zwołacie sąd? — Jak najrychlej!

— Najlepiej zaraz!

— Zgoda!

— Gdzie?

— Przed domem. Sąd prerii powinien przecież odbywać się pod gołym niebem.

— To nam draby Uciekną!

— Niech spróbują! Zresztą możemy ich skrępować.

— Well! To mi się podoba. Mam dość rzemieni i sznurów.

— Czy przynieść je? — spytał skwapliwie syn kowala.

— Tak. Wiszą na dworze.

Nasi jeńcy klęli wprawdzie na czym świat stoi, lecz nie stawiali czynnego oporu i wkrótce leżeli powiązani na ziemi. Nakazawszy synowi kowala, żeby ich pilnował, wyszliśmy na dwór. Teraz wystąpiły te same, co zawsze, przeciwieństwa w ocenianiu winy przestępców. Wszyscy, z wyjątkiem Winnetou, domagali się śmierci przynajmniej dowódcy, opryszków, Toby. Spencera, lecz ja nie mogłem i nie chciałem na to się zgodzić. Nastąpiła długa, ożywiona narada, a w końcu zerwał się kowal i zawołał:

— Widzę, że nie skończymy sądu nawet do jutra. Do tych ludzi ja przede wszystkim mam prawo, bo do mnie wtargnęli jak zbóje, spustoszyli wszystko, a mnie zranili. Popatrzcie na moją pokrwawioną twarz! Wy, Mr Shatterhand, jesteście stanowczo zbyt łagodni.

— Co zatem radzicie ? — spytałem.

— Najpierw muszę wynagrodzić sobie straty. Bandyci zapłacą mi za wszystko, co tu zniszczyli. Czy zgadzacie się, sir?

— To rozumie się samo przez się, że należy wam się odszkodowanie.

— Well! Teraz kolej na Spencera, który najwięcej zawinił. Nie chcecie pozwolić, żeby zginął, ponieważ nie zamordował was, tylko zranił. Uważam to za słabość z waszej strony, bo na Dzikim Zachodzie nie oszczędza się morderców, bez względu na to, czy zamach się udał, czy nie. Mimo to możemy okazać mu łaskę. Zasłużył wprawdzie na śmierć, niech, jednak skorzysta z możności obrony.

— Jak sobie to wyobrażacie?

— Niech walczy o swoje życie!

— Z kim?

— Ze mną.

— Na to nie możemy przystać.

— Dlaczego?

— Bo to człowiek olbrzymiej siły.

— Pshaw! Jam także nie ułomek! Wpakowali mnie wprawdzie do piwnicy, ale napadli na mnie znienacka, i to w sześciu.

— Macie mocne pięści, ale mimo to walka będzie nierówna.

— Dlaczego?

— To łotr, którego nikt nie będzie żałował, a wy jesteście uczciwym człowiekiem, a przy tym ojcem rodziny. Nie wolno wam wystawiać życia na szwank dla takiego draba.

— Nie uczynię też tego. Nierówności, o której mówicie, zapobiegnie broń, której użyjemy do walki.

— Jakaż to będzie broń?

— Młoty kowalskie.

Młoty kowalskie! Co za myśl! Miała to więc być walka cyklopów!

Przyznaję otwarcie, że taki pojedynek wydał mi się, jako westmanowi, bardzo zajmujący, chociaż jako człowiek sądziłem, że należy go potępić. Ale towarzysze moi przyjęli wniosek kowala bez zastrzeżeń.

— Cudowna, wspaniała myśl! — zawołał Hammerdull. — Jakich to czaszek potrzeba, żeby wytrzymały takie ciosy! Ja głosuję za tym! A ty, Holbers, stary szopie?

— Hm! Jeśli sądzisz, że takie kucie pociągnie za sobą odpowiednie skutki, to przyznaję ci słuszność, kochany Dicku — odrzekł chudzielec.

Wszyscy, nawet wódz Apaczów, zgodzili się na propozycję kowala. Wobec tego i ja nie mogłem dłużej się opierać.

Osobliwy ten pojedynek mógł się odbyć tylko na wolnym powietrzu, musiano więc opryszków wyprowadzić z izby. Dowiedziawszy się, co postanowiono, Spencer nie chciał początkowo w to uwierzyć, a potem oświadczył, że pod żadnym warunkiem nie będzie walczył.

— Czy chcesz walczyć, czy nie, to mnie nic nie obchodzi — rzekł kowal. — Skoro dadzą znak, ja uderzę i jeśli nie będziesz się bronił, położę cię trupem. Z takim łotrem nie będę robił ceregieli.

— Ależ to czyste morderstwo!

— A ty co zamierzałeś, kiedyś wczoraj strzelił do Old Shatterhanda?

— A wam co do tego?

— Ja walczę właśnie zamiast tego dżentelmena.

— Czemu on sam nie stanie do pojedynku?

— Bo chce ciebie oszczędzić, na co zresztą wcale nie zasługujesz. Gdyby on stanął do pojedynku, śmierć twoja

byłaby pewna. Ze mną możesz jeszcze spodziewać się zwycięstwa.

Awanturnik zmierzył postać kowala badawczym spojrzeniem, po czym rzekł:

— A co stanie się ze mną, jeśli was zabiję?

— Nic. Zwycięzca będzie wolny.

— I będę mógł odejść, dokąd zechcę?

— Tak, ale pieszo, ponieważ wasze konie należą teraz do mnie.

— Jakim prawem?

— Jako odszkodowanie za to wszystko, coście u mnie zniszczyli.

— To kradzież, to oszustwo! To prosta grabież!

— Pshaw! Musicie mi wynagrodzić wyrządzone szkody. Pieniędzy zapewne nie macie, bo chełpiliście się kilkakrotnie, że wyjedliście mi wszystkie zapasy, nie mając czym płacić. Wobec tego muszę się dobrać do waszych rzeczy.

— Ależ one przedstawiają daleko większą wartość aniżeli to, co wam się należy! Niech was wszystkich, od pierwszego do ostatniego, diabli porwą! Doprowadzacie mnie do ostateczności i nie sądźcie, że postąpię z wami łagodnie. Wasza czaszka rozleci się za chwilę w kawałki! Zaczynajmy!

Twarz Spencera, podobna do pyska rozjuszonego buldoga, poczerwieniała, a zęby zgrzytnęły głośno.

— Przyniosę młoty — rzekł kowal — a potem tak będę kuć, że łotr rozżarzy się do białości.

Poszedł do kuźni, a ja wsunąłem się za nim, aby mu dać pewną radę.

— Miejcie się na baczności, sir! Spencer to silny i niebezpieczny drab.

— Pshaw! Jestem spokojny. Nic mi nie zrobi.

— Nie ufajcie sobie zanadto! Wyobrażam sobie, że zamierzacie tylko uderzać.

— A cóż innego mam robić?

— Musicie przygotować się na to, że on nie tylko będzie uderzał, lecz także rzuci młotem. Czy zawadzałoby wam, gdyby młot przywiązać do ręki?

— Nie. Czy to jednak potrzebne?

— Chodzi o to, żeby nieuczciwy partner nie miał przewagi nad uczciwym przez możność rzucenia młotem. Czy zgadzacie się ze mną?

— Oczywiście. Byle tylko mieć dość swobody do władania trzonkiem.

— Już ja się o to postaram i odpowiednio przywiążę młoty. A teraz chodźcie!

Gdy wyszliśmy znowu przed dom, Spencer był już rozwiązany, a Winnetou stał przed nim z rewolwerem w ręce.

— Jeśli blada twarz spróbuje uciekać, strzelę natychmiast! — zagroził Apacz.

Przywiązałem obu przeciwnikom młoty do rąk, w ten sposób, że mogli nimi swobodnie poruszać. Potem, dobywszy rewolweru, powtórzyłem groźbę Apacza.

Położenie było przykre i niepewne. Utworzyliśmy koło, w którym zapaśnicy stanęli blisko siebie. W rękach mieli młoty o jednakowej wadze i mierzyli się wzajem oczyma. Kowal był spokojny i zimny, Spencer zaś wyraźnie wzburzony.

— Nie zaczynać, zanim nie dam znaku! — rozkazał Winnetou. — Każdy z przeciwników może także używać wolnej ręki!

— To dobrze, to bardzo dobrze! — ucieszył się Spencer. — Teraz mi nie ujdzie!

— Tak! — zawołał jeden z jego towarzyszy. — Jeśli ci wolno chwytać także drugą ręką, to już po nim. Sciśnij go za gardło, żeby oddech stracił!

— Zamknij dziób! — krzyknął na opryszka Hammerdull. — Kto cię prosił o rady? Możesz przypatrywać się spokojnie, ale nic nie gadaj!

Nie mniej niż reszta towarzyszy ciekaw byłem wyniku walki. Toby Spencer był wprawdzie nie lada siłaczem, ale kowal miał większą wprawę we władaniu tą niezwykłą bronią, a ponadto wykazywał zdumiewająco zimną krew. Syn jego stał z siostrą pośród nas, a na twarzach obojga nie było ani śladu obawy o ojca, co mnie znacznie uspokoiło.

— Zaczynajcie! — krzyknął Winnetou.

Spencer zamachnął się od razu do ciosu, chcąc jednocześnie wolną ręką chwycić kowala za gardło. Nie pomyślał, że ruch ten musi osłabić uderzenie. Kowal odbił cios, a jego młot, spadając, uderzył Spencera w lewą rękę tak mocno, że rabuś zawył z bólu.

— Psie! — ryknął. — Jeśli mi się nie udało za pierwszym razem, to teraz cię zatłukę!

Skoczył naprzód, zamachnął się z całej siły i uderzył, kowal zaś ustąpił na bok, skutkiem czego młot przeciął powietrze, a siła uderzenia tak pociągnęła Spencera do ziemi, że odsłonił zgięte plecy.

— Teraz, ojcze! — zawołał syn.

Wezwanie to było zbyteczne, gdyż kowal wykonał młotem ćwierć obrotu i powalił przeciwnika jednym uderzeniem na ziemię. Natychmiast podniósł rękę do powtórnego ciosu, ale zatrzymał się wbijając wzrok w leżącego na ziemi wroga, który wił się w skurczach i wydawał charczące jęki.

— Oto ma za swoje ten drab! — zawołał zwycięzca. — Mógłbym mu czaszkę rozwalić, nie uczynię tego jednak,

skoro nie może się bronić. Wystarczy mu to, co dostał!

Istotnie Spencer miał dość. Wyglądało na to, że utracił władzę w członkach. Dopiero po upływie dłuższego czasu odzyskał zdolność ruchów. Podniósł się z wolna na jednej ręce, bo druga była jakby sparaliżowana.

— Przeklęty... — wyjąkał. Oczy nabiegły mu krwią, a z twarzy biła zwierzęca wściekłość.

— Strzaskałem mu łopatkę — rzekł kowal. — Nie zginie od tego, ale nie będzie mógł w przyszłości znęcać się nad spokojnymi ludźmi. Odwiążcie mi młot!

Spencer powstał wreszcie i chwiejąc się na nogach podszedł do swych towarzyszy, po czym osunął się na ziemię. Hammerdull związał go bez najmniejszego oporu z jego strony.

— Spotkała go zasłużona kara — rzekł Treskow. — Co z nim teraz zrobimy? Czy należy go opatrzyć?

Spojrzał pytająco na Winnetou, który jednak odpowiedział oschle:

— Wódz Apaczów go nie dotknie!

— Ode mnie także nie może spodziewać się pomocy — oświadczyłem z kolei.

— Well! Niechaj więc sam poszuka sobie lekarza dla swego grzbietu!

W tej chwili wyjechali z lasu czterej ludzie, jeden młody i trzech starszych. Na ich widok kowal zawołał:

— Oto wraca mój drugi syn, ten, co poszedł na ryby! Tamci trzej to nasi sąsiedzi. Wiem, że wybierają się w podróż, dobrze więc będzie, jeśli uwolnią mnie od gości, którzy tak zuchwale wprosili się dziś do mego domu.

Synowi kowala udał się widocznie połów, gdyż rzucił na ziemię ogromną sieć napełnioną rybami. Zarówno on, jak jego towarzysze zdumieli się zobaczywszy pod kuźnią skrępowanych ludzi. Gospodarz opowiedział im pokrótce

całe zdarzenie. Sąsiedzi nie mieli zamiaru tu pozostać, chcieli jechać dalej przez całą noc, aby na rano dostać się do miasta na rozprawę sądową. Okazali gotowość zabrania ze sobą rabusiów, nie myśleli jednak prowadzić ich aż do miasta, lecz postanowili pozbyć się wszystkich w drodze, zostawiając jednego po drugim w równych odstępach, żeby rozproszona banda nie mogła zejść się od razu i przedsięwziąć nieprzyjacielskich kroków przeciwko domowi i rodzinie kowala. Synowie gospodarza mieli także pojechać, aby wrócić potem z końmi, które poniosą jeńców.

Teraz nastąpiła bardzo ożywiona i zgiełkliwa scena. Wypróżniono bandytom kieszenie i przywiązano ich do koni. Dobrze się złożyło, że można ich było dziś jeszcze usunąć, należało się bowiem spodziewać, że za naszym śladem przybędą wkrótce Old Wabble, Cox i reszta trampów, którzy byliby się sprzymierzyli z towarzyszami Spencera, gdyby ich tu zastali.

Rzecz zrozumiała, że rabusie nie żegnali nas czule, zmuszeni do opuszczenia miejsca, w którym z początku tak dobrze się czuli, a potem doznali tylu przykrości. My bylibyśmy jeszcze bardziej zadowoleni z tego zajścia, gdyby właściwy dowódca bandy nam nie umknął.

Był on dla nas osobą tak ważną, że Winnetou wybrał się na poszukiwania jego tropu. Powrócił dopiero w nocy, nabrawszy przekonania, że Douglas nie zamierzał włóczyć się w pobliżu kuźni, gdyż ślad jego prowadził ciągle w jednym kierunku. Zanadto się bał, żeby miał dochodzić, co uczynimy z jego towarzyszami. Wolał ich poświęcić, aby tylko jak najrychlej oddalić się od nas.

Winnetou nazbierał po drodze ziół i natychmiast opatrzono mnie na nowo, ale mimo to w nocy przyszła gorączka. Zasypiałem na krótko, to znów się budziłem, a gdy nazajutrz wspomniałem o dalszej jeździe, Winnetou potrząsnął głową i rzekł:

— Niech mój brat zbytnio sobie nie ufa! Musimy tu zostać dłużej.

— Ależ szkoda czasu!

— Gdy idzie o zdrowie Old Shatterhanda, czas musi się znaleźć! Lepiej zabawić tu dłużej i ziołami podleczyć ranę niż potem utknąć w górach.

Zostaliśmy więc u kowala, który podejmował nas bardzo gościnnie.

Synowie jego wrócili z końmi i opowiedzieli, jak to porzucano rabusiów jednego po drugim w ciemnościach. Najdalej zawlekli Spencera nie okazując mu żadnych względów, tym bardziej że jego zachowanie się w drodze nie mogło nikogo łagodnie usposobić.

Kiedy towarzysze siedzieli w izbie, zajadając ze smakiem ryby i dziczyznę, ja położyłem się w trawie przed kuźnią, gdyż z powodu gorączki nie czułem głodu, a na dworze było mi lepiej aniżeli wśród czterech ścian. Koni naszych, umieszczonych wewnątrz ogrodzenia, gdzie dostały sporo zielonej paszy, nie można było dostrzec z daleka, a przynajmniej rozpoznać w nich naszych wierzchowców. Toteż gromada jeźdźców, która ukazała się teraz na skraju lasu, nie zamierzała unikać kuźni. Była to banda trampów. Cox i Old Wabble jechali na przedzie, a za nimi Thibaut z Indianką.

Ostrożnie poczołgałem się pod dom i wszedłem do izby, gdzie oznajmiłem o przybyciu naszych nieprzyjaciół.

— Zostańcie tu, panowie — rzekł kowal — a ja wyjdę do nich sam. Wyobrażam sobie, jak się zachowają, gdy usłyszą, kto teraz u mnie bawi.

Jeźdźcy dotarli tymczasem do domu, zawołali właściciela i zsiedli z koni. Ruchy ich były tak niezgrabne, że Hammerdull zaczął się śmiać.

— Czują jeszcze słodkie wspomnienie kijów — powiedział — i niewątpliwie woleliby znaleźć aptekę niż kuźnię.

Old Wabble siedział jeszcze na koniu pochylony bezwładnie. Trawiła go widocznie większa gorączka aniżeli mnie ubiegłej nocy. Gdy kowal wyszedł na próg, Cox odezwał się:

— Słuchajcie, człowieku! Czy wczoraj nie przejeżdżał tędy oddział złożony z siedmiu jeźdźców?

— Tak — odpowiedział zapytany.

— A między nimi było trzech czerwonoskórych?

— Istotnie.

— Dobrze. Macie w domu jakiś środek przeciw gorączce?

— Nie. Nigdy nie cierpimy na gorączkę.

— Ale żywność macie?

— Niestety, nie. Splądrowała mnie zgraja rabusiów. — Tym się nie wykpicie. Sami przeszukamy dom.

— Wypraszam to sobie! Dom mój nie należy do byle włóczęgi, tylko do mnie!

— Nie bądźcie śmieszni! Chyba nie myślicie, że dwudziestu ludzi będzie się was bało! Chcemy jeść, a wy musicie postarać się o to, czego nam potrzeba!

— A jak będzie z płaceniem? Pieniądze macie?

— Pieniądze? — zaśmiał się Cox. — Baty mamy, nie pieniądze!

— Że dostaliście baty, to sam miarkuję.

— Nie plećcie głupstw! Potrzebujemy mięsa, mąki i innych rzeczy, a wy chyba nie zabronicie nam poszukać ich sobie!

— Well! Stanie się zadość waszemu życzeniu. Ale ja sądzę, że to, co tu znajdziecie, bardzo was zadziwi!

— Nie gadajcie tyle, tylko odstąpcie od drzwi! Kowal się usunął, a gromada trampów wcisnęła się do

izby. Nagle stanęli jak wryci na widok naszych strzelb wymierzonych ku drzwiom.

— Cofnąć się! — zawołał Cox. — Wracajcie! W izbie jest Old Shatterhand, Winnetou i ich towarzysze!

Potrącając się i popychając bezładnie, wszyscy wypadli z domu, powskakiwali na konie i odjechali prędzej, aniżeli przybyli. Na końcu jechał znowu biały czarownik Komanczów, który ciągnął za cugle konia swojej skwaw. Niecierpliwy jak zwykle Dick Hammerdull strzelił przez okno w powietrze i zawołał:

— Ależ umykają! Nawet talerza zupy nie zdążyli zjeść. Prawda, że mam słuszność, Holbers, stary szopie?

— Hm! Oni nie myśleli tylko o zupie! Byliby tu urządzili taką zabawę jak wczoraj banda Spencera. To wielkie szczęście dla kowala, że nie odjechaliśmy jeszcze!

Winnetou wybiegł szybko do koni, a po chwili podążał już za trampami. Uczynił to nie kryjąc się, tak że ścigani od razu go zauważyli. Chciał ich przepłoszyć, aby nie przyszło im do głowy zaczaić się w pobliżu kuźni i czekać na nasz odjazd. Gdy wrócił po dwu godzinach, uspokoił nas, że nie grozi nam na razie żadne niebezpieczeństwo, toteż Szako-matto i Apanaczka mogli się oddalić. aby upolować trochę zwierzyny. Winnetou pozostał w domu i zajął się opatrywaniem mojej rany.

Kowal i jego synowie zabrali się w kuźni do naszych koni. Zdążaliśmy w Góry Skaliste, trzeba więc było przygotować odpowiednio wierzchowce do tej uciążliwej drogi. Dla obydwu naszych karoszy mieliśmy zawsze w pogotowiu podkowy, które wraz z narzędziami, potrzebnymi do ich przyśrubowania, woziliśmy z sobą w torbach przy siodle.

Wieczorem gorączka trochę mi spadła, toteż spałem, nieźle całą noc. Rano Winnetou zbadał moją ranę i stwierdził z zadowoleniem:

— Silna natura mego brata i działanie ziół przeszły moje oczekiwania. Hatatitla ma łagodny chód, a ty umiesz znakomicie jeździć, możemy więc puścić się w drogę bez obawy, że ci to zaszkodzi. Na trudniejszym terenie będziemy częściej odpoczywali.

Wyjął kilka bryłek nuggetu z kieszeni ukrytej za pasem, aby zapłacić kowalowi. Ten jednak oświadczył, że przyjmie tylko część złota jako wynagrodzenie za swoją pracę. Wśród podziękowań i serdecznych życzeń naszych zacnych gospodarzy ruszyliśmy w stronę gór.

Wieczorem przebyliśmy zbudowane z piaskowca wzgórza i znaleźliśmy się w pobliżu właściwych Gór Skalistych.

Musieliśmy zboczyć z „kontynentalnego szlaku” i zapuścić się w górskie wąwozy. Widok wspaniałych lasów wprawiał nas w zdumienie. Zwłaszcza budziła w nas podziw wysokość drzew, choć nie dorównywały one sekwojom z Sierra Nevada, wśród których znajdują się olbrzymy liczące sto stóp w obwodzie.

Wjechaliśmy wreszcie na zbocze, wznoszące się stromo i szerokie na kilka mil, porosłe lasem. Nie był to przykryty zielonym dachem koron dziewiczy bór północny. Olbrzymie drzewa stały pojedynczo z dala od siebie, dotykając się zaledwie wierzchołkami; promienie słoneczne przedzierały się przez nie, rozpraszając ciemności. Zdążaliśmy ciągle w górę nie znaną mi drogą, Winnetou jednak, który był już kiedyś tutaj, powiedział:

— Po drugiej stronie tej góry leży Kui-erant-yuaw, Niedźwiedzia Dolina, w której o każdej porze spotkać można te zwierzęta. Czerwoni wojownicy nie lubią rozbijać tu na noc obozu, gdyż pan Gór Skalistych nie znosi ognia i napada

na człowieka bez powodu. I my zatem zatrzymamy się nieco dalej.

— Czy niedźwiedzie z tej doliny nie żyją samotnie, tak jak w innych okolicach? — zapytałem.

— Grizzly nie jest towarzyski — odpowiedział Apacz. — Nawet jego samica, gdy wyda na świat młode, ucieka przed nim, bo nie jest on zbyt czułym ojcem. Ale gdy mój brat zobaczy dolinę, nie zdziwi się, że niedźwiedzie można tam spotkać częściej niż gdzie indziej. Kiedy bizony z dolin Gór Skalistych wyruszają na wędrówkę, muszą przechodzić przez Kui-erant-yuaw, co przynęca niedźwiedzie i zatrzymuje tutaj. Poza tym jest to okolica tak odległa od siedzib ludzkich, że myśliwy rzadko się tu zapuszcza. Wreszcie w dolinie rośnie mnóstwo jagód, za którymi niedźwiedź przepada, a dzikie rozpadliny skalne dostarczają mu wyśmienitych kryjówek. Mimo tak sprzyjających warunków rozgrywają się często między starymi samcami straszliwe walki, na co wskazują szczątki zwyciężonych, po których można poznać, że nie padły z ręki ludzkiej. Gdybyśmy mieli czas, zostalibyśmy tu, aby zapolować.

Śpieszyliśmy się rzeczywiście, ale mimo to musieliśmy w tej osławionej dolinie zabawić dłużej, niż przewidywaliśmy.

Stroma skała, na którą wspinały się nasze konie, była tak wysoka, że upłynęła godzina, zanim dostaliśmy się na górę, na wydłużone, pokryte lasem płaskowzgórze, pocięte licznymi rozpadlinami i opadające znowu stromo po drugiej stronie.

U naszych stóp leżała Niedźwiedzia Dolina, którą na razie zasłaniał nam las. Winnetou skierował się do jednej ze szczelin, wyżłobionej rwącym potokiem, a spadającej w dół tak ostro, że musieliśmy pozsiadać z koni i prowadzić je za sobą.

Znalazłszy się na dole, mogliśmy ogarnąć okiem część doliny. W miejscu, na którym stanęliśmy, miała przynajmniej

milę angielską szerokości. Na jej dnie płynął potok, zasilany szumiącymi strumyczkami z prawej i z lewej strony. Liczne złomy skalne leżały rozrzucone dokoła, tworząc razem z obrastającymi je krzakami doskonałe kryjówki dla zwierząt. Olbrzymie drzewa z szerokimi koronami pięły się ku niebu, a na zboczach doliny zielenił się las, podszyty kolczastymi zaroślami. Było to wymarzone miejsce dla szarych niedźwiedzi, obfitujące w pożywienie, na co wskazywały liczne ślady bizonów.

Pora wielkiej wędrówki nie nadeszła jeszcze, ale bizony, które w lecie przebywały w wyższych, a więc chłodniejszych okolicach górskich, zeszły już niżej i opuściły dolinę. Bizony, zwłaszcza starsze i silniejsze, są jedynymi zwierzętami, które mają odwagę zmierzyć się z szarym niedźwiedziem. Jakież straszne walki ogląda to ciche ustronie, skoro grizzly dochodzi do dziesięciu, a bizon do dwudziestu cetnarów wagi!

Nie troszcząc się o ślady bizonów, podjechaliśmy ku jednemu z bocznych parowów, którym, jak nam wyjaśnił Winnetou, można było dostać się na górę stosunkowo wygodnie.

Na dnie parowu płynął mały, wąski strumyk spadając kaskadami w dół. Jego łożyskiem wydostaliśmy się może do połowy wysokości, kiedy Apacz, jadący na czele, zatrzymał się i zeskoczył z konia, Zbadawszy dokładnie grunt, pokryty trawą i mchem, powiedział:

— Gdyby był na to czas, moglibyśmy teraz upolować szarego niedźwiedzia, który przeszedł na poprzek parowu, zapewne do legowiska położonego tam na lewo.

Zsiedliśmy wszyscy z koni, chcąc przyjrzeć się śladom. Aby je odkryć, trzeba było nie lada bystrych oczu. Dopiero po drugiej stronie strumyka trop stawał się wyraźniejszy. Wspiąwszy się nieco wyżej po zboczu parowu upewniliśmy

się, że mamy przed sobą istotnie legowisko groźnego zwierza.

Miałem wielką ochotę odwiedzić go. Spojrzałem pytająco na Winnetou, ale on potrząsnął tylko głową i zszedł ze zbocza. Szako-matto i Apanaczka milczeli, choć im się oczy świeciły do przygody, i tylko Hammerdull odezwał się niecierpliwie:

— Weźmiemy go naturalnie!

— Nie. Zostawimy go w spokoju!

— Czemu? Znaleźć legowisko niedźwiedzia i odejść z niczym to to samo, co odkryć bonanzę i nie ruszyć złota! Nie pojmuję tego!

— Niech mój brat Hammerdull jedzie za nami bez gadania! — przerwał mu Winnetou wsiadłszy na konia, żeby puścić się w dalszą drogę.

— Co za upór! — mruczał gniewnie grubas gramoląc się na swoją starą klacz. — Leży przed nimi gniazdo, a oni nie wybiorą z niego jaj! Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

— Powiem, że to gniazdo jest mocno niebezpieczne,

kochany Dicku! — odrzekł chudzielec.

— Niebezpieczne? Śmieszne obawy! Grizzly to grizzly i nic więcej!

Ja także niechętnie zostawiałem za sobą legowisko, ale przyznawałem w duchu, że Winnetou ma rację. W razie spotkania z szarym niedźwiedziem trzeba być przygotowanym na nieszczęśliwy wypadek, a mnie dokuczyła już dostatecznie moja rana.

Wydostawszy się na przeciwległe zbocze, znaleźliśmy się wkrótce nad skrajem jednej z owych dolin, które w Górach Skalistych nazywają „parkami”. Ciągnął się ten „park” na przestrzeni mniej więcej dwu mil i miał około pół mili szerokości. Grupy cienistych drzew i zarośla,

porozrzucane jak bukiety, nadawały mu istotnie wygląd parku. Po drugiej stronie las zniżał się ku nowej dolinie.

„Park” biegł prawie prosto z południa na północ. Pojechaliśmy dalej wzdłuż jego zbocza, aby wieczorem dostać się do następnej doliny i tam się zatrzymać. Nagle, rozglądając się po okolicy, dostrzegłem na północy stado wron, które wznosiły się co jakiś czas nad lasem, a potem opadały coraz dalej. Zastanowiło to także moich towarzyszy, a Szako-matto rzekł:

— Uff! Doliną idą ludzie. Wrony podlatują, bo ludzie je płoszą.

— Domysł wodza Osedżów jest słuszny — odpowiedziałem. — Przypuszczam także, że tych ludzi jest dużo, bo wrony nie uciekałyby przed dwoma lub trzema.

— Może należałoby zbadać, kto to taki?

— Nie mamy na to czasu. Jeśli zatrzymamy się tutaj, nie dotrzemy przed wieczorem do następnej doliny. Niechaj Winnetou osądzi, czy spotkanie z tymi ludźmi może być dla nas ważne, czy warto ich śledzić.

— To są Indianie — oświadczył Apacz.

— Czego chcą po tej stronie gór? Jeśli to rzeczywiście Indianie, to chyba tylko z plemienia Utajów, których ścieżki leżą nieco dalej na północy. Warto by zabiec im drogę i obejrzeć ich, gdy będą obok nas przejeżdżali.

— Za mało mamy czasu. Ostatecznie my dwaj okrążylibyśmy ich jeszcze, bo nasze konie są najlepsze, ale nasi towarzysze nie nadążyliby za nami.

— Jedźmy więc sami, a towarzysze nadciągną później. Niebezpiecznie byłoby zostawiać ślady na otwartej przestrzeni, dlatego niech się przemykają lasem. Spotkamy się przy widocznej stąd grupie wysokich drzew.

— Winnetou zgadza się ze swym bratem. Niech tam nas oczekują; lecz nie rozpalają ogniska, gdyż to by ich

zdradziło.

Odłączyliśmy się od towarzyszy i popędziliśmy poci drzewami. Mogliśmy jechać prędko, dzięki temu, że las był stosunkowo rzadki. Uważaliśmy jednak bardzo, bo wystające korzenie i jamy zamaskowane roślinnością mogły łatwo spowodować upadek.

Nasza okrężna droga wynosiła prawie trzy mile, pomimo że do miejsca, w którym spostrzegliśmy wrony nad lasem, była zaledwie mila. Jednakże ludzie, których śledziliśmy, jechali dość wolno, mogliśmy się więc spodziewać, że przed nimi przybędziemy na północny kraniec „parku”.

Zanim dotarliśmy tam, zatrzymaliśmy się, aby ukryć nasze konie. Przywiązawszy je do drzew poszliśmy dalej pieszo, aż do rozpadliny, która, jak przypuszczaliśmy, prowadziła w sąsiednią dolinę. Sądziliśmy, że to będzie droga, którą Indianie wyjadą na górę.

Jęliśmy nasłuchiwać i niebawem doleciał do nas odgłos kroków konia. Czyżbyśmy się pomylili? Czyż był tam jeden tylko jeździec, a nie cała ich gromada? Po chwili doszliśmy do wniosku, że mamy prawdopodobnie do czynienia ze zwiadowcą.

Zobaczyliśmy najpierw głowę jeźdźca, wystającą ponad zarośla, a potem całą jego postać i konia. Był to Utaj i niewątpliwie wódz, bo w jego czuprynie tkwiły orle pióra. Ale przede wszystkim uderzył mnie widok konia. Zobaczyłem tego samego ognistego rumaka, którego w swoim czasie zabrałem wodzowi Komanczów w Kaam-kulano, a potem podarowałem Old Surehandowi! Winnetou trącił mnie i szepnął:

— Uff! Wierzchowiec Komanczów! Koń naszego brata Old Surehanda!

— Tak, to ten, na pewno ten! — odpowiedziałem równie cicho.

— A jeśli naszego brata pojmali i zabili?

— W takim razie biada im! Czy znasz tego Indianina? — Znam. To Utaj z plemienia Kapote. Tusaga-saricz, Czarny Pies.

— Co to za wojownik?

— Niezbyt dzielny, fałszywy i pełen chytrości.

— Zaczekajmy! Zobaczymy jego towarzyszy! Wódz minął nas, a wkrótce nadjechali Indianie, jeden

za drugim, w liczbie pięćdziesięciu dwu. Pośrodku wlókł się na starej szkapie Old Surehand z rękami skrępowanymi i nogami przy wiązanymi do konia.

Jakim sposobem dostał się w ręce Utajów? Wygląd jego świadczył, że zapewne już od kilku dni znajdował się w niewoli, że obchodzono się z nim źle i nie dawano mu pożywienia.

Teraz nie można było nic uczynić, aby go uwolnić. Musieliśmy przepuścić Indian obok siebie nie dając znaku życia. Ale postanowiliśmy za wszelką cenę wyswobodzić przyjaciela. Gdy ucichł tętent kopyt, wyleźliśmy z zarośli, aby pójść ostrożnie za Utajami i podpatrzyć, gdzie rozbiją obóz.

Dojechawszy do krańca „parku” wojownicy zeskoczyli z siodeł. Było widoczne, że zostaną w tym miejscu, wróciliśmy więc do naszych koni, a potem popędziliśmy ku wysokiej grupie drzew, gdzie mieli na nas czekać towarzysze.

Zastaliśmy już wszystkich na miejscu. Opowiadanie nasze o Indianach wywarło na nich ogromne wrażenie.

Ciekawi byli oczywiście, co dalej zrobimy, lecz ani ja, ani Winnetou nie mieliśmy jeszcze ustalonego planu. Wszystko zależało od tego, w jakim celu Utajowie tu przybyli, co zamierzali uczynić z Old Surehandem i jakie okoliczności mogły nam ułatwić ocalenie jeńca. Przede wszystkim musieliśmy zaczekać, dopóki się nie ściemni, aby ich

podejść niepostrzeżenie. Tymczasem Winnetou opatrzył mi ranę, przy czym znalazł ją w stanie zadowalającym.

Gdy tylko zapadła głęboka ciemność, ruszyłem z Winnetou ku obozowi Indian, oczywiście nie środkiem „parku”, lecz znowu jego skrajem. Niebawem ujrzeliśmy kilka ognisk, których dyni poczuliśmy już przedtem. Okoliczność, że rozniecono je nie na otwartej przestrzeni, lecz wśród lasu, była nam na rękę, gdyż drzewa użyczały nam osłony. Konie tylko stały spętane na sąsiedniej polanie, a dwaj wojownicy czuwali przy nich.

Weszliśmy do lasu z lewej strony, aby od tyłu dostać się do Indian, co nam się udało znakomicie. Rosły tam wysokie i gęste paprocie, dzięki którym mogliśmy się zupełnie blisko przysunąć. Apacz czołgał się przodem, a ja za nim. W ten sposób utorowaliśmy jedną drogę zamiast dwu i zaoszczędziliśmy połowę pracy przy zacieraniu śladów, co trzeba było wykonać wracając. Chodziło bowiem o to, aby Indianie nie zauważyli nazajutrz przy świetle, że ktoś był w paprociach.

Tusaga-saricz siedział wsparty plecami o pień i zwrócony do nas profilem; ognisko dotykało prawie jego nóg. Naprzeciw niego siedział Old Surehand, przywiązany do drzewa, ze skrępowanymi rękami i nogami. Jego długie, brunatne włosy spadały w nieładzie, co czyniło go podobnym do Kolmy-puszi. Fakt ten uderzył mnie teraz z niezwykłą siłą.

Old Surehand żadną miarą nie mógł domyślać się naszej obecności, nie wiedział bowiem, że byłem w Jefferson City i że usłyszawszy o jego zamiarach wyruszyłem w ślad za nim. Nie zawiadomiłem go o naszej obecności, co mogłem uczynić za pomocą znaku, dawniej przez nas używanego, liczyłem się bowiem z tym, że zachowanie jego wobec tak niezwykłej niespodzianki może nas zdradzić.

Leżeliśmy z pół godziny za Indianami, lecz nie usłyszeliśmy nic ważnego; nawet o celu ich obecnej podróży nie padło ani jedno słowo. Wódz milczał uparcie i raz tylko nieznacznie się poruszył. Jego postać podobna była do rzeźby, w oczach jedynie przebijało się życie. Co chwila spozierał z wyrazem zadowolenia i nienawiści na jeńca, który siedział także nieruchomo, ze spuszczonymi oczyma, jakby znajdował się w otoczeniu godnym najwyższej pogardy.

Wreszcie zabrzmiało w oddali wycie wilka górskiego, któremu natychmiast odpowiedział drugi i trzeci. Wódz Utajów przerwał wtedy milczenie.

— Czy blada twarz słyszy te głosy? — zapytał. — Wilki kłócą się o kości, które im niedźwiedź zostawił ze swej uczty.

Old Surehand milczał, a Tusaga-saricz mówił dalej:

— Tak będą się kłóciły jutro o twoje kości!

Gdy jeniec i teraz nic nie odpowiedział, wódz ofuknął go gniewnie:

— Czemu nic nie mówisz? Nie wiesz, że należy odpowiadać, kiedy sławny wojownik otwiera usta, by zadać pytanie ?

— Sławny? Pshaw! — odezwał się wzgardliwie Old Surehand.

— Uff! Chcesz mnie obrazić, ażebym cię prędko zabił, ale to nie nastąpi! Będziesz musiał się zmierzyć z szarym niedźwiedziem!

— Dlaczego posyłacie mnie w Niedźwiedzią Dolinę?

— Psie! Czy nie siedziałeś przy naradzie i nie słyszałeś każdego słowa, kiedy zastanawialiśmy się nad twoją winą i karą, jaką ci należy wymierzyć? Zamordowałeś dwu naszych wojowników, ojca i syna, zwanych Stary Niedźwiedź i Młody Niedźwiedź. Obaj zdobyli sobie te zaszczytne imiona przez

zabicie szarego niedźwiedzia w Górach Skalistych. Byli to słynni wojownicy...

— Byli to tchórze — wtrącił Old Surehand — którzy napadli na mnie z tyłu! Zabiłem ich w otwartej, uczciwej walce, którą musiałem z nimi stoczyć w obronie własnego życia. Gdyby was potem tylu na mnie nie napadło — pięćdziesięciu na jednego — gdybym był przygotowany na tę walkę, a nie zaskoczony podstępnie, inaczej byście wyglądali!

— Wszyscy czerwoni ludzie wiedzą, że blade twarze są chciwe krwi i rozboju jak dzikie zwierzęta. Należy więc z nimi postępować jak z dzikimi zwierzętami, bo kto sądzi, że godni są uczciwej walki, ginie z ich ręki. A ty jesteś także bladą twarzą, choć przypuszczam, że masz czerwoną krew w żyłach; tacy są zresztą najgorsi.

Ostatnie słowa wodza wprawiły mnie w zdumienie. Zewnętrzny wygląd Old Surehanda nie wskazywał na to, że jest Metysem, ale teraz jego oczy, gdy patrzył na swego wroga, błyszczały charakterystycznym, powściąganym żarem i nie mogłem się oprzeć myśli, że są to oczy prawdziwie indiańskie.

— Śmierć Starego i Młodego Niedźwiedzia musi być pomszczona — mówił dalej wódz. — Nie możemy cię zabrać do obozu naszego szczepu, gdyż to za daleko, dlatego ustanowiliśmy dla ciebie śmierć inną. Zabiłeś dwu Niedźwiedzi i za to zginiesz w zębach niedźwiedzi. — Pshaw! Przyznajcie się raczej, że nie macie odwagi zapuścić się w Niedźwiedzią Dolinę, aby zdobyć skóry!

— Trzymaj język na wodzy, psie jeden! Czy nie okazujemy ci wielkiego zaufania przez to, że pozwalamy ci, abyś przez, dwa dni odchodził co rano? Że wierzymy twojemu słowu, iż wieczorem powrócisz?

— Dlaczego darzycie mnie zaufaniem, chociaż jestem bladą twarzą?

— Ponieważ wiemy, że Old Surehand dotrzymuje przyrzeczeń; podobny jest pod tym względem do Old Firehanda i Old Shatterhanda.

— Czy znasz tych myśliwców?

— Nie widziałem ich nigdy, lecz słyszałem, że w całym swym życiu nie złamali danego słowa. To samo wiem o tobie. Można wam zaufać, chociaż, jak wszystkie blade twarze, jesteście wrogami czerwonych ludzi, A więc stosownie do naszego postanowienia jutro skoro świt puścimy cię, abyś zeszedł w Niedźwiedzią Dolinę. Dostaniesz swój nóż i strzelbę. Wieczorem wrócisz, a nazajutrz będziesz mógł pójść raz jeszcze. Jeśli w ciągu tych dwu dni zabijesz cztery niedźwiedzie, darujemy ci życie.

— Życie, ale nie wolność?

— Słusznie się domyślasz. Wolność odzyskasz dopiero wtedy, gdy pojedziesz z nami i weźmiesz sobie jedną z naszych córek za żonę. Straciliśmy przez ciebie dwu walecznych wojowników, toteż musisz zostać z nami, jeśli nie pożrą cię niedźwiedzie.

— Nie przystaję na to. Mówiłem wam to już kilka razy.

— To się pokaże. Zmusimy cię do tego!

— Pshaw! Old Surehand na to nie pozwoli, chociaż wróci do was, jeśli niedźwiedzie go nie rozszarpią. Od skraju lasu prowadzi parów w Niedźwiedzią Dolinę. Tędy zejdę i wrócę. Czy będziecie mnie szukali, gdybym się jednak nie zjawił?

— Nie, gdyż to byłby dowód, że zostałeś pożarty!

— Mógłbym być tylko ranny!

— Nie. Człowiek, który jest tak ciężko ranny, że iść nie może, musi bezwarunkowo paść ofiarą niedźwiedzia. Nie będziemy cię więc szukali. Zaczekamy tu, dopóki nie przyniesiesz czterech skór, dwu za Starego, a dwu za Młodego Niedźwiedzia. Jeśli powrócisz bez łupu, zastrzelimy

cię oczywiście. Jeżeli nie wrócisz, to będzie znak, że nie żyjesz i że obaj wojownicy zostali pomszczeni. Howgh!

Uczynił ręką ruch oznaczający, że nie chce nic więcej mówić, i oparł się znów p drzewo. Czekaliśmy jeszcze około kwadransa, ale gdy rzeczywiście nikt się więcej nie odezwał, opuściliśmy ostrożnie kryjówkę.

Zdołaliśmy zatrzeć nasz trop tylko dzięki temu, że u Utajów płonęły ogniska. Ale chociaż mieliśmy dość światła, upłynęła godzina, zanim mogliśmy sobie powiedzieć, że nazajutrz nie będzie tutaj śladu naszej obecności.

Minęliśmy właśnie gęstwę paproci i zamierzaliśmy dalej czołgać się do naszego obozu, kiedy wódz wstał i wydał rozkaz, aby na noc pogaszono wszystkie ogniska z wyjątkiem jednego, dokoła którego wojownicy mieli się ułożyć do snu z jeńcem pośrodku. Wyznaczono dwu strażników, którzy mieli strzec śpiących przed bardzo prawdopodobnym w tym miejscu najściem ”niedźwiedzi. Ostrożność tę uzasadniał fakt, że Utajowie byli uzbrojeni niemal wyłącznie w dzidy, łuki i strzały, ale dla nas stanowiła ona poważną przeszkodę. Gdybyśmy bowiem chcieli uwolnić Old Surehanda jeszcze tej nocy, to zwarte koło śpiących wojowników i czujne z powodu niedźwiedzi straże uniemożliwiłyby nam zadanie, zwłaszcza gdybyśmy starali się unikać przelewu krwi.

Utajowie, wykonując rozkaz wodza, narobili takiego zgiełku, że mogliśmy oddalić się swobodnie i niepostrzeżenie. Winnetou szedł obok mnie w milczeniu. Znając go, wiedziałem, że myśli nad tym, co należy przedsięwziąć w sprawie Old Surehanda.

— Czy mój brat jest pewien, że dziś nie zdołamy nic uczynić? — zapytał po chwili.

Z przykrością przyznałem, że tak jest istotnie.

— Straż pokonalibyśmy może — mówił dalej Apacz — ale przy koniach są jeszcze dwaj wartownicy, a Utajowie, ze

strachu przed niedźwiedziami, nie będą z pewnością mocno spali. Zaczekamy przeto do rana.

— I zejdziemy z powrotem w Niedźwiedzią Dolinę?

— Tak. Spotkamy się tam z Old Surehandem.

— Jakże się ucieszy, gdy nas zobaczy!

— Serce jego będzie pełne radości, ale nie pojedzie z nami.

— Tak, nie może złamać danego słowa.

— Uff! O jednym niedźwiedziu wiemy, gdzie ma legowisko. A inne także będzie można znaleźć w dolinie.

— To doskonała myśl, godna mego przyjaciela!

— Old Surehand mógłby więc bez trudu zanieść Utajom skóry.

— Ale w tym wypadku darowano by mu tylko życie, nie wolność.

— Old Shatterhand ma słuszność. Musimy go w każdym razie wyswobodzić. Jeśli zdobędzie skóry, będzie mógł z nami odejść: nie przyrzekł Utajom, że pójdzie z nimi i weźmie żonę z ich szczepu.

— Dobrze! Jutro poszukamy tropów niedźwiedzich! Ale zważ, że Utajowie będą się włóczyli przez cały dzień po „parku” i znajdą nasze dzisiejsze obozowisko.

— Uff! Me możemy tam pozostać. Dokąd jednak się przeniesiemy?

— Musimy unikać „parku” i jego okolic, bo Indianie znaleźliby z pewnością nasze ślady; trzeba udać się z powrotem do Niedźwiedziej Doliny. Teraz, w ciemnościach, jest to wprawdzie rzeczą niebezpieczną, ale parów poznaliśmy dzisiaj dość dobrze, możemy więc poprowadzić powoli konie za sobą. Musimy także strzec się niedźwiedzia, który ma legowisko tuż obok naszej drogi.

— Winnetou z Old Shatterhandem pójdą przodem i ich towarzysze będą zupełnie bezpieczni. A na ciemności znajdziemy sposób. Widziałem w górnej części parowu uschniętą sosnę, z której żywicznych gałęzi zrobimy sobie pochodnie.

— Pięknie! Wracamy więc do Niedźwiedziej Doliny. Ale co będzie ze śladami, które zostawimy w „parku”? Nie możemy teraz trzymać się jego skraju, lecz musimy przeciąć go na poprzek.

— Winnetou zatrze je swoim kocem.

Na tym skończyliśmy naradę i udaliśmy się do towarzyszy, by im opowiedzieć, cośmy widzieli, słyszeli i postanowili. Wiadomości te wywarły silne wrażenie, zwłaszcza na tych, którzy znali Old Surehanda, a więc na Apanaczce, Hammerdullu i Holbersie. Niezadowoleni z naszej krótkiej relacji, chcieli się jeszcze czegoś więcej dowiedzieć, lecz Winnetou przerwał im słowami:

— Niech moi bracia zaczekają, aż będziemy mieli więcej czasu. Teraz przede wszystkim należy zniszczyć nasze ślady w tym miejscu.

Zabrał się z Szako-mattą i Apanaczką do tej ciężkiej pracy, a potem, dosiadłszy koni, pojechaliśmy w poprzek „parku” ku wylotowi parowu, którym przybyliśmy tutaj. Posuwaliśmy się jeden za drugim jak Indianie, a Winnetou zamykał pochód i kocem przywiązanym do lassa podnosił przytłoczone kopytami źdźbła trawy. Przybywszy do parowu zsiedliśmy z koni, gdyż tutaj musieliśmy je prowadzić.

Winnetou ruszył teraz przodem, a ja za nim, reszta zaś towarzyszy podążała z wolna za nami. Na wypadek spotkania z niedźwiedziem trzymaliśmy strzelby gotowe do strzału. W „parku” było jeszcze jasno dzięki gwiazdom, ale w głębokim parowie panowały takie ciemności, że zaledwie widziałem konia Winnetou, chociaż szedłem tuż za nim. Droga była bardzo uciążliwa, ale nasze oczy przyzwyczajały

się stopniowo do ciemności. Wreszcie po upływie dość długiego czasu Winnetou zatrzymał się i powiedział:

— Tu, po lewej ręce, stoi uschnięta sosna. Niech moi bracia obmacają gałęzie i te, które mają dużo żywicy, wytną na pochodnie. Ja tymczasem będę uważał, czy nie zbliża się niedźwiedź.

Byłem najbliżej drzewa, pierwszy więc znalazłem smolną gałąź, odciąłem ją i zapaliłem. Wkrótce każdy z nas miał po kilka pochodni i zarzuciwszy cugle na ramiona, z pochodnią w jednej, a strzelbą w drugiej ręce, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Na zejście zużyliśmy oczywiście znacznie więcej czasu aniżeli na wyjście. Gdyśmy przybyli na miejsce, gdzie Winnetou odkrył ślady niedźwiedzia, nie znaleźliśmy nowych odcisków, z czego wywnioskowałem, że grizzly nie ruszył się z legowiska. Dotarliśmy szczęśliwie do dna doliny, ale na tym nie kończyło się nasze zadanie, bo należało jeszcze wyszukać odpowiednie obozowisko.

Żywiczne gałęzie dopaliły się, lecz dolina była na tyle szeroka, że światło gwiazd wystarczało do zorientowania się w otoczeniu. Wybraliśmy więc wkrótce miejsce na obóz, otoczone z trzech stron głazami, tak że wystarczało pilnować jednej tylko, odsłoniętej strony. Wyrwy między kamieniami zapełniały krzaki ożyn i kępy zeschłej trawy. Ponieważ w miejscach takich lubią przebywać węże, podpaliliśmy trawę, a ogień rozszerzył się zaraz na zarośla, dzięki czemu mogliśmy zbadać dokładnie cały teren. Rzeczywiście pokazało się kilka węży, które ubiliśmy, gdy uciekały przed ogniem. Oczyściwszy w ten sposób obozowisko, mogliśmy położyć się spokojnie i spać, tym bardziej że dwóch towarzyszy miało kolejno pełnić straż. Chciano mnie wyłączyć od tego obowiązku z powodu mojej rany, lecz nie zgodziłem się na to i objąłem z Hammerdullem pierwszą wartę.

Usiedliśmy u wejścia nie osłoniętego głazami i położyliśmy obok siebie strzelby gotowe do strzału. Po krótkiej rozmowie towarzysze zasnęli, a ja opowiedziałem szczegółowo grubasowi, co podsłuchaliśmy u Utajów, po czym narwałem dla koni młodych gałęzi z pobliskich krzaków. Gdy minął czas naszej warty, zbudziliśmy Apanaczkę i Holbersa; po nich mieli czuwać Szako-matto i Treskow, a na końcu — Winnetou.

Nie mogłem zasnąć. Serce biło mi szybciej niż zwykle, nie wiedziałem jednak dlaczego. Obaj strażnicy rozmawiali po cichu na tym samym miejscu, gdzie przedtem siedzieliśmy z Hammerdullem, a konie chrupały gałązki tupiąc głośno nogami. Nad nami świeciły gwiazdy, jeszcze jaśniej niż przedtem, dzięki czemu można było dokładnie rozpoznać skały oraz znajdujących się między nimi ludzi i konie.

Karosz Winnetou podniósł nagle głowę, schyloną dotąd nad paszą, a zaraz potem wykonał taki sam ruch mój ogier. Oba parsknęły trwożnie i stanęły tak, że zwróciły się do mnie zadami. Zwietrzyły widać niebezpieczeństwo, które zbliżało się od strony, gdzie leżałem. Nie mógł to być człowiek, bo konie parsknęłyby ciszej, ostrzegawczo, a nie tak trwożnie.

Leżałem obok wyrwy, wolnej od krzaków, któreśmy po przybyciu spalili, ale na szczęście tak ciasnej, że tylko rękę można było przez nią przesunąć. Po drugiej stronie wyrwy zaczęło teraz coś grzebać i drapać silniej i głośniej, niżby to mógł uczynić człowiek, a zarazem dało się słyszeć znane mi dobrze sapanie. Zerwawszy się w jednej chwili, pochwyciłem niedźwiedziówkę i szepnąłem do wodza Komanczów:

— Apanaczko, niedźwiedź! Siedźcie cicho, dopóki nie podejdzie bliżej.

Obdarzony znakomitym słuchem Winnetou w mgnieniu oka stanął obok mnie z rusznicą w ręku.

— Za nami niedźwiedź, pod skałą! — objaśniłem go. Inni towarzysze spali dalej, a my woleliśmy ich nie

budzić, by nie narobili hałasu.

Apanaczka podszedł do nas z Holbersem. Obaj odwiedli kurki u strzelb, ale Winnetou przestrzegł ich:

— Możecie strzelać tylko w ostateczności. Najlepszą broń na szarego niedźwiedzia ma Old Shatterhand, on więc da pierwsze dwa strzały; potem dopiero przyjdzie kolej na mnie. Wy zaś wypalicie jedynie wówczas, gdy dam wam znak!

Holbers trząsł się z podniecenia, a głos mu drżał, kiedy zapytał:

— Czy zwierz może przeleźć przez skałę?

— Nie — odpowiedziałem. — Z pewnością podejdzie z drugiej strony... Otóż i on! Odsuńcie się! Zostawcie go mnie!

U wejścia do obozowiska ukazał się niedźwiedź z głową spuszczoną ku ziemi. Konie zaczęły parskać głośno ze strachu, a oba karosze odwróciły się do zwierza gotowe bronić się tylnymi kopytami. Strzelać jeszcze nie mogłem, bo należało wycelować między żebra i trafić w samo serce, a do tego musiał się niedźwiedź podnieść. Poskoczyłem więc ku niemu, by zwrócić jego uwagę, lecz cofnąłem się czym prędzej, gdyż grizzly jest nadzwyczaj rączym zwierzęciem pomimo pozornej ociężałości. Osiągnąłem zamierzony cel. Zaledwie zwierz mnie zobaczył, stanął na tylnych łapach, nie dalej jak o sześć kroków ode mnie. W tym momencie huknął mój strzał. Zdawało się, że niedźwiedź, uderzony z przodu przewróci się na plecy. Ale nie runął — zachwiał się tylko, po czym postąpił o dwa kroki naprzód. W tej chwili posłałem mu drugą kulę, która go powaliła na ziemię. Leżąc podkulił łapy, jakby chciał nimi kogoś objąć, przewrócił się parę razy z boku na bok i wreszcie znieruchomiał zupełnie.

Nie wydał przy tym żadnego głosu. Walka z szarym niedźwiedziem jest zawsze cicha i to właśnie przejmuje człowieka dreszczem aż do szpiku kości, jak mawiał mój stary Sam Hawkens. Przy gromkim ryku lwa strzela się lepiej.

— Trafiony! — rzekł Winnetou. — Obie kule go dosięgły. Ale nie zbliżajcie się jeszcze, bo niedźwiedź ma twarde życie!

Wszyscy nasi towarzysze zerwali się oczywiście po pierwszym strzale. Szako-matto milczał zwyczajem Indian, a Treskow, chociaż nie był tchórzem, cofnął się gwałtownie na widok olbrzymiego zwierza. Hammerdull przecisnął się między końmi, podbiegł do mnie i zawołał:

— Niedźwiedź! Do wszystkich diabłów, to rzeczywiście niedźwiedź! A ja przespałem chwilę, kiedy się ukazał. Taki jestem zły na siebie, że chętnie waliłbym się po pysku!

— Zrób to, kochany Dicku, zrób natychmiast! — żartował Holbers.

— Milcz, stary szopie! Że też mnie zawsze musi się coś takiego zdarzyć! Czemu ta bestia przyszła dopiero wtedy, gdy zasnąłem?

Niepocieszony grubas byłby z pewnością poszedł bez obawy na niedźwiedzia, choć może nie od razu położyłby go trupem. Ponieważ nie mógł zmierzyć się z żywym przeciwnikiem, podszedł teraz wbrew przestrodze Apacza do zabitego. Przewrócił go, chociaż z wielkim wysiłkiem, na bok, pociągnął za łapę i rzekł:

— Nie żyje, panowie! W przeciwnym razie nie pozwoliłby mi na takie żarty. Proponuję, żebyśmy mu zdjęli buty, rękawiczki i kapotę. Spać i tak przecież nie będziemy!

Miał słuszność. Obok świeżo zabitego niedźwiedzia nie zaśnie żaden myśliwiec. Trzeba było rozpalić ognisko, rozeszliśmy się więc wszyscy, aby nazbierać chrustu. Przy

świetle ognia przekonaliśmy się, że ubiłem niedźwiedzicę, mającą z pewnością około siedmiu cetnarów wagi.

— To zapewne jej trop widzieliśmy — rzekł Treskow.

— Nie — odparł Winnetou. — Tamten ślad pochodził od zwierzęcia znacznie cięższego. Nie była to skwaw niedźwiedzia, lecz on sam. Pójdziemy po niego, gdy przybędzie Old Surehand.

Towarzysze dobyli noży, aby niedźwiedzicy zdjąć „buty, rękawiczki i kapotę”, a ja i Winnetou przypatrywaliśmy się ich robocie.

— Uff! — zawołał nagle Winnetou zrywając się. — Tam stoi młody niedźwiedź!

Ogień rzucał światło daleko poza skały i dzięki temu ujrzeliśmy zwierza pod krzakami, z których niedawno zerwałem gałązki dla koni. Wielkością dorównywał średniemu cielęciu, był tylko grubszy.

— Hura, to jej syn! — krzyknął Dick, wstał prędko i popędził do niedźwiedzia.

— Dicku, Dicku! — wołałem za nim. — Uważajcie! On jest o wiele niebezpieczniejszy, aniżeli przypuszczacie!

— Głupstwo! Już go mam! — odpowiedział grubas. Zanim zdążyliśmy się zorientować, jak to się stało,

już obaj przeciwnicy tarzali się po trawie, a Hammerdull ryczał:

— Na pomoc! Prędko! To bydlę nie chce mnie puścić! Ratunku!

Apanaczka podbiegł z nożem do zażywnych bohaterów. Wsunąwszy między nich rękę pchnął silnie niedźwiedzia. Skutek był natychmiastowy: niedźwiedź padł bez ducha, a Hammerdull zerwał się i zawołał ze złością:

— To ci bestia! Bydlę bez najmniejszej ogłady! Chciałem je pochwycić żywcem, a ono tak ze mną postępuje!

Musiałem użyć wszystkich sił, aby utrzymać z daleka jego zęby. Za to go teraz upieczemy i zjemy.

Przywlókł do nas niedźwiadka za jedną nogę. Z walki wyszedł w opłakanym stanie, ubranie miał w wielu miejscach podarte, a twarz podrapaną. Z rąk i nóg ciekła mu krew. Ta okoliczność wytrąciła z równowagi jego przyjaciela, który zamiast mu współczuć wybuchnął gniewnymi wyrzutami:

— Co ty zrobiłeś! Jak ty wyglądasz! Ten idiota rzuca się, aby żywcem schwytać szarego niedźwiedzia! Czy widział kto taką głupotę? Co ja z tobą pocznę? Ty chyba rozum postradałeś ?

— Kto by to przypuścił, że ten piesek jest taki silny — bronił się Dick.

— Piesek? Doskonałe porównanie! Ale ja nie mogę . patrzeć dłużej na twoją pokiereszowaną gębę! Chodź ze

mną do wody! Muszę cię obmyć!

Napiekliśmy niedźwiedziego mięsa, posililiśmy się, a łapy, największy, jak wiadomo, przysmak, schowaliśmy na później, gdyż wtedy są najdelikatniejsze, kiedy dobrze skruszeją.

Gdy dzień zaczął świtać, wsiedliśmy z Winnetou na konie i prowadząc za cugle deresza Apanaczki, pojechaliśmy w górę doliny, by tam zaczekać na Old Surehanda. Znalazłszy się u wylotu parowu, którym miał przybyć, zatrzymaliśmy się w zaroślach.

Ponieważ Utaj om mogło się wydarzyć coś nieprzewidzianego albo wódz mógł zmienić plany, przeto z pewnym naprężeniem czekaliśmy na przybycie starego druha. Może po godzinie ujrzeliśmy człowieka schodzącego parowem między drzewami. Nie wyszedł jeszcze na wolną przestrzeń i nie mogliśmy go rozpoznać, ale mimo to odważyłem się zawołać:

— Mr Surehand! Mr Surehand!

Przybysz zatrzymał się, lecz tylko na chwilę. Gdy po raz trzeci zawołałem go po nazwisku, wyskoczył czym prędzej spomiędzy drzew i podążył ku nam. Ponieważ nie pokazywaliśmy się, stanął w pół drogi i zapytał:

— Kto jest w zaroślach?

— Przyjaciele! — odpowiedziałem. — Wyjdźcie stamtąd!

— Oto jestem!

Z tymi słowy wychyliłem się z zarośli, lecz Winnetou pozostał jeszcze w kryjówce. Old Surehand poznał mnie natychmiast.

— Old Shatterhand! Old Shatterhand!

Wypuścił z rąk strzelbę, podbiegł do mnie z otwartymi ramionami i porwał mnie w objęcia.

— Co za radość, co za szczęście-! Przyjacielu! Old Shatterhand, wybawco mój!

Przy każdym słowie odsuwał mnie i przyciągał znowu do piersi. Oczy mu błyszczały, a policzki płonęły z nadmiaru szczęścia.

— Kto by to przypuścił — mówił dalej — że znajdziecie się w Górach Skalistych, i to akurat w Niedźwiedziej Dolinie. Jakże się cieszę, jakiż jestem szczęśliwy! Co was skłoniło do tej podróży?

— Przybywam z Jefferson City.

— Ach tak! Byliście u bankiera?

— Byłem.

— I on wam powiedział, że podążyłem w góry?

— Tak.

— A wy udaliście się za mną?

— Oczywiście! Jefferson City, winiarnia Lebruna w Topece, farma Fennera i tak dalej... Jak widzicie, miałem

dokładne wskazówki.

— Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Teraz jestem ocalony! Ale nie rozumiecie oczywiście, o czym mówię. Jestem jeńcem!

— Wodza Tusagi-saricza...

— Skąd o tym wiecie? — spytał zdumiony.

— Dziś rano wypuszczono was na słowo honoru... — mówiłem dalej z uśmiechem.

— Zadziwiacie mnie! — zawołał.

— Macie zdobyć cztery skóry niedźwiedzie...

— Ach! Chciałbym wreszcie usłyszeć, skąd to wszystko wiecie!

— Kiedy wczoraj w „parku” rozmawialiście z wodzem, leżeliśmy o trzy kroki w paprociach, podsłuchując was.

— O nieba! Gdybym to był wiedział!

— Żadne słowo nie uszło naszej uwagi. Tej nocy jednak niepodobna już było was wyswobodzić, dlatego zeszliśmy zaraz pomimo ciemności w tę dolinę, by tu na was zaczekać. Jakże ucieszyliśmy się waszym przybyciem!

. — Czy nie jesteście sami? Ciągle mówicie w liczbie mnogiej... Kto z wami tu przybył?

— Chodźcie mu się przypatrzyć! Zaprowadziłem go do Winnetou; znowu krzyknął

z radości i wyciągnął do Indianina obie ręce. Apacz uścisnął je serdecznie i powiedział:

— Winnetou cieszy się szczerze widokiem brata Old Surehanda. Myśleliśmy, że dościgniemy go dopiero w „parku” San Luis, teraz jednak pokażemy wodzowi Utajów, iż nawet z pięćdziesięcioma wojownikami nie potrafi zatrzymać w niewoli Old Surehanda!

— Dałem mu słowo, że powrócę! — wtrącił Old Surehand. — Inaczej nie byliby mnie puścili.

— Wiemy o tym. Old Surehand nie może złamać słowa i wróci do nich. Ale potem Old Shatterhand i Winnetou przyjdą do Utajów na krótką rozmowę.

— Muszę do jutra wieczorem przynieść im cztery skóry niedźwiedzie; życie moje od tego zależy. Czy wie o tym wódz Apaczów?

— Oczywiście. Old Surehand przyniesie Utajom żądane skóry. Aby mógł tego dokonać, musi pozwolić, że oddalę się teraz.

Dosiadłszy konia, odjechał w górę doliny nie podając ani powodu, ani celu swej wyprawy. Ja jednak wiedziałem, że postanowił szukać śladów niedźwiedzich.

— Dokąd on się udał? — spytał Old Surehand.

— Chce zapewne zrobić wam niespodziankę.

— Well! Czy musimy tu na niego czekać?

— Nie. Pojedziemy także. On nas potem odszuka,

— Bardzo chętnie będę wam towarzyszył, ale trzeba pamiętać, że mój czas jest drogi.

— Dlatego, że musicie zdobyć cztery skóry niedźwiedzie? Na to jest jeszcze dość czasu! Siądźcie na tego deresza !

— Macie trzy konie? Wobec tego nie jesteście chyba sami?

— Słusznie się domyślacie.

— Kto jest jeszcze z wami?

— Zaczekajcie chwilę! Z pewnością ucieszycie się na widok właściciela tego konia. To także wasz znajomy.

Old Surehand podniósł swoją strzelbę i podążyliśmy w dół doliny. Kiedy dojechaliśmy do obozu, ujrzałem Hammerdulla stojącego w pobliżu. Mój towarzysz zauważył go również i zapytał:

— Czy to nie stary Dick Hammerdull, Mr Shatterhand?

— Tak, to on.

— W takim razie jest tu także jego przyjaciel, nieodstępny Pitt Holbers?

— Oczywiście! To nierozłączna para. Hammerdull podbiegł do nas, podał rękę Old Sure-

handowi i zawołał:

— Witajcie, Mr Surehand, witajcie! Spodziewam się, że przypominacie sobie wiernego Hammerdulla? .

— Nigdy o was nie zapominałem, kochany Dicku!

— A Pitt Holbers żyje jeszcze w waszym sercu?

— Oczywiście.

— Obaj dumni jesteśmy z waszej przyjaźni. Wjechaliśmy wreszcie do obozu i zsiedliśmy z koni.

Hammerdull wprowadził Old Surehanda pomiędzy skały i zawołał z triumfem:

— Masz go, Holbers, stary szopie! Podaj mu rękę, lecz nie obejmuj go za szyję, bo potem nie mógłby się od ciebie uwolnić, jak ja od niedźwiedzia.

Old Surehand witał się właśnie z Holbersem, kiedy nagle ujrzał Apanaczkę.

— Apanaczka, mój czerwony brat Apanaczka! — zawołał zdumiony. — Tego nigdy bym nie przypuszczał! Teraz już wiem, Mr Shatterhand, jaką niespodziankę chcieliście mi sprawić. Niech mój czerwony brat pozwoli się uściskać!

Oczy Komancza płonęły radością. Padł na pierś przyjacielowi, z którym tak bardzo zżył się podczas wspólnej podróży do fortu Terrel. Gdy gość nasz przywitał się następnie z Treskowem, przedstawiłem mu wodza Osedżów. Indianin podał mu rękę z godnością, skinął przyjaźnie głową i, wskazując na skóry niedźwiedzie, powiedział:

— Nasz brat miał przynieść Utajom cztery skóry niedźwiedzie. Oto dwie czekają już tu na niego.

— Kto zabił te niedźwiedzie?

— Old Shatterhand zabił wielkiego, Apanaczka zaś małego.

— To na nic mi się nie przyda. Muszę je sam upolować.

— Czy wódz Utajów żądał tego od was wyraźnie? — zapytałem.

— Nie.

— A więc nie miejcie żadnych skrupułów!

— Wódz przypuszczał z pewnością, że przyniosę skóry niedźwiedzi, które sam zabiję.

— Co on przypuszczał, to nas nic nie obchodzi. Wy trzymajcie się jedynie umowy.

— Utajowie żądali tylko, żebym przyniósł cztery skóry.

— To je zaniesiecie. Dwie jeszcze się znajdą.

— Tej małej Tusaga-saricz nie przyjmie.

— Skóra jest cała, nie uszkodzona, nie będzie więc mógł jej odrzucić. Idzie o to, żebyście spełnili warunki umowy wedle swego przekonania, a nie tak, jak je rozumieją Utajowie. Przyrzekliście im tylko, że powrócicie, i tego musicie dotrzymać. Więcej ani oni od was, ani wy od siebie nie możecie żądać. Teraz zresztą nie czas się tym zajmować. Macie coś ważniejszego do roboty.

— Co takiego?

— Posilić się.

— Słusznie —. rzekł Old Surehand z uśmiechem. — Czerwonoskórzy trzymali mnie bardzo krótko i od trzech dni nie dali mi ani kąska.

— A więc teraz nie żałujcie sobie!

Podano mu mięso, które zaczął ze smakiem zajadać. Ja tymczasem szepnąłem towarzyszom, aby nie wspominali przy nim o Tibo-taka, Tibo-wete, wawie Derriku i myrtle wreath.

Skłoniły mnie do tego zarządzenia pewne powody. Gdy zwróciłem się z tym żądaniem do Apanaczki, spojrzał mi badawczo w twarz, lecz nie odezwał się ani słowem. Nasunęło mi się podejrzenie, że zaczynał domyślać się rzeczy, o których, jak mi się zdawało, ja tylko coś wiedziałem.

Konie puściliśmy wolno, żeby napasły się nad wodą, a sami położyliśmy się przed skałami, chcąc mieć zwierzęta na oku i w razie potrzeby móc ich bronić ze strzelbami w ręku. Old Surehand opowiedział nam teraz, jak dostał się w ręce Utajów.

Odbył sam całą tę daleką drogę i obozował przed czterema dniami nad źródłem w miejscowości, gdzie nie widział ani śladu człowieka. Czując się bezpieczny, zdrzemnął się, lecz nagle zbudzili go dwaj Indianie, jeden młody, a drugi stary, którzy klęczeli nad nim z dobytymi nożami. Odepchnął ich, zerwał się i wyjął rewolwer; gdy ponownie rzucili się na niego z nożami, musiał ich zastrzelić. Ale w następnej chwili otoczyło go pięćdziesięciu czerwonoskórych, którym mimo swej niezwykłej siły nie mógł już dać rady. Wyrwano mu rewolwer, powalono go i skrępowano. Co się zdarzyło potem, wiedzieliśmy z podsłuchanej w obozie Utajów rozmowy.

Szybko upłynął nam czas do południa. O tej porze nadjechał Apacz i zeskoczywszy z konia zapytał:

— Czy nasz brat Old Surehand dowiedział się o wszystkim?

— Tak — odrzekłem.

— Czy weźmie te dwie skóry?

— Weźmie.

— Dobrze! A teraz pójdziemy z Old Shatterhandem, Old Surehandem i Apanaczką do legowiska niedźwiedzia, którego ślady widzieliśmy wczoraj.

— A ja nie mogę wam towarzyszyć? — wtrącił szybko Hammerdull.

— Nie.

— Dlaczego?

— Parów jest wąski, każdy więc zbyteczny człowiek zawadzałby nam tylko.

Ale grubas zaczął się tak natarczywie napraszać, że Winnetou w końcu ustąpił mówiąc:

— Niech więc mój brat pójdzie z nami, ale jeśli popełni jaki błąd lub nie posłucha mnie, nie wezmę go już nigdy z sobą!

Zabrawszy strzelby, opuściliśmy obóz i po dziesięciu minutach dostaliśmy się do parowu. Wspinając się pod górę, staraliśmy się unikać wszelkiego szmeru, z tym większą ostrożnością, im wyżej podchodziliśmy. Dick Hammerdull szedł zaraz za Winnetou z miną wyrażającą bezgraniczną pewność siebie. Gdyby go zobaczyły niedźwiedzie, zapewne pouciekałyby w popłochu.

Przybywszy na miejsce, które zwiedziliśmy już wczoraj, zbadaliśmy bardzo dokładnie część drogi wiodącej w górę i w dół, lecz nie dostrzegliśmy żadnych śladów. Widocznie niedźwiedź nie przeszedł na drugą stronę. Przeprawiliśmy się przez potok, wdrapaliśmy się na głazy i natrafiliśmy na ślady, które widzieliśmy wczoraj. Tworzyły one szeroko wydeptaną ścieżkę, wiodącą poza występ skalny. Winnetou podszedł tam i wysunął głowę tak, że mógł rzucić okiem na drugą stronę. Stał nieruchomo i wyciągniętą poza siebie ręką dawał nam znaki, żebyśmy się zachowywali jak najciszej. Byłem pewien, że zobaczył niedźwiedzia. Kiedy się wreszcie do nas odwrócił, twarz promieniała mu radością.

Wziął Hammerdulla za ramiona i nie mówiąc ani słowa wysunął go także poza występ skalny. Ale już w następnej chwili blady jak trup grubas cofnął głowę, przemknął obok mnie i reszty towarzyszy, dopóki nie znalazł się na ostatnim

miejscu. Teraz i ja spojrzałem poza krawędź i przekonałem się, że bladość Hammerdulla nie przynosiła mu. hańby. Między skałami i gęstymi kolczastymi krzakami wiodła ścieżka aż do miejsca, gdzie kamienie tworzyły potężną ścianę z wystającym jak gdyby okapem. Tam na kupie trawy i gałęzi leżał istny król niedźwiedzi. Zasługiwał doprawdy na tę nazwę: tej wielkości bestii nigdy dotychczas nie widziałem. Miał pewnie ze czterdzieści lat, na co wskazywał kolor jego sierści. Co za cielsko, głowa i łapy! Leżąc wydawał się olbrzymem — jakże musiał wyglądać, kiedy się podniósł! Gdy wreszcie i Apanaczka, i Old Surehand uradowali się widokiem niezwykłego zwierza, zeszliśmy się na naradę. Winnetou utopił we mnie wzrok, z owym nieopisanym wyrazem, którego nigdy nie zapomnę, i zapytał:

— Czy mój brat Old Shatterhand ma do mnie takie zaufanie jak dawniej?

Skinąłem głową; wiedziałem już, do czego Apacz zmierza.

— A czy mój brat powierzyłby mi swoje życie?

— Bez wahania.

— Mech więc wszyscy moi bracia pójdą za mną! Poprowadził nas na powrót do gęstych zarośli, a za-

trzymawszy się tam, rzekł:

— Za tym krzakiem ja się ukryję, a Old Shatterhand sprowadzi tu niedźwiedzia tak, żeby musiał przejść obok mnie. Inni bracia przykucną za tamtymi kamieniami i będą uważali na to, co nastąpi. Old Shatterhand i Winnetou to jedno. Obydwaj mają jedno ciało, jedną duszę i jedno życie. Jego życie należy do mnie, a moje do niego. Howgh!

— Co chcecie uczynić? — zapytał niespokojnie Old Surehand. — Obawiam się, że narażacie się na wielkie niebezpieczeństwo!

— Niebezpieczeństwa nie ma — odparłem. — Znam dobrze Winnetou. Róbcie śmiało, co wam polecił, i weźcie z sobą moje strzelby!

— Jak to? Idziecie bez broni?

— Nie. Bezbronny nie będę. Idźcie już... idźcie! Zniknęli za ścianą głazów, a Winnetou wziął nóż

w rękę i ukrył się w zaroślach. Aby uspokoić mnie, szepnął:

— Wiatr jest naszym sprzymierzeńcem. Gdyby jednak niedźwiedź mnie zwęszył, ty pierwszy go pchniesz nożem.

Nie obawiałem się wcale spotkania z niedźwiedziem. Tylko nieznane niebezpieczeństwo może człowieka niepokoić; gdy się je zna, a zwłaszcza, gdy się je ma tuż; przed sobą, strach ustępuje. Dobyłem noża i skoczyłem z powrotem do krawędzi skalnej. Niedźwiedź leżał jeszcze tak samo jak przedtem. Prawdopodobnie najadł się w nocy i spał teraz, nie przeczuwając, że to ostatni jego sen. Podniósłszy kamień podszedłem bliżej i ugodziłem zwierza, który zbudził się, podniósł głowę i utkwił we mnie rozwścieczony wzrok. W jednej chwili zerwał się z szybkością, której by mu pozazdrościł nawet tygrys lub pantera. Skoczyłem poza krawędź skały i z oczyma utkwionymi w nią cofałem się ku krzakowi, za którym stał Apacz. Wtem ukazał się niedźwiedź. Teraz już chodziło o moje życie: gdybym się potknął i upadł, byłbym już nie wstał więcej.

Sztuka polegała na tym, żeby zwabić niedźwiedzia do Winnetou i w ten sposób umożliwić Apaczowi pchnięcie. Z ociężałą zwinnością, właściwą także słoniowi, zwierz ruszył za mną na pozór powoli i z namysłem, w rzeczywistości jednak szybko i stanowczo. Widział tylko mnie i zbliżał się coraz bardziej. Tego właśnie chciałem. Kiedy dostałem się do zarośli, był już tylko o osiem kroków ode mnie. Teraz zacząłem się cofać szybciej, dopóki niedźwiedź nie znalazł

się obok krzaka, za którym czyhał Winnetou. Gdybym go puścił jeszcze

o krok dalej i nie zmusił, by się zatrzymał, byłbym zgubiony. Przed olbrzymimi łapami tego potwora nie ostałoby się żadne żywe stworzenie. Skoczyłem jeszcze o dwa kroki naprzód i podniosłem rękę. Wtedy Winnetou wystąpił z dobytym nożem z zarośli i stanął za niedźwiedziem. Zwierz zatrzymał się widząc mój pozorny atak

i wyprostował szybko. Przewyższał mnie o głowę. W tej samej chwili Apacz pchnął go z ową szybkością i rozwagą, niezbędną, jeśli się chce ugodzić zwierzę we właściwe miejsce. Ostrze noża wbiło się aż po rękojeść między żebra, Apacz nie zostawił go jednak w ranie, lecz wyrwał czym prędzej, żeby nie zostać bez broni.

Potwór zachwiał się, jakby miał runąć, lecz odwróciwszy się niespodziewanie, wyciągnął łapy do Winnetou, który ledwo zdołał uskoczyć. Teraz Apaczowi groziło niebezpieczeństwo śmierci. Podbiegłem natychmiast z tyłu do niedźwiedzia, pchnąłem go i odskoczyłem zostawiając nóż w ranie. Teraz zwierz nie zachwiał się, lecz stanął nieruchomo. Trwało to może z pół minuty, po czym runął na miejscu, jakby uderzony niewidzialnym młotem, i nie poruszył się więcej.

— Uff! Pchnąłeś go znakomicie! — rzekł Apacz wyciągając do mnie rękę.

— Ja tylko dopomogłem tobie — odrzekłem. — Serce olbrzyma tkwi chyba w dziesięciu workach, tyle trzeba było siły, aby wbić w nie ostrze noża.

Przed nami leżało cielsko ważące przynajmniej dziesięć cetnarów, a dokoła rozchodził się odór, który zabijał wszelką ochotę na niedźwiedzie łapy. Gdy nadeszli towarzysze, rozciągnęliśmy potwora i wtedy dopiero mogliśmy ocenić

jego ogrom oraz wyobrazić sobie, co by się z nami stało, gdyby zawiodły nas noże.

— Iść tylko z nożem na taką bestię — rzekł Old Surehand — to naprawdę kuszenie Pana Boga. Nie należę do słabych ani do tchórzów, ale na to bym się nie odważył!

— Mój brat się myli — odpowiedział Winnetou. — Dobry nóż i pewna ręka często są lepsze niż kula. Nie każdy zresztą niedźwiedź jest tak wielki jak ten.

Apanaczka milczał. Wyrwał mój nóż z ciała niedźwiedzia, a musiał przy tym użyć tyle siły, że z podziwem potrząsnął głową. Hammerdull przypatrzył się ranom zwierza i zawołał ze zdumieniem:

— Tuż obok siebie! Jak można tak znać miejsce, w które należy wbić nóż?

— Na to nie ma żadnej reguły, trzeba mieć miarę w oku — odpowiedziałem. — Nie wszystkie niedźwiedzie są jednakowo zbudowane, a futro może także osłabić pchnięcie i spowodować okropne skutki.

— Hm! A jeśli się trafi w żebro?

— To nóż się ześliźnie, a myśliwy momentalnie utraci skalp.

— Dziękuję! W takim razie wolę już moją strzelbę! Gdyby tak można było jedną ręką odszukać powoli właściwe miejsce, a potem pchnąć drugą, to i ja bym wtedy spróbował.

— Walka z szarym niedźwiedziem nie jest zarzynaniem świń.

— Sam to widziałem. Cóż teraz zrobimy z tym nieszczęśliwcem?

— Zdejmiemy z niego skórę, a mięso zostawimy, gdyż byłoby twarde jak podeszwa. Spieszmy się, Winnetou, jak się zdaje, ma dla nas jeszcze inną robotę.

— Mój brat odgadł — potwierdził Apacz.

— Czy jest jeszcze jaki trop niedźwiedzia?

— Bardzo daleko stąd, w górnym końcu doliny.

— To zrozumiałe, niedźwiedzie nie żyją gromadnie jak bobry. Czy mój brat Winnetou sądzi, że uporamy się z tamtym jeszcze dzisiaj przed nocą?

— Spodziewam się. Konie zaniosą nas szybko, gdzie trzeba.

— A mnie wolno będzie pójść z wami? — zapytał Hammerdull.

— Nie — odpowiedziałem. — Szako-matto obraziłby się, gdybyśmy go i. tym razem wykluczyli od udziału w wyprawie. Odstawicie skórę do obozu i przyślecie nam tutaj wodza Osedżów.

Grubas powlókł za koniem zdartą z olbrzyma ciężką skórę, a my czekaliśmy cierpliwie na Szako-mattę. Teraz dopiero ukazało nam się w całej swej grozie niebezpieczeństwo, któregośmy uniknęli. Na podobne przedsięwzięcie można było odważyć się tylko z Winnetou. Najmniejszy brak zręczności i przytomności umysłu mógł nas przyprawić o utratę życia.

Gdy nadjechał wódz Osedżów, ruszyliśmy doliną w górę, obok miejsca, w którym spotkaliśmy się z Old Surehandem. Dolina była nadzwyczaj długa i tym węższa, im dalej wspinała się pod górę. Kilkakrotnie spotykaliśmy bizony pojedynczo lub w małych gromadkach, ponieważ pora wędrówki jeszcze nie nadeszła. Tak dalece nie bały się ludzi, że nie uciekały przed nami, tylko ustępowały na bok, z czego wywnioskowaliśmy, że w lecie nie płoszyli ich myśliwi. Niektóre, starsze, nie usuwały się nawet z drogi, lecz wytrzeszczały na nas zdziwione oczy lub pochylały ku nam wyzywająco wielkie rogate łby. Na widok bizonów zagrała w nas żyłka myśliwska, nie mogliśmy jednak dać jej folgi, gdyż nie mieliśmy czasu, a niedźwiedzie dostarczyły nam mięsa aż nadto.

Westman nie zabija nigdy zwierzęcia, jeśli nie potrzebuje jego mięsa. Nieprawdą jest też, jakoby Indianie w porze wielkich wędrówek bizonów czynili wśród nich niepotrzebne spustoszenie. Czerwonoskórzy wiedzą aż nadto dobrze, że bez tych stad nie mogliby żyć, dlatego zdobywają tylko tyle mięsa, ile potrzebują. Jeśli bizon, zwany w Ameryce „buffalo”, wyginął, to winę za to ponoszą wyłącznie biali, którzy zbierali się nieraz w ogromne oddziały, wynajmowali pociągi i zatrzymywali się tam, gdzie spotykali na prerii wędrujące stada. Walili potem z pociągu do zwierząt z czystej chęci mordowania, dopóki nie nasycili się strzelaniną. Czy trafione bizony naprawdę ginęły, czy tylko były ranne, o to wcale nie pytano. Postrzelone ofiary wlokły się dalej i stawały się pastwą żarłocznych sępów i wilków. Tak wystrzeliwano lub raniono śmiertelnie tysiące sztuk, a miliony cetnarów mięsa gniły nie przynosząc człowiekowi najmniejszego pożytku. Ja sam bywałem w miejscowościach, w których dopuszczano się takich masowych mordów, i widziałem stosy zbielałych kości. Nawet skór i rogów nie zabierano.

Na widok pól zasłanych trupami bizonów żal i złość ogarniały serce prawdziwego westmana. A co o tym myśleli i mówili Indianie, to sobie nietrudno wyobrazić. Podejrzewali oczywiście, że rząd nie tylko toleruje, lecz nawet popiera te nikczemne rzezie, aby przyśpieszyć zgubę rasy czerwonej za pomocą wygłodzenia. A jeśli czerwonoskóry próbował się opierać tej bydlęcej strzelaninie, walono do niego tak samo bezwzględnie jak do bizonów.

Gdzie podziały się te królewskie zwierzęta, gdzie dumni, rycerscy, czerwoni i biali myśliwi? Twierdzę, że nie ma już ani jednego z tych westmanów, o których czynach opowiadają ludzie przy obozowych ogniskach. Kości ich są rozproszone, a tam gdzie pług lub motyka wydobywa z ziemi zwietrzałą czaszkę, tam odbył się z pewnością jakiś skrytobójczy napad lub rozegrała się rozpaczliwa walka, w

której, jak wszędzie na przesiąkniętym krwią Zachodzie, bezlitosna siła zgnębiła prawo.

Jechaliśmy już z godzinę, niezbyt wolno, a jednak nie dotarliśmy jeszcze do końca Kui-erant-yuaw. Nagle Winnetou zatrzymał konia i rzekł:

— Za dwie minuty dojedziemy do miejsca, w którym znalazłem bizona zabitego przez niedźwiedzia. Zwycięzca pożarł niewiele mięsa, pogruchotał tylko kości i wyssał z nich szpik, co czyni tylko grizzly. Siady jego wiodły do zbocza doliny, a potem pod górę.

— Czy Winnetou znalazł jego legowisko? — spytał Old Surehand.

— Nie. Chciałem tylko wyszukać trop, nie płosząc zwierza, by mój brat mógł także powiedzieć, że zabił szarego niedźwiedzia. Sądzę, że postąpiłem dobrze.

— Tak, to słuszne! Gdy pokażę skóry, chcę przynajmniej o jednej móc twierdzić, że sam ją zdobyłem.

— Zgoda! Czy mój brat weźmie sobie niedźwiedziówkę Old Shatterhanda?

— Nie, mogę zaufać także swojej strzelbie.

— A co ja będę robił? — zapytał wódz Osedżów. — Czy mają o mnie opowiadać, że w mojej obecności ubito cztery niedźwiedzie, a ja przy tym nawet ręką nie ruszyłem?

— Jeśli mój czerwony brat zechce, będzie miał także coś do roboty, gdy tylko znajdziemy niedźwiedzia.

Rozmawiając jechaliśmy dalej, gdy wtem Winnetou znowu zatrzymał konia i wyciągnął przed siebie rękę. O tysiąc może kroków od nas wyszedł spomiędzy drzew niedźwiedź i biegł przez odsłoniętą równinę. Głowę miał nisko spuszczoną i nie patrzył ani w prawo, ani w lewo, toteż nie widział nas. Zwietrzyć niebezpieczeństwa także nie mógł, bo wiatr wiał w naszym kierunku.

— W jasny dzień! — zdumiał się Old Surehand. — Czuje się bezpieczny, bo od dawna nikt tu nie polował.

— Gdzie leży bizon? — zapytałem.

— Brat mój nie może go stąd zobaczyć, bo po drodze rosną małe krzaki — odpowiedział Apacz.

— Zaoszczędziliśmy nieco czasu dzięki temu, że niedźwiedź, wbrew swoim zwyczajom, wyszedł w dzień na żer. Zsiądźmy tutaj i przywiążmy konie! Krzaki, o których mówił Winnetou, pozwalają nam zbliżyć się niepostrzeżenie do bizona.

— Niech moi bracia zaczekają chwileczkę! — rzekł Osedż, kiedy zsiedliśmy z koni. — Nie mam nie przeciwko temu, żeby nasz brat Old Surehand zabił tego niedźwiedzia, lecz ja bym chciał także wziąć udział w polowaniu.

— W jaki sposób? — zapytał Old Surehand.

— Tak jak Old Shatterhand i Winnetou.

— To zbyt zuchwałe! Nie jestem pewien, czy zdołam od razu tak ugodzić zwierza, żeby padł na miejscu. Czy Szako-matto polował już w ten sposób? — zapytał Old Surehand.

— Nie, nie zabiłem dotychczas nożem niedźwiedzia. Nie radzę też brać noży, co istotnie byłoby niebezpieczne. Ale czy Old Surehand może liczyć na swoją strzelbę?

— Tak.

— Niech więc mój brat ukryje się, a ja podprowadzę mu niedźwiedzia, tak jak przedtem Old Shatterhand wodzowi Apaczów.

— Jeśli Szako-matto odważa się na to, to nie mogę się nie zgodzić.

— Nie będzie to nadzwyczajnym dowodem odwagi. Byle tylko kula ugodziła tam, gdzie należy.

— Pshaw! Chyba nie spudłuję!

— Czy Old Shatterhand i Winnetou nie sprzeciwiają się?

Oczywiście, zgodziliśmy się na wszystko. Przywiązaliśmy konie i ruszyliśmy jeden za drugim ku krzakom. Przybywszy tam, zastaliśmy niedźwiedzia obok bizona. Odwrócony od nas, grzebał w nim pazurami, aby wydobyć kości ze szpikiem. Wiadomo, że obok mózgu jest to największy przysmak grizzlych. Może o trzydzieści kroków od nas leżał głaz tak wielki, że człowiek mógł się za nim ukryć. Osedż wskazał na niego ręką i rzekł:

— Mój brat Old Surehand położy się za tym kamieniem, a ja zwabię bliżej niedźwiedzia. Będzie to dla mnie zabawką.

I ja, i Winnetou byliśmy innego zdania aniżeli Szako--matto, gdyż odległość niedźwiedzia od głazu była zbyt wielka. Milczeliśmy jednak, żeby nie urazić dumnego wodza Osedżów.

Indianin, zostawiwszy przy nas swoją strzelbę, położył się na ziemi i poczołgał się ku skale, która go zasłaniała przed oczyma zwierza. Old Surehand popełzł za Osedżem, oczywiście ze strzelbą, w ten sam sposób. Koło głazu zatrzymał się i ukrył za nim.

Niedźwiedź wciąż jeszcze nie zdawał sobie sprawy z zasadzki i chrupał kości potężnymi zębami. Szako--matto posuwał się coraz dalej, co było raczej nierozwagą aniżeli odwagą.

— Uff! — rzekł Apacz. — Trzymajmy strzelby w pogotowiu! Wódz Osedżów nie wie, że już powinien się zatrzymać!

Ja także nie mogłem pojąć Szako-matty. Dlaczego nie brał w rachubę rączości szarego niedźwiedzia? Powinien był odsunąć się od Old Surehanda na taką odległość, żeby w drodze powrotnej zwierz go nie doścignął. Wreszcie Winnetou nie mogąc patrzeć na nieostrożność Osedża, złożył obie dłonie przy ustach i zawołał:

— Stać, Szako-matto, stać!

Indianin podniósł się z ziemi, ale niedźwiedź zwrócił się już w jego stronę. Ujrzawszy człowieka, pobiegł kłusem ku niemu. Trzeba tu zauważyć, że kłus szarego niedźwiedzia dorównuje szybkością kłusowi konia. Szako-mattę dzieliło od Old Surehanda pięćdziesiąt kroków i na tej drodze musiał go niedźwiedź doścignąć. Należy jeszcze dodać, że jeśli Old Surehand chciał niedźwiedzia nie tylko zranić, lecz położyć trupem, nie mógł strzelać, zanimby zwierz nie podniósł się z ziemi i nie odsłonił swej piersi. Toteż zawołałem pospiesznie:

— Me strzelajcie, Mr Surehand! Ja obronię Osedża Wymierzyłem niedźwiedziówkę i czekałem. Szako-

-matto chyba nigdy w życiu tak nie zmykał, ale na próżno. Niedźwiedź zbliżał się do niego w gwałtownym tempie.

— Szako-matto, uskocz w bok! — krzyknąłem. Razem z niedźwiedziem pędzili wprost na nas, trudno

więc było strzelić do zwierzęcia i nie ugodzić człowieka. Indianin nie zważał jednak na mój okrzyk i leciał prosto dalej. Wobec tego wyskoczyłem zza krzaków i powtórzyłem przestrogę. Gdy niedźwiedź był już tylko o trzy kroki od Szako-matty, Indianin zrozumiał mnie nareszcie i skręcił szybko w bok. Mając wolny cel, posłałem zwierzowi kulę, zanim zdołał zawrócić za swą ofiarą. Oczywiście, nie był to strzał śmiertelny. Chodziło mi tylko o wstrzymanie niedźwiedzia i to mi się udało. Zwierz stanął kręcąc głową na wszystkie strony. Z tego momentu skorzystał Old Surehand, podniósł się zza skały i ruszył śmiałym krokiem ku niedźwiedziowi. Oddalenie wynosiło mniej więcej trzydzieści stóp. Widząc nadchodzącego strzelca niedźwiedź wyprostował się. Old Surehand szedł niewzruszenie naprzód, wypalił dwa razy w odstępie kilku kroków i dobył noża. Przezorność ta okazała się na szczęście zbyteczna, bo niedźwiedź tarzał się już w śmiertelnych drgawkach po ziemi. W następnej chwili znieruchomiał ostatecznie.

Od ostrzegawczego okrzyku Winnetou upłynęła zaledwie minuta, tak szybko rozegrała się cała ta scena. Szako-matto stał obok nas, ciężko dysząc.

— Życie moje było w niebezpieczeństwie! — sapnął.

— Dlaczego mój brat był tak nieostrożny? — zawołał Apacz.

— Ja nieostrożny?

— A któż inny? — Winnetou!

— Uff! Ja?

— Gdybyś nie zawołał przedwcześnie, niedźwiedź nie zwróciłby na mnie uwagi. To przecież jasne!

— Wódz Osedżów jest w błędzie — powiedziałem. — Powinieneś był wstać wcześniej i krzyknąć na niedźwiedzia, a wtedy zwierz nie byłby cię tak rychło doścignął. Naraziłeś się na śmiertelne niebezpieczeństwo, a w dodatku popsułeś przyjemność Old Surehandowi.

— Ja popsułem mu przyjemność? Czym?

— Tym, że musiałem strzelić, aby ocalić twoje życie. Niedźwiedź dostał kulą ode mnie, zanim Old Surehand położył go trupem.

— Uff, uff! O tym nie pomyślałem!

Odwróciłem się i podszedłem do niedźwiedzia. Winnetou i Old Surehand zdejmowali z niego skórę. Zwierz był, że tak powiem, w sile wieku, zabraliśmy więc jego łapy. Za radą Szako-matty wykroiliśmy jeszcze szynkę; należało zaopatrzyć się w mięso, które w chłodnym, górskim powietrzu powinno przechować się dłuższy czas.

Mając już czwartą skórę mogliśmy wracać do obozu. Cztery niedźwiedzie w ciągu jednego dnia! Była to niezwykła zdobycz, mimo że między nimi znajdował się jeden młody. Niemałe znaczenie miała też okoliczność, że nikt z nas nie odniósł ran. Podobne polowanie mogło się udać tylko w tym odległym, przez białych nie odwiedzanym

Kui-erant-yuaw. Powodzeniem naszym cieszyliśmy się wszyscy, a najbardziej Old Surehand, który mógł wykupić swe życie za cenę czterech niedźwiedzich skór.

Do obozu dotarliśmy późnym popołudniem. Postanowiliśmy jednak jeszcze tego wieczora poczynić kroki celem uwolnienia Old Surehanda, nie chcieliśmy bowiem z tym zwlekać, jakkolwiek nasz przyjaciel otrzymał dwudniowy termin na wypełnienie swego zadania. Nie mógł sam wlec skór, postanowiliśmy zatem włożyć je na konie i podwieźć w pobliże obozu Utajów. Umówiliśmy się, że Old Surehand pójdzie naprzód, okrąży obozowisko, sprawdzi, co się tam dzieje, a potem spotkamy się na północno-zachodnim skraju „parku”. Old Surehand zgodził się na ten projekt i ruszył zaraz w drogę, aby ją odbyć za dnia. My wszyscy opuściliśmy także obóz i zaczęliśmy piąć się pod górę.

Pomimo obawy przed szarymi niedźwiedziami Utajowie mogli jednak zejść nieco niżej w dolinę, tym bardziej że grizzly nie jest tak straszny w dzień jak w nocy. Wobec tego musieliśmy być bardzo ostrożni i wysłaliśmy Winnetou naprzód, aby w razie potrzeby uprzedził nas o niebezpieczeństwie. Na szczęście jednak nie spotkał na naszej drodze nikogo.

Gdyśmy przybyli na górę, było już ciemno, nie mogliśmy się zatem przekonać, czy Utajowie przechodzili tamtędy za dnia. Wkrótce znaleźliśmy się na miejscu, gdzie mieliśmy spotkać Old Surehanda. Nie zastaliśmy go jeszcze; nie znał tej okolicy tak dobrze jak my i musiał ostrożnie i powoli okrążać obozowisko Utajów.

Kiedy się wreszcie pokazał, zawiadomił nas, że nasi przeciwnicy rozniecili już ogniska; zresztą poczuliśmy je od razu węchem, chociaż światła nie mogliśmy jeszcze dojrzeć.

Zgodziliśmy się wszyscy co do sposobu wykonania naszego przedsięwzięcia. Skóry należało zanieść w pobliże

obozu, a następnie ukryć się w lesie po przeciwnej stronie. Musieliśmy przy tym odwrócić od siebie uwagę Utajów, czego miał dokonać Old Surehand. Poradziliśmy mu, żeby mniej więcej w dziesięć minut po naszym wyruszeniu pokazał się przy ognisku.

Gdy odnieśliśmy skóry i zaczęliśmy pełzać pod drzewami za piecami Indian, w obozie ich zabrzmiały głośne okrzyki zdziwienia. Old Surehand nadszedł, a my pomknęliśmy szybko poprzez zarośla. Ostrożność była teraz zbyteczna, bo nikt nie patrzył w naszą stronę.

Wrażenie, wywołane powrotem Old Surehanda, jeszcze nie przeszło, kiedy usadowiliśmy się w krzakach całkiem wygodnie. Wódz Tusaga-saricz siedział dzisiaj na tym samym miejscu, co wczoraj, i on jeden nie wstał na widok Old S,urehanda. Reszta wojowników otoczyła przybysza i zarzuciła go pytaniami, na które wcale nie odpowiadał.

Kiedy mu się wydało, że zajęliśmy już nasze stanowiska, rzekł donośnym głosem:

— Wojownicy Utajów zasypują mnie pytaniami, jak gdyby nie wiedzieli, że tylko ich wodzowi jestem gotów odpowiadać!

— Uff! Blada twarz ma słuszność! — potwierdził Tusaga-saricz. — Niech przyjdzie i usiądzie obok mnie!

Old Surehand posłuchał wezwania. Utajowie nie rozbroili go ani nie skrępowali, co powinni byli uczynić przede wszystkim. Widocznie byli pewni, że im nie umknie.

Teraz wywiązała się między wodzem a Old Surehandem następująca rozmowa:

— Old Surehand powie nam, czy był w Niedźwiedziej Dolinie.

— Byłem.

— Widziałeś ślady niedźwiedzia?

— Nawet wielu niedźwiedzi.

— A same niedźwiedzie także widziałeś?

— Tak.

— Ale nie walczyłeś z nimi?

— Nie zdarzyło się dotąd, żeby szary niedźwiedź, którego ślady odkryłem, nie musiał zginąć z mej ręki!

— Ale nie jesteś ranny!

— Nigdy nie dopuściłem do tego, żeby grizzly mnie dotknął. Na cóż bym miał strzelbę?

— Zwyciężyłeś zatem?

— Tak.

— Ale ja nie widzę skóry!

— Mówisz tylko o jednej skórze? Czy zapomniałeś, że poleciliście mi przynieść cztery?

— Uff! Słowa twoje są bardzo dumne! Masz więc cztery skóry?

— Tak.

— To być nie może! Trudno w to uwierzyć!

— Co Old Surehand powie, to zawsze jest prawdą!

— Jak mógłbyś sam przynieść tu cztery skóry szarych niedźwiedzi? Wszak to jest ciężar, którego jeden człowiek nie jest w stanie udźwignąć

— Synowie Utajów są widocznie bardzo słabi.

— Uff! Nie masz zapewne ani jednej skóry. Wiesz, że jesteś zgubiony, i dlatego starasz się nas rozwścieczyć!

— Poślij czterech wojowników o czterdzieści kroków stąd na skraj lasu i niech przyniosą to. co tam znajdą.

— Uff, uff! Czy naprawdę zdaje ci się, że możesz z nami żartować?

— Mówię poważnie!

— Uff! Dałem ci dwa dni czasu na wykonanie tego zadania. Jeśli ci się zdaje, że możesz z nas kpić, to ukarzę

cię i z tych dwu dni zrobię jeden. Dziś jeszcze każę ci życie odebrać!

— Nie trać słów, lecz posyłaj ludzi, gdzie ci wskazałem!

— Uff! Ta blada twarz oszalała chyba!

Wreszcie wódz posłał czterech wojowników i czekał na ich powrót w największym napięciu. W obozie panowała teraz zupełna cisza. Wtem rozległy się głośne okrzyki zdziwienia — pewna oznaka, że czerwonoskórzy nie na próżno wyszli z obozu. Utajowie zerwali się ponownie, patrząc w stronę, z której mieli nadejść ich towarzysze. Wreszcie ukazali się czterej wojownicy: każdy niósł jedną skórę szarego niedźwiedzia i złożył ją obok ogniska.

Indianie szaleli wprost ze zdumienia. Szarpali skóry na wszystkie strony i przypatrywali im się dokładnie. Najbardziej dziwili się oczywiście skórze starego niedźwiedzia, którego zabiliśmy w parowie. Na próżno szukali dziury od kuli, a gdy w końcu znaleźli znaki od dwu pchnięć nożem tuż obok siebie i zrozumieli, że zwierz nie został zastrzelony, lecz zakłuty, zamilkli i zwrócili szeroko otwarte oczy na białego myśliwca.

U Indian zabicie szarego niedźwiedzia uchodzi za czyn najbardziej bohaterski. Kto go dokona bez niczyjej pomocy, tego czczą przez całe życie, a nawet i po śmierci, ten w radzie wojowników zabiera głos zaraz po wodzu, choćby był najmłodszy ze wszystkich. Utajowie, o których mowa, nie odznaczają się wojowniczością, nic dziwnego przeto, że ocenili zwycięstwo nad niedźwiedziem znacznie wyżej, niżby to uczyniły inne znane z męstwa plemiona. Leżały przed nimi cztery skóry, w tym jedna z prawdziwego olbrzyma zabitego nożem. Żaden z Utajów nie byłby się odważył z nożem w ręku stanąć do walki z o wiele mniejszym niedźwiedziem. Zaległa cisza i wszystkie oczy zwróciły się na Old Surehanda.

Myśliwiec udał, że tego nie widzi, wyjął z kieszeni kawał pieczonego mięsa i zaczął je zajadać.

— Czy to mięso jednego z tych niedźwiedzi? — zapytał wódz.

— Tak — odpowiedział zapytany. — Do pieczenia potrzeba ognia!

— To rzecz znana!

— Czymże rozniecił Old Surehand ogień, skoro wypróżniliśmy jego kieszenie, nie zostawiając mu ani krzesiwa, ani patyczków potrzebnych do rozniecania ognia!

— Czerwoni mężowie — rzekł Old Surehand — nie znają potęgi bladych twarzy. Biały nie potrzebuje do wywołania płomienia ani krzesiwa, ani patyczków z siarką. Czy Tusaga-saricz nie słyszał nigdy, że stalą i kamieniem można rozniecić ogień?

— Owszem, słyszałem o tyra.

— Stalą jest ostrze mojego noża, kamienie ogniste znalazłem między skałami, a próchna dość w każdym starym drzewie.

— Uff! To prawda! Już myślałem, że Old Surehand spotkał blade twarze, które mu dały ognia. Przypomniałem sobie jednak, że blade twarze boją się wchodzić do Niedźwiedziej Doliny. Powiedz nam teraz, jak wyszukałeś te cztery niedźwiedzie?

— Oczyma!

— A jak je zabiłeś?

— Nożem i strzelbą.

— A jak przyniosłeś skóry?

— Mam silne barki i ręce!

— Ale czterech tak ciężkich skór nikt nie uniesie ?

— Któż twierdzi, że przeniosłem je wszystkie naraz? — Uff! To prawda! Zobaczymy, czy jeszcze jutro zabijesz

niedźwiedzia...

— Jeszcze jednego? Jak to?

— Bo tego małego nie można brać w rachubę.

— Nie zgadzam się z tobą. Przyniosłem cztery skóry, jak było umówione.

— O tym ja rozstrzygam! A ty zamilknij! Old Surehand odpowiedział spokojnie:

— Czy rzeczywiście sądzisz, że jestem człowiekiem, któremu można nakazać milczenie? Spełniłem narzucone mi warunki i jestem wolny!

— O, wcale nie! Mały niedźwiedź nic nie znaczy, a gdybym go nawet przyjął, to, ocaliłbyś tylko życie.

— I wolność!

— Czy pójdziesz z nami, żeby pojąć u nas skwaw?

— Nie.

— W takim razie zostaniesz w niewoli!

— Dziwię się, że ośmielasz się mówić do mnie w ten sposób. Kto bez obawy zszedł do Kui-erant-yuaw i przyniósł cztery skóry szarych niedźwiedzi, ten nie obawia się czerwonych ludzi! To prawda, że obiecaliście mi za cztery skóry tylko życie, ale ja przyniosłem sobie z doliny także wolność.

— Mów wyraźnie, jeśli moje ucho ma rozumieć twoje słowa!

— Dobrze! Pozostawiam ci do wyboru: Old Surehand będzie albo waszym przyjacielem, albo wrogiem. Wykupiłem swoje życie, a teraz żądam wolności. Jeśli mi ją dasz dobrowolnie, zostanę na zawsze przyjacielem twojego szczepu, jeśli nie — gorzko tego pożałujesz!

— Nie dam ci wolności! Przestrzegam cię zarazem, żebyś nie ufał zbytnio nożowi i strzelbie! Tylko Old Shatterhand może strzelać nieustannie bez nabijania swej

czarodziejskiej broni. Jemu nie oprze się ani pięćdziesięciu, ani stu wojowników.

— Czy widziałeś już kiedy tę strzelbę?

— Nie.

— To proś Wielkiego Ducha, żebyś jej teraz nie zobaczył!

— Dlaczego mi grozisz?

— Ponieważ ta broń może się zwrócić na ciebie i twoich wojowników i zadać śmierć tym, którzy się ośmielają sprzeciwiać woli Old Shatterhanda.

— Uff! Co ty wiesz o tej woli?

— Old Shatterhand chce, żebym odzyskał wolność!

— Czy ci to powiedział?

— Tak. On i Winnetou wiedzą, że pochwyciliście mnie podstępnie i nakazują ci puścić mnie wolno.

— To ci się chyba śniło!

— Tak jest naprawdę! Zwróć głowę w lewo!

Nie omówiliśmy z Old Surehandem sposobu rozpoczęcia akcji, bo to zależało od wielu niemożliwych do przewidzenia okoliczności. Teraz ja i Winnetou uznaliśmy jego wezwanie za hasło i podnieśliśmy się z ziemi. Skierowawszy sztucer na wodza Utajów, puściłem przodem Winnetou, który bez trwogi, jak gdyby znajdował się wśród najlepszych przyjaciół, przystąpił do starego Indianina, podsunął mu srebrem okutą rusznicę pod nos i zapytał:

— Czy wiesz, co to za strzelba i jak ją nazywają?

Tym razem znowu się pokazało, jakie wrażenie wywierał na wszystkich dumny Apacz. Nikt nie odważył się chwycić za broń. Pojawienie się nasze zaskoczyło i przeraziło Utajów niezmiernie, a wódz zapomniał nawet zerwać się z ziemi i odpowiedział z lękiem:

— To... to... srebrzysta rusznica Winnetou!

— Jestem wodzem Apaczów, a tu stoi mój biały brat. Old Shatterhand, ze swoją czarodziejską strzelbą. Za nami są jeszcze inni wodzowie czerwonych plemion i waleczne blade twarze. Wszyscy oni wymierzyli w waszą stronę swoje strzelby. Powiedz wojownikom, żeby nie poruszyli ręką ani nogą, gdyż kto poważy się to uczynić, dostanie w tej chwili kulą w łeb!

Z prawdziwą rozkoszą oglądaliśmy skutek tych słów. Żaden z Indian nie wykonał najmniejszego ruchu. Wszyscy stali jak posągi. Wódz wlepił we mnie wylękły wzrok i odpowiedział Apaczowi błagalnym tonem:

— Widzę, że jesteś Winnetou, i wierzę, że ta blada twarz to Old Shatterhand. Nie chcę, żeby jego strzelba czarodziejska była na mnie zwrócona. Powiedz mu, żeby ją opuścił!

— Old Shatterhand nie przyjmuje od nikogo rozkazów, nawet ode mnie, choć jestem jego przyjacielem i bratem!

— To poproś go!

— Nie usłucha. Gotów tylko wówczas spełnić prośbę, jeśli wyjdzie z ust jego brata, Old Surehanda.

Na to Tusaga-saricz zwrócił się do swego jeńca: — Poproś Old Shatterhanda, żeby już nie mierzył do mnie ze strzelby.

— Przedłożę mu tę prośbę tylko wtedy, gdy wszystkie moje życzenia spełnisz szybko i bez oporu — odpowiedział Old Surehand.

— Czego żądasz ode mnie?!

— Wolności!

— Nie mogę jej dać!

— Pshaw! Old Shatterhandowi wystarczy dotknąć cyngla, a będziesz trupem. Właściwie jestem już wolny, bo któż mnie zatrzyma? Pytam się ciebie tylko dlatego, ażeby

ci dać sposobność okazania dobrej woli. Powiedz zatem: czy jestem wolny?

— Jak mogę cię puścić? Wszak zabiłeś nam dwu wojowników!

— Wódz Utajów nie zdaje sobie widocznie sprawy z tego, kto tu ma rozkazywać, a kto słuchać — rzekł Winnetou. — Co to za rzemienie widzę u stóp mego brata Old Surehanda?

— Byłem nimi do dziś skrępowany — brzmiała odpowiedź.

— Związ nimi wodzowi Utajów nogi i ręce! Tusaga-saricz chciał zerwać się z ziemi, lecz wtedy

ja odwiodłem z trzaskiem kurek sztucera.

— Stój! — upomniał go Winnetou. — Jeszcze jeden taki ruch, a kula przeszyje twoje ciało! Posłuchajcie mnie teraz, wszyscy mężowie Utajów! Ze słów, które tutaj padną, nie cofniemy ani jednego! Jesteście naszymi jeńcami, ale jutro otrzymacie z powrotem broń i wolność i będziecie mogli pójść, dokąd zechcecie, jeśli dzisiaj będziecie nam posłuszni. Schwytaliście, skrępowali i włóczyli za sobą naszego brata Old Surehanda. Zostawiliście mu wybór między śmiercią a walką z niedźwiedziami i to musicie odpokutować. Wyznaczamy wam łagodną pokutę: będziecie za to przez jedną noc jeńcami. Kto na to przystanie, postąpi rozsądnie. Kto dobroć naszą odepchnie, przypłaci to życiem. Howgh!

Nie padło ani jedno słowo sprzeciwu, dodałem więc:

— I Old Shatterhand przyrzeka Utajom, że jutro rano będą wolni, jeśli teraz pozwolą się skrępować. Najpierw wodzowi nałożymy pęta. Hammerdull, Holbers, wy się na tym rozumiecie! Howgh!

Dziwna rzecz, jak szczególny skutek wywiera takie spokojne, pewne siebie wystąpienie! Sława naszych imion i

strach przed moją rzekomo czarodziejską strzelbą zrobiły swoje. Wódz się nie bronił, kiedy mu nakładano rzemienie, a jego podwładni musieli oczywiście pójść za jego przykładem. Gdy ostatni został skrępowany, opuściłem sztucer. Przyznaję, że porządnie bolały mnie już ręce. Zaraz potem Old Surehand odebrał swoje rzeczy. Ucieszył się, że niczego nie brakuje, i oświadczył:

— Utajowie zasłużyli właściwie na dobrą nauczkę.. Tego, że zabiłem im dwu ludzi, nie mogą mi brać za złe, gdyż broniłem własnego życia. Ale mimo wszystko uważam rachunki nasze za wyrównane. Zgadzam się, żeby sobie jutro poszli swoją drogą.

Indianie od chwili ich skrępowania zachowywali zupełne milczenie. Ani nie rozmawiali ze sobą, ani wódz nie zwrócił się do nas choćby jednym słowem. Było nam to zresztą na rękę, gdyż potrzebowaliśmy wypoczynku wobec tego, że poprzedniej nocy spaliśmy tak mało. Aby oświetlić obóz, rozniecilismy jedno wielkie ognisko, przy którym przyrządziliśmy sobie wieczerzę z mięsa niedźwiedziego. Po wieczerzy wyznaczyliśmy porządek wart. Stanąłem pierwszy na straży, ponieważ z powodu mojej rany chciałem potem spać dłużej jednym ciągiem.

Wartowników dobraliśmy tak, jak pewnie nigdy tego nie czyniono na Dzikim Zachodzie. Oto jeńcy musieli także czuwać. Razem z naszymi było tam sześćdziesiąt koni, które postanowiliśmy powierzyć pieczy Utajów — co godzinę więc dwu z nich rozwiązywano. Nie było to dla nas niebezpieczne, bo jeńcy nie mieli broni, a w dodatku wiedzieli, że rano odzyskają wolność, przeto nie obawialiśmy się żadnej niespodzianki z ich strony.

Kiedy reszta towarzyszy udała się na spoczynek, Old Surehand usiadł obok mnie i rzekł:

— Pozwólcie, że będę z wami czuwał! Spałem przez całą poprzednią noc i jestem rześki jak ryba w potoku. Radość ze

spotkania z wami nie pozwala mi usnąć. Opowiedzieliśmy sobie wprawdzie niejedno już w południe, ale pozostało jeszcze wiele do omówienia w cztery oczy. Byliście u Wallace a w Jefferson City. Czy sami?

— Oczywiście, że sam — odparłem.

— Byliście jego gościem?

— Zapraszał mnie, lecz odmówiłem.

— Dlaczego?

— Aby nie mówić o was za dużo. Chciałem dowiedzieć się od Wallace a tylko tego, jaki jest cel i kierunek obecnej waszej podróży.

— Dziękuję wam, sir!

— Czyż mogliście przypuścić, że stawiałbym pytania, do których miałem prawo jedynie na wypadek waszej śmierci?

— Tak nie myślałem! Ale Wallace mógł się wam zwierzyć. Człowiek chętnie otwiera przed wami serce. Sam tego doświadczyłem.

— Zapewniam was, że nie padło ani jedno słowo, które by się odnosiło do waszej przeszłości.

— Wierzę wam, Mr Shatterhand. Bądźcie pewni, że gdyby mi wolno było mówić, wy pierwsi posiedlibyście tę tajemnicę. Ale okoliczności zmuszają mnie do milczenia.

— Wiem, że darzycie mnie zaufaniem, dlatego pozwolę sobie postawić jedno pytanie.

— Słucham!

— Czy istotnie musicie milczeć tak bezwzględnie?

— Teraz jeszcze nie wolno mi nic mówić, mogą jednak nastąpić wydarzenia, które mi na to pozwolą.

— Hm! Jestem starszy i zapewne bardziej doświadczony od was, dlatego czuję się obowiązany uczynić wam pewną uwagę. Znam wypadki, kiedy milczenie, milczenie nakazane słowem honoru, było grzechem i zbrodnią. Spodziewam się,

że nie jesteście niczym podobnym zobowiązani do zachowywania tajemnicy.

— Jestem czysty i wolny od wszelkiej winy.

— Czy wasza obecna podróż jest w związku z tą tajemnicą?

— Wszystkie moje wędrówki do niej się odnoszą.

— Zaczynam się domyślać, że czegoś szukacie. Chcecie wnieść światło w jakieś nieprzeniknione ciemności. Weźcie teraz pod uwagę, jak długo przebywałem w Stanach i na Dzikim Zachodzie. Niejedno widziałem, wiele słyszałem. Może mógłbym wam dać jakąś wskazówkę, gdybym choć małą wzmiankę otrzymał z waszej strony.

— To niemożliwe, Mr Shatterhand. To, co leży mi na sercu, jest dla was zbyt dalekie i obojętne.

— A gdyby było inaczej? Gdybym właśnie coś o tym przypadkiem wiedział?

— Wierzcie mi, że tak nie jest.

— A jednak chciałbym wam dopomóc do zrzucenia ciężaru, który was przygniata.

Old Surehand odsunął się szybko ode mnie i rzekł niemal szorstko:

— Mr Shatterhand, ja nie dźwigam żadnego ciężaru. Proszę was, nie nalegajcie więcej! Nie uda wam się wydobyć ze mnie ani słowa!

— Co znowu, przyjacielu! Nigdy nie miałem zamiaru wyłudzać od was czegoś, co chcecie zachować dla siebie. Z serdecznego współczucia, a nie przez ciekawość dotknąłem waszej tajemnicy. Zapewniam was o tym i spodziewam się, że mi wierzycie.

— Wierzę wam. Pragnę jednak teraz udać się już na spoczynek, dlatego życzę wam dobrej nocy, Mr Shatterhand!

— Dobranoc!

Old Surehand wyszukał sobie wygodne miejsce i położył się spać. Dziwiło mnie jego postępowanie. Jak mógł, znając mnie tak dobrze, wziąć moje szczere współczucie za natrętną ciekawość i odsunąć się ode mnie, ,gdy ofiarowałem mu pomoc? Czułem się mocno dotknięty, ale stłumiłem w sobie rozdrażnienie. Tego, kto nosi w sercu tajemnicę, może bardzo gorzką, nie można nazwać szczęśliwym, a każdego nieszczęśliwego należy oszczędzać i usprawiedliwiać. Przebaczyłem więc przyjacielowi, że mnie tak szorstko odtrącił.

Kiedy czas niego czuwania się skończył, zbudziłem Apanaczkę, mego następcę. Mimo wielkiego zmęczenia długo jeszcze rozmyślałem o tej tajemnicy, której nie wolno mi było badać. Zasypiając miałem jeszcze przed oczyma wykuty w skale grób i słyszałem nad nim głos kobiecy przyzywający wawę Derrika. Potem śniły mi się jakieś postacie walczące wokół tego grobu, kiedy jednak przebudziłem się rano, nie mogłem przypomnieć sobie ani jednej.

XII. POD CZARCIĄ GŁOWĄ

Jechaliśmy wzdłuż wschodnich zboczy Pa-zawere--payew, czyli Góry Zielonej Wody. Przytłaczające wrażenie robiły na nas te niebotyczne, ciągnące się milami ściany granitowe z dziwnie ukształtowanymi bastionami. Zdawało się, że przebyć ich niepodobna. Spienione, srebrne strumienie szumiały dokoła nas, bogato cieniowana zieleń lasów wspinała się ku graniom i turniom, olbrzymie stopnie skalne piętrzyły się jedne ponad drugimi, dźwigając na sobie potężne jodły.

Jechaliśmy wśród tych wspaniałych widoków coraz wyżej i wyżej. Chcieliśmy dotrzeć dzisiaj do Pa-zawere, Zielonej Wody, samotnie położonego górskiego jeziora, o którym tyle mówią indiańskie podania. Tam chcieliśmy przenocować, aby nazajutrz rano zejść do „parku” San Luis, w którym spodziewałem się rozwiązania tylu zagadek.

Po wypadkach w Niedźwiedziej Dolinie, stosownie do danego słowa, puściliśmy wolno wszystkich Utajów. Mając przy sobie Old Surehanda, nie potrzebowaliśmy spieszyć się, aby go doścignąć, toteż nie wyruszyliśmy przed Indianami, lecz posłaliśmy ich przodem, lepiej bowiem mieć nieprzyjaznych ludzi przed sobą aniżeli za sobą.

Utajowie byli wrogo do nas usposobieni, chociaż nie mogli się chyba uskarżać na nasze postępowanie. Żadnemu z nich nie spadł włos z głowy, żadnego nie urażono ani jednym słowem. Mimo to wódz, kiedy mu nad ranem zdjęto więzy, rzekł:

— Old Surehand nie wyrównał z nami rachunków. Za skóry obiecaliśmy mu darować tylko życie, a nie wolność. Wydarliście go podstępnie z naszych rąk.

— Uff! Old Shatterhand i Winnetou byli zawsze przyjaciółmi czerwonych ludzi. Nie uczyniliśmy wam nic złego, chociaż byliście naszymi jeńcami, chcieliśmy nawet wypalić z wami fajkę pokoju.

— Obejdziemy się bez waszej fajki pokoju!

— W takim razie będziecie wrogami nie tylko Old Surehanda, lecz także naszymi, i to bez żadnej przyczyny.

— Czy wódz Apaczów wierzy istotnie, że nie mamy do tego powodu? Czy nie napadł i nie pojmał nas, chociaż z naszej strony nie spotkało go nic złego?

— Tego nie można nazwać pojmaniem. Skrępowaliśmy was tylko na jedną noc dla naszego bezpieczeństwa, a teraz puściliśmy was wolno. .

— Pojmanie jest pojmaniem. Między nami a wami pozostanie już na zawsze nieprzyjaźń!

— Niech się stanie wedle woli wodza Tusagi-saricza. Wódz Apaczów, Winnetou, nie narzuca się nikomu z przyjaźnią, a także nie boi się swoich nieprzyjaciół. Niech Utajowie odjeżdżają! Howgh!

Czerwonoskórzy dosiedli koni i zniknęli w gęstwinie drzew. Nie podążyliśmy zaraz za nimi, lecz zaczekaliśmy do południa, żeby nas nieco wyprzedzili. Obrali kierunek, w którym i my musieliśmy się udać, co wcale nie było dla nas dogodne.

— Czy myślicie, Mr Shatterhand, że zamierzają na nas się zemścić? — zapytał mnie Apanaczka.

— Tak sądzę — odpowiedziałem.

— W takim razie musieliby jechać za nami, a nie przed nami!

— Uczynią to niebawem. Założę się, że przy najbliższej sposobności postarają się o to, żeby ich ślad zaginął.

Miałem słuszność. Następnej nocy szalała burza aż do rana. Gdyśmy potem szukali tropu Utajów, nie znaleźliśmy

nic. Zapewne skorzystali wtedy ze sposobności, aby skręcić w bok.

Old Surehand podczas następnych dwóch dni był ciągle milczący, a zwłaszcza unikał rozmowy ze mną. Domyśliłem się, że walczy z sobą, czy ma być wobec mnie szczery, czy też dalej ukrywać swoją tajemnicę. Nie próbowałem wcale wpływać na niego. Był mężczyzną, musiał więc sam dać sobie z tym radę. Wreszcie zorientowałem się, że postanowił nadal milczeć. Uważał jednak za stosowne wspomnieć coś o naszej ostatniej rozmowie, bo kiedy jechał przez krótki czas obok mnie, powiedział:

— Czy obraziłem was podczas naszej rozmowy w „parku”?

—. Nie — odrzekłem. — Szukacie prawdy i walczycie o nią. Pozwólcie, że zapytam was o jedną rzecz: czy modlicie się codziennie?

— Już bardzo dawno tego nie czyniłem.

— A więc zacznijcie teraz na nowo! Modlitwa wiele może zdziałać, jeśli płynie z serca. Chrystus powiada: „Proście, a będzie wam dano; szukajcie, a najdziecie; kołaczcie, a będzie wam otworzono”. Dziecko wyjawia ojcu swoje życzenia. Czyż dziecię ziemskie nie powinno Ojcu Niebieskiemu okazać w ten sposób swojej ufności? Czy ojciec nie wysłucha prośby syna, jeśli może ją spełnić? A czyż miłość i wszechmoc Boga nie stoi nieskończenie wyżej od miłości i mocy ludzkiej?

Musieliśmy przerwać rozmowę, gdyż trzeba było przeprawić się przez wodę. Była niezbyt głęboka, a tak czysta, że widzieliśmy dokładnie dno. Zauważyliśmy ślady kopyt, lecz nie mogliśmy z nich odczytać, ile koni tamtędy przeszło; w każdym razie było ich więcej niż cztery lub pięć. Niepodobna było również określić, kiedy te odciski powstały, potok bowiem miał mały spad i nie mógł ich zniszczyć w krótkim czasie. Odtąd zaczęliśmy zwracać większą uwagę

na ślady po drodze, czego nie czyniliśmy w ostatnich czasach.

Niebawem jednak wjechaliśmy w las, gdzie znowu nie mogliśmy szczegółowo rozglądać się za śladami, bo to by nam zabrało zbyt wiele czasu.

Wreszcie dotarliśmy na szczyt Pa-zawere-payew, pokryty gęstym lasem; przez zbite korony drzew przedzierały się nieliczne promienie słońca. Był to dziewiczy bór iglasty, który mógł wyrosnąć tylko na tej wysokości.

Słońce zapadało już po drugiej stronie góry, robiło się ciemno. Musieliśmy popędzać konie, aby przed nocą jeszcze dotrzeć do Zielonej Wody. Słońce skryło się już, ale było jeszcze dość światła, aby dojrzeć jezioro, choć całego nie mogliśmy objąć okiem, z powodu jego rozmiarów. Nie było teraz, na przekór swej nazwie, zielone, lecz w zapadającym mroku prawie czarne. Ze wszystkich stron otaczał je las.

Spuściliśmy się na wschodni kraniec jeziora. Południowy brzeg tworzył łuk, nie urozmaicony żadną zatoką, a z północnego wysuwał się gęsto zalesiony półwysep. Aby się tam dostać, musielibyśmy jechać jeszcze dłuższy czas, toteż rozbiliśmy obóz tam, gdzieśmy dotarli do brzegu.

Hammerdull i Holbers chcieli nazbierać chrustu i rozpalić ognisko, ale Apacz zabronił im tego.

— Jeszcze nie teraz! Ogień odbija się w wodzie i widać go z bardzo daleka, a przecież dzisiaj widzieliśmy ślady koni. W pobliżu mogą być ludzie, którzy nie powinni nic o nas wiedzieć. Zaczekajmy, dopóki się nie ściemni. Potem zobaczymy, czy będziemy mogli rozpalić ogień i zostać tutaj.

Puściliśmy konie wolno, a sami pokładliśmy się na ziemi. Ciemność zapadła szybko i wkrótce okazało się, że ostrożność Winnetou była uzasadniona: na lesistym półwyspie zamigotał blask ogniska. A więc byli tam ludzie. W kilka minut potem po drugiej stronie jeziora, także daleko

od nas, zajaśniało jeszcze jedno, ledwo dostrzegalne światełko. Obozujący na półwyspie nie mogli go jednak widzieć.

Wobec tego musieliśmy się posilić zimnym mięsem. Po kolacji wykąpaliśmy się w jeziorze, a następnie postanowiłem zbadać, kim byli owi ludzie przy ogniskach. Oczywiście podjął się tego Winnetou, który zgodził się wziąć mnie z sobą dopiero wtedy, gdy zapewniłem go solennie, że rana wcale mi nie dokucza.

Oddawszy strzelby towarzyszom puściliśmy się w drogę, niezbyt wygodną po nocy. Najpierw weszliśmy głęboko w las, a potem ruszyliśmy wzdłuż północnego brzegu jeziora. Upłynęła godzina, zanim dostaliśmy się do półwyspu. Od razu poczuliśmy woń dymu, a w kilka chwil potem spostrzegliśmy ognisko.

Przypadliśmy do ziemi i zaczęliśmy się czołgać. Wkrótce mieliśmy obóz tuż przed sobą i zobaczyliśmy... Old Wabble a i trampów, Obecność ich w tym miejscu nie była dla nas niespodzianką. Był z nimi przecież Thibaut znający drogę wiodącą tutaj, chociaż w tej chwili nie widzieliśmy w obozie ani jego, ani Indianki. Dawny czarownik Komanczów musiał się widocznie pożegnać już z trampami. Nasz pobyt w kuźni i w Niedźwiedziej Dolinie pozwolił im wyprzedzić nas o kilka dni. Wszyscy siedzieli dokoła ogniska, tylko stary Wabble stał oparty o drzewo.

Trzymał rękę na temblaku, zrobionym z kawałka skóry, i wyglądał przerażająco. Jego długie i chude ciało schudło jeszcze bardziej, a twarz zapadła się tak, że była podobna do trupiej czaszki. Czupryna, utrzymywana dawniej starannie, lepiła się teraz od brudu. Był to już tylko szkielet, a obdarte ubranie wisiało na nim jak na kołku. Pożywienia z pewnością mu nie brakowało, a więc tylko zgruchotana ręka spowodowała te zmiany w jego wyglądzie. Głos jego także nie był ten sam, co pierwej. Brzmiał głucho i drżał, jak gdyby starcem trzęsła febra.

Mówił właśnie, kiedy usadowiliśmy się w naszej kryjówce. Leżeliśmy dość blisko, aby wszystko usłyszeć, lecz musieliśmy natężać uwagę, chcąc zrozumieć jego bełkotliwe słowa.

— Czy pamiętasz jeszcze, psie, co przyrzekłeś mi w Helmers Home? — zapytał.

Spojrzenie głęboko zapadłych oczu starego cowboya zwróciło się w stronę, gdzie na ziemi leżało coś podobnego do wydłużonego pakunku. Czyżby to był człowiek? A jeśli tak, to kto?

— Zapamiętałem sobie dobrze twoje groźby — mówił dalej Old Wabble. — Przestrzegałeś mnie, żebym się miał na baczności przed tobą, poprzysiągłeś mi zemstę za otrzymane baty. Przypuszczam, że nie zapomniałeś tych słów!

To mogło się odnosić tylko do „generała”, który widocznie został teraz pojmany przez Old Wabble a! Zapewne sam odbył drogę aż tutaj, gdyż jego najemnicy nie mogli mu towarzyszyć, i wpadł w ręce „króla cowbo-yów”.

— Nie zapomniałem — odpowiedział „generał” gniewnie. — To ty mnie obiłeś na rozkaz tamtych łotrów.

— Dostałeś pięćdziesiąt batów! Jestem z tego bardzo rad, gdyż zdradziłeś mnie przed Winnetou i Old Shatterhandem donosząc im, że brałem udział w porwaniu strzelb. I ty się chcesz mścić, ty psie, godzisz na moje życie ?

— Tak, tak, zgładzę cię ze świata!

— Mylisz się! Właśnie ja tego dokonam! Ponieważ mówisz otwarcie, czego mam się po tobie spodziewać, przeto i ja odpłacę ci szczerością, gdyż przysługa warta przysługi; to jasne! Przede wszystkim dostaniesz taką samą porcję kijów jak w Helmers Home, a rano zginiesz!

— Nie odważysz się! Mam wielu pomocników, którzy zemściliby się na tobie.

— Któż to jest?

— To moja rzecz!

— Pshaw! Mówisz to dlatego, żeby mnie nastraszyć siebie przez to ocalić. Ale Old Wabble nie da się wywieść w pole! Wiemy dobrze, ilu masz pomocników i kim oni są.

— Nic nie wiesz, nic!

— Oho! Jest tu z nami Shelley, któremu wyjawiliście wszystko w Topece. Chcieliście go zabrać z sobą, lecz potem zostawiliście go, ograwszy do cna w karty. Masz zaledwie sześciu drabów, których zostawiłeś przy Kaskadzie Pian, aby w tajemnicy przed nimi poszukać złota. Nas nie otumanisz! Jesteś tu sam i nikt ci nie pomoże!

— Mylisz się, stary łotrze! Miej się na baczności, bo za wszystko, co mi uczynisz, zapłacisz dziesięciokrotnie!

— Zowiesz mnie łotrem, ty opryszku? — wybuchnął staruch z wściekłością. — Przypomnę ci za to Helmers Home! Dostaniesz pięćdziesiąt kijów, jak wówczas, ale mocniejszych, gdyż wtedy udawałem tylko wielki rozmach. Czy zgadzacie się, chłopcy, żeby mu je wyliczyć, i to natychmiast?

— Owszem, niech dostanie pięćdziesiąt batów, byle słonych! — zawołał Shelley. — Za to, że mnie tak oskubał w Topece!

Reszta trampów przystała na propozycję starego z radością, a jeden z nich dorzucił:

— Zarazem wprawimy się na wypadek schwytania Winnetou, Old Shatterhanda i jego ludzi, którzy powinni dostać dziesięć razy tyle batów, za to, że nam zostawili głupią kartkę zamiast bonanzy!

Nie chcieliśmy być świadkami sceny, która miała nastąpić, i wycofaliśmy się z półwyspu. Zamierzaliśmy

jeszcze zakraść się do drugiego ogniska.

— Co mój brat postanowił w sprawie bladej twarzy, zwanej „generałem”? — zapytał mnie Apacz po drodze.

— Pojmać go.

— W takim razie Old Wabble będzie musiał wydać jeńca. Rano mają go zamordować, trzeba więc urządzić napad jeszcze dziś w nocy.

Ruszyliśmy od drzewa do drzewa kierując się w stronę drugiego ogniska. Droga, która nas czekała, była dwa razy dłuższa od poprzedniej. Nie szliśmy jeszcze godziny, kiedy usłyszeliśmy przed sobą szmer, jak gdyby ktoś potrącił i złamał suchą gałąź. Ujęliśmy się zaraz za ręce i pomknęliśmy daleko w bok. Tam padliśmy na ziemię i przyłożyliśmy do niej ucho. Jacyś ludzie zbliżali się powoli i ostrożnie. Szli stamtąd, dokąd my zmierzaliśmy właśnie.

— Uff! — rzekł Winnetou, kiedy nas minęli. — Po ich chodzie poznaję, że to Indianie. Skąd idą i dokąd dążą? Czy od tamtego ogniska do trampów? A może udają się na wschodni brzeg jeziora, gdzie my obozujemy? Nasi towarzysze mogą się znaleźć w niebezpieczeństwie.

— Czy radzisz mi wrócić do nich?

— Spiesz jak najprędzej i nie zatrzymuj się przy trampach! A ja zbadam sytuację.

— W takim razie Indianie znajdą się między tobą a nami. Twoja śmiałość może się źle dla ciebie skończyć.

— Pshaw! Winnetou nie zginie, jeśli zna grożące mu niebezpieczeństwo. Niech bracia moi nie śpią, dopóki się nie zjawię.

Zniknął w lesie, a ja zawróciłem do naszego obozu. Droga moja była teraz niebezpieczniejsza niż dotychczas, gdyż mogłem się natknąć na czerwonoskórych. Przypuszczałem wprawdzie, że celem ich jest półwysep, ale mimo to wszedłem głębiej w las i posuwałem się bardzo

ostrożnie. Wreszcie, oblepiony żywicą, z podrapaną twarzą i rękoma, przybyłem do obozu i opowiedziałem towarzyszom, cośmy razem z Winnetou widzieli i słyszeli. Potem kazałem utworzyć łańcuch wartowników wokół naszego obozowiska. Było to jedyne zarządzenie ochronne, które w danych warunkach można było wydać.

Siedzieliśmy na ziemi ze strzelbami w rękach, kiedy zabrzmiało od strony półwyspu przejmujące, okropne wycie. To Indianie, którzy przeszli obok nas w lesie, rzucili się na trampów. Nie padł przy tym ani jeden strzał. Widocznie biali pozwolili się bez oporu pokonać. Potem znów zapanowała głęboka cisza.

Upłynęła godzina i na półwyspie zgasło ognisko; drugie zaś, dalej położone, płonęło jeszcze. Może po dwu godzinach usłyszałem głośne kroki. Mógł to być tylko Winnetou, gdyż ktoś inny byłby się skradał. Rzeczywiście, zjawił się po chwili, tak samo podrapany jak ja.

— Moi bracia nie potrzebują się niczego obawiać — uspokoił nas. — Nieprzyjaciel aż do rana nie pokaże się tutaj.

— Czy mój brat był przy drugim ognisku? — zapytałem.

— Byłem — odpowiedział.

— Czy obozowali tam Indianie, z którymi spotkaliśmy się w lesie?

— Tak.

— Czy zdołałeś się dowiedzieć, do jakiego szczepu należą?

— Tak. To są Utajowie z wodzem Tusaga-sariczem!

— Zdumiewające! Widocznie spotkali się z „generałem”, który ich pozyskał dla swoich planów. Przypuszczam, że zna te strony z dawnych czasów, dlatego mógł nas tak znacznie wyprzedzić.

— Old Shatterhand odgadł. Dwaj wartownicy pilnujący koni, których podsłuchałem, rozmawiali o tym. „Generał” poszedł na półwysep, a ponieważ nie wracał, przeto prawie cały oddział ruszył za nim.

— Czego szukał „generał” ?

— Tego nie powiedział Indianom. Nie chciał też nikogo zabrać z sobą. Utajowie powzięli jakieś podejrzenie i udali się za nim, skoro zapadły ciemności. Ujrzawszy go pojmanego przez trampów, wpadli na nich i uwolnili go.

— Czy Winnetou był tam drugi raz?

— Tak, lecz po walce zgaszono ogień.

— Dlaczego?

— Tego nie wiem.

— Nic więc już nie zdołałeś zobaczyć?

— Ani zobaczyć, ani usłyszeć.

— Hm, co tu robić? „Generała” musimy bezwarunkowo pochwycić.

— Nie uda nam się to w ciemnościach. Musimy zaczekać do świtu, nic innego nam nie pozostaje.

— Pójdziemy więc spać, lecz przedtem ustawimy podwójne straże!

— Winnetou się zgadza. Znajdujemy się w miejscu niebezpiecznym, gdzie nie zawadzi zbytnia ostrożność. Nie będziemy też spali tutaj, nad wodą, lecz nieco głębiej, w lesie.

Nazajutrz obudziłem się późno. Już chciałem robić towarzyszom wymówki, że mi pozwolili tak długo spać, ale Winnetou uspokoił mnie zapewnieniem:

— Mój brat nic przez to nie stracił. Ja stałem ostatni na warcie i skoro tylko rozwidniło się trochę, poszedłem na zwiady. Przekonałem się, że niepodobna napaść na Utajów na półwyspie i odebrać im jeńców. Musimy się dowiedzieć,

dokąd pojadą, wyprzedzić ich potem, aby wyszukać miejsce odpowiednie na zasadzkę. Mój brat wie, że ten odnosi zwycięstwo, kto z góry zdoła oznaczyć miejsce walki.

Rada jego była zupełnie słuszna, dlatego zostaliśmy w obozie. Winnetou poszedł znowu śledzić Indian, co w biały dzień było rzeczą równie trudną, jak niebezpieczną.

Czekaliśmy z godziny na godzinę. Półwysep był zbyt daleko, aby można było dojrzeć, co się tam dzieje. Tylko blask ognia mógł się wczoraj do nas przedostać. Winnetou wracał do nas kilkakrotnie, aby nas uspokoić. Nie mógł nam donieść nic ponadto, że Indianie jeszcze nie odeszli, chociaż połączyła się z nimi reszta oddziału wraz z końmi. Potem zawiadomił nas, że słyszał odgłos toporów. Utajowie ścinali widocznie drzewo tomahawkami, lecz na co, tego nie mogliśmy odgadnąć. Wreszcie, kiedy już zbliżało się południe, doniósł nam, że z odległości może stu kroków widział, jak cały oddział odjechał.

— Czy widziałeś wszystkich odjeżdżających?

— Nie, gdyż między mną a nimi było za wiele drzew.

— Jeńcy byli oczywiście z nimi?

— Z tej odległości trudno mi było odróżnić czerwonych ludzi od białych, a bliżej nie mogłem podejść.

— W którym kierunku odjechali?

— Na północny zachód. Nasza droga także tam prowadzi.

— Hm! Musimy oczywiście przejeżdżać obok półwyspu. Dla pewności zbadamy jego teren.

Wsiedliśmy na konie i znalazłszy się na wysokości półwyspu odszukaliśmy ślady Utajów. Pokazało się, że istotnie odjechali. Wobec tego podążyliśmy spokojnie na miejsce, gdzie obozowała najpierw banda trampów z Old Wabble'em, a potem Indianie.

Trawa i mech były w tym miejscu zdeptane, jak zwykle na obozowisku. Ślady czerwonoskórych prowadziły w różne strony. Rozdzieliliśmy się, by im się przypatrzyć, i wkrótce usłyszeliśmy głos Old Surehanda:

— Chodźcie tu, szybko, chodźcie wszyscy! Tu leżą! Prędzej, prędzej!

Gdy przybiegliśmy do niego, straszny widok przedstawił się naszym oczom. Pod drzewami leżeli wszyscy członkowie bandy Coxa bez czupryn na skrwawionych głowach. Zakłuto ich i oskalpowano!

Zdjęła nas groza. Byli to wprawdzie nicponie, gotowi do wszelkiej zbrodni, jednakże los, który ich spotkał, był okropny.

Aby dwudziestu ludzi tak szybko i pewnie pokonać, czerwonoskórzy musieli podkraść się do nich z niezwykłą zręcznością. Zabici byli już sztywni, z czego wynikało, że rozprawiono się z nimi jeszcze wczoraj wieczorem.

Ale po co Utajowie zatrzymali się tu tak długo? Co to być mogło? Teraz przypomniałem sobie Old Wabble a, którego trupa nie było pomiędzy trampami. „Generał” zabrał go widocznie, aby wywrzeć na nim szczególnie okrutną zemstę.

Hammerdull wskazał na zwłoki i rzekł:

— Popatrz, Pitt, tu leży Izajasz i Joel. To przecież twoi krewniacy, nieprawdaż, stary szopie? Czy zostawisz ich tak tutaj?

— Nie chciałbym tego uczynić ze względu na ich matkę, chociaż sprawiła mi niejedną przykrość.

— To zacnie z twojej strony, mój stary. Cóż więc zamierzasz zrobić?

— Pochować kuzynów.

Czas naglił, trzeba było rozpocząć pościg za Utajami I „generałem”, postanowiliśmy jednak pochować nie tylko

krewniaków Holbersa, ale i resztę zabitych.

Znaleźliśmy na brzegu jeziora mnóstwo kamieni, które mogły wystarczyć do zbudowania grobowca, nie mieliśmy bowiem narzędzi, aby wykopać tak wielki dół. Towarzysze moi ściągali głazy na środek półwyspu, gdzie znajdowała się naturalna wklęsłość głębokości jednego metra, a ja tymczasem badałem jeszcze ślady pozostawione w lesie. Nagle ujrzałem szeroki trop, za którym podążyłem. Prowadził do jodły, stojącej samotnie na małej polanie.

Pióro moje wzdraga się opisać to, co ujrzałem. Wydałem przeraźliwy okrzyk, chociaż zwykle umiem nad sobą panować. Wszyscy towarzysze nadbiegli natychmiast i stanęli jak wryci obok mnie.

Oto rozłupano jodłę, rozszerzono tę szczelinę za pomocą klinów tak, że mogła objąć ciało człowieka, i wsunięto tam Old Wabble a. Następnie kliny wyjęto (leżały obok na ziemi), a nieszczęśliwy starzec utkwił w rozłupanym drzewie, jak w kleszczach, z okropnie zgniecionym brzuchem i klatką piersiową.

— Wbić większe kliny! — rozkazałem. — Prędzej, prędzej! Więcej klinów! Dalej z nożami i tomahawkami!

Wbiłem sam pierwszy klin — okutą kolbę niedźwiedziówki. Tomahawki mieli tylko Winnetou i Szako-matto, ale te wystarczyły. Drzazgi poleciały ze stojących w pobliżu drzew i w mgnieniu oka mieliśmy kilka nowych grubych klinów. Po dwu minutach rozszerzyliśmy szczelinę na tyle, że mogliśmy wyciągnąć Old Wabble a. Ale starzec już nie żył.

Człowiek to szczególne stworzenie! Uczucia, które żywiliśmy niedawno względem zmarłego, ustąpiły miejsca współczuciu. Pitt Holbers stanął przy zwłokach i powiedział ze wzruszeniem:

— Żegnaj, „królu cowboyów”! Skończyło się twoje panowanie. Gdybyś był mądry, byłbyś naszym

towarzyszem, a nie kompanem trampów. Szkoda cię, wielka szkoda, bo dzielnym byłeś kiedyś westmanem! Chodź, kochany Dicku, złożymy go do grobu!

Postanowiliśmy przenocować na półwyspie, gdyż zostały nam tylko dwie godziny do zapadnięcia mroku i nie warto było szukać nowego miejsca na obóz. Jedynie Old Surehand nie chciał się na to zgodzić. Odwoławszy mnie na bok, oświadczył:

— Nie mogę tu zostać, Mr Shatterhand.” Odjadę, i to potajemnie, żeby nikomu nie przyszło na myśl mnie zatrzymywać.

— Czy. koniecznie musicie się oddalić? — zapytałem.

— Muszę!

— Sam?

— Nie inaczej!

— Hm! Jesteście dzielnym westmanem, nie wspominam więc o niebezpieczeństwach, które was mogą spotkać, ale powiedzcie mi przynajmniej, co przeszkadza wam tutaj zostać ?

— Tego nie mogę wyjawić.

— Czy także nie wolno mi wiedzieć, doktąd podążycie?

— Nie.

— Hm! Nie będę wam robił wyrzutów, ale pozwolę sobie zauważyć, że wasze postępowanie graniczy z brakiem zaufania do mnie.

— Wiecie z pewnością tak samo dobrze jak ja, że mam do was zaufanie. Ale tu chodzi o tajemnicę, której nie mogę i nie chcę wyjawić!

— Nawet mnie?

— Nawet wam! — zabrzmiała krótka odpowiedź.

— Well! Jechałem za wami z Jefferson City aż tutaj, mniemając, że będę wam pomocny. Nie twierdzę, jakoby z

tego wynikały dla mnie jakieś prawa, a dla was obowiązki, ale sądzę, że lepiej by było, gdybyście nie byli. tacy zamknięci w sobie i postępowali ze mną otwarcie.

Czy jesteście tak pewni swego, że uważacie nas za niepotrzebnych?

— Czy byłbym sam się tu wybrał, gdybym sądził, że mi potrzebna pomoc?

— Bardzo słusznie! Czy jednak rzeczywiście nie była potrzebna? ”

— Czy myślicie o mej niewoli u Utajów?

— Tak.

— Byłbym się sam wyswobodził!

Teraz już postanowiłem nie narzucać mu się dłużej. — Jestem tego pewien — rzekłem. — Uważajmy zatem sprawę za skończoną. Jedźcie z Bogiem sami! Chciałem się odwrócić, lecz on wziął mię za rękę.

— Nie gniewajcie się na mnie — poprosił. — Może. wyglądam na niewdzięcznika, ale wy wiecie, że tak nie jest.

— Wiem.

— Wyjawię wam jedną tylko rzecz. Milczałem tak uporczywie, ponieważ sądziłem, że porzucilibyście mnie, gdybyście wiedzieli, kim jestem.

— Zbyteczne skrupuły! Old Surehand jest zacnym człowiekiem!

— Ale... mój ojciec siedział w więzieniu.

— Pshaw! W więzieniach zamykano nieraz porządnych ludzi.

— Mój ojciec nawet tam umarł.

— To smutne, ale nie może zmienić mojego stosunku do was.

— Matka moja była także w więzieniu. Wuj również... A potem oboje uciekli. Więziono ich za fałszowanie pieniędzy!

— Posłuchajcie, Old Surehand! Co mnie obchodzą fałszerze pieniędzy i więzienia Stanów Zjednoczonych? Przypuśćmy nawet, że wasi krewni popełnili ten występek i zasłużyli na karę, ale czyż wy za to możecie odpowiadać?

— Nie odwracacie się więc ode mnie?

— Nie obrażajcie mnie, sir. Jestem człowiekiem, chrześcijaninem, a nie barbarzyńcą! Wy nie jesteście niczemu winni.

— Moja rodzina również była niewinna. Mogę was zapewnić, że ani matka, ani ojciec, ani wuj nie popełnili nic złego!

— Dotknęło ich więc tylko wielkie nieszczęście. Jak mogliście pomyśleć, że was nie zrozumiem? Gzy w dalszym ciągu nie chcecie mi się zwierzyć ze swoich planów?

— Nie mogę!

— Well! To powiedzcie przynajmniej, kiedy się znów spotkamy?

— Od dzisiaj za cztery dni.

— Gdzie?.

— W Pui-bakej, Lesie Serca, leżącym prawie w środku „parku” San Luis. Winnetou zna go niewątpliwie. Las ten ma kształt serca i stąd jego nazwa. Będę tam na pewno.

— Jeśli wam nic nie stanie na drodze!

— Cóż miałoby mi się zdarzyć?

— Posłuchajcie, Mr Surehand! Okoliczności zmieniły się, odkąd wyjechaliście z Jefferson City. „Generał” tu jest i...

— Pshaw! Nie obawiam się go wcale. Co on mnie w ogóle obchodzi?

— Nie chcę spierać się z wami! Ale są jeszcze Utajowie.

— Nie dbam o nich.

— A o czarownika Komanczów?

— No, ten jest mi zupełnie obojętny! Czyż on się zresztą tu znajduje? Wasi towarzysze opowiadali, że przyłączył się do trampów, ale przecież nie było go na półwyspie.

— Zrobił bardzo rozsądnie uchodząc stąd. Rozstał się z trampami nie chcąc, aby się dowiedzieli, czego tutaj szuka. Ale jest w tych stronach na pewno.

— Niech sobie będzie. A zatem od dzisiaj za cztery dni czekam na was w Pui-bakej. Wy tymczasem możecie zająć się ściganiem Utajów i ukarać ich za popełnione morderstwa. Spodziewam się, że nikt z was nie pójdzie moim tropem.

— O to możecie być spokojni!

— W takim razie żegnam!

— Zaczekajcie jeszcze chwilę! Czy nie weźmiecie sobie na drogę mięsa?

— Dziękuję! W drodze znajdę dość zwierzyny. Bądźcie zdrowi!

— Do widzenia! Życzę wam, żebyśmy się spotkali szczęśliwie!

Rozstaliśmy się, a ja zachowałem się tak, żeby Old Surehand mógł niepostrzeżenie dostać się do swego konia i odjechać. Wiadomość, że oddalił się bez pożegnania, wywarła na wszystkich silne wrażenie. Pytali, z jakiego powodu odjechał, lecz ja milczałem. Tylko Winnetou nie pytał o nic. Kiedy jednak z nastaniem ciemności usiadłem koło niego, rzekł:

— Będziemy musieli znowu uwalniać Old Surehanda.

— Ja też tak myślę — przyznałem.

— Albo szukać jego zwłok!

— I to być może.

— Brat mój nie próbował go zatrzymać?

— Byłoby to bezskuteczne.

— Należało go przestrzec, że więcej wiesz, niźli on sądzi.

— Byłbym to uczynił, lecz nie chciał mówić o swej tajemnicy.

— W takim razie dobrze, że mu dałeś spokój. Zaufania nie należy wymuszać. Ruszamy więc za Utajami? — Tak. — Tropu ich nie będzie można jutro zobaczyć.

— To nic nie szkodzi. „Generał”, który nimi dowodzi, chce dostać się do Kaskady Pian, wiemy zatem, dokąd dążą.

— Domyślają się zapewne, że będziemy ich ścigać, i postarają się zastawić na nas pułapkę, aby się zemścić za odbicie Old Surehanda.

— Dlatego przypuszczam, że znów wpadnie w ich ręce.

— Musimy zaraz jutro ruszyć w drogę. Nasz przyjaciel nie będzie mógł w nocy jechać zbyt szybko. Powinien był wziąć to pod uwagę. Gdyby mu się nawet nic nie zdarzyło, nie o wiele wcześniej niż my dotrze do Kaskady.

Złożyliśmy Old Wabble'a i trampów do grobu i przykryliśmy ciała kamieniami. Potem sporządziliśmy krzyż i umieściliśmy go na głazach. Tak spoczął na wieki „król cowboyów”, który całe życie spędził na równinach i w górach Dzikiego Zachodu. Pogrzebali go ludzie, za którymi wyruszył, aby przez zemstę sprowadzić na nich śmierć.

Ułożyliśmy się do snu i odpocząwszy przez noc, wyruszyliśmy rano w drogę.

Siady Utajów, widoczne jeszcze na miękkim gruncie nad jeziorem, zniknęły na skalistym zboczu. Nie dbaliśmy o to, gdyż dążyliśmy niezależnie od nich w określonym kierunku.

Znad Zielonej Wody dotarliśmy około południa do położonego w. dole „parku” San Luis, szerokiego i długiego na wiele mil. Dla myśliwca nie mogło być piękniejszego widoku nad tę dolinę otoczoną niebotycznymi olbrzymami górskimi. Żyły tu dawniej tysiącami bizony, lecz wypędziły je kule poszukiwaczy złota. Jeszcze niedawno „park” San Luis

był celem wypraw różnego rodzaju awanturników, którzy potem porzucili go, zwróciwszy się w sąsiednie góry, w których, jak wieść niosła, odkryto nieprzebrane pokłady złota. O tym dowiedzieliśmy się jednak dopiero później, na razie przypuszczaliśmy, że Spencer miał rację szukając tutaj, a zwłaszcza przy Kaskadzie Pian, jakichś bajecznych skarbów. W każdym razie poszukiwacze złota nie opuścili kompletnie „parku”. Prawdziwi górnicy odeszli, a szumowiny musiały zostać, z braku środków na dalszą wędrówkę. Podejrzane osobniki włóczyły się po „parku” jak zbieracze gałganów po miastach, grzebiąc w opuszczonych kopalniach, a przy sposobności starając się zebrać plon tam, gdzie nic nie posiali.

Old Surehand umówił się z nami w Pui-bakej, czyli Lesie Serca. Winnetou wiedział, gdzie to jest, lecz nie zamierzaliśmy od razu tam podążyć. Najbliższym celem była dla nas Kaskada Pian, którędy i Old Surehand musiał przejeżdżać.

Około południa zbliżyliśmy się do lasku, gdzie zamierzaliśmy dać koniom wytchnąć. Tuż przed laskiem natknęliśmy się na trop. Pozostawiony był może przed godziną przez dwanaście do piętnastu koni. Zatrzymaliśmy się oczywiście, a Winnetou zsiadł z konia, aby zbadać, kto jechał przed nami. Uporał się z tym bardzo szybko: widocznie niezbyt doświadczeni westmani znajdowali się w lasku, skoro podejście ich nie zabrało dużo czasu.

— To chyba nie są niebezpieczni ludzie? — zapytał Treskow.

— Nawet bardzo niebezpieczni — odparł Apacz.

— Indianie?

— Nie, biali. Jest ich trzynastu, a między nimi jeden czerwony mąż pojmany przez nich i dlatego Winnetou nazwał ich niebezpiecznymi.

— To zaczyna być zajmujące! Gdzie obozują? Czy daleko?

— Na tamtym skraju lasku. Nie są to myśliwcy, lecz poszukiwacze złota.

— Ado jakiego plemienia należy Indianin? . — Nie należy do żadnego..

— Któż to jest?

— Moi bracia znają go także, to nasz przyjaciel.

— Indianin? Przyjaciel? Nie mogę zgadnąć!

— Niech mój brat Treskow spyta Old Shatterhanda!

— Indianinem nie należącym do żadnego plemienia — odrzekłem — i naszym przyjacielem może być tylko Kolma-puszi.

— A, do kroćset! To nasz tajemniczy wybawca. I jego pojmali poszukiwacze złota? Musimy go oczywiście wyswobodzić!

— Ale nie zaraz — wtrącił Winnetou. — Udamy, że go nie znamy wcale. Przestrach białych będzie potem tym większy.

Spodziewałem się wprawdzie spotkać Kolmę-puszi, lecz nie teraz i nie jako jeńca. Jego przygoda nasunęła mi myśl, że nie powinienem dłużej zachowywać dla siebie moich domysłów.

Objechaliśmy lasek — aż do strumienia, nad którym obozowali biali. Ujrzawszy nas, zerwali się z ziemi i pochwycili za strzelby. Były to podejrzane osobniki, po których wszystkiego można się było spodziewać.

— Dzień dobry! — pozdrowiłem ich zatrzymując konia. — Doskonałe miejsce na obóz! Mieliśmy także zamiar odpocząć tu z godzinkę.

— Kim jesteście?

— Westmanami.

— Ale jedziecie w towarzystwie Indian. To podejrzane ! Jest tu w naszych rękach taki, który nas okradł, prawdopodobnie Utaj. Czy wasi czerwonoskórzy należą także do tego plemienia?

— Nie. To Apacz, Komancz i Osedż.

— Well! W takim razie nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Szczepy te mieszkają daleko stąd, jestem więc pewien, że nie będziecie się troszczyli o tego czerwonego hultaja.

Rzuciłem okiem na pojmanego i upewniłem się, że to rzeczywiście Kolma-puszi. Należało uwolnić go natychmiast, tak był bowiem skrępowany, że musiało mu to sprawiać dotkliwy ból. Jednym spojrzeniem porozumiałem się z Winnetou, zsiedliśmy z koni i spętaliśmy je. Biali tymczasem odłożyli strzelby i rozłożyli się z powrotem na ziemi. Podszedłem do nich całkiem blisko i zapytałem:

— Czy wiecie na pewno, dżentelmeni, że ten człowiek was okradł?

— Oczywiście! Pochwyciliśmy go na tym — odrzekł jeden z włóczęgów, widocznie dowódca bandy.

— Well, w takim razie musimy się wam przedstawić.

Ja nazywam się Old Shatterhand, a tu stoi Winnetou, wódz Apaczów...

— Winnetou! — zawołał włóczęga. — Do stu piorunów! To dopiero odwiedziny! Witamy, witamy serdecznie! Usiądźcie, panowie! Czy to sztucer Henry'ego trzymacie w ręku, Mr Shatterhand? A na ramieniu niedźwiedziówkę?

— Słyszeliście widocznie o moich strzelbach. Powiem wam, sir, że mi się podobacie. Tylko z jednej rzeczy

nie jestem zadowolony.

— Z czego?

— Że skrępowaliście tego Indianina.

— Co on was obchodzi?

— To nasz dawny przyjaciel. Ale przystąpimy od razu do rzeczy, sir. Jeśli się zgodzicie, rozstaniemy się pokojowo, jeśli nie, to strzelamy w tej chwili! Zdejmijcie więzy z pojmanego! Kto podniesie strzelbę, dostanie kulą w łeb!

Lufy naszych strzelb zwróciły się jednocześnie na poszukiwaczy złota. Nie spodziewali się tego, a widząc, z kim mają do czynienia, nie pomyśleli nawet o oporze. Dowódca tylko zapytał:

— Czy nie żartujecie, Mr Shatterhand?

— Nie.

— To i my przestaniemy żartować.

Podszedł do Kolmy-puszi i zdjął z niego pęta. Indianin wstał, wyprostował się, podniósł swoją strzelbę, leżącą nie opodal na ziemi, i wyciągnął jednemu z białych nóż zza pasa. Potem przystąpił do nas i rzekł:

— Dziękuję memu bratu Old Shatterhandowi! To moja strzelba, a to mój nóż. Poza tym nic mi nie zabrali. Rozumie się, że ja ich nie okradłem.

— Jestem tego pewien. Co każe Kolma-puszi z nimi zrobić? Spełnimy jego życzenie.

— Puścić ich wolno!

— Naprawdę?

— Tak. Znajduję się dopiero od godziny w ich rękach.

Niewarci są tego, żeby się nimi zajmować nawet w celu ich ukarania.

— Dobrze, ale zanim odjedziemy, muszę im powiedzieć parę słów. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego pojmali i skrępowali Indianina, który nie uczynił im nic złego.

Dowódca poszukiwaczy poskrobał się z zakłopotaniem w głowę i rzekł:

— Spodziewam się, że nie uważacie nas za tchórzów, dlatego, iż się nie bronimy. Czynimy to z szacunku dla takich mężów jak wy. Powiem wam wszystko rzetelnie. Od dawna szukamy bezskutecznie złota, a ten Indianin, który przebywa stale w „parku”, powinien znać bogate pokłady. Pojmaliśmy go, by nam zdradził swoją tajemnicę, a potem bylibyśmy go puścili wolno. Tak stoi sprawa. Sądzę, że nam nie weźmiecie tego za złe. Wszak nie mogliśmy wiedzieć, że to wasz przyjaciel.

— Dobrze! Czy jest tak, jak on mówi? — zapytałem Kolmę-puszi.

Indianin potwierdził i poprosił znowu, żeby nie czynić poszukiwaczom nic złego.

— Well! Będziemy zatem pobłażliwi, ale spodziewamy się, że w przyszłości nie postąpicie już jak opryszki. Kto chce znaleźć pokłady, niech ich sam szuka. To najlepsza rada, której wam mogę udzielić, dżentelmeni! Nie ruszajcie się stąd przed upływem dwu godzin, bo w przeciwnym razie strzelby nasze musiałyby się odezwać!

Kiedy to mówiłem, Kolma-puszi wsiadł na swego konia, który znajdował się pomiędzy końmi poszukiwaczy złota. Nie rzuciwszy nawet okiem na tych nędzników, odjechaliśmy w dalszą drogę. Pędziliśmy cwałem, dopóki się dało, po czym zatrzymaliśmy się w miejscu, nadającym się na obóz równie dobrze, jak tamten lasek.

Przypatrywałem się z ciekawością koniowi Kolmy-puszi, gdyż nad Rush Creek widzieliśmy go zaledwie przez chwilę. Był to mustang pysznej budowy, szybki i wytrwały, co łatwo poznaliśmy już w czasie tej krótkiej jazdy.

Kiedy odpoczęliśmy i posililiśmy się nieco, tajemniczy Indianin wstał, podszedł do swego konia, wskoczył na siodło i powiedział:

— Moi bracia odali mi wielką przysługę. Dziękuję im serdecznie! Będę rad, jeśli kiedyś znowu zobaczę !

— Czy mój brat Kolma-puszi chce się z nami rozstać ? — zapytałem.

— Tak — odpowiedział.

— Dlaczego tak rychło?

— Jestem jako wiatr, który błądzi po dolinach i górach.

— Niech mój brat zsiądzie z konia i zostanie z nami jeszcze przez chwilę, gdyż muszę z nim bezwarunkowo pomówić.

— Niech mi Old Shatterhand wybaczy! Muszę już odjechać!

— Czyż Kolma-puszi obawia się nas?

— Kolma-puszi nie boi się nikogo, ale zadanie jego nakazuje mu wędrować samotnie.

— Mój czerwony brat nie będzie miał powodu zaprzątać się długo tym zadaniem — odpowiedziałem. — Wkrótce będzie ono rozwiązane.

— Old Shatterhand mówi słowa, których nie rozumiem. Odchodzę i żegnam moich braci!

Podniósł rękę, by przynaglić konia do biegu, ale ja zawołałem: — Kolma-puszi zostanie!

— Muszę odjechać! — odpowiedział stanowczo.

— Well, powiem zatem tylko jedno słowo: jeżeli brat Kolma-puszi musi nas opuścić, w takim razie proszę siostrę Kolmę-puszi, żeby jeszcze została z nami!

Położyłem nacisk na słowa „brat” i „siostra”. Towarzysze spojrzeli na mnie zdziwieni, Kolma-puszi natomiast zeskoczył szybko z konia, podbiegł do mnie i krzyknął tracąc panowanie nad sobą:

— Co Old Shatterhand mówi?

— Że Kolma-puszi nie jest moim bratem, lecz siostrą,

— Czy uważasz mnie za kobietę?

— Tak.

— Mylisz się, mylisz!

— Old Shatterhand wie zawsze dobrze, co mówi. Indianin wyciągając obronnym gestem obie ręce przed

siebie zawołał:

— Nie, nie! Tym razem jednak Old Shatterhand nie wie, co mówi! Czyż kobieta mogłaby być wojownikiem?

— Tehua, piękna siostra Ikwet-sipy, umiała już w młodości dobrze jeździe konno i strzelać.

Indianin odskoczył z głośnym okrzykiem ó kilka kroków wstecz i patrzył na mnie szeroko rozwartymi oczyma, ja zaś mówiłem dalej:

— Więc moja siostra, Kolma-puszi, zostanie jeszcze z nami?

— Co... co... wiesz... o Tehui? I co... możesz wiedzieć o Ikwet-sipie?

— Słyszałem bardzo wiele o obojgu. Czy siostra moja ma. dość siły w sercu, by tego wysłuchać?

— Mów, o, mów!

— Wiem, że Ikwet-sipę nazywano także wawa Derrik.

— Uff, uff!

— Czy siostra moja słyszała kiedy nazwy Tibo-taka

i Tibo-wete? Czy zna opowiadanie o myrtle wreath?

— Uff, uff, uff! Mów dalej, dalej!

— Czy jesteś rzeczywiście dość silna, żeby wysłuchać wszystkiego?

— Jestem silna, tylko mów dalej!

— Chcę cię pozdrowić w imieniu dwu ludzi, którzy przed laty nazywali się Fred i Leon Bender.

Ręce Indianki opadły, a z piersi wydobył się stłumiony okrzyk. Osunęła się z wolna na. ziemię i zaczęła głośno

płakać.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakim zdumieniem przysłuchiwali się nam wszyscy obecni i z jakim wyrazem spoczywały ich oczy na płaczącej. Nagle Apanaczka wstał, zbliżył się do mnie i zapytał:

— Mój brat Old Shatterhand mówił o Tibo-taka, Ti-bo-wete i wawie Derriku. Znam te słowa i imiona. Dlaczego Kolma-puszi płacze z tego powodu?

—. Płacze z radości, nie z bólu.

— Czy naprawdę Kolma-puszi nie jest mężczyzną, nie jest wojownikiem?

— To jest kobieta.

— Uff, uff!

— Tak, to jest kobieta. Niech mój brat Apanaczka zbierze wszystkie siły! Tibo-taka nie był jego ojcem, a Tibo-wete jego matką. Brat mój miał innego ojca i inną matkę...

Nie mogłem dalej mówić, gdyż Kolma-puszi zerwała się, ujęła mnie za rękę i krzyknęła wskazując na Apanaczkę:

— Czy to Leon... czy to Leon Bender?

— Nie Leon, lecz młodszy jego brat, Fred Bender — odpowiedziałem. — Kolma-puszi może mi wierzyć. Wiem to z całą pewnością.

Kobieta zwróciła się do wodza Komanczów, upadła przed nim, objęła jego kolana i zaszlochała:

— Synu mój, synu! To Fred, mój mały Fred!

—- Czy... ona... rzeczywiście jest moją matką?! — krzyknął Apanaczka.

— Tak — zapewniłem go uroczyście.

Pochwycił kobietę w objęcia, podniósł ją w górę, spojrzał jej w twarz i zawołał:

— Kolma-puszi jest moją matką! Dlatego to serce moje zadrżało, kiedy tylko cię ujrzałem!

Objął mocno Indiankę i przytulił głowę do jej policzka. Winnetou wstał i odszedł, a ja skinąłem na resztę towarzyszy. Należało zostawić matkę i syna samych. Ale wkrótce Apanaczka przyszedł do mnie i jął prosić w swój zwykły, natarczywy i błagalny sposób:

— Niech mój brat do nas przyjdzie. Wszak nic jeszcze nie wiemy i chcemy o tyle spraw zapytać!

Zaprowadził mnie z powrotem do Kolmy-puszi, która siedziała na ziemi i patrzyła na mnie z niepokojem. Apanaczka zajął miejsce przy niej, otoczył ją ramieniem i rzekł:

— Niech mój brat usiądzie przy nas i wyjaśni nam, jakim sposobem dowiedział się, że Kolma-puszi jest moją matką. Ja uważałem zawsze za matkę Tibo-wete,

— Tibo-wete jest twoją ciotką. W młodości nazywano ją Tokbelą.

— To prawda, na Boga, to prawda! — zawołała Indianka. — Ale, Mr Shatterhand, rozważcie jeszcze to wszystko, co usłyszeliśmy od was. Mogłabym oszaleć, jak moja siostra, gdybyście się pomylili, gdybym się zawiodła sądząc, że znalazłam syna!

Wyrażała się teraz jak biała kobieta z dobrego towarzystwa, toteż nie nazywałem jej nadal Kolmą-puszi ani też siostrą, jak to czynią Indianie.

— Proszę mi powiedzieć — rzekłem — czy istotnie mam przed sobą panią Bender.

— Jestem Tehua Bender — odpowiedziała.

— A więc nie myliłem się. Apanaczka jest pani młodszym synem.

— Naprawdę, Mr Shatterhand?

— Może mi pani zaufać.

— Ale proszę o dowody!

— Chce pani dowodów? Czy serce pani za nim nie przemawia?

— Tak, przemawia za nim! Przemówiło od razu, kiedy go ujrzałam wjeżdżającego do obozu. Serce zapewnia mnie, że Apanaczka to mój syn, a jednak drży ze strachu, że może nim nie być. Domaga się dowodów, żeby tego szczęścia, które tutaj znalazło, mogło używać w przyszłości.

— Ale co rozumie pani przez dowody? Czy mam przynieść metrykę urodzenia? Tego nie potrafię!

— Muszą być przecież inne dowody!

— Są, lecz nie mam ich w tej chwili pod ręką. Czy poznałaby pani swoją siostrę?

— Z pewnością!

— A szwagra?

— Nie mam szwagra.

— Czy Tokbela nie wyszła za mąż?

— Nie. Zaślubiny jej zostały przerwane.

— Przez waszego brata, ojca Diterico?

— Tak.

— Jak się nazywał pan młody?

— Thibaut.

— A wasz brat strzelił do niego?

— Tak, i zranił go w ramię.

— A zatem pomyłka jest niemożliwa. Czym był ten Thibaut?

— Słynnym iluzjonistą.

— Czy Tokbela wiedziała o tym?

— Nie.

— Muszę wyznać otwarcie, że wszystko, co wiem, polega na zestawieniu pewnych faktów, o których

słyszałem. Lecz są one bezsporne! Apanaczka to Fred, a sądzę, że niebawem zobaczycie jego brata, Leona.

— Leona? O nieba! Więc on żyje?

— Tak. . -

— Gdzie jest teraz?

— Tutaj, w „parku”. Szukał rodziny przez długie lata, ale dotychczas bezskutecznie.

— Czy te wszystkie wiadomości pochodzą od niego samego?

— Niestety, nie. Z niego nie wydobyłem ani słowa: nic ponadto, że jego ojciec umarł w więzieniu, a wuj i matka byli także aresztowani.

— A zatem wie o tym! Od kogo to słyszał? Miał wtedy zaledwie kilka lat.

— Tego mi nie wyjawił. Proszę mi jednak powiedzieć, Mrs Bender, czy wuj jego, który był w więzieniu, to Ikwet-sipa.

— Tak.

— To straszne! On, kaznodzieja, oskarżony o fałszowanie pieniędzy?

— Niestety! Przedstawiono przeciw niemu dowody, których nie zdołał obalić. — Jak można było zasądzić niewinnie trzy osoby?

— Przyrodni brat mego męża ułożył wszystko tak perfidnie, że nie mogliśmy się obronić.

— Jak nazywa! się ten człowiek?

— Właściwie Etters, Daniel Etters, Był synem z pierwszego małżeństwa mojej teściowej. Później nazywano go także nazwiskiem ojczyma — Bender, John Bender, gdyż takie miał drugie imię.

— I używaliście chętniej imienia John Bender aniżeli Dan Etters?

— Istotnie.

— I dlatego na krzyżu są litery J. B., a nie D. E. ?

— O jakim krzyżu mówicie?

— Na grobie waszego brata.

— Co? Byliście więc przy tym grobie?

— Nie, Opowiadał mi o nim pewien znajomy, Harbour.

— Harbour? Znaliśmy go dobrze. Tak, wiem, że był pod Czarcią Głową.

— Kawałem pieczonego mięsa ocaliła go pani od śmierci głodowej. Ale dlaczego trzymała się pani z dala i nie pokazała się wcale temu człowiekowi?

— Me chciałam, żeby mnie poznał. On więc opowiadał wam o grobie mojego brata?

— Tak. Jego opowiadaniu właśnie zawdzięczam to, że z czasem zdołałem odgadnąć przebieg tych dawnych wypadków.

— Czy Winnetou pomagał wam przy tym?

— Tak. Jako mały chłopiec znał waszego brata, który potem gdzieś zniknął.

— Ze mną i z Tokbelą. Tak jest.

— Czy wolno zapytać o powód tego nagłego zniknięcia?

— Owszem. Mój brat Derrik (indiańskie jego imię brzmiało Ikwet-sipa) słynny kaznodzieja znany jako ojciec Diterico, nie miał za sobą żadnych studiów. Zapragnął jednak je odbyć i udał się w tym celu na Wschód. Na krótko przedtem poznałam pewnego białego nazwiskiem Bender i pokochaliśmy się nawzajem. Brat więc zabrał mnie z sobą, abym poznała życie bladych twarzy i ich naukę, zanim zamieszkam wśród nich. Tokbela pojechała także z nami. Wielu czerwonych wojowników pragnęło mnie pojąć za żonę, toteż bojąc się o życie Bendera opuściliśmy potajemnie rodzinne strony. W mieście mój brat chodził na wykłady, a

mnie i Tokbelę oddał do pensjonatu dla młodych dziewcząt. Tam odwiedzał nas Bender i przyprowadzał często swego przyrodniego brata. Etters zapragnął zdobyć mnie dla siebie, lecz gdy mu się to nie udało, jego miłość do mnie zmieniła się w nienawiść. Zazdrościł przy tym memu narzeczonemu bogactwa, wielkiego domu handlowego, który Bender w tym mieście prowadził. Wreszcie nastąpił mój ślub, a Tokbela zamieszkała u nas. Po pewnym czasie Etters przyprowadził młodego człowieka nazwiskiem Thibaut, który na nieszczęście bardzo się dziewczynie spodobał. Ale mój mąż dowiedział się złych rzeczy o Thibaucie i zabronił mu u nas bywać. Etters pokłócił się z tego powodu z bratem i porzucił skromną posadę, którą zajmował w jego przedsiębiorstwie. Wraz ze swym godnym przyjacielem postanowili się zemścić.

— Domyślam się! Thibaut był fałszerzem pieniędzy?

— Tak, Mr Shatterhand! Pewnego dnia przyszła do nas policja i zastała w kasie fałszywe banknoty. W surducie męża były również zaszyte fałszywe pieniądze, a w moim pokoju znaleziono klisze. Aresztowano nas razem z Derrikiem. Przedłożono nam sfałszowane pisma, jakoby pochodzące od mego męża i bx”ata. Pisma te udowodniły ich i moją winę. Zasądzono nas i uwięziono.

— A dom handlowy Bendera?

— Prowadził go dalej Etters. Mieliśmy już wtedy dwu synków i Tokbela zamieszkała z nimi w tym samym pensjonacie, gdzie umieścił nas brat po przyjeździe z Zachodu.

— To musiało być dla was straszne! Indianka, przywykła do wolności, w więzieniu!

— Uff! Obcięto mi włosy, musiałam włożyć więzienne odzienie i zamieszkać w małej celi. Byłam bardzo nieszczęśliwa, płakałam dzień i noc!

— Tymczasem Thibaut zaczął znów nachodzić waszą siostrę Tokbelę?

— Tak jest. Przyrzekła mu zostać jego żoną, jeśli nas wyswobodzi. Wtedy on przekupił dozorcę więziennego, który uciekł z moim bratem.

— Czemu nie z waszym mężem lub z wami?

— Bo mój brat znał położenie kilku pokładów złota. W dniu naszego ślubu przywiózł stamtąd nieco nuggetu i darował go nam. Etters wiedział o tym, i dlatego te dwa łotry pomogły do ucieczki tylko memu bratu, ażeby wyłudzić od niego złoto. Kiedy Derrik uciekł z dozorcą więziennym, zabrał z sobą Tokbelę i moich chłopców. Zawiózł ich do Denver, gdzie zostawił ich pod opieką owego dozorcy, a sam, udał się w góry po złoto. Potrzebował go, aby wynagrodzić dozorcę i uwolnić nas oboje. Dozorca założył potem za otrzymane złoto kantor wymiany, Tokbela i chłopcy zamieszkali u niego, a on przywiązał się bardzo do dzieci. Mój brat opuścił Denver, by uwolnić nas oboje. Udało mu się to tylko w połowie: ja odzyskałam wolność, ale mąż rozchorował się ciężko po tych strasznych przejściach i umarł w więzieniu. Ruszyliśmy z Derrikiem do Denver. Tymczasem byli tam już Etters, który doprowadził do ruiny nasze przedsiębiorstwo, i Thibaut. Zdołali do tego stopnia otumanić Tokbelę, że zgodziła się zostać żoną Thibauta. Przybyliśmy z bratem w dzień wesela i zastaliśmy młodych gotowych do podania sobie ręki. Wtedy Derrik zerwał pannie młodej wianek z głowy i...

— Przepraszam, Mrs Bender, że pani przerwę! Tokbela mówi przeciwnie, że włożył go jej na głowę.

— Mówi to w szaleństwie.

— Aha! Wie pani zatem, że jest obłąkana?

— Tak. Etters i Thibaut rzucili się na Derrika i wywiązała się walka, w której Derrik przestrzelił Thibautowi rękę.

— Ale to nie było w kościele?

— Nie, w mieszkaniu dozorcy, późniejszego bankiera. Tokbela martwiła się, że siedzimy w więzieniu, chorowała ciężko, a potem przestrach przy zaślubinach i bójka zwaliły ją z nóg. Długo bredziła w gorączce, aż wreszcie jej duch odszedł na zawsze. Uspokajała się tylko wtedy, gdy mój młodszy syn Fred, był przy niej. Brat oddał ją do zakładu pewnego lekarza, razem z malcem, bez którego nie byłaby tam poszła. Derrik, Leon i ja mieszkaliśmy u bankiera, a Etters i Thibaut zniknęli. Tak sądziliśmy przynajmniej. Złoto nam wyszło i Derrik musiał znowu pójść po nie w góry. Poprosiłam go, żeby mnie zabrał z sobą gdyż jeździe konno i strzelać umiałam tak jak czerwoni wojownicy. Zgodził się ha to i przybyliśrny do skały zwanej Czarcią Głową, gdzie na nas napadnięto. Etters i Thibaut ukrywali się bowiem w Denver, a potem poszli za nami i śledzili nas w czasie drogi. Etters, zwany przez nas wciąż jeszcze Johnem Benderem, zastrzelił Derrika, a mnie rozbroił i skrępował. Obaj wspólnicy przypuszczali prawdopodobnie, że byliśmy już w bonanzy, i spodziewali się znaleźć przy nas złoto. Nie znalazłszy nic, rozjuszeni, postanowili nie zabić mnie od razu, lecz oddać na pastwę głodu. Zakopali brata tuż pod skałą, a mnie położyli na jego grobie i przywiązali tak, że nie mogłam się poruszyć. Leżałam trzy dni i trzy noce i byłam już bliska śmierci, kiedy nadeszli Indianie i Uwolnili mnie z więzów.

— Jaki to był szczep? — Utajowie.

— Ach! To szczególne! Cóż dalej?

— Dali mi jeść i pić, a potem zabrali mnie z sobą. Jeden z młodych wojowników, Tusaga-saricz, chciał mnie pojąć za żonę, ale nie dopuściłam do tego. Wróciłam już do sił, stoczyłam więc z nim walkę i zwyciężyłam. Wyrzekł się mnie i nikt inny nie śmiał niepokoić kobiety zwyciężającej wojowników.

— A jakie teraz stosunki łączą was z Utajami?

— Są moimi przyjaciółmi. Tusaga-saricz kocha mnie jeszcze i zrobiłby dla mnie wszystko, czego bym zażądała. Oczywiście, nie zwrócili mi zaraz wolności, dopiero w dwa lata potem, gdy przysięgłam na „leki”, że będę się zawsze uważała za przyjaciela Utajów. Pospieszyłam natychmiast do Denver, ale moi chłopcy zniknęli stamtąd. Etters i Thibaut groźbami wymusili na lekarzu wydanie Tokbeli i Freda i wyjechali z nimi w niewiadomym kierunku. Bankier zniknął także z moim starszym synem, Leonem. Dowiedziałam się od szeryfa, że policją poszukiwała byłego dozorcę więziennego za ułatwienie ucieczki skazańcowi.

— Należy przypuszczać, że Etters i Thibaut donieśli o tym władzom, lecz ktoś ostrzegł zawczasu bankiera. Uciekł i zatarł starannie ślady za sobą.

— Tak widocznie uczynił, gdyż przez wiele lat na próżno szukałam jego i Tokbeli.

— Mogę wam powiedzieć, że człowiek ten wychował troskliwie waszego starszego syna. Mieszka teraz w Jefferson City i przybrał nazwisko Wallace.

— Naprawdę, sir?

— Tak. Byłem u niego. Lecz proszę mówić dalej!

— Niedługo skończę. Szukałam wszędzie dzieci — na próżno. Przejechałam sawanny, góry i doliny, rozpytywałam się u czerwonoskórych, lecz bez skutku. Jako kobieta nie mogłabym tego dokonać, wdziałam więc męskie suknie. Kiedy wszystko okazało się daremne, wróciłam zrozpaczona do doliny San Luis, w pobliże Czarciej Głowy. Ręka boża pędzi zbrodniarza na miejsce jego czynu, dlatego niebo ponad tym „parkiem” stało się moim namiotem. Mordercy jeszcze nie spotkałam, lecz on przyjdzie, jestem tego pewna. Wtedy biada mu. Nie mógł jeszcze umrzeć, gdyż Bóg jest sprawiedliwy i przywiedzie go, abym wymierzyła mu karę!

— Czy poznalibyście Ettersa?

— Tak.

— Tyle lat upłynęło od owych czasów, Mrs Bender!

— Poznam go! Poznam, choćby się zupełnie zmienił!

— Wasz syn, Leon, szukał go także.

— Leon? Czy znacie go rzeczywiście?

— Tak. Zobaczycie go jeżeli nie dziś, to jutro lub pojutrze. Myślę także, iż los sprowadzi tu mordercę. Thibaut przybędzie z Tokbelą, a Etters pojechał przed nimi. Mogę wam teraz wyjaśnić, jaką drogą ci dwaj uciekali przed laty z Denver.

— Słyszeliście o tym?

— Od Winnetou i Szako-matty. Przybyli do Osedżów i nie tylko zrabowali im plon całorocznych polowań, lecz zamordowali także kilku wojowników. Potem się rozdzieliliThibaut z Tokbelą i Fredem udał się do Komanczów z plemienia Naini. Tam musiał się ukrywać, gdyż zbrodnie jego wyszły już wtedy na jaw. W drodze spotkał ich ojciec Winnetou i ocalił od śmierci głodowej.

— Muszę usłyszeć wszystkie szczegóły! Wodzowie sami muszą mi to opowiedzieć!

Zerwała się chcąc odejść.

— Proszę zaczekać, Mrs Bender! — poprosiłem ją. — Będziemy wam wszystko opowiadać po drodze. Nie wolno nam tracić czasu, musimy już ruszać pod Czarcią Głowę. A może i teraz chce pani rozstać się z nami i jechać dalej samotnie?

— Nie, nie! Zostaję z wami!

— Zawołam zatem towarzyszy i wyruszymy! Niebawem siedzieliśmy wszyscy na koniach. Kolma-

-puszi znała drogę lepiej aniżeli Winnetou, jechała więc na przedzie, prowadząc ożywioną rozmowę z Apanaczką. Za mną jechali obaj nierozłączni przyjaciele i Treskow.

Hammerdull nie mógł ochłonąć ze zdumienia, że tajemniczy Indianin okazał się kobietą.

— Czy to kto widział, żeby baba była takim zuchem? — mówił. — Cóż ty na to, Holbers, stary szopie?

— Nic! — odparł chudzielec.

— To słuszne. Co tu można odpowiedzieć? Od dziś uważam wszystko za możliwe! Nie przestraszę się nawet, jeśli mój stary Holbers przemieni się w kobietę!

— Ani mi się śni, kochany Dicku!

— Czy ci się śni, czy nie, to wszystko jedno. Co poradzisz na to, gdy nagle się przekonasz, że jesteś kobietą?

— Wiem dobrze, co bym uczynił!

— Cóż takiego?

— Poślubiłbym cię natychmiast!

— A na co mi żona? Kobiecie nie mógłbym od czasu do czasu ,,zmywać głowy”. Wiesz, co przez to rozumiem?

— Yes.

— Ten zabieg jest dla ciebie niekiedy konieczny, stary szopie. Jesteś chwilami taki dziwny, że nie wiadomo, co z tobą właściwie począć.

— Ty także nie jesteś zawsze taki, jakim być powinieneś. Przypomnij sobie tylko młodego niedźwiedzia.. Jeszcze dziś widać na twojej skórze, jaką rolę wtedy odegrałeś. . . .

— Czy ja ją odegrałem, czy niedźwiedź, to wszystko jedno, jeśli ją w ogóle odegrano. Nie pojmuję też wcale, jak z naszego małżeństwa zeszliśmy na ten temat. Pomówmy lepiej o tym, co uczynimy z „generałem”, kiedy wpadnie w nasze ręce.

— Zapłacimy mu tą samą monetą, którą on się posługuje. Wklinujemy go w drzewo. Moim zdaniem zasłużył na to rzetelnie.

Nie dziwiłem się mściwości obu przyjaciół. Każdy z nas miał jakieś porachunki z „generałem”, Hammerdulla i Holbersa okradł bezczelnie, Szako-matto zarzucał mu morderstwo i oszustwo, a Treskow ścigał go za inne zbrodnie. O sobie i Winnetou nie chcę już mówić. A cóż dopiero Apanaczka i Kolma-puszi? Wobec tych dwojga zawinił o wiele więcej aniżeli wobec nas wszystkich razem wziętych. Że nikt inny, tylko on był Danielem Ettersem, o tym nie wątpiłem ani przez chwilę. Nie brakowało mu wprawdzie zębów w górnej szczęce, ale mógł przecież wstawić sobie sztuczne. Nie mogłem pojąć, że nikt, nawet Old Surehand, nie wpadł na tę myśl.

Przyłączyłem się do jadącej na czele Kolmy-puszi, która wypytywała mnie jeszcze o wiele różnych spraw. Całe popołudnie zeszło nam na rozmowie. Gdy słońce zaszło, skręciliśmy w jedną z dolin o łagodnych zboczach, które przecinają „park” San Luis.

Nagle zauważyliśmy z boku trop idący w tym samym, co my, kierunku. Badanie wykazało, że zostawiły go trzy konie co najwyżej przed godziną. Widok śladów przypomniał mi czarownika Komanczów, jego żonę i ich jucznego konia. Winnetou pomyślał to samo i rzucił mi znaczące spojrzenie. Zbliżały się ciekawe wypadki.

Przynagliliśmy konie i pojechaliśmy dalej w milczeniu. Winnetou pochylał się w siodle, aby nie przeoczyć śladów, lecz zniknęły nam z oczu już po dziesięciu minutach — blask księżyca był bardzo słaby. Wobec tego zsiedliśmy z Winnetou z koni i śledziliśmy bacznie drogę.. Tak upłynął jakiś czas. Księżyc miał się już schować za widnokręgiem, zachodziło tedy pytanie, czy nie należy rozbić obozu i dopiero na drugi dzień pójść dalej za tropem.

Jeszcześmy nic w tej sprawie nie postanowili, kiedy poczuliśmy woń dymu, którą niósł lekki wietrzyk. Wobec tego poleciłem towarzyszom, by się zatrzymali, a sam z Winnetou ruszyłem ostrożnie naprzód. Niebawem ujrzeliśmy

ognisko na polance otoczonej drzewami. Położywszy się na ziemi, popełzliśmy dalej i zobaczyliśmy trzy konie i dwie osoby siedzące przy ogniu.

— Uff! Czarownik i jego żona! — szepnął Winnetou.

— To on. Przypuszczenia nasze sprawdzają się — potwierdziłem. — Czy pochwycimy go?

— Dobrze. Wypadniemy na niego błyskawicznie, żeby nie mógł się bronić.

Przysunęliśmy się niepostrzeżenie tak blisko, jak tylko się dało. Kobieta jadła, a Thibaut rozciągnął się leniwie na murawie.

— Teraz! — rzekł Winnetou z cicha.

Wstawszy z ziemi, poskoczyliśmy naprzód i rzuciliśmy się na czarownika. Krzyknął, ale, uderzony przeze mnie pięścią w głowę, zamilkł natychmiast. Związaliśmy go jego własnym lassem, po czym Winnetou sprowadził naszych towarzyszy, gdyż miejsce to było odpowiednie na nocleg. Kobieta nie troszczyła się o nas wcale i nie odezwała się ani słowem, kiedyśmy wiązali jej męża. Apanaczka wziął matkę za rękę, przyprowadził ją do ogniska, wskazał na obłąkaną i powiedział:

— To jest Tibo-wete, to Ellen!

Ellen było chrześcijańskim imieniem Tokbeli. Kolma-puszi patrzyła przez długą chwilę w milczeniu na siostrę, po czym westchnęła głęboko.

— Boże, mój Boże, co się stało z najpiękniejszą córą szczepu! Jakże jest zmieniona!

Tak, obie kobiety musiały być kiedyś bardzo piękne, ale wiek i ciężkie życie w puszczy zrobiły swoje. Tehua potrzebowała dłuższego czasu, żeby rozpoznać siostrę.

— Kolma-puszi nie przypatrzyła się jeszcze czarownikowi Komanczów — rzekł Winnetou. — Wkrótce wróci mu

przytomność, ale. chciałbym, żeby nie spostrzegł od razu, kto się tutaj znajduje.

Tehua i wszyscy nasi towarzysze cofnęli się za drzewa i gdy Thibaut otworzył oczy, zobaczył tylko mnie i Winnetou.

— Apacz i Old Shatterhand! — wykrzyknął. — Uff, uff, uff! Czego chcecie ode mnie? Co wam zrobiłem, żeście mnie związali?

— Przestańcie się dziwić i udawać Indianina. Dawny kuglarz Thibaut, fałszerz pieniędzy, złodziej i morderca powinien wiedzieć, dlaczego znowu związaliśmy go. Zrobiliśmy to w tym celu, abyście przedwcześnie nie przybyli na umówioną schadzkę.

— Schadzkę? Bredzicie chyba!

— Bynajmniej.

— Gdzież to miało nastąpić?

— Pod Czarcią Głową, dwudziestego szóstego września.

— Nie pojmuję wcale, co znaczą wasze słowa.

— Może lepiej zrozumiecie, gdy zamiast dwudziestego szóstego września, powiem: w dniu świętego Cypriana.

— Cóż mnie obchodzi ten święty?

— A schadzkę naznaczył wam Dan Etters.

— Do kroćset! — wybuchnął. — Nie znam żadnego Ettersa!

— Jak to? Przecież pisuje do was listy!

— Niech was diabeł porwie! Nic nie wiem o żadnym liście!

— Znaleźliśmy „mówiącą skórę” w torbie przy siodle.

— Łotry! Przeszukaliście moje rzeczy?

— Oczywiście!

— Kiedy?

— To nasza rzecz. Wedle mego obliczenia bylibyście na dzień przed świętym Cyprianem przybyli pod Czarcią Głowę. Wobec tego skrępowaliśmy was nieco, żebyście się nie zjawili tam zbyt wcześnie. Odtąd będziecie robili to, co my wam rozkażemy. Powiedzcie no, kto to Jest ten wawa Derrik, o którym mówi czasem wasza żona?

— Zapytajcie ją samą.

— To zbyteczne. Wawa to wyraz z narzecza Moki, domyślam się więc, że jest ona Indianką ze szczepu Moki i określa tym słowem swego brata.

— Nie mam nic przeciwko temu.

— A ja właśnie myślę, że macie coś przeciwko temu bratu i przeciwko rodzinie Benderów.

— Do krocset! — wykrzyknął Thibaut z przestrachem.

— Nie unoście się! Co wiecie o tej rodzinie? Ja poszukuję niejakiego Freda Bendera.

Thibaut, przerażony, nie mógł słowa z siebie wydobyć.

— Małego Freda zawlekliście podobno z sobą do Osedżów, z którymi macie jeszcze porachunki.

— Nie wiem o niczym!

— Urządziliście z osławionym „generałem” handel futrami, który możecie głową przypłacić.

— Nie znam żadnego „generała”!

— Zarzucają wam, że zabiliście wtedy kilku Osedżów.

— Wiacie bujną wyobraźnię, Mr Shatterhand.

— O nie! Jak wiecie, jest ze mną Szako-matto... — Powiedzcie wreszcie, do wszystkich diabłów, czego chcecie ode. mnie!

— Nie chcę od was niczego, tylko pokażę wam kogoś.

— Kogo?

— Indianina. Ciekaw jestem, czy go znacie. Przypatrzcie mu się!

Skinąłem na Kolmę-puszi, która podeszła do Thibauta.

— Przyjrzyjcie mu się dobrze! — powiedziałem. — Znacie go przecież!

Oboje wymienili badawcze spojrzenia, ale były czarownik nie powiedział ani słowa.

— Może mnie poznasz, gdy usłyszysz mój głos? — rzekła Kolma-puszi.

— Do krocset diabłów! — wykrzyknął. — Któż to jest?!

— Przypomnij sobie Czarcią Głowę. Tam. rozstałeś się ze mną, morderco.

— Czyż umarli wstają?

— Tak, umarli wstają niekiedy. Jestem Tehua Bender.

— Tehua... Tehua Bender! Thibaut zamknął oczy i zamilkł.

— Czy poznała go pani? — spytałem Kolmę-puszi.

— Natychmiast — potwierdziła. .

— Czy chce pani z nim dalej mówić?

— Nie.

Podniosłem opryszka z ziemi i przywiązałem do najbliższego drzewa, twarzą do pnia. Nie opierał się. Widok kobiety, którą uważał za nieżyjącą od dawna, zdruzgotał go zupełnie.

Kolma-puszi usiadła obok Tokbeli, ale obłąkana nie poznawała jej w dalszym ciągu. Popatrzyła na siostrę nieprzytomnym wzrokiem i powiedziała:

— Ty jesteś... mężczyzną... jesteś mężczyzną.

— Boże mój, ona mnie nie poznaje! — skarżyła się Tehua.

— Wymagacie od niej zbyt wiele — wtrąciłem. — Trzeba zaczekać, dopóki nie nadejdzie odpowiednia chwila. Może potem coś sobie przypomni.

— Biedna Tokbelo, biedna siostro!

Tehua przytuliła głowę obłąkanej do piersi i głaskała ją po zmarszczonych, zapadłych policzkach. Apanaczka nachylił się do matki i zapytał:

— Czy Tokbela była piękna za młodu?

— Bardzo piękna.

— I duch jej był zawsze przy niej?

— Tak..

— I była szczęśliwa?

— Tak szczęśliwa jak kwiat na prerii, kiedy pieści go słońce. Była ulubienicą swojego szczepu.

— A kto zabrał jej szczęście i duszę.

— Łotr, który tam stoi przywiązany do drzewa.

— To nieprawda! — zawołał Thibaut, który słyszał każde słowo. — Nie ja przyprawiłem ją o obłąkanie, lecz wasz brat, kiedy przerwał nasze zaślubiny!

Wtedy zerwał się z ziemi Szako-matto i zawołał:

— Śmiesz jeszcze przeczyć, psie! Nie wiem, co blade twarze czują i jak się miłują, ale to pewne, że gdybyś nie spotkał tej skwaw, nie utraciłaby ducha i szczęścia, którym się cieszyła. Jej twarz ból mi sprawia. Ona nie może ciebie oskarżyć ani zażądać od ciebie rachunku, ale ja to za nią uczynię. Czy przyznajesz się, że oszukałeś nas wówczas, kiedy przyjęliśmy cię jako gościa, i że potem zamordowałeś naszych wojowników?

— Nie!

— Uff! Usłyszysz moją odpowiedź na to zaprzeczenie! Osedż podszedł do nas i zapytał:

— Dlaczego moi bracia chcą tego człowieka zabrać z sobą pod Czarcią Głowę? Czy go tam potrzebują?

— Nie — odparł Winnetou.

— To posłuchajcie, co wam Szako-matto przedłoży. Jechałem z wami aż tutaj, by pomścić krzywdy wyrządzone memu szczepowi. Pojmaliśmy Tibo-taka i pochwycimy jeszcze „generała”. Wiem, że „generała” mi nie wydacie, gdyż większe prawo do zemsty mają wobec niego inni. Ale za to muszę wziąć sobie Tibo-taka. Nie zabiję go tak, jak się zabija psa! Widziałem, jak postępujecie, wiem, że nawet temu, kto na śmierć zasługuje, dajecie sposobność do walki o życie. Oświadczam, że on należy do mnie, ale pozwolę mu się bronić. Naradźcie się nad tym. Jeśli mi go wydacie, to niechaj ze mną walczy, jeśli zaś nie zgodzicie się na to, to zastrzelę go, nie pytając was więcej o pozwolenie. Daję wam ćwierć godziny czasu do namysłu. Czyńcie, co chcecie, lecz ja słowa nie cofnę! Howgh!

Postanowienie wodza Osedżów zaskoczyło nas. Należało brać je bardzo poważnie — wszyscy byliśmy pewni, że Szako-matto słowa dotrzyma. Jeślibyśmy nie pozwolili na walkę, Thibaut byłby za kwadrans trupem; w przeciwnym razie mógł się bronić i ocalić życie. Narada trwała wobec tego krótko: uchwalono zgodzić się na pojedynek. Thibaut wzbraniał się wprawdzie, gdy jednak spostrzegł, że Osedż nie odstępuje od swoich warunków, przystał w końcu. Co do wyboru broni, to Szako-matto pozostawił go dumnie przeciwnikowi, który zdecydował się na kule. Każdy miał strzelić trzy razy, na znak dany przez Winnetou, jednocześnie i z odległości pięćdziesięciu kroków.

Odmierzyłem odległość, po czym na obu krańcach linii rozniecono ogniska. Rozwiązaliśmy Thibautowi ręce, chociaż nogi miał nadal skrępowane rzemieniem, aby nie próbował uciec. Następnie wręczyliśmy mu jego strzelbę i trzy kule i zaprowadziliśmy go na miejsce. Wszyscy oczywiście

stanęliśmy obok placu boju, tylko Tokbela została przy obozowym ognisku.

Kiedy Winnetou dał znak, padły obydwa strzały jednocześnie, ale żaden z przeciwników nie trafił. Thibaut roześmiał się szyderczo..

— Nie śmiejcie się! — upomniałem go. — Nie znacie Osedża. Czy macie na wypadek śmierci jakie życzenie?

— Pragnę, żeby w chwili mej śmierci was wszystkich także diabeł porwał! .

— Well! Jeszcze jedno pytanie: czy „generał” to Dan Etters?

— Spytajcie jego, nie mnie!

Podniósł znów strzelbę do twarzy, Winnetou dał znak i huknęły strzały. Thibaut zachwiał się, chwycił się ręką za piersi i runął na ziemię. Winnetou schylił się nad nim, by zbadać ranę.

— Jakby z odległości dwu kroków, prosto w serce. Już nie żyje — rzekł.

Szako-matto zbliżył się wolnym krokiem, popatrzył na trupa i odszedł w milczeniu, a Holbers i Hammerdull zabrali się zaraz do kopania grobu. Tokbela nie domyślała się nawet, że zginął człowiek, który był nieszczęściem jej życia.

W ciągu nocy, która potem nastąpiła, nie zaszło nic godnego uwagi, a rano wyruszyliśmy tak samo wcześnie jak dnia poprzedniego. Apanaczka jechał obok matki, ale nie rozmawiał z nią wiele. Był przygnębiony, nie mógł myśleć obojętnie o śmierci człowieka, którego tak długo uważał za swego ojca.

Z każdą chwilą sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Należało przypuszczać, że „generał” zastawi na nas jakąś pułapkę. Było dość miejsc na naszej drodze nadających się na kryjówki, z których doskonale można było nas wystrzelać. Ale nic nam się złego nie zdarzyło.

„Generał” nie spodziewał się może, żeśmy już tutaj przybyli, albo też chciał dokonać zamachu dopiero pod Czarcią Głową.

Pod wieczór przybyliśmy do Kaskady Pian. Z olbrzymiej góry spadał potężny strumień i rozbijał się na deszcz drobnych kropli. W górze pokrywał skały las, a na dole widać było również tylko głazy i drzewa. Kiedyśmy się tam znaleźli, otoczył nas głęboki mrok.

— Którędy prowadzi stąd droga do Czarciej Głowy? — zapytałem Kolmę-puszi. — Tam musimy poszukać Utajów.

— Na lewo przez las, a potem skałami w górę bardzo stromo — odpowiedziała. — Czy obawiacie się Utajów?

— Nie, ale musimy wiedzieć, gdzie są.

— Należę jeszcze do ich szczepu, pomówię więc z nimi. Kiedy jestem przy was, nie potrzebujecie się niepokoić.

Poprzedniego dnia opowiedzieliśmy Kolmie-pu-szi o naszym spotkaniu z Tusagą-sariczem, a teraz dodałem:

— Utajowie pałają ku nam żądzą zemsty, a nadto przyrzekli pomoc „generałowi”. Trzeba by bardzo długo przekonywać ich, by zaniechali swych nieprzyjaznych zamiarów, i w tym czasie „generał” mógłby nam umknąć z łatwością. Wobec tego wolimy zdać się na siebie samych.

— Chodźcie więc! Znam tutaj każde drzewo i każdą skałę, poprowadzę was najkrótszą drogą.

Pojechała przodem, a my za nią sposobem indiańskim. Po godzinie ściemniło się tak, że musieliśmy zsiąść z koni i prowadzić je za cugle. Szliśmy bardzo długo, kiedy nagle usłyszeliśmy rżenie konia. Stanęliśmy oczywiście natychmiast.

Do kogo należał ten koń? Wszyscy zatrzymali się, a ja i Winnetou ruszyliśmy na zwiady. Niebawem las się skończył i stało się nieco widniej. O kilka kroków przed nami wznosiła się ściana skalna z wąską ścieżką, wiodącą stromo pod

górę. To była niewątpliwie droga do: Czarciej Głowy. Pomiędzy skałą a lasem przyczaili się Utajowie. Najwidoczniej chcieli nas pochwycić, w chwili gdybyśmy się zaczęli wspinać drożyną wiodącą w górę. Nie przyszło im na myśl, że nie wjedziemy prosto w pułapkę, lecz zbadamy wpierw teren.

„Generała” z nimi nie było. Spostrzegliśmy natomiast między wojownikami skrępowanego Old Surehanda! Przybył więc tu i został pochwycony! Dlaczego się od nas odłączył zamiast zaczekać jeszcze krótki czas? Byłem w tej chwili naprawdę wściekły na niego.

— Old Surehand stoi znowu przywiązany do drzewa — powiedziałem do” Apacza. — Niech mój brat na mnie zaczeka.

— Dokąd Old Shatterhand idzie? — zapytał,

— Po towarzyszy.

— Aby go wyswobodzić?

— Tak. Jeśli mój brat nie chce brać udziału w tej wyprawie, to ja sam skoczę między tych Czerwonych hultajów. Trzeba z nimi raz skończyć. Mam już dość tego wiecznego podchodzenia!

— Uff! Winnetou bardzo chętnie dopomoże swemu bratu!

— W takim razie ukryjemy konie, a potem wrócimy tutaj.

Bezpieczne miejsce dla koni znaleźliśmy od razu w tej okolicy pełnej rozpadlin i chaszczów. Treskow stanął przy nich na straży, a my podkradliśmy się pieszo pod obóz Utajów, gdzie rozstawiłem towarzyszy w półkole. Aby mieć jeńca na oku, Tusaga-saricz siedział tuż obok niego, a wojownicy rozłożyli się nie opodal. Nagle wpadliśmy pomiędzy nich, Winnetou przeciął w mgnieniu oka więzy Old Surehanda, ja zaś pochwyciłem wodza jedną ręką za gardło,

a drugą uderzyłem go w głowę tak, że przewrócił się natychmiast. Indianie zerwali się na równe nogi, pochwycili za broń i wydali okrzyk wojenny. W tej chwili przytknąłem rewolwer do głowy wodza i ryknąłem jeszcze głośniej:

— Nie ruszać się, bo zastrzelę natychmiast Tusagę--saricza!

Indianie znieruchomieli na skutek tej groźby.

— Jeśli któryś z was podniesie broń — mówiłem dalej — sprowadzi śmierć na wodza. Przeciwnie, jeśli zachowacie się spokojnie, nic się nie stanie ani wara, ani jemu. Jesteście otoczeni i moglibyśmy was wystrzelać, ale Kolma-puszi powie wam zaraz, że nie chcemy tego uczynić.

Tehua ukazała się pod drzewami. Na jej widok Utajowie uspokoili się, a gdy przemówiła do nich, wydali nam bez oporu broń. Wpływy jej były o wiele większe, aniżeli przypuszczałem początkowo.

Spytaliśmy oczywiście o „generała”; dowiedzieliśmy się, że pojechał pod Czarcią Głowę, skąd miał wrócić jutro przed południem. Mimo to posłałem natychmiast Osedża na skalną ścieżkę, by strzegł nas przed niespodziewanym ukazaniem się Douglasa-Ettersa; nasz ostatni już wróg musiałby nadejść tamtędy, gdyż innej drogi nie było.

Można było wyobrazić sobie zdumienie Tusagi-saricza, kiedy przyszedłszy do siebie, ujrzał Old Surehanda na wolności. Kolma-puszi usiadła zaraz obok niego i wyjaśniła mu po cichu, kim był „generał”, ich obecny sprzymierzeniec, który zastrzelił przed laty jej brata, a ją samą przywiązał do jego grobu. Oświadczyła wodzowi, że chcieliśmy pomścić na Utajach straszliwą śmierć Old Wabble'a i trampów, że jednak odstąpimy od tego zamiaru, jeśli opuszczą „generała”. Wreszcie wódz przemówił głośno, zwracając się do nas wszystkich:

— Skoro nam obiecujecie, że wyrzekniecie się zemsty, nie będziemy dłużej osłaniać tego białego. Ale obiecaliśmy

mu przyjaźń i wypaliliśmy z nim fajkę pokoju, nie możemy więc być jego wrogami. Wobec tego musimy oddalić się stąd zaraz, by wrócić przez las do „parku”, a rano ruszyć do naszych siedzib. Wy możecie go pochwycić i uczynić z nim, co się wam podoba. Tusaga--saricz powiedział. Howgh!

Ani Winnetou, ani ja nie dowierzaliśmy zbytnio Utajom, kiedy jednak Kolma-puszi zaręczyła za nich, przyjęliśmy po namyśle te warunki. Nim upłynęła godzina, Indianie odeszli lasem, prowadząc konie i niosąc w rękach płonące łuczywa. Na naszą prośbę Kolma-puszi udała się za nimi, a gdy wróciła, doniosła nam, że wojownicy odeszli rzeczywiście i nie mieli względem nas złych zamiarów. Zgasiwszy ognisko położyliśmy się spać, ale przez całą noc wartownicy czuwali przy parowie i na skalnej ścieżce.

Old Surehand nie powiedział nam, w jaki sposób dostał się znów w ręce Utajów, my zaś nie chcieliśmy mu sprawiać przykrości pytaniami.

Ostatecznie rozwiązanie dramatu było już tak bliskie, że nie wyjawiłem mu na razie, kim jest Kolma-puszi i Apanaczka.

Czekaliśmy aż do południa, ale „generał” się nie zjawił. Wobec tego nasunęło mi się podejrzenie, że Utajowie nas okłamali. Może wcale nie miał zamiaru wrócić spod Czarciej Głowy? Nie pozostawało nam nic innego do zrobienia jak tam wyruszyć.

Była to bardzo uciążliwa droga, ciągnąca się między stojącymi tuż przy sobie ścianami skalnymi albo nad przepaściami. Kolma-puszi prowadziła pochód. Może po dwóch godzinach jazdy zabrzmiał przed nami okrzyk i jakiś jeździec wychynął spoza zakrętu drogi. Był to „generał”! Okrzyk trwogi wydał na widok naszej przewodniczki, na której zatrzymało się jego pełne przerażenia spojrzenie. Potem dostrzegł i mnie jadącego za nią.

— Do krocset tysięcy piorunów! — wrzasnął. — Old Shatterhand!

Zawrócił konia i zniknął.

— Za nim, prędzej, prędzej! Co koń wyskoczy! — zawołałem do Kolmy-puszi. — Jeśli teraz nam umknie, nie zobaczymy go już nigdy więcej!

Bodąc konie ostrogami rozpoczęliśmy pogoń tak karkołomną, że dziś jeszcze strach mnie zdejmuje, gdy o niej pomyślę. „Generał” ze swej strony także zmuszał konia do szaleńczej szybkości. To się ukazywał, to znowu znikał nam z oczu, zależnie od tego, czy droga skręcała, czy wiodła prosto. Winnetou pędził za mną. Może po kwadransie gonitwy „generał” dotarł do miejsca, gdzie droga rozwidlała się, i zawrócił w prawo.

Kolma-puszi rzuciła się za nim, lecz po chwili odwróciła się i zawołała:

— Niech kilku moich braci pojedzie na lewo, te drogi schodzą się z sobą!

Skierowałem konia w lewo, krzyknąwszy do Winnetou:

— Pędź na prawo! Nas dwu wystarczy! Cwałowałem tak szybko, jak tylko pozwalała na to droga Wijąca się między skałami i wznosząca się coraz wyżej. Sztucer trzymałem w pogotowiu.

Nagle znalazłem się na występie skalnym, gdzie na lewo ziała przepaść, a na prawo, niemal prostopadle, biegła w górę wąziutka drożyna. Doszedł mnie tętent konia, pędzącego z przeciwnej strony, i na zakręcie ukazał się „generał”. Widząc otchłań z boku i mnie ze sztucerem przed sobą, rzucił straszne przekleństwo. W cwale zeskoczył z konia i popędził ścieżką. Nie strzelałem, gdyż chciałem go pochwycić żywcem. W tej chwili nadbiegli Winnetou i Kolma-puszi i zatrzymali konie.

— Umknął tędy na górę! — zawołałem. — Dalej za nim, za nim!

— To Czarcia Głowa — odrzekła Kolma-puszi. — Stąd nie ma innej drogi. Nie ujdzie nam!

Zaczęła się wspinaczka, która mogła zaszczyt przynieść myśliwcom polującym na kozice. „Generał” był tuż przed nami. Strzelba zawadzała mu, toteż odrzucił ją daleko. Ścieżka zwężała się coraz bardziej i kończyła wąskim, idącym skośnie gzymsem skalnym. „Generał” pobiegł tamtędy, a ją za nim. Wtem gzyms się urwał, szczelina długości człowieka ukazała się pod nogami zbiega. Odważył się na skok i dosięgnął nogami przeciwległego brzegu, lecz tam trafił na kawał zwietrzałej skały. Głaz oderwał się i spadł razem z ,,generałem” w przepaść, odbijając się wielokrotnie od urwistych ścian.

— Wracajcie! On runął na dół! — zawołałem do Winnetou i Kolmy-puszi.

Zaczęliśmy, pospieszny odwrót. Dostawszy się do drogi, wskoczyliśmy na konie i popędziliśmy do towarzyszy. Wkrótce zobaczyliśmy ich stojących obok zwału kamieni. Zwietrzały głaz porwał za sobą inne, większe i mniejsze złomy; pod masą ważącą, ze czterdzieści cetnarów leżał „generał”. Aż do żeber przygniotły go kamienie, zgruchotawszy ciało na miazgę. Już nie żył. Czy Bóg będzie miłościw jego biednej duszy?

— O nieba! — zawołałem. — Zginął tak jak Old Wabble. Co za kara!

— A tu, popatrzcie! — rzekła Kolma-puszi wskazując na ścianę skalną. — Co tu widzicie?

Zobaczyliśmy wyryty na głazie krzyż, a na dole słowa: „W tym miejscu padre Diterico został zamordowany przez J. B.”. Pod spodem widniało słońce z literami E. B. Zadrżałem.

— Czy to grób waszego brata? — zapytałem Kolme--puszi.

— Tak. Te inicjały oznaczają moje imię chrześcijańskie i nazwisko: Emilia Bender. „Generał” leży teraz na grobie mego brata, tam gdzie mnie wówczas przywiązał i gdzie w walce z nim zgubiłam ślubną obrączkę.

— Ślubną obrączkę? Czy to nie ta?

Zdjąłem pierścionek z palca i podałem Kolmie-puszi. Spojrzała na niego, przeczytała napis na wewnętrznej stronie i zawołała:

— E. B. 5.VIII.1842! To ona! To moja obrączka! Skąd ją macie, Mr Shatterhand?

— Zsunęła się z palca „generałowi”, kiedy mu w Helmers Home wyliczano pięćdziesiąt batów.

— Co za przypadek, co za przypadek!

— To nie przypadek — wyjąkał Old Surehand, który w czasie tej rozmowy stał przy nas, blady z wrażenia, nie mogąc słowa wydobyć; teraz rzucił się na kolana przed Kolmą-puszi. — To widomy znak, że Bóg kierował naszymi krokami. Nie modliłem się od wielu lat, ale teraz nie przestanę dziękować Opatrzności! Od chwili kiedy mój opiekun, Wallace, powiedział mi, co się stało z moją rodziną, szukałem bezustannie brata, matki i jej siostry.

— A dlaczego przybyliście tu dzisiaj ?

— Wallace owi ktoś wręczył list, w którym nakazywano mi stawić się dwudziestego szóstego września pod Czarcią Głową, w pobliżu „parku” San Luis. Jakiś nieznajomy obiecywał mi dostarczyć wiadomości o rodzinie pod warunkiem, że nie wspomnę nikomu ani słowem o całej sprawie.

— Ten list pochodził od „generała”, który was poznał na Liano. Zwabił was tu prawdopodobnie po to, by was zamordować. „Generał” to Dan Etters, którego szukacie tak długo. Spojrzyjcie na usta zabitego. Są szeroko rozwarte, a tu…

Wyjął z ust „generała” sztuczne podniebienie razem z dwoma zębami.

— Czy widzicie teraz szczerby w górnej szczęce? — zapytałem.

Sceny, która teraz nastąpiła, niepodobna opisać. Tłoczono się wokół mnie, rozpytywano i ściskano tak, że - musiałem się bronić. Gdy wszyscy uspokoili się nieco, oczyściliśmy ze zwału kamieni grób ojca Diterica, a ciało jego mordercy pochowaliśmy w pobliskim lesie. Dick Hammerdull i Pitt Holbers nie odzyskali swych cennych portfeli, gdyż nie znaleźliśmy nic przy zwłokach zbrodniarza. Pozostało jeszcze niemało nie wyjaśnionych spraw, ale ten, kto mógłby udzielić nam odpowiedzi, był już na sądzie bożym.

A teraz koniec, miły czytelniku. Rozstajemy się z bohaterami tej długiej opowieści. Muszę cię tylko uspokoić co do losów nieszczęśliwej Tokbeli. Dzięki troskliwej opiece połączonej nareszcie rodziny powoli wróciło jej zdrowie. „Duch jej znowu jest przy niej”.